Bronisław Krothe

KAROL GIDE

PROFESOR WYDZIAŁU PRAWA W PARYŻU

ZASADY EKONOMII SPOŁECZNEJ

TRZECIE POLSKIE WYDANIE

WEDŁUG DZIESIĄTEGO WYDANIA FRANCUSKIEGO

PONOWNIE OPRACOWANE I ROZSZERZONE

PRZEZ

Dra WŁODZIMIERZA CZERKAWSKIEGO

PROFESORA UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO

KSIĘGOZBIÓR
Br.
Krothe
№ 191.

WARSZAWA

NAKŁADEM KASY PRZEZORNOŚCI I POMOCY
WARSZAWSKICH POMOCNIKÓW KSIĘGARSKICH

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI GEBETHNERA I WOLFFA.

1907

BIBL. GŁÓWNA
Zbiory specjalne

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA
im. J. Giedroycia w Białymstoku
FUW0536116

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

K-98/79/100724

PRZEDMOWA TŁUMACZA.

Zasady ekonomii społecznej prof. Karola Gide'a zjednały sobie wielką popularność nietylko we Francyi, gdzie w roku ubiegłym ukazało się już dziesiąte ich wydanie, lecz i za granicą, czego najlepszym dowodem jest przetłumaczenie ich na wszystkie niemal cywilizowane języki. Wziętość swą zawdzięcza dzieło Gide'a przedewszystkiem nader szczęśliwemu połączeniu bogactwa treści z wielką jasnością wykładu, dzięki czemu jest ono przystępne dla każdego człowieka wykształconego. Autor, któremu głównie chodziło o upowszechnienie wiadomości ekonomicznych, starał się przedstawić czytelnikowi nawet najtrudniejsze zagadnienia naszej nauki w taki sposób, ażeby mógł je z łatwością zrozumieć, a nawet ażeby nie dostrzegł piętrzących się trudności. W tym celu Gide pomija, lub przynajmniej z lekka tylko dotyka niektórych kwestyi zawilszych, tak że już w poprzedniem wydaniu polskiem ukazała się potrzeba pewnych uzupełnień.

W obecnem wydaniu uwzględniłem wszystkie rzeczowe zmiany, które autor wprowadził do swego dzieła w dziesiątej edycyi, a jedynie tam, gdzie, mojem zdaniem, bądź układ materyału, bądź przedstawienie rzeczy po-

przednio było jaśniejsze lub szczęśliwsze, trzymałem się wzoru dawniejszego. Uzupełnienia teoretyczne, które wprowadziłem do dzieła Gide'a, są umieszczone w tekście i podobnie jak w drugiem wydaniu, oznaczone węższym składem. Jest ich teraz znacznie więcej, a odnoszą się do pojęcia i podziału nauki (str. 3 5), do historyi doktryn ekonomicznych (str. 13—14, 40—42, 45 - 47, 52 54), do nauki o potrzebach (str. 61—65), do przedmiotów gospodarczych (str. 67—69), do teoryi wartości i ceny (str. 70, 80—87, 107—115), do pojęcia produkcyi (str. 123—126), do kapitału (str. 175—176, 179—181), do przemysłu (str. 223—228, 238—239), do podziału pracy (str. 248—254), do waluty (str. 310—314), do ceł (str. 351—357), do nauki o majątku i dochodzie (str. 433—458), do prawa do pracy (str. 497 do 502), do płacy (str. 546—554), do renty gruntowej (str. 590—601), do procentu (str. 624—629, 642—645), do nauki o konsumcyi (str. 666—669, 681—683), wreszcie do ubezpieczeń (str. 708—711). Prócz tego drobniejsze dodatki umieszczone są w uwagach z wyraźnem nadmienieniem, że pochodzą od tłumacza.

Kraków, w maju 1907.

Dr Włodzimierz Czerkawski.

Wiadomości ogólne.

I.

Przedmiot ekonomii politycznej.

Wszystkie twory, stanowiące wszechświat, wszystkie zjawiska, które się w nim pojawiają — ciała niebieskie, ziemia, która nas dźwiga, pierwiastki zawarte w jej łonie, zwierzęta i rośliny, zaludniające jej powierzchnię — są przedmiotem nauk ściśle określonych i odgraniczonych, zwanych naukami fizycznemi i przyrodniczemi.

Lecz w tym tak olbrzymim wszechświecie spotykamy jeszcze inne jestestwa, godne naszej uwagi, widzimy ludzi, tworzących społeczeństwa, gdyż inaczej żyćby nie umieli. To też zjawiska społeczne i stosunki, które ludzie utrzymują między sobą, stanowią przedmiot drugiej grupy nauk, t. zw. nauk społecznych[1]).

Stosunki, które ludzie zawierają między sobą są nader liczne i rozmaite, a każdej ich odmianie odpowiada pewna odrębna nauka społeczna. Rozróżniamy stosunki

[1]) Nie wymieniamy tu historyi, bo ona nie posiada swego odrębnego przedmiotu. Historya jest nauką, która zajmuje się pewnymi faktami ze względu na ich czasowe następstwo, stąd też każda nauka, nietylko społeczna lecz i przyrodnicza, posiada swoją historyę!

etyczne, prawne, gospodarcze, polityczne, religijne, wreszcie językowe, konieczne do zawiązania wszystkich innych — i według tego posiadamy naukę etyki, prawa, ekonomii politycznej, polityki, religii i lingwistyki.

August Comte uważał wszelki podział nauk, mających za przedmiot społeczeństwo ludzkie, za próżny i bezzasadny i uznawał tylko jedną naukę społeczną, obejmującą wszystkie przejawy społeczne, której nadał dziś już klasyczną i powszechnie uznaną nazwę socyologii. Lecz jego zapatrywanie nie przyjęło się, gdyż już ze względu na metodę i podział pracy naukowej, nie można odmówić naukom, wspomnianym poprzednio, prawa i charakteru odrębnych działów wiedzy ludzkiej.

Nie ulega wątpliwości, że między naukami społecznemi, które przecież wszystkie zajmują się człowiekiem w społeczeństwie, niepodobna pociągnąć tak ścisłych granic, jak między działami wiedzy ludzkiej, różniącemi się swym przedmiotem, n. p. pomiędzy geologią a botaniką lub zoologią. Podział nauk społecznych musi być zawsze mniej lub więcej sztucznym i nie polega na różnicach wewnętrznych, lecz służy raczej dla ułatwienia naszych badań i do spotęgowania naszych zbyt słabych sił umysłowych. Szczególniej u trzech najbardziej zbliżonych nauk: etyki, prawa i ekonomii politycznej, granice będą zawsze mniej lub więcej zmienne i nieokreślone, gdyż niektóre instytucye, jak własność, wymiana dóbr i instytucya pracy zależnej, należą równocześnie do zakresu wszystkich tych nauk. Lecz ta wspólność jest bardzo zbawienną i nader korzystną dla tych tak blizkich działów wiedzy ludzkiej. Wystarcza zaznaczyć, że te same przedmioty można rozpatrywać z odmiennych stanowisk i że należy tylko umieć ująć różnice, zachodzące między stanowiskiem etyka, prawnika i ekonomisty. Otóż to właśnie jest stosunkowo dość łatwem, gdyż można odróżnić trzy odmienne cele działalności ludzkiej, mianowicie wypełnianie swych obowiązków, wykonywanie swych praw, wreszcie zaspokojenie swych potrzeb. Nasza nauka zajmuje się przedewszystkiem tą ostatnią sprawą.

Możemy przeto powiedzieć, że przedmiotem ekonomii politycznej są stosunki, powstające między ludźmi żyjącymi w społeczeństwie, o ile one dążą do zaspokojenia materyalnych swych potrzeb i do rozwoju ich dobrobytu [1]).

Ogół czynności, przedsiębranych świadomie dla zaspokajania potrzeb przedmiotami lub usługami świata zewnętrznego, nazywamy gospodarowaniem, czynniki, których potrzeby są celem gospodarowania, podmiotami gospodarczymi, środki, służące ku zaspokajaniu potrzeb przedmiotami gospodarczymi, wreszcie wszystkie fakty i okoliczności, posiadające jakąkolwiek doniosłość dla gospodarowania, zjawiskami gospodarczemi.

Naukę gospodarstwa społecznego, zwaną także ekonomią lub ekonomiką polityczną, można zdefiniofiniować przedewszystkiem jako naukę o istocie, przyczynach, skutkach i prawidłach zjawisk gospodarczych. Ponieważ zjawiska gospodarcze przejawiają się wskutek dążności do zaspokajania potrzeb środkami, zaczerpniętymi ze świata zewnętrznego w stosunku do gospodarczego podmiotu, przeto ekonomię polityczną można także określić jako naukę o prawidłach i czynnikach możliwie najlepszego zaspokojania potrzeb ze świata zewnętrznego, albo wreszcie jako naukę o prawach i sposobach osiągnięcia możliwie najwyższego materyalnego szczęścia,

[1]) Znaczna część pisarzy określa ekonomię polityczną jako »naukę o dobrach«. Definicya ta jest błędną dla dwóch powodów; raz, że używa wyrazu dobro, który sam przez się jest bardzo niejasnym i potrzebuje bliższego wyjaśnienia, powtóre, że pomijając zupełnie człowieka, tworzy z ekonomii naukę przyrodniczą. Tymczasem ponieważ o dobrach decydują potrzeby ludzkie, przeto należy przedewszystkiem zająć się w ekonomii człowiekiem i jego pragnieniami.

gdyż wszystkie środki zaspokojenia potrzeb, nie wyłączając usług ludzkich, przedstawiają się ze stanowiska podmiotu gospodarczego jako przedmioty materyalne, a wysokość materyalnego szczęścia zależy od stopnia zaspokojenia potrzeb.

Naukę gospodarstwa społecznego dzieli się zwykle na trzy wielkie działy: na teoryę ekonomii, politykę ekonomiczną i skarbowość. Teorya ekonomii bada istotę, związek przyczynowy i wzajemny stosunek zjawisk ekonomicznych, dążąc do stwierdzenia i ścisłego określenia prawidłowości w życiu gospodarczem. Twierdzenia jej muszą być bezwzględnie prawdziwe, stąd też posiada ono znamiona nauki ścisłej Polityka ekonomiczna zajmuje się tak oceną zjawisk gospodarczych ze względu na rzeczywisty interes i potrzeby jednostek i społeczeństwa, jakoteż określeniem zasad, środków i celów świadomego oddziaływania na stosunki gospodarcze. Polityka ekonomiczna przeto opiera się tak na wynikach teoryi jak i na zbadaniu wszystkich warunków, potrzeb i dążeń podmiotów gospodarczych, stąd też prawidła polityki ekonomicznej posiadają moc względną, modyfikując się w miarę różnorodności okoliczności faktycznych.

Skarbowość jest nauką o gospodarstwie podmiotów prawno-publicznych, państwowych i samorządnych. Ściśle biorąc nie powinno się przyznawać jej osobnego stanowiska, gdyż nie posiada ono żadnej samodzielnej dziedziny badania, ani też nie ujmuje zjawisk gospodarczych z odmiennego, od reszty nauk ekonomicznych, punktu widzenia. To też wytworzenie nauki skarbowości, jako osobnego działu wiedzy, opiera się na dwóch czynnikach drugorzędnych, historycznym i rzeczowym. W rozwoju nauki najpierw zajęto się dokładniej gospodarstwem państwowem, bo ekonomia wchodziła pierwotnie w zakres nauk politycznych, stąd też nauka skarbowości stanowiła pewną całość dla siebie, zanim przystąpiło się do systematycznego badania całokształtu problematów ekonomicznych. Do tego momentu dziejowego dołącza się jeszcze wzgląd rzeczowy, polegający na tem, że podmioty prawno-publiczne dochodzą do zaspokojenia większości swych potrzeb w szczególny, sobie tylko właściwy sposób, nakładając, z tytułu swego władztwa, na swą rzecz ciężary na inne gospodarstwa.

II.

Prawa naturalne w ekonomii.

Nadając jakiejś gałęzi wiedzy charakter umiejętności, nie pragniemy bynajmniej ograniczyć się jedynie do przyznania jej jakiegoś zaszczytnego tytułu, lecz chcemy w ten sposób stwierdzić istnienie i odkrycie pomiędzy zjawiskami, które stanowią przedmiot jej badań, pewnego stałego związku i stosunku, który nazywamy prawidłowością.

Są pewne dziedziny wiedzy, w których porządek, w jakim poszczególne zjawiska występują, jest tak uderzający, że umysły najmniej przywykłe do umiejętnego zastanawiania się, nie mogą go nie spostrzedz.

I tak wystarczy oczy podnieść w górę, aby zobaczyć, z jaką regularnością posuwa się co noc cały pochód gwiazd, jak księżyc co miesiąc się odmienia, jak słońce zmienia swoje stanowisko w stosunku do różnych konstelacyi. W czasach najodleglejszych, pasterze czuwający przy stadach, żeglarze kierujący swymi okrętami już znali peryodyczność tych ruchów, a spostrzegłszy to, rzucili podstawy prawdziwej umiejętności, najdawniejszej ze wszystkich, nauki astronomii.

Zjawiska towarzyszące tworzeniu się ciał organi-

cznych i nieorganicznych, nie są wcale tak proste i niepodobna tak łatwo ująć porządku, w jakim obok siebie istnieją, czy też po sobie następują. To też potrzeba było na to długich wieków, zanim udało się rozumowi ludzkiemu, zbłąkanemu w labiryncie wszechświata, pochwycić nić przewodnią, odnaleść porządek i prawa tych zjawisk i w ten sposób zbudować takie nauki, jak fizyka, chemia, biologia i t. p.

Powoli ta idea stałego porządku zjawisk zaczyna wszędzie się wdzierać, i to nawet tam, gdzieby się napozór mogło zdawać, że ma zamknięty przystęp. Przekonano się, że panowanie tego porządku rozciąga się nawet na wiatry i fale morskie, uważane po wszystkie czasy przez poetów za symbol niestałości i kaprysu. Odkryto te wielkie prawa, które rządzą atmosferą i oceanami, prądami powietrza i wód morskich i stworzono nowe nauki: meteorologię i geografię fizyczną. Dziś już wszystko jest przedmiotem rachunku prawdopodobieństwa, nawet szanse wygrania przy zakładach lub przy grze w kostki, co więcej, sam los już posiada swe prawa.

Wreszcie musiał nadejść dzień, w którym ta wielka idea naturalnego porządku wszystkich rzeczy, zagarnąwszy powoli, jak niezwyciężony zdobywca, wszelkie dziedziny wiedzy ludzkiej, wtargnęła w końcu w sferę zjawisk społecznych. Zobaczymy dalej, że już Montesquieu i fizyokraci pierwsi dostrzegli i ogłosili istnienie naturalnych praw w ekonomii, że im zawdzięczamy to odkrycie.

Jeżeli w istocie zjawiska tworzą ze sobą pewien stały porządek, jakby pochód regularny, w którym każdy pilnuje swego miejsca i odległości od drugich, czyli jeżeli — jak się zwykle wyrażamy — istnieje »następstwo zjawisk«, natenczas jest zawsze możliwem, gdy jedno zjawisko jest dane, przewidzieć drugie, które mu towarzyszy, lub które ma po niem nastąpić. P r z e w i d y w a n i e jest właśnie

kryteryum, oraz charakterystyczną oznaką prawdziwej umiejętności.

W niektórych umiejętnościach można, dzięki ich prostocie, posuwać te przewidywania tak daleko, że będą one zdumiewały cały ogół i pozyskają pozory prawdziwego proroctwa, jak n. p. w astronomii. W naukach fizycznych i przyrodniczych już o wiele rzadziej można się dowiedzieć o przyszłości drogą przewidywania. Lecz zawsze jeszcze może wiedzieć chemik, jakie ciało powstanie z dwóch pierwiastków, które miesza w tyglu i jakie będą jego własności; geolog znów może z góry oznajmić, jakie się napotka pokłady ziemi przy przebijaniu tunelu lub wierceniu szybu. Przyrodnik, widząc po raz pierwszy jakieś nieznane zwierzę, nie potrzebuje go wcale krajać, aby się dowiedzieć, jakie w niem znajdzie organa i w jakim są ustawione porządku, — gdyż sądzi już o tem ze znaków zewnętrznych, jakie się mu przedstawiają. A teraz pytanie, czy ekonomista może podobną wykazać zdolność do przewidywania zjawisk, na poparcie naukowości swej wiedzy?

W tym względzie można mieć wątpliwości, gdyż zjawiska wchodzące w zakres ekonomii politycznej są wynikiem działania ludzkiego, a więc czynów zależnych od wolnej woli. Czyż więc mogą być one przedmiotem ściśle naukowego przewidywania, czy raczej dają tylko podstawę do pewnych przypuszczeń?

Wydawałoby się więc, że pojęcie prawa sprzeciwia się pojęciu wolności. Tak jednak nie jest; ta pozorna sprzeczność jest tylko wynikiem mylnego pojmowania tak p r a w n a t u r a l n y c h jak i w o l n e j w o l i.

Co się tyczy prawa naturalnego, to wyobrażamy je sobie — podobnie jak postać prawa na obrazach alegorycznych — w kształcie pewnej władzy z mieczem w ręku, która domaga się bezwarunkowo posłuszeństwa. Tymczasem prawo naturalne nie wyraża nic innego, jak tylko twierdzenie, że między przedmiotami lub ludźmi powstają

same przez się pewne stosunki, które są tylko o tyle konieczne, o ile zajdą poprzednio pewne niezbędne warunki. Z połączenia tlenu i wodoru nie musi powstać woda, lecz jeżeli złączymy dwa atomy wodoru z jednym tlenu, natenczas przy pewnej temperaturze, pewnem ciśnieniu atmosfery i t. d., otrzymamy wodę. Tak samo ludzie nie muszą kupować i sprzedawać, lecz jeżeli ktoś, który chce coś sprzedać, zejdzie się z drugim, który pragnie to samo nabyć i jeżeli ich obustronne żądania dadzą się pogodzić, w takim razie przyjdzie między nimi do zamiany po pewnej cenie, która da się oznaczyć matematycznie.

Co się tyczy wolnej woli, to wyobrażamy ją sobie zwyczajnie jako zdolność postępowania według swej głowy, innemi słowy, w kształcie kaprysu i zachcianki. A przecież wystarcza najlżejsze nawet zastanowienie, aby się przekonać, że działanie bez przyczyny byłoby czynem bezmyślnym i że każdy rozsądny człowiek kieruje się w swem postępowaniu pewnymi powodami, innemi słowy, że nie postanawia niczego bez przyczyny.

Gdyby człowiek kierował się wyłącznie jedną przyczyną (n. p. chęcią wzbogacenia się), mógłby ekonomista przewidzieć nader łatwo jego postępowanie z taką samą pewnością, jak n. p. przewidujemy kierunek ciała spadającego na ziemię. Ten najprostszy przypadek nie zdarza się jednak nigdy i posługujemy się nim jedynie hipotetycznie, dla uproszczenia zagadnienia. Zawsze działa równocześnie kilka przyczyn i ekonomista, gdyby je nawet znał wszystkie, nie mógłby przewidzieć, która z nich przeważy u danej jednostki, czy też w danym wypadku. W każdym jednak razie może przewidzieć, które powody zdecydują o postępowaniu największej liczby ludzi, a to wystarcza najzupełniej. Gdy chodzi o zjawiska ogólno ekonomiczne, nie mamy w tem najmniejszego interesu, aby przewidzieć, jak się w danym wypadku zachowa ta lub owa jednostka, obchodzi nas jedynie zachowanie się ludzi,

zbiorowo wziętych, gdyż posługujemy się w naszych obliczeniach wyłącznie cyframi przeciętnemi [1]).

Musimy zauważyć, że ci właśnie, którzy najżywiej występują przeciwko możności przewidywania ekonomicznych zjawisk, sami wcale nie zaniedbują korzystać z niej tak w zwykłym trybie życia, jak i w codziennych swych interesach. I tak finansista, kupując akcye kanału Suezkiego lub kolei żelaznej, już z góry przewiduje trwałość ruchu handlowego i jego stopniowy wzrost w oznaczonym kierunku, a płacąc za nie dobrze, stwierdza tem samem, dobrowolnie lub mimowolnie, że uznaje istnienie prawa ekonomicznego. Każdy, ktokolwiek spekuluje, — a któż dziś nie spekuluje! — wykonywa lepiej lub gorzej przewidywania naukowe tego, co ma nastąpić dopiero w przyszłości.

Prawda, że wypadki rzeczywiste zadają niejednokro-

---

[1]) Nawet gdyby czyny ludzkie były dziełem czystego przypadku, możnaby do nich zastosować racyonalne przewidywanie, w granicach powyżej podanych, albowiem na podstawie rachunku prawdopodobieństwa możemy n. p. przewidzieć, ile razy wyjdzie jakaś liczba w rulecie. Tem bardziej więc można przewidzieć postępki istot rozsądnych, a gdyby rozum ludzki był nieskończenie wielkim, modlibyśmy prawdopodobnie przepowiedzieć ich czyny tak dokładnie, jak zmiany ciał niebieskich. Zresztą statystyka stwierdziła już niejednokrotnie rzeczywiście zdumiewającą regularność prawie wszystkich wypadków życia ludzkiego, począwszy od bardzo ważnych, jak n. p. małżeństwo, skończywszy na najbardziej przypadkowych, jak n. p. ilość listów bez adresu, oddanych na pocztę.

Nawet Kant, który oparł swą filozofię na absolutnej wolności, przyznaje najzupełniej panowanie praw naturalnych w naukach społecznych. Jakkolwiek wyobrażamy sobie, powiada on, w metafizyce wolną wolę, zawsze musimy przyznać, że jej objawy w czynach ludzkich podlegają, tak jak wszystko, ogólnym prawom przyrody. Tak n. p. zdawałoby się, że małżeństwa, urodzenia i skony nie podlegają żadnej regule, któraby pozwoliła naprzód oznaczyć ich ilość, a jednak corocznie sporządzane tablice dowodzą, że rządzą niemi równie stałe prawa, jak zmianami atmosferycznemi, wzrostem roślin, biegiem rzek i wogóle całą przyrodą.

tnie kłam wszelkim przewidywaniom. Lecz jeżeli przewidywania zjawisk ekonomicznych są zawsze niepewne i nie sięgają daleko, to powodem tego nie jest bynajmniej wolna wola ludzka, lecz po prostu nieznajomość przyczyn, które je wywołały, podobnie jak się to dzieje w meteorologii. Każdy, kto się zastanowi, będzie przekonany, że ani wiatr, ani deszcz, ani grady, ani burze, nie są rezultatami losu, a tem mniej woli ludzkiej i nie przypuszcza nawet, ażeby te zjawiska nie podlegały prawom natury! A przecież łatwość przewidywania zjawisk w tej dziedzinie wcale nie jest większa niż w dziedzinie ekonomicznej, owszem może nawet jest łatwiej przepowiedzieć nadejście przesilenia handlowego, niż przewidzieć zerwanie się cyklonu, a ruch na kolei żelaznej między Lyonem a Marsylią bez wątpienia ulega mniejszym zmianom, niż upływ wód w Rodanie, wzdłuż którego droga ta biegnie, jakkolwiek ruch kolejowy zasilają ludzie, upływ wody zaś niebo [1]).

III.

Powstanie nauki ekonomii politycznej.

»Ekonomia polityczna« pozyskała swą nazwę po raz pierwszy w roku 1615, od dzieła francuskiego *Traité d' économie politique* (system ekonomii politycznej), napisanego przez Antoniego de Montchrètien.

Wyrazu ekonomia używano już dawniej, a nawet jedno z dzieł Xenofonta nosi ten tytuł; lecz starożytni rozumieli przez to gospodarstwo domowe (οἶκος dom, νομὸς

[1]) Przeciw istnieniu praw naturalnych na polu społecznem podnoszą czasami, że zachodzi wiele wypadków wbrew wszelkim przewidywaniom. Lecz równie dobrze możnaby w ten sposób dowodzić właśnie istnienia tych praw, gdyż wielokrotnie co innego chce się przeprowadzić, a co innego się stanie. Dowodzi to tylko, ze na świecie działają liczne przyczyny, silniejsze od woli ludzkiej.

prawo, reguła), Montchrétien, dodając przymiotnik »polityczna«, chciał nadać tej nauce nowe znaczenie i okazać, że nie ma się zajmować sprawami prywatnemi, lecz publicznemi, chciał nadać jej pojęcie, które powstało równocześnie z wytworzeniem wielkich państw nowożytnych. Dziś, gdy już nie ma sporu co do samego pojęcia, byłoby lepiej nazywać tę naukę krótko ekonomią albo ekonomiką, bo taka nazwa zaleca się swą zgodnością ze zwyczajną terminologią naukową.

Znaczna ilość kwestyi, które dzisiaj nazywamy zagadnieniami ekonomicznemi, jak naprzykład pieniądz, handel i sposoby zbogacenia się państwa i jednostek, zaprzątała uwagę ludzką we wszystkich czasach. Już Ojcowie kościoła potępiali zbytek, nierówność majątkową, pobieranie procentów od pożyczek; już starożytni, a między innymi Arystoteles, zbadali bardzo dokładnie istotę pieniądza, podział zawodowy i sposoby nabycia własności.

Lecz nie widziano nici, łączącej te różnorodne pytania i nie myśląc o tem, aby je zrobić przedmiotem odrębnej nauki, rozwiązywano je przedewszystkiem dla udzielania zdrowych rad, bądź panującym, bądź ludziom prywatnym.

Dopiero pod wpływem odkrycia Ameryki, w ciągu XVI., a głównie XVII. stulecia, wytworzyła się prawdziwa teorya ekonomii. Rady te ujęto w pewien system i nadano im kształt przepisów uporządkowanych i polegających na logicznych zasadach. Niektóre kraje jak Francya, Włochy i Anglia, które spoglądały zazdrosnem okiem na Hiszpanię, czerpiącą ogromne bogactwa z kopalń Nowego Świata, zaczęły zastanawiać się nad pytaniem, w jaki sposób możnaby pozyskać złoto i srebro nie posiadając ich pokładów. Jeszcze przed Montchrétienem wydaje Antoni Serra w roku 1613. swe dzieło w języku włoskim »O przyczynach, które mogą sprowadzić dostatek złota i srebra w królestwach pozbawionych kopalń«, które zajmuje się tym przedmiotem. Wyobrażano sobie, że da się to osiągnąć za-

pomocą sprzedaży krajowych wytworów za granicą, a więc przez wywóz towarów przemysłowych, który rozwija handel zagraniczny i wywołuje powstanie nowych zakładów przemysłowych. W tym celu ustanowiono cały szereg przepisów nader skomplikowanych i dokuczliwych, które miały zwiększyć handel zagraniczny. Jest to tak zwany system merkantylistyczny (patrz niżej Księga II. rozdz. IV.).

Przeciwko tym doktrynom dostrzegamy w połowie XVIII. stulecia we Francyi bardzo silną reakcyę. Pod wpływem Jakóba Rousseau i Montesquieu zaczęto marzyć o powrocie do pierwotnego stanu natury i odrzucano wszystko, co tylko wydawało się sztucznem i nienaturalnem. W tym dopiero czasie widzimy rzeczywiste początki nauki gospodarstwa społecznego. Quesnay, lekarz Ludwika XV., wydaje w roku 1758. swe dzieła pod tytułem »Obraz ekonomiczny« i »Naczelne zasady rządu ekonomicznego«, a zgrupowawszy około siebie cały szereg wybitnych osobistości, zakłada szkołę, której członkowie przybierają nazwę fizyokratów czyli ekonomistów. Szkoła fizyokratyczna wprowadziła do nauki dwie nowe zasady wręcz przeciwne poglądom merkantylistycznym. Mianowicie uznaje ona:

1) Przewagę rolnictwa nad handlem i przemysłem. Ziemia jest jedynem źródłem bogactwa, ziemia tylko daje dochód czysty, stąd też tylko rolnicy są warstwą wytwórczą, wszystkie zaś inne klasy społeczne są warstwami nieprodukcyjnemi.

2) Istnienie pewnego przyrodzonego i niezmiennego porządku społecznego (taki tytuł nadał swemu dziełu jeden z najwybitniejszych fizyokratów, Mercier de la Rivière). Nie potrzeba więc wymyślać nowych praw, reguł i systemów, należy tylko uznać naturalny porządek, do niego się zastosować i pozostawić mu zupełną wolność *(laisser-faire, laisser-passer)*.

Pierwsza zasada oddziałała bardzo korzystnie, jako

reakcya przeciwko błędom systemu merkantylistycznego, lecz była błędną, albo co najmniej przesadną i wskutek tego wkrótce zadała zabójczy cios całej szkole fizyokratycznej.

Natomiast druga zasada tworzyła prawie przez całe stulecie podstawę nauki ekonomii politycznej. Według tej doktryny tylko te zjawiska mogą mieć w nauce znaczeczenie, pomiędzy któremi można dostrzedz stosunek przyczynowy, czyli tak zwany porządek przyrodzony. Jeden z najznakomitszych zwolenników tej szkoły, Turgot, nie zadowolił się samem wyłuszczaniem tych zasad w swych znakomitych dziełach, lecz wprowadzał je w życie, najpierw jako gubernator w Limoges, potem jako minister Ludwika XVI., znosząc cła wewnętrzne i zbożowe, a przedewszystkiem uchylając statuty cechowe i wszystkie dawniejsze regulaminy.

Główne zasady fizyokratów są mniej więcej następujące. Wzrost dobrobytu narodowego zależy od czystego dochodu, który może dać tylko ziemia, albowiem w przemyśle i handlu jedynie przerabiamy lub mieniamy istniejące rzeczy, podczas gdy rolnik i górnik uzyskują dobra zupełnie nowe, których przedtem nie było, bądź to wydobywając je z łona ziemi, bądź też zawdzięczając je twórczym siłom przyrody, np. urodzajności gruntu. Gdyby nie bylo rolnictwa, nie byłoby ani handlu ani przemysłu, bo nie byłoby środków produkcyi i towarów, lecz z drugiej znowu strony, w braku produkcyi przemysłowo-handlowej, rolnik musiałby się starać o zaspokojenie wszystkich swych potrzeb, o swe utrzymanie, narzędzia i t. p., a tem samem nie mógłby tyle sił i czasu poświęcić uprawie roli. Dlatego też handel i przemysł są wprawdzie zawodami drugorzędnymi, zależnymi od rolnictwa, lecz użytecznymi. Obok tego istnieje jeszcze w społeczeństwie klasa właścicieli ziemskich, którzy nie pracują wcale, tylko pobierają czynsz dzierżawny

od rolników. Ponieważ tylko ziemia daje dochód czysty, przeto w imię dobrobytu narodowego należy się starać o jak największy rozwój rolnictwa. Dojdzie się do tego, jeżeli się rolnictwo, przemysł i handel zwolni od wszystkich ograniczeń i ciężarów, przedewszystkiem od ceł, opłat i podatków, gdyż zabierając część dochodów rolnikowi, nie pozostawia się mu dość środków na rozszerzenie uprawy ziemi, a nakładając ciężary na przemysł i handel, tworzy się wysokie ceny na towary niezbędne rolnictwu i w ten sposób znowu mu się szkodzi. Stąd też dla rolników, jako dla klasy wytwórczej i dla kupców i przemysłowców, jako dla klasy zależnej od rolnictwa, lecz potrzebnej dla niego, powinno się wprowadzić zupełną wolność gospodarczą; natomiast wszystkie ciężary ma ponosić klasa wolna, t. j. właściciele ziemscy, którzy będą je opłacać ze swego niezasłużonego czynszu dzierżawnego, bez żadnej szkody dla gospodarstwa narodowego. Najwybitniejszymi repoezentantami tego kierunku byli Quesnay, Turgot, Mercier de la Rivière, Mirabeau starszy i Dupont de Nemours, u nas Stroynowski, a po części i Supiński.

W roku 1776. wychodzi dzieło Szkota Adama Smitha p. t. »Poszukiwania nad istotą i przyczynami bogactwa narodów«, które wywarło wpływ tak potężny, że przyniosło swemu twórcy, aczkolwiek niesłusznie, miano ojca ekonomii politycznej.

Prawdą jest atoli, że dzieło to, stojąc znacznie wyżej od pism fizyokratów, tak pod względem obserwacyi teraźniejszości, jak i pod względem nauk, zaczerpniętych z historyi, obejmując prawie całą dziedzinę ekonomii, która się już odtąd wcale nie zwiększyła, rozpoczęło nową, zasadniczą erę w historyi ekonomii politycznej i zapewniło szkole angielskiej stanowczą przewagę przez całe prawie stulecie. Adam Smith odrzuca pierwszą zasadę fizyokratów i zwraca przemysłowi należne mu miejsce w produkcyi, lecz uznaje drugą, t. j. istnienie praw naturalnych w gospodarstwie i płynącą z nich wolność ekonomiczną, przynajmniej jako regułę dla praktycznego postępowania. Wkrótce po nim pojawia się trzech znakomitych ekonomistów, i to dwóch w Anglii: Malthus i Ricardo, jeden we Francyi: Jan Baptysta Say. Malthus jest autorem sławnej teoryi o wzroście ludności (1803), która jakkolwiek zajmuje się kwestyą specyalną, wywarła doniosły wpływ na wszystkie doktryny ekonomiczne. Ricardo, równie sławny ze swej teoryi o rencie gruntowej (1817), wywołał w późniejszych czasach żywą reakcyę przeciwko szkole klasycznej wskutek nadużycia metody abstrakcyjnej i ściśle dedukcyjnej; wreszcie Jan Baptysta Say napisał w roku 1803 »Traktat ekonomii politycznej«, odznaczający się przedewszystkiem jasnością wykładu, dobrą klasyfikacyą i wzorowem uporządkowaniem przedmiotu. Jego dzieło, przełożone na wszystkie europejskie języki, było pierwszym, prawdziwie popularnym systemem ekonomii politycznej, który w mniejszym lub wyższym stopniu służył za wzór niezliczonym podręcznikom, wydanym w późniejszych czasach przez zwolenników szkoły klasycznej.

J. B. Say nadał w swem dziele ekonomi politycznej w najwyraźniejszy sposób charakter przyrodniczy, t. z. ściśle opisowy, co było wprawdzie przesadnem, lecz bardzo korzystnem dla nauki, w epoce, w której ją dopiero opracowywano. Jeszcze Adam Smith, żyjący w tym samym prawie czasie, określa ekonomię jako naukę, która powinna wskazać sposoby zbogacenia się, tak narodu jak i panującego, nadając jej tem samem cel praktyczny. Natomiast J. B. Say, objaśniając tę definicyę pisze: »Wolałbym powiedzieć, że przedmiotem ekonomii politycznej jest nauka o sposobach, za pomocą których dobra tworzą się, dzielą i zużywają«. Taki też tytuł nadał on swemu dziełu.

Począwszy od tego czasu możemy uważać ekonomię polityczną jako naukę zupełnie już wykończoną. Odtąd

rozpoczyna się ona dzielić na liczne szkoły, lecz imiona ekonomistów, należących do następnego okresu, dadzą się lepiej pomieścić w rozdziałach, w których przedstawimy doktryny tych rozmaitych szkół. (Patrz rozdział V.).

IV.

O metodzie.

Metodą w języku uczonych nazywa się droga, którą pójść należy, aby dojść do odkrycia prawdy. Metoda dedukcyjna przyjmuje pewne dane, które uważa za niezbite, i następnie drogą logicznej konsekwencyi wyprowadza z nich nieskończony szereg wniosków. Geometryę można uważać za typ wszystkich nauk, posługujących się metodą dedukcyjną. Można tu przytoczyć, jako przykład, jeszcze lepiej znany słuchaczom prawa — samo prawo, zwłaszcza prawo rzymskie, gdzie, jak widzimy, uczeni prawnicy, wziąwszy za podstawę kilka zasad z 12 tablic lub z *jus gentium*, zbudowali ów cudowny pomnik prawodowstwa, zwany pandektami. Zupełnie tak samo w ekonomii szkoła klasyczna wychodzi z zasady, że człowiek dąży zawsze do uzyskania jak największych korzyści kosztem jak najmniejszego trudu i przyjmując jeszcze kilka innych doktryn, jak n. p. nierównomierną wydajność ziemi, wyprowadza z nich wszystkich cały szereg wniosków, które jeszcze do dnia dzisiejszego stanowią rusztowanie całej nauki ekonomii społecznej.

Fizyka i nauki przyrodnicze posługują się natomiast od czasów Bacona metodą indukcyjną, która obserwuje pewne poszczególne zjawiska i dopiero na podstawie rezultatów swych obserwacyi przystępuje do wyprowadzenia ogólnych wniosków, n. p. ze zjawiska, że wszystkie ciała spadają, wnosi, że jest siła grawitacyi ziemskiej. W dziedzinie ekonomicznej zatem cierpliwie będzie trzeba

przeprowadzić taką obserwacyę i zebrać ją ze wszystkich zjawisk społecznych, tak jak one nam się okazują w teraźniejszości przez statystykę i zeznania podróżników, a w przeszłości przez historyę. Z takiej obserwacyi możnaby zbudować całość nauki społecznej. I rzeczywiście nowa szkoła ekonomiczna, zwana historyczną czyli realistyczną, odrzuca zupełnie metodę dedukcyjną, a zaleca i używa wyłącznie metody indukcyjnej.

To pomijanie dedukcyi idzie za daleko, gdyż nie należy zapominać, że czysta metoda indukcyjna nie może nigdy wydać tak wielkich rezultatów w naukach społecznych jak w fizyce lub naukach przyrodniczych. Składają się na to dwie przyczyny.

Przedewszystkiem obserwacya zjawisk społecznych jest znacznie trudniejszą, jakkolwiek twierdzenie to wydaje się paradoksalnem, wobec tego, że zdarzenia te obchodzą nas najżywiej i że bierzemy w nich czynny udział, a nie przypatrujemy się im tylko ze stanowiska obojętnego widza. Lecz właśnie w naszym współudziale tkwi powód, dla którego nie możemy się im dokładnie i bezstronnie przyglądać, prócz tego zaś są one nader różnorodne, wykazują niezmierną ilość odmian. Kto widział jednego chrząszcza, zna wszystkie, kto widział jednego górnika, nie zna żadnego. Prawdę mówiąc, obserwacya zjawisk gospodarczych i społecznych przechodzi nieskończenie siły jednostki i może być tylko dziełem albo tysięcy ludzi, gromadzących swe spostrzeżenia, albo też państw, używających w tym celu tych potężnych środków badania, którymi rozporządzają [1]). Jest to osobny dział wiedzy, zwany statystyką.

---

[1]) Bezwarunkowo najprostszem pytaniem, wchodzącem w zakres nauk społecznych, jest zbadanie ilości ludzi, tworzących dane społeczeństwo. Pomimo tego widoczną jest rzeczą, że jednostka nie mogłaby nigdy ukończyć podobnego badania. Jedynie państwa mogą się podjąć tego zadania, a i tak nawet dopiero od niedawna urzędowe spisy ludności doszły do dostatecznej dokładności.

UNIWERSYTET WARSZAWSKI BIBLIOTEKA

Powtóre nawet w naukach przyrodniczych czysta obserwacya nie wydałaby nigdy tych świetnych rezultatów, które podziwiamy, gdyby nie posługiwano się tam pewną specyalną formą obserwacyi, zastosowywaną w okolicznościach sztucznie wytwarzanych, zwaną eksperymentem czyli doświadczeniem. Tymczasem w naukach społecznych przedsiębranie doświadczeń jest albo wprost niemożliwe, albo przynajmniej nader utrudnione. Chemik, fizyk, a nawet biolog (chociaż tutaj byłoby to już trudniejszem) zawsze może wywołać doświadczenie wśród pewnych, sztucznie określonych warunków, dających się do woli zmieniać. Chcąc n. p. badać przebieg oddechania u zwierzęcia, wystarczy je umieścić po dzwonem maszyny pneumatycznej i zmieniać ciśnienie powietrza stosownie do potrzeby. Tymczasem ekonomista niema tej możności, choćby nawet działał z ramienia samego ustawodawcy lub wszechmocnego despoty. W nauce społecznej musimy w ten sposób badać zjawiska, jak one same nam się przedstawiają, nie mogąc ich odosobnić i oddzielić od związku z całą grupą innych zjawisk, z któremi są złączone. Nie możemy n. p. całego kraju umieścić pod kloszem, a przypuściwszy nawet, że byłoby to możebnem, to bynajmniej by to nie wystarczało do wyprowadzenia stanowczego wniosku. Przypuściwszy, że celem zbadania skutków wolnego handlu, moglibyśmy poddać badaniu dwa kraje, a mianowicie w jednym wprowadzić system wolnego handlu, a w drugim znowu system ceł opiekuńczych i po dziesięciu latach udałoby nam się stwierdzić, że pierwszy kraj się o wiele wzbogacił, a drugi zrujnował; byłaby to zapewne wiadomość bardzo cenna, lecz mimo takich szczególnie sprzyjających i w każdym razie niemożliwych w rzeczywistości warunków, doświadczeniem by tego jeszcze nazwać nie można, albowiem na rozwój danych dwóch krajów może jeszcze wpływać wiele innych czynników, jak n. p. różnica warunków przyrodzonych, odmienne ustawodawstwo, różnica w zdolnościach umysłowych mieszkańców i t. d. [1]).

Z tego powodu miasto powoływania się wprost na doświadczenie społeczne, zmuszeni jesteśmy baczyć uważnie na to, czy przypadkiem szczęśliwy traf nie dostarczy nam pewnych szczególnych danych, takich n. p. jak zaprowadzenie nowej ustawy, założenie jakich kolonii socyalistycznych, wreszcie wystąpienie takiego patologicznego objawu, jakim są przesilenia ekonomiczne — a częstokroć zdarza się, że nawet te bezpośrednie doświadczenia nie pozwalają nam przyjść do stanowczych konkluzyi.

Nie można więc odrzucać używania metody abstrakcyjnej, ani też owego »przypuśćmy że«, tak zwyczajnego w szkole Ricarda, którego nienawidzi szkoła historyczna, lub owej Robinsonady, którą ona wyśmiewa. Labirynt zjawisk gospodarczych jest nadto zagmatwany, abyśmy mogli kiedykolwiek odnaleść się w nim przy pomocy samej obserwacyi i odszukać zasadnicze stosunki, stanowiące treść każdej nauki [2]). Ażeby oświecić te ciemności i wprowadzić porządek w ten chaos, należy posługiwać się nietylko abstrakcyą, lecz także wyobraźnią, t. zn. hypotezą. Prawdziwa metoda przechodzi przez trzy stopnie rozwoju. Pierwszym jest bezstronna obserwacya zjawisk, i to tych nawet, które na pierwszy rzut oka wydają się naj-

[1]) Dwie kolonie angielskie w Australii, Nowa południowa Walia i Victoria, dostarczają na to dobrego dowodu. Jedna z nich hołduje wolnemu handlowi, druga protekcyi cłowej, a jakkolwiek to doświadczenie trwa już dość długo, jakkolwiek obie kolonie graniczą ze sobą, powstały w ten sam sposób i mają te same warunki naturalne, przecież niepodobna jeszcze powiedzieć, który system przyniósł lepsze owoce: czy wolny handel, czy cła ochronne.

[2]) Sławny chemik francuski Chevreul twierdził, że każdy fakt jest abstrakcyą. Pozornie wydaje się to parodoksem, a jednak pogodzimy się z tem zdaniem, jeżeli uwzględnimy, że to, co nazywamy faktem, jest czemś dowolnie oddzielonem od całej masy innych zdarzeń i że w celach obserwacyi należało przytem pominąć wiele innych rzeczy.

prostszemi. Drugim z rzędu jest wytworzenie obrazu ogólnego na podstawie połączenia pewnych zjawisk w odpowiednie grupy, pozostające do siebie w przyczynowym związku, czyli innemi słowy postawienie hypotezy. Trzecim zaś jest sprawdzenie owej hypotezy, bądź to za pomocą doświadczenia, jeżeli to możliwe, bądź też za pomocą specyalnie przeprowadzonej obserwacyi, czy też ona naprawdę zgadza się z rzeczywistością.

W ten sposób postępuje się zresztą we wszystkich innych naukach, fizycznych i przyrodniczych. Wszystkie owe wielkie prawa, na których opiera się cała umiejętność dzisiejsza, począwszy od prawa grawitacyi Newtona, są tylko sprawdzonemi hypotezami; a znowu wszystkie te wielkie teorye, które posłużyły za podstawę tegoczesnych odkryć naukowych — n. p. we fizyce teorya o istnieniu eteru, w naukach przyrodniczych znów teorya ewolucyjna — wszystkie są tylko hypotezami, dotąd nie sprawdzonemi[1]).

Ze stanowiska więc metody błąd szkoły klasycznej nie polega na nadużywaniu abstrakcyi, lecz na tem, że brano ją zbyt często za rzeczywistość, że zrobiono dogmaty z zasad, które są po największej części zaledwie prowizorycznemi hypotezami, które przyjąć lub odrzucić należy. Upatrywano w nich podstawy całego systemu nauk ekonomicznych, podczas gdy to było proste tylko rusztowanie, służące do zbudowania gmachu, a przeznaczone na

[1]) Stanley Jevons, jeden z najznakomitszych ekonomistów angielskich, powiada w swych Principles of sciences, że chcąc coś odkryć, posługujemy się w nauce taką samą metodą, jakiej nieświadomie używamy dla odgadnięcia rebusu lub logogryfu. Najpierw obmyślamy jakieś zdanie, a potem sprawdzamy, czy ono się godzi z rysunkiem lub cyframi, które są przed nami. Jeżeli nie da się pogodzić, odrzucamy tę hypotezę i szukamy innej tak długo, póki albo nie odgadniemy, albo się nie zniechęcimy. Żaden badacz nie odkryje niczego na podstawie rzeczywistych zjawisk, jeżeli już z góry niema pewnego przeczucia prawdy.

zrzucenie, skoro budowa będzie już skończona. Należy unikać nie metody jako takiej, lecz zmysłu nazbyt dogmatyzującego.

Kierunek dedukcyjny przyjmuje i dzisiaj jeszcze, pomimo upadku szkoły klasycznej, cały szereg uczonych, których, nie zawsze słusznie zresztą, zaliczają niektórzy do t. zw. szkoły matematycznej, psychologicznej i biologicznej. Niesłusznie, gdyż nie wszyscy tworzą szkoły, w ścisłem tego słowa znaczeniu, t. zn. nie mają jednolitych zasadniczych poglądów na istotę zagadnień gospodarczych, tylko przy swych badaniach posługują się metodą dedukcyjną, opartą na prawach matematyki, psychologii lub biologii. Szczególniej uczeni, posługujący się metodą matematyczną, nie stanowią żadnego samodzielnego odłamu i nie można powiedzieć, ażeby ich reformy metodyczne były szczęśliwe. Szkoła matematyczna, założona przez Cournota we Francyi (»Poszukiwania nad matematycznemi zasadami teoryi dóbr 1838«), do której należą Stanley-Jevons i Edgeworth w Anglii, Walras w Szwajcaryi, Pantaleoni we Włoszech, Gossen, Launhardt i Lehr w Niemczech, przyjmuje, że człowiekiem poruszają pewne pragnienia, a stawiając je na równi z siłami mechaniki stara się oznaczyć ich równowagę równaniami algebraicznemi. To stanowisko pozwala jej sprowadzić ekonomię polityczną do rzędu nauki czysto mechanicznej, a tem samem ściśle matematycznej. Szkoła ta zaznacza, że pragnienia ludzkie, oceniane ze stanowiska ekonomicznego, posiadają tę wyjątkową i jedyną w naukach społecznych właściwość, że dadzą się wymierzyć ilościowo. Jeżeli Arab daje 1500 franków za konia a 1000 fr. za żonę, to widoczną jest rzeczą, że potrzeba pierwsza jest właśnie półtora razy silniejszą od drugiej.

Dla większego uproszczenia, szkoła ta sprowadza zwyczajnie wszystkie potrzeby ludzkie do jednej tylko formułki, do t. zw. edonizmu (od słowa greckiego, które oznacza interes lub użyteczność), który przyjmuje, że za-

wsze dąży się do osiągnięcia jak największej korzyści, jak najmniejszym trudem.

Ta szkoła jest właściwie szkołą dedukcyjną, posuwającą dedukcyę do ostatecznych konsekwencyi, i wskutek tego jest wystawioną na takie same zarzuty, jak szkoła klasyczna. Należy jej jednak oddać tę sprawiedliwość, że nie popełniła błędu, w który popadła dawna szkoła dedukcyjna i nie padła w sidła swoich własnych abstrakcyjnych wniosków; gdyż przedstawia swe abstrakcye tylko jako hypotezy, niezbędne do wytworzenia właściwej nauki. »Ekonomia polityczna czysta«, mówi Walras w swoich Zasadach ekonomii politycznej czystej, »jest przedewszystkiem teoryą ceny, jeżeli się przyjmie hypotezę, że panuje zupełnie wolna konkurencya«. Pantaleoni idzie jeszcze dalej i wyznaje otwarcie, że hypoteza edonistyczna i psychologiczna, z której wyprowadza się wszystkie prawdy ekonomiczne schodzi się albo też i nie schodzi z powodami, które decydują rzeczywiście o czynach ludzkich i że jest to kwestya, która nie narusza wcale ścisłości praw w ten sposób uzyskanych.

Szkoły psychologiczna i biologiczna odznaczają się zarazem odrębnym poglądem na istotę zjawisk gospodarczych, to też omówieniem ich zasad wypada się zająć w następnym rozdziale (p. V., §. 4).

V.

Szkoły ekonomiczne.

Nauka ekonomii rozpada się na bardzo wiele szkół — prawie na tyle, co filozofia, a to jest niezaprzeczenie oznaką nizkiego stopnia jej rozwoju. Na usprawiedliwienie tego nie wystarcza powiedzieć, że umiejętność ta nie istnieje dłużej nad wiek jeden i że z czasem usunięte będą

tego rodzaju braki. Albowiem nauki, wcale nie dawniejsze od ekonomii, a nawet nie liczące tyle lat istnienia, ile jeden żywot ludzki, zdobyły się już na utworzenie pewnej ilości prawd naukowych, na które się jednogłośnie godzą wszyscy, co się niemi bliżej zajmują. Do tego jeszcze nie doszła nauka ekonomii politycznej, to też wielka liczba uczonych odmawia tej nauce nazwy umiejętności, albo przynajmniej uważa ją za przedwczesną. Zaznaczyć tu należy, że te odrębne szkoły różnią się pomiędzy sobą nie tyle sposobem tłómaczenia zjawisk ekonomicznych, ile raczej metodą, używaną do ich badania, sposobem ich ocenienia, a wreszcie zastosowaniem ich w praktyce. Jeżeli więc chodzi tylko o wytłómaczenie n. p. przyczyn nierówności bogactw, wtedy istniejące szkoły nie bardzo odróżniają się od siebie — ale, jeżeli idzie o wykazanie, czy różnica warunków życia jest sama w sobie dobrą, albo gdy chodzi o złagodzenie jej, wtedy dopiero wszystkie różnice zdań występują na jaw. Te różnice zdań wypływają z charakteru etycznego i politycznego całej nauki i prawdopodobnie w zupełności nie usunie się ich nigdy, jakkolwiek są dane, z których można wnosić, że w niektórych, najważniejszych kwestyach, przyjdzie do zgody.

§. 1. Szkoła liberalna.

Pierwszą z tych szkół zowią zwyczajnie klasyczną, gdyż najpierw się uformowała i długi czas panowała bez współzawodnictwa — albo też liberalną wskutek sławnego jej hasła, wreszcie prawowierną, jak ją ironicznie nazywają przeciwnicy [1]). Ale czy ona naprawdę

[1]) Twórcą tej szkoły jest Adam Smith, obok niego zaś Malthus i Ricardo. Panowała ona wszechwładnie w pierwszej połowie naszego stulecia, obecnie liczy większą liczbę zwolenników jedynie we Francyi. Można w niej odróżnić dwa kierunki: optymistyczny i pesymistyczny. Oba przyjmują wieczne i niewzruszalne prawa natury, lecz podczas gdy pierwszy twierdzi, że ich wpływ jest zbawienny, drugi uważa go za szkodliwy dla ludzkości, a więc

jest szkołą? Jej wyznawcy, broniąc swych zasad z pewnego rodzaju wyższością i chcąc być przedstawicielami właściwej umiejętności, nazywają się krótko »ekonomistami« i w ten sam sposób zowią ich także najczęściej przeciwnicy. Nauka szkoły klasycznej jest bardzo prosta i da się streścić w następujących trzech zasadach.

1) Społeczeństwem ludzkiem rządzą prawa naturalne, których nie moglibyśmy zmienić w żaden sposób, nawet gdybyśmy sami chcieli, albowiem nie od nas one zależą, a po drugie w zmianie ich nie mielibyśmy żadnego interesu, choćby to było nawet w naszej mocy, gdyż te prawa są dobre a przynajmniej możliwie najlepsze. Zadanie ekonomisty ogranicza się do wyjaśnienia wzajemnego stosunku tych praw, a znowu rzeczą każdej jednostki i państwa jest zastosować do nich swe postępowanie.

2) Te prawa wcale się nie sprzeciwiają wolności ludzkiej, owszem są one wyrazem stosunków, jakie się dobrowolnie zawiązują pomiędzy ludźmi, żyjącymi w społeczeństwie wszędzie tam, gdzie im pozostawiono wolność indywidualną, swobodę postępowania według

jako zło konieczne. Reprezentantami pierwszego odłamu są Bastiat; Molinari, Leroy-Beaulieu we Francyi i Carey w Ameryce; drugiego ekonomiści angielscy, przedewszystkiem Malthus, Ricardo, Stuart Mill. Prócz tych zaliczają się do tej szkoły Leon Say i Baudrillart we Francyi; Francis Walker w Ameryce; Mac-Culloch, Stanley Jevons w Anglii; Wirth, Rau i Thünen w Niemczech. Pewne pokrewieństwo ze szkołą klasyczną wykazuje t. zw. szkoła austryacka (Karol Menger, Böhm-Bawerk, Wieser, Sax) przynajmniej o tyle, że bada zjawiska ekonomiczne metodą dedukcyjną i uznaje pewne ogólne prawa, oparte na psychologii ludzkiej. Zasadnicza różnica między temi obu szkołami polega na tem, że podczas gdy szkoła klasyczna uznawała tylko jeden motyw do działania, interes ściśle materyalny, czyli kwestyę wysokości dochodu, szkoła austryacka twierdzi, że człowiek działa dla zapewnienia sobie szczęścia, lecz jego wyobrażenie o szczęciu są nader rozmaite. Szkoła austryacka staje więc na gruncie podmiotowym i wprowadza do ekonomii ogół pragnień każdej jednostki. P. §. 4. *(Przyp. tłum.)*.

swego interesu. W takim razie, pomiędzy tymi indywidualnymi interesami, napozór sprzecznymi, wytwarza się pewna harmonia, która właśnie stanowi ów naturalny porządek, o wiele lepszy od wszystkich sztucznych kombinacyj, któreby się dały obmyśleć.

3) Stąd też rola ustawodawcy, pragnącego utrzymać porządek społeczny i postęp, ogranicza się do gorliwego popierania i rozszerzania prywatnej inicyatywy, do usuwania tego wszystkiego, coby jej stało na przeszkodzie i do niedopuszczania, aby jedni szkodzili drugim. Temsamem mieszanie się władzy potrzeba sprowadzić aż do tego minimum, które niezbędnem jest do zapewnienia bezpieczeństwa wszystkim razem i każdemu z osobna — jednem słowem trzeba *laisser faire*, t. j. każdemu pozostawić swobodę w działaniu.

Takiemu systemowi naukowemu z pewnością nie zbywa ani na prostocie, ani na wielkości, a niech będzie jaki chce jego los, to zawsze będzie miał przynajmniej tę zasługę, że posłużył do utworzenia się nauki ekonomii. Gdyby kiedyś nawet inne teorye miały go zastąpić, to nie straci on znaczenia naukowej podstawy, na której tamte będą musiały się oprzeć.

Tej doktrynie, szczególniej szkole francuskiej, możnaby zrobić jeden bardzo poważny zarzut, mianowicie, że wyraźnie zdąża do optymizmu. Dążenie to pochodzi nie tyle z umiejętnego traktowania, ile raczej z chęci usprawiedliwiania istniejącego porządku rzeczy. Bezwątpienia, jeżeli się bada organizacyę ekonomiczną jakiegoś społeczeństwa i podstawy, na których jest oparta, wtedy ma się prawo rzec, że mają one pewne dobre strony, boć zresztą już świadczy o tem dostatecznie sam fakt istnienia ich i trwałości — co ma choćby względną wartość. Również można wnosić, że są naturalne, mianowicie w tem znaczeniu, że widocznie są w związku z dawniejszym stanem rzeczy, że z niego biorą początek. Ale żadną miarą nie można tych urządzeń uważać bezwzględnie za

najlepsze; podobne twierdzenie byłoby zupełnie bezpodstawne [1]).

Niemniej bezzasadnem jest mniemanie, że obecny nasz system ekonomiczny jest naturalnym wypływem wolności i że możnaby go zastąpić tylko przez system, oparty na przymusie, a tem samem gorszy. Obecna organizacya jest przynajmniej częściowo wynikiem bądź czynów wojennych i brutalnych zdobyczy (naprzykład zawłaszczenie ziemi angielskiej i irlandzkiej przez małą liczbę landlordów ma swój historyczny początek w zdobyczy, konfiskacie albo w zaborze), bądź praw pozytywnych, wydanych przez pewne klasy społeczeństwa dla ich własnych korzyści (n. p. prawa spadkowe, prawa skarbowe i t. d.). Gdyby więc można było świat przerobić i to przy utrzymaniu najzupełniejszej wolności, w takim razie nic nie dowodzi, że byłby on podobnym do dzisiejszego.

Tem bardziej niema racyi sądzić, że, ponieważ prawa naturalne są trwałe i niezmienne, przeto ekonomiczne zjawiska i stosunki istniejące powinnyby mieć także charakter trwały i niezmienny. Jest to czysty sofizmat, by nie powiedzieć gra słów. Wręcz przeciwnie, skoro dzisiejsza nauka usiłuje dowieść, że zasadniczem prawem natury jest prawo ewolucyi, w takim razie trzebaby powiedzieć, że prawa natury nietylko nie wykluczają idei zmienności, lecz owszem same ją przypuszczają. Kiedy naprzykład socyaliści domagają się zniesienia systemu płacy dlatego, że tak samo jak płaca nastąpiła po poddaństwie i niewoli, tak teraz ona znowu ustąpi miejsca kooperacyi (stowarzyszeniom) lub jakiemuś innemu systemowi, — to niewątpliwie można krytykować podobną argumentacyę, lecz nie można utrzymywać, że jest ona sprzeczną z prawami natury, albowiem te same prawa sprawiają, że po nasieniu następuje kwiat, a po nim owoc.

[1]) Leroy-Beaulieu powiada wyraźnie w swych »Zasadach ekonomii politycznej«, że prawa, które rządzą kapitałem, płacą i rozdziałem dochodów, są zarówno doskonałe jak i niewzruszalne i wywołują stopniowe podnoszenie się poziomu ekonomicznego. Jeszcze wyraźniej zaznacza swój optymizm i wiarę w zbawienny wpływ praw natury Molinari w swem dziele p. t. »Prawa naturalne«. Utrzymujemy stanowczo, powiada on, że prawa natury rządzą w jak najlepszy sposób produkcyą i rozdziałem dochodów, t. zn. w sposób najlepiej odpowiadający dobru ogólnemu całej ludzkości i że wystarcza najzupełniej zastosować się do tych praw, usunąć naturalne zapory, które przeszkadzają ich działalności, a przedewszystkiem nie stawiać im żadnych przeszkód sztucznych, ażeby dojść do tak dobrego położenia, jakie wogóle jest możliwe przy dzisiejszym stanie naszych wiadomości i środków gospodarczych. To też cała nasza ewangelia streszcza się w tych czterech słowach: »*laisser faire, laisser passer*«. Natomiast pisarze angielscy, szczególniej Ricardo, Malthus, a nawet Stuart-Mill są zdeklarowanymi pesymistami.

Lecz nietylko zjawiska i stosunki ekonomiczne mogą się zmieniać, ale nawet nasza wola może z pewnością wpłynąć na te zmiany. W istocie ta zdolność człowieka objawia się codziennie jak najskuteczniej w świecie fizycznym, gdy wywołuje zmiany stosownie do naszych potrzeb w zjawiskach naturalnych, a takie rozumne oddziaływanie człowieka na zjawiska przyrody nietylko nie sprzeciwia się prawom natury, lecz wręcz przeciwnie jest ściśle związane z ich istotą.

Nie ulega wątpliwości, że istnieją zjawiska, które dzięki swemu ogromowi lub swej odległości, uchylają się z pod wszelkiego wpływu z naszej strony, n. p. zjawiska wchodzące w zakres astronomii, geologii, a nawet meteorologii. W tym przypadku nie pozostaje nic innego, jak tylko poddać się im w milczeniu, albowiem nawet zdolność przewidzenia ich naprzód, nie zapobiegnie zderzeniu się z kometą lub trzęsieniu ziemi. Ileż jednak jest dziedzin, w których umiejętność ludzka jest niemal wszechwładną! Większą część składników chemii nieorganicznej i to najważniejszych, odkryli uczeni w swych laboratoryach. Gdy się widzi, jak hodowcy bydła w oborze, a ogrodnicy w ogrodach przekształcają nieustannie formy zwierząt lub roślin i tworzą nowe rasy — to zdawać się może,

że natura żyjąca pozwala przerabiać się tak samo, jak gdyby była bezwładną materyą. Nawet zjawiska atmosferyczne nie wybiły się stanowczo z pod panowania człowieka, który karczowaniem i zakładaniem lasów stara się poddać swej władzy wiatry i deszcze i odnawia niejako cud proroka Eliasza, spuszczając według swej woli i deszcz i rosę.

Tem bardziej możemy oddziałać na stosunki gospodarcze właśnie dlatego, że są to zjawiska czysto ludzkie, nad któremi mamy bezpośrednią władzę [1]). Wprawdzie podobnie jak w dziedzinie zjawisk fizycznych, tak i tutaj działalność ludzka ujętą jest w pewne granice, które nauka stara się określić, a wszyscy, czy to działając indywidualnie w prywatnych gospodarstwach, czy też zbiorowo z nakazu prawa — powinni ściśle przestrzegać, lecz już stare przysłowie Bacona: *naturae non imperatur nisi parendo* poucza, że zjawisk gospodarczych niepodobna inaczej zmienić, jak tylko przez poznanie praw ekonomicznych i przez zastosowywanie się do nich. Alchemia usiłowała przemienić ołów w złoto, chemia porzuciła te próżne usiłowania poznawszy, że oba te kruszce są pierwiastkami, lub przynajmniej ciałami, nie dającemi się już dalej rozłożyć, lecz nie cofnęła się przed przemianą węgla w dyament, gdyż przekonała się, że są one właściwie jednem ciałem, w różnym tylko znajdującem się stanie. Utopista męczy niepotrzebnie przyrodę, żądając rzeczy, których ona dać nie może — człowiek nauki domaga się tylko tego, co jest możliwem. Lecz właśnie dziedzina możliwości jest nieskończenie większą od tej, którą przyjmowała szkoła klasyczna.

[1]) Nawet szkoła deterministyczna nie uznająca wolnej woli, przyznaje człowiekowi możność wpływania na stosunki, w których on żyje. Jedyne ograniczenie, które przyjmują determiniści, polega na tem, że ich zdaniem każda czynność ludzka, prowadząca do zmiany, jest konieczną, bo wywołaną już z góry przez pewne przyczyny. To jednak dla ekonomii niema żadnego znaczenia i jest kwestyą ściśle metafizyczną.

W końcu ta nadzwyczajna nieufność względem państwa, która nie pozostawia mu innej roli, jak tylko stopniowe przygotowanie swojej abdykacyi, nie da się również naukowo uzasadnić. Historya dowodzi, że państwo było zawsze potężnym czynnikiem na polu postępu społecznego (zniesienie niewolnictwa, poddaństwa, praw zwierzchniczych, prawodawstwo przemysłowe) i że jego zakres działania rozszerzał się nieustannie. W rzeczy samej inicyatywa prywatna jest najczęściej za słabą, ażeby sprowadzić te wielkie zmiany społeczne, o których mówiliśmy powyżej. Stowarzyszenie posiada bezwątpienia więcej siły, ale ci, którzy przeciwstawiają państwu dobrowolne stowarzyszenia, nie powinni o tem zapominać, że i państwo nie jest niczem innem, jak tylko jedną, bardzo ważną formą stowarzyszenia i to formą przewyższającą wszystkie inne tak swą wielkością i trwałością, jak przedewszystkiem swojem zadaniem, które polega na oddawaniu się sprawom ogólnego znaczenia. Wprawdzie to stowarzyszenie, łączące nas z naszymi współobywatelami, nie jest dobrowolnem lecz przymusowem, lecz to nie zmniejsza bynajmniej jego siły, gdyż idea solidarności jest niezależną od idei wolności.

Doktrynom szkoły liberalnej nadawał i nadaje dzisiaj jeszcze tak wielkie znaczenie głównie ten fakt, że państwo okazywało aż nazbyt często najopłakańszą nieudolność w sprawach ekonomicznych, i było raczej narzędziem w ręku stronnictw, niż organem tego stowarzyszenia narodowego, o którem mówiliśmy poprzednio [1]). Lecz

[1]) Zarzuty szkoły liberalnej przeciw ingerencyi państwa streszcza najlepiej Leroy-Beaulieu. Wytyka on państwu 1) brak inicyatywy i pracowitości wobec tego, że państwo nie podlega wolnej konkurencyi, ani też nie posiada interesu osobistego; 2) brak jakiejkolwiek wyższości nad jednostką, czy to co do zdolności czy co do bezstronności, czy wreszcie co do stałości w swych zamiarach, ponieważ w każdem państwie demokratycznem widzimy ciągłą zmianę naczelnego kierownictwa i nie mamy żadnej gwarancyi co do jego uzdolnienia.

są to wady, które wypływają raczej z ustroju, a nie z istoty państwa. Nie można zapominać, że nawet w krajach najbardziej postępowych pod względem politycznym (możnaby powiedzieć, że zwłaszcza w tych krajach) zorganizowano państwo, uwzględniając wyłącznie jego zadania polityczne, a nie licząc się z jego zadaniami ekonomicznemi; a następnie, że brak rozwiniętego podziału pracy w rządzie, samowola, z jaką się rozdziela urzędy publiczne, w końcu niestałość rządu, czynią państwo niezdolnem do skutecznego dążenia do ekonomicznych celów. Ale można mieć nadzieję, że w dniu, w którym zorganizujemy państwo stosownie do jego nowych zadań, rozwinie ono na polu gospodarczem odpowiedniejszą i skuteczniejszą działalność aniżeli dotychczas.

§. 2. Szkoła socyalistyczna.

Szkoła socyalistyczna istnieje od tak dawna jak szkoła klasyczna, a można nawet twierdzić, że jest od niej starszą, gdyż socyaliści już dawno istnieli, zanim jeszcze poznano ekonomię polityczną. Doktryny tej szkoły mają przedewszystkiem charakter krytyczny, to też o wiele trudniej je sformułować, aniżeli zasady szkoły poprzedniej [1]). Oto główny ich zarys:

[1]) W naszem stuleciu najznakomitszymi reprezentantami szkół socyalistycznych byli: Saint-Simon, Fourier, Cabet, Ludwik Blanc i Proudhon we Francyi; Owen w Anglii; Lassalle, Engels, Karol Marx, Bernstein i Kautsky w Niemczech; Colins, de Paepe w Belgii; Henryk George w Ameryce. Dzisiejszy socyalizm, t. zw. socyalna-demokracya, zawdzięcza swe powstanie Marxowi: pierwszym twórcą kollektywizmu jest Colins; zwolennikami ukrajowienia ziemi, za czem oświadczył się Colins, są przedewszystkiem: Henryk George w Ameryce i Flürscheim w Niemczech. Najlepszy naukowy obraz stosunków gospodarstwa kollektywistycznego podaje Schäffle: Quintessenz des Socialismus i A. Menger: Die neue Staatslehre. Z polskich socyalistów najwybitniejszym jest Bolesław Limanowski, autor dzieła »Historya ruchu społecznego«. Poprzednikami socyalistów byli

Wszystkie, nader liczne szkoły socyalistyczne, uważają dzisiejszą organizacyę społeczną za pełną różnych wad, nie dających się usunąć, a tem samem przeznaczoną na zagładę w bliższej lub dalszej przyszłości. Źródłem wszelkiego złego ma być własność indywidualna, która zdaniem socyalistów dąży stale do poświęcenia interesu całego społeczeństwa na korzyść nielicznych jednostek w tym celu, aby mała garstka uprzywilejowanych żyła kosztem mas wydziedziczonych: *paucis humanum genus vivit*,

Szkoły socyalistyczne oczekują tego nowego stanu rzeczy, w którymby własność prywatną i pracę zależną na cudzy rachunek jeżeli nie zupełnie zniesiono, to przynajmniej sprowadzono do *minimum*. Na tej podstawie możnaby podzielić szkoły socyalistyczne na pewne kategorye, a mianowicie: na komunistów i anarchistów, żądających zupełnego zniesienia własności prywatnej; na kollektywistów, domagających się uchylenia własności prywatnej środków produkcyi; wreszcie na narodowców, żądających uchylenia własności prywatnej tylko co do ziemi i domów.

Co się tyczy innych zasad przyszłej organizacyi społecznej, to są one jeszcze dosyć niepewne i nieokreślone. Socyaliści dawniejsi (Tomasz Morus, St. Simon, Fourier), zwani lekceważąco utopistami, których doktryny są dzisiaj może aż nadto zdyskredytowane, chcieliby zbudować społeczeństwo zupełnie na nowo, biorąc za punkt

t. zw. utopiści, głównie w XVI. i XVII. wieku, którzy w formie opisu bajecznych krajów, kreślili obraz odmiennej organizacyi społecznej. Nazwę uzyskali od dzieła Tomasza Morusa p. t. Utopia, które opisuje życie na wyspie Utopii. Prócz niego należy tu jeszcze Campanella i Plato (którego system nie jest jednak socyalistycznym), w pierwszej połowie naszego stulecia komunista Cabet, a w nowszych czasach Bellamy i Herzka. Anarchizmu nie można mieszać z socyalizmem, bo jest to system indywidualistyczny. Właściwym jego twórcą jest Proudhon, lecz jego myśli wykształcili dopiero anarchiści rosyjscy Bakunin i ks. Krapotkin. *(Przyp. tłum.)*.

wyjścia pewne zasady sprawiedliwości *a priori*. Inni znów, nazywając się, zuchwale nieco, wyznawcami socyalizmu umiejętnego (Karol Marx, Lasalle), dążą do tego, ażeby przyszłe społeczeństwo rozwinęło się samo z siebie; — mianowicie, aby społeczeństwo istniejące pozbyło się swej obecnej formy, podobnie jak motyl, który wylatuje ze swej poczwarki. Najbardziej interesującą i oryginalną stroną ich poglądów jest, iż twierdzą, jakoby to przyszłe społeczeństwo spoczywało, niby płód, w łonie istniejącego społeczeństwa i wkrótce samo z niego wyjść miało.

Ta szkoła, mając charakter nawskróś deterministyczny, nie zaprzecza zupełnie, jak to mylnie często się mówi, istnieniu praw naturalnych. Tylko, podczas gdy z tem słowem »prawo natury« szkoła liberalna łączy zawsze pojęcie stałości i niezmienności, to dla socyalistycznej oznacza ono zawsze ideę zmiany i nieskończonego przekształcania się. Zamiast przedstawiać sobie społeczeństwo ludzkie tak, jak Bastiat wyobrażał sobie świat planetarny, jako obracający się naokoło pewnego punktu stałego i wiszący z wieczną równowagą, która się nigdy nie zachwieje — szkoła socyalistyczna wyobraża je sobie jakby jaką roślinę lub zwierzę, które od urodzenia aż do śmierci zmienia się bez przestanku — i należy przyznać, że zapatrywanie tego rodzaju ściślej odpowiada stanowi wiedzy dzisiejszej.

Prócz tego większa część socyalistów uważa rewolucyę za niezbędny warunek tego, ażeby nowy porządek rzeczy wszedł w miejsce ustroju obecnie istniejącego. Takie zapatrywanie ze strony ewolucyonistów może nieco zadziwić, dlatego też starają się oni usprawiedliwić swe zdanie zaznaczając, że proces ewolucyjny dokonywa się często zapomocą przesileń, t. j. nagłych, a nawet gwałtownych przejść z jednego stanu rzeczy w inny, czego przykładem może być poczwarka, która musi wpierw przebić swój kokon, ażeby jako motyl z niego wylecieć, lub kurczę, rozbijające dzióbkiem skorupę jajka, celem uwolnienia się z niego.

W końcu wszystkie te szkoły — z wyjątkiem jedynie szkoły anarchistycznej, która jest zupełnie indywidualistyczną, — są naturalnie gotowe do możliwie największego rozszerzania praw władz zbiorowych, reprezentowanych przez państwo lub przez gminę, gdyż ostatecznym ich celem jest doprowadzić do zastąpienia wszystkich istniejących przedsiębiorstw prywatnych usługami publicznemi [1]).

Niepodobna oceniać w tym ustępie doniosłości krytyki, z którą szkoła socyalistyczna wystąpiła przeciwko naszemu ustrojowi społecznemu. Tą kwestyą zajmiemy się w ciągu dalszych wywodów, lecz już tutaj wypada zaznaczyć, że krytyka socyalistów zawiera w sobie wiele prawdy i że ogólnie rzecz biorąc, wywarła zbawienny wpływ na poglądy i dążenia naszego stulecia.

Lecz właśnie słabą stroną socyalistów są ich zasady pozytywne, czyli dokładniej się wyrażając konstrukcyjne. W istocie jakiekolwiek dostrzeżemy braki a nawet niebezpieczeństwa wpływu interesu osobistego czyli pragnienia wzbogacenia się, jeżeli działa jako sprężyna całej organizacyi społecznej, to przecież trudno sobie wyobrazić inną siłę, poruszającą ludzkość. Możnaby tu wymienić

[1]) Twierdzenie, że socyalizm prowadzi do wszechwładzy państwa, jest tylko o tyle uzasadnione, że przeprowadzenie socyalistycznych zasad musiałoby doprowadzić do takiego rezultatu. Sami socyaliści wypierają się tego stanowczo i twierdzą, że w ich ustroju zniknie państwo polityczne, a w jego miejsce wejdzie społeczeństwo, które samo będzie miało całą władzę w ręku. W rzeczywistości jest to tylko gra słów, gdyż społeczeństwo socyalistyczne będzie wyposażone we wszystkie atrybucye dzisiejszych państw, tylko w rozmiarach ogromnie powiększonych. Natomiast wszystko to, czego socyaliści domagają się od państwa w obecnej chwili, ma znaczenie przejściowe, ma istnieć tak długo, dopóki nie obalą zupełnie naszej organizacyi. *(Przyp. tłum.)*.

tylko dwa jeszcze czynniki, mianowicie przymus i miłość, lecz ani jeden ani drugi zadowolić nie może.

Co się tyczy miłości, czyli biorąc ją w przeciwstawieniu do egoizmu, co się tyczy altruizmu, to zaiste można się spodziewać, że w nim leży prawdziwe rozwiązanie kwestyi społecznych i że kiedyś do niego dojdziemy. Lecz socyaliści, licząc już dzisiaj na tę sprężynę działania, oddają się jeszcze większemu i złudniejszemu optymizmowi niż ekonomiści klasyczni.

Zanimby człowiek zechciał pracować wyłącznie dla miłości bliźniego, potrzebaby bardziej radykalnego przewrotu, niżby to mogła sprawić jakakolwiek rewolucya socyalna; nie wystarczyłoby bowiem zmienić zewnętrzne warunki życia, lecz należałoby zmienić duszę ludzką.

Zachodzi więc obawa, że socyaliści, gdy miłość ich zawiedzie, będą musieli użyć przymusu. Lecz pomijając już, że ogólny dobrobyt byłby zbyt kosztownym, gdybyśmy go mieli okupić utratą wolności osobistej, to prawdopodobnie nawet za taką cenę nie doszlibyśmy do upragnionego celu. Wszelka produkcya, jeżeli ma być obfitą, wymaga przedewszystkiem jak największego wysiłku energii ze strony każdego wytwórcy, a doświadczenie uczy, że pod panowaniem przymusu energia indywidualna nie może się rozwijać. Wprawdzie pewna liczba socyalistów przypuszcza, że im więcej będziemy się posługiwali ciałami zbiorowemi — państwem, gminą, potężnie zorganizowanemi stowarzyszeniami — tem mniejsze będzie znaczenie inicyatywy i przedsiębiorczości indywidualnej, lecz zapatrywanie ich jest mylne, gdyż wiemy z codziennego doświadczenia, że rozwój tak wielkich jak i małych stowarzyszeń zależy wyłącznie od dobrego zarządu, a więc od zdolności i pracowitości kierowników. Wskutek tego żaden ustrój społeczny nie może osiągnąć wielkich korzyści przez związki kollektywistyczne, choćby jak najlepiej urządzone, gdyż doprowadzają one do zmniejszenia energii indywidualnej.

Nic przeto dziwnego, że projekty zmian i obrazy

przyszłości, kreślone przez dawniejszych socyalistów, dziś już porzucono zupełnie, a t. zw. socyalizm naukowy nie wdaje się wcale w opis przyszłej organizacyi. Odporne jego stanowisko w tym względzie idzie tak daleko, że wyparł się, jako prac czysto prywatnych, za które on nie odpowiada, wszystkich prób w tej dziedzinie, chociażby przedstawionych przez swych przywódców, jak n. p. przez Bebla. W istocie krytyka naukowa wykazała natychmiast, że te projekty przyszłej organizacyi są zupełnie chybione lub niewykonalne.

§. 4. Szkoła historyczna.

Zrazu nazywano tę szkołę historyczną lub szkołą socyalistów z katedry (Katheder-Sozialismus), lecz dziś przybiera ona chętniej nazwę realistycznej. Początków jej należy szukać w reakcyjnym ruchu, jaki powstał przeciw szkole klasycznej, tak co do jej metody, jak i co do dążności.

Szkoła historyczna pojawiła się przed czterdziestu laty w Niemczech [1]) i do dziś dnia głównymi jej wyznawcami są profesorowie uniwersytetów niemieckich, lecz za

[1]) Właściwym twórcą szkoły historycznej, jakkolwiek przygotował ją już Savigny na polu prawa, był Fryderyk List, który w swem dziele »Das nationale System der politischen Oekonomie, 1841« zwrócił po raz pierwszy uwagę na znaczenie wypadków dziejowych i różnice w rozwoju politycznym i gospodarczym dla ekonomii politycznej. Myśl tę rozwinęli Roscher, a przedewszystkiem Knies (System der polit. Oek. vom geschichtlichen Standpunkte), którego dzieło nadało nazwę całemu kierunkowi. Najwięcej zwolenników liczy ta szkoła w Niemczech (Schmoller, Brentano, Wagner, Miaskowski, Knapp, Conrad) i we Włoszech, w najnowszym czasie także w Anglii (Ashley, Ingram), najmniej we Francyi (Cauwès, Gide, Laveleye, Avenel), gdzie dotąd jeszcze panuje szkoła liberalna. Z drugiej znowu strony szkoła historyczna popadła w przesadę, odrzucając wszelkie teoretyczne badanie problematów ekonomicznych, wskutek czego wywołała w Austryi (p. niżej szkoła austryacka), a nawet w Niemczech (Dietzel, Lehr, Stammler) silną reakcyę. *(Przyp. tłum.).*

dni naszych przyłączyła się do nich wielka liczba profesorów ekonomii politycznej z różnych krajów.

Co do metody, to szkoła realistyczna odrzuca metodę dedukcyjną, przynajmniej o ile opiera się na rozumowaniach *a priori*, na abstrakcyach lub hypotezach i oświadcza, że do prawdy nie można dojść inaczej, jak tylko drogą cierpliwej obserwacyi zjawisk, a błędy szkoły klasycznej płyną głównie z tego, że oparła swe doktryny bądź na mylnej, bądź na powierzchownej tylko znajomości faktów.

Zjawiska ekonomiczne i społeczne należy badać przedewszystkiem historycznie, gdyż jedynie historya może wyświecić ich prawdziwy charakter, wskazując, w jaki sposób tworzą się i przekształcają instytucye ekonomiczne i społeczne.

Otóż, jeżeli badamy je ze stanowiska historycznego, przekonywamy się nietylko, że są one nader różnorodne u różnych ludów, lecz że zmieniają się bezustannie w łonie tego samego narodu, a tem samem, że zjawiska ekonomiczne nie posiadają owej trwałości i powszechności, które pod nazwą praw naturalnych przypisywała im szkoła klasyczna. Stąd według szkoły historycznej należy zrzec się poszukiwania praw ogólnych rządzących człowiekiem, a oglądnąć się za prawami historycznemi, urządzającemi wzajemne stosunki ludzi, żyjących w danem, oznaczonem społeczeństwie. Z tego powodu szkołę tę nazywają niekiedy narodowo-ekonomiczną [1]).

Co do swych tendencyi, to szkoła historyczna odrzuca bezwarunkowo »*laisser faire*«. Naznacza ona ekonomii praktyczny kierunek i uważa za przestarzałe,

[1]) Podczas gdy szkoła klasyczna uważa własność ziemską i płacę za instytucye konieczne, zależne od przyczyn naturalnych i powszechnych, to szkoła historyczna uważa je za zwykłe »zjawiska historyczne«, zawisłe od różnych przyczyn i przybierające różne formy, stosownie do czasu i do kraju.

przynajmniej dla nauk społecznych, odłączanie nauki od sztuki, przez co dochodzi do podobnego pojmowania rzeczy, jak pierwsi ekonomiści. Jej zdaniem nie możemy badać i zmieniać instytucyi ekonomicznych w inny sposób, niż nas o tem poucza historya, nauka zaś tak samo obejmuje sztukę, jak przeszłość zamyka w sobie to, co ma nastąpić. To, co jest, to, co będzie i to, co powinno nastąpić, wszystko to jest w związku ze sobą.

Właśnie z powodu małej wagi, jaką szkoła historyczna przywiązuje do znajomości praw naturalnych, przypisuje tem większe znaczenie prawom pozytywnym, które pochodzą od ustawodawcy, widząc w nich jeden z najważniejszych czynników rozwoju społecznego [1]). Stąd też skłania się do znacznego rozszerzania atrybucyi państwa, i pod tym względem nie dzieli żadnych antypatyi i nieufności szkoły liberalnej. Największe reformy, jak n. p. zniesienie niewolnictwa, poddaństwa i cechów, którychby może nigdy nie uskuteczniły jednostki, przeprowadziły państwa. Zresztą nie żądając już od państwa, aby chciało rywalizować z jednostkami, można i powinno się odeń domagać, aby zastępowało i chroniło interes ogólny i społeczny wobec bezustannych starć z interesem indywidualnym, a jest to już zadanie olbrzymie. Właśnie z powodu tych zapatrywań nazywają tę szkołę. a przynajmniej najznaczniejszą jej część, socyalizmem państwowym.

Szkoła historyczna wywarła w ostatnich czasach ogromny wpływ nietylko na umysły, lecz także na ustawodawstwo. Jej to w znacznej mierze jest dziełem większa część ustaw, wydanych w ostatnich dwudziestu latach, znanych pod nazwą ustawodawstwa robotniczego, oraz ten potężny zwrot opinii, jaki się objawił na korzyść międzynarodowego uregulowania stosunków roboczych. Ona też

[1]) »Prawa, któremi się zajmuje ekonomia polityczna, nie są prawami naturalnemi, lecz nadanemi przez ustawodawcę; naturalne uchylają się z pod woli człowieka, podczas, gdy nadane są jej wypływem«, De Laveleye. *Eléments d'économie politique* str. 17.

oddała z pewnością wielką usługę nauce, rozszerzając jej ciasny i jednostronny punkt widzenia, wprawdzie pełen sztucznej prostoty, lecz rażący swym optymizmem, w którym się tak lubowała szkoła klasyczna. Szkoła historyczna owiała naukę nowem życiem, odmładzając jej zastarzałe teorye wprowadzeniem nowych pierwiastków, zaczerpniętych z historyi, z ustawodawstwa i ze statystyki; wydobyła ją z tej systematycznej bezczynności, w jakiej ją zamknięto, a na zapytanie, od tak dawna stawiane przez nędzę ludzką: co czynić? postarała się o inną odpowiedź, niż to bezpłodne *laisser faire*.

Jest ona użyteczną także dlatego, że udowodniła brak wszelkiej naukowej podstawy dla tej bezgranicznej nieufności do państwa, którą odznacza się szkoła liberalna. Historya dowodzi, że państwo było niejednokrotnie bardzo potężnym czynnikiem społecznego postępu (zniesienie niewolnictwa, pańszczyzny i cechów, wprowadzenie ustawodawstwa przemysłowego i t. p.) i że jego atrybucye na tem polu zwiększają się bezustannie. W istocie inicyatywa prywatna jest najczęściej za słabą, ażeby mogła przeprowadzić wielkie zmiany społeczne. Przeciwko państwu podnosi się zarzut, że nawet gdy wprowadza zbawienne reformy, czyni to przy pomocy ustawodawstwa, t. zn. drogą przymusu. Lecz najpierw nawet w stowarzyszeniu dobrowolnem jednostki muszą się poddać woli większości, a powtóre państwo rozporządza także innymi środkami działania, nie tylko przymusem, nakazem i zakazem. Państwo wpływa nieraz na stosunki gospodarcze i społeczne przykładem jako pracodawca w swych przedsiębiorstwach, jakoteż pomocą, gdy subwencyonuje instytucye, utworzone z inicyatywy prywatnej (n. p. stowarzyszenia wzajemnej pomocy, zakłady kredytowe, kasy zapomogowe, emerytalne i t. d.), albo gdy bezpośrednio dąży do zaspokojenia pewnych potrzeb, tworząc szkoły zawodowe, kasy oszczędności lub zakłady ubezpieczeń.

Drugim bardzo poważnym zarzutem przeciw akcyi

państwowej jest twierdzenie, że państwo okazuje zwykle wielką nieudolność w dziedzinie gospodarczej i nieraz działa raczej jako instytucya partyjna, a nie jako organ ogółu [1]). Zarzut ten jest aż nadto słuszny, lecz braki te nie wynikają z istoty państwa, tylko z jego ustroju. Nie należy zapominać, że nawet państwo najbardziej demokratyczne, a raczej przedewszystkiem te państwa, zorganizowane wyłącznie niemal dla funkcyi politycznych, nie liczą się zupełnie z ekonomicznemi. Podział pracy w rządzie istnieje zaledwie w zaczątkach, urzędy publiczne rozdaje się dowolnie, władza nie ma żadnej stałości, prymitywny ustrój t. zw. powszechnego głosowania nie dopuszcza nieraz do poznania woli większości, nic więc dziwnego, że państwo jest nieudolne w dziedzinie gospodarczej. Lecz skoro zorganizuje się raz z uwzględnieniem swych nowych, ekonomicznych funkcyi, będzie mogło rozwinąć i na tem polu działalność znacznie skuteczniejszą i właściwszą od tej, którą widzimy dzisiaj.

Natomiast szkoła ta wyszydzaniem postępowania i metody przeciwników dała próbkę swych wygórowanych pretensyi, a nawet i niewdzięczności, gdyż ostatecznie obraca się zawsze w granicach, zakreślonych przez dawną szkołę; nie stworzyła sama żadnej nauki, tylko dotychczasową nowym ożywiła duchem. Przyjmując nawet, że wszystkie uogólnienia szkoły klasycznej — jej tak zwane prawa naturalne — nie były niczem innem, jak tylko zwykłem rusztowaniem, które miało zniknąć, skoro tylko gmach

[1]) Leroy-Beaulieu streszcza w następujący sposób zarzuty szkoły liberalnej przeciw rozszerzeniu atrybucyi państwowych: Państwo nie posiada dostatecznej inicyatywy i sprężystości, gdyż nie ma bodźca w interesie osobistym i konkurencyi. Zarazem państwo nie posiada żadnej wyższości nad jednostką ani pod względem uzdolnienia, ani bezstronności, ani nawet wytrwałości i ciągłości swych zamiarów, wskutek organizacyi, funkcyonowania i nieuchronnej zmienności każdego rządu. Braki te występują najsilniej w ustroju demokratycznym, dzisiaj najbardziej upowszechnionym.

się ukończy, nawet i w takim razie oddały one nauce niepospolite usługi, gdyż bez nich nie możnaby było niczego zbudować.

Szkoła historyczna przez zwracanie uwagi głównie na obserwacyę zjawisk i na zmiany, którym ulegają ludy i czasy, zanadto się zagłębia w szczegółach, a traci z oczu ogólne prawa, cechujące wszędzie zjawiska ekonomiczne. Jeśliby wypadło zrzec się wykrycia stałego związku i ogólnych praw w zmianach, dostrzeganych w występowaniu zjawisk — to wtedy stanowczo także trzebaby się sprzeciwić uznaniu ekonomii politycznej za umiejętność; otóż śmiałe stawianie hypotez, choć nie zawsze bezpiecznych, będzie zawsze mniejszem złem, niż uznanie swej nieudolności. (P. str. 19.). I jakkolwiek wyśmiewanie człowieka abstrakcyjnego, *homo oeconomicus*, szkoły klasycznej może być do pewnego stopnia słusznem, to przecież należy przyznać, że istnieją pewne ogólne znamiona, właściwe całemu rodzajowi ludzkiemu. Najlepszego na to dowodu dostarcza właśnie historya, okazując, że gdzie tylko społeczeństwa żyły w podobnych warunkach, zawsze wytwarzały takie same typy. Ustrój feudalny panował w XII. w. w Europie w XIX. w Japonii, wszędzie następują po sobie jednakowe formy własności i małżeństwa, wszędzie używa się szlachetnych kruszców do celów monetarnych, wszędzie dostrzegamy podobieństwo, począwszy od zwyczajów pogrzebowych, skończywszy na baśniach ludowych, które, jak stwierdzili folkloryści, brzmią mniej więcej jednakowo na wszystkich punktach ziemi.

Socyalizm państwowy, zwany inaczej socyalizmem z katedry, bo stworzyli go profesorowie uniwersytetów niemieckich (Schäffle, Schmoller, Wagner i w. i.) wyłonił się wprawdzie ze szkoły historycznej, lecz nie jest bynajmniej z nią identyczny. Szkoła historyczna powstała pierwotnie jako kierunek patryotyczno-narodowy. Ponieważ szkoła klasyczna, stawiając zasadę niezmiennych praw przyrody

w gospodarstwie społecznem, uwieczniała tem samem wyższość ekonomiczną jednych krajów, mianowicie Anglii, a niższość innych, przeto pierwszy Fryderyk List wystąpił z twierdzeniem, że dzięki odmiennemu rozwojowi historycznemu, różne państwa znajdują się obecnie w rozmaitem stadyum gospodarczem i rzeczą każdego społeczeństwa jest dążyć do osiągnięcia najwyższego stopnia ekonomicznego rozwoju. Wolność ekonomiczna jest wskazana tylko na szczeblu najniższym, gdy kraj posiada tylko produkcyę naturalną, a więc potrzebuje obcych towarów przemysłowych i na najwyższym, gdy pracuje się na zbyt za granicą i nie obawia się już obcej konkurencyi. Natomiast w epoce przejściowej, którą przeżywają narody kontynentalne, w okresie powstawania przemysłu, taka wolność jest zabójcza, bo uniemożliwia postęp.

Szkoła historyczna nadała tym poglądom, raczej politycznym, charakter naukowy, stosując do badań ekonomicznych zasady ewolucyi dziejowej, wprowadzone już znacznie wcześniej w dziedzinę prawa. Przewodnią jej myślą jest twierdzenie, że gospodarstwo społeczne kształtuje się pod wpływem praw dziejowych, t. zn. jest wynikiem wypadkowej tych sił i czynników, które działały w dziejach narodu. Stąd też zjawiska gospodarcze są kategoryami historycznemi, których treść, kształt i doniosłość ulegają zmianom, odpowiednio do różnorodności wpływających na nie rzeczywistych stosunków. Abstrakcyjne przeto badanie problematów gospodarczych musi prowadzić do błędu; chcąc poznać istotę zjawisk gospodarczych, należy je ująć w historycznym ich rozwoju. Innemi słowy, zdaniem szkoły historycznej, niema w ekonomii żadnych bezwzględnych, wiecznych i niezmiennych pojęć, niema jednej nauki ekonomii dla wszystkich czasów, jest tylko nauka

gospodarstwa społecznego ściśle zastosowana do czasu i miejsca, co bynajmniej nie wyklucza zastosowania ogólniejszego jej wyników, gdyż wypadki dziejowe powtarzają się w różnych epokach i różnych krajach, a te same przyczyny wydają wszędzie te same skutki.

Socyalizm państwowy powstał siłą rzeczy ze szkoły historycznej, jako naturalna jej konsekwencya. Ponieważ stosunki gospodarcze są wynikiem rozwoju historycznego, a na dzieje narodów najsilniej oddziaływało państwo, przeto państwo było główną przyczyną naszego położenia ekonomicznego. O ile ono jest niekorzystne lub niewłaściwe, wina spada przedewszystkiem na państwo, z czego płynie etyczny obowiązek dla państwa naprawiania swych błędów i wynagrodzenia krzywd przez się zrządzonych. Do tego przybywa interes własny państwa, ponieważ dobrobyt społeczeństwa i zadowolenie obywateli podnosi potęgę państwową tak moralnie jak i materyalnie. Państwo przeto ma dość siły ażeby reformy przeprowadzić, jest do tego obowiązane etycznie, a wskazuje mu je także własny interes. — Oto rozumowanie i geneza socyalizmu z katedry. Przecenił on niewątpliwie bardzo znacznie istotną siłę państwa w dziedzinie gospodarczej, co się tłumaczy także i tem, że powstał w Niemczech w czasie, gdy po dwóch zwycięskich wojnach i utworzeniu cesarstwa, państwo było tam otoczone aureolą bezgranicznej niemal potęgi na każdem polu.

§. 4. Szkoła chrześcijańsko-socyalna.

Szkoła ta dzieli się na dwa odłamy, odpowiednio do różnic wyznaniowych, na szkołę katolicką, czyli szkołę demokracyi chrześcijańskiej i szkołę protestancką [1]).

[1]) Głównymi reprezentantami szkoły katolickiej są: biskup

§. 1. Szkoła katolicka, podobnie jak szkoła klasyczna, wierzy w istnienie praw naturalnych, panujących tak dobrze nad światem fizycznym, jak i nad zjawiskami społecznemi. Prawa te nazywa ona Opatrznościowemi, sądzi jednak, że złe użycie wolności ludzkiej może głęboko zaburzyć ich działalność i że rzeczywiście wskutek błędów ludzkich świat nie jest tem, czem być powinien i czem miał być z woli Bożej. W odróżnieniu od szkoły liberalnej, szkoła katolicka nie jest bynajmniej optymistyczną. Jej zdaniem obecny ustrój społeczny nietylko nie jest dobrym, lecz nawet nie zawiera w sobie czynników, któreby go skłaniały do naturalnego ulepszania się, gdyż nie można mieć żadnego zaufania do zasady wolności, a przynajmniej do tego, co szkoła katolicka nazywa liberalizmem, zawartego w haśle *laisser faire*, które nietylko nie przywróci harmonii i nie zapewni postępu, lecz wręcz przeciwnie jest główną przyczyną społecznego rozstroju.

Gwałtowna krytyka, z jaką się zwraca szkoła chrześcijańska przeciw panującej organizacyi, zjednała jej ze strony liberalnych ekonomistów nazwę katolickiego socyalizmu, sama jednak bardzo żywo się jej wypiera i zresztą oprócz pewnego pokrewieństwa w poglądach na niektóre kwestye społeczno-ekonomiczne, różni się od szkoły socyalistów *toto orbe*. Przedewszystkiem nie pragnie ona bynajmniej zniweczenia zasadniczych instytucyi naszego ustroju społecznego, jak prawa własności, dziedziczenia, płacy i t. d., lecz owszem pracuje nad przywróceniem ich i utrwaleniem [1]); następnie zaś nie wierzy w ewolucyę i w nieskończony postęp rodzaju ludzkiego, tak że nie

Ketteler, kardynał Manning, hr. de Mun, Decurtins, baron Vogelsang, Guérin, Cathrein, Brants i Toniolo.

[1]) Główny powód wszystkiego złego widzi szkoła katolicka w wolnej konkurencyi, a nie w indywidualnej własności. Pomimo tego, wierna tradycyom Kościoła, potępia ona pobieranie procentów od pożyczek, nazywając to lichwą.

tyle szuka swego ideału w przyszłości, ile raczej w powrocie do niektórych instytucyi przeszłości np. do pierwotnej rodziny [1]), do życia wiejskiego, do stowarzyszeń zawodowych, łączących przedsiębiorców z robotnikami. Nie mając zaufania ani do zasady równości ani do zasady wolności, szkoła chrześcijańska zamierza przywrócić pokój społeczny za pośrednictwem wpływu trzech powag: ojca w rodzinie, majstra w warsztacie, a Kościoła w państwie, ma się rozumieć pod warunkiem, że te trzy powagi znów ze swej strony będą wypełniały swe obowiązki.

W ogólności szkoła ta wcale się nie sprzeciwia interwencyi państwa, »które po Kościele jest pierwszym sługą Bożym w przestrzeganiu dobra«, lecz sama wzywa go stanowczo do zapewnienia spoczynku niedzielnego klasom pracującym, uregulowania warunków pracy podług zasad sprawiedliwości i t. d. i t. d. Pomimo tego istnieje pewien odłam szkoły katolickiej, równie nieprzyjazny interwencyi państwa jak szkole liberalnej, tak, że kwestya wpływu państwa wywołała w łonie szkoły katolickiej bardzo żywe spory.

Najcięższe zarzuty, które możnaby zrobić tej szkole, pomijając naturalnie wszystkie różnice polityczne i religijne, zebrał już dawno temu Stuart Mill, twierdząc, że niema przykładu, aby jakaś klasa, mając władzę w ręku, użyła jej na korzyść innych warstw społecznych. Dlatego też istnieje obawa, aby opieka klas rządzących, nawet gdyby się im kiedyś oddało zupełnie sprawę rozwiązania kwestyi socyalnej, nie stwierdziła ponownie tej bolesnej prawdy, którą Mill zaznaczył.

§. 2. Szkoła protestancka występuje z równą

[1]) Pierwotna rodzina »famille-souche« oznacza według szkoły Le Play'a dawniejszą rodzinę silnie i trwale zorganizowaną, tworzącą małą lecz stałą społeczność w łonie wielkiego społeczeństwa, w przeciwstawieniu do nietrwałej i ciągle rozpraszającej się rodziny, którą odznaczają się dzisiejsze społeczeństwa.

siłą przeciw dzisiejszym stosunkom, potępiając szczególniej konkurencyę i pogoń za zyskiem. Uważa ona własność za funkcyę społeczną i sądzi, że świat musi się zreformować radykalnie, ażeby zbliżył się do »Królestwa Bożego«. Szkoła protestancka pragnie zorganizować przemysł na zasadach demokratycznych, co odpowiada jej tradycyom wyznaniowym. Nie dąży więc do stowarzyszeń zawodowych, na wzór średniowiecznych cechów, które, jej zdaniem, przyczyniły się raczej do rozwinięcia egoizmu stanowego, lecz chciałaby nowy ustrój oprzeć na stowarzyszeniach współdzielczych. Natomiast nie zajmuje ona jasnego stanowiska w sprawie interwencyi państwowej i wogóle w szkole protestanckiej niema zgodności zapatrywań w całym szeregu najważniejszych kwestyi, podobnie zresztą jak w dziedzinie religijnej. Szkoła protestancka posiada w Niemczech charakter przeważnie konserwatywny i antysemicki, godząc się co do oceny wpływu państwa z socyalistami z katedry, w Anglii stoi na gruncie kooperacyi, okazując wielką życzliwość dla dążeń ku unarodowieniu ziemi, w Stanach Zjednoczonych wreszcie przejawiają się w niej wprost tendencye komunistyczne.

Kierunki chrześcijańskie, przedewszystkiem katolickie, zwane od encykliki Leona XIII. »Rerum novarum« 1891., demokracyą chrześcijańską, nie zajmują się teoryą ekonomii, lecz stawiają szereg postulatów dla poprawy obecnego ustroju gospodarczo-społecznego, w których chodzi o polepszenie bytu warstw ludowych, ekonomicznie słabszych, dotąd zaniedbanych i upośledzonych. Szkoła ta wychodzi z zupełnie słusznego zapatrywania, że w dziedzinie gospodarczej winny panować zasady etyki chrześcijańskiej, powszechnie przyjęte bez względu na poglądy wyznaniowe, że więc w ich duchu należy zreformować ustrój społeczny. Zadania tego mają się podjąć trzy czynniki, t. zn. państwo, Kościół i samo społeczeństwo. Samemu państwu niepodobna pozostawić

wyłącznego prawa i obowiązku akcyi na tem polu, gdyż najpierw państwo nie zawsze działa pod wpływem motywów etycznych, a powtóre jest ono właśnie w dziedzinie gospodarczej w wielu razach bezsilne. Głównym środkiem działalności państwa jest prawo, t. zn. nakaz i zakaz. Prawo jednak określa jedynie to minimum zasad etycznych, których przestrzeganie uważa państwo za niezbędne, a zarazem prawo da się niejednokrotnie obejść, do czego skłania jeszcze naturalny odruch opozycyjny, zwracający się przeciw przymusowi. Jeżeli prawo nie ma pozostać martwą literą, albo też jeżeli przestrzeganie odnośnych ustaw nie ma pociągnąć za sobą ciągłych sporów, lub nadmiernej, a tem samem kosztownej i szkodliwej kontroli, musi ludność, t. zn. indywidualna i społeczna opinia uznawać powszechnie konieczność i zbawienność wydanych przepisów, a nie stosować się do nich jedynie pod grozą kary i przymusu. Innemi słowy, w parze z akcyą państwa musi iść zrozumienie potrzeby reform społecznych, oparte na zasadach etyki chrześcijańskiej, a więc działalność Kościoła. Wreszcie konieczną jest samopomoc społeczna, wypływająca również z tych samych zasad i mająca uwzględniać przedewszystkiem miejscowe i indywidualne warunki, podczas gdy akcya kościelna i państwowa zajmuje się reformami natury ogólnej. Pokrewną temu kierunkowi jest szkoła etyczna, która również spodziewa się poprawy społeczeństwa po podniesieniu uczuć etycznych, lecz odrzucając tło religijne, staje na gruncie etyki czysto filozoficznej i żąda, ażeby jedynym jej rozsadnikiem było samo społeczeństwo, bez współudziału państwa i Kościoła. Szkoła ta liczy niewielką liczbę zwolenników w wykształconych sferach niemieckich, francuskich i angielskich.

Szkoły chrześcijańsko-socyalne nie zajęły w nauce

miejsca, któreby im się istotnie należało, głównie z powodu nieudolności, z jaką większa część zwolenników tych kierunków, przedstawia swe poglądy i broni swych zasad. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że zaakcentowanie doniosłości etyki w dziedzinie gospodarczej i zwrócenie uwagi na granice wpływu państwa stanowi wielki postęp, szczególniej wobec przesadnego wyobrażenia o potędze prawa, szerzonego przez socyalistów z katedry. Lecz chcąc sobie zdobyć stanowisko w nauce, należy bronić swych tez i zwalczać przeciwników argumentami naukowymi, rzeczowo udowodnionymi, a nie odwoływać się bezustannie do zdania jednego lub drugiego pisarza, choćby największego. Stwierdzenie, że tego samego zapatrywania jest któryś z ojców kościoła, lub, że na poparcie swego zdania można przytoczyć jakiś ustęp z Pisma świętego, nie dowodzi jeszcze niczego. Należało zacząć od dowodu, że dana teza jest ekonomicznie prawdziwą a jej przeprowadzenie leży w interesie społeczeństwa i potem wskazać, że na tem samem stanowisku stoi teologia, etyka i Kościół. Odwrotna metoda nie mogła prowadzić do celu, a ponieważ, pomijając nieliczne wyjątki, stosowano ją prawie powszechnie, więc też szkoły chrześcijańskie nie mogły w nauce liczyć na uznanie. Dopiero w ostatnich latach widać pewną zmianę na lepsze, więc też i nauka zaczyna się więcej liczyć z kierunkiem chrześcijańsko-socyalnym, przedewszystkiem katolickim.

§. 5. Szkoła współdzielcza czyli solidarności.

Zjawisko solidarności, t. zn. wzajemnej zależności ludzi od siebie, które przejawia się tak wyraźnie w podziale pracy, wymianie lub dziedziczności, dostrzeżono już dawno. Solidarność jednak uważano za prawo naturalne, działające bez pomocy ludzkiej, które bynajmniej nie jest

dla człowieka pomyślnem, gdyż solidarność złego, np. dziedziczność lub zakaźność chorób, pojawia się częściej niż solidarność dobrego, a więc n. p. zdrowia publicznego. Przytem zdawało się, że solidarność sprzeciwia się sprawiedliwości, w myśl której każdy odpowiada tylko za swe własne czyny.

Szkoła współdzielcza domaga się natomiast, ażeby solidarność stała się regułą postępowania, obowiązkiem. Wskazuje ona, że solidarność jako prawo naturalne sprawia, że każdy nasz czyn odbija się dodatnio lub ujemnie na bliźnich i na odwrót, że my odczuwamy również na sobie ich postępowanie, że więc odpowiedzialność nasza i ryzyko zwiększają się w olbrzymich rozmiarach. Powinniśmy dopomódz nędzarzom z dwóch powodów. Najpierw wiemy, że prawdopodobnie sami przyczyniliśmy się do ich nędzy prowadzeniem naszych przedsiębiorstw, robieniem zakupów lub przykładem, któryśmy im dawali — naszym o b o w i ą z k i e m przeto jest im pomagać; powtóre należy to uczynić w naszym własnym i n t e r e s i e, wiemy bowiem, że narażamy się na to, że my sami i nasze dzieci staną się ofiarami ich nieszczęść, gdyż ich choroby rozszerzą się i na nas, a ich zepsucie i nas zdemoralizuje.

Społeczeństwo więc winno się przemienić w jedno wielkie stowarzyszenie wzajemnej pomocy, w którem naturalna solidarność, kierowana dobrą wolą stałaby się sprawiedliwością, tak, że każdy przyjąłby udział w ciężarach drugich i korzystałby stosunkowo z ich zysków. Tym zaś którzy obawiają się zaniku lub zmiejszenia indywidualności pod panowaniem podobnego ustroju można odpowiedzieć, że indywidualność zaznacza się i rozwija się równie dobrze, skoro dopomaga się drugim, jak gdy pracuje się dla siebie [1]).

[1]) Leo Bourgeois stara się w swem dziele p. t. »Solidarność«, nadać powyższym poglądom ściślejszę formę jurydyczną. Na mocy milczącej umowy, powiada on, każdy człowiek rodzi się dłużnikiem społeczeństwa, ponieważ ma on udział w korzyściach społecznych, które są wynikiem pracy ogółu. Wskutek tego powinien on rozpocząć od spłacenia tego długu, przyczyniając się do ubezpieczeń, dobroczynności publicznej i do wszystkich innych danin i świadczeń, które się prawnie oznaczy. Wolność indywidualna i własność prywatna mają pozostać nienaruszone, pod warunkiem wypełnienia powyższych obowiązków.

To też w samej rzeczy szkoła współdzielcza zaleca takie stowarzyszenia. Bezwątpienia środek ten może się wydawać zbyt drobnym i nieodpowiednim wobec celu, do którego dąży. Lecz jeżeli się chce zreformować obecny ustrój społeczny, nie uciekając się do środków przymusowych w kształcie prawodawstwa, a tem mniej do gwałtu w kształcie rewolucyi, nie pozostaje nic innego, jak współdziałanie ludzi dobrej woli, to znaczy wolne stowarzyszenia. Należy także pamiętać, że współdziałanie jest przeciwieństwem współzawodnictwa, które pragnęlibyśmy uchylić; że kooperacya w swych wszystkich, nader rozmaitych formach, w produkcyi, kredycie, czy konsumcyi, dąży do zastąpienia antagonizmów (między przedsiębiorcą a robotnikiem, między dłużnikiem a wierzycielem, między wytwórcą a konsumentem) wspólnością interesów, że wreszcie przez to właśnie posiada ona wysoką zdolność do wykształcenia jednostek i całych klas w solidarności i do nauczenia ich poświęcania pewnych praw własnych na rzecz drugich. W końcu pamiętajmy i o tem, iż szkoła współdzielcza dąży do usunięcia pośredników, do zniesienia wynagrodzenia pracy w formie zapłaty, do ograniczenia udziału kapitału w zyskach, do powiększenia zakresu zbiorowej własności i zbiorowej oszczędności, co wszystko odpowiada życzeniom socyalizmu, a zarazem, że pragnie ona uregulować mechanizm ekonomiczny raczej w interesie konsumcyi niż produkcyi, co odpowiada znowu najnowszym badaniom współczesnej nauki.

Zresztą nie sprzeciwia się ona interwencyi państwa, jeżeli wydawaniem regulaminów pracy i ustaw o niezdro-

wych mieszkaniach albo o fałszowaniu środków żywności pragnie się zapobiedz upadkowi szerokich warstw ludności, albo też jeżeli zapomocą pewnych form przymusowych stowarzyszeń i przymusowej zapobiegliwości, czy też przez ograniczenie nadużywania własności, wpaja we wszystkie klasy ducha solidarności. Pamięta ona o tem, że państwo jest również wysoce wykształconą formą stowarzyszenia współdzielczego, wprawdzie przymusową, lecz solidarność nie wymaga koniecznie wolności, gdyż najczęściej powstaje bezwiednie i instynktownie, np. przez dziedziczność, lub podział pracy. Bezwątpienia solidarność nabiera wartości moralnej tylko o tyle, o ile jest świadomą i dobrowolną, ale właśnie dlatego solidarność prawem narzucona może być niezbędną, aby przygotować grunt, na którym później zakwitnie wolne stowarzyszenie.

Szkoła ta liczy dotąd więcej zwolenników pomiędzy filozofami i socyologami, niż między ekonomistami z zawodu, co tłumaczy się przedewszystkiem brakiem jasności i ścisłości w jej zasadach i programie. Należą do niej między innymi: Fouillée, Wundt, Secrétan, Dürkheim, Lilienfeld, Funck-Brentano, Mecznikow i t. d. [1]).

§. 6. Szkoła socyologiczno-biologiczna.

Szkoła socyologiczno-biologiczna, która posiada tak znakomitych przedstawicieli, jak Herbert Spencer w Anglii, Schaeffle w Niemczech, a de Greff w Belgii, asymiluje mniej lub więcej społeczeństwo ludzkie z innemi istotami żyjącemi i wskutek tego szuka wytłumaczenia faktów ekonomicznych i społecznych w prawach biologicznych.

Główne jej zasady są następujące:

a) Każdy organizm składa się z niezliczonych komórek, posiadających swe odrębne życie i swą indywidualność tak, że każda istota żyjąca jest w rzeczywistości tylko s t o w a r z y s z e n i e m milionów i miliardów — a zatem liczniejszem od największych społeczeństw ludzkich — jestestw nieskończenie drobnych, które, jak mówi Klaudyusz Bernard, »łączą się i pozostają odrębne, jak ludzie, trzymający się za ręce«.

b) Każda istota żyjąca podlega prawu f i z y o l o g i c z n e g o p o d z i a ł u p r a c y. Wprawdzie u jestestw najniższych wszystkie czynności organizmu są pomieszane w jedną niekształtną i jednolitą masę, lecz w miarę jak organizm się doskonali, różniczkują się rozmaite funkcye, jak odżywiania się, reprodukcyi, ruchu i t. d. i każda z nich rozporządza osobnem narzędziem tak, że doskonałość organizmu jest tem wyższą, im fizyologiczna praca jest więcej podzieloną.

c) Każda istota żyjąca jest siedzibą bezustannego ruchu na polu o b r o t u i w y m i a n y i to wymiany tak usług jak i materyi, bo ażeby każdy organ mógł spełnić, jak to właśnie widzieliśmy, swą właściwą funkcyę, muszą wszystkie inne narzędzia spełnić swe zadanie, nieodzowne do życia, a tem samem użyczają sobie nawzajem pomocy. Spencer np. mówi, »że klasa, która kupuje i odsprzedaje w wielkim lub małym handlu wytwory różnego rodzaju i która je w miarę potrzeby wszędzie rozdziela tysiącznemi drogami, spełnia to samo w społeczeństwie, co narząd krążenia w ciele żyjącem«.

d) Nawet k r e d y t jest równie niezbędnym istotom żyjącym, jak ustrojowi społecznemu. »Jeżeli jakiś organ ciała zwierzęcego lub też politycznego, mówi znowu Spencer, ma nagle coś wielkiego dokonać, musi otrzymać naddatek środków, które działając zużywa, musi więc mieć otwarty kredyt ze względu na funkcyę, którą ma spełnić. W organizmie indywidualnym służy ku temu narząd nerwowy, który ściągając lekko żyłki części bezczynnych i zmniejszając tym sposobem napływ krwi tam, gdzie jej

[1]) Z pomiędzy znaczniejszych ekonomistów zaliczają się tutaj w pewnej mierze Brentano w Niemczech i Rabbeno we Włoszech. *(Przyp. tłum.).*

potrzeba nie daje się tak uczuć, dozwala zwiększyć jej ilość tam, gdzie jest niezbędną«.

K. Menger widzi w tem tylko analogię, którą można wprawdzie użyć z pożytkiem w wykładzie, które jednak nie może stanowić metody badania. Jeszcze więcej stanowczo potępił ten kierunek jeden z najznakomitszych socyologów, Tarde, oświadczając, że nauka socyologiczna zacznie się dopiero rozwijać w dniu, w którym się zerwie ostatecznie nić, łączącą ją z biologią.

§. 7. Szkoła psychologiczna czyli austryacka.

Szkołę psychologiczną nazywają także austryacką, bo zawdzięcza swe powstanie profesorowi uniwersytetu wiedeńskiego Karolowi Mengerowi i najpierw rozszerzyła się na niemieckich uniwersytetach monarchii austryackiej, gdzie też i dzisiaj liczy najwybitniejszych reprezentantów. Stanowi ona powrót do badań teoretycznych w przeciwstawieniu do kierunku historycznego i o tyle zbliża się do dawniejszej szkoły klasycznej, różni się jednak od niej zasadniczo dwiema przewodniemi myślami. Przedewszystkiem podczas gdy, zdaniem szkoły liberalnej, jedynym motywem działania ludzkiego miał być materyalny interes jednostki, szkoła psychologiczna stawia zasadę, że gospodarujemy dla zaspokojenia wszystkich naszych potrzeb, z których najważniejszą jest ta, która w danej chwili i u danej jednostki z największą występuje siłą. Wskutek tego w miarę położenia i rzeczywistego nastroju psychicznego względy moralne, społeczne, altruistyczne, lub jakiekolwiek inne mogą przeważyć nad interesem materyalnym. Przy badaniu istoty zjawisk gospodarczych, należy więc oprzeć się na rozpoznaniu wszystkich psychicznych motywów naszego działania, a ponieważ mają one charakter czysto podmiotowy, przeto i zjawiska gospodarcze

musimy rozpatrywać ze stanowiska subjektywnego. Objektywne ich ujęcie ma znaczenie jedynie pewnego przecięcia, pewnej prawidłowości, polegającej na tem, że poglądy podmiotowe są do siebie zbliżone, dzięki jednolitości warunków, w których się wyrabiają. Powtóre, jak to już wynika z poprzednich wywodów, szkoła psychologiczna za główny czynnik całego gospodarstwa uważa człowieka wraz z jego dążeniami, za główny cel, osiągnienie przez niego zakreślonego celu, za główne prawo ekonomiczne, jego poglądy, wpływające na jego wolę z taką siłą, że przystępuje on do działania w dziedzinie gospodarczej. Tymczasem według klasyków decydującym dla gospodarstwa był materyalny rezultat, t. zn. zapas dóbr znajdujący się w społeczeństwie, a sprężynę kierującą stanowiły niezmienne prawa przyrody. Krótko można powiedzieć, że zdaniem szkoły liberalnej osią gospodarstwa jest przyroda, która dyktuje prawa człowiekowi, zdaniem szkoły psychologicznej natomiast osią jest wola człowieka, objawiająca się w ekonomicznem działaniu dla zaspokojenia jego potrzeb.

Szkoła psychologiczna, posiadająca dzisiaj licznych zwolenników we wszystkich krajach, położyła bardzo wielkie zasługi około nauki, poddając ponownej rewizyi teorye, postawione przez szkołę liberalną. Mimo całej swej opozycyi przeciwko ekonomii klasycznej, historycy przyjęli mniej więcej w całości jej określenia istoty poszczególnych zjawisk i pojęć gospodarczych, poprzestając na zaznaczeniu, że mają one jedynie charakter kategoryi historycznych. Dopiero uczeni kierunku psychologicznego, Menger, Böhm-Bawerk, Dietzel, Wieser, Schwiedland, Sax, Walras, Stanley-Jevons, Marshall i w. in., wprowadzili teoryę ekonomii na nowe tory. Zawdzięczamy im głównie zbadanie istoty i funkcyi najważniejszych zjawisk

i czynników gospodarczych, mianowicie przedewszystkiem wartości i ceny, a dalej dobra, kapitału, procentu od kapitału i renty. Natomiast w dziedzinie polityki szkoła psychologiczna nie zaznaczyła się niczem. Najlepsze przedstawienie całokształtu zapatrywań tej szkoły znajduje się w dziełach Marshalla p. t. »Elements of Economics Industry« 1899. i »Principles of Economics« 1898.

VI.

Potrzeby ludzkie.

Potrzeby ludzkie są właściwym powodem gospodarczego działania, a tem samem stanowią punkt wyjścia nauki ekonomii.

W samej rzeczy każda istota, mając się rozwinąć i swój cel osiągnąć, odczuwa potrzebę pewnej pomocy od świata zewnętrznego. Konieczność takiej pomocy wzmaga się w miarę wzrostu indywidualności jestestw, począwszy od rośliny lub nawet nieorganicznego atomu, skończywszy na człowieku. Człowiek musi pożądać przedmiotów zewnętrznych, bo nabycie ich sprawia mu pewne zadowolenie, ich brak pewne cierpienie, tak, że każdej potrzebie odpowiada pewne pragnienie, a raczej, że są to tylko dwa określenia jednego i tego samego pojęcia, z których jedno jest pozytywne, drugie negatywne.

O ile nam wogóle wiadomo, wszystkie istoty mają tylko takie potrzeby, które odpowiadają ich naturze i ich przeznaczeniu, a instynkt w tym kierunku nie jest wprawdzie nieomylnym, lecz w każdym razie dość pewnym przewodnikiem. Tylko człowiek stanowi tu wyjątek, gdyż tylko on sam ma, jak to mówią, tę zaletę, że pije, nie mając pragnienia. Stąd pochodzi podział na potrzeby naturalne, a raczej normalne, i potrzeby sztuczne, czyli szkodliwe, t. j. na potrzeby, których zaspokojenie jest korzystne i na takie, które przeszkadzają rozwojowi fizycznemu, intelektualnemu lub moralnemu i szkodzą dobrobytowi w właściwem i głębszem tego słowa znaczeniu.

Zwolennicy szkoły klasycznej twierdzą, że to rozróżnienie nie wchodzi w zakres ekonomii, tylko etyki. A przecież podział ten ma wielkie znaczenie nawet dla polityki ekonomicznej, np. jeżeli chodzi o oznaczenie normalnej zapłaty t. j. wynagrodzenia wystarczającego na zaspokojenie odpowiednich potrzeb robotnika, albo o popieranie w danym kraju użytecznych gałęzi przemysłu, t. zn. takich, które jakością swych wytworów przyczyniają się do rozkwitu narodowego; wreszcie gdy wypadnie nałożyć czy też uchylić podatki od niektórych artykułów spożywczych, np. spirytusu lub wina. Na te pytania odpowiada hygiena publiczna i miejska, która się tak szybko i szczęśliwie rozwija we wszystkich krajach cywilizowanych.

Ten »dobrobyt«, który jest celem zaspokojenia wszystkich potrzeb i ostateczną przyczyną całej gospodarczej działalności, jest pojęciem bardzo skomplikowanem, gdyż zależy nietylko od licznych warunków fizycznych, ale także od wielu warunków moralnych. Dobrobyt nie polega wyłącznie na dobrem odżywianiu się, ubraniu i mieszkaniu, na starannem pielęgnowaniu w razie choroby, lub na utrzymaniu ciepła w zimie a chłodu w lecie, ale także, np. na braku troski o przyszłość.

Lecz największem dobrem dla człowieka, tem dobrem, do którego przedewszystkiem się dąży, nie jest może tyle dobrobyt w zwykłem tego słowa znaczeniu, ile władza, t. j. wyższość nad innymi. Jeżeli się kiedykolwiek pożądało tak gwałtownie i gorąco niektórych rodzajów dóbr, np. dawniej ziemi, dzisiaj pieniędzy, to tylko dlatego, że one w wyższym jeszcze stopniu od innych, nadają swym posiadaczom przewagę i władzę nad innymi ludźmi.

Niektórzy ekonomiści twierdzą, że to pragnienie wyż-

szości było i pozostanie najpotężniejszym czynnikiem inicyatywy indywidualnej. Nie przecząc, że to uczucie rdzennie indywidualne mogło za panowania walki o byt stanowić bardzo ważny czynnik postępu, musimy jednak życzyć sobie, aby ono słabło coraz więcej i ustępowało powolnie miejsca uczuciu wręcz przeciwnemu: dobrowolnej i coraz ściślejszej solidarności wszystkich ludzi. O ile jest rozumnem dążyć do dobrobytu, o tyle pragnienie wyjątkowo korzystnego położenia jest zupełnie nieuzasadnionem, a natura szlachetna nie zna dobrobytu indywidualnego bez dobrobytu innych i to nietylko najbliższych, lecz wszystkich współobywateli i wogóle całej ludzkości.

Potrzeby ludzkie odznaczają się następującemi właściwościami, posiadającemi wielką doniosłość ekonomiczną:

1. Potrzeby są nieograniczone co do swej liczby, bo w miarę postępu cywilizacyi zwiększa się ich ilość, a każda nowa myśl tworzy nową potrzebę.

Potrzeby całej ludzkości można porównać z potrzebami dziecka. Zaraz po urodzeniu nie potrzeba mu nic więcej, jak tylko trochę mleka i ciepłego okrycia. Powoli jednak pożywienie staje się coraz różnorodniejszem, rodzaje odzieży się mnożą, a także i zabawki stają się niezbędnemi; słowem z każdym rokiem powstają jakieś potrzeby i rodzi się coraz to nowsze pragnienie. Im więcej widzimy, tem więcej wiadomości nabywamy, tem więcej obudza się nasza ciekawość i o tyle też więcej rosną i mnożą się nasze pragnienia. Tak samo rzecz się ma i z nami. Weźmy np. tysiące potrzeb komfortu, hygieny, czystości, wykształcenia, podróży i korespondencyi — wielu z nich nasi przodkowie nie znali, a możemy być pewni, że nasi następcy będą ich mieli jeszcze więcej. A gdybyśmy mogli poznać na jakimś płanecie istotę, wyższą jeszcze od człowieka, to z pewnością odkrylibyśmy w niej nieskończoność potrzeb takich, o których my na tym świecie nawet pojęcia nie mamy. Cywilizować jaki naród, nie

co innego oznacza, jak tylko wzbudzać w nim poczucie nowych potrzeb.

Łatwo zrozumieć, dlaczego potrzeby ludzkie dążą do ustawicznego rozwoju. Oto najpierw pewna potrzeba zaczyna się budzić u jednego człowieka, albo u niewielkiej liczby — naturalnie u takich, którzy mając zapewniony dobrobyt, nietylko są w stanie zaspokoić obficie potrzeby niezbędne do życia, lecz także zwracają swe oczy ku nowym horyzontom. Każda potrzeba jest wynikiem nowej myśli, można powiedzieć wynalazku [1]). Lecz człowiek jest przedewszystkiem istotą naśladującą, a naśladownictwo rozszerza natychmiast potrzeby, które jak epidemia przechodzą od jednego do drugiego. Wszyscy zaczynają je odczuwać, albo przynajmniej tak im się zdaje i silą się na wynalezienie środków zaspokojenia. I w miarę tego, jak postęp przemysłu łatwiej i taniej pozwala nam dostać tych rzeczy, tem szybciej powiększa się liczba naśladowców i to, co z początku było kaprysem i zbytkiem wyłącznie ludzi majętnych, niebawem staje się potrzebą najniższych warstw społecznych [2]).

Z drugiej znów strony potrzeby nietylko się rozsze-

---

[1]) Zwyczajnie twierdzimy wręcz przeciwnie, że potrzeba jest matką wynalazków, t. zn. prowadzi do nowych odkryć. Tymczasem wystarczy zastanowić się, aby dojść do przekonania, że dzieje się wprost odwrotnie. Przecież tytoniu nie odkryto wskutek potrzeby palenia, ani też różnych gorących napojów wskutek potrzeby alkoholizmu. Wprawdzie głód, zimno lub strach może popchnąć do szukania odpowiednich środków, lecz pewnego przedmiotu pragniemy dopiero wtedy, gdyśmy odkryli jego właściwość. To też słusznie powiada Tarde (*Logique sociale* rozdział VIII), że pierwotną przyczyną każdego gospodarczego pragnienia jest jakiś wynalazek. Nawet potrzeba ugaszenia pragnienia szklanką wody, a nie wypiciem wody z dłoni, jest wypływem licznych wynalazków.

[2]) Tarde przyjmuje tylko jedno naturalne prawo socyologiczne, prawo naśladownictwa, gdyż dla niego przyzwyczajenie jest naśladowaniem samego siebie, a dziedziczność naśladownictwem biologicznem. Wskutek tego wszelkie podobieństwo zjawisk społecznych polegałoby na naśladownictwie.

rzają, lecz także wnikają w głąb natury ludzkiej. Człowiek bowiem nietylko jest istotą naśladującą, lecz także przyzwyczaja się łatwo, a pragnienie raz odczute i zaspakajane regularnie, powoli utrwala się i zakorzenia, tak, że potem nie można się go pozbyć bez głębokiego wstrząśnienia, a w końcu staje się, jak słusznie powiada znane przysłowie, drugą naturą. Ma to wielką doniosłość dla oznaczenia wynagrodzenia pracy. Był czas, kiedy robotnicy nie nosili ani bielizny ani obuwia, kiedy nie pijali kawy, nie palili tytoniu, nie jedli mięsa ani chleba białego; dzisiaj potrzeby te do tego stopnia się przyjęły, że gdyby robotnik nie był w stanie ich zaspokoić i gdyby znalazł się nagle w podobnych warunkach, w jakich żyli jemu równi za czasów Ludwika Świętego lub Henryka IV, to bez wątpienia musiałby zginąć.

Jeżeli w końcu dodamy, że przyzwyczajenie, przechodząc przez szereg pokoleń, utrwala się przez dziedziczność, że zmysły stają się coraz delikatniejsze i bardziej wymagające, to zrozumiemy, do jak despotycznej władzy dojść może z biegiem czasu każda potrzeba, która z początku zdawała się błahą i mało znaczącą.

Znaczna część moralistów, która się rekrutuje w najrozmaitszych obozach — cynicy, jak Dyogenes ze swoją beczką, stoicy i chrześcijanie, mniej lub więcej ascetyczni — uważa tę ewolucyę za zgubną, tak ze względu na spokój społeczny, jak i ze stanowiska szczęścia jednostek. Uczą oni, a doktrynę tę starożytność stawiała bardzo wysoko, że nie należy się starać o zwiększenie bogactwa lecz o zmniejszenie potrzeb, że tylko ten jest szczęśliwy, kto może powiedzieć wraz z mędrcem: *Mecum omnia porto.* Natomiast, jeżeli z chwilą zaspokojenia jednej potrzeby powstaje natychmiast druga, człowiek dąży do celu, który ciągle przed nim ucieka i nie znajdzie nigdy szczęścia i spokoju. Jako przykład można tu przytoczyć stan duszy naszych klas robotniczych, u których w miarę wzmagania się dobrobytu rośnie zawiść i rozdrażnienie. Doktryna ta jest szlachetną, ale płynie bezsprzecznie z pomieszania pojęć, gdyż przypuszcza, że gdy naród będzie miał mniej potrzeb, poświęci więcej czasu i sił bezinteresownej umysłowej pracy albo wewnętrznemu życiu; tymczasem doświadczenie dowodzi, że dzieje się wprost przeciwnie, że najgorsze instynkty dostrzegamy u ludów, odczuwających najmniej potrzeb. Nie chodzi więc nigdy o uchylenie potrzeb, lecz tylko o zmianę potrzeb brutalnych i nizkich na inne, wyższego rzędu.

Co więcej należy pamiętać, że nawet z punktu widzenia moralnego, każda nowa potrzeba zawiązuje jeden węzeł więcej między ludźmi i przez to potęguje uczucie solidarności, co dla nas jest kryteryum postępu. Człowiek nie mający potrzeb, jak anachoreta, wystarcza sobie samemu, a to jest właśnie niewłaściwem. Co się tyczy warstw robotniczych, to jest to bardzo korzystnem, że dręczą je coraz nowe potrzeby i pragnienia, inaczej bowiem pozostałyby one w wiecznej niewoli.

2. Potrzeby są ograniczone co do swego rozmiaru o tyle, że na zaspokojenie którejkolwiek z nich wystarcza pewna ilość jakiegoś przedmiotu. Jasną jest rzeczą, że człowiek potrzebuje tylko pewnej ilości chleba, aby się nasycić, lub pewnej ilości wody, aby ukoić swe pragnienie.

Ale jest jeszcze i coś więcej. W miarę zaspokajania zmniejsza się siła każdej potrzeby, tak, że wreszcie dochodzimy do sytości; to znaczy do tego punktu, w którym potrzeba gaśnie i przechodzi w niesmak albo cierpienie. Cierpieć z braku wody jest jedną z największych męczarń, lecz w średnich wiekach jedną z najstraszniejszych tortur była tortura wody, polegająca na wlewaniu przemocą wody do żołądka męczonego.

Im potrzeba jest naturalniejszą, to znaczy, bardziej fizyologiczną, tem wyraźniejszą jest jej granica. To też z łatwością można oznaczyć, ile gramów chleba lub centylitrów wody człowiekowi potrzeba i wystarcza. Z dru-

giej znowu strony, im więcej potrzeba jest sztuczną, to znaczy, społeczną, tem bardziej elastyczną jest jej granica. Stąd też trudno jest powiedzieć, ile koni potrzebuje sportsman, ile metrów koronki światowa kobieta, ile rubinów książę indyjski, a przedewszystkiem, ile złota i srebra cywilizowany człowiek jakiegokolwiek kraju, tak, ażeby tę ilość uważali za wystarczającą i nie pragnęli już jej powiększyć. Pomimo tego nawet tutaj jest pewna granica, poza którą następuje już przesyt, w każdym zaś razie z każdym nowym przedmiotem, dodanym do tych, które się już posiada, zmniejsza się przyjemność, wywołana jego uzyskaniem, nader szybko [1]).

Zresztą rozmiar potrzeb jest tem więcej ograniczony, im są one liczniejsze i różnorodniejsze, tak, że oba te prawa psychologiczne stanowią właściwie tylko jedno, uzupełniając się nawzajem. Nasi nowocześni bohaterowie mają daleko mniejszy apetyt niż homerowscy, ale zato ich pożywienie jest znacznie więcej urozmaicone. Nasze gospodynie nie obciążają swoich stołów taką ilością srebra, jak ich prababki, ale za to ubierają je daleko większą ilością porcelany, kwiatów, świec i kryształów.

3. Potrzeby rywalizują ze sobą i są pomiędzy sobą wymienne, t. zn. że najczęściej jedna potrzeba może się rozwinąć tylko kosztem innych, które absorbuje lub uchyla, a zarazem, że jedną potrzebę można zastąpić inną. Stwierdzono w licznych krajach, ze pewne upodobania oddziaływały nader niekorzystnie że odbyt artykułów, przeznaczonych na rzecz zupełnie innych potrzeb, tak n. p. rozszerzenie się rowerów i automobilów miało

[1]) Najmniej widocznem jest to przy pieniądzu, albowiem pieniądz jest jedynem dobrem, które nie pokrywa jednej oznaczonej potrzeby, lecz zaspakaja je wszystkie. Wskutek tego przestajemy pragnąć pieniędzy dopiero wtedy, gdy wszystkie potrzeby są już zaspokojone. t. zn. prawie nigdy. Pomimo tego nie ulega wątpliwości, że n. p. 10 złr. przynosi ubogiemu znacznie więcej przyjemności niż milionerowi.

zmiejszyć odbyt fortepianów. Tą zastępowalnością potrzeb posługujemy się niejednokrotnie w celach hygienicznych i etycznych, wypierając potrzeby, odpowiadające instynktom nizkim, potrzebami szlachetniejszemi. I tak towarzystwa wstrzemięźliwości zwalczają alkoholizm kawiarniami wstrzemięźliwości, w których publiczność przyzwyczaja się do kawy i herbaty; w miejsce potrzeby materyalnej wchodzi intellektualna lub etyczna, gdy zamiast do piwiarni idzie się do czytelni, albo gdy robotnik wyrzeka się wydatku na kawiarnię, aby uiścić wkładkę w swem stowarzyszeniu zawodowem.

4. Potrzeby uzupełniają się nawzajem tak, że zupełne zaspokojenie jednej z nich osiąga się tylko wtedy, gdy pokryje się równocześnie jeszcze inne potrzeby dodatkowe. Człowiek cywilizowany potrzebuje do zaspokojenia głodu całego szeregu przedmiotów, służących jego wymogom wygody, estetyki i t. p.; chcąc zabezpieczyć się od zimna, należy mieć nietylko ciepłe okrycie, lecz także nie odczuwać głodu i t. d.

W nauce gospodarstwa społecznego uwzględnia się potrzeby tylko o tyle, o ile stanowią przyczynę zjawisk gospodarczych. Potrzeba przeto ze stanowiska ekonomicznego istnieje dopiero z chwilą, gdy wyrażające ją uczucie braku jest tak silne, że powoduje jakąś gospodarczą czynność. Człowiek odczuwający potrzebę może zachować się wobec niej w czworaki sposób; 1) może ją zaspokoić bezwiednie n. p. oddechając; 2) może dążyć świadomie do jej zaspokojenia produkując, nabywając lub konsumując odpowiednie dobra; 3) może odmówić jej pokrycia albo chwilowo, n. p. z braku środków, albo 4) zasadniczo i stale, gdy uznaje, że zaspokojenie jej jest niemożliwe lub niewłaściwe. Bezwiedne zaspokojenie odbiera potrzebie wszelkie znaczenie ekonomiczne, tak samo zasadnicza odmowa pokrycia, jeżeli jest albo dobrowolna (n. p. gdy uważa się je za szkodliwe,)

albo gdy powstaje wskutek niemożliwości zaspokojenia, którą uznaje się za słuszną i sprawiedliwą. Zachodzi to w razie niemożliwości uważanej za objektywną, t. j. gdy przypuszcza się, że wszyscy są w tem samem położeniu, albo też w razach niemożliwości indywidualnej, o ile nie odczuwa się przez to pokrzywdzenia. Natomiast wszystkie potrzeby, którym przyznajemy prawo do zaspokojenia, choćbyśmy na razie ich nie pokrywali, mają doniosłość gospodarczą.

Cztery można odróżnić źródła czyli przyczyny potrzeb ekonomicznych: organizm ludzki, świat zewnętrzny, zajęcie gospodarcze i społeczeństwo. Potrzeby płynące z naszego organizmu i warunków przyrodniczych, w których żyjemy (n. p. klimat) mają charakter objektywny, t. zn. że ktokolwiek żyje w tych stosunkach, powinien zaspokoić takie same potrzeby dla utrzymania swego bytu w odpowiednim stanie. Może on tych potrzeb nie odczuwać, mimo to istnieją one i brak pokrycia wywołuje pewne niekorzystne skutki. Wskutek tego można tu postawić normy ogólne, choćby przymusowe drogą ustawodawstwa n. p. w dziedzinie hygieny. Potrzeby wypływające z gospodarstwa można podzielić na osobiste i ściśle gospodarcze. Pierwsze są podobne do potrzeb, powstających pod wpływem świata zewnętrznego, gdyż rodzaj zajęcia oddziaływa na człowieka niekiedy tak, jak jakiekolwiek okoliczności przyrodnicze (n. p. produkcya artykułów szkodliwych zdrowiu) i wskutek tego można je oznaczyć objektywnie i określić minimum niezbędnego ich zaspokojenia. Potrzeby ściśle gospodarcze są właściwie kosztami produkcyi i powstają tylko dlatego, że pragniemy utrzymać i prowadzić nadal gospodarstwo, co nie da się uskutecznić bez ich pokrycia. Jeżeli więc gospodarujemy jedynie w celach materyalnych, dla uzyskania dochodu, rozmiar ich oznacza się warunkami techniki i rezultatem ekono-

micznym, jeżeli natomiast do interesu gospodarczego dołącza się upodobanie (artyści, uczeni, wynalazcy i t. p.) potrzeby te nabierają charakteru indywidualnego, a wielkość ich zależy już od podmiotowych poglądów i pragnień gospodarza. Pod wpływem społeczeństwa powstają potrzeby w trojaki sposób. Przedewszystkiem społeczeństwo narzuca nowe potrzeby, bo domaga się środków na swe utrzymanie; powtóre rozszerza nasze pragnienia, bo korzystając z doświadczenia innych, poznajemy i naśladujemy potrzeby, których nie znaliśmy poprzednio; wreszcie społeczeństwo umożliwia zaspokojenie potrzeb, których nie zaspokajało się przedtem, uważając za niemożliwe uzyskanie na nie odpowiednich środków, gdyż nie jesteśmy już ograniczeni na rezultaty własnych tylko sił i zarobku (n. p. szybka komunikacya, bezpieczeństwo prawne). W końcu należy jeszcze zaznaczyć, że w społeczeństwie istnieją prócz tego potrzeby klasowe, odczuwane przez najzamożniejszą warstwę społeczną. Powstają one pod wpływem dążenia do jak najlepszego wyzyskania swych zasobów dla własnego szczęścia, jakoteż wskutek chęci odróżnienia się od innych, płynącej z miłości własnej. Potrzeby klasowe przejawiają się albo jako nowe potrzeby, nieznane w innych kołach ludności, albo jako odmienne pokrywanie powszechnie istniejących potrzeb. Początkowo powstają u tych, którym, po zaspokojeniu wszystkich pragnień, pozostaje jeszcze niezużyta nadwyżka materyalnych środków. Później w całej klasie ludności, stanowiącej jedną warstwę społeczną, uważa się je za niezbędne, tak, że zaspokaja się je na równi, a często i przed potrzebami innemi, choćby na niektóre z tamtych nie starczyło już pokrycia. Wskutek naśladownictwa i demokratyzacyi, potrzeby klasowe stają się po pewnym czasie ogólno-społecznemi, poczem w klasie najzamożniejszej budzą się nowe

pragnienia, właśnie dlatego, że dawniejsze przeszły już do warstw innych, tak, że potrzeby klasowe bezustannie się upowszechniają i znowu tworzą. W ten sposób najzamożniejsza część ludności wpływa na ciągłe powstawanie i rozszerzanie się potrzeb w całem społeczeństwie.

Potrzeby dadzą się podzielić na pewne r o d z a j e (n. p. potrzeba pożywienia, mieszkania itd.), a w obrębie tych rodzajów występują z rozmaitą s i ł ą, czyli w rozmaitym s t o p n i u, w miarę tego, czyśmy już tę potrzebę częściowo zaspokoili, czy też jest ona zupełnie niepokrytą. Tak n. p. innym będzie stopień głodu, gdy się pozostawało kilka dni, a innym, gdy tylko kilka godzin bez pożywienia. Rodzaj potrzeb ma tylko o tyle znaczenie, że najwyższy stopień potrzeby rodzajowo ważniejszej objawia się z większą siłą niż najwyższy stopień potrzeby rodzajowo niższej, n. p. zupełny brak pożywienia odczuwa się więcej niż zupełny brak mieszkania. Niższe stopnie jednak mogą w danej chwili działać potężniej u potrzeby mniej ważnej, niż niższe stopnie potrzeby gatunkowo wyższej, i tem się tłumaczy, że czasami zaspokajamy potrzebę zbytkowną, a pomijamy użyteczniejszą, n. p. idziemy do teatru zamiast kupić jakąś część odzienia — bo ubranie już posiadamy, t. zn. ta ważniejsza potrzeba jest częściowo zaspokojona, a zbytkowną odczuwamy z całą siłą. Właśnie dlatego dla gospodarstwa społecznego główne znaczenie posiada i n t e n z y w n o ś ć, z którą objawiają się potrzeby, a nie ich rodzaj, jakkolwiek jest rzeczą polityki ekonomicznej, aby potrzeby rodzajowo ważniejsze występowały zawsze z dostateczną siłą. Prócz tego odróżniamy potrzeby t e r a ź n i e j s z e i p r z y s z ł e, w miarę tego, czy już obecnie je odczuwamy, czy też tylko przypuszczamy, że one objawią się w przyszłości. Potrzeby teraźniejsze występują zawsze z większą siłą, niż takie same potrzeby przyszłe i tem się tłumaczą takie zjawiska, jak lekkomyślność, marnotrawstwo lub lichwa, przy których dla chwilowych wrażeń poświęca się niejednokrotnie najważniejsze sprawy przyszłości. W każdym jednak razie uwzględniamy w gospodarstwie także potrzeby przyszłe i porównywamy je z obecnemi; inaczej nie mogłoby być mowy o oszczędzaniu i kapitalizacyi.

VII.

Środki służące naszym potrzebom.

Powiedzieliśmy już, że każda istota musi otrzymywać z zewnątrz pewne przedmioty, które w ekonomii politycznej nazywają się zwyczajnie d o b r a m i.

Ta nazwa pozostawia jednak wiele do życzenia co do swej jasności. Najpierw w codziennem życiu wyraz dobro jest synonimem m a j ą t k u, wydaje się więc dziwnem nazywać »d o b r e m« kawałek chleba; a przecież jest to zupełnie ścisłe i właściwe, jeżeli za dobro uważamy wszystko, co tylko może służyć do zaspokojenia jakiejkolwiek potrzeby ludzkiej.

Nadto wyraz dobro, w codziennem życiu mieści w sobie zawsze pojęcie »w a r t o ś c i«, tak, że dobro bez wartości wydaje się nonsensem. A przecież nie brak rzeczy, zaspakajających doskonale potrzeby codzienne, przemysłowe lub artystyczne tak jednostek jak i całych narodów, n. p. zdrowe powietrze, miły klimat, wielka sieć spławnych rzek, wodospady służące jako motory, nawet zabytki, muzea, jak Panteon lub Louvre — które pomimo tego nie posiadają żadnej wartości targowej. Jakież więc nadać im miano?

Lecz co gorsza, pojęcie zaspokojenia potrzeb nietylko

nie łączy się z pojęciem wartości, lecz wręcz przeciwnie jest z nim nawet sprzecznem, gdyż jak zobaczymy dalej, pojęcie wartości mieści w sobie uznanie pewnej trudności w zaspokojeniu naszych potrzeb, a znika, jeżeli tej trudności niema. Żadna rzecz nie jest właściwszą do zaspokojenia potrzeb ludzkich od wody, a przecież nie posiada ona żadnej wartości i wydaje się nierozsądnem nazywać ją dobrem. I gdyby za uderzeniem różczki czarodziejskiej, albo po prostu dzięki nieograniczonemu postępowi nauki, wszystkie przedmioty znalazły się w takiej obfitości jak woda źródlana i wskutek tego straciły wszelką wartość, gdyby ludzie, chcąc zadowolnić swe życzenia, potrzebowali tylko czerpać do woli — cóż w takim razie mielibyśmy powiedzieć: czy twierdzić, że dobra są nieprzebrane, czy też, że niema ich wcale? W końcu, wyraz dobro, zdaje się ściśle łączyć z czemś materyalnem; dobro jest to coś, co się da zważyć, wymierzyć lub gromadzić. Tymczasem, chcąc zaspokoić swe potrzeby, nie uciekamy się jedynie do rzeczy; korzystamy także, i to w bardzo szerokiej mierze, z usług innych ludzi. Człowiek posługuje się co najmniej w równym stopniu ludźmi, jak przedmiotami. Jakżeż więc nazwiemy te czynności ludzkie, które przyczyniają się tak skutecznie do zaspokajania naszych potrzeb, jak n. p. recepta doktora, wyrok sędziego, wykład profesora, czynność żandarma, gra aktora? Czy uznamy je także za »dobra?« Wielu ekonomistów postąpiło w ten sposób, ale daleko większa liczba sprzeciwiła się temu, nie chcąc zadawać gwałtu duchowi języka.

Kwestya ta jest więc wielce kłopotliwą. Ale nie należy nadawać jej zbyt wielkiej wagi, bo ostatecznie idzie tu tylko o słowa, jest to po prostu kwestya terminologii. Aby spór załagodzić, możnaby w braku właściwego wyrazu technicznego oznaczyć te trzy kategorye przedmiotów, na które właśnie co wskazaliśmy, trzema odmiennemi nazwami, a mianowicie:

Dobrem gospodarczem nazwać wszystkie przedmioty materyalne, posiadające tak wartość zamienną *(res)* jak i zdolność zaspokojenia naszych potrzeb;

Dobrem wolnem *(bona)* wszystkie przedmioty materyalne, nie mające wprawdzie wartości zamiennej, lecz zdolne do zaspokojenia naszych potrzeb;

Usługą, każdy wypływ działalności ludzkiej, mający wartość zamienną i zdolny do zaspokojenia naszych potrzeb.

Lecz ponieważ pierwsza kategorya jest bezsprzecznie najważniejszą, przeto w dalszym ciągu będziemy używać najczęściej wyrazu dobro na oznaczenie tak usług jak i dóbr wolnych lub gospodarczych.

W kwestyi środków, służących na zaspokojenie potrzeb ludzkich, dodajemy jeszcze następujące uwagi. Wszystko, co zdaniem gospodarza służy na zaspokojenie jego potrzeb, choćby w rzeczywistości było zupełnie bezużytecznem, nazywamy przedmiotem gospodarczym, wskutek tego przyznanie czemukolwiek charakteru przedmiotu gospodarczego zależy w zasadzie wyłącznie od podmiotowego zapatrywania istoty czy też ciała społecznego, które w danej chwili ten charakter nadaje. Dlatego n. p. amulety są w pewnych społeczeństwach przedmiotami gospodarczymi, jakkolwiek nie mają najmniejszej użyteczności. W rzeczywistości jednak niema znacznych różnic w sądach o przedmiotach gospodarczych, głównie dlatego, że wymiana pozwala pozbyć korzystnie nawet rzeczy uznane indywidualnie za bezużyteczne, jeżeli ktokolwiek przyznaje im użyteczność. Na tem polega cała szarlatanerya. Z drugiej znowu strony, nawet najużyteczniejsze rzeczy nie stanowią przedmiotów gospodarczych, jeżeli niema świadomości ich zalet, n. p. rośliny lecznicze stały się dopiero wtedy przedmiotami gospodarczymi, gdy

nauki przyrodnicze odkryły ich właściwości, jakkolwiek te przymioty istniały zawsze.

Przedmioty gospodarcze dzielimy na dobra i usługi. Dobrem jest każdy środek zaspokojenia potrzeb ludzkich, materyalny i niematerialny, który nie łączy się najściślej z osobą ludzką. Należą tu więc 1) wszystkie części natury, służące potrzebom ludzkim, 2) pewne stosunki i prawa, z których korzystamy, n. p. klientela kupca lub adwokata, przywileje osobiste lub gospodarcze i t. p. Usługą natomiast nazywamy każdą działalność ludzką, służącą do zaspokojenia potrzeb.

Przedmioty gospodarcze mogą być dalej wolne i ekonomiczne, czyli wartościowe. Wolnymi nazywamy te przedmioty, których jest tak wiele, że możemy zaspokoić wszystkie swe potrzeby i jeszcze zawsze pozostanie pewna ilość tych przedmiotów, których już nie możemy użyć, bo nie odczuwamy żadnego braku; innemi słowy, wszystkie przedmioty, znajdujące się w stosunku do naszych potrzeb w nadmiarze, są wolnymi. Z tego wynika 1) że niema wolnych usług, albowiem każda usługa domaga się pewnej pracy i trudu, którym poddajemy się tylko w razie potrzeby; 2) że niema żadnego rodzaju przedmiotów gospodarczych, któryby był wolnym, albowiem od każdego rodzaju dóbr zależą pewne potrzeby. Tak n. p. pewna ilość wody jest dobrem wolnem, lecz ogół wód już niem być przestaje, bo potrzebujemy go niezbędnie n. p. dla ugaszenia pragnienia. Przedmiotem ekonomicznym, czyli wartościowym, nazywamy wszystkie te środki, które są konieczne dla naszych potrzeb, a więc 1) wszystkie usługi, 2) wszystkie dobra, których ilość jest tak ograniczona, że nie wystarczają na zaspokojenie wszystkich potrzeb, albo przynajmniej odpowiadają

ściśle ilości potrzeb; tak, że utrata najdrobniejszej cząstki odbiera już pokrycie jakiejś potrzebie.

Przedmioty ekonomiczne dzielimy znowu na kilka kategoryi a mianowicie: 1) przedmioty pierwszego rzędu, czyli spożywcze (konsumcyjne), i dalszego rzędu czyli środki produkcyi, w miarę tego, czy można ich użyć bezpośrednio do zaspokojenia potrzeb jak n. p. chleb lub odzienie, czy też pośrednio, t. zn. czy dopiero przy ich pomocy uzyskujemy inne środki na nasze potrzeby, n. p. zboże lub bydło przeznaczone na rzeź, dające pożywienie; dyagnoza lekarska, decydująca o lekach; maszyna do szycia, dostarczająca odzienia i t. d., 2) przedmioty zużywalne i trwałe czyli niezużywalne. Do pierwszej kategoryi należą wszystkie te przedmioty, które niszczą się zupełnie za jednorazowem użyciem (n. p. pożywienie) gdy zaś możemy ich użyć więcej razy w tym samym celu (odzienie, mieszkanie, rola, narzędzia) wtedy nazywamy je trwałymi czyli niezużywalnymi; 3) przedmioty samoistne wzajemnie się uzupełniające, w miarę tego, czy dadzą się już same użyć bez żadnej pomocy (n. p. stół, chleb i t. d.), czy też należy je w tym celu połączyć z innymi przedmiotami (n. p. para rękawiczek, zamek i klucz i t. d.); 4) w końcu rozróżniamy przedmioty teraźniejsze i przyszłe według tego, czy zaspokajają potrzeby obecne, czy też późniejsze (n. p. renta, którą się będzie pobierać po 10 latach; wino, którego obecnie jeszcze pić nie można.

VIII.

Pojęcie wartości.

Każda rzecz, która może zaspokoić nasze potrzeby, staje się przedmiotem naszych pragnień, a tem samem uzyskuje wartość. Wartość, która jest przewodnią ideą całej nauki ekonomii, nie oznacza tedy nic więcej, jak tylko to samo w sobie bardzo proste zjawisko, że jakaś rzecz jest mniej lub więcej pożądaną. I dlatego też, jeżeliby podobne słowo istniało, to wartość nazwalibyśmy po prostu pożądalnością.

Wartość, jest to znaczenie, jakie posiada przedmiot gospodarczy, ze względu na to, że jest niezbędnym dla zaspokojenia potrzeb człowieka. Wartość rozróżniamy podmiotową i przedmiotową, a każdą z nich dzielimy znowu na użytkową i zamienną. Wskutek tego wyraz wartość obejmuje właściwie cztery pojęcia: 1) wartość podmiotową użytkową t. j. znaczenie, jakie przyznaje gospodarz dobru lub usłudze ze względu na swe własne potrzeby; 2) wartość podmiotową zamienną, t. j. takie same znaczenie ze względu na potrzeby cudze, które w drodze wymiany może pokryć i wzamian za to uzyskać inne dobra; 3) wartość przedmiotową użytkową, która nie wchodzi w zakres nauki gospodarstwa społecznego, gdyż oznacza tylko zdolność faktyczną, t. j. przyrodniczą dobra czy usługi do zaspokojenia potrzeb ludzkich; 4) wartość przedmiotową zamienną czyli wartość targową lub cenę, która jest wypadkową z wartości podmiotowych sprzedających i kupujących. Najważniejszą jest wartość podmiotowa użytkowa, albowiem na niej opierają się wszystkie inne rodzaje wartości.

Z tego pojęcia, tak prostego na pozór, wypływają pewne, bardzo ważne następstwa.

§. 1.

Pojęcie wartości przyjmuje przedewszystkiem pewien stosunek między człowiekiem a rzeczą, który określamy zupełnie dokładnie wyrazem pożądalność. W tym stosunku człowiek jest o wiele ważniejszym wyrazem od rzeczy. Stanowisko przeciwne byłoby mylne, gdyż wartość wcale nie jest związaną z danym przedmiotem i nie polega na jego przymiotach zmysłowych, n p. na składzie chemicznym zboża, które nas żywi, na rozciągłości lub twardości żelaza, na przeźroczystości szkła i t. d., lecz rodzi się dopiero z chwilą obudzenia się naszego pożądania, a znika wtedy, gdy to pożądanie gaśnie. I z niem też w parze przechodzi z przedmiotu na przedmiot, jak motyl i jego cień, zatrzymując się tam tylko, gdzie i ono spoczęło; czyli jak się dziś wyrażają, jest subjektywną, a nie objektywną. Bezwątpienia, jeżeli jakieś dobro należy do liczby tych, które zaspokajają stałe potrzeby ludzkości, jak np. zboże, żelazo lub złoto, wtedy będzie ono mogło zatrzymać swą wartość i wieki całe, chociaż i tutaj nie można ręczyć, czy nie zastąpi je jakiś inny środek, odpowiedniejszy naszym potrzebom, a w każdym razie jego wartość będzie wahać się bezustannie, zastosowując się do zmian w naszych życzeniach.

Zarazem trzeba wziąć na uwagę, że właściwie obojętną jest rzeczą, czy dana rzecz posiada rzeczywiście zdolność do zaspokojenia naszych potrzeb, wystarcza zupełnie, abyśmy w to wierzyli, innemi słowy, że do powstania wartości wystarcza, jeżeli jakiś przedmiot uważamy za pożądany. Rozumie się, że zazwyczaj nasz sąd nie jest zupełnie mylny. Jeżeli sądzimy, że jakaś rzecz jest pożądaną, to dlatego, że mamy pewną racyę uważać ją za taką, t. j. że już wykryliśmy jakiś związek pomię-

dzy jej fizycznemi własnościami a jedną z naszych potrzeb. Jeżeli chleb ma wartość, to z jednej strony dlatego, że mamy potrzebę żywienia się. a z drugiej znów, że zboże zawiera właśnie składniki, w szczególniejszy sposób nadające się do odżywiania. Dyament jest bardzo poszukiwany dlatego, iż jest rzeczą udowodnioną, że człowiek, a zresztą także i niektóre zwierzęta, z przyjemnością przypatrują się temu, co błyszczy; a nadto ponieważ dyament, z powodu mocy załamywania światła w wyższym stopniu, niż wszystkie inne ciała, posiada własność rzucania niezrównanych blasków. Lecz ileż mamy przedmiotów, którym ich wysoką wartość nadają li tylko nasze zapatrywania lub pragnienia, które z nich płyną. Relikwie, mniej lub więcej autentyczne, były przez wiele wieków i są jeszcze dziś w niektórych krajach przedmiotami niezrównanej wartości, z powodu wielkiej wagi, jaką się do ich posiadania przywiązuje. Jest wiele wód mineralnych i wyrobów farmaceutycznych, bardzo nawet poszukiwanych, choć ich własności lecznicze nie są jeszcze zbadane. Stroje, których się już nie nosi, książki, których się więcej nie czyta, obrazy, na które już nikt nie patrzy lekarstwa, które straciły swą moc leczniczą... jakżeż długi byłby szereg tych dóbr, których wartość jest tak nietrwała i przemijająca, jak potrzeba, które je stworzyła; a przecież i tutaj, jeżeli przypadkiem żądza jakiegoś zbieracza (z pewnością najsilniejsza ze wszystkich), zatrzyma się na tych martwych już dobrach, wtedy nabierają one nowego życia, a przez to odzyskują także wartość i to o wiele wyższą może od tej, jaką posiadały za swego pierwotnego istnienia.

§. 2.

Powtóre, pojęcie wartości uznaje istnienie stosunku między dwoma przedmiotami, a raczej między dwoma pragnieniami, gdyż właściwie rzeczy są tu tylko dodatkiem do potrzeb. Innemi słowy, wartość mieści w sobie nietylko pojęcie pragnienia, które dałoby się także pomyśleć w stanie zupełnego zizolowania, lecz także pojęcie wyższości jednego pragnienia nad drugiem, które może wyniknąć tylko z ich odważenia i porównania [1]). Wartość jest pojęciem tego samego rzędu, co wielkość lub ciężkość. Podobnie, jak nie możnaby żadnego ciała nazwać wielkiem czy małem, gdyby tylko ono jedno na świecie istniało, tak samo nie możnaby w takim razie przyznać ani wysokiej, ani nizkiej wartości, gdyż bez porównania nie podobna jej wymierzyć. A jeżeli się mówi, używając zwykłego wyrażenia, że jakiś przedmiot, np, dyament ma »wielką wartość«, nie dodając nic więcej, to jeszcze tem samem bynajmniej nie wyrażamy, iżby pojęcie rzeczy, z którą dany przedmiot się porównywa, wcale nie istniało. Rozumiemy tylko przez to, że albo ów przedmiot ma wielką wartość w stosunku do jednostki monetarnej, czyli, że w tym wypadku porównywamy go z tym przedmiotem, który się nazywa sztuką monety; albo też chcemy powiedzieć, że zajmuje on wysokie stanowisko wśród ogółu dóbr, i porównywamy go przez to ze wszystkiemi innemi dobrami, zbiorowo wziętemi. Tak samo jeżeli mówimy, że jakieś ciało, np. platyna, jest bardzo ciężkie, nie zaznaczając żadnego porównania, natenczas rozumiemy przez to, bądź, że waży ono znaczną ilość kilogramów, a więc, że porównywamy je z ciężarem jednego litra wody, bądź też, że gdybyśmy uszeregowali wszystkie znane ciała według ich ciężaru, dany przedmiot zajmowałby pierwszorzędne miejsce.

---

[1]) Wbrew temu, co powiada autor, do pojęcia wartości nie jest koniecznem porównanie dwóch przedmiotów lub dwóch potrzeb. Przez porównanie potrzeb oznaczamy tylko wysokość wartości, a nie jej istnienie, gdyż bez względu na to, czy mamy dany przedmiot z czem porównać czy nie, z chwilą, gdy jest niezbędnym, uzyskuje wartość. Nawet gdyby istniała tylko jedna potrzeba, zaspokajające ją dobra miałyby wartość, bo człowiek nie mógłby obejść się bez nich. *(Przyp. tłum.).*

W końcu z tego, że wartość jest pojęciem względnem wynika, że nigdy nie można mówić o wznoszeniu się lub spadaniu wszystkich wartości odrazu. Podobne twierdzenie byłoby wprost śmiesznem. Skoro bowiem wartość niczem innem nie jest, jak tylko klasyfikacyą i stosunkiem jednych dóbr do drugich, to jakżeby można wyobrazić sobie, aby naraz wszystkie w górę poszły lub spadły. Aby jedne mogły o pewien stopień w górę postąpić, potrzeba, by zajęły miejsce drugich, które tem samem spaść muszą. Zupełnie tak samo, jak gdyby kandydaci, przypuszczeni do egzaminu i uklasyfikowani podług swych zasług, wszyscy naraz zapragnęli w duszy, aby każdy z nich dostał równocześnie stopień wyższy [1]),

To porównanie dwóch przedmiotów uskuteczniamy najczęściej przy zamianie, oceniając w duszy tak rzecz, którą pragniemy nabyć, jak i tę, którą mamy odstąpić. Dlatego też jest to dla wielu ekonomistów niezbitą zasadą, że wartości nie można sobie wyobrazić bez zamiany.

Tymczasem rozbiór powyższy wykazuje, że idea wartości jest dawniejszą od pojęcia zamiany. Pojęcie bowiem wartości nie oznacza nic więcej, jak tylko danie pierwszeństwa jednej rzeczy nad drugą, a więc porównywanie ze sobą i ważenie się dwóch pragnień. A przecież takie znaczenie nie wiąże się koniecznie z pojęciem zamiany. — Robinson z pewnością miał swoje upodobania. Wprawdzie przyznaję, że były one w stanie ukrytym, a warunki jego odosobnionego życia nie pozwalały mu odkryć ich drugim, ani nawet samemu sobie. Gdyby ktoś był zażądał od niego, ażeby je określił i aby dobra, stanowiące jego skromny majątek, uporządkował podług wartości, jakie im przypisywał, z pewnością sprawiłby mu

[1]) Możnaby mówić o ogólnym wzroście lub zniżce wartości, gdybyśmy pod tem rozumieli, że wszystkie pragnienia ludzkie nabierają naraz większej lub mniejszej intenzywności. Lecz w takim razie nie miałoby to żadnego praktycznego znaczenia, albowiem nie mając żadnego miernika, nie moglibyśmy tych zmian wymierzyć.

kłopot niemały. Co najwięcej, potrafiłby je z grubsza podzielić na dwie lub trzy części, stosownie do tego, czyby odpowiadały mniej lub więcej istotnym jego potrzebom. Lecz łatwo można wyobrazić sobie tę okoliczność, która nagle obudziła w jego umyśle to przyćmione i niewyraźne pojęcie wartości i zmusiła je do objawienia się na zewnątrz. Mianowicie taka sposobność zaraz nastręczyła mu się w pierwszych dniach jego wylądowania. Kiedy musiał jedno »dobro« po drugiem zabierać z tonącego okrętu, a nie wiedział, czy morze pozostawi mu dość czasu do zabrania wszystkich ze sobą, wtedy koniecznie musiał dokonać wyboru i zabierać po kolei te »dobra«, które w pierwszej linii pragnął ocalić. Otóż porządek, w jakim jedne po drugich wykładał na ziemię, wybornie nam oznacza porządek jego upodobań, a zarazem i względne wartości, jakie każdemu z nich przypisywał.

Atoli wyznajemy, że w praktyce prawie wyłącznie zamiana jest tem, co obudza pojęcie wartości, że tak powiemy drzemiące w naszej duszy, że ona prze do porównania i zmusza nas do zrobienia i określenia naszego wyboru, w myśl naszych upodobań.

IX.

Przyczyny wartości.

Dlaczego pragniemy jednej rzeczy więcej od drugiej, albo też, dlaczego pożądamy tej samej rzeczy raz gwałtowniej, raz słabiej? Oto są pytania, które już od przeszło stu lat dręczą wszystkich ekonomistów. Każde ich pokolenie cieszy się, że odpowiedziało na nie wyczerpująco, a tymczasem przychodzą inni i nie poprzestając na tem, szukają znowu odpowiedzi.

Każdy prawie ekonomista ma na wartość swe własne zapatrywanie, pomimo tego jednak wszystkie doktryny

dadzą się sprowadzić do dwóch zasadniczych teoryi: do teoryi użyteczności i teoryi pracy.

§. 1. Użyteczność.

Użytecznością nazywamy tę właściwość pewnych przedmiotów, która pozwala im w wyższym lub niższym stopniu zaspokajać nasze potrzeby. Pozornie wydaje się użyteczność najprostszą podstawą wartości, dlatego też pierwsi ekonomiści, jak fizyokraci, Condillac i J. B. Say, tłumaczą wartość użytecznością.

Jeżeli chodzi o dwa przedmioty, służące tej samej potrzebie, natenczas takie wyjaśnienie wydaje się uzasadnionem, gdyż można stosunkowo łatwo wymierzyć zdolność jakiejś rzeczy do zaspokojenia pewnej oznaczonej potrzeby, stąd też wydaje się, że w tym wypadku skala wartości odpowiada dość dokładnie skali właściwości wewnętrznych. Z dwóch owoców wybierzemy bardziej soczysty, z dwóch owiec tłuściejszą, z dwóch mieszkań to, które urządzono z większym komfortem, z dwóch gruntów żyźniejszy; jeżeli zaś dwa przedmioty, np. dwa wozy zboża, z istoty swej oddają jednakowe usługi, natenczas posiadają zwyczajnie taką samą wartość.

Lecz tracimy natychmiast naszą myśl przewodnią, jeżeli badamy dwa przedmioty, odpowiadające odmiennym potrzebom, np. chleb i kapelusz. Rzeczywiście, który z nich jest użyteczniejszym?

Powie ktoś może, że nasze potrzeby mogą być wybornie uporządkowane ze stanowiska rozumu, moralności i hygieny; że zresztą powinniśmy przyznać pierwsze miejsce przedmiotom, służącym najważniejszym potrzebom, a między nimi tym, które najlepiej je zaspokajają, tak, że właściwie dałaby się ułożyć tablica, na której miejsce każdej rzeczy wyznaczałaby jej własna użyteczność? Tymczasem to właśnie byłoby czemś zupełnie nieprawdziwem. Gdyby sporządzono podobną tablicę, wystarczyłoby

rzucić na nią okiem, aby się przekonać, że wartość tych przedmiotów bardzo często wcale nie stoi w prostym stosunku — owszem o wiele częściej w odwrotnym — do ich użyteczności. Jakież to więc przedmioty zajmują ostatnie szczeble w skali wartości? Zboże, węgiel, żelazo, woda: to znaczy właśnie przedmioty, odpowiadające najniezbędniejszym potrzebom ludzi, bez których nie mogliby się wcale obejść. A jakież znów dobra najwyżej stoją na skali wartości? Złoto, dyamenty, koronki, może jaki kawałek nadszczerbionej porcelany, na którym właśnie zbywa w pewnym zbiorze, lub rzadkie wydanie przestarzałej książki, której nikt nigdy nie czytał i nigdy czytać nie będzie — a więc przedmioty, służące tylko do zaspokojenia naszej ciekawości, lub które jedynie naszej próżności schlebiają.

Nie można bynajmniej twierdzić, że jeżeli rzeczy taki obrót wzięły, to tylko dlatego, że ludzie są niemądrzy i że, gdyby byli mądrymi, wtedy ich upodobania byłyby rozumne, a porządek wartości zgodnym byłby z porządkiem użyteczności. Najpierw na nic się tu nie przyda dochodzić, jakiemi powinny być pod tym względem upodobania ludzi, bo każda teorya wartości powinna wyjaśnić to co jest, a nie to, co być powinno. Zresztą zarzut ten nie jest uzasadniony. Choćby ziemię zamieszkiwali sami mędrcy, to pomimo tego szklanka wody nie zyskałaby ani centa wartości. Potrzeby ludzkie nie dadzą się ułożyć w tak niezmiennym porządku, jak siedem barw w pryzmacie, lecz są ustawicznie w ruchu i raz jedna, to znowu druga bierze górę. Człowiek głodny przeniesie ponad wszystko kawał chleba i może jak Ezaw poświęci swój spadek za misę soczewicy, lecz nieda zań ani grosza, gdy się już nasyci. Na Saharze ceni się wodę na wagę złota, a nie przyznaje się jej żadnej wartości w naszych miastach, pełnych studni; w okolicach mokrych i bagnistych wartość jej jest wprost ujemną, niższą od zera, gdyż płaci się za odwodnienie.

Aby wyjść z kłopotu, próbowano uzupełnić zasadę użyteczności, zasadą rzadkości.

Użyteczność sama przez się miała być za słabą do stworzenia wartości i pozostawać niejako w stanie spokoju; natomiast ma ona natychmiast rozpocząć działanie, jak tylko rzadkość z nią się połączy. W tem znaczeniu wartość jest użytecznością rzadką. (Walras ojciec we Francyi, Senior w Anglii).

To uzupełnienie pierwszej teoryi pozwala w samej rzeczy rozwiązać dosyć dobrze trudności, które zaznaczyliśmy powyżej, lecz nie może zadowolić zupełnie nauki, bo brak mu jedności i wyjaśnienia, dlaczego to samo zagadnienie tłumaczy się zapomocą dwóch czynników, napozór zupełnie różnych; użyteczności i rzadkości.

Dopiero nowszej szkole przypadło w udziale odkryć związek logiczny, łączący te dwie zasady, albo raczej wykazać, że tworzą one tylko jedno pojęcie i pogodzić je w teoryi użyteczności krańcowej[1]).

Wykazała ona, że rzadkość, t. zn. ograniczona ilość przedmiotów, nietylko nie jest przyczyną wartości, niezależną od użyteczności, któraby się z nią łączyła sztucznie, niewiadomo dlaczego, lecz że jest rzeczywiście nieodłączną od pojęcia użyteczności, że oba te pojęcia są, jak to mówią matematycy, swojemi funkcyami, że wreszcie mają swe wspólne źródło w znanem nam już ograniczeniu pojemności potrzeb ludzkich. Dowodzi się tego w następujący sposób:

---

[1]) Pierwsze początki teoryi użyteczności krańcowej znajdują się w dziełach Dupuit'a i Gossena. Prace te jednak pozostały zupełnie nieznane, dopiero w ostatnich latach kilku autorów równocześnie ją podniosło, co w każdym razie przemawia za jej prawdziwością. Twórcami jej są mianowicie: Stanley Jevons w Anglii, Karol Menger, Wieser i Böhm-Bawerk w Austryi, Walras w Szwajcaryi, Clark w Stanach Zjednoczonych. Ostatecznie wykształcił ją Böhm-Bawerk (»Grundzüge des wirtschaftlichen Güterwerts« 1884), a dzisiaj podziela już ją najznaczniejsza część ekonomistów.

Weźmy przykład klasyczny z wody. Wyobraźmy sobie ilość wody, którą można rozporządzać codziennie, rozdzieloną na 5, 6, 10, 20 i t. d. wiader, ustawionych na półce. Pierwsze ma największą wartość, bo ono ma służyć do ukojenia pragnienia; drugie ma także wysoką, jakkolwiek już niższą wartość, bo ma służyć do gotowania; trzecie jeszcze mniejszą, bo służy do mycia; czwarte służy do pojenia wierzchowca, piąte do podlewania kwiatów, szóste do obmycia podłogi w kuchni. Przypuśćmy, że szóste wiadro jest ostatniem, i że wyczerpana studnia nie może już dostarczyć wody, tak, że jej już więcej dostać nie można. W takim wypadku każde z sześciu wiader będzie posiadać pewną wartość, ale wartość żadnego nie będzie większą od wartości ostatniego wiadra. Dlaczego? Ponieważ tylko brak tego ostatniego może się dać odczuć. Rzeczywiście, czyż ma się wołać o litość, mówiąc, iż się jest skazanym na śmierć, jeżeli przypadkiem przewróci się pierwsze wiadro, które miało ugasić pragnienie? Przecież jasną jest rzeczą, że nikt się z tego powodu nie pozbawi wody do picia, tylko że musi poświęcić inne wiadro wody dla zastąpienia tamtego... Ale które? Naturalnie to, które jest najmniej potrzebnem, a więc ostatnie. I dlatego ono decyduje o wartości wszystkich innych. Jeżeli zaś teraz przypuścimy, że studnia jest dość obfitą, aby dostarczyć 10, 20 i t. d. wiader wody, w takim razie dojdziemy wreszcie do jednego naczynia wody, dziesiątego czy dwudziestego, które, jako zupełnie zbyteczne, nie będzie już miało żadnej użyteczności. Wtedy zniknie także wartość wszystkich innych wiader wody i ten wypadek odpowiada u nas najczęściej rzeczywistości. Dlatego teorya ta powiada, że wartość oznacza się użytecznością krańcową czyli graniczną, a jeszcze lepiej intenzywnością ostatniej zaspokojonej jeszcze potrzeby.

Ta teorya rozwiązuje bardzo szczęśliwie dawną trudność, o którą rozbijała się dawniejsza szkoła, tłumacząc

dlaczego woda, która jest tak pożyteczną, nie ma żadnej wartości; i na odwrót, dlaczego dyament, chociaż tak mało potrzebny, posiada wartość tak wysoką? Do tego dochodzi ta teorya, odrzucając zwyczajne pojęcie użyteczności, jako przymiotu naturalnego rzeczy, i uważając je za identyczne z pojęciem pożądania. Dlatego może ona słusznie powiedzieć, że woda nie jest użyteczną, bo nie można twierdzić, że jakaś rzecz, którą się ma do zbytku, jest użyteczną i może uznać, że dyament jest użytecznym, to jest pożądanym, bo nie ma go się nigdy nadto, ani nawet w dostatecznej ilości. Objaśnienie to jest słusznem, lecz należy przyznać, że używa ono słowa użyteczność w znaczeniu cokolwiek odmiennem od jego znaczenia zwyczajnego i że w gruncie rzeczy stwierdza tylko, że wartość polega wyłącznie na potrzebach. Główną jego zasługą jest nader zajmujący i prawdziwy rozbiór psychologiczny okoliczności, które wpływają na różniczkowanie potrzeb.

To samo wyjaśnienie da się zastosować bez najmniejszej trudności do każdego dobra, szczególniej, jeżeli chodzi tu o jakiegoś Robinsona albo człowieka żyjącego w stanie izolowanym; lecz gdy bierzemy człowieka żyjącego w społeczeństwie, można się znaleźć w kłopocie, ponieważ pojęcie wartości indywidualnej pozostaje pod wpływem wartości zamiennej. W tym wypadku należy się odnieść do wyjaśnień, które damy poniżej.

Dla dokładniejszego wytłómaczenia pojęcia wartości podmiotowej, dodajemy jeszcze następujące uwagi. W gospodarstwie rządzimy się gospodarnością, t. zn. dążymy do uzyskania możliwie największych korzyści najmniejszym kosztem lub trudem. Dojdziemy do tego, a) jeżeli naszych środków użyjemy na zaspokojenie tych potrzeb, które naszem zdaniem są najważniejsze, t. j. z największą występują siłą, b) jeżeli w razie utraty pewnej części dóbr, któremi rozporządzamy, odbierzemy pokrycie potrzebom najsłabszym — w pierwszym bowiem razie uzyskujemy

możliwie największe zadowolenie, w drugim zaś narażamy się na najmniejszą stosunkowo przykrość. Każdy przedmiot posiada wartość, odpowiadającą znaczeniu tej potrzeby, którąby pozostała niezaspokojoną, gdyby go nie było; ponieważ zaś w tym wypadku nie pokrylibyśmy potrzeby najsłabszej ze wszystkich tych, które przedtem były zaspokojone, przeto jego wartość odpowiada znaczeniu potrzeby najsłabszej. Wobec tego, że zaspokajamy potrzeby kolejno, idąc od najsilniejszej, przeto potrzeba najsłabsza, leżąc na samym końcu tego szeregu, jest krańcową, a jej pokrycie sprawia stosunkowo najdrobniejsze zadowolenie, bo usuwa najmniejsze uczucie braku. Dlatego też powiadamy, że wartość mierzy się krańcową użytecznością, t. j. według granicznej potrzeby, czyli minimalną korzyścią, bo przedmiot użyty na tę potrzebę daje nam najmniej korzyści.

W życiu rzeczywistem zjawiska są najczęściej tak powikłane, że ta naczelna zasada nie zawsze występuje dość jasno. Dlatego też należy jeszcze zwrócić uwagę na następujące rzeczy:

1. Jeżeli posiadamy tylko jedno dobro, wartość jego odpowiada najsilniejszej potrzebie, którą można niem zaspokoić, albowiem gospodarność nakazuje pokryć potrzebę najważniejszą, która jest w tym wypadku i pierwszą i ostatnią, więc krańcową.

2. Zapas dóbr oceniamy inaczej, niż każde dobro z osobna, mianowicie stosunkowo niżej przy nabyciu, wyżej przy pozbyciu, innemi słowy zapas dóbr posiada swą własną użyteczność krańcową, odpowiadającą znaczeniu wszystkich potrzeb, które nim zaspokoimy. Rzeczywiście, weźmy cztery dobra tego samego rodzaju, które służą potrzebom o sile 15, 12, 8 i 3. W takim razie, uzyskując jedno tylko dobro

zaspokoimy potrzebę pierwszą, czyli użyteczność krańcowa równa się 15; pozbywając tylko jedno, tracimy pokrycie potrzeby najsłabszej, więc minimalna korzyść wynosi 3. Tymczasem, uzyskując naraz wszystkie te dobra, otrzymujemy zaspokojenie czterech rozmaitych potrzeb o ogólnej sile 38, mniejszej od 4×15, gdyż drugie dobro służy już potrzebie słabszej, trzecie jeszcze słabszej i t. d.; tracąc je, nie odbieramy pokrycia czterem potrzebom o sile 3, lecz najpierw potrzebie 3, potem 8, 12 i 15, razem 38, t. j. więcej od 3×4. (P. wyżej str. 79).

3. Dobra przyszłe, które mogą zaspokoić dopiero potrzeby późniejsze, mają zawsze niższą wartość od dóbr teraźniejszych, albowiem ich użyteczność krańcowa mierzy się potrzebami przyszłemi, których znaczenie jest obecnie niższe.

4. Dobra dalszego rzędu, które tylko pośrednio pokrywają nasze potrzeby, ocenia się według wartości dóbr, służących bezpośrednio naszym potrzebom, czyli wytworów, które uzyskujemy przy ich pomocy. Najczęściej zapomocą dóbr dalszego rzędu możemy otrzymać środki zaspokojenia potrzeb rozmaitego rodzaju, np. ziemia może wydać rozmaite rośliny, a w drugiej linii różne rodzaje pożywienia, paszę i t. d. Otóż w tym wypadku kierujemy się znowu zasadą gospodarności, t. zn. używamy dóbr dalszego rzędu do uzyskania tych przedmiotów, które nam przynoszą największą korzyść, bo postępując inaczej, działalibyśmy nieracyonalnie. Dlatego też dobra dalszego rzędu uzyskują wartość od najważniejszych swych wytworów. Wartość ta jednak będzie niższą od wartości dóbr pierwszego rzędu, te bowiem służą potrzebom bezpośrednio, więc teraźniejszym, dobra dalszego rzędu należy dopiero przerobić, na co potrzeba czasu, służą więc potrzebom przyszłym. Wskutek tego wartość dóbr dalszego rzędu mierzy się wartością ogółu ich wytworów, w danych stosunkach najcenniejszych, jest jednak zawsze cokolwiek niższą.

5. Dobra trwałe są właściwie niczem innem, jak tylko zapasem pożytków, które człowiek z nich czerpie, np. narzędzia jakieś możemy sobie wystawić jako zbiór dóbr, które nam pomagają przy pracy. Cała różnica polega na tem, że podczas gdy cały zapas da się użyć w tym samym czasie, z pożytków dóbr trwałych możemy korzystać jedynie kolejno, musimy zużyć pierwszy pożytek, ażeby posłużyć się drugim. Odzienie, które służy np. przez miesiąc, zastępuje właściwie trzydzieści ubrań, trwających dzień jeden, lecz w pierwszym wypadku nie możemy naraz zużyć tych trzydzieści pożytków, potrzeba na to całego miesiąca, w drugim mogłoby z tych ubrań korzystać naraz trzydzieści osób. Z tego wynika, że dobro trwałe jest zapasem pożytków, z których pierwszy służy potrzebie obecnej, każdy następny potrzebie czasowo coraz dalszej, jest przeto zbiorem dóbr teraźniejszych i przyszłych. Według tego też oznacza się jego wartość zupełnie tak samo, jak wartość każdego zapasu dóbr, z tem zastrzeżeniem, że jest ona zmniejszoną przez to, że wszystkie pożytki następne mają charakter dóbr przyszłych. Wartość dóbr trwałych równa się przeto sumie ze znaczenia tej potrzeby, którą można niemi zaspokoić natychmiast i ze znaczenia tych wszystkich potrzeb przyszłych, które kolejno dadzą się pokryć pożytkami tych dóbr.

6. Wartość dóbr, wzajemnie uzupełniających się, oznacza się zawsze dla całej grupy, gdyż grupę tę uważamy za jedność. Tak np. oznaczamy wartość pary rękawiczek, a nie jednej rękawiczki; zamku wraz z kluczem, a nie osobno zamku, osobno klucza.

Wartość ta odpowiada naturalnie krańcowej użyteczności tych dóbr i nie przedstawia żadnych trudności. Jeżeli jednak chodzi o oznaczenie wartości jednego dobra, wchodzącego w skład takiej grupy, np. gdy się chce uzyskać lub utracić jej część, wtedy powstają już pewne trudności. Ażeby je usunąć, należy odróżnić dwa wypadki:

a) Istnieją dobra wzajemnie uzupełniające się, które, nawet oderwane od swej grupy, posiadają pewną wartość, np. klucz jako kawał żelaza, a używamy ich w połączeniu z innemi dobrami dlatego, że w grupie przynoszą większe korzyści. W tym wypadku, tracąc jedno dobro z takiej grupy, możemy już użyć pozostałe tylko w inny, mniej korzystny sposób, czyli tracimy zaspokojenie potrzeby ważniejszej, wzamian za pokrycie potrzeby mniej ważnej. Naodwrót znowu, jeżeli do takich oderwanych cząstek uzyskujemy przedmiot, który pozwala połączyć je wszystkie w grupę dóbr wzajemnie się uzupełniających, otrzymujemy zaspokojenie potrzeby ważniejszej kosztem pokrycia potrzeby gorszej. Dlatego też w obu wypadkach wartość tego dobra, od którego zależy istnienie grupy, równa się różnicy między użytecznością krańcową całej grupy, a użytecznością krańcową innych jej części. Tak np. jeżeli mamy trzy dobra, a, b, c, których użyteczność krańcowa, biorąc je samoistnie, wynosi dla a = 3, dla b = 5, dla c = 7, a użyteczność krańcowa wszystkich razem połączonych w grupę wynosi 30, w takim razie tracąc a, tracimy 30 — 12 (b + c) = 18, gdyż nie możemy już ich używać w grupie, czyli że a przedstawia wartość 18. Tak samo utrata b, równa się stracie 20 (pozostaje a i c razem 10), utrata c = 22 (a + b = 8). Naodwrót człowiek, posiadający już a i b, otrzymując c, nie dostaje wartości równej 7,

lecz wartość, odpowiadającą 22, przedtem bowiem używał tamtych dóbr samoistnie, teraz może już połączyć je w grupę.

b) Dobra wzajemnie uzupełniające się, które samoistnie nie mają żadnej wartości. W takim razie utrata jednego dobra, odbiera wszelkie znaczenie pozostałym cząstkom i naodwrót pozyskanie dobra które umożliwia wytworzenie grupy, nadaje dopiero znaczenie dawniej już posiadanym, dotąd bezwartościowym przedmiotom. Stąd też w tym wypadku wartość dobra, od którego zależy istnienie grupy, równa się użyteczności krańcowej całej grupy. Jeżeli dobra a, b, c mogą służyć naszym potrzebom tylko w połączeniu z sobą i wtedy posiadają użyteczność krańcową 30, wtedy, tracąc jedno z nich, tracimy wszystko (30), odzyskując je napowrót, zyskujemy 30.

Naturalną jest rzeczą, że jeżeli grupa dóbr wzajemnie się uzupełniających składa się częściowo z dóbr wartościowych, częściowo z bezwartościowych, w takim razie do utraty czy nabycia dóbr bezwartościowych należy zastosować zasadę wymienioną w pierwszym, do utraty lub nabycia dóbr wartościowych w drugim wypadku.

7. Na naszą ocenę wartości wpływa także t. zw. zastępowalność dóbr, t. j. możność zastąpienia pewnego przedmiotu odmiennym, który służy tej samej potrzebie a mniejszą posiada wartość, np. gdy głód można zaspokoić mięsem lub chlebem. Wtedy wartość przedmiotu, który pierwotnie miał pokryć tę potrzebę, nie oznacza się jego własną użytecznością krańcową, lecz użytecznością krańcową dobra, któreśmy w zastępstwie zużyli, albowiem tracąc dobro pierwsze, odbieramy jedynie zaspokojenie tej potrzebie, na którą przeznaczyliśmy przedmiot użyty w zastępstwie, a pokrywamy i na-

dal potrzebę, której służyło utracone dobro. W takim wypadku oba te dobra należą niejako do tego samego rodzaju, to też wartość ich oznacza się znaczeniem najsłabszej potrzeby, która od nich zależy, a więc potrzeby, zaspokajanej dobrem zastępującem

8. W końcu wysokość wartości podmiotowej zależy niekiedy od podmiotowej wartości zamiennej. Żyjemy w okresie, w którym wymiana jest ogólnym i najważniejszym sposobem, zapomocą którego uzyskuje się niezbędne środki zaspokojenia potrzeb, stąd też liczymy się z nią, nawet gdy chodzi o podmiotową wartość użytkową. Dzieje się to w dwóch wypadkach, mianowicie, raz gdy chodzi o uzyskanie jakiegoś dobra, którego potrzebujemy powtóre, gdy posiadamy przedmioty, które naszem zdaniem są niezbędne innym gospodarzom. W obu tych razach oceniamy owe dobra według ich przypuszczalnej wartości zamiennej, a nie według krańcowej użyteczności, jeżeli wymiana wydaje się nam korzystniejszą, t. zn. jeżeli naszem zdaniem można przez wymianę taniej nabyć, względnie drożej pozbyć przedmioty, o które chodzi. Nie jest to nic innego, jak tylko inna forma zastępowalności dóbr, przy której nie decyduje znaczenie innej potrzeby, lecz domniemana wysokość targowej ceny.

Jeżeli np. potrzebę zimna oznaczamy na 100, to pomimo tego wartość ciepłego okrycia będziemy cenić niżej, jeżeli sądzimy, że można je kupić za niższą cenę; i na odwrót, jakkolwiek np. zapas zboża, które posiada rolnik, ma ze względu na jego potrzeby krańcową użyteczność bardzo drobną, to jednak szacuje on je znacznie wyżej, ze względu na możność sprzedaży. Lecz to nie narusza bynajmniej prawdziwości teoryi minimalnej korzyści, albowiem skoro tylko się przekonamy, żeśmy się pomylili, t. zn. że nadzieja zawiodła i wymiana jest niemożliwa albo

niekorzystna, wracamy natychmiast do pierwotnej oceny według użyteczności krańcowej. Nikt nie zechce dać 100 za ciepłe okrycie, ani też nie zużyje swych zbiorów na potrzebę o znaczeniu 5, jak długo przypuszcza, że można nabyć płaszcz za 50, a za hl. pszenicy dostać 8. Lecz jeżeli się przekona, że jedno i drugie jest niemożliwe, natenczas zgodzi się na gorsze warunki krańcowej użyteczności, gdyż w pierwszym wypadku uzyskuje zaspokojenie swej potrzeby, w drugim używa swych zasobów w możliwie najlepszy sposób.

§. 2. Praca.

Teorya pracy jest do pewnego stopnia przeciwieństwem teoryi użyteczności, albowiem podczas gdy teorya użyteczności wiąże pojęcie wartości ze sprawionem zaspokojeniem potrzeb, teorya pracy łączy je ze spełnieniem pewnego wysiłku. Stworzona przez Adama Smitha, a rozwinięta przez Ricarda, teorya pracy zajmuje w nauce bardzo wybitne miejce, gdyż hołdują jej ekonomiści najskrajniejszych obozów, począwszy od optymistów, jak Bastiat, skończywszy na socyalistach, jak Karol Marx. Rozumie się, że nie zaprzecza ona, że użyteczność, t. j. zdolność zadośćuczynienia jakiejś potrzebie lub pragnieniu człowieka — jest w pierwszym rzędzie warunkiem wartości. Potrzebaby chyba zmysły postradać, ażeby sądzić, że rzecz, która do niczego nie służy, mogłaby posiadać jakąś wartość, choćby nie wiedzieć ile pracy kosztowała. Ale jakkolwiek według tej szkoły użyteczność jest warunkiem wartości, to jeszcze wcale nie jest jej przyczyną. Podstawą wartości byłaby więc tylko praca człowieka, a rzecz każda wartaby była mniej lub więcej, w miarę tego, jak wymagałaby mniejszej czy większej pracy.

Tej teoryi zjednało tyle poważnych umysłów to właśnie, czem się ona różni od teoryi poprzedzającej; gdy tamta opiera wartość na zjawiskach czysto naturalnych —

na użyteczności i rzadkości — ta opiera ją na moralnem zjawisku — na pracy. Gdyby można wykazać, że wartość wszystkich rzeczy, które możemy posiadać, n. p. ziemi, jest zawisłą od pracy na nie wyłożonej, to możnaby z łatwością stworzyć ustrój, w którym własność i majątek każdego stałyby w stosunku prostym do jego pracy, a wskutek tego cały organizm społeczny dałby się trwale oprzeć na zasadzie sprawiedliwości [1]).

Byłoby więc do życzenia, ażeby tę teoryę można było uważać jako wyraz rzeczywistości, lecz niestety powiada ona tylko, co być powinno, nie określając tego, co jest w istocie.

1) Nasamprzód, gdyby przyczyną albo istotą wartości jakiejś rzeczy była praca, poświęcona na jej wytworzenie, toby i ta wartość musiała być koniecznie niezmienną, albowiem, jak uznaje sam Bastiat, »praca dokonana już ani zwiększoną ani zmniejszoną być nie może«. Tymczasem każdy wie, że wartość przedmiotu ciągle i bez ustanku się zmienia jakkolwiek jest widocznem, że te zmiany zupełnie nie zależą od pracy potrzebnej do produkcyi. Zresztą już *a priori* było niedorzecznem sądzić, że wartość jakiejś rzeczy może być zawisłą od przyczyny, która bezpowrotnie już przeszła. Jest to już sprawa skończona, której niepodobna zmienić, lecz należy chyba zawołać wraz z lady Macbeth: Co się stało, to się stało, nie mówmy o tem już więcej.

2) Gdyby praca była przyczyną wartości, to równym pracom odpowiadałyby zawsze równe wartości, a nierównym pracom nierówne wartości — Tymczasem każdej

[1]) Ta doktryna może służyć zarówno do obrony jak i do potępienia obecnego ustroju. Szkoła Bastiata stara się wykazać, że każdy posiada majątek, odpowiedni jego pracy, tymczasem Marx twierdzi, że klasy zamożne, wyzyskując niegodnie robotników, zabierają im rezultaty ich pracy i że wszystko co posiadają, pochodzi jedynie z bezustannej grabieży.

chwili widzimy, że przedmioty, które równą pracę kosztowały, bywają sprzedawane po bardzo różnych cenach, n. p. pieczeń z wołu i jego ogona; a naodwrót znów przedmioty, które wymagały bardzo odmiennych robót, sprzedają się po równych cenach, n. p. hektolitr pszenicy, zebrany z gruntu dającego 15 hl. z hektara, i hektolitr takiej samej pszenicy z gruntu, dającego 50 hl. z hektara.

3) Gdyby praca była przyczyną wartości, to tam, gdzie nie było pracy, nie byłoby także żadnej wartości. — Otóż istnieją niezliczone rzeczy, które posiadają wartość i to często nawet bardzo wielką, a pozyskanie ich nie wymaga żadnej pracy, n. p. źródło wody mineralnej lub nafty, nawóz, znoszony przez morskie ptaki, ławy piasku, jedynie przez wiatr naniesione, a które drogo się sprzedają na winnice, kilka metrów gruntu, położonego w środku dużego miasta i t. p. [1]) — albo też których wartość zwiększa się bez żadnej pracy, jak n. p. wartość wina, spoczywającego w piwnicy.

4) W końcu, jeśliby praca była przyczyną wartości, to cóż wtedy byłoby przyczyną wartości samej pracy? Przecież praca niezaprzeczenie ma wartość jakąś, sprzedaje się i kupuje, lub jeżeli kto chce, najmuje się ją codzień za pewną cenę. Łatwo wytłumaczyć wartość pracy przez wartość jej wytworów, n. p. wartość ziemi oznacza się wartością zbiorów jakie dać może. Lecz gdyby kto

[1]) Ricardo i jego szkoła nie przeczy temu (bo zresztą nie da się to zaprzeczyć), że »są pewne przedmioty, których wartość zależy tylko od rzadkości, albowiem żadną pracą nie jest się wstanie powiększyć ich ilości«. Tylko, że nie przyznaje im żadnego większego znaczenia, a za przykład przytacza jedynie obrazy kosztowne lub posągi i t. d. Tymczasem te przedmioty są bardzo liczne, tak, że ten wyjątek obala całą teoryę.

Bastiat przeciwnie przeczy temu, aby wyliczone przez nas dobra (ziemia lub płody naturalne) miały jakąś wartość, gdyż, jak powiada, użyteczność, pochodząca od natury, jest zawsze darmą i nigdy się za nią nie płaci. Dowodu jednak nie dostarcza na to żadnego.

chciał wartość samych wytworów oznaczyć znów za pomocą wartości pracy, która dała im istnienie, to znalazłby się w błędnem kole bez wyjścia.

Użyto kilku zręcznych sposobów, ażeby wspomnianą teoryę obronić przed zarzutami, o których wyżej wspomnieliśmy.

Carey twierdzi, że wartość jakiegoś przedmiotu nie zależy jedynie od pracy, poświęconej na jego produkcyę, lecz od pracy, potrzebnej do wytworzenia drugiego podobnego przedmiotu, to znaczy od pracy, do reprodukcyi potrzebnej. Bastiat znów sądzi, że nie trzeba zważać na pracę, wykonaną przez tego, kto zrobił dany przedmiot, ale na pracę, oszczędzoną temu, który chce go nabyć [1]).

Karol Marx w końcu oświadcza, że nie ma po co zajmować się pracą indywidualną, którąby mogła być zużytą na wytworzenie jakiegoś przedmiotu, lecz tylko pracą społeczną, to znaczy przeciętną ilością godzin pracy, potrzebnej w danym czasie do produkcyi jakiegoś towaru.

Wreszcie miasto używania słowa »praca«, używają nieraz wyrazu trudność pozyskania, oznaczają-

[1]) Ponieważ oszczędzić komuś pewnej pracy, jest to, według Bastiata, oddać mu usługę przeto pojmuje on wartość, jako stosunek dwóch wymienionych usług, a za przyczynę i miarę wartości uważa oddaną usługę. Ta formułka mimo sławy, jaką sobie na pewien czas zjednała, jest po prostu tautologią. Na pytanie, dlaczego dyament ma większą wartość niż kamień? odpowiada ona: »dlatego, że przez danie dyamentu wyświadcza się większą usługę, niż daniem kamienia«. Nikt nie myśli zaprzeczyć tak dziecinnej odpowiedzi, lecz wystarczy powiedzieć, że jeżeli usługa, wyświadczona przez danie dyamentu, jest większa od usługi, wyświadczonej daniem kamienia, to tylko dlatego, że dyament ma większą wartość niż kamień, — i tak znowu wrócilibyśmy do tego samego miejsca. Otóż nie usługa, wyświadczona przez tego, który mi daje jakiś przedmiot, stanowi o wartości tego przedmiotu, ale przeciwnie wartość przedmiotu otrzymanego jest dopiero oznaką i miarą doniosłości wyświadczonej usługi.

cego także pracę, lecz zawierającego w sobie również wiele innych pojęć, jak rzadkość, użyteczność i t. d., który też z powodu tego wszystkiego, co wyraża i czego nie wyraża, da się równie dobrze zastosować do wszystkich systemów.

Każda z tych poprawek usuwa pewne zarzuty, które można było zrobić pierwotnej teoryi pracy, lecz z drugiej strony, w miarę tego jak je poprawia, odbiera jej najważniejszą jej zasługę, jej zgodność z zasadą sprawiedliwości.

W samej rzeczy wykazaliśmy, że istniałaby harmonia, gdyby było można udowodnić, że wartość danego przedmiotu jest odpowiednią do trudu, poniesionego dla jego wytworzenia, jednakowoż ta harmonia znika, a przynajmniej staje się bardzo niejasną, jeżeli się poprzestaje na wykazaniu, że wartość jakiegoś przedmiotu jest jedynie proporcyonalną do pracy, potrzebnej do odtworzenia takiego samego przedmiotu, jak to utrzymuje Carey, — lub do nieponiesionego w rzeczywistości trudu, jaki trzebaby sobie zadać w celu nabycia przedmiotu równego, jak to twierdzi Bastiat, lub wreszcie do pracy przeciętnej, (więc niezależnej od sił indywidualnych), wymaganej do produkcyi odnośnej kategoryi przedmiotów, według zdania Marxa.

Niepodobna się wahać między temi dwoma teoryami wartości. Pierwsza z nich jest wyrazem tego, co jest; w istocie bowiem wartość rzeczy pozostaje w stosunku do naszych potrzeb i żądań. Druga znów wyraża to, co być powinno, albowiem byłoby bardzo do życzenia, ażeby wartość odpowiadała naszym staraniom i pracy — lecz w rzeczywistości tak nie jest. Jest to może bardzo niekorzystnem, lecz niema na to innej rady, jak tylko starać się jak najlepiej zastosować do tego prawa naturalnego, tak jak zastosowujemy się do wielu innych, chociaż pragnęlibyśmy, aby one działały inaczej.

Należy jednak zauważyć, że druga teorya służy po-

średnio do uzupełnienia pierwszej, gdyż, jak widzieliśmy, pojęcie użyteczności krańcowej łączy się ściśle z ograniczoną liczbą dóbr, a to ograniczenie znowu jest związane z pojęciem pracy.

Rzeczywiście, ograniczenie w ilości nie jest samo przez się zjawiskiem bezwzględnem, bo niema z pewnością na świecie wśród darów przyrody, a tem bardziej wśród wytworów przemysłu ludzkiego żadnej rzeczy, której ilość byłaby tak ograniczoną, żeby choć z trudem wzrastać nie mogła. Mówiąc, że dyamenty są rzadkie, nie twierdzimy, że natura wydała je w pewnej, ściśle oznaczonej ilości, tylko, że potrzeba wiele trudu i szczęścia, aby je znaleźć i że istniająca ich ilość może wzrastać tylko z wielkim mozołem. Mówiąc, że chronometry są rzadkie, nie daje się przez to do zrozumienia, że na świecie istnieje tylko pewna ograniczona ich liczba, owszem można je wyrabiać w nieskończoność, lecz wyrób dobrego chronometru wymaga znacznej ilości czasu i szczególnej zręczności, to też ilość ich jest ograniczoną przez pracę i czas. Byłoby nawet lekkomyślnością twierdzić, że ściśle ograniczoną jest liczba choćby obrazów Rafaela, albowiem może się zdarzyć, że znajdziemy jeszcze dziś nam nieznane jego obrazy w jakiejś szopie, lub w jakimś starym kościele.

Nawet jeżeli istniejąca ilość dóbr nie da się w rzeczywistości zmienić, wystarcza sama możność dowolnego zwiększenia ich zapasów — n. p. odkrycie chemika, zmieniające węgiel na dyament, zanim jeszcze zastosowano je praktycznie — aby oddziałać na potrzeby, a tem samem na wartość.

Na pytanie więc, co jest przyczyną wartości, możemy odpowiedzieć w następujący sposób:

Rzeczy mają większą lub mniejszą wartość, stósownie do tego, czy ich mniej czy więcej pożądamy.

Pożądamy zaś ich mniej lub więcej stósownie do tego, czy ilość ich jest mniej lub więcej niewystarczającą dla zaspokojenia naszych potrzeb.

Ilość zaś ich jest mniej lub więcej niewystarczająca w miarę tego, o ile możemy je pomnażać z większą lub mniejszą łatwością.

X.

Wartość wymienna.

A) W poprzednich rozdziałach rozbieraliśmy wartość tylko ze stanowiska indywidualnego, abstrahując, że tak powiem, od społeczeństwa. W praktyce jednak najważniejszą jest właściwie wartość wymienna, czyli oznaczenie, ile jest wartą dana rzecz na targu, bo tam tylko możemy ją pozbyć albo nabyć.

Zdawałoby się, że wartość wymienna jest czemś zupełnie różnem od wartości indywidualnej, która, jak to widzieliśmy, jest inną u każdej jednostki, podczas gdy wartość zamienna jest zawsze jednakową na tym samym targu, tak. że nazywamy ją kursem, który ogłasza się w dziennikach handlowych i służy za podstawę dla statystyki a nawet dla spekulacyi. Podczas gdy wartość indywidualna jest podmiotową i wynika po prostu z szacunków indywidualnych, wartość wymienna jest przedmiotową, niejako narzuconą ocenie indywidualnej, gdyż, jak to mówią, tak sprzedający jak i kupujący muszą stosować się do kursu.

Wskutek tego dawniejsi ekonomiści, począwszy od Arystotelesa, uderzeni tą antytezą, nazywali za przewodem Adama Smitha wartość indywidualną wartością użytkową, a wartość społeczną wartością wymienną czyli targową i podczas gdy o pierwszej miała decy-

dować użyteczność, druga stosowała się, ich zdaniem do podaży i popytu, a więc podlegała czynnikom zupełnie innym.

Prawo podaży i popytu twierdziło, że »cena stoi w prostym stosunku do popytu, a w odwrotnym do podaży«. To mniemane prawo, zaczepione po raz pierwszy przez Cournota jest dziś bardzo zdyskredytowanem. Można mu słusznie postawić następujące zarzuty:

1) Pomimo swej pretensyi do ścisłości matematycznej nie zgodnem jest z rzeczywistością. Gdyby w kraju zamkniętym podaż zboża zmniejszyła się o połowę, cena poszłaby znacznie prędzej w górę i nie byłaby dwa razy, lecz pięć razy wyższą od dawniejszej i naodwrót. Z drugiej znowu strony jeżeliby podaż wina zmniejszyła się o połowę, cena nie podwoiłaby się z pewnością.

2) Prawo podaży i popytu bierze skutek za przyczynę. Jeżeli wzrost popytu podnosi ceny, to z drugiej strony jest jasnem, że zwyżka cen zmniejsza popyt; i naodwrót, jeżeli wzrost podaży zniża ceny, to znowu zniżka ceny przyczynia się do ścieśnienia podaży. Innemi słowy, równie dobrze można powiedzieć, że podaż i popyt regulują ceny, jak także, że cena reguluje podaż i popyt [1]).

[1]) Weźmy jakikolwiek papier giełdowy, n. p. rentę 3% i przyjmijmy, że kurs jej wynosi 100 franków. Przypuśćmy, że przy otwarciu giełdy, popyt na nią będzie dwa razy większy od podaży. Któżby się spodziewał, że cena jej podwoi się i dojdzie do 200 fr.; a przecież musiałoby to nastąpić, gdyby prawo podaży i popytu było zupełnie ścisłe. W rzeczywistości kurs renty nie podniesie się może nawet o całego franka, a to z tej prostej przyczyny, że większa część osób, które chciały kupić po 100 fr., powstrzyma się od zakupna, skoro się cena podniesie. Jasnem jest, że jeżeli liczba rent żądanych zmniejsza się w miarę tego, jak cena wzrasta, to równocześnie podnosi się dla tej samej przyczyny liczba rent ofiarowanych. Koniecznie więc musi przyjść chwila, kiedy malejący popyt i wzrastająca podaż zupełnie się zrównają, a wtedy zapanuje równowaga. Lecz zwyżka o kilka centymów jest zazwyczaj wystarczająca, aby doprowadzić do tego rezultatu. Mniej więcej to samo

3) Pojęciom podaży i popytu nie nadaje się żadnego bliżej określonego znaczenia. Jeszcze przez podaż możnaby rozumieć ilość towarów, t. zn. zasób dóbr znajdujących się na targu, chociaż nawet i tutaj sama możliwość zmniejszenia tych towarów, n. p. obawa złych zbiorów, działa w wielu wypadkach tak samo, jak rzeczywiste ograniczenie podaży; ale cóż mamy rozumieć przez popyt? W samej rzeczy ilość żądanych towarów jest zupełnie nieoznaczoną, ponieważ zależy jedynie od ceny. Gdyby butelka wina Bordeaux kosztowała centa, popyt na nie byłby nieograniczony; gdyby kosztowała sto franków, nie byłoby go wcale!

Dziś już ekonomiści nie uznają tej dwoistości, ani tej sprzeczności obu wartości, lecz obie usiłują sprowadzić do jednego pojęcia i do jednej przyczyny, t. zn. do pragnienia czyli użyteczności krańcowej, o której mówiliśmy poprzednio.

Jedyna różnica, która zachodzi między obydwoma rodzajami wartości, polega na tem, że przy wartości podmiotowej uwzględniamy jedynie użyteczność krańcową, jaką dany przedmiot ma dla swego właściciela, natomiast przy wartości wymiennej musimy zważać nietylko na użyteczność krańcową danej rzeczy dla jej posiadacza, lecz także dla innych, t. zn. dla ewentualnych nabywców.

Wszystko to jest zupełnie jasnem, to też ta teorya tłumaczy cały szereg faktów, które dotąd należało pozostawić w cieniu.

Jeżeli naprzykład mam tysiąc worów zboża na strychu, to tysiączny wór niema wprawdzie dla mnie żadnej wartości ani użyteczności, lecz posiada taką samą wartość wymienną, jak inne wory; gdyż jeżeli sam mam więcej zboża, niż go potrzebuję dla własnej konsumcyi, to znajdują się inni, którym go brakuje. Stąd też dla nich

dzieje się ze wszystkimi towarami; popyt i podaż dążą do wyrównania zapomocą wzrostu i zniżki cen.

nawet tysiączny wór ma pewną użyteczność krańcową, a tem samem musi mieć pewną wartość. Ale jeżeliby zboże było tak obfitem jak woda, t. z. jeżeliby każdy był w nie nadmiernie zaopatrzonym, w takim razie ten tysiączny wór nie miałby dla nikogo, ani dla mnie, ani dla innych, użyteczności krańcowej, a tem samem nie mógłby mieć tak wartości wymiennej jak i indywidualnej. Jeżeli posiadam już dobry zegarek, drugi będzie miał już użyteczność o wiele niższą od pierwszego; a przecież, jeżeli są jednakowe, będą miały tę samą wartość poprostu dlatego, że wielu ludzi niema wcale zegarka, stąd też dla nich tak jeden jak drugi ma użyteczność krańcową [1]).

Przechodzimy obecnie do omówienia właściwej trudności problematu.

Ta użyteczność krańcowa dla innych, jest tak samo zmienną, jak użyteczność krańcowa dla jednostki. Niema może na targu [2]) dwóch kupujących, dla których ten sam wór zboża miałby taką samą użyteczność krańcową. A przecież wiemy, że na tym samym targu towary, tego samego rodzaju mają zawsze jednakową cenę. W rzeczy samej, jak już powiedzieliśmy, polega wartość na przenoszeniu jednej rzeczy ponad drugą, więc jakżeż może powstać różnica wartości tam, gdzie nie może być mowy o pierwszeństwie, gdyż ma się do czy-

[1]) Okazuje się to najlepiej przy pieniądzu. 10 złr. jest bezwarunkowo użyteczniejsze dla ubogiego niż dla milionera, ponieważ pierwszemu zapewnia utrzymanie przez dni kilkanaście, drugiemu służy na zakupienie paru drobnostek. A pomimo tego wartość 10 złr. jest zawsze jednakowa, czy znajdują się one w ręku bogatego czy ubogiego, po prostu dlatego, że ilość tych pieniędzy jest zbyt małą, aby wszyscy, którzy je mieć pragną, rzeczywiście je uzyskali, więc też krańcowa ich użyteczność jest dla wielu ludzi bardzo znaczną.

[2]) Pod targiem nie rozumiemy w nauce gospodarstwa społecznego jednej miejscowości, lecz całe terytoryum, na którem, dzięki łatwej i szybkiej komunikacyi, istnieje dla danego towaru jednakowa cena. Tak n. p. dla złota cały świat stanowi jeden targ, dla zboża całe państwa.

nienia z jednakowymi przedmiotami [1]). W takim razie jednak powstaje pytanie, jak pogodzić jednolitość wartości z jednej, z rozmaitością krańcowych użyteczności wymiennych z drugiej strony?

Otóż wyjaśnienie jest łatwe, bo wartość wymienna, która się tworzy na targu, jest do pewnego stopnia wypadkową, wynikającą ze starcia sprzecznych wartości indywidualnych wszystkich uczestników wymiany.

Możnaby tu użyć zupełnie stosownie prawa podaży i popytu, pod warunkiem, że przez »podaż« będziemy rozumieć ilość towarów znajdujących się na targu, a przez »popyt« siłę potrzeb, które zależą od tych towarów. Jasną jest rzeczą, że jeżeli potrzeby wogólności rosną, a ilość towarów zostaje niezmienną, zwiększa się ich użyteczność krańcowa, a zatem i wartość; i na odwrót, jeżeli potrzeby są niezmienne, a pomnaża się ilość towarów, w takim razie użyteczność krańcowa zmniejsza się i może spaść do zera. W tem znaczeniu prawo podaży i popytu jest formułką jasną i wygodną, która jednak nie mówi nic więcej, jak tylko to, o czem już wiemy [2]).

B) Wartość zamienna, którą wytwarza prawo podaży i popytu, jakkolwiek jednostajna na tym samym targu, ulega jednak bezustannym czasowym zmianom, jak to widzimy z codziennych kursów targowych i giełdowych.

Pomimo tego można dostrzedz, że w tych wszystkich wahaniach dąży wartość do pewnego punktu stałego, tak jak wahadło dąży do położenia pionowego, a powierzchnia wzburzonego morza do poziomego. Tym punktem stałym są koszta produkcyi.

Kosztami produkcyi nazywamy ogólną wartość dóbr

[1]) Zjawisko to nazywa Stanley Jevons prawem obojętności, które wymaga, aby wartość dwóch towarów była równa, jeżeli jest rzeczą zupełnie obojętną, czy się nabędzie jeden z nich czy drugi.

[2]) Wyjaśnienie istoty i wysokości wartości zamiennej zamieszczamy poniżej, przy omawianiu ceny. *(Przyp. tłum.).*

i usług, zużytych w produkcyi w celu uzyskania nowego wytworu.

Jeżeli wartość wytworu jest mniej więcej równą jego kosztom produkcyi, natenczas mówimy, że wartość jego jest normalną. Rozumiemy przez to, że stoi ona w swym punkcie równowagi ekonomicznej.

Łatwo wyjaśnić przyczynę tego zjawiska. Ile razy wartość zamienna przewyższa koszta produkcyi, zwiększa się zysk wytwórcy, który zachęca do rozszerzenia tej gałęzi produkcyi, a tem samem mnożąc ilość odnośnych wytworów, obniża stopniowo ich użyteczność krańcową, a zatem stosownie do poprzednich wywodów, ich wartość zamienną. Przeciwnie we wszystkich tych wypadkach, w których wartość zamienna jest niższą od kosztów produkcyi, wytwórca ponosi straty, które powtarzając się stale, zmuszają go do ograniczenia produkcyi i zmniejszając w ten sposób ilość wytworów, podnoszą ich użyteczność krańcową i wartość zamienną.

Dla tych powodów dostrzegamy w każdej produkcyi dążenie do wytworzenia pewnego stałego stosunku pomiędzy wartością wytworu a jego kosztami produkcyi.

Stosunek ten jest jednem z najważniejszych praw ekonomii politycznej, nie można jednak twierdzić, jak to czyniono dawniej, że koszta produkcyi decydują o wartości wytworów. Szczególniej szkoła, która uważa pracę za przyczynę i podstawę wartości, skłania się do tego, aby koszta produkcyi uznać za przyczynę wartości. Taka teorya jednak jest niedokładną, bo naodwrót możnaby równie dobrze twierdzić, że wartość decyduje o produkcyi wytworów i reguluje jej koszta. Zadanie przedsiębiorcy polega właśnie na tem, ażeby nie wydawał na wytworzenie jakiejś rzeczy więcej, niżli ona będzie warta; jeżeli mu się uda wydać mniej, będzie miał zysk, jeżeli zaś jest tak niezręcznym, że wyda za dużo, może wprawdzie narazić się na ruinę, lecz wartość wytworu ani na grosz się nie powiększy.

Niema tu więc koniecznego stosunku przyczynowego, lecz po prostu musimy powiedzieć, że pod naciskiem powodów zewnętrznych, t. zn. konkurencyi i tylko tam, gdzie ona działa, (dowodem na to jest fakt, że przy monopolu ten związek nie istnieje) koszta produkcyi i wartość wytworów starają się zawsze wzajemnie przybliżyć.

C) Wprawdzie pod wpływem konkurencyi wartość wytworów i koszta ich produkcyi dążą do wzajemnego wyrównania, jednakże w gospodarstwie dostrzegamy niekiedy odmienne, a nader ciekawe zjawisko, które nazywamy r e n t ą.

Weźmy n. p. kilkaset worków zboża, dostarczonych na targ. Oczywista, że nie wszystkie zostały wytworzone w równych warunkach; jedne otrzymano przy pomocy nawozu i pracy, inne znów jakby same wyrosły na urodzajnej ziemi; te, okrążywszy przylądek Horn, przybyły ze San-Francisco podczas gdy drugie pochodzą ze sąsiedniego gospodarstwa. Gdyby każdy worek nosił napisane na kartce swe koszta produkcyi, to z pewnością nie znalezionoby może dwóch kartek, na którychby wypisano tę samą cyfrę. Przypuśćmy n. p., że te koszta mieściłyby się pomiędzy 10 a 20 franków.

Tymczasem widzieliśmy powyżej, że te same wytwory nie mogą mieć na targu rozmaitej ceny, a więc, że cena wszystkich worów zboża będzie jednakową. Jakżeż więc może powstać łączność między ceną a kosztami produkcyi, jeżeli cena wszystkich worów będzie jednakową, a koszta produkcyi są dla każdego inne.

Oto jest odpowiedź. Cena targowa będzie odpowiadać jedynie kosztom produkcyi tego woru, którego wytworzenie było najkosztowniejszem, czyli w naszym przykładzie kosztem 20 fr. Przyczyna tego jest bardzo prosta. Gdyby cena nie wystarczała do pokrycia kosztów produkcyi zboża, uzyskanego w najnieprzyjaźniejszych warunkach, właściciel jego nie przybyłby więcej na targ, a wtedy cena musiałaby się podnieść, bo zmniejszyłaby się ilość

zboża, podczas gdy potrzeby pozostałyby w dawnej wysokości.

Możemy więc postawić następującą zasadę: Ile razy jednakowe wytwory pozbywają się na tym samym targu, wartość ich stara się dorównać najwyższym kosztom produkcyi.

Z tego wynika, że taka cena daje wyższe lub niższe zyski wszystkim tym szczęśliwszym wytwórcom, których koszta produkcyi były mniejsze; i to zyski tem większe, im koszta ich były niższe, tak, że ten, którego wór kosztował 10, ma w zysku 10, ten, którego wór kosztował 12: 8, ten którego wór kosztował 15: 5, i t. d. Zysk taki, natury wyjątkowej, nazywa się rentą i odgrywa on w ekonomii politycznej bardzo ważną rolę.

Pierwszy Anglik Anderson (1777) odkrył prawo renty, lecz całą sławę tej teoryi pozyskał Ricardo. Obaj zastosowali ją tylko do płodów rolnych, lecz w naszych czasach rozszerzono ją bardzo znacznie. Wszędzie, gdzie jednakowe wytwory sprzedają się po jednej cenie, zjawisko renty polegające na przewyżce ceny ponad koszta produkcyi, ukazuje się na korzyść wytwórców, pracujących w okolicznościach najwięcej sprzyjających [1]).

D) Ponieważ podstawą wartości jest pragnienie, przeto aby wymierzyć wartość rzeczy, należy zmierzyć siłę pragnienia, które ona w nas wywołuje. W tym celu posiadamy tylko jeden środek, to znaczy, musimy porównać jedno pragnienie z drugiem i zobaczyć, w jakim stosunku stoją do siebie, t. j. czy są równe, czy też jedno z nich jest silniejsze, a drugie słabsze. Podobnie jak dla ocenienia ciężaru jakiegoś ciała porównywamy siłę przyciągania, którą kula ziemska wywiera na nie i na inne ciało, tak samo możemy zmierzyć wartość jakiejś rzeczy przez stopień atrakcyi, który ona ma dla nas.

Wprawdzie nie mamy wagi, aby odważyć pragnienia, lecz posiadamy środek równie czuły, t. j. wymianę. W każdej wymianie — a w każdem cywilizowanem społeczeństwie wymiana stanowi główne tło ekonomicznego życia — musimy zgodzić się na pewną ofiarę, ażeby zaspokoić swe potrzeby, musimy odstąpić część dóbr własnych, ażeby uzyskać inne, które pragniemy nabyć. To też jasnem jest, że doniosłość tej ofiary może posłużyć za miarę wielkości pragnienia.

Jeżeli dziesięć baranów daje się za jednego wołu, to czyż nie jest to dowodem, że z tej lub owej przyczyny wół jest dziesięć razy bardziej pożądanym dla ludzi, niż baran?

Im żywszem jest to pragnienie, jakie dany przedmiot w nas wzbudza, tem trudniej nam przyjdzie rozstać się z nim. A im wyższe miejsce zajmuje on w porządku naszych upodobań, tem większą będzie ilość wszystkich innych dóbr, jaką trzebaby nam ofiarować, aby obudzić w naszej duszy pragnienie przeciwne, lecz równie silne i przechylić szalę na stronę tego ostatniego. To też słusznie się mówi, że wartość rzeczy jest oznaczona przez ilość innych rzeczy, za które ją można zamienić, albo jeszcze krócej, o wartości danej rzeczy rozstrzyga jej siła kupna [1]).

Jeżeli zatem przy zamianie wołu mogę za niego otrzymać 8, 10 lub 12 baranów, to powiem, że wartość wołu jest 8, 10 lub 12 razy większą od wartości barana, albo przeciwnie, że wartość barana jest 8, 10 lub 12 razy mniejszą od wartości wołu, co można ogólnie wyrazić mówiąc, że wartość towarów stoi w odwrotnym stosunku do zamienianych ich ilości. Im więcej trzeba dać jakiej rzeczy, tem mniej ona warta, a im

[1]) Dokładniejsze wyjaśnienie istoty renty znajduje się w księdze III., w rozdziale o »prawie renty gruntowej«.

[1]) Lecz nie można mówić, jak to bardzo często czynią, że siła kupna jest tem, co stanowi wartość. Wartość stanowią jedynie nasze upodobania. Siła ta jest tylko skutkiem wartości, tak samo jak siła przyciągająca elektro-magnesu jest tylko skutkiem prądu, który ją wywołuje.

mniej trzeba jej oddać w zamian za inne, tem większą posiada wartość. Zupełnie tak samo, jak przy wadze: kiedy szale są w równowadze, wtedy można powiedzieć, że ciężary przedmiotów stoją w odwrotnym stosunku do ważonych ilości. Jeśliby trzeba było położyć 10 baranów na jednej szali, aby zrównoważyć jednego wołu, będącego na drugiej, to dlatego, że ciężar barana jest jedną dziesiątą częścią ciężaru wołu.

XI.

Cena.

Wartość jakiejś rzeczy można wyrazić w tysiączny sposób. Homer oceniał zbroję Dyomeda na sto wołów, Japończyk powiedziałby jeszcze przed kilku laty, że warta tyle a tyle cetnarów ryżu, czarny mieszkaniec Afryki tyle a tyle metrów materyi bawełnianej, myśliwy w Kanadzie tyle a tyle skór lisów albo wydr, wreszcie Francuz lub Amerykanin XX. wieku powie, że warta tyle i tyle franków, względnie dolarów. — Każde z tych wyrażeń jest w swoim rodzaju mierzeniem wartości, lecz tylko to ostatnie — które oznacza wartość jednej rzeczy zapomocą wartości pewnej ilości sztuk złota lub srebra — nazywa się c e n ą.

A zatem cena jakiejś rzeczy, jest to wyrażenie stosunku, jaki istnieje między wartością tej rzeczy a wartością pewnego ciężaru złota lub srebra, albo krótko mówiąc, jest to jej w a r t o ś ć, w y r a ż o n a w p i e n i ą d z a c h; a ponieważ we wszystkich krajach cywilizowanych pieniądz jest jedyną miarą wartości, przeto słowo »cena« stało się synonimem wartości. I jest to jedyny sposób wyrażenia wartości, jakiego istotnie zwykle używamy, jakkolwiek teoretycznie moglibyśmy używać nieskończenie wielu innych. Zupełnie tak samo, jak przy mierzeniu długości mówi się zawsze tylko o metrach i centymetrach, choć moglibyśmy także wyrażać długość przez porównanie ze wzrostem człowieka, wysokością drzewa lub nie wiedzieć jaką inną długością.

Niemniej jednak nie należy mięszać ceny z wartością, jak to czyni lud i n. p. sądzić, że ponieważ na dwóch różnych miejscach cena dwóch rzeczy jest jednakowa, przeto i wartość ich powinna koniecznie być taka sama, albo naodwrót, ponieważ cena jakiejś rzeczy się zmieniła, to i wartość powinna uledz zmianie w tym samym stosunku. Takie rozumowanie może być bardzo błędne.

Przypuśćmy w istocie, że wartość szlachetnych kruszców uległaby zmianie, to rzecz jasna, że i wartość wszystkich rzeczy, oznaczona zapomocą wartości szlachetnych kruszców, musiałaby się zmienić; t. zn. zmieniłaby się ich cena i to w stosunku odwrotnym do zmiany, jakiej uległy szlachetne kruszce.

Gdyby n. p. długość metra, a raczej długość obwodu ziemi, której metr jest tylko podpodziałem, zmniejszyła się o dziesiątą część wskutek skurczenia się kuli ziemskiej, to czyż nie naturalna, że wszystkie przedmioty, którebyśmy odtąd mierzyli, zdawałyby się nam przez to o jedną dziesiątą dłuższe lub wyższe? Tymczasem niby się nie zmieniło w rzeczywistości, byłoby to tylko złudzenie, spowodowane skróceniem jednostki miary. Tak samo, gdyby szlachetne kruszce straciły $^1/_{10}$ część swej wartości z powodu zjawiska już nie tak zadziwiającego, n. p. wskutek zbytniej obfitości złota lub srebra, to jasną jest rzeczą, że i cena wszystkich przedmiotów, t. zn. wartość, wyrażona w pieniądzu, podniosłaby się napozór o jedną dziesiątą.

To też można postawić zasadę, że k a ż d a z m i a n a w w a r t o ś c i p i e n i ą d z a w y w o ł u j e z m i a n ę w c e n i e, a l e w s t o s u n k u o d w r o t n y m [1]).

---

[1]) A czy zdanie odwrotne byłoby również prawdziwe i czy

Ponieważ mniejsza lub większa ilość pieniędzy jest głównym czynnikiem oddziaływującym na ich wartość, przeto postawićby można jeszcze drugą zasadę, chociaż już nie tak bezwzględnie prawdziwą jak pierwsza, mianowicie: każda zmiana w ilości pieniędzy powoduje zmianę w cenie w prostym stosunku[1]). Jeżeli n. p. ilość pieniędzy podwoi się w jakimś kraju, to o ile inne warunki się nie zmienią, ceny podniosą się ogromnie; wszelako niebezpiecznem byłoby utrzymywać, że się również ceny podwoją.

I. Wartość przedmiotowa zamienna. Celem każdej wymiany jest korzyść, którejby nie było, gdybyśmy się ograniczyli na własne gospodarstwo. To też wymiana musi przynieść pewien zysk obu stronom — sprzedającemu i kupującemu — w przeciwnym bowiem razie jedna z nich nie miałaby w zamianie żadnego interesu. Zysk ukaże się, jeżeli towar pozbywany odstąpimy powyżej, nabywany zaś dostaniemy poniżej naszej podmiotowej wartości, czyli jak się mówi zwyczajnie, jeżeli drogo sprzedamy, lub tanio kupimy. Lecz przy wymianie muszą zyskać obie strony, stąd też sprzedający musi ten sam towar drogo pozbyć, który kupujący tanio nabywa. Zajść to może tylko w takim razie, jeżeli poglądy obu stron na ten sam przedmiot w ten sposób się różnią, że kupujący przyznaje mu wyższą krańcową użyteczność od sprzedającego. W ten sposób dochodzimy do następujących prawideł:

1) Nikt nie sprzeda swego towaru poniżej, nikt nie kupi go powyżej swej podmiotowej wartości, bo poniósłby stratę.

2) Każdy chce kupić jak najtaniej, sprzedać jak najdrożej, lecz zgodzi się na wymianę, byleby cena przy kupnie była niższą, przy sprzedaży wyższą od krańcowej użyteczności, bo najdrobniejszy nawet zysk jest pożądany.

3) Istotnym warunkiem każdej wymiany jest przyznawanie towarom wyższej krańcowej użyteczności przez nabywającego niż przez pozbywającego.

Na tych podstawach możemy oznaczyć najwyższą i najniższą granicę przedmiotowej wartości zamiennej, mianowicie wartość zamienna jakiegokolwiek towaru nie może przewyższać jego krańcowej użyteczności dla kupującego, a z drugiej strony nie może być niższą od jego krańcowej użyteczności dla sprzedającego, albowiem w pierwszym wypadku nie chcianoby towaru kupić, w drugim zaś sprzedać. W tych granicach wartość zamienna może się podnosić lub spadać w miarę tego, czy jedna czy druga strona potrafi lepiej wyzyskać sprzyjające okoliczności, n. p. swe monopoliczne stanowisko, przymusowe położenie przeciwnika, jego nieudolność lub nieświadomość i t. p.

Jeżeli teraz zastanowimy się nad czynnikami, które mogą wpłynąć na przesunięcie tych granic,

---

możnaby twierdzić, że każda zmiana w cenie dowodzi zmiany w pieniądzu w przeciwnym kierunku? Możnaby, ale tylko wtedy, gdyby zmiana w cenie była w istocie powszechną. Jeżeliby zaś objawiła się tylko przy niektórych wytworach, wówczas przypuścić należy, że zmiana ich ceny wynikła z przyczyn innych, im tylko właściwych.

[1]) Ta druga zasada nie jest bezwzględnie prawdziwą, albowiem ilość nie jest jedynym czynnikiem, który wpływa na wartość pieniędzy. Rozwój zamiany, wzrost ludności, zastąpienie pieniądza kruszcowego środkami kredytowymi, a przedewszystkiem szybszy lub powolniejszy jego obieg, który równa się większemu lub mniejszemu pomnożeniu pieniądza, mogą różnie oddziałać na użyteczność pieniędzy, a przez to i na ich wartość, niezależnie od jakiejkolwiek zmiany w ich ilości.

dochodzimy do przekonania, że mogą tu oddziałać cztery przyczyny:

1) Siła potrzeb po stronie sprzedającego, gdyż im ich znaczenie będzie wyższe, tem dany towar będzie miał dla niego wyższą podmiotową wartość.

2) Siła potrzeb po stronie kupującego, z tego samego powodu.

3) Ilość towarów, którymi rozporządza sprzedający, czyli t. zw. pokrycie, albowiem im ich będzie więcej, tem niższą będą miały krańcową użyteczność, służąc słabszym potrzebom.

4) Ilość towarów, która brakuje kupującemu, czyli t. zw. zapotrzebowanie, gdyż im mniej ma on odnośnych środków na pokrycie swych potrzeb, tem wyżej przerywa się ich zaspokojenie, a tem samem tem wyższą krańcową użyteczność mają dla niego takie same dobra, które może nabyć w drodze wymiany.

Możemy więc powiedzieć, że jeżeli wymiana przyjdzie do skutku, t. zn. jeżeli jest korzystną, granice wysokości przedmiotowej wartości zamiennej muszą stać w prostym stosunku do siły potrzeb, a w odwrotnym do obustronnych zasobów.

W rzeczywistości jednak zdarza się najczęściej, że sprzedający posiada tak znaczny zapas towarów pewnego rodzaju, że gdyby niemożliwość wymiany zmusiła go do użycia ich na własne potrzeby, znaczna część tych przedmiotów byłaby dlań zupełnie bezużyteczną, t. zn., że dobra te nie mają dla niego żadnej podmiotowej wartości użytkowej, a więc wykluczając wymianę, żadnej krańcowej użyteczności. Wielkiemu właścicielowi ziemskiemu po zaspokojeniu wszystkich potrzeb, pozostałoby jeszcze bardzo wiele zboża; fabrykant sukna może zaledwie drobną część swoich wytworów użyć dla siebie; właściciel kopalni

nie przywiązywałby do swoich węgli żadnej wartości, gdyby nie mógł ich sprzedać i t. d. Wskutek tego użyteczność krańcowa po stronie sprzedającego jest najczęściej bardzo nizka, prawie równa zeru, tak, że w istocie mamy do czynienia zwykle tylko z najwyższą granicą dla wartości wymiennej, t. j. z krańcową użytecznością dla kupującego.

II. Cena. Przy każdej wymianie mamy do czynienia z dwoma towarami — z przedmiotem, który chcemy nabyć, i dobrem, które ofiarujemy w zamian — których wartości musimy porównać ze sobą, innemi słowy, oznaczyć wartość jednego, wartością drugiego. Płacąc n. p. za 1 hl. pszenicy 8 złr., okazujemy tem samem, że jednemu hektolitrowi przyznajemy ośm razy większą wartość, niż jednemu złotemu. Wyraz tego stosunku nazywamy ceną, która jest niczem innem, jak tylko oznaczeniem wartości jednego przedmiotu wartością innego. Najczęściej obliczamy cenę w pieniądzach, lecz nie jest to koniecznem, gdyż niejednokrotnie określa się ją równie dobrze w inny sposób, n. p. gdy się cokolwiek nabywa — w naszych stosunkach najczęściej usługi — za t. zw. naturalia, a więc pożywienie, mieszkanie i t. d. Ponieważ cena jest tylko wyrażeniem wartości wymiennej jednego dobra zapomocą wartości innych przedmiotów, przeto odnoszą się do niej wszystkie zasady, które wymieniliśmy poprzednio. Zdawałoby się więc, że ktokolwiek przyznaje towarowi wysoką podmiotową wartość, będzie mógł ofiarować wysoką cenę i naodwrót przy małej krańcowej użyteczności będziemy mieli zawsze nizką cenę. Tymczasem w rzeczywistości zdarza się niejednokrotnie, że właśnie ci, dla których towar jest niezbędny, ofiarują tak małą cenę, że nie mogą go kupić. Tak n. p. kawał gruntu ma bezsprzecznie wyższą wartość dla drobnego robotnika, któremuby za-

pewnił utrzymanie, niż dla wielkiego właściciela ziemskiego, który pragnie przemienić go w park, a przecież pierwszy ofiaruje za morg tylko 200 lub 300 złr., drugi może zapłacić dwa i trzy razy tyle. Zupełnie tak samo mały rękodzielnik musi nieraz sprzedawać taniej swe wyroby od wielkiego fabrykanta, jakkolwiek wielki przedsiębiorca nie nadaje swym towarom żadnej wartości użytkowej, rzemieślnik zaś może ich użyć na swe własne potrzeby, a więc przywiązuje do nich większą wagę. Wszystko to jest zjawiskiem codziennego życia, które wyjaśniamy bardzo dobrze, mówiąc, że uboższy nie może rywalizować z bogatszym, bo brak mu pieniędzy. Naukowo da się to uzasadnić bardzo łatwo, jeżeli tylko uwzględnimy krańcową użyteczność dóbr, które odstępujemy w zamian za jakiś towar. Przypuśćmy, że w naszym przykładzie rolnik przyznaje swej roli wartość podmiotową 1000, wielki właściciel tylko 500, lecz równocześnie rolnik ceni każdą jednostkę pieniądza na 10, jego rywal natomiast na 2 jednostki tego samego rodzaju. Widoczną jest rzeczą, że wartość podmiotowa dla rolnika będzie dwa razy wyższą, a cena, którą dać może, półtrzecia razy niższą, niż wielkiego właściciela. Wartość wymienna oznacza się wartością podmiotową, cena zaś stosunkiem między towarem nabywanym a odstępowanym, więc najwyższą granicą wartości będzie dla rolnika 1000, dla wielkiego właściciela 500, natomiast najwyższą ceną dla pierwszego $\frac{1000}{10} = 100$, dla drugiego $\frac{500}{2} = 250$. Z tego widzimy, że ofiarowana cena jest wypadkową z dwóch wartości podmiotowych, mianowicie towaru, który pragniemy nabyć i przedmiotu, który dajemy w zamian. Wskutek tego obok czterech czynników, które wpływają na wysokość wartości zamiennej, działają na cenę jeszcze cztery takie

same czynniki, odnoszące się do przedmiotu, który oddajemy, względnie otrzymujemy, w zamian za pewien towar, mianowicie siła potrzeb i zapotrzebowanie po stronie sprzedającego, jakoteż siła potrzeb i pokrycie po stronie kupującego. Działają one jednak w wręcz przeciwnym kierunku. Jeżeli przyjmiemy najczęstszy przypadek ceny pieniężnej, w takim razie możemy powiedzieć, że dolna granica ceny będzie tem niższą im sprzedający więcej potrzebuje pieniędzy, a mniej ich posiada; górna zaś tem wyższą, im kupujący ma więcej pieniędzy, a mniej ich potrzebuje. W ten sposób, łącząc czynniki decydujące o granicach wartości wymiennej i ceny w jedną całość, dochodzimy do zasady, że granice wysokości ceny muszą stać w prostym stosunku tak do siły potrzeb, zaspokajanych danym towarem jak i do zasobów przedmiotu, użytego za miarę wartości, w odwrotnym zaś do zasobów danego towaru i do siły potrzeb, pokrywanych tym miernikiem wartości.

Widzieliśmy już poprzednio, omawiając wartość zamienną, że te granice są bardzo szerokie, gdyż czasami sprzedający nie przyznaje swemu towarowi żadnej podmiotowej wartości. Niekiedy jednak możemy ścieśnić to pole i znacznie dokładniej i ściślej oznaczyć wysokość ceny. W tym celu należy odróżnić cztery wypadki, przyczem jednak musimy pamiętać, że mówiąc o wartości podmiotowej mamy zawsze na myśli podmiotową cenę, t. zn., że nasze ofiary są już wynikiem porównania wartości podmiotowej towaru z wartością dobra, którem za towar płacimy. Przyznając więc jakiemuś towarowi wartość 100, dajemy tem do zrozumienia, że uważamy jego wartość podmiotową za sto razy wyższą

od wartości podmiotowej naszego miernika, np. pieniędzy.

1) Na targu znajduje się jeden tylko sprzedający i jeden kupujący. W tym razie w myśl ogólnej reguły cena będzie leżała pomiędzy wartościami podmiotowemi obu stron. Jeżeli sprzedający A. ocenia swój towar na 100, a kupujący B. ten sam towar na 200, to do układu między nimi przyjdzie po cenie wyższej od 100, a niższej od 200.

2) Na targu jest jeden sprzedający a więcej kupujących (monopol po stronie sprzedającego). Wyobraźmy sobie, że sprzedający A. ocenia swój towar na 100, kupujący zaś B. na 70, C. na 90, D. na 110, E. na 130, F. na 150. Jasną jest rzeczą, że ani B. ani C. towaru kupić nie mogą, bo żaden z nich nie może dojść w swej propozycyi do podmiotowej wartości sprzedawcy, do 100. Są to t. zw. niezdolni do kupna. Pozostali trzej będą się wzajemnie licytować, bo każdy z nich pragnie dany towar kupić i chociaż woli zapłacić taniej niż drożej, to przecież zgodzi się i na wyższą cenę, byleby nie dochodziła do jego podmiotowej wartości. Z drugiej znowu strony sprzedający woli sprzedać lepiej niż gorzej, stąd też jakkolwiek mógłby już zawrzeć układ z D., będzie wyczekiwać wyższych ofert od E. i F. Wskutek tego nabywcy będą ofiarowywać coraz wyższe ceny. Gdy D. dojdzie n. p. do 105, podniesie E., który również chce kupić, cenę n. p. na 108, a F. na 112. Wtedy D. będzie już musiał ustąpić, bo cena 112 przewyższa już jego wartość podmiotową i nadal będą się licytowali tylko E. i F. Po 112 przyjdzie 115, 120 i t. d., aż wreszcie gdy E. ofiaruje najwyższą dla siebie możliwą cenę, cokolwiek mniejszą od 130, wtedy F., woląc kupić drożej niż wcale nie kupić, da coś ponad 130

i zmusi kupującego E. do odstąpienia od dalszej konkurencyi. W ten sposób cena stanie pomiędzy wartością podmiotową dla E., — bo gdyby była niższą, to E. licytowałby dalej — a wartością podmiotową dla F., — bo gdyby przeszła tę granicę, musiałby i on wyrzec się wymiany, do czego sprzedający, kierując się wyżej podanemi zasadami, dopuścić nie może. Tak E. jak i F. są najzdolniejszymi z kupujących, bo mogąc za towar najwięcej ofiarować, najłatwiej go nabędą, powiadamy więc, że gdy na targu jest jeden sprzedający, a więcej kupujących, cena padnie pomiędzy wartościami podmiotowemi obu najzdolniejszych do kupna.

3) Na targu jest jeden kupujący a więcej sprzedających (monopol po stronie kupującego). Jest to wypadek wręcz przeciwny poprzedzającemu, to też cena będzie tu leżała pomiędzy wartościami podmiotowemi obu najzdolniejszych do sprzedaży, t. zn. tych, którzy, przyznając swemu towarowi najniższą użyteczność krańcową, najłatwiej mogą go pozbyć. Rzeczywiście, jeżeli sprzedający A., B., C., D., E., cenią swój towar na 150, 130, 110, 90, 70 a kupujący F. ceni go na 120, to zastosowując rozumowanie, przedstawione poprzednio, przekonywamy się, że dwaj pierwsi (A. i B.) wogóle nie mogą sprzedać, a inni licytując się wzajemnie in minus doprowadzą do tego, że cena stanie pomiędzy 90 a 70.

4) Na targu jest kilku sprzedających i kilku kupujących (wypadek najczęstszy t. zw. ceny konkurencyjnej). Wyobraźmy sobie pewną liczbę sprzedających i kupujących, uszeregowanych według ich zdolności do wymiany, t. j. w miarę tego, jak wartość podmiotowa towaru jest

coraz większą dla sprzedających, a coraz niższą dla kupujących.

Sprzedający	nadaje towarowi wartość podmiotową.	Kupujący	nadaje towarowi wartość podmiotową.
A.	50	J.	300
B.	60	K.	240
C.	80	L.	180
D.	110	M.	140
E.	115	N.	120
F.	150	O.	100
G.	200	P.	90
H.	360	R.	40

Już na pierwszy rzut oka widzimy, że ani H. nie może swego towaru sprzedać, ani R. kupić, gdyż H. ceni go wyżej od wszystkich nabywających, R. niżej od któregokolwiek ze sprzedających. Wszyscy inni będą pragnęli zawrzeć umowę, starając się uzyskać jak największą korzyść, lecz godząc się nawet na mniejszy zysk, jeżeli inaczej wymiana nie może przyjść do skutku. To też ani sprzedawcy, ani nabywcy nie ofiarują ostatecznej ceny, na którą mogliby się zgodzić, spodziewając się że uda się im uzyskać lepsze warunki. Rozpoczyna się więc wzajemne przelicytowywanie się i to w górę po stronie kupujących, a w dół po stronie sprzedających. Zacznijmy od kupujących. Gdy P. ofiaruje n. p. 89, mogliby się na to zgodzić A., B. i C., lecz wiedząc, że są jeszcze inni kupujący, którzy mogą dać więcej, zaczekają na ich ofiary. Wtedy O. da n. p. 94 i wskutek tego P. będzie musiał odstąpić od dalszej licytacyi, gdyż cena ta przewyższa już jego wartość podmiotową. Tak idzie dalej. Przy cenie powyżej 100 odpada O.; powyżej 120 N. i t. d., aż wreszcie gdy J. ofiaruje np. 250, wtedy on jeden mógłby tylko kupić. Lecz na tę cenę mogą się zgodzić wszyscy sprzedający z wyjątkiem H., a ponieważ każdy chce sprzedać

swój towar, przeto mając przed sobą tylko jednego nabywcę J., rozpoczynają się licytować in minus. G. zechce oddać swój towar za 230, a tem samem K. będzie już mógł kupić również; F. dojdzie do 160 i wskutek tego odpadnie G. lecz przybędzie kupujący L., tak, że po tej cenie będziemy mieli sześciu sprzedających (A., B., C., D., E., F.), a trzech kupujących (J., K., L.), czyli, że trzech sprzedających nie znalazłoby nabywców. Muszą więc jeszcze bardziej obniżać swe żądania. Po 130 może sprzedać pięciu, kupić tylko czterech, cena więc musi być jeszcze niższą. Wreszcie jeden ze sprzedających zaproponuje n. p. 119 i po tej cenie może pięciu sprzedać (A. – E.) i pięciu kupić (J.—N.), a dalsze obniżanie lub podwyższanie nie miałoby już celu. Chodzi zawsze o to, aby jak największa liczba mieniających zgodziła się ze sobą, tymczasem gdyby cena spadła n. p. do 105, mielibyśmy trzech sprzedających (A., B., C.), a pięciu kupujących (J.—N.), którzy chcąc kupić, musieliby ze sobą walczyć, podwyższając swe ofiary; i naodwrót, gdyby cena doszła n. p. do 160, byłoby sześciu sprzedających (A.—F.), a tylko trzech nabywców (J.—L.), tak, że sprzedający, chcąc pozbyć swój towar, musieliby obniżać swe żądania.

Z tego przekonywamy się, że w naszym przykładzie zawrze się ogółem pięć umów i że cena będzie się chwiała między 115 a 120, czyli jak przyjęliśmy, stanie na 119. W tym wypadku cena leży pomiędzy wartościami podmiotowymi pary, najmniej zdolnej do wymiany (E. i N.) z pomiędzy wszystkich, które układ zawarły. Gdybyśmy jednak przypuścili, że F. ocenia swój towar na 118, cena stanęłaby między 115 a 118, (gdyby stanęła na 114: byłoby 5 kupujących a 4 sprzedających, gdyby podniosła się do 119, 6 sprzedających, bo F. ocenia na

118, a 5 kupujących, więc licytowałaby się jedna lub druga strona), a więc między wartościami podmiotowemi najsłabszego do sprzedaży z pomiędzy tych, którzy towar sprzedali, i najzdolniejszego z pomiędzy tych, którzy od sprzedaży odpadli. Przeciwnie gdyby O. oceniał towar na 119, pozbytoby go po cenie 119—120, t. zn. cena leżałaby między wartościami podmiotowemi dwóch kupujących, mianowicie najsłabszego z tych, którzy kupili i najsilniejszego z tych, którzy kupić nie mogli.

Rezultaty naszych wywodów możemy ująć w następujące prawidła.

1) W naszym przykładzie widzieliśmy, że do wymiany przyjdą A.—E. po stronie sprzedających, a J.—N. po stronie kupujących, t. zn. ci wszyscy, którzy ułożeni w szereg według malejącej zdolności do wymiany, mogą u siebie dany towar kupić, względnie sprzedać. Dlatego też powiadamy, że tylu uczestników wymiany kupi i sprzeda, ile jest par zdolnych do wymiany, ułożonych według swej zdolności do kupna lub sprzedaży. (A. stanowi parę z J.; B. z K., i t. d., aż do pary E.—N., bo para F.—O, nie ma już zdolności do wymiany, albowiem wartość podmiotowa kupującego O. jest niższą od wartości podmiotowej sprzedającego F.).

2) Przekonaliśmy się, że cena oznacza się wartością podmiotową czterech osób: E., F., N. i O.—E. i N. tworzą razem ostatnią parę tych uczestników, którzy jeszcze mogli uskutecznić wymianę, F. i O. są pierwszą parą z pomiędzy tych wszystkich, które do wymiany dojść nie mogły, innemi słowy para E.—N. stanowi najniższą granicę zdolnych do wymiany, para F.—O. najwyższą granicę niezdolnych. Ponieważ obie te pary decydują o cenie, przeto mówimy krótko, że cena leży pomiędzy wartościami podmiotowemi par granicznych.

XII.

Miernik wartości.

Chcąc sobie wyrobić jasne pojęcie o wielkości, ciężarze, wartości, wogóle o wszystkiem, co dotyczy ilości, nie wystarczy porównać ze sobą dwie rzeczy, lecz należy je porównać obie z trzecią, ściśle oznaczoną i zawsze tą samą, którą nazywamy miarą. Długość mierzymy częściami ciała ludzkiego (stopa, łokieć) lub cząstką obwodu kuli ziemskiej (metr); ciężar, wagą pewnej ilości destylowanej wody (kilogram) i t. p. Żądanie miary może być dwojakie. Albo porównywa się przez nią dwie rzeczy, znajdujące się w dwóch różnych miejscach, albo tę samą rzecz w różnym czasie. Przy pomocy metra możemy porównać wzrost Lapończyków z wzrostem Patagończyków i wzrost generacyi obecnej z przeszłą lub przyszłą, jeżeli ta miara będzie znaną i później. Rzecz jasna jednak, że wyniki będą o tyle tylko dokładne, o ile długość metra będzie — mówiąc o naszym przykładzie — równą w obu krajach i obu epokach. To też niezmienność miary w czasie i przestrzeni jest nieodzownym warunkiem jej dobroci.

Te same zasady stosują się także do mierzenia wartości, powstaje jednak pytanie, jaki przedmiot nadaje się najlepiej na miarę wartości?

Jest to zjawisko godne uwagi, że prawie wszystkie narody zgodziły się, ażeby na miarę wartości wybrać wartość szlachetnych kruszców, mianowicie złota, srebra lub miedzi, lecz przedewszystkiem dwóch pierwszych. To też wszystkie używają małych krążków srebra lub złota, które nazywają frankiem, funtem szterlingiem, marką, do-

larem, rublem i t. d. Chcąc mierzyć wartość jakiegoś przedmiotu, porównywamy ją z wartością tych małych sztuk złota albo srebra, tworzących jednostkę monetarną, to znaczy, pytamy się, ile potrzeba dać tych małych krążków, aby módz nabyć jakiś towar; jeżeli potrzeba dać za niego n. p. 10, to powiadamy, że towar wart 10 franków lub dolarów.

Dlaczego kruszce szlachetne wybrano na miarę wartości? Dlatego, że kruszce szlachetne z powodu pewnych swych niepospolitych własności zostały środkiem wymiany, a właśnie wymiana, jak wykazaliśmy, służy do mierzenia wartości; to też metale szlachetne są jakby z natury przeznaczone do spełniania tego ważnego zadania. Zresztą jakkolwiek szlachetne kruszce nadają się ze względów naturalnych o wiele więcej na środek zamiany, aniżeli na miarę wartości, mimo to jednak posiadają dwie właściwości, pozwalające im spełniać to drugie zadanie w sposób, jeżeli nie bezwzględnie doskonały, to przynajmniej doskonalszy od każdego innego, znanego nam przedmiotu.

Temi własnościami są: z jednej strony bardzo wielka wartość przy drobnej objętości, co nadaje im nader wielką łatwość przewozu; z drugiej zaś posiadają one trwałość prawie nieskończoną, nie ulegają żadnym przemianom chemicznym. Dzięki pierwszej z tych dwóch własności, wartość szlachetnych kruszców mniej się zmienia wskutek przenoszenia ich z jednego miejsca na drugie, niż wartość jakichkolwiek innych przedmiotów; dzięki znów drugiej, zmienia się najmniej z jednego roku na drugi. A ta podwójna, co najmniej względna, niezmienność w przestrzeni i w czasie, jest istotnym warunkiem każdej wspólnej miary.

1. Co do pierwszego warunku, niezmienności w przestrzeni, to jasną jest rzeczą, że gdyby można usunąć trudność przewozu jakiegoś towaru, i gdyby mu można zapewnić wszechobecność, gdyby cały świat był

dla niego jednym tylko targiem, to doszłoby się do tego, że jego wartość byłaby jednakową we wszystkich miejscach. Przypuśćmy nawet, że w jednej miejscowości byłaby mniej wysoką, niż w drugiej, to nie omieszkanoby w takim razie postarać się o przewiezienie danych rzeczy z pierwszego z tych miejsc na drugie; a ponieważ przewóz, według założenia, nie przedstawiałby żadnych trudności i nicby nie kosztował, przeto wystarczałaby już najlżejsza różnica, aby taka czynność przyniosła korzyści. Równowaga, na razie stracona, wróciłaby zatem w oka mgnieniu, podobnie jak zaraz powraca do niej poziom płynu, którego molekuły znajdują się w stanie zupełnie ciekłym.

Otóż szlachetne kruszce, posiadając ze wszystkich towarów, wyjąwszy drogich kamieni, największą wartość przy najmniejszej objętości, nadają się najłatwiej do przewozu, a wskutek tego wartość ich najprędzej powraca do zwykłego poziomu. Za opłatą jednego procentu od całej wartości za przesyłkę wraz z jej zabezpieczeniem, można przewieźć całą masę złota lub srebra z jednego końca świata na drugi, podczas gdy za przewóz takiegoż samego ciężaru zboża trzebaby zapłacić stosownie do odległości 20, 30, a nawet 50 procent jego wartości. Z tegoby wynikało, że różnica wartości szlachetnych kruszców na wszystkich punktach ziemi nie powinnaby przenosić jednej setnej. Lecz taki wniosek byłby w każdym razie za dalekim. Przeciwnie, jest rzeczą pewną, że wartość szlachetnych kruszców nie jest wszędzie jednaką, mianowicie niższą jest w miejscach ich produkcyi, w krajach obfitujących w złoto i srebro (tem się też tłumaczą wysokie zazwyczaj ceny w tych okolicach); lecz pomimo tego można twierdzić, że wartość szlachetnych kruszców czyni zupełnie zadość pierwszemu warunkowi, t. j. niezmienności w przestrzeni.

2. Już nie tak szczęśliwie czyni ona zadość drugiemu warunkowi, mianowicie niezmienności w cza-

sie, lecz w każdym razie, nawet z tego punktu widzenia, drogie kruszce przewyższają większą część towarów.

W istocie główną przyczyną, która sprawia, że wartość jakiejś rzeczy zmienia się z jednej epoki na drugą, jest zmiana w jej ilości. Jeżeli się weźmie pod uwagę przedmiot, którego ilość może się zmieniać od zera aż do nieoznaczonej liczby, to zmiany w jego wartości będą olbrzymie; ten przypadek zachodzi n. p. przy zbożu. Przed zbiorem śpichlerze mogą stać zupełnie puste, a po zbiorze będą przepełnione; różnica między złym a dobrym rokiem może być również ogromna. Stąd olbrzymie zmiany wartości tego rodzaju płodów, które byłyby jeszcze o wiele znaczniejsze, gdyby łatwość przewozu i międzynarodowa zamiana nie utrzymywały pewnej równowagi w produkcyi. Tymczasem szlachetne kruszce przedstawiają z powodu swojej trwałości, dla której te same sztuki raz i drugi przebijane na monetę, trwają wieki całe, zupełnie odmienne właściwości. Gromadząc się zwolna, tworzą ogromną masę, do której przybywa coroczna produkcya, jakby do rezerwoaru ciągle się zwiększającego, wskutek czego zmiany przypadkowe muszą się coraz bardziej zmniejszać.

Potok, który szybko płynie, ledwie, że wzbierze, a już sprawia ogromne zmiany w poziomie wody, lecz najsilniejszy nawet wzrost Rodanu podnosi nieznacznie tylko poziom jeziora Genewskiego. Tak samo rzecz się ma z wartością. Przypuściwszy, że zbiór zboża jednego roku podwoi się na całym świecie, to także i podaż jego dwa razy wzrośnie, a cena niesłychanie spadnie. Ale przeciwnie, niechby produkcya min złota lub srebra w jednym roku i dwa razy się zwiększyła, to skutek wywołany byłby nieznaczny, albowiem ta produkcya stanowiłaby zaledwie 5% całej dotychczas istniejącej ilości złota lub srebra.

W każdym jednak razie zmiany te byłyby po pewnym czasie znaczne, gdyż z powodu stałej zwyżki

o 5%, doszłoby się po upływie lat 20 do podwójnej ilości. Jeżeli tedy wartość drogich kruszców przedstawia dostateczną gwarancyę stałości w czasie, kiedy się mówi o krótkich czasokresach, to wcale jej nie daje odnośnie do dłuższych epok — nie mówimy tu już o kilku wiekach, lecz choćby tylko o jednej generacyi. Z tego punktu widzenia obrana miara jest nader niedostateczną.

Ale czy można znaleźć lepszą miarę wartości? — Przedstawiano ich wiele, przedewszystkiem zboże.

Wybór ten zadziwia zaraz na pierwszy rzut oka, jeżeli się bowiem zauważy wartość tych płodów na różnych miejscach i w różnych epokach, to przychodzi się do przekonania, że mało która wartość jest — tak zmienną... W jednej i tej samej chwili sprzedaje się we Francyi hektolitr zboża za 20 fr., w Londynie za 15 fr., a w niektórych Stanach zachodnich Ameryki północnej płaci się za niego 7 lub 8 fr. A znowu na tem samem miejscu, stosownie do tego, czy rok był zły, czy dobry, może wartość zboża doznać zmian niesłychanych. Lecz na to odpowiadają, że jakkolwiek wartość zboża ulega w krótkich odstępach czasu bez porównania szybszej zmianie, niż wartość szlachetnych kruszców, to jednak odnośnie do dłuższych czasokresów jest o wiele od tamtej stalszą. Wobec gwałtownego i ustawicznego chwiania się innych wartości, wartość zboża dąży do jednostajności, albowiem krańcową użyteczność zboża można uważać za stałą dla wszystkich ludzi, a przynajmniej dla rasy europejskiej. Z jednej strony zboże czyni przecież zadość potrzebie fizyologicznej, stałej i zawsze mniej więcej równej, z drugiej zaś jego rzadkość, t. j. stosunek ilości do zapotrzebowania, również należy uważać za nieulegającą zmianie z jednego stulecia na drugie. W istocie zawsze uprawiano i uprawiać będą ilość zboża, konieczną do wyżywienia mieszkańców danego kraju, albowiem poniżej tej granicy musieliby z głodu pomrzeć; a znów nie będą go uprawiali więcej, gdyż powy-

żej tej granicy nie wiedzianoby co z niem zrobić, a zbyteczna obfitość pociągnęłaby za sobą ogromną zniżkę ceny.

Jakkolwiek nie można bezwarunkowo polegać na tych sylogistycznych wnioskach, to jednak nie ulega wątpliwości, że co do zmiany swej wartości zboże przedstawia wprost odmienne zalety i wady od tych, które charakteryzują szlachetne kruszce. Z tego też powodu statystyka posługiwała się niem niejednokrotnie, jako dobrym środkiem kontroli, ażeby oznaczyć koszta utrzymania w różnych epokach, jak to zrobił Leber we Francyi, a Cibrario we Włoszech.

Wydawałoby się może, że praca jest lepszym miernikiem wartości. Rzeczywiście można słusznie powiedzieć, że ludzie tem większe łożą trudy dla uzyskania jakiejś rzeczy, im bardziej jej pragną, czyli innemi słowy, im większą przypisują jej wartość. Podobnie jak przy wymianie mierzymy wartość rzeczy ofiarą, którą ktoś gotów ponieść dla jej pozyskania, n. p. ilością pieniędzy danych przez kupca; tak samo możemy ją także mierzyć ofiarą czasu i trudu, n. p. liczbą uderzeń młota lub rydla, której ludzie chętnie się poddają, aby wytworzyć dany przedmiot. W tem właśnie znaczeniu można przyjąć piękne zdanie Adama Smitha, że praca jest pierwszym pieniądzem, za który niegdyś wszystko kupowano. Pomimo tego teorya ta natrafia na wielkie trudności, gdyż pracę samą trudno ocenić, albowiem wysiłek dwóch ludzi nigdy nie jest jednakowym, lecz zmienia się bezustannie, tak co do swej siły jak i jakości, a tem samem praca nie może być nigdy dobrym miernikiem wartości.

Próbowano jeszcze mierzyć wartość wysokością wynagrodzenia dnia roboczego, które otrzymuje najgorzej płatny robotnik, t. j. ten, który może tylko ściśle zaspokoić najniezbędniejsze potrzeby życia. Ta teo-

rya opiera się na idei, że istotne i nieodzowne do życia potrzeby są jednakowe u wszystkich ludzi; wystarczy jednak odwołać się do tego, cośmy powiedzieli poprzednio o potrzebach, aby wykazać, że podobne zapatrywanie jest niezgodne z rzeczywistością. To też, w braku lepszego miernika wartości, wypada pogodzić się ze złotem i srebrem, a tem samem wyrażać wartość w pieniądzach.

KSIĘGA I.

PRODUKCYA.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

CZYNNIKI PRODUKCYI.

Idąc za uświęconą już tradycyą, rozróżniamy trzy czynniki produkcyi: ziemię, pracę i kapitał[1]). Podział ten na trzy części jest bardzo wygodnym dla klasyfikacyi problematu, dlatego też byłoby niewłaściwem odrzucić go, szczególniej w takim, jak ten podręczniku. W każdym jednak razie podział ten domaga się pewnych wstępnych zastrzeżeń. Szkoła klasyczna odznaczała się zawsze błędną tendencyą przyznawania równego znaczenia wszystkim trzem czynnikom. Nie ulega wątpliwości, że dążenie to wywołała chęć usprawiedliwienia udziału w rozdziale dochodów każdego z tych czynników, a raczej tych, którzy każdym z nich rozporządzają: mianowicie chęcią uzasadnienia płacy dla robotnika, renty dla właściciela gruntu, a zysku i procentu dla kapitalisty. Tymczasem podobne stanowisko należy stanowczo odrzucić, przynajmniej w tem miejscu. Tutaj mamy się zająć wyłącznie produkcyą, a ze względu na nią dostrzegamy uderzającą różnicę pomiędzy trzema czynnikami produkcyi.

[1]) Podział na trzy czynniki produkcyi nie jest tak powszechnie przyjęty, jakby się wydawało ze słów autora. Istnieje bardzo wielu uczonych, zaliczających się do najrozmaitszych kierunków, którzy odrzucają, naszem zdaniem zupełnie słusznie, wszelką różnicę między ziemią i kapitałem, i przyjmują tylko dwa czynniki produkcyi, mianowicie pracę ludzką i przyrodę. *(Przyp. tłum.).*

Jedynie pierwszy z nich, t. zn. praca ludzka, może mieć pretensyę do nazwy czynnika produkcyi w ścisłem tego słowa znaczeniu, albowiem tylko człowiek odgrywa czynną rolę, on tylko może dać inicyatywę do jakiejkolwiek działalności wytwórczej.

Przyroda zachowuje się najzupełniej biernie, poddając się jedynie rozkazom ludzkim, najczęściej po długim oporze. Pomimo tego jest ona niezbędnym czynnikiem każdej produkcyi, przynajmniej o tyle, o ile chodzi nie o usługi lecz o materyalne dobra. Można nawet powiedzieć, że przyroda jest pierwotnym czynnikiem produkcyi, gdyż nietylko współdziała z pracą ludzką, lecz nawet musi ją poprzedzić swem istnieniem. Człowiek nie mógłby działać w próżni, bo nie może nic stworzyć z niczego, musi więc w świecie zewnętrznym znaleźć niezbędne środki, a tego dostarcza mu właśnie przyroda.

Natomiast kapitał nie zasługuje na miano czynnika produkcyi, gdyż nietylko zachowuje się biernie, tak samo jak przyroda, lecz prócz tego nie jest bynajmniej czynnikiem pierwotnym. Jest on niejako czynnikiem podrzędnym, który tak ze stanowiska logiki, jak i genealogii pochodzi od dwóch innych. Jak zobaczymy dalej, kapitał jest wytworem pracy i przyrody, przechowanym dla dalszej produkcyi, dlatego też należałoby go właściwie nazwać narzędziem w obszerniejszem tego słowa znaczeniu, czyli jak się wyraża Böhm-Bawerk, środkiem, za pomocą którego działają obie pierwotne siły wytwórcze.

Produkcyą nazywamy działalność ludzką, która przy pomocy przyrody ma dostarczyć istniejącym

potrzebom nowych wartościowych środków i według panujących poglądów istotnie ten cel osięga. Produkcya przeto ma charakter aktu świadomego, którego rezultat uważa się subjektywnie za użyteczny. Świadomość celu i skutków przedsiębranej pracy może istnieć albo tylko u działającego, którego nazywamy producentem lub wytwórcą, (n. p. u wynalazcy), albo tylko w społeczeństwie (np. praca dziecka, które uważa ją za zabawę), albo wreszcie tak u wytwórcy jak i w społeczeństwie. W pierwszym wypadku możemy mówić o produkcyi tylko pod warunkiem, że rezultat jej, zwany wytworem, służy bezpośrednio potrzebom producenta; jeżeli natomiast przeznacza się go dla zaspokojenia cudzych potrzeb, niema produkcyi, gdyż w społeczeństwie nie odczuwa się odnośnej potrzeby, albo też nie przyznaje się wytworowi zdolności do jej zaspokojenia. We wszystkich innych wypadkach mamy zawsze do czynienia z produkcyą, gdyż powiększa ona zasób środków, które służą potrzebom ludzkim. W żadnym jednak razie świadomość celu i skutków działalności wytwórczej nie musi poprzedzać powstania wytworu; i owszem, wystarczy, gdy świadomość o jego użyteczności pojawi się później, byleby w czasie jego istnienia (n. p. nowy wynalazek, z początku niezrozumiany, wchodzi później w użycie).

Odróżniamy produkcyę indywidualną i społeczną, w miarę tego, czy zapewnia zaspokojenie potrzeb samego gospodarza, czy też społeczeństwa. Pracę gospodarczą przedsiębierze się na rzecz własnych potrzeb, lecz przez nią można oddziałać i na potrzeby cudze. Stąd też każda produkcya społeczeństwa jest społeczną, produkcya prywatna natomiast może być tylko indywidualną, gdy społeczeństwo nie ma z niej żadnych korzyści lub nawet ponosi straty (np. gdy celem zaspokojenia własnych, zbytkownych

potrzeb niszczy się swą produkcyą dobro, mogące służyć ważniejszym potrzebom cudzym), albo też może być zarazem i społeczną, gdy dostarcza zarówno środków gospodarstwu prywatnemu jak i ogółowi (n. p. nowe przedsiębiorstwo, zatrudniające siły i kapitały dotąd bezczynne).

W produkcyi współdziała człowiek z przyrodą dla uzyskania wytworu. Obie te siły razem nazywamy czynnikami produkcyi, dzieląc je na pracę ludzką i przedmioty świata zewnętrznego, zwane środkami produkcyi. Rola pracy jest czynną, kierującą, rozumną, rola środków produkcyi bierną; człowiek działa, przyroda znosi. Srodki produkcyi służą albo jako środek, zapomocą którego otrzymujemy wytwór i w tym wypadku nazywamy je narzędziami, albo jako przedmiot, który produkcya ma przemienić i wtedy mówimy o surowcach. Ponieważ produkcya wymaga pracy ludzkiej, a więc usług i współdziałania przyrody i przemienia czynniki produkcyi w całości lub w części w wytwór, przeto wywołuje w gospodarstwie zmiany polegające na tem, że pewne wartości tj. usługi, surowce i częściowo narzędzia znikają, a ich miejsce zajmuje dotąd nieistniejący środek zaspokojenia potrzeb, w kształcie wytworu. Otóż ogół strat, poniesionych dla osiągnięcia celu produkcyi czyli, subjektywnie biorąc, stojących w przyczynowym związku z uzyskaniem wytworu nazywamy kosztami produkcyi. Można odróżnić koszta produkcyi indywidualne czyli podmiotowe i społeczne czyli przedmiotowe. Koszta produkcyi podmiotowe stanowi ogół wydatków, poniesionych rzeczywiście dla uzyskania wytworu; przedmiotowe ogół wydatków, które według każdoczesnego stanu warunków produkcyjnych, są istotnie niezbędne dla otrzymania wytworu, bez względu na to, czy się je przekroczyło, np. wskutek

nieudolności lub zacofania technicznego, lub też w części zaoszczędziło, dzięki jakiejś szczęśliwej okoliczności (np. przez zastosowanie wynalazku, innym nieznanego).

Wreszcie należy zaznaczyć, że, gospodarczo rzecz biorąc, produkcyę można uważać za ukończoną dopiero z chwilą, gdy wytwórca doszedł do zakreślonego celu, albo też gdy uznał, że niepodobna go osiągnąć, w którym to razie produkcya jest nieudałą. To też czas zakończenia produkcyi jest inny, gdy pracuje się dla bezpośredniego zaspokojenia własnych potrzeb, a inny, gdy wytwórca chce swe wytwory pozbyć na rzecz cudzych potrzeb i dopiero z uzyskanej ceny zaspokoić własne. W pierwszym wypadku, a tu należy cała produkcya gospodarstw izolowanych, gospodarcze ukończenie produkcyi schodzi się z jej ukończeniem technicznem, t. zn. przypada na chwilę uzyskania wytworu; w drugim, który w naszej epoce wymiennej jest najczęstszy, produkcya kończy się dopiero w chwili wymiany wytworu, bo celem jej nie było otrzymanie tego lub owego dobra, lecz uzyskanie zapomocą jego sprzedaży środków na zaspokojenie własnych potrzeb. Dlatego można powiedzieć, że dzisiaj wymiana jest integralną częścią procesu produkcyjnego.

ROZDZIAŁ I.

PRZYRODA.

Przez słowo »przyroda« wcale nie należy rozumieć jakiegoś ściśle oznaczonego czynnika produkcyi, gdyż w takim razie to słowo nie określałoby żadnego zrozumiałego pojęcia, — lecz jest to ogół odwiecznie istniejących czynników, których nam nasze otoczenie dostarcza[1]).

Ażeby człowiek był w stanie wytwarzać (produkować), potrzeba, aby mu przyroda dostarczyła odpowiedniego położenia, wystarczającego obszaru i użytecznego surowca. Przyroda dostarcza mu również sił poruszających, które machiny w ruch wprawiają.

I.

Położenie.

Historycy lub filozofowie mogą przyznawać zbyt wielkie znaczenie warunkom naturalnym dla rozwoju społecznego i politycznego narodów, trudno jednak przesadzić, gdy się mówi o ich wpływie na rozwój ekonomiczny i siłę wytwórczą narodów[2]).

---

[1]) Niekiedy nazywamy to ziemią. W istocie wyraz ten jest równoznacznym, jeżeli się przezeń rozumie nietylko grunt uprawny, ale całą kulę ziemską wraz z jej atmosferą. Naturalnie, że tylko zewnętrzna skorupa naszej planety jest tą cząstką wszechświata, która może posłużyć za pole naszej działalności ekonomicznej. Skoro jednak widzieliśmy, jak różne ludy potrafiły zużytkować żelazo, znajdowane w aerolitach, spadłych z nieba i skoro każda siła poruszająca pochodzi bezpośrednio od żaru słońca, jak wiatry, prądy wodne lub cieplik nagromadzony w węglu — przeto wyraz »przyroda« będzie określeniem ściślejszem.

[2]) Montesquieu, jak wiemy, stanowczy wpływ przypisywał klimatowi. Jedna część szkoły Le Play'a uważa położenie za punkt wyjścia dla całej nauki społecznej. Rozróżnia ona trzy kategorye miejsc, którym odpowiadają trzy typy pierwotnych społeczeństw, mianowicie: stepy, wybrzeża morskie i lasy, i stosownie do nich: ludy pasterskie, rybackie i myśliwskie. Są to, jej zdaniem, zasadnicze typy społeczeństw prostych, t. j. żyjących z płodów ziemi, dostarczanych przez nią dobrowolnie. Przez wzajemne łączenie się i oddziaływanie tych typów pierwotnych powstają społeczeństwa złożone, czyli cywilizowane.

1. Klimat. W krajach strefy gorącej mogła zakwitnąć najświetniejsza nawet cywilizacya, lecz nigdy nie widziano tam ras pracowitych i oddanych przemysłowi, gdyż przyroda swoją hojnością i swoją potęgą zdaje się tam produkcyę pozbawiać odwagi. W tym szczęśliwym klimacie, »gdzie chleb rośnie, jak owoc«, gdzie łagodna temperatura zwalnia od starania się o odzież, niemal o mieszkanie, człowiek przywyka do zdawania wszystkiego na naturę, a oszczędza sił własnych. Z drugiej znowu strony siły przyrody występują w tych okolicach z taką gwałtownością i tak trudno je okiełznąć w ich rozmaitych objawach, n. p. w nawałnicach, powodziach, trzęsieniach ziemi, cyklonach i t. d., że człowiek przerażony nie pomyśli nawet o tem, aby je opanować i zmusić do pracy dla siebie, lecz zaledwie ośmiela się bronić przed niemi. W naszej umiarkowanej strefie przyroda jest dość skąpą i dość surową, aby zmusić człowieka do liczenia przedewszystkiem na własne siły, ale z taką znów grozą na zewnątrz nie występuje, iżby jej rozum ludzki nie zdołał ujarzmić. To też można powiedzieć, że nasza strefa sprzyja produkcyi tak przez to, czego nam odmawia, jak i przez to, czego nam dostarcza.

2. Położenie geograficzne. Któżby mógł przypuścić, że Anglia byłaby pierwszą na świecie potęgą morską i handlową, gdyby nie była wyspą? [1]). Jeżeli się zapytamy, dlaczego Afryka, znana w całej starożytności, która nawet była siedzibą najstarszej cywilizacyi, mianowicie egipskiej, aż do dnia dzisiejszego pozostała w tyle poza wszelkim ruchem ekonomicznym, podczas gdy obie Ameryki, odkryte od czterech zaledwie wieków, są po-

[1]) Gdyby potrzeba było dowodu na to, jak ważną rolę odgrywa dla Anglii ten »srebrny pas«, który ją przedziela od lądu, to znaleźlibyśmy go z pewnością w tem dziwnem przerażeniu, jakie niedawno powstało wśród Anglików na samą myśl połączenia Anglii z kontynentem zapomocą podmorskiego tunelu i w stanowczem odrzucaniu tego projektu przez każdoczesny rząd angielski.

przecinane w każdym kierunku traktami handlowymi — to głównej przyczyny należy szukać w odmiennem rozłożeniu rzek spławnych. Podczas gdy rzeki Nowego Świata olbrzymiemi łożyskami uchodzą do oceanu, a sieci ich są tak rozgałęzione, że z dorzecza La Platy można się dostać do dorzecza Amazonki, a stamtąd do Orenoco, albo z dorzecza Mississipi do Wielkich-jezior, prawie nieopuszczając drogi wodnej — to rzeki afrykańskie, lubo nie mniejsze od tamtych, stawiają w dolnym swym biegu żegludze nieprzyzwyciężone przeszkody, jak katarakty lub zaraźliwe bagniska.

3. Układ geologiczny powierzchni ziemi i niższych jej warstw nie mniejszej jest doniosłości. W istocie od niego to zawisła produkcya rolnicza, tudzież przemysł górniczy. Obawa, z jaką Anglia oblicza, kiedy się w jej licznych kopalniach węgiel wyczerpie, dostatecznie dowodzi, jakie znaczenie posiada węgiel dla rozwoju angielskiego przemysłu. Chiny mają swoją »ziemię żółtą«, Rosya zawdzięcza nie mniej swej bogatej »czarnej ziemi«, i to naprawdę bogatej, albowiem według obliczeń geologów zawiera ona w sobie nie mniej, jak za 16 miliardów franków azotu.

Wydawałoby się na pierwszy rzut oka, że człowiek nie może zmieniać warunków naturalnych, czyli innemi słowy, że nie pozostaje mu nic innego, jak tylko zastosować się do nich. Jednakowoż człowiek nie przestaje wywierać na nie dobroczynnego wpływu, jakkolwiek z pewnością tylko w bardzo ograniczonym stopniu.

I tak n. p. z punktu widzenia geologicznego nie może człowiek tam zakładać kopalni, gdzie niema zaczem kopać, ale może zapomocą nawozów w najrozmaitszy sposób przerabiać uprawną ziemię — może bagniska, sadzawki, a nawet zatoki zasypywać ziemią, nadającą się do uprawy.

Co się znowu tyczy położenia geograficznego, to wprawdzie nie można zmienić tych wielkich linii, jakie

z natury istnieją, lecz można wydoskonalić i uzupełnić sieć dróg wodnych wewnątrz kraju, można usunąć przeszkody, jakie w jednem miejscu nastręczają góry, a znów w innem wody, przeprowadzając drogi ponad nie, albo jeszcze lepiej popod nie. Tak n. p. Afrykę oderwano od lądu stałego, próbowano odłączyć Amerykę Północną od Południowej i t. d. Zapewne klimatu zmienić niepodobna, jednakowoż zapomocą wytrzebienia lasów, przeprowadzonego na wielką skalę, zapomocą pewnych rodzajów uprawy, a może jeszcze zapomocą innych środków, których dotychczas nie znamy [1]), człowiek zdoła kiedyś w sposób jeszcze bardziej stanowczy zapanować nad deszczami i wiatrami.

II.

Miejsce [2]).

Człowiek potrzebuje na ziemi jakiegoś miejsca, choćby dlatego, aby mógł na niem postawić swe nogi. Już więcej miejsca potrzeba do przespania się, jeszcze więcej, aby dom wybudować, a o wiele więcej jeszcze, aby je obsiać zbożem lub paść na niem trzodę.

Otóż ta kwestya miejsca staje się bardzo ważną, ilekroć ludność w jakimś kraju dojdzie do pewnej gę-

[1]) Kilku uczonych postawiło wniosek, aby wielkie prądy morskie, jak Gulf-stream i t. p., zwrócić w stronę przeciwną, a to celem rozdzielania ciepła lub chłodu na lądzie, podobnie jak się rozprowadza po miastach gaz lub wodę.

[2]) Słowo ziemia (terra), którego się zwykle używa, łączy w sobie kilka rozmaitych pojęć: najpierw pewien kawałek powierzchni ziemi i to właśnie nazywamy miejscem, potem ogół tych surowców, jakich dostarcza ziemia i jej wnętrze, a wreszcie wiele czynników fizycznych, które ustawicznie działają w ziemi uprawnej, pod postacią światła, ciepła, wilgoci, elektryczności i t. d. i t. d.

stości. Kiedy istoty ludzkie, idąc za swym popędem życia wspólnego, zaczną się gromadzić w jednem z takich olbrzymich mrowisk, jakiemi są: Paryż, Londyn, New-York czy Kanton, to z czasem zaczyna brakować miejsca potrzebnego na mieszkanie. Widzimy wtedy, że place pod budowę nabierają większej wartości, niż same budynki na nich postawione, choćby to były pałace z marmuru; a to wszystko wywołuje opłakane objawy społeczne, jak to zobaczymy, mówiąc o czynszach.

Byłoby to bezrozumnem obawiać się, że nadejdzie kiedyś dzień, w którym zabraknie miejsca na ziemi na mieszkania ludzkie, lecz wcale nie jest niedorzecznem zapytać się, czy zawsze będzie na ziemi miejsca na tyle, aby się ludzie mogli wyżywić. Przecież sporego potrzeba obszaru, aby wystarczył na wyżywienie jednego człowieka. Prawda, że postęp cywilizacyi i rolnictwa ustawicznie zdąża do możliwego zmniejszenia tej przestrzeni. U ludów myśliwskich potrzeba było dla każdej jednostki kilkudziesięciu lub przynajmniej kilkunastu, u ludów pasterskich już kilku kilometrów kwadr., ludom rolniczym wystarcza na to kilka hektarów; a w miarę tego, jak uprawa extenzywna przechodzi w intenzywną, ta granica coraz bardziej się zmniejsza. Chiny, dzięki uprawie intenzywnej, która stała się prawie uprawą ogrodową, doszły do tego, że jeden hektar może tam wyżywić więcej osób, niż u nas. Mimo to jednak, że ta przeszkoda ciągle maleje, to przecież istnieje jeszcze zawsze i wystarcza, aby ród ludzki niepokoić o jego przyszłość.

Bez wątpienia, kiedy człowiekowi zaczyna brakować przestrzeni, to jej może gdzieindziej poszukać. Odkrycie Nowego Świata, Południowej Afryki i Australii nieskończenie rozszerzyło obszar zdolny do zamieszkania przez człowieka i zapewniło miejsce jeszcze dla wielu a wielu pokoleń. Lecz ta rezerwa na przyszłość szybko się wyczerpie, gdyż ludność świata zwiększa się corocznie o 15 milionów, a już nie mamy żadnej nadziei odkrycia ziem

nowych. Jeżeli jeszcze nie cała powierzchnia ziemi jest zamieszkałą, a nawet nie cała poznaną, to przynajmniej cała jest zmierzoną. Zanim jeszcze jeden wiek upłynie, a już ostatnia piędź ziemi wolnej będzie zajętą, ostatni zagon zasiany i odtąd cały rodzaj ludzki będzie zmuszony zadowolić się 13 miliardami hektarów swego dziedzictwa, nie mogąc nawet spodziewać się więcej nowych zdobyczy. — Jedyną pociechą będzie dlań wtedy powtarzać wiersz, (skądinąd zresztą nie bardzo usprawiedliwiony), który Regnard napisał na jednej skale lapońskiej: *Et stetimus tandem, ubi defuit orbis* [1]).

III.

Surowce.

Materyały surowe, z których jest utworzona skorupa ziemi aż do tej niewielkiej głębokości, do której dotrzeć możemy, tudzież ciała organiczne, pochodzące od istot żyjących, (roślin lub zwierząt) zaludniających powierzchnię ziemi, dostarczają przemysłowi surowców. Surowiec jest niezbędny dla każdego przemysłu, gdyż stanowi istotną podstawę każdego dobra.

Niektórych z tych materyałów natura użyczyła nam w olbrzymiej obfitości, co do innych znowu okazała się bardzo skąpą. Do pierwszych można n. p. zaliczyć te, które tworzą samą skorupę ziemską, jak granit, wapień, glina a także i woda, tak słodka jak i słona, zajmująca trzy części powierzchni ziemi. Przeciwnie znów — dyamenty, albo niektóre kruszce, jak złoto, lub rtęć, napotykamy tylko w ilości nadzwyczajnie małej. Zaznaczyć tu musimy, że nawet te materyały, których ilość jest bardzo

[1]) Cały ten ustęp łączy się ściśle z kwestyą przeludnienia, o której dokładniej w czwartej księdze. *(Przyp. tłum.).*

wielką, mogą być nie mniej rzadkie, jeżeli uwzględniamy tylko pewną okolicę. Woda słodka jest jednem z tych ciał, które powszechnie stawia się za przykład dóbr o nieograniczonej ilości. Tymczasem nie ma większego miasta, w któremby woda nie znajdowała się w niedostatecznej ilości i gdzieby jej nabytku nie trzeba było okupywać wielką pracą. Prawdę powiedziawszy, znamy tylko jedno ciało, które się wszędzie znajduje w nieograniczonej ilości, a tem jest powietrze atmosferyczne, wśród którego znajduje się i w którego objęciach cała kula ziemska zawisła, a przecież, jeżeli zażądamy od tego powietrza pewnych specyalnych warunków czy to zdrowotności, czy ciepła, czy też zimna, to i ono okaże się niewystarczającem na dogodzenie wszystkim. Jeżeli w Cannes albo w Nicei płaci się 100 franków za metr piaszczystego gruntu, to nie płaci się tyle za prawo własności ziemi, ile raczej za używanie powietrza i korzystanie z takich promieni słonecznych, o jakie trudno gdzieindziej.

Gdy chodzi o takie materyały, które się znajdują w wielkiej obfitości, lecz są nierówno rozdzielone, wtedy człowiek zaradza tej niedogodności, przenosząc je na to miejsce, w którem ich brakuje. Dlatego to, jak zobaczymy, przewóz jest rzeczywistym aktem produkcyi. Ale ponieważ materya z powodu swego ciężaru i bezwładności przedstawia pewien opór przenoszeniu jej z miejsca na miejsce, który może być bardzo znacznym, a z drugiej strony siły i koszta potrzebne na zwyciężenie tego oporu, rosną w stosunku do odległości, przeto przemysł przewozowy nie jest wszechmocnym i nie może pokonać wszystkich tych trudności. W każdym jednak razie posiadamy obecnie w tym względzie tak potężne środki, że osiągnięte rezultaty mają już ogromne znaczenie.

Co się zaś tyczy materyałów, których ilość rzeczywiście jest ograniczona, to widocznem jest, że człowiek powiększać jej nie może. Stworzenie atomu nawet, jak wiemy, nie leży w mocy człowieka. Lecz zapomocą po-

łączeń i rozkładów chemicznych, można częstokroć wytwarzać ciała, jakich się potrzebuje. Jeżeli n. p. zabraknie dyamentów, to może kiedyś będzie można pozyskać je przez skrystalizowanie węgli, a jeżeli znów węgla zabraknie, to może będzie można otrzymywać go z węglanu wapna, tak rozpowszechnionego w składzie skorupy ziemskiej. W każdym innym przypadku przemysł ludzki musi się zadowolnić wyszukaniem jakiegoś środka zastępczego, to znaczy jakiegoś ciała, mającego analogiczne własności z tem (ciałem), którego braknie; a prawie zawsze, łatwiej czy trudniej, uda się znaleźć takie ciało, albowiem w tej nieskończonej ilości ciał organicznych i nieorganicznych wiele jest takich, które mają podobne właściwości i które przez to mogą się uzupełniać w pewnej mierze [1]).

IV.

Prawo obniżającego się przychodu.

Ponieważ obszar i surowce znajdują się tylko w ograniczonej ilości, a są niezbędnymi czynnikami każdej produkcyi, przeto i wszelka produkcya musi dojść wreszcie do granic, których przekroczyć niepodobna.

Tak też jest rzeczywiście. Polowanie, które zajmowało tak wybitne miejsce w życiu ludów pierwotnych, dziś wykreślone zostało z listy gałęzi produkcyi w krajach cywilizowanych, bo przestało dawać dochód, któryby się opłacał, mimo surowych przepisów ochronnych. Nawet w okolicach tak odludnych, jak pustynie Afryki lub kraje podbiegunowe, stają się dla myśliwych coraz większą rzadkością słonie, strusie, bobry, wydry i wieloryby. Ludność okolic nadmorskich narzeka dziś bezustannie, że w wodach nadbrzeżnych nic już niema i że na połów ryb należy puszczać się na pełne morze, a więc używać silnie zbudowanych statków. W niektórych krajach europejskich, przedewszystkiem w Anglii, zupełne zniszczenie i wycięcie lasów, a tem samem brak drzewa budulcowego jest już faktem dokonanym.

[1]) Wskutek licznych polowań na słonie zagrażał brak kości słoniowej, tymczasem w lasach Amazonki znaleziono roślinną kość, która doskonale może zwierzęcą zastąpić.

Jednakże wszystkie te działy produkcyi mają przynajmniej tę właściwość, że możemy do pewnego stopnia odwrócić grożącą im zagładę przez zmianę sposobu postępowania. Zamiast polować na strusie możemy je hodować, zamiast połowu ryb możemy wprowadzić zarybianie, zamiast karczować, można przedsięwziąć zalesienie, czyli innemi słowy, możemy produkcyę wydobywczą, prowadzącą do zupełnego wyczerpania, zastąpić produkcyą, ulegającą tylko takim ograniczeniom, z jakiemi spotykamy się przy produkcyi rolniczej.

1. Każdy grunt zawiera w sobie pewną, ściśle ograniczoną ilość pierwiastków mineralnych dających życie roślinom, a każdy zbiór zmniejsza ten zapas powolnie wprawdzie, lecz stale i bez przerwy. Bezwątpienia rolnik może ziemi nietylko zwrócić te życiodajne czynniki, lecz nawet wzbogacić ją, wkładając w grunt nowe pierwiastki przez odpowiednią uprawę. Lecz nie należy zapominać, że źródła, z których się czerpie te użyteczne czynniki są znowu ograniczone, albowiem nawóz naturalny zwraca ziemi tylko część tego, co bydło użyło na swe pożywienie, a nawóz chemiczny składa się z ciał przeważnie mineralnych, których pokłady są rzadkie i wyczerpują się nader szybko.

2. Produkcya rolnicza jest ograniczona warunkami czasu i przestrzeni, niezbędnymi dla życia roślinnego i zwierzęcego, które znacznie trudniej jest zmienić, aniżeli kierunki pracy przemysłowej. Rolnikowi przypadła w udziale, że się tak wyrażę, rola bierna. Rolnik wycze-

kuje, by przyroda sama dokończyła zaczętą przezeń pracę stosownie do swoich praw, których on ani nie zna, ani zmienić nie może. Musi czekać cierpliwie całymi miesiącami, by ziarno w ziemię rzucone zamieniło się w kłosy, a lata całe, aż żołądź w dąb się rozwinie. Przeciwnie przemysłowiec podaje swój surowiec zmianom, które zwyczajnie są bardzo proste, a sposób działania jest mu zawsze znany. Pomocną jest mu w tem siła robotników, którzy pod jego kierownictwem pracują z automatyczną dokładnością. Jego nie więzi niezmienny porządek pór roku; zimą i latem, dniem i nocą może utrzymywać ogień w swych piecach, pracę wytwórczą w swoich zakładach.

Wobec tego nie ulega wątpliwości, że ilość produkcyi z danego obszaru gruntu da się z góry do pewnego stopnia oznaczyć, bo rolnik nie jest w stanie powiększać w nieskończoność sprzyjających uprawie warunków przyrodniczych. Wprawdzie rolnik gdyby tylko chciał, mógłby jeszcze zawsze zwiększać wydajność ziemi, lecz doszedłby do pewnej granicy, poza którą mógłby dalej podnosić tę wydajność jedynie przy pomocy ustawicznego wzrostu pracy; a wreszcie nadeszłaby chwila, w której wszelki wysiłek, wyłożony na powiększenie przychodu, byłby już nieproporcyonalnie wielki w stosunku do uzyskanego rezultatu.

Dajmy na to, że hektar ziemi produkuje 15 hektolitrów i że tych 15 hektolitrów zboża przedstawiają 100 dni roboczych, albo, jeśli kto woli w ten sposób się wyrażać, 300 franków kosztów; więc według naszego twierdzenia, chcąc na tym samym kawałku ziemi wyprodukować dwa razy tyle zboża, t. j. 30 hektolitrów, trzeba będzie zużyć więcej niż 200 dni roboczych, czyli więcej niż 600 franków na koszta uprawy. Chcąc podwoić produkcyę, trzebaby może potroić, może w czwórnasób, a nawet i dziesięciokrotnie powiększyć ilość pracy i wydatków. To właśnie zowiemy prawem obniżającego się przychodu.

Prawo to potwierdza codzienna praktyka. Proszę się tylko zapytać wykształconego rolnika, czy ziemia jego nie mogłaby dawać przychodu większego nad ten, jaki mu obecnie daje. Na to odpowie: »Z pewnością dałaby. Zbiór byłby o wiele większy, gdybym chciał dawać więcej nawozu, pogłębić orkę, oczyścić ziemię zupełnie z perzu, skopać grunt pod nawóz na wielką głębokość, w razie potrzeby włożyć każde ziarno z osobna w ziemię; nadto gdybym ochraniał troskliwie plony przed robakami, ptakami i wszelkimi chwastami«. »A dlaczegoż Pan tego nie czynisz?« »Bobym nie odebrał swoich wydatków — ta nadwyżka produkcyi kosztowałaby mnie więcej, niżby była wartą«. Istnieje więc przy produkcyi na każdym gruncie pewien punkt równowagi, którego się nie przekracza, nie dlatego, żeby go przejść nie można było, ale dlatego, że się nie chce go przekroczyć, bo nie miałoby się w tem żadnej korzyści, ani indywidualnej ani społecznej.

Gdyby było możliwem zwiększać bezustannie produkcyę na danym kawałku gruntu, podnosząc tylko stosunkowo ilość pracy i kosztów uprawy, każdy właściciel ziemi zrobiłby to niezawodnie i zamiast rozszerzać uprawę na coraz większych obszarach, skupiłby ją na jednym małym kawałku, boby mu to było o wiele wygodniej. Wtedy też ziemia wyglądałaby zupełnie inaczej, jak dzisiaj. Tymczasem sam fakt, że tak nie robią — ale owszem biorą pod uprawę ciągle coraz gorszą ziemię lub mniej dogodnie położone grunta, dowodzi jasno, że w rzeczywistości można z danego kawałka dostać tylko pewien oznaczony przychód.

V.

Siły poruszające.

Praca wytwórcza polega, jak widzieliśmy, jedynie na zmianie i przemianie materyi. Opór, jaki stawia materya z powodu swej bezwładności, może być znaczny, wobec czego niknie prawie siła muszkułów człowieka. Po wszystkie czasy zatem — a zwłaszcza odkąd zniesienie niewoli nie pozwala za darmo korzystać ze sił swoich bliźnich — człowiek starał się uzupełnić swą niemoc zapomocą pewnych sił poruszających, których mu dostarcza natura. Człowiek może cztery lub pięć sił spożytkować dla produkcyi: siłę muszkułów u zwierząt, siłę poruszającą wiatru i biegu wody, siłę rozprężającą gazu, a przedewszystkiem pary wodnej, wreszcie od niedawna dopiero i dotąd jeszcze w niezbyt wielkich rozmiarach siłę elektryczności.

Siły przyrody spożytkowuje człowiek przy pomocy maszyn. Maszyna jest narzędziem, które zamiast poruszać ręką ludzką, wprawia się w ruch siłą przyrody, np. spadkiem wody, parą i t. d. [1]). Lecz ze względów mechanicznych człowiekowi nie łatwo owładnąć jakąkolwiek siłę przyrody, która choć raz oporu nie stawia, to drugi raz znowu jest nie do opanowania. Należy przytem zauważyć, że im potężniejsze są te siły natury, tem więcej czasu i trudu potrzebuje człowiek, aby je spożytkować

[1]) Narzędzia mogą olbrzymio zwiększyć siłę ludzką, tak n. p. przy pomocy prasy hydraulicznej dziecko nawet może wywołać ciśnienie teoretycznie nieskończenie wielkie. Lecz według praw mechaniki traci się tyle na czasie, ile się zyskuje na sile, t. zn., że można n. p. udźwignąć tysiąc razy większy ciężar, lecz w czasie tysiąc razy dłuższym. Wskutek tego w praktyce używanie narzędzi jest dość ograniczone, gdyż czas, który przy nich tracimy, jest nam bardzo drogi. Natomiast przy używaniu maszyn, poruszanych przez siły natury, niema tej niedogodności i wskutek tego zwiększenie siły może tu być rzeczywiście nieograniczone.

i użyć do swych celów. I jest to zupełnie naturalnem, gdyż opór wzrasta w stosunku prostym do wielkości siły.

Oswojenie pewnych zwierząt, jak konia, wołu, wielbłąda, słonia, rena, psa Eskimosów i t. d., dostarczyło ludziom pierwszej siły naturalnej, którą umieli spożytkować przez użycie jej do zaprzęgu. I to już było wielką zdobyczą, gdyż zwierzę jest stosunkowo o wiele silniejsze od człowieka. Siła konia jest równą sile 7 ludzi, podczas gdy jego utrzymanie znacznie mniej kosztuje. Jednakowoż liczba tych zwierząt jest zawsze ograniczoną i to tem więcej, im kraj jest więcej zaludniony, albowiem na wyżywienie ich potrzeba dosyć miejsca; to też wobec tego siła poruszająca zwierząt nie przedstawia zbyt wielkiego znaczenia.

Siła poruszająca wiatru i biegu wód była po wszystkie czasy używana do przewozu, a później, lecz zawsze jeszcze już w starożytności, do obracania młynów. Na ziemi znajdują się prawie niewyczerpane zbiorniki tych sił, tak, że można ich ilość uważać, praktycznie biorąc, za nieskończenie wielką, wręcz przeciwnie do tego, cośmy mówili o obszarze i surowcach. Obliczono, że siła poruszająca biegu wód w samej tylko Francyi, którą się traci niepożytecznie, przedstawia siłę pary mniej więcej 5—6 milionów koni parowych, to znaczy siłę, prawie cztery razy większą od siły zdolnych do pracy ludzi kraj ten zamieszkujących. Jeden wodospad taki, jak Niagara, wystarczyłby dla wszystkich fabryk angielskich. Cyklon pustoszący wszystko, rozwija w kilku godzinach swego istnienia tyle siły poruszającej, że mogłaby wystarczyć dla wszystkich fabryk całego świata przez tysiąc lat, gdyby potrafiono ją zużyć; a prawdziwie już niewyczerpane rezerwoary sił tworzą bałwany, unoszące się na powierzchni morza, lub przypływ morza, który dwa razy dziennie ogarnia sobą tysiące mil na wybrzeżach. Niestety człowiek nie znalazł dotąd środków, aby z tego skorzystać.

Siłę poruszającą wiatru i rzek używano od najdawniejszych czasów, do ułatwienia przewozu, w przemyśle jednak do niedawna jeszcze służyła ona jedynie do poruszania młynów i wiatraków. Dopiero w ostatnich latach zaczęto na wielką skalę używać siły poruszającej wody dzięki turbinom i elektryczności. Dzieje się to przy t. zw. »węglu białym«, t. zn. przy używaniu wody, spływającej w kaskadach z lodowców górskich i w kształcie »węgla zielonego», t. j. przy użyciu w rolnictwie drobnych potoków. Zmieniając siłę wody w prąd elektryczny można ją przenosić na odległość setek kilometrów, a zarazem dzielić w nieskończoność. Doszło do tego, że siłę poruszającą wody rozprowadza się po domach jak gaz lub wodę do picia; wystarcza nacisnąć guzik lub odkręcić kurek, ażeby z niej korzystać.

Siła rozprężająca pary wodnej, albo raczej ciepło wywiązujące się z węgla, którego tylko przekształceniem jest ta siła, jest sztuczną, t. zn. stworzoną nie przez naturę, lecz przez człowieka, to też posiada tę nieokreśloną korzyść, że człowiek może jej używać gdzie chce i jak chce. Jest ona ruchomą, przenośną, trwałą, wielką lub małą — stosownie do potrzeb. Możemy za jej pomocą wywołać ciśnienie 1, 2, 3, 4... i 10 atmosfer i w teoryi przynajmniej niema co do tego żadnej granicy [1]).

Lecz dopiero od tego czasu, kiedy Newcomen (1705) a później James Watt (1769) użyli ciepła do rozprężania szczelnie zamkniętej pary wodnej i w ten sposób stworzyli to cudowne narzędzie [2]) nowoczesnego przemysłu, które się zowie maszyną parową.

[1]) Wystarczałoby ogrzać wodę do 516°, co jeszcze nie jest zbyt wysoką temperaturą, aby wywołać ciśnienie 1,700.000 atmosfer, a zatem więcej jeszcze siły, niżby jej trzeba było do podniesienia gór Himalaya. Jedna tylko zachodziłaby trudność, t. j. znaleźć naczynie, któreby mogło wytrzymać taki opór...

[2]) Powiedziałem »cudowne« — mianowicie w stosunku do wyświadczanych usług. W rzeczywistości parowa maszyna jest narzędziem bardzo niedoskonałem, w tem rozumieniu, iż zużytkowuje tylko bardzo niewielką część, najwięcej $^1/_{10}$ część tego ciepła, które się wywiązuje przez spalenie węgla. Ogromna strata ciepła następuje w przejściu z ogniska do kotła i znowu bardzo znaczna, jakkolwiek już mniejsza, w przejściu z kotła do właściwej maszyny. To też inżynier Bon mógł wyrzec te słowa: »Spodziewam się, że nie minie lat dwadzieścia, kiedy ostatnie egzemplarze tego prymitywnego aparatu będą złożone w muzeach między kamiennymi narzędziami naszych pra-pradziadów.

Możemy więc zapytać z pewną obawą co się stanie z przemysłem ludzkim, skoro pewnego dnia zabraknie mu węgla i będzie musiał zagasić swe ogniska? Wtedy to prawdopodobnie powrócimy do naturalnych sił przyrody, używając przeciw nim środków, które pozwolą na doskonalsze ich zużytkowanie.

Prócz tego zaczęto się zastanawiać na tem, czy nie będziemy mogli zaczerpnąć kiedyś tego ciepła, którego nam będzie potrzeba ze źródła wszelkiej siły, mianowicie ze słońca [1]). Przypuściwszy nawet, żeby nam się to udało, to siła zapożyczona od słońca miałaby w wyższym jeszcze stopniu wadę innych sił przyrody, że nie możnaby było korzystać z niej wszędzie, gdzieby się chciało, ani kiedy by się chciało, ani wreszcie w tym stopniu, jakby się chciało, gdyż słońce nie świeci ani wszędzie ani bezustannie. Gdyby słońce miało w ruch wprawiać nasze fabryki, cóżtoby za klęska była wtedy dla Anglii? Gęste mgły morza Północnego pogrzebałyby cały przemysł angielski, a głębie Sahary byłyby ogniskiem przemysłu ludzkiego.

[1]) W słońcu posiadamy źródło prawdziwie nieobliczalnych sił, których działanie na jeden kilometr kwadratowy posiada siłę pary o natężeniu sześciu milionów koni. Uczyniono już próby zapomocą maszyny Mouchota, jednakowoż nie doprowadziły one jeszcze do pożądanych rezultatów.

VI.

Złudzenia, wywołane wprowadzeniem maszyn.

Wskutek cudownych niemal skutków, które wyniknęły z użycia sił przyrody zapomocą maszyn, rozpoczęto się oddawać szalonym nadziejom. Zdawało się, że człowiek jest już wolny od przymusu całodziennej pracy na chleb codzienny, zdawało się, że wystarczy pracować 4 lub 2 godziny — jeden ze socyalistów [1]) obliczył nawet, że tylko godzinę i dwadzieścia minut — a pomimo tego będziemy mieli więcej dóbr, niż potrzeba; aby cały rodzaj ludzki żył w największym dostatku.

Rzeczywiście maszyny, używano dziś we Francyi, przedstawiają siłę blizko 11 milionów koni, mniej więcej równą sile 120 milionów [2]) ludzi. A że we Francyi niema więcej jak 8—10 milionów dorosłych robotników, więc można powiedzieć, że siła robocza kraju wzrosła dwanaście razy, albo wyrażając się obrazowo, że każdy robotnik francuski ma odtąd dwunastu niewolników na swe usługi, co powinnoby mu zapewnić położenie, podobne do życia patrycyuszów rzymskich i pozwolić na używanie przyjemności bogactwa i próżniaczego życia. Dlaczego więc człowiek, dzięki tej nowej formie niewolnictwa, nie ma w przyszłości powrócić do szlachetnego życia starożytnych i poświęcić swój czas i siły, jak Grecy na *agora*, a Rzymianie na *forum*, życiu politycznemu, zabawom artystycznym, ćwiczeniom gimnastycznym i szczytnym zajęciom umysłowym z tą jednak różnicą, że to, co niegdyś było przywilejem drobnej garstki, obecnie ma się stać udziałem wszystkich?

[1]) Powiedział to Juliusz Guesde, jeden z przywódców socyalizmu francuskiego. *(Przyp. tłum.).*

[2]) Jeden koń parowy jest co do siły roboczej równy 3 koniom zwyczajnym, a siła jednego konia zwyczajnego jest 7 razy większa od siły jednego człowieka, to więc dawałoby $3 \times 7 = 21$.

Ażeby rozwiać te złudzenia, rozsiewane głównie przez socyalistów, możnaby przedewszystkiem zaznaczyć, że nie jest to bynajmniej pewnem, czy należy pragnąć podobnego ustroju. Niewolnictwo starożytne było równie nieszczęsnem dla niewolników, jak zgubnem dla panów, którzy stracili zdolność i chęć do pracy, to też zupełnie uzasadnioną byłaby obawa, że ujarzmienie sił przyrody wydałoby dla społeczeństwa XX. wieku równie zabójcze rezultaty. Oni także mogliby nie znać innego ideału, jak obywatele rzymscy, mogliby, tak jak tamci, nie żądać nic innego, jak tylko *panem et circenses.*

Przedewszystkiem jednak wystarczy tylko ocenić krytycznie same daty statystyczne, by się przekonać, jak wielkim oddajemy się złudzeniom. Prawie cała ta siła ogromna koni parowych pozostaje wyłącznie na usługach przewozu lądowego lub morskiego — więcej niż cztery piąte w formie lokomotyw i parowców służy do tego celu. Otóż ta siła, zużyta do przewozu osób i rzeczy, musiała spowodować ogromne zmiany; wzmogło się przez to znacznie poczucie solidarności całego rodu ludzkiego, bo zniesione zostały przeszkody, jakie dotąd stanowiła dla ludzi odległość miejsca w ich przesiedlaniu się, we wzajemnej wymianie swych wytworów lub swych myśli. Z tego zatem punktu widzenia oddały te maszyny ogromną usługę moralną, której znaczenie nie da się nigdy przecenić, ale znowu nie można twierdzić, by one zwiększyły ilość wytworów. Zresztą w przemyśle i rolnictwie znaczna część maszyn służy tylko do przyspieszenia pracy, a nie zwiększenia ilości wytworów. Nadto wiele sił i maszyn używa się jedynie do wyrobu innych maszyn.

Wytworami, których zwiększona ilość mogłaby przynieść rzeczywiście znaczne polepszenie bytu ludzkiego, są płody rolnicze, bo pierwszym warunkiem materyalnego dobrobytu jest możność wyżywienia się — i to dobrego odżywiania się. Jak szerokie zastosowanie mają tedy maszyny w tej gałęzi produkcyi? Otóż zaledwie jakię 1%

koni parowych czynnych jest w rolnictwie, a nawet i one w przeważnej części nie mają żadnego wpływu na wzrost produkcyi. Żniwiarki, grabiarki i młockarnie zaoszczędzają tylko pracę rąk, ale nie dodają ani jednego ziarna do plonów. Dotąd nie wynaleziono jeszcze sposobu wyrabiania, czy to w drodze chemicznej czy mechanicznej, artykułów spożywczych, jakkolwiek fałszowanie ich doszło do wysokiej doskonałości.

Istnieje jeszcze inny rodzaj przemysłu nie mniej ważny dla rozwoju dobrobytu, t. j. przemysł budowlany. Otóż do tej produkcyi maszyny nie dadzą się prawie zastosować, wyjąwszy do niezwykłych jakichś budowli. To też dziś budują tak, jak w starożytności, łącząc ze sobą kamienie lub cegły zapomocą cementu, wapna i t. p. Z tego też powodu ilość domów wygodnych, jeden z koniecznych warunków dobrobytu, zdrowia, życia rodzinnego a nawet moralności, nie wzrasta odpowiednio do potrzeb. Dlatego czynsze dają się dziś dotkliwie czuć bogatym, a doprowadzają do rozpaczy ubogich, bo podniosły się jeszcze bardziej w cenie, niż artykuły żywności. Również nie wyrabia się domów w sposób fabryczny [1]).

Tak więc tę obfitość i taniość wytworów, którą spodziewaliśmy się uzyskać zapomocą zużycia siły przyrody, dostrzegamy jedynie na polu t. zw. wyrobów fabrycznych, a więc znacznie szczuplejszem, niżby się to zdawało. Możnaby nawet powiedzieć, że na polu przemysłu fabrycznego przeszło się już pod tym względem wszelką miarę, gdyż doszliśmy nie do obfitości, lecz do nadmiaru, tak, że w dzisiejszych czasach wielcy przemysłowcy muszą na mocy układu ograniczać rozmiary swej produkcyi, ażeby powstrzymać zbytni upadek cen odnośnych towarów (p. niżej Ks. II. rozdział II. ust. VI).

[1]) Może dojdzie do tego, jeśli wejdą w użycie domy z blachy żelaznej, dające się każdej chwili łatwo rozebrać i przenieść, podobne do tych, jakie ukazały się po raz pierwszy na wystawie paryskiej z r. 1889; wywołałoby to ogromną zmianę stosunków.

Nadto nie można zapominać o przesileniach, wywołanych przez ten nadmiar wytworów, o koszarowym systemie pracy, charakteryzującym nowoczesny przemysł, a przedewszystkiem o chronicznie powtarzających się bezrobociach. Bezrobocia właśnie są najwybitniejszą konsekwencyą zastosowania maszyn, która przez długi czas budziła wielkie oburzenie w sferach robotniczych. Ta kwestya wymaga bliższego wyjaśnienia.

VII.

Czy maszyny są szkodliwe dla warstw robotniczych.

Ponieważ koń parowy wykonywa pracę dziesięciu ludzi, przeto przez jego użycie może grozić utrata pracy dziewięciu robotnikom. Każdy z nich będzie sie starał zatrzymać swoje zajęcie, stąd też będą się oni przelicytowywać w dół (in minus), co naturalnie obniży zarobek.

Słusznie czy niesłusznie takich konsekwencyi obawiali się niejednokrotnie robotnicy z upowszechnienia się maszyn. Dlatego też zdarzały się wypadki niszczenia przez nich maszyn, a nawet gwałtów na wynalazcach.

Czy te obawy są zupełnie płonne? Ekonomiści szkoły klasycznej twierdzą, że w naszej organizacyi nie może być sprzeczności pomiędzy interesem indywidualnym i społecznym, że owszem wszystkiem kieruje jak najdoskonalsza harmonia. To też starali się oni wykazać, że maszyny nietylko nie szkodzą robotnikom, lecz nawet dostarczają im większej sposobności do pracy i podnoszą ich dobrobyt.

Na poparcie swego zdania przytaczają następujące trzy okoliczności:

1) T a n i o ś ć. Każdy wynalazek techniczny powoduje obniżenie się kosztów produkcyi danego wytworu, a tem samem jego wartości. Robotnik zatem zyskuje na

tem jako konsument, a traci jako producent. Zniżka cen, jako następstwo każdego udoskonalenia w produkcyi, a szczególniej wynalazków mechanicznych, ma miejsce zawsze i wszędzie, ale czy ona da zawsze robotnikowi pełne wynagrodzenie za obniżenie się ceny jego pracy? Nie znajdzie on w tej zniżce żadnego odszkodowania, jeśli odnośny produkt nie wchodzi w zakres jego konsumcyi, a to jest bardzo możliwem. Fabryczny wyrób niektórych koronek zniżył znacznie ich cenę, ale to nie stanowi żadnego wynagrodzenia dla biednej kobiety, która je przedtem sama wyrabiała, bo ona się w te koronki nigdy nie ubiera.

Choćby nawet dany produkt stanowił przedmiot konsumcyi robotnika, to z pewnością wchodzi on w jej zakres tylko w małej bardzo ilości — a tem samem kompensata byłaby śmiesznie małą. Robotnica, wyrabiająca pończochy, która wskutek wynalezienia maszyny do ich wyrabiania utraciła swój zarobek, nie pocieszy się bynajmniej nadzieją, że będzie je mogła odtąd tanio nabywać u kupca.

Ażeby to odszkodowanie, o którem mowa, było rzeczywiście zupełnem, to trzebaby, aby postęp techniki dokonywał się odrazu we wszystkich gałęziach produkcyi w ten sposób, aby wynikający stąd spadek cen był powszechny i równoczesny. Wtedy możnaby rzeczywiście twierdzić, że mało to obchodzi robotnika, iż obecnie pobiera płacę mniejszą o połowę, skoro i wszystkie jego wydatki zmniejszyły się także o połowę. Płaca jego nominalnie, napozór byłaby inną, ale w rzeczywistości pozostałaby niezmienioną. Wykazaliśmy jednak wyżej, że wynalazki techniczne nie występują we wszystkich gałęziach produkcyi, ale tylko w niewielu i że one oddziaływują nader słabo na wydatki, zajmujące główne miejsce w utrzymaniu i w budżecie robotnika, t. j. na koszta wyżywienia i mieszkania. Jeśli się przyjrzymy wydatkom robotnika na życie, to dwie powyższe pozycye

stanowią 60 do 75% z całego jego dochodu, a więc odnośnie do $^4/_5$ swej konsumcyi nie znajdzie dla siebie odszkodowania w żadnej kompenzacie.

2) Wzrost produkcyi. Dalej twierdzą, że każdy wynalazek mechaniczny przez to samo, że powoduje obniżenie się cen, musi także sprowadzić wzrost odbytu danego towaru, wskutek czego robotnicy odzyskują wkrótce napowrót to zajęcie, które chwilowo utracili. Zamiast więc pozbawiać ich zajęcia, otwiera im ten wynalazek nowe pole zarobkowania. Przykładów na poparcie nie brak, wskutek zwiększenia się ilości książek od chwili wynalezienia sztuki drukarskiej, mamy dziś znacznie więcej robotników drukarskich, niż było przepisywaczy w wiekach średnich [1]).

Ten rodzaj odszkodowania robotnika jest zupełnie nowy, ale w rzeczywistości tyle wart dla robotników, co i pierwszy, a to dla wielu przyczyn.

Przedewszystkiem nie zawsze wzrost popytu jest zwykłem następstwem zniżki cen. Mianowicie nie dostrzegamy go w następujących wypadkach: 1) Ilekroć wytwór jakiś ma zaspokoić jakąś potrzebę ograniczoną. Klasycznym przykładem są trumny, ale należą tu i inne także produkty, jak zboże, sól i niektóre wytwory chemiczne i t. d. Obniżenie się ceny tych produktów nieznacznie tylko wzmoże ich konsumcyę. 2) Ile razy jedna gałąź przemysłu pozostaje w ścisłym związku z inną, to wzrost produkcyi w pierwszej może postępować tylko krok w krok z wzrostem w tej drugiej gałęzi. Ten wypadek jest bardzo częstym. Produkcya butelek i beczek jest zależną od ilości wyprodukowanego wina, tak, że choćby ich cena spadła znacznie, nie można ich więcej sprzedawać, gdy

[1]) Oto inny jeszcze jaśniejszy przykład. W Anglii liczba robotników zatrudnionych w przędzalniach bawełny w r. 1835 wynosiła 120.000, podczas gdy obecnie wynosi 529.000, a przecież głównie w tej gałęzi przemysłu maszyny wydały cudowne prawie rezultaty.

niema już wina do ich napełnienia. Tak samo produkcya sprężyn do zegarków jest ograniczona produkcyą samych zegarków, produkcya gwoździ do nitowania przez produkcyę szyn lub kotłów, produkcya tych ostatnich jest znów ze swej strony zależna od wielu innych przyczyn niezawisłych od ich ceny, jak rozwój środków przewozowych, ilość kopalń i t. d. 3) Niekiedy wreszcie wynalazki mechaniczne nie sprowadzają wzrostu produkcyi, lecz tylko zmniejszają pracę rąk. Większa część maszyn rolniczych, młockarnie, żniwiarki, siewniki i t. d., nie powiększają ani o jedno ziarno ilości zbiorów. Dźwignie parowe w przystaniach, t. zw. elewatory, służące do ładowania towarów, również nie zwiększają wcale ilości towarów i t. d. [1]).

Choćbyśmy nawet przypuścili, że zniżka ceny sprowadza odpowiedni, lub nawet szybszy jeszcze wzrost konsumcyi, to jednak trzeba będzie zawsze mniej lub więcej długiego przeciągu czasu, a nawet może życia kilku generacyi, nim ta zmiana w zupełności się dokona. Potrzeba pewnego czasu, by ceny się zniżyły, a to tem więcej, że sprzeczne z tem interesy przemysłowców i zakorzenione nawyknienia będą powstrzymywały ten spadek. Wprawdzie konkurencya doprowadzi ostatecznie do tego, ale przedsiębiorstwa współzawodniczące nie dadzą się przecież w jednym dniu w życie wprowadzić. Trzeba będzie jeszcze dłuższego przeciągu czasu, zanim nowe warstwy społeczeństwa przyzwyczają się do tych wytworów, bo one nie zmieniają tak prędko swoich wymagań i zwyczajów. A cóż się stanie tymczasem z robotnikiem, żyjącym z dnia na dzień? Jego wnukowie może znajdą w tem odszkodowanie, ale nie on.

3) Zwrot usuniętej pracy. Dalej twierdzą owi ekonomiści, że każde zastosowanie maszyn, zaoszczędzających pracę rąk, musi przynieść jakiś zysk, bądź to

[1]) To zdanie znajduje się tylko w III. edycyi. *(Przyp. tłum.).*

producentowi w formie zwiększonego zysku przedsiębiorczego, gdy on i nadal sprzedaje wytwory po dawnej cenie, bądź to konsumentowi przez zmniejszenie się jego wydatków, jeśli, co jest więcej prawdopodobnem, cena wytworu obniży się do poziomu obecnych kosztów produkcyi. Choć więc mniej pieniędzy będą mieć robotnicy oddaleni, to jednak pieniądze te nie zginą, ale znajdą się albo w kieszeni przedsiębiorcy albo u konsumenta. A cóż zrobi z tym nowym swoim zyskiem fabrykant, lub konsument z temi nowemi oszczędnościami? Albo je gdzieś korzystnie ulokują, albo wydadzą na zakupno czegoś — innego wyboru nie mają. Otóż tak w pierwszym, jak w drugim wypadku pieniądze te zasilą jakąś gałąź przemysłu i rozwiną produkcyę, już to przez zakupno nowych wytworów, już to dostarczając produkcyi nowych kapitałów. Każdy wynalazek techniczny uwolni więc pewną ilość pracy i kapitału, która przedtem była zajętą, a skoro te dwa czynniki pozostają w ścisłym związku ze sobą tak, że jeden bez drugiego obejść się nie może, więc ostatecznie oba się odnajdą i połączą ku wspólnym celom.

Rozumowanie to, którego twórcą jest Bastiat, jest ze stanowiska teoretycznego bardzo trafne. Tylko pytanie, gdzie i kiedy to połączenie nastąpi? Może dopiero za dziesięć lat lub na przeciwnym końcu świata. Może te oszczędności konsumentów zostaną użyte na budowę kanału w Panamie, lub kolei żelaznych w Chinach. Raz uwolniony kapitał łatwo znajdzie dla siebie lokacyę, bo jest ruchomy i może znaleźć dla siebie wszędzie zatrudnienie. Ale robotnik nie jest tak ruchliwy, nie może szukać zajęcia na całym świecie, nie ma zdolności do każdego zatrudnienia. Ostatecznie może znajdzie je — jeżeli nie on sam, to jego następcy — emigrując lub poświęcając się innemu rodzajowi pracy, lecz ta zmiana będzie zawsze bardzo bolesną i nie nastąpi prędko, a ponieważ podobne wypadki powtarzają się przy każdem odkryciu, przeto

muszą wywoływać chroniczne bezrobocia. Stąd też widzimy tę ogromną liczbę robotników pozbawionych pracy, stanowiącą 5 — 10% wszystkich zajętych robotników, która cięży na targu pracy i obniża płacę, ofiarowując swą siłę roboczą za nizkie wynagrodzenie [1]).

Ostatecznie więc każdy postęp gospodarczy, a więc tak dobrze wynalazek techniczny, jak nowa forma podziału pracy lub wymiany, prowadzi tylko do zmniejszenia zapotrzebowania pracy. Ponieważ tegoczesne społeczeństwa opierają się na podziale pracy, a każdy z nas żyje z pewnego ściśle oznaczonego zawodu, przeto każdy postęp musi uczynić zbyteczną czyjąś pracę, a tem samem odebrać utrzymanie danemu gospodarzowi. Tu właśnie widzimy tę nieszczęsną sprzeczność każdego postępu — obok korzyści dla jednych, przynosi on straty innym.

W tej kwestyi nasze zapatrywania są zupełnie odmienne od nadziei, któremi dziś łudzimy się zwyczajnie. Nie wierzymy w to wcale, aby wynalazki techniczne zapewniły kiedykolwiek ludzkości bogactwo i bezczynność, owszem uważamy je za przesilenie właściwe naszej epoce, które nie będzie wiecznem i nie prędko się powtórzy.

---

[1]) Socyaliści, którzy tyle swych nadziei pokładają w maszynach, sądzą, że braki powyżej wymienione nie wypływają z użycia maszyn, lecz z błędnego ustroju społecznego, który uznaje własność prywatną narzędzi produkcyi. Wskutek tego domagają się socyaliści wspólnej, a raczej społecznej własności maszyn. Społeczeństwo, w miarę tego, jak nowe odkrycie uczyniłoby zbytecznym ten lub ów rodzaj pracy, naznaczyłoby robotnikom odtąd niezajętym nowe zatrudnienie, albo też gdyby sądziło, że i bez tego ma już dosyć środków do zaspokojenia potrzeb ogółu, rozdzieliłoby pomiędzy wszystkich członków społeczeństwa, ten nowy uzyskany czas wolny od pracy.

Nie ulega wątpliwości, że w takim razie postęp nie szkodziłby nikomu, lecz nie można zapominać, że niktby na nim nie zyskiwał bezpośrednio, wskutek czego zachodziłaby bardzo poważna obawa, że dla uchylenia złych stron postępu, zabitoby go zupełnie.

Odnośnie do tej piekącej kwestyi maszyn tem więc tylko pocieszyć się możemy, że te wielkie zmiany w dziedzinie mechaniki i życia społecznego, których świadkiem był wiek obecny, prawdopodobnie już dochodzą do swego ostatecznego kresu. Historya rewolucyi gospodarczej ludzkości uczy, że po gwałtownych zmianach następowały czasy mniejszego lub większego zastoju; prawdopodobnie więc i większy przewrot społeczny naszych czasów sprowadzi po sobie długi czas zastoju, lub co najmniej tylko bardzo powolnego postępu, jaki dostrzegamy w ciągu przeszło tysiąca lat, które poprzedziły obecną epokę. Wynalezienie maszyn parowych wywołało już, lub w najbliższej przyszłości wywoła prawie wszystkie następstwa, które miało sprowadzić.

Czy może jeszcze jakie inne maszyny zostaną wynalezione? Któż to wie? a choćby i to przypuszczenie się spełniło, to pewna, że wprowadzenie tych nieznanych maszyn w miejsce parowych nie wywoła już takich zmian, jakie wywołało zastosowanie maszyn parowych w przemyśle rękodzielniczym. Sieć telegrafów i kolei żelaznych jest już prawie dziś, a będzie rzeczywiście za jakie lat pięćdziesiąt w całym świecie rozprowadzoną — co do tego więc przemiana jest już dokonaną i nie pozostanie tu już nic do zrobienia. Przypuśćmy, że wynajdą sztukę dowolnego kierowania balonami. Czyż można przypuścić, by przewożenie osób i towarów balonami wywołało taki sam przewrót ekonomiczny, jak zastąpienie dawnych wozów kolejami żelaznemi?

Ostatecznie ród ludzki w ciągu kilku generacyi zajmie i tę resztę niezajętych dotąd obszarów na naszej kuli ziemskiej tak, że nie będzie już więcej przestrzeni niezaludnionych, a wtedy zniknie i ten przewrot, który wywoła na naszych targach konkurencya krajów świeżo zaludnionych.

ROZDZIAŁ II.

PRACA.

I.

Rola pracy w produkcyi?

Dla urzeczywistnienia swych celów, a zwłaszcza dla zadośćuczynienia niezbędnym swym potrzebom, każda istota żyjąca musi wykonywać pewną pracę. Nawet nasienie musi swą pracą podnieść stwardniałą powierzchnię ziemi, która je przykrywa, aby wydostać się na powietrze i światło. Ostryga przyczepiona do swego pnia, otwiera i zamyka skorupę, aby z otaczającego ją płynu zaczerpnąć dla siebie pożywienia, pająk snuje swą pajęczynę, lis i wilk chodzą na łowy. Człowiek więc nie może się uchylić z pod ogólnego prawa — i on musi się ustawicznie wysilać, aby uczynić zadość swoim potrzebom. To staranie, bezwiedne u rośliny, instyktowe u zwierzęcia, staje się u człowieka świadomem i dobrowolnem, i nosi nazwę p r a c y.

Czy jednak człowiek nie mógłby nabyć pewnych dóbr bez pracy, przynajmniej tych, których mu przyroda tak hojnie dostarcza?

Przedewszystkiem należy zauważyć, że z pośród wszystkich tych dóbr, które nazywamy w y t w o r a m i, niema ani jednego, któreby nie wymagało pewnego współdziałania pracy ludzkiej. To już wynika ze samej etymologii słowa »wytwór« *productum*, t. zn. to, co zostało z czegoś wytworzone. Któż jednak to wytworzył, jeżeli nie ręka człowieka? Wszak wszystkie owoce, któreby mogły służyć naszym potrzebom, i to nawet takie, których dostarcza nam sama przyroda, owoce drzewa chlebowego, banany, daktyle, czy muszle, zwane »owocami morza« —

trzeba przedewszystkiem zebrać, a to zbieranie przedstawia zawsze pewną pracę, która, stosownie do okoliczności, może stać się nawet bardzo uciążliwą.

Należy zresztą zaznaczyć, że zazwyczaj nie posiadamy dokładnego pojęcia o tem, jak znaczną rolę odgrywa praca, nawet przy powstawaniu tych wytworów, które nazywamy niewłaściwie »naturalnymi«. Bardzo często naprzykład wydaje się nam, że wszystko to, co wyrasta z ziemi, jak zboże, jarzyny czy owoce, płynie ze szczodrobliwości tej ziemi — tej *alma parens rerum*. Tymczasem w rzeczywistości, większą część roślin, które służą dziś ludziom jako pożywienie, jeżeli już nie otworzyła, to przynajmniej do tego stopnia przekształciła uprawa i praca setek pokoleń, że dotąd jeszcze botanicy nie mogą odszukać ich pierwotnych typów. I tak zboża, kukurydzy, soczewicy, bobu nigdzie nie można odszukać w stanie dzikim. A nawet gatunki, które znaleziono w stanie natury, różnią się ogromnie od pokrewnych sobie, uprawnych roślin. Pomiędzy kwaśnemi jagodami dzikiego wina a słodkiemi winogronami, pomiędzy jarzynami lub soczystymi owocami naszych sadów, a twardymi korzonkami lub wilczemi jagodami, i t. d. będącemi nieraz trucizną, — jest taka różnica, że snadnie można te jarzyny czy owoce uważać za rzeczy sztuczne, za prawdziwe wytwory ludzkiego przemysłu. Dowodzi tego zresztą i ta okoliczność, że skoro tylko przerwie się na parę lat bezustanną pracę nad uprawą tych płodów, zaczną się natychmiast, jak to mówią, wyradzać, co po prostu oznacza, że znów powracają do swego naturalnego stanu, tracąc wszystkie zalety, które im nadała praca ludzka.

Są jednak pewne dobra, nie będące wytworami pracy, gdyż i c h i s t n i e n i a n i e p o p r z e d z a ż a d e n a k t p r o d u k c y i. Do nich należy najpierw ziemia wraz ze wszystkiemi dobrami, bądź to surowcami, bądź też zdolnymi do użytku, których dostarcza; dalej źródła tryskające wodą lub naftą, drzewostan lasów, naturalne łąki,

kopalnie kruszców lub węgla, wodospady mogące obracać koła młyńskie, kamieniołomy, nawóz ptaków morskich składany po wybrzeżach, stawy obfitujące w ryby, muszle i korale — i wiele innych. Zdawałoby się więc, że przynajmniej w tym wypadku praca ludzka żadnej nie odgrywa roli, że dobra te istnieją niezawiśle od jakiejkolwiek pracy. Podobne zapatrywanie jednak byłoby mylne, gdyż należy pamiętać:

1) Że te dobra istnieją tylko o tyle jako dobra, t. j. mają tylko o tyle charakter rzeczy użytecznych i posiadających wartość, o ile umysł ludzki, po pierwsze — odkrył ich istnienie, a po drugie, znalazł w nich te własności, które pozwalają je użyć do zaspakajania naszych potrzeb. Weźmy n. p. jakikolwiek kawał ziemi urodzajnej w Ameryce. Jeśli w istocie jest ona »dobrem«, to tylko dlatego, że odkrył ją ten, co ją uprawia, lub inny jaki podróżnik, który poszedł śladem Krzysztofa Kolumba. Otóż każde odkrycie, czy ono dotyczy Nowego Swiata, czy też grzybów w lesie, przypuszcza zawsze jakąś pracę ludzką.

2) Że te dobra o tyle tylko dadzą się zużytkować, to znaczy o tyle tylko mogą czynić zadość potrzebom człowieka, o ile ulegną pewnemu działaniu pracy. Jeżeli chodzi o ziemię dziewiczą, to o tyle tylko można z niej korzystać, o ile zostanie wykarczowaną; jeżeli chodzi o jakieś źródło wody mineralnej, to należy je ująć i przelać wodę do flaszek, jeżeli znów mowa o grzybach lub jadalnych muszlach, to musi się je zebrać i prawdopodobnie zgotować.

Tak więc nawet wobec dóbr naturalnych praca występuje jako prawdziwy czynnik produkcyi, albowiem bez niej nie istniałyby dla człowieka i nie mogłyby mu służyć, a dopiero praca obudza w nich życie i czyni z nich użyteczne dobra.

II.

W jaki sposób praca wytwarza?

Należy odróżnić trzy odmiany pracy ludzkiej:

1) Praca ręczna czyli fizyczna, niezbędna w każdej produkcyi. Patrząc na nieskończoną rozmaitość wytworów, powstających w czarodziejskiem kole przemysłu ludzkiego, wyobrażamy sobie, że praca musi być potęgą tak różnorodną w swem działaniu i tak skomplikowaną, że tracimy zupełnie odwagę bliżej ją rozebrać. Lecz wcale tak nie jest, praca nie jest niczem więcej, jak siłą muszkułów, którą kieruje rozum, nie może więc wywierać innych skutków, od zwykłej i to jeszcze bardzo słabej siły poruszającej, to też działalność jej polega tylko na ruchu i na zmianie miejsca.

Ta zmiana może być dwojaka: już to zmiana położenia całego przedmiotu, już też zmiana w układzie składowych jego cząstek. W tym ostatnim wypadku powiadamy wprawdzie, że przedmiot uległ przekształceniu, lecz każde przekształcenie polega właściwie na zmianie. Wyszukane kształty, jakie glina przybiera w ręku garncarza lub rzeźbiarza, bogate i misterne desenie koronkowe, wychodzące z rąk pracownicy, wszystko to wynika tylko ze zmiany położenia molekułów gliny, lub nitek tkaniny. Wogóle praca człowieka może tylko poruszyć, dzielić, łączyć, mieszać, przekładać lub porządkować, a więc wywołać tylko ruch i nic więcej. Weźmy naprzykład produkcyę chleba i przeglądnijmy jej rozmaite stopnie, a zatem uprawę ziemi, sianie, koszenie, przewiewanie zboża, mielenie, pytlowanie, rozczynianie, wreszcie pieczenie — a zobaczymy, że te wszystkie czynności przedstawiają pewne zmiany położenia, dokonywane we wnętrzu materyi. Inna też rola nie przypada człowiekowi w dziele produkcyi, do tego tylko ogranicza się jego władza. Wszystkie wewnętrzne przemiany w ukła-

dzie ciał, które wywierają wpływ na ich fizyczne i chemiczne własności i w ten sposób współdziałają w produkdyi — np. ten tajemniczy rozwój, sprawiający, że z nasienia wyrasta roślina, fermentacya, wskutek której słodki sok owoców przekształca się w alkohol; połączenie chemiczne, które sprawia, że z żelaza i węgla wytwarza się stal — to wszystko nie jest dziełem ręki ludzkiej. Do człowieka należy tylko rozporządzić danymi materyałami w odpowiedni sposób, a więc rzucić ziarno w ziemię, sok ponalewać do beczek, kruszce wstawić do hutniczego pieca, — reszty dokona już sama przyroda.

Tem bardziej więc powinniśmy się dziwić, że ta, tak mała siła poruszająca człowieka [1]), tak ograniczona w swym sposobie działania, wystarcza zupełnie, aby przekształcić świat cały.

2) Wszelka praca materyalna powinna być właściwie poprzedzoną pracą umysłową, która się nazywa wynalazkiem, a która polega na znalezieniu praktycznych środków do tego, aby użyć do naszych celów tych sił, któremi rozporządzamy i tych przedmiotów, do których one mogą się nadać. Wynalazek więc nie jest, jakby ktoś sądził, zjawiskiem rzadkiem, mogącem powstać tylko w głowie człowieka wykształconego; stolarz, który szuka sposobu, jakby najlepszy kawałek wykroić z deski, również czyni wynalazek w właściwem słowa znaczeniu. Robotnik nie wykonuje żadnego ruchu, czy to ramionami czy też palcami, któryby pierwotnie nie był wynaleziony przez kogoś. To też z tego punktu widzenia możemy powiedzieć,

[1]) Siła człowieka jest stosunkowo słabą, jeżeli się ją porówna ze siłą zwierząt. I tak n. p. jest siedem razy mniejszą od siły konia, jakkolwiek koń nie jest ani 7 razy cięższy od człowieka, ani też 7 razy większy. Musimy jednak przyznać, że o ile siła muszkułów ludzkich jest mniejszą od siły zwierząt, to zręczność człowieka, którą zawdzięcza swoim rękom, jest, ogólnie biorąc, znacznie wyższa.

że rozum ludzki jest pierwszym i jedynym czynnikiem wszelkiej produkcyi.

Dzięki odkryciom i wynalazkom, majątek ludzkości zwiększają codziennie nowe zdobycze. Przemysł wyrabia z gliny, zanieczyszczającej nasze drogi, ów błyszczący, trwały a lekki metal, który nazywamy *aluminium;* to znowu zmienia brudne wnętrze węgla w wonności i barwy, świetniejsze od purpury Tyru. Pomimo tego w porównaniu z niezmierną ilością przedmiotów, których nie umiemy użyć, zaledwie drobniuchna cząstka jest nam użyteczną. Na 140.000 znanych roślin, nie uprawiamy nawet 300, na setki tysięcy rodzajów zwierząt, użytecznych jest zaledwie 200, a stosunek ten nie jest bynajmniej lepszym w świecie nieorganicznym. Lecz lista naszych bogactw przedłuża się z dniem każdym i mamy wszelkie prawo spodziewać się, że gdy w wiedzy dojdziemy do doskonałości, nie będzie na świecie ani jednego listka czy ziarnka piasku, któreby nie było użytecznem w pewnym kierunku.

Lecz nie wystarcza jeszcze wiedzieć, że jakaś rzecz jest użyteczną, należy ją umieć spożytkować, gdyż nasza wiedza może pozostać w stadyum abstrakcyi, nie dać nam żadnych praktycznych środków, prowadzących do celu. Wiemy, że dyament jest tylko skrystalizowanym węglem, lecz dotąd nie umiemy robić dyamentów z węgla; wiemy, że w Chinach są bardzo bogate kopalnie węgla, a na wyżynach Afryki zdrowe i urodzajne ziemie, a przecież nie możemy korzystać ani z jednych, ani z drugich, dla najrozmaitszych powodów. Wskutek tego nie są one dobrami, przynajmniej w obecnej chwili, tak jak nie są nimi urodzajne pola i szlachetne kruszce, któreby odkryła astronomia przy pomocy teleskopów lub analizy spektralnej na Marsie czy Wenerze.

Wypada w końcu nadmienić, że każdy wynalazek ma ten przywilej, że raz zrobiony, może służyć nieskończonej liczbie aktów produkcyi — czyli dokładniej mówiąc — reprodukcyi. Ta właśnie okoliczność sprawia naj-

większe trudności ustawodawcy, ilekroć chodzi o unormowanie i ochronę własności wynalazku.

3) W końcu każda praca, wykonywana zbiorowo, a nie w odosobnieniu, wymaga pewnego kierownictwa. Stanowi ono osobny rodzaj pracy bardzo skutecznej, a znaczenie jego rośnie w miarę tego, jak produkcya przybiera coraz bardziej formę produkcyi zbiorowej.

III.

Poglądy na wytwórczość pracy.

Jest to rzecz bardzo ciekawa, studyować w kwesyi zapatrywań na wytwórczość pracy rozwój różnych doktryn ekonomicznych i widzieć, jak charakter wytwórczości, pierwotnie zastrzeżony tylko pewnej kategoryi pracy, rozszerzając się powoli, przechodzi wreszcie na wszystkie rodzaje pracy ludzkiej.

1) Szkoła fizyokratów przyznaje siłę wytwórczą jedynie pracy rolniczej (także rybołostwu, polowaniu i górnictwu), a odmawia jej wszystkim innym pracom, nawet rękodzielniczej, podając za przyczynę tę okoliczność, że jedynie tamta praca dostarcza nowych płodów, podczas gdy przemysł tylko je przerabia.

2) Definicya fizyokratów była niezawodnie za ciasna. Takie płody, jakich nam dostarcza rolnictwo i górnictwo, zazwyczaj nie nadają się zupełnie do konsumcyi, potrzeba więc, aby uległy rozmaitym przemianom, które właśnie są dziełem pracy przemysłowej. To też przemysł jest niezbędnem uzupełnieniem rolnictwa i górnictwa, tak, że bez niego proces wytwórczy byłby tak samo niekompletny, jak dramat, któremu brak ostatniego aktu. Na cóżby się przydał kruszec wydobyty z kopalni, gdyby nie miał przejść przez kuźnię lub przez gisernię? Cóż za korzyść byłaby ze zboża, jeśliby nie przeszło przez ręce młynarza i piekarza? Bez pracy tkacza, len byłby równie bezużytecznym jak pokrzywa. Z jakiejże racyi mamy odmawiać tym pracom wytwórczości, skoro bez nich te dobra byłyby dla nas nieużyteczne, innemi słowy nie byłyby wcale dobrami?

Z drugiej strony znowu nie można utrzymywać, że praca rolnicza i górnicza tworzą dobra, podczas gdy przemysłowa tylko je przekształca. Rolnik bynajmniej nie tworzy, lecz tak samo jak rękodzielnik, przekształca tylko te pierwiastki, które czerpie z ziemi i z atmosfery. Wytwarza zboże z wody, potasu, krzemienia, fosforanu i azotu, zupełnie tak samo jak mydlarz, który swoje mydło wyrabia z połączenia sody i tłuszczu. To też, począwszy od Adama Smitha, nikt nie wahał się już zaliczać także pracy przemysłowej do prac wytwórczych.

3) Co do pracy w przemyśle przewozowym, to wątpliwości trwały tu dłużej, a to z tej przyczyny, iż sam fakt przewozu nie wytwarza pozornie żadnej zmiany w przedmiocie. Przesyłka, odchodząca z jednego dworca kolei, czyż nie pozostanie taką samą, jakkolwiek przybyła już na drugi dworzec? To też właśnie na tem, powiadają, polega charakterystyczna różnica między pracą przewozową a przemysłową.

Jednak ta różnica nie jest naukową, albowiem każda zmiana miejsca jest istotną przemianą i jak to dopiero wykazaliśmy, jedyną zarazem przemianą, jaką możemy wywołać w materyi. Jeżeli się zatem sądzi, że zmiana miejsca nie jest dość istotną przemianą, aby ją można nazwać wytwórczą, natenczas trzebaby także odmówić wytwórczości przemysłowi wydobywczemu; czemże się bowiem różni praca górnika, który przenosi kruszce lub węgiel z dna szybu na powierzchnię ziemi od pracy woźnicy, który ten kruszec i węgiel przewozi z kopalni do fabryk? Chyba, że będziemy twierdzić, że tylko ta zmiana miejsca

jest wytwórczą, która się odbywa w kierunku pionowym, a przestaje nią być, skoro swój kierunek zmieni na poziomy! W końcu zbyteczna nadmieniać, że tak samo, jak praca przemysłowa jest niezbędnem uzupełnieniem rolnictwa i górnictwa, tak znowu przewóz jest koniecznem następstwem przemysłu. Do czegóżby służyło obdzieranie z kory drzew chinowych w lasach Brazylii, wydobywanie nawozu ptasiego z wysp peruańskich, polowanie na słonie we wschodniej Afryce, gdyby nie było marynarzy i przewoźników, którzyby dostawiali wspomniane wytwory na miejsca, gdzie ich używają? Cóż przyjdzie posiadaczowi gruntu z największego w świecie zbioru, jeżeli dla braku dróg nie będzie mógł przewieźć swego zboża?

4) Co do pracy handlowej wątpliwości trwały jeszcze dłużej.

W istocie można zarzucić, że czynności handlowe, sprowadzone do swego najprostszego wyrazu, t. j do kupna dla sprzedaży (bo taką jest ich prawnicza definicya), nie tworzą żadnych dóbr nowych. Niewątpliwie można w handlu zarabiać wiele pieniędzy, lecz bogactwo społeczne wcale się przez to nie powiększa, a nawet jak zobaczymy dalej, mnożenie się handlarzy i pośredników może stać się prawdziwą plagą nowoczesnego społeczeństwa. Lecz z drugiej znów strony należy przyznać, że niepodobna odłączyć handlu od przemysłu przewozowego; tak, że jak zobaczymy później, rozdział tych dwóch rodzajów pracy na dwie odrębne gałęzie powstał stosunkowo dość późno.

Nawet dziś jeszcze kupcy są właściwymi kierownikami całego przewozu na całym świecie, tak, że przemysł przewozowy to tylko spełnia, co oni rozkażą. — Co więcej, zajmują się oni przechowywaniem towarów, zaopatrując się w nie na przyszłość, a nawet mogą je do pewnego stopnia zmieniać i tak n. p. w sklepie bławatnym ze sztuk materyi odcinają kawałki, w handlu korzennym znowu palą kawę i t. d. Lecz biorąc nawet

czystą wymianę, należy jej przyznać siłę wytwórczą, gdyż za jej pośrednictwem towary dostają się do rąk tych ludzi, którzy mają je spożytkować, a tem samem zwiększa się w rzeczywistości ich znaczenie.

5) Najbardziej jednakowoż spierano się o to, czy do prac wytwórczych należy także zaliczyć i te prace, które polegają na świadczeniu usług, a więc t. zw. zawody wyzwolone. Może to trochę śmieszne, uznawać za wytwórczą pracę chirurga amputującego nogę, lub pracę sędziego wydającego wyrok. I tu jednak zwyciężyło zapatrywanie, przyznające im siłę wytwórczą, tak, że dziś już nie zwracając uwagi na przestarzałe scholastyczne wyróżnienia, zaliczamy do prac wytwórczych wszelką działalność, która w jakikolwiek sposób pomaga do zaspokojenia potrzeb ludzkich. Jest to w istocie jedyne charakterystyczne znamię produkcyi, której celem jest służyć potrzebom jednostek lub społeczeństwu.

Lecz gdybyśmy nawet stanęli na stanowisku doktryny, zaliczającej do rzędu dóbr tylko materyalne przedmioty, nawet wtedy pojęcie wytwórczości należałoby utrzymać w całej tej rozciągłości, albowiem dzięki prawu podziału pracy, o którem później będzie mowa, w ustroju społecznym istnieje taka solidarność pomiędzy różnemi gałęziami pracy ludzkiej, że ich niepodobna od siebie oddzielić.

Ot weźmy naprzykład produkcyę chleba. Prace oracza, siewcy, żniwiarza, woźnicy, młynarza, piekarza, a również i pracę mitycznego wynalazcy zboża Tryptolema, tudzież jego następców, którzy odkryli różne gatunki zboża i wynaleźli już to płodozmian, już też środki podnoszące intenzywność uprawy, zaliczymy z pewnością i bez najmniejszego wahania do prac wytwórczych. Lecz na tych pracach, ściśle fizycznych, poprzestać nie możemy. Rzecz jasna, że praca dzierżawcy lub właściciela dóbr, choćby on sam nie przykładał ręki do pługa, jest równie pożyteczną dla produkcyi zboża, jak praca owczarza, który

sam nie strzygł owiec, dla produkcyi wełny. Również nie można pominąć pracy inżyniera, który wykonał plan nawodnienia gruntu, lub pracy architekta, który wystawił spichlerze i zabudowania gospodarcze.

Czy należy już na tem zakończyć? Zapewne możnaby, lecz czyż nie przyczyniła się także do tej produkcyi zboża praca straży polnej, która wypłoszyła złodziei, a dalej praca prokuratora, który ich ścigał i sądu, który ich skazał, wreszcie praca żołnierza, który ochronił cały plon przed pustoszącą ręką zbrojnego nieprzyjaciela. A cóż powiedzieć o tej pracy, która stworzyła rolnika i jego pomocników, t. j. o pracy nauczyciela, który w nich wszczepiał naukę rolnictwa lub podawał im sposoby jej nabycia i o pracy lekarza, który utrzymywał ich wszystkich przy dobrem zdrowiu? Czyż nawet ze względu na produkcyę zboża nie jest ważną rzeczą, aby ci, którzy pracują byli zdrowi i oświeceni, aby istniał energiczny rząd, dobra administracya, porządek i publiczne bezpieczeństwo? Czyż mamy wreszcie prawo wykreślić, jako niedotyczące produkcyi zboża, nawet prace najbardziej oddalone od rolnictwa, jak n. p. dzieła poetów, artystów i literatów? Czy sądzi kto może, że powieściopisarze nie mogą korzystnie wpływać na rozwój rolnictwa w danem społeczeństwie, opisując sceny z życia wiejskiego, tak samo jak poeci, którzy unosząc się nad urokiem uprawy roli, każą nam powtarzać za autorem Georgik:

Fortunatos nimium, sua si bona norint
Agricolae!

Gdzież się więc wreszcie zatrzymać? Widzimy, że koło prac wytwórczych rozszerza się w nieskończoność, aż do ostatecznych granic społeczeństwa — podobnie jak fale na powierzchni wody, które tworząc naokoło z punktu, w którym się poruszyło wodę, coraz większe koła, gubią się gdzieś w oddali, zanim jeszcze moglibyśmy dostrzedz, jak daleko dotarły. Bezwątpienia prace, nad któremi dopiero co zastanawialiśmy się, nie przyczyniają się

w równym stopniu do produkcyi zboża; jedne z nich działają bezpośrednio, drugie znowu w sposób pośredni; w każdym jednak razie, żadnej z nich — począwszy od pracy robotnika, skończywszy na pracy naczelnika państwa — nie można uchylić bez straty dla uprawy zboża.

Wobec takiej rozmaitości niepodobna uszeregować różnych rodzajów pracy ludzkiej według jej ekonomicznej doniosłości. Zdawałoby się, że takie stopniowanie da się przeprowadzić na podstawie znaczenia potrzeb, które zaspakaja odpowiedni rodzaj pracy. Z tego stanowiska należałoby przeznaczyć pierwsze miejsce dla odkryć i wynalazków, potem umieścić kolejno prace rolnicze, przemysłowe, przewozowe, wreszcie na ostatku prace handlowe i czynności publiczne. Tymczasem podobny podział jest zupełnie mylnym, gdyż wszystkie bogactwa rolnicze na nic się nie przydadzą, jeżeli w jakimś kraju panują złe rządy, albo też niema środków komunikacyjnych. Zamiast silić się na taki podział, należy starać się o zachowanie odpowiedniego stosunku pomiędzy różnymi rodzajami pracy. Niestety, nawet naszym nowoczesnym społeczeństwom jeszcze bardzo daleko do tej równowagi. Tak naprzykład widzimy, że niektóre państwa wydają miliardy na ułatwienie środków komunikacyjnych, nie troszcząc się zupełnie o to, czy będzie co przewozić; widzimy również, jak z dniem każdym wzrasta ilość ludzi, zajmujących się drobnym handlem i służbą publiczną, podczas gdy rolnictwo traci coraz więcej rąk do pracy.

IV.

Trud jako składowy czynnik pracy.

Każda wytwórcza praca domaga się pewnego trudu. Prawo to ma nader doniosłe znaczenie dla ekonomii poli-

tycznej, gdyby bowiem praca nie była połączona z trudem, możnaby z góry już powiedzieć, że wiele zjawisk ekonomicznych zmieniłoby zupełnie swój kształt dzisiejszy. N. p. gdyby ludzie pracowali jedynie dla przyjemności, natenczas nie byłoby potrzeba własności indywidualnej, jako zachęty do pracy, musiałby więc upaść najcięższy zarzut, jakiby można zrobić komunizmowi.

Dobrze to pojął socyalista Fourier — to też za podstawę przyszłego społeczeństwa, które zamierzał utworzyć, przyjął pracę, któraby posiadała urok dla wszystkich. Twierdził on, że jeżeli praca jest teraz tak uciążliwą, to jedyną tego przyczyną jest wadliwy ustrój tegoczesnych społeczeństw — i że można ją uczynić miłą dla wszystkich ludzi przez wolny wybór zawodów, rozmaitość zajęcia, szybką zmianę poszczególnych czynności, współzawodnictwo i przez tysiące innych, jużto bardzo genialnych, jużto bardzo fantastycznych pomysłów. Jednem słowem Fourier sądził, że w jego falansterach każda praca — rolnika, kowala, cieśli czy szewca, nabierze znamion nowego rodzaju sportu.

Bardzo być może — możnaby powiedzieć. Wszak praca jest tylko pewną odmianą działalności ludzkiej, która sama w sobie nie jest uciążliwa. Działać, to znaczy żyć; a zupełna bezczynność jest karą i to tak okrutną, że gdy trwa zbyt długo w więzieniu celkowem, to skazanego doprowadza do szaleństwa, jeżeli już nie zabija. Wszak niema istotnej różnicy pomiędzy pracą a wielką ilością ćwiczeń fizycznych, wykonywanych jedynie dla zabawy, które nieraz wymagają o wiele większego wysiłku od pracy, n. p. jak wstępowanie na góry, wiosłowanie, ogrodnictwo, a nawet taniec.

Na to wszystko należy odpowiedzieć, że człowiek znajduje upodobanie w działaniu tylko o tyle, o ile jakaś czynność sama w sobie jest dlań przyjemną, o ile ta praca jest czynnością zupełnie naturalną. Przeciwnie zaś, skoro ta czynność wystąpi jako warunek zaspokojenia

późniejszej potrzeby, skoro trzeba koniecznie ją przedsięwziąć, aby dojść z góry do wytkniętego celu — a to właśnie charakteryzuje pracę — wtedy ona staje się uciążliwą. Pomiędzy tym, który wiosłuje dla przyjemności, a wioślarzem z zawodu, pomiędzy turystą zwiedzającym góry a przewodnikiem, który mu towarzyszy, pomiędzy młodą panienką, spędzającą całą noc na tańcu a tanecznicą, występującą w balecie — nie widzę innej różnicy, jak tylko tę, że jedni wiosłują, spinają się i tańczą, jedynie aby wiosłować, spinać się i tańczyć, podczas gdy drudzy wiosłują, spinają się i tańczą nato, aby zarobić na życie; a ta różnica wystarcza zupełnie, aby ten sam rodzaj pracy uważali jedni za zabawę, a drudzy za trud. Candidus lubiał uprawiać swój ogród, lecz byłoby mu to bardzo nieprzyjemnem, gdyby celem uprawy były jarzyny, któreby musiał sprzedawać na targu. Kto idzie jedynie dla przechadzki, może w tem znajdować przyjemność, choćby sama droga nie była interesującą, lecz kto musi nią chodzić codzień rano i wieczór, temu ta droga wyda się długą i nużącą. Otóż praca prawie dla całego rodu ludzkiego jest ową drogą, po której każdy musi postępować dla zaspokojenia swych potrzeb i dlatego też każdy, według słów Genezis: »musi pracować w pocie swego czoła«.

Bezwątpienia praca, nawet najniższa, ma swoje przyjemności, płynące ze spełnionego obowiązku i z dobrowolnego poddania się prawu naturalnemu; wszelako tych przyjemności wewnętrznych mogą kosztować tylko jednostki wybrane. To też zdaje się, że nie chcąc poddać się bardzo złudnemu optymizmowi, nie możemy sobie schlebiać, że doczekamy czasu, kiedy wszyscy ludzie będą pracowali wyłącznie dla przyjemności, innemi słowy, że przyjdzie czas, w którym nie będzie potrzeba interesu, któryby ich skłaniał do pracy.

Aby skłonić człowieka do pracy, a zatem przezwyciężyć uczucie trudu, towarzyszące pracy, potrzeba pe-

wnej siły wyższej, którą dla niewolnika był bat, a więc przymus, którą może kiedyś będzie poczucie obowiązku spełnianego dobrowolnie a którą dla dzisiejszych ludzi jest interes własny. W każdym człowieku pracującym budzą się dwa sprzeczne uczucia: z jednej strony chęć sprawienia sobie jakiejś rozrywki, z drugiej chęć uchylenia się od trudu, który powoduje praca. Odpowiednio do tego, które z tych uczuć przeważa na szali, człowiek pracuje dalej, albo też wstrzymuje się od pracy.

Słusznie zauważył Stanley Jevons, że trud, ponoszony przy pracy, wzrasta bezustannie w miarę tego, jak się praca przedłuża — podczas gdy zadowolenie, którego się spodziewamy, maleje coraz bardziej w miarę tego, jak nasze najważniejsze potrzeby znajdują zaspokojenie. Wskutek tego ta walka tych dwóch uczuć, z których jedno skłania do pracy, a drugie radzi jej zaprzestać, kończy się na tem, że prędzej czy później drugie z nich odnosi zwycięstwo. Zastanówmy się nad człowiekiem, czerpiącym wodę ze studni. Znużenie wzrasta z każdem nowem wiadrem wody, które trzeba ze studni wyciągnąć, z drugiej strony użyteczność każdego nowego wiadra jest coraz mniejsza, albowiem jeżeli pierwsze było niezbędnem do picia, to drugie służy już do napojenia zwierząt, trzecie do zachowania czystości, czwarte do podlewania ogrodu, piąte do mycia podłogi i t. d. I dokądże będzie tak czerpał? Do pewnego stopnia zależy to od siły oporu, jaki stawia on znużeniu, przedewszystkiem zaś od doniosłości jego potrzeb. Eskimos, który wodzie przypisuje jedną tylko użyteczność, mianowicie zaspokojenie pragnienia, poprzestanie na pierwszem lub drugiem wiadrze, natomiast Holender, który myje cały swój dom aż po dach, uzna może dopiero po zaczerpnięciu 50 wiader, że jest dostatecznie zaopatrzonym.

Jeżeli do tej pobudki, którą stanowią potrzeby obecne, przyłączą się jeszcze potrzeby przyszłości — jeżeli

n. p. w kraju, gdzie woda jest rzadką, musi się myśleć o napełnieniu cysterny na dnie posuchy — natenczas działalność wytwórcza może dojść do bardzo znacznych rozmiarów. Wszelako zdolność zestawiania trudu bezpośredniego z zaspakajaniem potrzeb dalszych, którą nazywamy przewidywaniem, pojawia się tylko pośród ras cywilizowanych, głównie zaś u warstw zamożnych, tak, że brak przezorności dostrzegamy zarówno u dzikich jak i ubogich.

V.

Czas jako składowy czynnik pracy.

Podobnie jak do wykonania każdej pracy potrzeba pewnego trudu, tak samo też każda praca wymaga pewnego czasu do swego ukończenia, t. zn. musi upłynąć pewien, dłuższy lub krótszy przeciąg czasu, między rozpoczęciem jakiejś czynności, a uzyskaniem rezultatów, których się po niej spodziewamy. Widzieliśmy już, że to jest jednym z istotnych warunków produkcyi i to warunkiem tak powszechnym, że podlega mu nawet sama przyroda, ilekroć współdziała w produkcyi. Trzeba czekać parę miesięcy, zanim ziarno, leżące w ziemi, stanie się kłosem, a wieleż lat upłynie, zanim z żołędzi wielki dąb wyrośnie!

Jest to niejako powszechnem prawem, że im praca jest dłuższą tem więcej jest wytwórczą. Kiedy chodzi o pracę, która daje człowiekowi z dnia na dzień owoce potrzebne do życia, *from hand to mouth* (z ręki do ust), jak mówi Anglik, jak polowanie, rybołostwo, zbieranie owoców dziko rosnących, to czas jej trwania może być bardzo krótki, gdyż czasami wystarcza kilka godzin. Lecz skoro idzie o prace rolnicze, o wielkie przedsiębiorstwa przemysłowe lub o te dzieła, któremi szczyci się nasze stulecie,

jak o kopalnie, o studnie artezyjskie, o koleje żelazne, tunele lub o kanały, wtedy potrzeba bardzo długiego czasu do wykonania, bo zastosowuje się on do ogromu ich rezultatów. Ileż lat upłynie od czasu, odkąd zaczęto przekopywać przesmyk Panamski, aż do chwili w której pierwszy statek przezeń przepłynie?

Właśnie ten czas, będąc warunkiem każdej działalności wytwórczej, jest, jak niebawem zobaczymy, jedną z głównych przyczyn znaczenia kapitału i uprzywilejowanego położenia tych ludzi, którzy go posiadają. Ponieważ trzeba mieć środki na utrzymanie, zanim się doczeka rezultatu swej pracy, przeto nikt nie może niczego przedsięwziąć, nie otrzymawszy jakiejś zaliczki — a zaliczek tych dostarczają właśnie kapitaliści.

Nie wystarcza stwierdzić, że czas jest niezbędnym czynnikiem wszelkiej produkcyi, trzeba nadto zaznaczyć, że czas, którym człowiek może rozporządzać, jest bardzo ograniczony, nie tyle dlatego, że życie ludzkie jest krótkie, ile raczej dlatego, że człowiek mając przed sobą rozliczne zadania, musi wiele czasu poświęcić dla nieekonomicznych celów.

1) Nie można pracować bez przerwy przez wszystkie godziny doby, gdyż należy część ich odtrącić na sen i na pożywienie, a doświadczenie uczy, że zbytecznem przedłużaniem dnia pracy nic się nie zyskuje na jej wytwórczości. Nacisk robotników i samo prawo ustaliły czas pracy dziennej na 10—11 godzin, w Australii na 8 godzin, do czego dąży słynna zasada trzech ósemek domagająca się skrócenia pracy do 8 godzin, a więc do trzeciej części dnia [1]).

[1]) Eight hours to work, eight hours to play,
Eight hours to sleep, eight shellings a day,
»Ośm godzin pracy, ośm godzin zabawy, ośm godzin snu i ośm szylingów na dzień«, mówi wiersz starej piosnki angielskiej, która znów weszła w modę przy sposobności ostatnich obrad nad ograniczeniem godzin pracy. (Patrz niżej rozdział o płacy).

2) Nie można pracować przez wszystkie dni w roku. Niema kraju, w którymby nie istniała pewna liczba dni świątecznych. Anglia i Ameryka ściśle przestrzegają wypoczynku niedzielnego; Anglicy odpoczywają nadto w sobotę popołudniu, co wraz z innemi świętami czyni 80 dni rocznie. Kraje takie, jak Francya, które »nie chcą się poddać zabobonowi niedzieli«, święcą zato poniedziałek, a nieraz i wtorek. Rzadko się zdarza, aby robotnik i to z pośród najbardziej pracowitych, mógł dojść do 300 dni pracy w jednym roku. Zresztą także trzeba odliczyć jeszcze dni choroby. W końcu nie należy zapominać, że przez ograniczenie dni wypoczynku nic się nie zyskuje, prócz niepotrzebnego zużywania wytwórczych sił człowieka.

3) Wreszcie nie można pracować przez całe życie, lecz trzeba zawsze odtrącić lata dziecinne, a nadto i lata starości w razie, jeżeli do nich dojść można. Przypuszczając, że życie ludzkie dochodzi przeciętnie do 70 lat, a okres produkcyjny rozpoczyna się z 18-tym, a kończy się z 60-tym rokiem, jakkolwiek i to jest zbyt optymistyczne dla pracy fizycznej, potrącamy tem samem od lat 70-ciu 28 lat nieprodukcyjnych, czyli 40%. W zawodach liberalnych pracuje się wprawdzie do późniejszego wieku, lecz później się rozpoczyna, tak że okres czynny nie jest również dłuższy.

Jeżeli tedy powtarzamy jeszcze raz, człowiek pracuje od 18-go do 60-go roku życia przez 300 dni rocznie, a po 8 godzin dziennie, to doszedłszy do 70-go roku [1]) bę-

[1]) Oczywista, że siła wytwórcza jednostki zależy od stosunku pomiędzy dwoma okresami jej życia, t. j. pomiędzy podwójnym okresem nieprodukcyjnym (młodość i starość) z jednej strony, a okresem produkcyjnym (wiek i dojrzałość) z drugiej strony. Dziecko i starzec nietylko, że sami niczego nie wytwarzają, lecz owszem jeszcze zużywają. Wypadkiem najbardziej korzystnym z punktu widzenia ekonomicznego byłoby, gdyby człowiek umierał zaraz, skoroby doszedł do końca okresu produkcyjnego, jeszcze przed roz-

dzie mógł zaiste, spojrzawszy wstecz, powiedzieć, że dobrze pracował przez cały swój żywot, a przecież mimo to pracował tylko 100.800 godzin na 613.200 przeżytych, a więc niespełna szóstą część swego życia.

Nie można się przeto dziwić, że człowiek dąży do oszczędzania czasu i że najczynniejsze narody naszej epoki wzięły sobie za dewizę hasło: czas to pieniądz.

ROZDZIAŁ III.

KAPITAŁ.

I.

Pojęcie kapitału.

Rozróżniamy dwa pojęcia kapitału, wręcz sobie sprzeczne: jedno ekonomiczne, drugie socyalistyczne.

1. Pojęcie ekonomiczne. Z pośród licznych autorów, którzy opowiadali historyę Robinsona, chcąc przedstawić człowieka zupełnie osamotnionego w walce z potrzebami życia — nie masz jednego nawet, któryby nie zaopatrzył swego bohatera w kilka narzędzi lub środków do życia, uratowanych z rozbitego okrętu. Wiedzieli bowiem dobrze, że bez tego zastrzeżenia musieliby przer-

---

poczęciem drugiego nieprodukcyjnego peryodu. Smierć wcześniejsza byłaby zmniejszeniem okresu produkcyjnego, a znów późniejsza, niepotrzebnem zwiększeniem liczby lat nieprodukcyjnych. Dlatego niektóre dzikie ludy starców u siebie mordują.

Krajem najbardziej uprzywilejowanym pod względem potęgi wytwórczej jest oczywista ten kraj, który może wykazać największą liczbę ludzi pomiędzy 18-tym a 60-tym rokiem życia, czyli jeszcze w sile wieku.

wać opowiadanie zaraz na drugiej stronnicy, gdyż życie bohatera niebawem musiałoby się skończyć. Na czemże tedy zbywałoby tym wszystkim Robinsonom? Czyż nie mogli znaleźć ratunku w pracy i w bogactwach ziemi urodzajnej, chociaż nieuprawnej? Prawda, lecz mimo tego brakowałoby im jeszcze czegoś, a ponieważ bez tego obejśćby się nie mogli, przeto autorowie musili się postarać, aby im tego właśnie dostarczyć: brakłoby im kapitału.

Nie potrzeba zresztą szukać aż Robinsona, ażeby się przekonać o użyteczności kapitału, albowiem i pośród naszych cywilizowanych społeczeństw rzecz się ma nieinaczej. W świecie, w którym my żyjemy, nie ma zadania bardziej trudnego do rozwiązania, jak chcieć jakąś rzecz nabyć, jeżeli się nic nie posiada. Przypatrzmy się proletaryuszowi, to znaczy człowiekowi, który nic nie ma; cóż on ma zrobić, aby wytworzyć to, co jest dlań niezbędnem do życia, czyli, jak powiadamy, aby zarobić na życie? Nie trzeba się długo zastanawiać, aby przyjść do przekonania, że taki człowiek nie będzie mógł niczego wytworzyć, nie będzie nawet kłusownikiem dla braku strzelby lub przynajmniej sideł, nawet gałganów nie będzie mógł zbierać, gdyż i do tego potrzebowałby kosza i haczyka. Mógłby on tylko oddawać niektóre drobne usługi, jak n. p. służyć za posłańca, otwierać powozy i t. p., lecz są to raczej odmiany żebraniny, a nie wytwórcza praca. To też znalazłby się w takiej samej nędzy, tak bezsilnym i tak niechybnie skazanym na śmierć głodową, jak ten Robinson, któryby nic nie ocalił ze swego okrętu — jeśliby nie mógł oddać się za wynagrodzeniem na usługi kapitalisty, któryby mu dostarczał pod pewnymi warunkami surowców i narzędzi potrzebnych do produkcyi.

Bezwątpienia zwierzęta muszą się zadowolić własną pracą i darami przyrody, a człowiek pierwotny był z konieczności w tem samem położeniu, jasną bowiem jest rze-

czą, że pierwszy kapitał musiała ludzkość wytworzyć bez pomocy jakiegokolwiek innego kapitału. Musiała przyjść chwila, w której człowiek, bardziej ogołocony na ziemi całej niż Robinson na swej wyspie, rozwiązał ten trudny problemat, wytwarzając pierwsze dobro, bez pomocy dobra, któreby istniało już przedtem. Wtedy to skazany wyłącznie na pomoc swych własnych rąk, musiał on wprawić w ruch olbrzymie koło przemysłu ludzkiego. Lecz gdy się to już raz stało, przełamano największą trudność i odtąd najlżejsze popchnięcie wystarczało, ażeby temu kołu nadać szybkość, zwiększającą się bezustannie. Pierwszy podjęty z ziemi kamień, kawałek krzemienia ułupanego ze skały, posłużył zarazem jako środek do utworzenia nowego dobra, wśród warunków już przychylniejszych, a to znowu pomogło do wytworzenia innych; w ten sposób łatwość produkcyi rosła, można powiedzieć, w stosunku geometrycznym do ilości dóbr już nabytych. Wiadomo, że szereg geometryczny, doszedłszy do pewnej granicy, wzrasta nadzwyczaj raptownie, podczas gdy na samym początku ten wzrost odbywa się bardzo zwolna. Tak samo też i nasze obecne społeczeństwa, które żyjąc z dóbr nagromadzonych poprzednio przez tysiące pokoleń, pomnażają dziś z największą łatwością wszelkie dobra, nie powinny zapominać o tem, jak powolne i niebezpieczne musiało być z początku to gromadzenie dóbr i jak wiele wieków minęło, zanim pierwotnym społeczeństwom epoki kamiennej udało się zebrać pierwsze kapitały. Z pewnością wiele pokoleń i szczepów musiało zginąć w nędzy, przechodząc te straszliwe chwile; tylko nie wielkiej liczbie wybranych ludów udało się szczęśliwie przebyć te trudności i podnieść się do rzędu społeczeństw prawdziwie kapitalistycznych — *ad augusta per angusta.*

2. Pojęcie socyalistyczne. Sformułowali je przedewszystkiem Rodbertus, Karol Marx i Lasalle, którzy zupełnie odmiennie zapatrują się tak na powstanie,

jak i na definicyę kapitału. Ich zdaniem kapitał nie jest narzędziem produkcyi, lecz kapitałem jest każde dobro, które zapewnia swemu posiadaczowi dochód, bez względu na jego pracę. Cechą kapitału w tem pojęciu nie jest jego wytwórczość, t. zn. jego charakter środka produkcyi, lecz jego rentowność czyli wydajność, a więc władztwa nad cudzą pracą. Należy przyznać, że ta definicya odpowiada dokładniej pojęciu kapitału, które sobie wyrabiamy w zwyczajnem życiu (kapitał jest to przedmiot dający procent), lecz jest ona o tyle błędną, że przypuszcza już z góry pewne warunki gospodarcze i społeczne — mianowicie możność wypożyczenia kapitału na procent, lub istnienie ubogich robotników, którzyby zgodzili się sprzedać swą pracę wzamian za swe utrzymanie — które nie zachodzą ani wszędzie ani też zawsze. Co więcej, warunki te zaszły dopiero w epoce stosunkowo bardzo późnej, w Europie dopiero w XVI stuleciu, czego nam najlepiej dowodzi brak nawet słowa »kapitał« w poprzednich czasach. Do tego przyszło dopiero z chwilą, gdy upadek drobnych rękodzieł i małych posiadłości rolnych, jakoteż pozbawienie własności szerokich warstw ludności i wytworzenie proletaryatu bezwłasnościowego, nadało kapitałowi władzę nad obcą pracą, a tem samem pozwoliło kapitalistom otrzymywać dochody bez osobistej pracy — przynajmniej bez jakiejkolwiek innej, jak tylko tej, którą się przedsiębierze, aby nadzorować użycie kapitału i zbierać jego owoce.

Z tego właśnie powodu socyaliści kładą nacisk tylko na tę właściwość kapitału, a przykłady o łuku dzikich i Robinsonów uważają za najzupełniej chybione. Rzeczywiście ani jedni ani drudzy nie mogli pobierać procentów, stąd też łuk nie był kapitałem. Socyaliści wydrwiwają to pojęcie kapitału, nazwane przez nich przyrodniczem i zastępują je pojęciem prawniczem. Kapitał nie jest dla nich niczem innem jak tylko »kategoryą

historyczną«, która pojawiła się w swoim czasie i w swoim czasie zniknie.

Tę zażartą walkę pomiędzy obiema teoryami sprowadziła jedynie chęć uczynienia z nich narzędzia dla obrony lub potępienia kapitału. Jedni powiadają: co za użyteczny pomocnik, jeżeli nawet Robinson nie mógłby żyć bez niego; drudzy wołają: co za straszny tyran, który żyje tylko z cudzej pracy. Lecz wszystko to jest oceną ostatecznego wpływu kapitału, którą zajmiemy się w części, poświęconej kwestyi rozdziału dochodów. Tutaj należy wyjaśnić jedynie funkcyę kapitału w produkcyi.

Otóż ze stanowiska produkcyi niema sprzeczności logicznej między obu teoryami, każda z nich bowiem określa kapitał z innego punktu widzenia. Definicya ekonomiczna ujmuje za cechy kapitału zasadnicze, trwałe, gospodarcze; socyaliści akcentują znamiona nabyte, prawne, historyczne. To też obie teorye są prawdziwe, lecz pojęciu ekonomicznemu należy przyznać wyższość, gdyż określa istotne znamiona kapitału, podczas gdy definicya socyalistyczna opiera się na cechach zmiennych i drugorzędnych.

W istocie rola kapitału zmieniała się pod wpływem ewolucyi gospodarczej. Początkowo skromne narzędzie robotnika, wysuwa się z czasem kapitał z jego rąk i przechodzi do bogatych. Z narzędzia produkcyi zmienia się kapitał w narzędzie zysku; pierwotnie służy pracy, później nią rządzi. Nowy ten ustrój nazwali socyaliści k a p i t a l i z m e m i zwalczają kapitał właśnie dlatego, że on jest twórcą tych stosunków.

Lecz gdyby nawet kapitalizm kiedykolwiek zniknął, pozostanie zawsze kapitał jako czynnik produkcyi. Fakt, że żadne dobro nie da się wytworzyć bez pomocy innego przedmiotu, istniejącego już przedtem, ma ogromną doniosłość socyologiczną i ekonomiści nie przesadzili z pewnością jego znaczenia. Podobnie jak niepodobna zapalić ognia, przynajmniej w zwykłych stosunkach, bez jakiegoś palnika (zapałki, hubki, krzemienia), jak materye wybuchowe

nie eksplodują bez zderzenia się z innem ciałem, a żadna istota żyjąca nie rodzi się bez istnienia już pewnej części materyi żyjącej (komórki, zarodku, protoplazmy) — tak niepodobna w normalnych warunkach ekonomicznych wytwarzać dóbr, bez przedmiotów poprzednio już istniejących, spełniających taką samę funkcyą w produkcyi. Nazywamy je kapitałem, bo nazwać je musimy. Jeżeli socyalistom nie podoba się to słowo, mogą wyszukać inne — lecz ponieważ tego nie uczynili, musimy pozostać przy dotychczasowej nazwie.

Definicya kapitału należy do najsporniejszych w całej nauce. Głównym tego powodem, prócz okoliczności przytoczonych już powyżej, jest tendencya ujęcia definicyą kapitału jego funkcyi produkcyjnych. Nawet socyaliści patrzą na kapitał z tego samego punktu widzenia, gdyż ich zdaniem cały wyzysk pracy odbywa się w czasie procesu produkcyjnego. Stanowisko to jest dlatego mylne, że produkcya jest tylko jednym ze sposobów, ale bynajmniej nie jedynym osiągnięcia nowych rezultatów gospodarczych. Tę samą funkcyę spełnia wymiana, a nawet sam wpływ czasu, przez który działają pewne siły przyrody lub nawet tylko poglądy społeczne n. p. przy drzewostanie lub antykach. Jeżeli zatem pojęcie kapitału ma być wyodrębnione, t. zn. nie schodzić się z pojęciami dobra i majątku, a zarazem jeżeli ma być ścisłe, t. j. obejmujące ogół zjawisk tego samegu typu, nie mieszając ich jednak z innemi — należy objąć niem jakąś grupę funkcyi gospodarczych, stanowiących zamkniętą całość dla siebie. Otóż wszyscy godzą się na to, że kapitał jest zasobem dóbr i posiada pewną indywidualną siłę wytwórczą, choćby polegającą, jak u socyalistów, tylko na tem, że zabiera pracy część jej rezultatów. Innemi słowy, kapitał posiada zdolność wprowadzenia w gospodarstwo nowych wartości jakąkolwiek drogą

i dlatego właśnie starano się wyodrębnić jego pojęcia. Najwłaściwiej przeto można zdefiniować kapitał jako ogół dóbr, przeznaczonych do uzyskania nowych wartości. Jest to pojęcie ściśle subjektywne, lecz wogóle tylko subjektywnie można oddzielić przedmioty konsumcyjne od wytwórczych. Oczywiście nową wartością jest także powiększenie wartości już przedtem istniejącej. Kapitał społeczny stanowi w takim razie ogół dóbr, przeznaczonych do uzyskania nowych wartości w gospodarstwie społecznem, kapitał indywidualny dąży do wprowadzenia nowych wartości w gospodarstwo indywidualne. Stąd też oba te pojęcia są najzupełniej różne, gdyż nowa wartość w gospodarstwie indywidualnem może powstać wskutek zniszczenia większej wartości społecznej. Należy jeszcze odróżnić kapitał rzeczowy od pieniężnego, w miarę tego, czy składa się z pieniędzy, czy też z jakichkolwiek innych dóbr z wyłączeniem pieniędzy. Natomiast podział na kapitał ruchomy i nieruchomy, nie przedstawia ze stanowiska ekonomicznego żadnego znaczenia, gdyż tworzy różnice na podstawie cechy, pozbawionej doniosłości gospodarczej.

II.

Różnica między kapitałem a innemi dobrami.

Już na pierwszy rzut oka można dostrzedz dwie kategorye dóbr, dość wyraźnie odróżniających się od siebie. Jedna z nich składa się z dóbr, służących bezpośrednio do zaspokojenia potrzeb, do dostarczenia trwałego lub przelotnego używania. Zbytecznem byłoby wyliczać te przedmioty: należy do nich i zastawa stołowa i umeblowanie mieszkania i wogóle wszystko co przyczynia się do naszego zadowolenia i wygody. Przedmioty te nazywamy dobrami konsumcyjnemi.

Poza niemi jednak widać jeszcze drugą grupę dóbr. Nie mogą one zaspokoić żadnej naszej potrzeby, lecz służą właśnie do wytworzenia dóbr konsumcyjnych i tylko w tym celu je wyrobiono. Tu należą narzędzia i maszyny, wozy, drogi i mosty, fabryki i folwarki, węgiel, surowcy i każdy niewykończony jeszcze wytwór. Tym dobrom nadajemy miano kapitału. Nie zaliczamy tu jednak ziemi i sił przyrodniczych, ponieważ są one pierwotnymi czynnikami produkcyi, a kapitał jest wytworem, który służy do dalszej produkcyi, czyli jak powiada Böhm-Bawerk jest wytworem pośrednim.

Tak więc dobra, nie mające cech kapitału, służą do użytku osobistego, kapitał do celów zarobkowych. Zdawałoby się, że różnica tu jest bardzo wyraźną, że obie kategorye dóbr dzieli zupełnie ścisła granica, niemal nie przebyta przepaść. Tymczasem rzecz ta nie jest tak prosta, jakby się wydawała na pierwszy rzut oka.

Najpierw trzeba zauważyć, że wielka liczba przedmiotów, mających różne własności, a tem samem i różne użyteczności, może należeć już to do jednej, już też do drugiej kategoryi, według tego, na co się ich użyje. Kwestya zatem, czy dany przedmiot powinien być zaliczonym do kapitałów, czy nie, leży nie tyle w naturze przedmiotu, ile raczej w przeznaczeniu, jakie się mu nadaje. Jajo jest kapitałem, gdy je podkładamy kurze do wysiedzenia kurcząt, a nie jest nim, jeżeli je kładziemy na patelnię, aby zeń zrobić omlet; w pierwszym wypadku spożytkowuje się jego zdolność do życia, którą posiada w zawiązku, a w drugim korzystamy tylko z cząstek pożywnych, jakie się w niem mieszczą. Węgiel, wrzucony do kotła maszyny parowej jest kapitałem, gdyż w ten sposób spożytkowujemy jego siłę poruszającą, która w nim spoczywa, lecz przestaje być kapitałem, skoro się nim pali w piecu,

albowiem w tym razie nie żądamy od niego nic więcej, prócz ogrzania nas. Zbyteczna przytaczać więcej podobnych przykładów, których liczba jest zresztą nieskończoną.

Najwięcej wątpliwości budzą t. zw. środki utrzymania, t. j. wytwory, które w formie żywności, odzieży, schronienia i t. d., mogą posłużyć do utrzymania sił wytwórczych człowieka. Dla człowieka, który pracuje, pożywienie jest z pewnością zarówno niezbędne do produkcyi, jak narzędzia albo surowce; azot i węgiel, które spożywa we formie mięsa lub chleba, odgrywają zupełnie taką samą rolę jak węgiel, który się pali w kotle maszyny parowej. To też większa część ekonomistów zalicza środki pożywienia do kapitałów, jakkolwiek podobne zapatrywanie jest mylne.

Lecz to nie wszystko. Weźmy np. przedmioty, które w żaden sposób i pod żadną formą nie mogą być użyte do celów produkcyjnych, np. klejnoty, koronki, obrazy, stroje teatralne lub karnawałowe, ekwipaże i konie zbytkowe, tytoń, absynt, fotografie, powieści etc. — to i te nawet, jeżeli się je będzie oceniać z punktu widzenia subjektywnego i indywidualnego, dadzą się użyć jak kapitały, i w istocie też są nimi, niemal codziennie. Toż wszyscy sprzedający wspomniane przedmioty — złotnicy, modniarki, kostiumerzy, handlarze starzyzny, fotografowie, księgarze, dalej ci, co sprzedają tytoń albo napoje — wszyscy oni uważają towary, znajdujące się w ich sklepach, za kapitał i rzeczywiście mają prawo uważać je za taki, skoro są narzędziem ich produkcyi i źródłem dochodów.

Wypada nam tedy rozróżnić dwa rodzaje kapitałów: t. j. 1) służące istotnie do wytwarzania nowych dóbr, które nazwiemy kapitałem producyjnym czyli społecznym, i 2) służące jedynie do przysporzenia dochodu swym właścicielom, które nazwiemy kapitałem zarobkowym. Każde dobro może być kapitałem zarobkowym, jeżeli się je wypożycza lub sprzedaje,

przeciwnie zaś, niektóre tylko dobra, mogą już ze swej natury, uchodzić za kapitały produkcyjne. Właściwie tylko kapitałem produkcyjnym należałoby się zająć w rozdziale o produkcyi, każdy inny należy już do zakresu rozdziału dochodów.

Właściwie niema żadnego powodu, któryby uzasadniał gospodarczo odróżnienie ziemi i kapitału. Wprawdzie przeprowadza je najznaczniejsza część ekonomistów, lecz wszystkie przez nich przytoczone argumenty nie mogą wystarczyć, gdyż albo nie dadzą się utrzymać, albo też podnoszą różnice, nie posiadające w gospodarstwie żadnego znaczenia. Mianowicie, najważniejsze przyczyny, dla których odróżnia się kapitał i ziemię są następujące:

1. Kapitał jest wytworem produkcyi, ziemia darem przyrody. Jest to argument najczęstszy, jakkolwiek widać już na pierwszy rzut oka, że nie dowodzi niczego, gdyż w gospodarstwie nie rozchodzi się o sposób powstania dobra, tylko o możność jego zużytkowania. Lecz pomijając to nawet, należy stwierdzić, że ziemia może być również wytworem, a nawet w późniejszych epokach gospodarczych jest z reguły wytworem pracy, kapitał zato jest czasami wyłącznie darem przyrody. Celowe zawłaszczenie, wybór gruntu, jego przygotowania do uprawy stanowią niewątpliwie akt wytwórczy, z drugiej zaś strony dziki koń, który przyłączył się do stada, lub kawał metalu znaleziony przypadkiem będą kapitałami, chociaż nie było produkcyi.

2. Ziemia działa w produkcyi czynnie, kapitał biernie. Przyroda pomaga człowiekowi albo czynnie, gdy pozwala mu wyzyskać siły w niej tkwiące, albo biernie, gdy dostarcza mu surowców do zużytkowania. Otóż powiadają, że ziemia jest zbiornikiem sił czynnych zastępujących pracę ludzką, kapitał natomiast biernych, które uzdolniają go do poddania się

pracy ludzkiej, nie biorą jednak w produkcyi żadnego udziału. Ponieważ kapitał i ziemia są częściami tej samej przyrody, przeto oba te czynniki muszą być wyposażone jednakowemi siłami. Istotnie zwierzę które wydaje młode lub przewozi towary działa czynnie choć jest kapitałem. Siły chemiczne kapitałów działają tak samo jak siły ziemi, natomiast grunt budowlany spełnia funkcyę bierną, gdy służy za podstawę domu, a droga, znosząc przewożone ciężary, nie działa bynajmniej czynnie. Tak więc i ziemia i kapitał działają raz czynnie, raz znowu biernie, według tego, jakie ich siły pragniemy zużytkować.

3. Kapitał niweczy się produkcyą, ziemia się nie zużywa, gdyż kryje niewyczerpane siły przyrody. Nauki przyrodnicze obaliły już dawno teoryę wiecznych sił ziemi, a zresztą z punktu widzenia przyrodniczego wszystko się zużywa, ale nic nie ginie. Natomiast gospodarczo rzecz biorąc, należy stwierdzić, że albo wszystko jest wieczne, tak kapitał jak i ziemia, gdy otrzymuje w wytworze zwrot poniesionych wydatków, albo wszystko jest czasowe, wszystko bowiem należy odnawiać. Nawet zdolność ziemi do znoszenia ciężarów może ekonomicznie zniknąć, gdy sama ta właściwość nie zapewnia już jej wartości, t. zn. gdy ten grunt staje się bezużytecznym gospodarczo, chociaż zachował swe cechy przyrodnicze.

4. Ilość ziemi jest ściśle ograniczona, kapitał można powiększać dowolnie. Lecz jasną jest rzeczą, że wzrost ilości tak ziemi jak i kapitału ma pewne granice, których niepodobna przekroczyć, natomiast wartość ich może się zwiększać w nieskończoność, bo zależy od poglądów podmiotowych. Dotychczas można i ziemię ciągle jeszcze zwiększać, biorąc pod uprawę dzisiejsze nieużytki, teoretycznie i dla kapitału istnieje granica wzrostu, bo kapitał jest również częścią przyrody, ilościowo ściśle oznaczonej.

5. Inne różnice jak, że ziemia jest nieruchoma, kapitał ruchomy, że części kapitału mają stałe granice, a poszczególne kawałki ziemi można oddzielić tylko idealnie — nie mają żadnego znaczenia w gospodarstwie, gdyż podnoszą jedynie znamiona zewnętrzne, w części nieprawdziwie, jak n. p. ruchomość kapitału.

Wynika z tego wszystkiego, że nie udało się dotąd wskazać żadnej istotnej różnicy między ziemią i kapitałem. Stwierdzenie tego ma wielką doniosłość dla oznaczenia istoty i genezy dochodu z ziemi.

III.

Jak należy rozumieć produkcyjność kapitału?

Rola, jaką kapitał odgrywa w produkcyi, zazwyczaj jest źle rozumiana.

Wyobrażają sobie, że każdy kapitał daje dochód w ten sam sposób, w jaki drzewo daje owoce, lub kura znosi jaja; sądzą, że dochód jest to wytwór, powstający wyłącznie z kapitału. Rzeczywiście jeżeli się umieszcza kapitał pomiędzy czynnikami produkcyi, równorzędnie z ziemią i pracą, w takim razie zupełnie logicznie należy wnosić, że przynosi on samoistnie owoce. Do szerzenia tego fałszywego pojęcia przyczynia się okoliczność, że większa część kapitałów występuje w kształcie papierów wartościowych, rent, akcyi lub obligacyi, od których, jak mówi utarty frazes, odcina się kupony, które właśnie stanowią ów dochód. Przez trzy albo sześć miesięcy lub przez jeden rok, stosownie do natury papieru, wartość kuponu wzrasta, a za nadejściem dnia wypłaty staje się on dojrzałym, tak, że można go oddzielić i w istocie też odcina się go zapomocą nożyc.

Co więcej, podobnie jak można owoc lub ziarno zasiać na nowo i wywołać nową roślinę, jak można jajo dopiero co zniesione, znów do wysiedzenia podłożyć i sprawić, przez to, że się kurcze wylęgnie, które również kiedyś będzie znosić jaja — tak samo lokując kupon, można stwarzać nowy kapitał, który przyniesie znów nowe kupony. Wydaje się więc, że kapitał wzrasta i mnoży się podług tych samych praw, podług których rozmnażają się rośliny i zwierzęta. Jednakowoż prawidła procentu składanego, tak się bowiem nazywa taki dochód, są znacznie cudowniejsze od tych praw, według których rozmnażają się śledzie lub grzyby, gdyż obliczono, że pięć centymów, umieszczonych na procencie składanym w pierwszym dniu ery chrześcijańskiej, przyniosłoby do dziśdnia sumę, równą wartości kilku miliardów kul ziemskich, wyrobionych ze szczerego złota. Przykład ten pozostanie sławnym na zawsze.

Lecz porzućmy te wszystkie złudzenia, które, może nawet słusznie, psują tylko humor socyalistom. Ten rodzaj tajemniczej siły produkcyjnej, którą przypisują kapitałowi, ta jego możność rozradzania się, jest czystym wymysłem. Cokolwiek się mówi w życiu codziennem, pewną jest rzeczą, że pieniądz nigdy nie zrodzi pieniędzy, ani kapitał kapitału. Nietylko worek talarów nigdy nie wytworzy ani jednego talara, jak to już Arystoteles wypowiedział, lecz ani ze zwoju wełny, ani z beczki żelaza, nie powstał jeszcze ani jeden strzęp wełny, ani jeden atom żelaza. A jeśli owce mogą znowu płodzić drugie owce — jak powiedział Bentham, sądząc, że zbił tem zdanie Arystotelesa — to wcale nie dlatego, że są kapitałem, lecz po prostu dlatego, że są owcami, t. j. że z natury swej istoty żyjące mają możność płodzenia istot sobie podobnych. Kapitał zaś jest materyą bezwładną i zupełnie bezpłodną, która wprawdzie umożliwia pracę wytwórczą, lecz sama przez się nic nie wytwarza. To też należy przyznać,

że mówiąc o wytwórczości kapitału, mamy na myśli jego pomoc, jako narzędzia wytwórczej pracy [1]).

Skąd to złudzenie? Oto stąd, że widzimy wielką liczbę kapitalistów, którzy żyją bez pracy, a majątek ich szybko wzrasta. Pytamy się więc, skądże się bierze ten dochód?

W rzeczywistości pochodzi on najzupełniej z pracy, tylko, że się tej pracy nie widzi, lecz nie trudno ją znaleźć, skoro się dobrze poszuka; jest to mianowicie praca tych ludzi, którzy dane kapitały wypożyczyli od kapitalistów i używają ich do produkcyi. Kupony od akcyi lub obligacyi kopalni węgla, przedstawiają wartość węgla, wydobywanego pracą górników; kupony od akcyi, względnie obligacyi kolei żelaznej, przedstawiają rezultaty pracy tych, którzy współdziałają przy przewozie towarów.

Może się wprawdzie zdarzyć, że dłużnik wyrzuci bezużytecznie kapitał wypożyczony lub zużyje go nieprodukcyjnie, lecz nawet w tym wypadku procent, pobierany przez wierzyciela, będzie przedstawiał jakąś pracę; jeżeli nie pracę bezpośredniego dłużnika, to przynajmniej pracę osoby trzeciej. Naprzykład kupony od tytułów renty państwowej, nie przedstawiają wcale dóbr wytworzonych zapomocą pracy lub produkcyi państwa, albowiem państwo zwykle wytwarza bardzo nie wiele i zazwyczaj zużywa nieprodukcyjnie większą część kapitałów sobie powierzonych; ale przedstawiają wytwory pracy wszystkich obywateli państwa, które corocznie we formie podatków wpły-

[1]) Nie trzeba koniecznie wyprowadzać stąd wniosku, jak to czynią socyaliści, że robotnik ma prawo do całkowitego wytworu swej pracy i że zatrzymywanie części dochodu przez kapitalistę jest zawsze bezprawiem. Nie tu miejsce do wyjaśnienia tego, lecz wystarczy pamiętać, że bez pomocy kapitału zdolność robotnika do pracy pozostałaby bezpłodną, a rezultat otrzymywany przez samego robotnika możnaby sprowadzić niemal do zera. Wskutek tego robotnik musi się starać o uzyskanie pomocy kapitału, a jeżeli go nie posiada, nie łatwo go przecież dostanie za darmo (patrz niżej *o zysku).*

wają do kas państwowych, a stąd dostają się do rąk kapitalistów. Podobnie jeżeli zamożny młody człowiek wypożycza kapitały dla używania życia, w takim razie lichwiarskie procenta, które opłaca, nie przedstawiają bezwątpienia rezultatów jego własnej pracy, lecz prawdopodobnie pochodzą z pracy jego dzierżawców.

IV.

Trwałość kapitału stałego i obiegowego.

Kapitał wytwórczy może trwać króciej lub dłużej, zwykle niezbyt długo. Odpowiednio do tego, czy jego trwałość będzie krótszą czy dłuższą, posłużyć może do mniejszej lub większej liczby aktów produkcyi.

Nazwą kapitałów obiegowych oznaczamy te kapitały, które mogą służyć tylko raz jeden, albowiem znikają w samym akcie produkcyi, n. p. zboże, które się sieje, nawóz, którym się ziemię uprawia, węgiel, który się pali, nić, którą się przędzie etc.; zaś kapitałami stałymi nazywamy te, które mogą służyć do większej liczby aktów produkcyi, począwszy od narzędzi najkróciej trwających, jak igła lub worek, aż do najtrwalszych, jak tunel lub kanał, które mogą służyć bardzo długo, pod warunkiem, że się je bezustannie naprawia i uzupełnia.

Natomiast kapitał zarobkowy posiada trwałość nieograniczoną, gdyż nie niszczy się w produkcyi, lecz odnawia ciągle przez zwroty i oprocentowanie. Rzeczywiście kapitał zarobkowy jest wartością, pożyczoną dłużnikowi, który winien wiecznie opłacać procent, jak to się dzieje przy wieczystej rencie państwowej, albo też który w oznaczonym terminie ma zwrócić kapitał w całości, wskutek czego można go znowu wypożyczać w nieskończoność, albowiem jest on wartością umieszczoną w handlu lub przemyśle, która ma nietylko zapewnić dochód, lecz także

odpowiednią nadwyżkę, wystarczającą na pokrycie ewentualnej straty.

W produkcyi korzystniej jest używać kapitałów długotrwałych niż szybko zużywających się. W istocie choćby potrzeba było bardzo wielkiej pracy do ich wytworzenia i choćby najmniejszą była ilość pracy rocznie zaoszczędzonej przy ich pomocy, to koniecznie musi nadejść chwila, w której praca zaoszczędzona dorówna pracy, wyłożonej na ich budowę. Skoro się to osiągnie, wtedy kapitał zostanie umorzony, by użyć technicznego wyrazu, to znaczy, że na przyszłość praca zaoszczędzona będzie stanowić czysty zysk dla społeczeństwa. Począwszy od tego dnia kapitał będzie już świadczył nadal usługi za darmo, to też postęp cywilizacyi zdąża dziś ustawicznie do tego, aby kapitały mniej trwałe zastąpić na przyszłość kapitałami długotrwałymi.

W każdym razie nie trzeba zapominać:

1) Że utworzenie takich kapitałów wymaga tem więcej pracy, im dłużej mają trwać, tem samem, że należy tu utrzymać pewną równowagę. Można jednak powiedzieć, zwiększanie się ilości wyłożonej pracy jest zazwyczaj powolniejsze od wzrostu trwałości, co czyni właśnie korzystnem użycie podobnych kapitałów.

2) Że do powstania kapitałów stałych potrzeba ofiary obecnej i bezpośredniej we formie wielkiej ilości pracy lub kosztów, podczas gdy wynagrodzenie, jakie się za to otrzyma w postaci zmniejszonej pracy, względnie zaoszczędzonych kosztów, jest bardzo odległe, i to zazwyczaj tem odleglejsze, im większą jest trwałość kapitałów. Jeżeli zatem przeprowadzenie kanału morskiego — n. p. panamskiego — ma kosztować 2 miliardy i koszta mogą być umorzone dopiero po 50 latach, to trzeba położyć z jednej strony na szali bezpośrednią ofiarę dwóch miliardów, z drugiej zaś to wynagrodzenie, jakiego się można spodziewać po upływie 50 lat. Otóż, ażeby to drugie przeważyło, potrzeba wysokiej przezorności, odwagi i nie-

wzruszonej wiary w przyszłość; te warunki zaś występują jedynie w społeczeństwach wysoko cywilizowanych. To też ludy, u których stosunki społeczne mało postąpiły naprzód, a urządzenia polityczne nie wiele przedstawiają trwałości, nie używają prawie zupełnie kapitałów stałych. Wszystkie ich dobra nabierają znaczenia przedmiotów przeznaczonych na spożycie albo kapitałów obiegowych.

3. W końcu wypada jeszcze zauważyć na niekorzyść kapitałów stałych, że jeżeli ich trwanie jest zbyt długie, to zachodzi niebezpieczeństwo, iż *stracą użyteczność* i z tego względu potrzeba wielkiej roztropności, o której zaraz pomówimy. W rzeczy samej materyalna trwałość kapitałów nie jest jeszcze wszystkiem, interesuje nas bowiem tylko trwałość ich użyteczności, a jakkolwiek można niekiedy liczyć do pewnego stopnia na pierwszą, nigdy nie można rachować z pewnością na drugą. Użyteczność, jak wiemy, jest niestałą, i ta, którą uważaliśmy za najbardziej pewną, może po upływie pewnego czasu zniknąć. Nic nam nie poręcza przy wierceniu tunelu lub przy przekopywaniu kanału, czy po upływie jednego lub dwóch stuleci handel nie znajdzie sobie jakiej innej drogi. Otóż jeżeli do dnia, w którym ta zmiana nastąpi, kapitał, wydany na przekopanie tunelu, nie będzie jeszcze umorzony, wtedy wartość jego zupełnie zniknie, a tem samem okaże się, że pewną ilość pracy wyłożono nadarmo. Dlatego jest rzeczą roztropną, nie liczyć na odległe wieki i z tego względu nie wytwarzać kapitałów zbyt trwałych, co może być rzeczą bardzo niebezpieczną. Odnosi się to także do kapitałów zarobkowych.

V.

Jak się tworzy kapitał?

Kapitał, będąc, jak powiada Böhm-Bawerk, wytworem pośrednim, nie może inaczej powstawać, podobnie jak każde inne dobro, jak tylko zapomocą dwóch zasadniczych czynników wszelkiej produkcyi, t. j. pracy i przyrody. Wystarczy tylko zrobić przegląd wszystkich kapitałów, jakie sobie wyobrazić można — narzędzi, maszyn, robót sztucznych, surowców wszystkich kategoryi — ażeby się upewnić, iż nie mogą mieć innego początku prócz tego, któryśmy dopieroco wskazali [1]).

Nie byłoby celu rozwodzić się nad rzeczą tak oczywistą, gdyby niektórzy nie przyznawali wpływu na tworzenie się kapitału jeszcze jednemu, odrębnemu czynnikowi, który się zowie *oszczędnością*. Powiada się, że każdy majątek powstaje przez oszczędność. — Cóż to za nowe pojęcie występuje na widownię? Czy to może jaki trzeci pierwotny czynnik produkcyi, o którym dotąd zapomnieliśmy? Bynajmniej, — prócz pracy i sił przyrody nie można wyobrazić sobie nic więcej [2]). Czyżby to była jaka odrębna forma pracy? Wprawdzie za taką ją miano, lecz cóż mają wspólnego ze sobą te dwie czynności? Pracować, znaczy działać, a oszczędzać, znaczy powstrzymywać się od wydatków? [3]). Nie można bowiem pojąć, my-

[1]) Wyrażenie Karola Marxa, że kapitał jest »skrystalizowaną pracą«, byłoby odpowiednie, gdyby nie pomijało udziału przyrody w tworzeniu się kapitału; lecz Marx pozostaje zawsze wiernym swojej zasadzie, że wszelka wartość pochodzi jedynie tylko z pracy.

[2]) Pomimo tego Senior odróżnia trzy czynniki produkcyi, tj. pracę, siły przyrody i *powstrzymanie się od używania*.

[3]) Courcelle-Seneuil utrzymuje wprawdzie, że oszczędność jest tylko »formą pracy« (patrz *Journal des Économistes* czerw. 1890), ponieważ jednak takie twierdzenie, jak to przyznaje sam autor, nie ma innego celu, jak tylko usprawiedliwić społeczną działalność ka-

śląc logicznie, w jaki sposób akt czysto negatywny, proste powstrzymanie, może wytwarzać rzecz jakąkolwiek. Montaigne miał zwyczaj mówić, że »nie zna zajęcia bardziej czynnego i więcej potężnego nad tę bezczynność«; może to być prawdziwem z punktu widzenia moralnego, ale wcale nie tłumaczy, w jaki sposób mogłaby powstać z tej bezczynności choćby tylko jedna szpilka.

Kiedy się mówi, że to lub owo dobro zostało stworzone zapomocą oszczędności, zapewne chce się przez to powiedzieć, że gdyby te przedmioty spożywano w miarę ich powstawania, to jużby ich do tej chwili nie było. Gdybyśmy na pytanie dziecka, skąd się biorą kurczęta, odpowiedzieli, że celem stworzenia kurcząt należy się powstrzymać od jedzenia jaj, to słusznieby można uważać podobną odpowiedź za bardzo dobrą jako rada, lecz dziwnie nierozsądną jako wyjaśnienie. Twierdzenie, jakoby oszczędność była pierwotną przyczyną tworzenia się kapitałów, jest równie niewystarczające, gdyż w ten sposób wszelkie powstrzymanie niszczenia należałoby zaliczyć do przyczyn produkcyi, a to byłoby tylko zwykłym sofizmatem.

Podobne zapatrywanie da się wyjaśnić jedynie używaniem pieniądza. Oszczędność bowiem, w naszych cywilizowanych społeczeństwach, oznacza zachowywanie pewnej ilości pieniędzy. Otóż ten, kto pieniądze składa do szuflady, zapewne nie stwarza przez to ani bogactw, ani kapitałów (przeciwnie, pewną część dóbr wycofuje z obiegu), ale ponieważ każda sztuka pieniądza przedstawia przekaz, uprawniający swego posiadacza do wybrania sobie z ogółu istniejących dóbr jakiejś równoważnej wartości, przeto jasną jest rzeczą, że ten, kto pieniądze gromadzi, zaoszczędza sobie przez to pewną ilość dóbr, posiadających dla

pitalistów oraz usługi, które oni świadczą, przeto nie widzimy potrzeby nad tem dłużej się zastanawiać.

niego takie samo znaczenie, jak gdyby je wytworzył własną pracą. Lecz taki punkt widzenia jest czysto indywidualny.

W istocie też widzimy, że gromadzenie skarbów odnosi się głównie do pieniędzy, a jest rzeczą bardzo wątpliwą, czy poza niemi powstał kiedy przez oszczędność jaki kapitał. Siekiera, którą pierwszy człowiek wyciosał z kamienia, z pewnością nie była rezultatem jakiejś oszczędności. Przeciwnie jest prawdopodobnem, że on tak samo nie był w stanie ograniczyć swej konsumcyi, jak proletaryusz dzisiejszy, który właśnie tyle tylko zarabia, ile koniecznie potrzeba, aby nie umrzeć z głodu. To też nie przez zmniejszenie konsumcyi, lecz przez powiększenie produkcyi, np. po szczęśliwem polowaniu, które mu więcej przyniosło niż zwykle, wytworzył sobie swój pierwszy kapitał. Czy można przypuścić, aby ludy, chcąc przejść ze stanu myśliwskiego do gospodarstwa rolniczego, zaoszczędziły sobie środki do życia na cały rok naprzód? Nic mniej prawdopodobnego. One po prostu oswoiły swoje zwierzęta, a to bydło, które było dla nich pierwszym kapitałem, umożliwiło im przedsięwzięcie dłuższych prac, bez troski o jutro. I gdzież tu znów mowa o jakiejś oszczędności, bardzo słusznie zapytuje Bagehot[1]). Czy właściciel tego bydła musiał się w czemś ograniczyć? Przeciwnie, otrzymuje on mleko i mięso, czemu zawdzięcza lepsze pożywienie, a znów dzięki wełnie i skórze może się odziać lepiej, niż przedtem.

Nie myślimy zresztą bynajmniej obniżać znaczenia i użyteczności oszczędzania. Ale jeżeli oszczędność odgrywa pewną i to znaczną rolę w konsumcyi, to nie ma dla niej miejsca w produkcyi[2]).

[1]) *Economic studies. — Growth of capital.* str. 166, 167.

[2]) Patrz ks. IV.

CZĘŚĆ DRUGA.

SPOSOBY PRODUKCYI.

ROZDZIAŁ I.

ORGANIZACYA PRODUKCYI.

I.

Kolejne epoki ewolucyi przemysłowej.

Szkole historycznej zawdzięczamy, między innemi, także odkrycie i oznaczenie kolejnych typów ewolucyi przemysłowej.

Ogólnie zgadzają się, że należy odróżnić tu pięć typów.

1. Przemysł rodzinny. Panuje on nietylko w społeczeństwach pierwotnych, lecz także w starożytności i w pierwszym okresie wieków średnich. Ludność dzieli się ze stanowiska gospodarczego na małe, niezależne od siebie grupy, które zupełnie sobie wystarczają, zużywając tylko to, co same produkują, a wytwarzając tylko tyle, ile konsumują. Wymiana i podział pracy istnieją tu tylko w zawiązku. (Patrz niżej rozdziały o historyi podziału pracy i wymiany).

Każda rodzina stanowi odrębną grupę, lecz wyraz rodzina należy wziąć w daleko szerszem znaczeniu niż dzisiaj. Rodzina patryarchalna jest z jednej strony o wiele liczniejszą od dzisiejszej, z drugiej zaś powiększa się jeszcze sztucznie obcymi żywiołami, t. j. niewolnikami, a później poddanymi, którzy do niej należą. W Rzymie oznaczano niewolników prawnie słowem familia. Dwór wiejski bogatego Rzymianina ze swą armią niewolników, wykonujących wszystkie rzemiosła, czy też dwór średniowiecznego barona z jego poddanymi, należą do tej epoki ekonomicznej.

2. Przemysł rękodzielniczy pojawia się w średnich wiekach i odznacza się bardzo ważnem znamieniem, t. j. podziałem rzemiosł. Robotnik, przynajmniej w mieście, jest gospodarczo niezależny i produkuje najczęściej przy pomocy własnych surowców i narzędzi, czyli staje się, jak to mówimy, rzemieślnikiem. Lecz zwykle pracuje on jeszcze tylko na zamówienie, albo przynajmniej wytwarza dla małego tylko targu rodzinnego miasta, który sobie z zazdrością zastrzega. Wszyscy robotnicy tego samego rzemiosła łączą się w pewien rodzaj asocyacyi, celem wzajemnej pomocy i obrony i tworzą owe cechy, które odgrywały tak ważną rolę w historyi gospodarczej, a nawet i politycznej wieków średnich.

3. Przemysł domowy, którego nie należy mieszać z przemysłem rodzinnym. Rzemieślnicy tracą powoli swą niezawisłość i zamiast pracować bezpośrednio dla swych odbiorców lub dla publiczności, produkują już na rachunek wielkiego handlu. Pracują u siebie w domu i zachowują niekiedy (nie zawsze) własność swych narzędzi i surowców, lecz wytwór przyszły już do nich nie należy i kupiec, który ich zatrudnia, podejmuje się jego sprzedaży. W jakiż sposób ten pośrednik wśliznął się pomiędzy nich a publiczność? Stało się to dzięki zniszczeniu małych targów lokalnych i zastąpieniu ich przez wielki targ narodowy, którego cechy nie mogły już opanować, jako zanadto biedne i słabe, a zarazem wytwarzające nazbyt drogo.

4. Przemysł fabryczny. Pośrednik czy przedsiębiorca łączy tych, dotąd rozrzuconych pracowników w jednym lokalu, gdyż przedstawia to dla niego znaczne korzyści, pozwalając na przeprowadzenie odpowiedniego podziału pracy, który podnosi siłę wytwórczą, obniżając równocześnie koszta produkcyi. (Patrz niżej O podziale pracy). Odtąd robotnik nie posiada już ani surowców ani

narzędzi, nie pracuje już u siebie, lecz staje się płatnym robotnikiem, a pośrednik, który mu daje to wszystko, pracodawcą. Ta forma mogła powstać dopiero z chwilą, gdy w ręku kupców nagromadziły się znaczne kapitały, pracodawca bowiem musi dostarczać swym robotnikom kapitałów niezbędnych do produkcyi. Lecz za to wzrasta potężnie siła wytwórcza. Ta przemiana rozpoczyna się około XVI. wieku. Udoskonalona organizacya przemysłu fabrycznego wypiera po wielu walkach przemysł cechowy i zdobywa targi, które były dla niej zamknięte statutami cechowymi. We Francyi trzeba było na to interwencyi państwa, które stworzyło — za Sully'ego a głównie za Colberta — uprzywilejowane fabryki, z których niektóre, jak np. fabryka gobelinów, do dziś jeszcze pozostały we własności państwa; natomiast w Anglii wywóz za granicę i do kolonii samą siłą rzeczy przełamał ramy organizacyi cechowej.

5 Przemysł mechaniczny czyli maszynowy, który znamionuje naszą epokę, zaczyna się wraz z zastosowaniem pary do przemysłu i przewozu. Podniósł on wprawdzie do szczytu siłę wytwórczą, ale nie zmienił zasadniczych znamion poprzedzającego okresu, tylko je rozszerzył i silniej zaznaczył. To też i obecnie widzimy nagromadzenie na jednem miejscu coraz znaczniejszych mas robotników, pracę nocną, wojskową organizacyę pracy, używanie w fabrykach kobiet i dzieci. Ponieważ podobny ustrój wymaga coraz znaczniejszych kapitałów, przeto doprowadza do tego, co socyaliści nazywają ustrojem kapitalistycznym. Ma to także swe braki, które częstokroć służą za podstawę dla oskarżeń, niestety aż nadto usprawiedliwionych, zarzucających naszej organizacyi nieszczęśliwe wypadki, chroniczne bezrobocia, nadprodukcyę i przesilenia, wreszcie tworzenie się u góry ogromnych fortun, w dole proletaryatu wygłodniałego, zmuszonego często do sprzedania się za kawałek chleba, a między jednemi i drugimi specyalnej kategoryi właścicieli, którzy się nazywają akcyonaryuszami, a których trudno odróżnić na pierwszy rzut oka od zwykłych pasożytów. Wszystkie te rysy zresztą wyjaśnimy dokładniej w następnych rozdziałach.

Byłoby błędem sądzić, że każda z tych form wyparła zupełnie dawniejszą, gdyż w rzeczywistości każda nadaje danemu okresowi swe piętno tylko dlatego, że odgrywa w nim główną rolę, lecz obok niej istnieją wszystkie inne. Nawet w naszych czasach, jakkolwiek znamieniem ich jest przemysł maszynowy, możemy jeszcze znaleźć resztki przemysłu rodzinnego w domach wieśniaków, gdzie kobieta przędzie len na bieliznę dla domowego użytku; a jakkolwiek w miastach zniknął ustrój cechowy, gwałtownie wyparty ustawodawstwem, to przecież i w nich jest zawsze jeszcze bardzo dużo rzemieślników, oddających się różnym rzemiosłom i pracujących na zamówienie tak samo, jak we wiekach średnich.

Zbytecznem jest nawet dodawać, że posiadamy jeszcze fabryki, szczególniej zaś pracę przemysłową po domach, która nietylko, że utrzymała się dotąd, lecz co ciekawsze, nabiera coraz nowego życia. W wielkich miastach niektóre wielkie gałęzie przemysłu, głównie przemysł krawiecki, wykonują się prawie wyłącznie w tej formie. Możliwą jest rzeczą, że to ponowne ożywienie tej formy wywołało obecne ustawodawstwo w sprawie organizacyi pracy. Ponieważ nowe ustawy odnoszą się tylko do fabryk, wielu przemysłowców uważa za dogodniejsze ominąć je, dając pracę do domów.

Zdawałoby się, że tak jest lepiej i że robotnik powinien być szczęśliwszy i wolniejszy pracując u siebie w domu, w dowolnych godzinach i w gronie rodzinnem, niż w przemysłowych koszarach. Doświadczenie dowodzi jednak, że tak nie jest, lecz że przeciwnie, ten sposób produkcyi umożliwia najgorszy wyzysk, który oznaczamy wyrazami sweating — system. W istocie wystarczy zaznaczyć, że przy takiej organizacyi przemysłowej nie-

tylko robotnik jest pozbawionym, jak to już powiedzieliśmy, opieki prawa w kwestyi długości dnia roboczego, pracy kobiet i dzieci, przepisanych środków hygieny etc.— lecz jeszcze jest wydanym bez najmniejszej obrony na łup pośrednikom między nim a wielkim fabrykantem, którzy wysysają cały ten mały zysk, jakiby on mógł mieć ze swej pracy. Prócz tego robotnik jest tu o wiele więcej wystawiony na bezrobocia i skutki martwego sezonu, bo właściciel fabryki nie może bez wielkiej szkody zamknąć jej i woli pracować nawet ze stratą, niż pozostawić bezczynnym swój ogromny kapitał, podczas gdy przedsiębiorca, który każe pracować w domu, nie odczuwa tej troski.

Każdy ze sposobów produkcyi odznacza się pewnym specyalnym postępem na polu organizacyi pracy.

Przemysł rodzinny, w szerokiem znaczeniu jakie daliśmy temu słowu, wyświetla wielkie gospodarcze znaczenie s t o w a r z y s z e ń.

Przemysł cechowy ustala i potęguje ten pierwszy postęp, ponieważ zastępuje stowarzyszenie naturalne (rodzinę naturalną), albo przymusowe (niewolnictwo, poddaństwo) przez stowarzyszenie wolniejsze, chociaż zawsze jeszcze przymusowe (cechy). Lecz ponadto dorzuca jeszcze nowy i bardzo ważny postęp, p o d z i a ł p r a c y, w formie różniczkowania rzemiosł.

Przemysł fabryczny posuwa do najwyższego szczebla podział pracy najpierw w domu, potem w tej samej pracowni; ale on także odznacza się nowym postępem, któremu ostatecznie zawdzięcza swe powstanie w y m i a n a. W rzeczy samej otwarcie nowych targów i nowych środków przewozowych spowodowało powstanie tej formy produkcyi.

W końcu przemysł maszynowy rozwija wymianę do ostatecznych granic, ponieważ żyje on targiem międzynarodowym i idzie szukać zbytu na kończyny świata, ale zwyczajna wymiana nie może mu już wystarczyć, potrzeba mu do rozwinięcia się czegoś więcej, mianowicie k r e d y t u.

Takie są cztery formy produkcyi społecznej — aż dotąd nie odkryto innych [1]) — które utworzą naturalny podział tej księgi.

Ponadto jest między niemi bardzo ścisły węzeł. Podział pracy, jak to zobaczymy, jest tylko bardziej skomplikowaną odmianą stowarzyszenia; wymiana bez podziału pracy jest niemożliwą, w końcu kredyt jest tylko rodzajem wymiany, jest tylko wymianą terminową, a nie natychmiastową.

II.

Koszta produkcyi.

Przy produkcyi każdego wytworu musi się zużyć pewną ilość dóbr, które istniały poprzednio. Ogół tych dóbr zużytych nazywamy k o s z t a m i p r o d u k c y i, w handlu niekiedy kosztami nabycia. Weźmy n. p. kopalnię. Przedsiębiorca zalicza do swych kosztów płacę robotników, oprocentowanie i amortyzacyę włożonego kapitału, wreszcie czynsz od gruntu, kopalnią zajętego. Obojętną jest rzeczą, czy wypożycza on potrzebny kapitał i dzierżawi ziemię, czy też jest właścicielem obu tych czynników, w tym drugim bowiem wypadku liczy amortyzacyę i oprocentowanie kapitału własnego, także i tego, za który nabył ziemię.

Te koszta produkcyi, do których należy dodać jeszcze wydatki na u b e z p i e c z e n i e od klęsk i nieprze-

[1]) Schmoller i Bücher odróżniają jeszcze jedną fazę pośrednią t. zw. p r a c y n a j e m n e j, pomiędzy przemysłem domowym a rękodzielniczym. W tym okresie robotnik był tylko na pół wolnym i pracował przy pomocy narzędzi i surowców, dostarczanych przez konsumenta, najczęściej u niego w domu.

widzianych wypadków i na podatki, rosną ilościowo, gdy z produkcyi pierwotnej przechodzimy do przemysłowej, bo do kosztów wydobycia surowca dołącza się koszt jego przerobienia najpierw w hutach, potem w fabryce maszyn i t. d. W każdym jednak razie składają się one z owych trzech głównych czynników: z kosztów nabycia pracy, kapitału i ziemi, t. zn. z płacy, procentu od kapitału i renty gruntowej.

Przedsiębiorca porównuje przeto koszta z przypuszczalną wartością wytworu i rozpoczyna produkcyę tylko o tyle, o ile spodziewa się, że wartość wytworu będzie wyższą. Jest to jakby rodzaj wymiany, bo mienia on rzeczy obecne na przyszłe. Wprawdzie w tym rachunku zachodzą niekiedy pomyłki, lecz dzieje się to tylko przypadkowo.

Wielu ekonomistów twierdzi, że wartość oznacza się kosztami produkcyi. Doktryna ta jest błędną, gdyż raczej należałoby powiedzieć, że wysokość kosztów produkcyi zależy od wartości wytworu. Rzeczywiście przedsiębiorca, przystępując do wytwarzania nowego towaru, musi zdać sobie sprawę z ceny, za jaką będzie mógł go sprzedać i tak się urządzić, ażeby wyrób nie kosztował go więcej. Tem bardziej będzie się on trzymał tej samej zasady, gdy chodzi o towar już znany, o ustalonej cenie targowej. Jeżeli źle się obliczy, błąd jego nie podniesie ani o grosz wartości wytworu, lecz narazi go tylko na straty i zmusi do zaprzestania produkcyi.

Mimoto nie można zaprzeczyć, że cena prawie wszystkich towarów okazuje tendencyę przystosowania się do kosztów produkcyi i dążność do zmian, odpowiadających zmianom w wydatkach. Tłómaczy się to w sposób bardzo prosty. Między kosztami produkcyi a ceną niema żadnego związku przyczynowego, lecz konkurencya stara się zbliżyć, a nawet wyrównać cenę z kosztami produkcyi, a naciska w tym duchu tem silniej, im większa jest różnica obu tych wartości. W istocie łatwo zrozumieć,

że jeżeli cena odbiega daleko od kosztów, t. zn. gdy zysk może być znaczny, przedsiębiorcy rzucają się ku tej gałęzi produkcyi i zwiększając ilość towarów, obniżają tem samem ich cenę. Można nawet powiedzieć, że w systemie zupełnie wolnej konkurencyi cena byłaby zawsze równą kosztom produkcyi. Wyjątek zachodzi tylko w wypadkach monopolu, — w których cena może znacznie przewyższać koszta właśnie dlatego, że tu nie działa konkurencya — i w razie postępu techniki, obniżającego koszta produkcyi. Wtedy cena jest stale niższą od kosztów produkcyi przedsiębiorstw, używających przestarzałych sposobów technicznych, stosuje się bowiem do niższych kosztów reprodukcyi.

Powstaje jednak pytanie, czy warto jest produkować, jeżeli wartość wytworu dąży do wyrównania się z kosztami, t. zn. gdy jedynym rezultatem produkcyi jest nowa wartość, równa tym, które poświęcono dla jej uzyskania. Gdzież w takim razie jest zysk i postęp? Zobaczymy je natychmiast, skoro tylko odróżnimy koszta produkcyi indywidualne od społecznych.

Wydatki i koszta przedsiębiorcy stanowią przecież zawsze dochód dla jego współpracowników, składają się bowiem z płacy, procentu i renty, a więc z dochodu robotnika, kapitalisty i właściciela gruntu. Choćby więc konkurencya sprowadziła ceny do wysokości kosztów tak, że przedsiębiorcy niby nie pozostało po ich pokryciu, społeczeństwo zyskałoby bardzo wiele w kształcie dochodów, które pobrali inni. Czysty więc zysk społeczny może być bardzo wysoki, chociażby nie było żadnego zysku indywidualnego. Jeżeli zaś będziemy oceniać produkcyę społeczną jako taką w jej całości, jedyny jej koszt stanowi tylko istotne zużycie surowców i narzędzi, pozostaje więc zawsze znaczna nadwyżka wartości.

III.

Jak utrzymać równowagę między produkcyą a konsumcyą?

Zdrowie społeczeństwa domaga się tak samo, jak zdrowie każdej istoty żyjącej, właściwej równowagi między produkcyą a konsumcyą. Produkować za mało jest złem, za dużo także złem, może mniejszem, lecz niemniej pewnem. Każdy brak produkcyi powoduje niemożność zaspokojenia pewnej ilości potrzeb, każdy nadmiar prowadzi do marnotrawstwa i roztrwonienia sił gospodarczych.

Łatwo byłoby utrzymać produkcyę we właściwych rozmiarach, gdyby wytwarzało się tylko na własne potrzeby, jak Robinson, a raczej jak to się działo w epoce gospodarstwa rodzinnego, lub w średniowiecznem gospodarstwie miejscowem. Wtedy można było przewidzieć potrzeby własne lub małego koła odbiorców i odpowiednio do nich ustalić produkcyę.

Lecz prawdziwa trudność powstaje w naszej organizacyi, gdy targ stał się olbrzymim, a produkcya nie czeka na zamówienia konsumentów, lecz pracuje na rozkaz kupców, pośredników i spekulantów, którzy wyprzedzają zapotrzebowanie. Czy nie sprowadza to anarchii w produkcyi?

Szkoła klasyczna zaprzecza temu stanowczo. Jej zdaniem środkiem, utrzymującym automatycznie równowagę między produkcyą a konsumcyą, jest po prostu prawo podaży i popytu, które wpływa na wartość, a streszcza się w zdaniu, że dobra mają większą lub mniejszą wartość w miarę tego, czy ich zasób jest większym lub mniejszym w stosunku do naszych potrzeb. Ilekroć bowiem jakikolwiek towar zostanie wyprodukowany w ilości przewyższającej potrzeby, wartość jego spaść musi. Ta zniżka wartości powoduje zmniejszenie się dochodu producentów, a szczególniej zniża się zysk przedsiębiorcy. Oczywiście przemysłowcy wycofają się stąd, gdzie ich spotkały same zawody i straty, a produkcya tych przedmiotów będzie się zmniejszać, dopokąd nie spadnie do ilości potrzebnej na konsumcyę. Przeciwnie znów, ilekroć jakaś gałęź przemysłu nie posiada dostatecznej ilości rąk i kapitałów, potrzeby, które ona ma zaspokoić, nie znajdą dostatecznego pokrycia, wskutek czego podnosi się wartość danych wytworów. Wywołuje to zwyżkę płac i zysków i przez to przysparza tej gałęzi robotników i kapitałów. Producenci, a przedewszystkiem przedsiębiorcy, będą mieli większe korzyści, a zachęceni tym większym niż zwykle zyskiem inni wytwórcy, kapitaliści i robotnicy zwrócą się do tej gałęzi produkcyi, tak, że wyrób tegoż przedmiotu zwiększy się aż do wysokości popytu.

Ekonomiści, należący do szkoły optymistycznej, jak Bastiat, podziwiają z upodobaniem »harmonijność« tej organizacyi, a zowią ją dobrowolną czyli naturalną i wskutek tego twierdzą, że jest ona doskonałą, stałą i niezmienną.

W rzeczywistości nie jest ona ani mniej ani więcej dobrowolną i naturalną jak wszystkie formy organizacyjne, które istniały poprzednio, a więc rodzina, kasty lub cechy, gdyż one również były naturalnym skutkiem ewolucyi dziejowej. Do doskonałości jest naszej organizacyi bardzo daleko, gdyż w istocie jest ona jeszcze dosyć niewykształconą. W nowoczesnych społeczeństwach organizacya pracy i rozdział funkcyi gospodarczych nie odpowiadają bynajmniej potrzebom społecznym. W najużyteczniejszych gałęziach pracy, jak np. w rolnictwie, dostrzegamy prądy niezdrowe, braknie im rąk coraz bardziej, podczas gdy w zawodach najmniej wytwórczych, jak w drobnym handlu, między kupcami po miastach lub w biurokracyi, z każdym dniem zwiększa się liczba uczestników, a o nowe miejsca, które się mnożą z szybkością, dochodzącą do śmieszności, walczy się z całą zaciętością. I byłoby rzeczą zdumiewającą, gdyby było inaczej. Z je-

dnej strony, obierając jakiś zawód czy zatrudnienie, kierujemy się wyłącznie wyższą lub niższą wartością wytworów lub usług, których dostarczymy, z drugiej zaś wartość tych dóbr i usług nie stoi bynajmniej w prostym stosunku do ich użyteczności społecznej, w zwyczajnem tego słowa znaczeniu, lecz zależy jedynie od krańcowej użyteczności, t. zn. od siły potrzeb, które się niemi zaspokaja, co nie musi odpowiadać ani ich znaczeniu etycznemu, ani nawet ich rzeczywistej użyteczności.

Zresztą ażeby prawo podaży i popytu, w zasadzie prawdziwe, działało w rzeczywistości tak, jak to sobie wyobraża szkoła klasyczna, musiałoby zajść wiele okoliczności, które rzadko tylko dostrzegamy. Przedewszystkiem więc podaż musiałaby natychmiast odpowiedzieć popytowi i naodwrót popyt podaży. Mogłoby to nastąpić, gdyby czynniki produkcyi były nadzwyczajnie ruchliwe i dały się przenieść w jednej chwili z miejsca, w którem jest ich za wiele, ku gałęziom nie dość wyposażonym. Powtóre musielibyśmy mieć jeden tylko rynek światowy, albo targi tak doskonale ze sobą połączone, że zwichnięcie równowagi na jednym z nich usuwałoby się w tej samej chwili. Tymczasem każda produkcya rolnicza i przemysłowa zatrudnia pewną ilość kapitałów stałych, a więc tem samem nie posiadających ruchliwości. Być może, że we Francyi wytwarza się za wiele wina i że byłoby lepiej wytwarzać coś innego, lecz cóż zrobić z siedmiu czy ośmiu miliardami, umieszczonymi w winnicach?

Przytem popyt nie wychodzi bezpośrednio od konsumentów, lecz od pośredników handlowych i spekulantów, nie opiera się przeto na rzeczywistych potrzebach obecnych, lecz raczej na przypuszczalnych potrzebach przyszłych. Tem samem omyłki są tu możliwe, spekulacya może przecenić potrzeby przyszłe i doprowadzić do hyperprodukcyi, może także ich niedocenić i spowodować przez to brak wytworów.

IV.

Konkurencya.

Wolność pracy, t. j. prawo swobodnego wyboru i wykonywania zawodu nazywamy konkurencyą. W dzisiejszych społeczeństwach konkurencya jest głównym regulatorem ustroju gospodarczego, a całe życie ekonomiczne zorganizowało się na zasadzie wolności pracy.

W społeczeństwach dzisiejszych żadna władza nie normuje już pracy; panuje wolność pracy, w myśl której każdy wybiera sobie zawód odpowiednio do swych upodobań i zapatrywań. W miejsce dawniejszego prawa weszła obecnie konkurencya, która odpowiednio do potrzeb rozdziela pracę i pracowników pomiędzy rozmaite gałęzie produkcyi, utrzymując pomiędzy zawodami i rodzajami przedsiębiorstw przemysłowych właściwy stosunek ilościowy i licząc się jedynie z potrzebami społeczeństwa.

Inaczej było dawniej. Wszystkie dawniejsze ustroje — niewolnictwo, kastowość i cechy — odznaczały się tem wspólnem znamieniem, że z góry, prawem lub dziedzicznością, określały ilość i znaczenie wszystkich funkcyi społecznych, tak, że ktokolwiek chciał się im oddawać, musiał się poddać pewnym z góry i stale oznaczonym warunkom. Podobna organizacya nietylko odbierała konkurencyi wszelką praktyczną doniosłość, lecz nawet wprost ją wykluczała, stanowiąc, że każdy potrzebuje wyraźnego zezwolenia na wykonywanie jakiegokolwiek rzemiosła.

Rewolucya francuska (po nieudałej próbie ministra Turgota z r. 1776) zniosła ustawą z 17 marca 1791 cechy i ogłosiła zasadę wolności pracy, którą powszechnie przyjęto z wielką radością, tak, że za tym przykładem poszła prawie cała Europa.

Wszystkie dawniejsze dzieła ekonomiczne przeciw-

stawiały dobrodziejstwa konkurencyi szkodom monopolu i przyznawały konkurencyi następujące korzyści:

1. Utrzymuje równowagę pomiędzy produkcyą i konsumcyą.

2. Przyczynia się potężnie do rozwoju produkcyi, dodając przez walkę bodźca postępowi, tak, że działa w świecie ekonomicznym w ten sam sposób, jak selekcya naturalna w świecie organicznym.

3. Wywołuje stopniowo zniżkę cen i prowadzi do taniości, przez co polepsza położenie całego społeczeństwa, w szczególności warstw uboższych.

4. Dąży do stopniowego wyrównania warunków produkcyi, sprowadzając zyski i płace w każdej gałęzi produkcyi do tej samej wysokości.

Naturalnie monopolowi przypisują ci sami autorowie szkody wręcz przeciwne; mianowicie ma on stawiać przeszkody wszelkiemu postępowi, wywoływać drożyznę i wzbogacać przedsiębiorców bez żadnej ich zasługi.

Tymczasem dokładniejsze zbadanie istoty i skutków wolnej konkurencyi doprowadza do zupełnie innych, wcale nie tak świetnych wyników.

1. Wolna konkurencya bynajmniej nie zapewnia równowagi pomiędzy produkcyą i konsumcyą i owszem prowadzi niekiedy wprost do jej zwichnięcia (p. rozdział V. o nadmiarze produkcyi),

2. Konkurencya pobudza wprawdzie wytwórców, dzięki wzajemnej rywalizacyi, do postępu, lecz z drugiej znowu strony nie dozwala na wprowadzenie pewnych ulepszeń, szczególnie co do jakości wytworów. Każdy konkurent, chcąc zwyciężyć na targu, stara się zastąpić lepsze lecz droższe surowce tańszymi, chociażby lichszymi, wskutek czego konkurencya wywołała największy postęp na polu fałszowania rozmaitych płodów i wytworów, tworząc z tego prawdziwą sztukę, która posługuje się wszystkiemi zdobyczami nauki.

Gdyby konkurencya, czyli ogólnie mówiąc walka o byt, zapewniała zwycięstwo czynnikom najwięcej etycznym i najzasłużeńszym, byłaby rzeczywiście środkiem postępu, stanowiłaby rzeczywistą selekcyę. Lecz jasną jest rzeczą, że w tej walce zwycięża tylko silniejszy i przebieglejszy i że niejednokrotnie sprowadza ona prawdziwe obniżenie poziomu moralności, zmuszając wszystkich konkurentów do naśladowania wytwórców najmniej sumiennych.

Tymczasem w interesie każdego monopolu leży zachowanie wyższości swych wytworów co do ich gatunku, uważa on za swój punkt honoru chronić dobrą opinię swej marki handlowej.

3. Konkurencya nie zawsze wywołuje potanienie towarów, owszem w wielu wypadkach prowadzi do drożyzny. Zachodzi to zawsze, ile razy w danej gałęzi produkcyi dostrzegamy nadmiar wytwórców. Uderzającego na to dowodu dostarczają piekarnie. Ilość piekarzy jest przesadną aż do śmieszności. Każdy z nich, sprzedając coraz mniej wskutek konkurencyi, musi odbijać się na podwyższeniu ceny swych wytworów. Nowo przybywający piekarz nie może sprzedawać taniej, gdyż dotychczasowe ceny i tak zaledwie wystarczają na zapewnienie utrzymania dawniejszym producentom, musi więc dążyć do podwyższenia cen, aby przy tej samej ilości sprzedanych towarów znaleźć zaspokojenie i swych własnych potrzeb.

Wręcz przeciwnie działa monopol. Tu również wytwórca nie może ustanawiać cen dowolnie, ponieważ tak przy monopolu jak i przy konkurencyi ulegają one ogólnemu prawu wartości, t. zn. ostateczną, najwyższą ich granicą, jest siła potrzeb po stronie konsumentów i wysokość ofiar, jakie gotowi są ponieść dla zaspokojenia swych pragnień. Nie wdając się w bliższe wyjaśnienie nasuwających się tu trudności, poprzestajemy na zaznaczeniu, że przy każdym monopolu interes wytwórczy polega na zniżaniu cen celem zwiększenia swego odbytu,

że dewizą każdego dobrze zrozumianego monopolu musi być zasada: sprzedawać po nizkich cenach, a w znacznych ilościach.

Konkurencya nie usuwa zarazem tylko nieudolnych i zacofanych. I owszem zdarza się często, że właśnie najuczciwsi nie mogą wytrzymać konkurencyi, nie chcąc fałszować swych towarów, obniżać płacy robotników lub przedłużać czasu pracy. Zobaczymy zresztą dalej, że uczciwy przemysłowiec nie może ostać się wobec konkurentów, używających sweating-system.

4. Konkurencya nie zawsze prowadzi do wyrównania zysków i majątków, ponieważ ostatecznie nie jest niczem innem, jak tylko prawdziwą wojną, która zapewnia zwycięstwo silniejszym przez złamanie słabszych. Ani wojny polityczne nigdy nie zrównały sił walczących narodów, ani też walka o byt fizyczny, *the struggle for life* między rodzajami roślinnymi i zwierzęcymi nie utrzymała równych granic dla ich rozwoju, lecz jedna i druga wywołała wręcz przeciwne skutki. To też właśnie w tych krajach, w których konkurencya istnieje w całej swej sile, jak np. w Stanach Zjednoczonych, tworzą się najkolosalniejsze fortuny.

5. W końcu należy zauważyć, że okres konkurencyi nie jest stanem trwałym, ponieważ doświadczenie uczy, że konkurencya dąży do zniszczenia się sama przez się, rodząc monopol. Prowadzi ona do uchylenia małych wytwórców, pozostawiając tylko wielkich, dąży do wytworzenia olbrzymich przedsiębiorstw, które się stają faktycznie prawdziwymi monopolami. Wielcy producenci łączą się znowu w olbrzymie związki narodowe lub międzynarodowe, zwane kartelami czyli trustami, które rządzą despotycznie przynajmniej przez pewien czas, całą swą gałęzią produkcyi. Te wielkie przedsiębiorstwa, które stanowią pod pewnym względem państwo w państwie, budzą nieufność rządów, które wkraczają wtedy w ich dziedziny przez różne regulaminy i taryfy lub stają same na czele

tych związków, zastępując w ten sposób monopol prywatny monopolem państwowym. Tym sposobem ewolucya którą dostrzegamy w naszych czasach, powinnaby przejść przez cztery następujące fazy: 1) konkurencya; 2) wielka produkcya; 3) monopol prywatny; 4) monopol państwowy.

Ta ewolucya, która prowadzi wprost do kollektywizmu lub co najmniej do socyalizmu państwowego, nie maluje przyszłości w zbyt różowych barwach i bylibyśmy bardzo nieszczęśliwi, gdybyśmy musieli wybierać między organizacyą produkcyi w formie monopolu państwowego a zupełnym brakiem organizacyi w formie indywidualnego współubiegania się. W takim razie należałoby chyba wybrać wolną konkurencyę, bo pomimo wszystkich swych braków odznacza się jedną wielką zaletą, mianowicie dozwala niezadowolonym zmienić swą pracę, podczas gdy organizacyi przymusowej każdy musi się poddać, chociażby była najgorszą. Na szczęście pozostają nam jeszcze inne drogi. Dziś już widzimy, że dobrowolne stowarzyszenia w formie syndykatów i stowarzyszeń produkcyjnych, czy to pomiędzy robotnikami, czy wytwórcami, czy wreszcie między wytwórcami i konsumentami, usuwają powoli złe strony panującego ustroju, tak, że możemy mieć nadzieję, iż dzięki tym stowarzyszeniom przyjdzie kiedyś czas, w którym panowanie porządku zastąpi dzisiejszą anarchię na polu gospodarczem.

V.

Nadmiar produkcyi i prawo zbytu.

Zdawałoby się, że nigdy nie może dojść do nadmiaru wytworów, bo ilość ich jest ograniczona, podczas gdy potrzeby są nieograniczone. Tymczasem producentów i przedsiębiorców trapi przedewszystkiem obawa hyperprodukcyi

i przeładowania targu towarami, które nie znajdują zbytu (general glut). Jakżeż to wytłómaczyć?

Stanowisko ekonomistów w tej sprawie było zawsze odmienne od poglądów producentów. Ekonomiści nie zaprzeczają bynajmniej, że wskutek mylnego oszacowania potrzeb, może przyjść do nadmiaru wytworów w wielu gałęziach produkcyi, lecz twierdzą, że ogólna hyperprodukcya jest wprost niemożliwa, a wszelkie zjawiska, które przytacza się na jej udowodnienie, polegają jedynie na optycznem złudzeniu. Właściciele towarów, pozbawionych dobrego zbytu wskutek nadmiernego ich nagromadzenia na targu, skarżą się głośno; ci wszyscy, którzy uzyskali dobre ceny, nie chwalą się tem bynajmniej; stąd też słyszy się tylko o hyperprodukcyi, tak, jakby panowała wszędzie.

Co więcej, ekonomiści twierdzą, że w razie nadmiaru w jakiejś gałęzi produkcyi, najlepszym środkiem na to złe będzie właśnie stosowne zwiększenie produkcyi w innych gałęziach; że przesilenie, będąc wynikiem nadmiaru, nie da się inaczej usunąć, jak tylko znów zapomocą nadmiaru, według zdania medycyny »*similia similibus*«. Leży to zatem w interesie każdego producenta, by produkcya była i obfitą i możliwie najróżnorodniejszą. Teorya ta znaną jest pod nazwą »prawa zbytu«. Postawił ją pierwszy J. B. Say, twierdząc przytem śmiało, »że ona zmieni dotychczasowy tryb postępowania w całym świecie«. Zdanie to jego można zamknąć w słowach: »każdy wytwór znajdzie dla siebie zbyt tem łatwiej, im większą będzie ilość i różnorodność innych towarów.

Na pierwszy rzut oka wydaje się ta teorya bezzasadną, a jednak należy ją uznać za słuszną. Chcąc ją zrozumieć, trzeba zapomnieć zupełnie o istnieniu pieniędzy i przypuścić, że cały obrót odbywa się w drodze zamiany bezpośredniej wytworów za wytwory.

Czyż nie będzie to korzystnem dla kupca, przybywającego n. p. na jedno z wielkich targowisk środkowej Afryki, jeśli znajdzie tam targ, zaopatrzony jak najobficiej w liczne i różne towary? Prawda, że nic mu z tego nie przyjdzie, jeśli zastanie tam w znacznej ilości ten sam towar, który i on ma do zbycia, n. p. strzelby, ale za to będzie mu to bardzo na rękę znaleźć tam jak najwięcej innych towarów, jak kość słoniową, złoty piasek, gumę i t. p. Każdy nowy towar, ukazujący się na rynku, zapewnia umieszczenie, czyli, jak się ta teorya wyraża, zbyt na jego towary, tem więc lepiej, im ich jest więcej. Gdyby nawet nasz kupiec, źle trafił i przywiózł za wiele strzelb, to jeszcze byłoby dla niego najlepiej, gdyby i inni przynieśli na targ za wiele innych towarów, wówczas bowiem nie byłoby już w stosunku do innych towarów za dużo strzelb; to też słusznie mówi J. B. Say: »sprzedaż towaru ułatwia najwięcej produkcya innych towarów«.

Tak samo ma się rzecz przy kupnie — sprzedaży. Każdy z nas znajdzie tem łatwiej zbyt dla swoich wytworów lub usług, im zamożniejsi będą inni, a ci znów będą tem zamożniejsi, im więcej będą wytwarzali. To też producentowi, który wytworzył za dużo jakichś przedmiotów, jedynie tylko tego można życzyć, by i inni producenci za wiele wyprodukowali, bo wtedy nadmiar w jednej gałęzi wyrówna się nadmiarem w innych.

Może Anglia wyprodukowała za dużo tkanin bawełnianych? Jeśli tylko przypadło to na rok urodzaju w Indyach, to bardzo łatwo rozsprzeda swe wytwory bawełniane. Tak samo tłómaczy się, dlaczego zalanie targu ogromną ilością wytworów przemysłowych, spowodowane ustawicznym rozwojem mechaniki, wywołuje tak zwany *general glut*. Po prostu dlatego, że produkcya rolnicza nie rozwija się tak szybko, a więc i ilość produktów słabiej tu wzrasta; wartość ich zwiększa się w stosunku do wartości wytworów przemysłowych. Konsumenci zmuszeni wydawać wiele na środki pożywienia, nie posiadają już

dostatecznych zasobów na zakupno wytworów przemysłowych w wielkiej ilości. Ale gdyby rozwój w rolnictwie postępował równie szybko jak w przemyśle i gdyby wróciła równowaga między obu działami produkcyi, to każdy konsument potrzebowałby mniej na wyżywienie się, a wtedy bezwątpienia zostałyby spotrzebowane wszystkie, dotąd zbyteczne wytwory przemysłowe.

Lecz jak wyjaśnić zjawisko, gdy ceny spadną, pomimo ogólnego wzrostu wszystkich wytworów bez wyjątku i zapanowuje ogólny zastój. Oto tem, że nawet w tym wypadku pozostaje jeszcze jedno dobro w niezmienionej ilości, a mianowicie pieniądze. Wskutek tego stosunek wartościowy pieniędzy do innych towarów wogóle zmienia sie, gotówka staje się stosunkowo rzadką, więc ceny spadają. Gdyby się więc dało odpowiednio zwiększyć ilość pieniędzy, to całe zło byłoby już usunięte, bo gdyby stosunek wartościowy zwany »ceną«, nie zmienił się, to nie byłoby przesilenia. Jednem słowem — teorya zbytu stara się wykazać, że niema najmniejszej obawy nadmiaru produkcyi, jeśli tylko wzrost produkcyi odbywa się równocześnie i proporcyonalnie we wszystkich jej gałęziach, jasną bowiem jest rzeczą, że w takim razie nie zmienia się stosunek ilościowy pomiędzy dobrami, które nawzajem mieniamy.

Tymczasem głos ogółu niechętnie przyjął tę teoryę, a to z tej przyczyny, że wzrost produkcyi nie objawia się zazwyczaj wśród takich warunków, jak tego żąda teorya zbytu. Jest to bowiem bardzo rzadkiem zjawiskiem, by równocześnie i równo wzrastała produkcya we wszystkich gałęziach, bo produkcya rolnicza i przemysłowa stanowią pod tym względem dwa rażące przeciwieństwa. Zazwyczaj wzrost produkcyi następuje tylko w pewnych miejscach i gałęziach, nagle i nierównocześnie, to też z tego powodu sprowadza on zwichnięcie równowagi i przesilenia, tem trudniejsze do usunięcia, że poszczególne kraje

odgraniczają się od siebie cłami ochronnemi, nie można więc nadmiaru produkcyi własnej sprzedawać za granicą i w ten sposób doprowadzić do równego poziomu cen na wszechświatowym targu. Producenci więc starają się obecnie przeszkodzić przesileniu zapomocą układów, regulujących wysokość produkcyi (kartele, ringi, trusty). Wprawdzie nieraz podobne syndykaty dążą jedynie do nagłego podniesienia cen towarów przez zmniejszenie ich ilości, lecz w takim razie są to tylko stowarzyszenia spekulantów, które należy potępić. Często jednak członkowie takiego syndykatu zobowiązują się jedynie do ograniczenia swej produkcyi, do pewnej z góry oznaczonej ilości i w tym wypadku podobne umowy muszą oddziałać korzystnie na stosunki targowe.

VI.

Przesilenia gospodarcze.

Automatyczna organizacya produkcyi, którą skreśliliśmy powyżej, oparta wyłącznie na wolnej konkurencyi, jest bardzo niestałą i niepewną i przeróżne przyczyny naruszają lub psują ją nader często. Otóż przesileniem nazywamy każde zwichnięcie równowagi pomiędzy produkcyą a konsumcyą, lub pomiędzy różnemi gałęziami produkcyi.

Przesilenia są więc niejako chorobami w odniesieniu do organizmu społecznego i występują pod rozmaitemi postaciami tak, jak choroby, które dotykają człowieka. Jedne z nich powtarzają się peryodycznie, inne zaś w nierównych odstępach czasu. Jedne trwają krótko, lecz gwałtownie, podobne do objawów febry, inne — jak mówi E. Laveleye — długo, jak anemia. Jedne dotykają tylko pewien dany kraj, inne znów tak, jak zaraza, rozszerzają się na cały świat.

Niektórzy ekonomiści starali się stworzyć teoryę, któraby do wszystkich przesileń miała zastosowanie i odkryć prawo, które niemi rządzi [1]). Usiłowania te jednak okazały się daremnemi. Można przecież dopatrzeć się między niemi pewnych wspólnych cech i odnieść je do jednej i tej samej przyczyny, którą jest właśnie przez nas omawiane gwałtowne zerwanie równowagi, czyto po stronie produkcyi bardzo wielu towarów, czyto po stronie produkcyi niektórych tylko, ale szczególnie ważnych dla gospodarstwa społecznego, jak zboża, kapitałów, pieniędzy kruszcowych lub papierów kredytowych. W każdym z omawianych przez nas wypadków zachwianie równowagi objawić się może w formie zatamowania odbytu, wskutek nadmiaru produkcyi, lub w formie braku wytworów. Zdawałoby się, że ta druga forma winnaby być o wiele groźniejszą, gdy tymczasem — jak poznamy — pierwszej z nich więcej obawiać się należy (chyba, że idzie o pieniądze), to też tę właśnie formę nazywają zwyczajnie przesileniem.

1. Zbytnie nagromadzenie lub brak towarów.

[1]) Starał się to wykazać Stanley Jevons, który doszedł do wniosku, że przesilenia powtarzają się regularnie co 10 lat. Od początku bieżącego stulecia naliczył też rzeczywiście dziewięć takich, po sobie następujących przesileń: w latach 1815, 1827, 1836, 1839, 1847, 1857, 1866, 1873, 1878. Ale łatwo to nagiąć dane statystyczne do swoich twierdzeń, jeśli się bierze w rachubę zarówno małe, jak wielkie, powszechne, jak czysto miejscowe czyli lokalne przesilenia. Jeśli się będzie brać na uwagę wszystkie przesilenia, jakie w Anglii zaszły, to narachuje się ich najmniej 15, a jeśli znów wszechświatowe, to będzie ich ledwie 3, a to w r. 1815, 1846, 1857, i ostatnie z 1878 r., które trwało 10 lat. To powtarzanie się co lat 10 schodzi się nadto, według Jevons'a, z takiem samem powtarzaniem się lat złego urodzaju, które znów mają mieć swą przyczynę w zjawianiu się co 10 lat plam na słońcu. Tak więc cała kwestya przesileń, ich przyczyn i rozwoju, znajduje ostateczne swe uzasadnienie w zjawiskach astronomicznych. Czyż można sobie wyobrazić dziwaczniejsze zestawienie?

Za wielka produkcya towarów *(general glut,* jak ją zowią Anglicy) tworzy jedną z najczęstszych przyczyn przesileń ekonomicznych, stanowi nawet poniekąd zło chroniczne, organiczną wadę nowożytnego przemysłu. Rozwój produkcyi na wielką skalę i wynalazki w dziedzinie mechaniki i środków przewozowych umożliwiły przemysłowi zalanie targu tak nadzwyczaj wielką ilością produktów, że konsumcya nie jest w stanie ich wszystkich zużyć. Z pewnością dzieje się to nie dlatego, żeby potrzeby nie były dość wielkie i nie dały się prawie w nieskończoność rozszerzać, ale dlatego, że chcąc towary rozsprzedać, nie wystarczy znaleźć ludzi, którzyby mieli na nie ochotę, ale osoby, któreby nadto miały także środki na ich zakupno. Tymczasem dochody ogółu ludności nie wzrastają tak szybko, jak produkcya przemysłowa [1]). Nadto przeważna część krajów stara się zamknąć swe targi przed napływem towarów z zagranicy, a umożliwić swoim własnym producentom krajowym wywóz za granicę, tak, że te towary, nie mogąc znaleźć dla siebie zbytu ani w kraju, ani za granicą, gromadzą się, jak woda w zbiornikach bez odpływu.

Chcąc więc uzyskać odbyt na swoje towary i chcąc dać możność konsumcyi powolnego ich spotrzebowania,

[1]) Zdaniem szkoły kollektywistów należy wyłącznie w tym fakcie upatrywać przyczyny przesileń. Muszą one ustawicznie wzmagać się, dopóki nie sprowadzą zupełnego przeobrażenia nowożytnej organizacyi przemysłu. Klasa robotnicza — jak mówią — pozbawiona przez kapitalistów prawie połowy owoców swej pracy, nie jest w stanie za otrzymaną płacę zakupić wytworzonych przez się wyrobów. Stąd ich nadmiar. Gdyby jednak robotnicy dostawali należny im udział, ich zdolność konsumcyjna byłaby zupełnie równą ich zdolności produkcyjnej, a wtedy nie byłoby więcej przesileń. Takie tłómaczenie jednak nie wystarcza, bo choćbyśmy nawet przypuścili, że rzeczywiście klasa robotników jest wyzyskiwaną, to i tak zachodziłoby tu po prostu przeniesienie tej możności zdolności konsumcyjnej z jednej klasy na drugą, bo i czemużby wyzyskujący nie mógł mieć tej samej zdolności konsumcyjnej, co wyzyskany?

zmuszeni są producenci zniżyć ceny — ogólna zniżka cen powoduje nieuchronnie z jednej strony zmniejszenie się zysków i bankructwa, a z drugiej zmniejszenie płacy i bezrobocia.

Przesilenia, występujące pod drugą formą, t. j. braku produktów, mogą niekiedy stać się bardzo groźne. Wystarczy przypomnieć sobie klęski, spowodowane nieurodzajem bawełny, t. zw. »głodem bawełnianym«, wskutek wojny w Stanach Zjednoczonych (1865 r). Nieurodzaj na zboże może też sprowadzić ogromny głód na kraje ubogie, jak Indye lub Algier, a nawet w krajach tak zamożnych, jak europejskie, może większy nieurodzaj spowodować przesilenie.

Wygląda to na paradoks, a przecież może się zdarzyć, że te przesilenia, spowodowane niedostatecznością produkcyi, będą miały te same następstwa, co przesilenia wskutek nadmiaru produkcyi, a więc przepełnienie rynków zbytu i spadek cen towarów. Wystarczy tylko zwrócić uwagę, że w razie niepomyślnych zbiorów zboża jego cena idzie w górę, wskutek czego wszyscy ci, którzy potrzebują tego zboża, a dochody mają niewielkie — z więc przeważna większość ludzi — muszą ograniczyć swe wydatki na inne potrzebne im przedmioty. Z tego więc powodu wielka ilość tamtych przedmiotów nie znajdzie dla siebie odbytu, albo nie będzie go mogła znaleźć, jak tylko ze stratą. Dlatego to nieurodzaj w Indyach wywołuje prawie zawsze przesilenie w produkcyi fabryk angielskich.

2. Nadmiar lub brak kapitałów.

Kapitały są tak samo przedmiotem, którego wyprodukowanie w zbyt wielkiej ilości może się stać niebezpiecznem. Prawda, że nigdy nie można mówić, by kapitałów było bezwzględnie za dużo, tak samo, jak tego nie można mówić o towarach. Ale też znów, jak w danej chwili zapas towarów może okazać się za wielkim w stosunku do potrzeb konsumcyi, tak też może ilość nagromadzonego

kapitału okazać się względnie za wielką, bo nie będzie ich można wszystkich równocześnie produkcyjnie zatrudnić. W krajach wysoko ekonomicznie rozwiniętych oszczędności rosną, jak lawina śniegu, wskutek tego w kraju takim, w którym od kilkuset lat we wszystkich warstwach ludności oszczędzano, kapitały gromadzą się w olbrzymich sumach. Dalszem naturalnem następstwem tej obfitości jest obniżenie się stopy procentowej [1]), więc znów wymyślają nowe, korzystniejsze sposoby ich zatrudnienia, zakładają to za granicą, to w kraju różne nowe przedsiębiorstwa — bardzo często z ogromną lekkomyślnością, — a wszystko to kończy się tem, co dziś zwą w żargonie giełdowym krachem. Kilka takich krachów zapisało się nadzwyczaj smutnie w historyi, jak krach wiedeński z 1873 r. i paryski z 1882 r.

Natomiast niekiedy daje się czuć brak kapitałów, zwłaszcza bezpośrednio po takim krachu lub po wojnie, która pochłania znaczne kapitały. Wtedy powstaje znów przesilenie o wprost przeciwnych rysach charakterystycznych, bo o wysokiej stopie procentowej i eskontowej, a braku gotówki.

---

[1]) Zachodzi ta różnica między towarami a kapitałami, że kiedy nadmiar towarów obniża ich wartość i tem samem doprowadza do upadku producentów, to przeciwnie nadmiar kapitałów powoduje wzrost ich wartości i wzbogaca kapitalistów. Łatwo ten niezwykły na pierwszy rzut oka objaw wytłómaczyć. Obniżenie się stopy procentowej zmniejsza zdolność kapitalizacyi na przyszłość, a przez to zyskują koniecznie na znaczeniu kapitały już nagromadzone. Przypuśćmy, że obecnie stopa procentowa wynosi 5% więc papiery, dające 50 fr. renty, warte są 1000 fr. Gdyby więc n. p. jutro, wskutek nadmiaru kapitału, dochód otrzymywany w nowych przedsiębiorstwach spadł na 3% — to papiery, dające jeszcze zawsze rentę 50 fr., byłyby warte przeszło 1.600 fr., jak nas o tem poucza zwykła reguła trzech. Wynikiem tego jest oryginalny objaw, że kiedy kupcy narzekają na nadmiar towarów, to kapitaliści cieszą się ze zbytniego nagromadzenia kapitałów, dopóki jaki niespodziewany krach nie zmieni tego ich usposobienia na wprost przeciwne.

Niekiedy wreszcie zostaje zachwianym normalny stosunek, jaki powinien istnieć między wielkością kapitału zakładowego a obrotowego, a to w tym kierunku, że za mało jest kapitału obrotowego w stosunku do zakładowego. Do takiego stanu dochodzą szczególnie te kraje, które nierozważnie poświęcają wszystkie swe oszczędności na budowę nowych dróg żelaznych, a w których wskutek tego nikt ani centa nie obraca na zasilenie przemysłu lub na stworzenie dla kolei dostatecznego obrotu handlowego.

3. Zbytek lub brak pieniędzy.

Czy wielka obfitość gotówki może doprowadzić do przesilenia? Ogół zapewne nie widzi w tem nigdy przesilenia, że ma dużo pieniędzy, a również pomiędzy ekonomistami są tacy, którzy twierdzą, że nie można nigdy mówić o nadmiarze gotówki.

Tymczasem nie da się zaprzeczyć, że i tu istnieje pewien stosunek pomiędzy ilością pieniędzy, które powinny być w obiegu w danym kraju, a potrzebami tego kraju i że gdyby ilość pieniędzy nagle wzrosła, to spowodowałaby z pewnością przesilenie, objawiające się w ogólnej zwyżce cen, a dające się dotkliwie we znaki konsumentom, a zwłaszcza wierzycielom i osobom, mającym stałe dochody. Tyle tylko trzeba przyznać, że choćby i podobne nieszczęście nawiedziło jaki kraj, to znowu nie tak trudno pozbyć się tego nadmiaru gotówki i że już sam naturalny bieg rzeczy postara się uwolnić nas od tego kłopotu.

Każdy jednak przyznać musi, że zbyt wielka ilość pieniędzy w obiegu może spowodować groźne nawet przesilenie, jeśli tym pieniądzem jest pieniądz papierowy lub bilet bankowy. Nie będziemy się tu rozwodzili nad temi właśnie przesileniami, bo w innem miejscu omawiamy przyczyny i środki do zapobieżenia temu.

Natomiast zmniejszenia się ilości pieniędzy w obiegu boją się wszyscy bezustannie. Obawa ta pochodzi bez

wątpienia, po części z niezwykłego znaczenia pieniędzy w świecie i jakeśmy to już kilkakrotnie wykazali, nie jest bezpodstawną [1]). Gdy bilans płatniczy państwa jest przez dłuższy czas dla niego niekorzystny i zapas jego gotówki niezbyt znaczny, musi dojść do tego, że ilość pieniędzy w obiegu będzie za małą do potrzeb obrotu. Wtedy zmniejszają się wpływy bankowe, kurs weksli zaczyna spadać niżej pari, stopa eskontowa się podnosi i wielu kupców, nie mogąc uczynić zadość swym zobowiązaniom, ogłasza niewypłacalność. Są to t. zw. przesilenia pieniężne. Są one z tego powodu bardzo niebezpieczne, że posiadają w wysokim stopniu charakter epidemii — ale też za to są najlepiej już zbadane, to też łatwiej je przewidzieć i niebezpieczeństwo odwrócić.

ROZDZIAŁ II.

ASOCYACYA.

I.

Asocyacya pracy.

»Dziś, w Wielki Piątek« — pisał Fourier w r. 1818 — »odkryłem tajemnicę powszechnej asocyacyi«. Była to czcza przechwałka, nie odkrył on jej zaiste — choć rzeczywiście z szczególnym talentem odsłonił jej cechy charakterystyczne — bo asocyacya nie należy do rzędu tych zjawisk, które trzeba odkrywać. Rzuca się sama w oczy wszystkich, jest prawdopodobnie najogólniejszem ze wszyst-

[1]) E. Laveleye widzi w tem główną przyczynę wszelkich przesileń.

kich praw rządzących wszechświatem, skoro się objawia nietylko w stosunkach ludzi w społeczeństwie żyjących, lecz także w związku, łączącym światy w systemy słoneczne i molekuły lub komórki w ciała organiczne lub nieorganiczne, a nawet w związkach logicznych, pozwalających nam myśleć. Zwierzęta także mają prawa asocyacyi i niektóre z tych zwierzęcych stowarzyszeń, jak np. pszczół, mrówek lub bobrów, były po wszystkie czasy niewyczerpanem źródłem dobrych przykładów i ciągłym przedmiotem podziwu [1]).

Stowarzyszenie jest niezbędnem przedewszystkiem dla prac, przechodzących siły jednostki — choćby tylko chodziło o podniesienie ciężaru; drogą tej pracy wspólnej zdołali ludzie dawnych czasów wznieść mury cyklopów lub piramidy egipskie [2]).

Jest jednak inna jeszcze okoliczność, dla której łączenie się jest niezbędne: a jest nią sposób rozdzielenia środków produkcyi między ludzi. Wiemy, że dla każdej wytwórczej działalności potrzeba koniecznie pewnej przestrzeni ziemi, pewnej ilości kapitałów, a przedewszystkiem pewnej ilości pracy. Otóż nader rzadko rozporządza jedna osoba tymi wszystkimi czynnikami, to znaczy, rzadko się zdarza, aby jeden człowiek mógł dostarczyć pracy osobistej, ziemi i kapitałów koniecznych dla produkcyi. Wypadek ten może zachodzić w małej produkcyi, n. p. u wieśniaka, uprawiającego swe pole wyłącznie zapomocą swych rąk i drobnych oszczędności lub nawet u rzemieślnika lub kramarza, którzy zdobywają sobie środki do życia wyłącznie własną zabiegliwością, lecz zwyczajnie rzecz się przedstawia inaczej. Społeczeństwa ludzkie zawsze dzieliły się na dwie klasy: jedną — posiadaczy środków produkcyi pod postacią ziemi lub kapitałów, drugą — ludzi posiadających tylko ręce do pracy, t. j. przedstawiających czynnik pracy. Ponieważ ani jedni, ani drudzy w odosobnieniu od siebie nie mogą wytworzyć niczego, bo jak praca bez narzędzi, tak narzędzia bez pracy są bezużyteczne, dlatego wytworzyło się z konieczności i po wszystkie czasy — stowarzyszenie między właścicielami ziemi i kapitałów z jednej strony, a pracownikami z drugiej [1]).

[1]) Por. piękną książkę M. Espinas'a: Społeczeństwa zwierzęce.

[2]) Płaskorzeźby egipskie przedstawiają nam setki ludzi, przyprzągniętych do jednego sznura i poruszających się ustawicznie w takt, dawany zapomocą spiżowego instrumentu.

Najprostszą i bezwątpienia najpierwszą formą asocyacyi było łączenie się płci, i co za tem idzie, wytworzenie rodziny. Byłoby błędnem twierdzić, że rodzina niema charakteru gospodarczego, gdyż według wszelkiego prawdopodobieństwa małżeństwo, a raczej rodzina, była pierwotnie związkiem, utworzonym w celach gospodarczych. Gdy pytano się Indyan północno-amerykańskich, dlaczego wchodzili w związki małżeńskie, otrzymywano odpowiedź: »bo nasze żony zbierają drzewo, przynoszą wodę i pożywienie, niosą wszystkie ciężary« [2]). Możliwem jest nawet, że stałość i nierozerwalność małżeństwa powstała właśnie dzięki interesom ekonomicznym, gdyż ani instynkt płciowy, ani nawet przywiązanie ojcowskie nie miałyby dość siły, aby doprowadzić do tego.

Później stowarzyszenie stało się przymusowem, w kształcie niewolnictwa. Jużeśmy wspomnieli poprzednio, że niewolnictwo jest niczem innem, jak tylko zwiększeniem pierwotnej rodziny, zwiększeniem, spowodowanem względami na gospodarstwo, które potrzebowało już potężniejszej organizacyi. Zresztą nie możemy się dziwić, że w czasach, gdy zdobywano sobie przemocą nieraz nawet żony — np. porwanie Sabinek — przyłączano do rodziny

[1]) Cały ten ustęp znajduje się tylko w III wydaniu. *(Przyp. tłum.).*

[2]) To samo stwierdza się u Arabów, żyjących w wielożeństwie, u Basutów w Afryce wschodniej i t. d. (P. Starke: Pierwotna rodzina).

obcych pracowników, również za pośrednictwem zdobyczy. Zwyczajnie ci obcy, początkowo niewolnicy, później stawali się członkami rodziny na mocy adopcyi, jak to widzimy tak ze starożytnych tragedyi greckich, jak i z najnowszych podróży po Marokko.

Ten przymusowy charakter pierwszego systemu wytwórczego współdziałania z czasem powoli łagodniał przez przejście niewolnictwa w kolonat i poddaństwo, przybierał w średnich wiekach nader różnorodne formy, aż wreszcie przeszedł w system pracy najemnej, poddającej w wielkich fabrykach setki i tysiące ludzi władzy właściciela. W naszych nowożytnych społeczeństwach produkcya jest zorganizowaną w przedsiębiorstwa, t. j. ludzie łączą się w celach wytwórczych w większe lub mniejsze grupy, w których jeden, zwany przedsiębiorcą lub pracodawcą, dostarcza kapitałów, ziemi, surowców i narzędzi, wszyscy zaś inni, tj. robotnicy najemni, dostarczają siły do pracy.

Szkoła klasyczna twierdzi, że ta t. zw. dobrowolna asocyacya jest ostatecznym wyrazem ewolucyi społecznej, pomijając chyba jakieś udoskonalenia w drobnych szczegółach. Rzeczywiście nowoczesna organizacya tych stowarzyszeń polega na dobrowolnej umowie; robotnicy mają osobistą wolność, mogą dowolnie wstąpić lub opuścić dane przedsiębiorstwo. Tymczasem pomimo tej wolności, będącej zresztą więcej teoretyczną niż praktyczną, ta odmiana połączenia daleką jest od odtworzenia cech charakterystycznych doskonałej asocyacyi; najlepszym tego dowodem jest, że ani język prawniczy, ani codzienny nie używają w tym wypadku wyrazu »stowarzyszenie«, co prawdopodobnie nie zdziwi nawet czytelnika, gdyż »stowarzyszeni«, tj. przedsiębiorca i robotnicy nie są bynajmniej równouprawnieni. Jest to raczej stowarzyszenie faktyczne niż prawne, stowarzyszenie w wytwarzaniu, nie rozdzielaniu. Robotnicy nie mają wcale świadomości, iż tworzą jedno stowarzyszenie z pracodawcą —

i to, jak zobaczymy później, jest jednym z głównych błędów pracy najemnej.

Organizacya przymusowa przemysłowego przedsiębiorstwa w przeszłości, oraz forma monarchiczna [1]), którą dziś jeszcze przybiera w nowożytnych społeczeństwach, mogły być konieczne do rządzenia pracą i zmuszania ludzi do udziału w wspólnem dziele produkcyi. Lecz prawdopodobnem jest, że nie są to ostateczne formy rozwoju i że tak samo, jak pierwsza ustąpiła miejsca drugiej, tak ta znów ze swej strony zrobi miejsce stowarzyszeniu zupełnie wykończonemu i doskonałemu, tj. wolnemu, zupełnemu, obejmującemu tak dobrze rozdział jak produkcyę, w którem każdy posiadać będzie jasne przeświadczenie, że tworzy część zbiorowego dzieła i wolę niezłomną brania w niem udziału. — Oto dlaczego te przedsiębiorstwa, które urzeczywistniają udział w zyskach, a jeszcze bardziej stowarzyszenia produkcyjne, choć drobną jest ich liczba dotychczas, należy uważać za typ organizacyi, ku któremu zmierza rozwój społeczny [1]).

II.

Asocyacya kapitałów.

Z tego cośmy powiedzieli powyżej wynika, że dotychczas nie mieliśmy jeszcze prawdziwie wolnego stowarzyszenia pracy. Zupełnie inaczej dzieje się z kapitałami. Każdym razem, kiedy przedsiębiorstwo przybiera

---

[1]) Por. w tym kierunku Hertzka: *Die Gesetze der sozialen Entwickelung;* Lange: *Arbeiterfrage;* Secretan: *Etudes sociales* i Gide: *L'Avenir de la Coopération* (w Revue socialiste z 15 czerwca 1888). Lecz znów odwrotnie twierdzenie to zwalcza żywo większość ekonomistów ze szkoły klasycznej (wyjąwszy Stuart'a Mill'a), a nawet kilku członków szkoły historycznej, jak p. Lujo Brentano.

znaczniejsze rozmiary, co, jak zobaczymy w następującym rozdziale, jest właśnie jego cechą rozwoju — zdarza się często, że jeden człowiek nie może dostarczyć kapitałów w dostatecznej ilości w stosunku do liczby pracowników. Wtedy większa lub mniejsza ilość kapitalistów łączy się w celu zebrania koniecznych kapitałów i przedsiębiorstwo urządza się pod postacią t. zw. spółki akcyjnej, postacią nową, która jednak w naszych czasach jest coraz częstszą, przynajmniej na polu handlu i przemysłu.

Spółka akcyjna przedstawia rzeczywiście wielkie korzyści, szczególnie dlatego, że jest wyłącznie połączeniem kapitałów, bo z trzech czynników produkcyi, do których należy praca, ziemia i kapitał, ten ostatni nadaje się najlepiej do połączenia z powodu pewnych cech charakterystycznych, jemu właściwych, których dwa inne czynniki nie posiadają w tym samym stopniu, tj. dla swej podzielności i ruchliwości.

Kapitał przedewszystkiem da się podzielić na nieskończenie małe cząstki, co pozwala każdemu kapitaliście, należącemu do spółki, udział swój ograniczyć, a co za tem idzie, zmniejszyć ryzyko, o ile to uzna za stosowne. To właśnie jest przyczyną powodzenia spółek akcyjnych, skoro bowiem każda akcya opiewa np. na 500 franków (a czasem i na znacznie mniejszą sumę), każdy może wziąć ich tyle, ile chce, stosownie do swego stanu majątkowego lub stopnia zaufania, jakie pokłada w danem przedsiębiorstwie [1]).

[1]) Podzielność ta dozwalała także na tworzenie olbrzymich a bardzo ryzykownych przedsiębiorstw, które bez niej byłyby niemożliwe. Żaden kapitalista, jakkolwiekby był bogaty, nie mógłby i nie odważyłby się dostarczyć dwu miliardów, potrzebnych na przecięcie osławionego dziś przesmyku panamskiego, a to z obawy ryzyka, podczas gdy ryzyko to, podzielone do nieskończoności, nie przerażało już nikogo. To niebezpieczeństwo jest największe dla ludzi nieznających się na rzeczy, zwabionych nadzieją wysokiego zysku. Dlatego też, chcąc ochronić przynajmniej najuboższych przed stratą ich oszczędności, państwa wprowadziły co do spółek akcyjnych bądź system koncesyi (np. w Austryi i Rosyi), bądź oznaczyły dość wysoko najniższą wartość akcyi (w Austryi 100—200 złr., w Rosyi 200—500 rs., w Niemczech 500—1000 m. w miarę przedsiębiorstwa, natomiast w Anglii 1 funt szterling).

Co więcej kapitał cieszy się cudowną łatwością przenoszenia z miejsca na miejsce, którą z dnia na dzień zwiększa wzrost instytucyi kredytowych. Aby pracownicy lub właściciele ziemi mogli wziąć udział w przedsiębiorstwie wytwórczem, potrzeba, by ono powstało na tem właśnie miejscu, gdzie oni się znajdują, gdyż nie można łączyć osób, nie żyjących w tej samej okolicy. Praca bowiem nie da się łatwo przenosić, z ziemią tego uczynić zupełnie nie można, lecz kapitały mają orle skrzydła i potrafią przebiegać ziemię z jednego końca na drugi, jeżeli tylko widzą, że się da coś zarobić.

Z drugiej strony jednak ta forma asocyacyi przedstawia wielkie niedogodności i nie zgodzilibyśmy się na to, by widzieć w niej powszechną formę przyszłości, jak to nam zapowiadają niektórzy ekonomiści [1]).

Już ta sama okoliczność, że spółka akcyjna nie łączy osób, lecz tylko kapitały, jest znamienną cechą niższości. Stowarzyszeni, zwani akcyonaryuszami, nie znają się między sobą i często nawet nie znają przedsiębiorstwa, w którem biorą udział, jak tylko z imienia widniejącego na akcyach.

Spółka akcyjna składa się z dwu kategoryi osób: jednej — akcyonaryuszów, stowarzyszonych dla zysku, lecz nie dla pracy wytwórczej, drugiej — najemników, połączonych przez fakt wspólnej produkcyjnej pracy, lecz bez prawa do zysku. Jedni dzielą między siebie wytwory przedsiębiorstwa, w którem nie pracują wcale, drudzy pra-

[1]) Por. Molinari, Rozwój ekonomiczny w XIX wieku. *Molinari. L'évolution économique au XIX siécle.*

cują w przedsiębiorstwie, z którego nie mają żadnych zysków.

W ostatnich czasach asocyacya kapitałów przybrała w t. zw. trustach nową formę o tak olbrzymiej doniosłości, że zaniepokoiło to już społeczeństwa, gdyż dążeniem trustu jest zmonopolizowanie pewnej gałęzi produkcyi w całym kraju, a niekiedy nawet w całym świecie. Trusty rozwinęły się głównie w Stanach Zjednoczonych, gdzie już w r. 1882 powstał pierwszy trust naftowy, a w dziesięć lat później było już 287 trustów o kapitale 7 miliardów dolarów.

Trust jest stowarzyszeniem wielkich producentów tej samej gałęzi produkcyi, którzy zrzekając się wzajemnej konkurencyi łączą się ze sobą, ażeby prowadzić produkcyę jednolicie, stosownie do zasad, oznaczonych w statucie stowarzyszenia. Celem trustu jest oczywiście zwiększenie zysku i dlatego przeciwnicy takich organizacyi zarzucają im, że trusty podnoszą sztucznie ceny wskutek swego monopolu. Trusty natomiast dowodzą, że wzrost zysku nie polega na zwiększaniu ceny, lecz na zmniejszeniu kosztów produkcyi, dzięki ogromnym rozmiarom przedsiębiorstwa (n. p. trust naftowy prowadzi ropę rurami na odległość setek kilometrów, oszczędzając w ten sposób koszta przewozu kolejowego i wyzyskuje odpadki produkując parafinę, waselinę i t. p.) wskutek czego znika konkurencya i przesilenia spowodowane hyperprodukcyą, sprowadzające także klęski na producentów, bez żadnej korzyści dla konsumcyi.

Liczne ankiety, które przeprowadzono w tej sprawie, nie wydały takiego rezultatu, ażeby można było stanowczo zgodzić się z jedną lub drugą stroną. To też zdania, co do skutków trustów, są jeszcze bardzo podzielone. Socyaliści patrzą na nie dość przychylnie, gdyż widzą w nich początek koncentracyi; ekonomiści liberalni sądzą, że trusty są uprawnionym rozwojem wielkiej produkcyi, a złączone z nimi szkody usunie się przez uchylenie ceł

ochronnych i wprowadzenie międzynarodowej, wolnej konkurencyi; robotnicy spodziewają się od trustów podniesienia zarobków. Lecz konsumenci obawiają się trustów przewidując ograniczenie produkcyi dla podwyższenia cen; a państwa niepokoją się olbrzymią potęgą tych skojarzonych kapitałów, która mogłaby się zwrócić przeciwko rządom. Próbowano więc, szczególniej w Stanach Zjednoczonych, drogą ustaw specyalnych trusty uniemożliwić lub przynajmniej uregulować ich działalność, dotąd jednak bezskutecznie.

1. Kartel (związek, zjednoczenie, syndykat) jest czasową, na umowie opartą organizacyą pewnej gałęzi wielkiego przemysłu (lub handlu), która dla zapewnienia stowarzyszonym jak największych korzyści, reguluje jednolicie niektóre stosunki wytwórcze dla wszystkich należących do niej przedsiębiorstw, nie naruszając poza tem w niczem ich samodzielności. Ponieważ zyski należą od kosztów produkcyi, wielkości zbytu i ceny towarów, przeto kartel dąży do zawładnięcia targiem tak surowców, służących odnośnej produkcyi jak i jej wytworów. Wskutek tego musi się starać przedewszystkiem o uchylenie konkurencyi, gdyż dopiero wtedy będzie mógł ustanawiać ceny, dla siebie najdogodniejsze. Na targu współzawodniczą producenci krajowi i zagraniczni przedsiębiorcy przystępujący do kartelu i tacy, którzy pozostają poza nim. Wskutek tego umowę kartelową musi z reguły poprzedzić już zabezpieczenie targu dla krajowej produkcyi. Wysokie cła ochronne, są więc głównym warunkiem powodzenia kartelu, jeżeli krajowej produkcyi nie zabezpieczają od konkurencyi zagranicznej wewnętrzne stosunki gospodarcze, zwykle dosyć rzadkie. Jeżeli kartel nie może liczyć ani na jedno ani na drugie, a zagraniczni konkurenci są tak silni, że nie podobna doprowadzić ich do upadku, jedynem wyjściem z trudności jest

układ z producentami obcymi, który rozdziela całe zapotrzebowanie krajowe pomiędzy kartel i zagranicę. Prócz tego mamy jeszcze producentów krajowych, nie należących do kartelu, t. zw. outsiders. Jeżeli produkcya ich nie jest zbyt wielka, nie utrudniają wcale stanowiska kartelu, gdyż nie należąc do niego, muszą jednak stosować się do jego zarządzeń, inaczej bowiem upadliby w walce tak nierównej. Jeżeli natomiast poza kartelem pozostają przedsiębiorstwa silne, stosunki układają się w taki sam sposób, jak gdyby miało się do czynienia z konkurencyą zagraniczną, t. zn. o ile nie przyjdzie do układu, kartel, jako bezużyteczny, musi się rozwiązać.

Kartelem kieruje zarząd, którego uprawnienia określa umowa. Jeżeli kartel zwraca się przeciw dostawcom surowców, zarząd oznacza ceny na ich wytwory i zakreśla okręg, w którym każdy z zakładów, należących do związku, ma się zaopatrywać w odnośne środki produkcyi. Nie wolno kupować w innem miejscu, czy też u innego wytwórcy, ani też ofiarowywać cen wyższych. Jest to t. zw. rejonowanie, zapomocą którego reguluje się dowolnie ceny surowców. Naturalnie da się to przeprowadzić tylko pod warunkiem, że dany przemysł jest jedynym, lub przynajmniej głównym odbiorcą tych surowców, w przeciwnym bowiem razie właściciel tych płodów pozbędzie je na rzecz innych gałęzi produkcyi.

Jeżeli kartel stara się o podniesienie ceny wytworów własnych, t. zn. zwraca się przeciw konsumentom, dąży przedewszystkiem do uchylenia hyperprodukcyi. Zarząd więc oznacza ilość wytworów, które mają się znaleźć w pewnym czasie na rynkach krajowych. Ilość ich oblicza się stosownie do wielkości zapotrzebowania, na cały kraj i na cały okres produkcyjny, a następnie rozdziela się ją po-

między poszczególne przedsiębiorstwa, targi i krótsze epoki (np. miesiące). Rozdział na przedsiębiorstwa zowie się kontyngentem i ustanawia się stosownie do warunków wytwórczych przedsiębiorstwa (wielkości maszyn, ilości robotników, włożonego kapitału i t. d.) i wielkości zbytu przed powstaniem kartelu. Jasną jest rzeczą, że od wysokości kontyngentu zależy zysk przedsiębiorstwa, stąd też przystąpi się do kartelu tylko pod warunkiem, że kontyngent będzie dostateczny. Ponieważ wobec dawniejszej hyperprodukcyi kartel musi w każdym razie zmniejszyć ilość towarów, a każdy zakład pragnąłby otrzymać kontygent jak najwyższy, więc o zgodę musi być bardzo trudno. Przeznaczenie targów dla poszczególnych przedsiębiorstw t. zw. rejonowanie zbytu, ma dwojakie zadanie. System ten dąży w zasadzie do zmniejszenia kosztów przewozu i dlatego oddaje targ najbliższym zakładom wytwórczym. Często jednak rejonowanie ma niedopuścić do opanowania targu przez jedno przedsiębiorstwo, jeżeli przed powstaniem kartelu współzawodniczyły na nim inne. Zachodzi bowiem obawa, że jeżeli konsumcya przyzwyczai się do jednego wytwórcy, inni nie odzyskają swych odbiorców nawet po rozwiązaniu kartelu. Rozdział chronologiczny, który ma niedopuścić do chwilowego zwichnięcia równowagi na niekorzyść podaży, przeprowadza zarząd przez t. zw. uwolnienie (liberowanie), t. zn. przez oznaczenie jaką część kontygentu można sprzedać w danym okresie, np. miesiącu. Ma to szczególniejszą doniosłość w produkcyi sezonowej.

2. Trustem nazywamy przedsiębiorstwo, które przez objęcie w posiadanie wszystkich zakładów produkcyjnych pewnej gałęzi, lub takiej ich ilości, że reszta nie ma dla gospodarstwa poważniejszego znaczenia — uzyskuje w tej dziedzinie monopol fakty-

czny. Zasadnicza różnica pomiędzy trustem a kartelem polega na tem, że podczas gdy kartel jest czasowym tylko związkiem samoistnych wytwórców i ogranicza ich swobodę działania tylko w umową oznaczonych stosunkach zewnętrznych, trust przez wykupno zakładów przemysłowych staje się jedynym wielkim producentem, który kieruje dowolnie całą produkcyą pod każdym względem.

Główne zalety karteli i trustów są następujące: 1) Ilościowe zastosowanie produkcyi do potrzeb, wskutek czego zmniejsza się niebezpieczeństwo przesileń, wywołanych nadmiarem dóbr. 2) Ustalenie bytu robotników, którzy nie są już w takim stopniu narażeni na utratę zarobku przez nagłe zmniejszenie produkcyi, pod wpływem przegranej walki konkurencyjnej. 3) Uchylenie strat, wynikających z utraty kapitału, umieszczonego w produkcyi, która pod naciskiem konkurencyi mogłaby upaść. 4) Ustalenie popytu na narzędzia i surowce, używane w danej gałęzi, wskutek czego i inne rodzaje produkcyi opierają się na trwalszych podstawach. Prócz tego kartel umożliwia utrzymanie i rozwój zakładów słabszych, chroniąc je wyznaczeniem kontyngentu przed utratą zbytu na rzecz przedsiębiorstw potężniejszych, trust natomiast przeprowadza w produkcyi wyższą gospodarność, gdyż zamyka zakłady, urządzone gorzej lub nie posiadające odpowiednich warunków rozwoju (oddalone od targu, o przestarzałych maszynach, położone w okolicach, nie dostarczających surowców i t. d.), a skupia działalność wytwórczą tam, gdzie stosunki są najdogodniejsze dla jej rozwoju.

Wszystkie złe strony karteli i trustów są wynikiem jednostronnego ich stanowiska. 1) Ilościowe unormowanie produkcyi i wysokości cen przeprowadza się wyłącznie w egoistycznym interesie przedsiębiorstw, nie licząc się bynajmniej z dobrobytem

ogółu. Wskutek tego utrudnia się zaspokojenie potrzeb, choćby w interesie społecznym leżało jak największe rozszerzenie konsumcyi, jeżeli przez jej ograniczenie zysk wytwórców będzie większy. Najsilniej odbija się to na położeniu warstw mniej zamożnych, których dochody nie pozwalają płacić cen tak wysokich. Kartel lub trust zmusza je do znacznego zmniejszenia konsumcyi lub poprzestania na gorszych surogatach, co szczególniej gdy rozchodzi się o zwyczajne środki utrzymania, wywiera zgubny wpływ pod każdym względem, ekonomicznym, społecznym, kulturalnym i hygienicznym. 3) Gwałtowna, nie przebierająca w środkach walka konkurencyjna z każdym niewygodnym organizacyi konkurentem powstrzymuje rozwój gospodarczy i przytępia przedsiębiorczość w społeczeństwie. Tak kapitały jak i siły do pracy mają mniej sposobności do użytecznej a korzystnej działalności, gdyż kartel i trust starają się uniemożliwić wszelką pracę, któraby zmniejszała ich zyski. Zato ani kartel ani trust nie powstrzymują powstawania mniejszych przedsiębiorstw, nie mających dostatecznych gospodarczych podstaw, lecz raczej przyczyniają się do mnożenia się zakładów tego rodzaju. Dopiero wysokie ceny, narzucone organizacyą monopoliczną, umożliwiają byt takiej produkcyi, którą budzi się w ten sposób sztucznie do życia. 3) W razie walki konkurencyjnej o targi zagraniczne, zapewnienie zagranicy przewagi gospodarczej na innem polu, we wszystkich tych wypadkach, w których zmonopolizowane wytwory służą jako środki produkcyi innym gałęziom wytwórczym. Jeżeli n. p. kartel sprzedaje zagranicy surowe żelazo taniej niż w kraju, obce maszyny zawładną rynkiem krajowym, bo wyższe koszta produkcyi, spowodowane różnicą w cenie surowca, uniemożliwią konkurencyę zakładom miejscowym. 4) Kartel ułatwia prócz tego

wyzyskanie mniejszych zakładów przemysłowych przez większe. Dzieje się to najpierw przez rozdział kontyngentu, przeprowadzony na korzyść wielkich przedsiębiorstw, a następnie przez premiowanie eksportu. Zakłady mniejsze przyczyniają się stosunkowo do pokrycia kosztów, wywołanych konkurencyą zagraniczną, jakkolwiek jasną jest rzeczą, że utrzymanie się na dalekich targach leży głównie w interesie największych producentów. 5) Kartel, zapewniając znaczne zyski samem podniesieniem ceny, podtrzymuje przedsiębiorstwa, pracujące niegospodarnie, a zarazem zmniejsza doniosłość postępu techniki, wskutek czego przyczynia się do zbytecznego powiększania kosztów produkcyi. 6) Trust znowu pogarsza stosunki gospodarcze i społeczne przez centralizowanie produkcyi, znaczne powiększenie przewagi kapitału nad pracą, wreszcie przez niebezpieczeństwo, które zagraża gospodarstwu narodowemu w razie upadku trustu. Trust zamyka zakłady, pracujące w gorszych warunkach, przenosząc ich produkcyę do innych. W ten sposób zmniejsza on niewątpliwie koszta produkcyi, lecz zarazem odbiera pewnej liczbie miejscowości, okolic i robotników dotychczasowe źródła dochodu. Robotnicy, są od niego najzupełniej zależni, gdyż trust posiada wszystkie albo prawie wszystkie przedsiębiorstwa danego rodzaju. W końcu upadek trustu, niszczy od razu całą gałąź produkcyjną, pozbawia więc gospodarstwo społeczne możności zaspokojenia pewnych potrzeb własnymi wyrobami, nie mówiąc już o ogromnych stratach kapitału, włożonego w dany dział przemysłu.

III.

Asocyacya rolnicza.

Ziemia nadaje się do asocyacyi najmniej ze wszystkich czynników produkcyi, gdyż nie może zmieniać swego miejsca. Mimo to i przy gruntach mamy do czynienia z rzeczywistą asocyacyą, gdy łączy się je w jedno gospodarstwo dla osiągnięcia wspólnego celu i przeprowadza się pomiędzy nimi prawdziwy podział pracy, na jednych bowiem uprawia się zboże, na innych rośliny pastewne, a na wszystkich przeprowadza się płodozmian.

Natomiast niema dotąd jeszcze przykładu asocyacyi gruntów, należących do różnych właścicieli dla wspólnej produkcyi. Niema jej, gdyż takie połączenie byłoby możliwem tylko przy gruntach sąsiedzkich, których posiadacze nie zawsze żyją zgodnie, a przedewszystkiem dlatego, że korzyści wielkiej produkcyi i podziału pracy w rolnictwie są znacznie mniejsze niż w przemyśle.

Zato i w rolnictwie rozwija się coraz więcej asocyacya ograniczona do pewnych tylko celów i czynności, tak jak przedstawia się w syndykatach rolniczych. Syndykaty rolnicze są stowarzyszeniami właścicieli ziemi o następujących celach:

1. Wspólne nabywanie surowców i nawozów, przyczem oszczędza się dzięki znacznym zamówieniom na cenie kupna, kosztach transportu i komisowem, a przedewszystkiem chroni się przed oszustwem przy nawozach sztucznych, gdyż bada się je chemicznie w laboratoryach syndykatu.

2. Wspólny wynajem maszyn zbyt kosztownych dla jednego właściciela, np. żniwiarek, młockarni i t. d.

3. Produkcya na wielką skalę w korzystniejszych warunkach niektórych wytworów rolniczych i nadanie im marki handlowej, podnoszącej ich cenę, n. p. w mleczarstwie, sadownictwie, przy winach, jajach, bydle i t. d.

Czasami syndykat ogranicza się tylko do sprzedaży płodów swych członków, nie mieszając się do produkcyi, jak n. p. w Niemczech, gdzie założono wspólne składy dla sprzedaży zboża, lub we Francyi, gdzie wielokrotnie próbowano wspólnej sprzedaży wina.

4. Przeprowadzenie prac użyteczności publicznej dla rolnictwa, jak ochrona przed powodzią, wysuszenie moczarów, drenowanie, irrygacya, budowa dróg gospodarczych, zalesienie, zużycie biegu wody jako siły poruszającej i t. d.

5. Prócz tego syndykaty starają się szerzyć zawodowe wykształcenie rolnicze przez odpowiednie publikacye i utrzymywanie pól doświadczalnych, jakoteż doprowadzać do wzajemnej pomocy między rolnikami, czasami przez nawzajem oddawane sobie prestacye pracy. Szczególniej przez swój wpływ na rozwój fachowych wiadomości oddały one rolnictwu ogromne usługi.

IV.

Prawo koncentracyi przedsiębiorstw.

Widzieliśmy powyżej, że w naszych czasach występuje tendencya ku łączeniu coraz większej liczby robotników, kapitalistów i właścicieli ziemskich w produkcyi. Tendencyę tę nazywamy albo prawem koncentracyi przedsiębiorstw, bo doprowadza do skupienia w jednym punkcie wszystkich sił wytwórczych, albo krótko wielką produkcyą[1]). Łącząc razem wszystkie czynniki produkcyi, pracę, kapitały, czynniki przyrody,

[1]) Koncentracyą nazywa się również dążenie do połączenia w obrębie jednego przedsiębiorstwa wszystkich gałęzi produkcyi, od których zależy w pewnym stopniu otrzymanie głównego wytworu, lub które zużytkowują odpadki, uzyskane przy jego wytwo-

oszczędza się część ich, t. j. osiąga się produkcyę tej samej ilości dóbr mniejszym kosztem, lub co na jedno wyjdzie, wytwarza się ich więcej tym samym kosztem.

1. Przedewszystkiem oszczędność pracy. Ta pierwsza korzyść wiąże się wogóle ściśle z możliwością wytworzenia doskonalszego podziału pracy, jak to wkrótce zobaczymy, lecz prócz tego wynika także z prostego faktu połączenia pracowników. W produkcyi podzielonej traci się wiele czasu; godzin każdego pracownika z osobna nie wypełnia się dostatecznie pracą. I tak weźmy 100 domów handlowych, zatrudniających po 10 urzędników, połączmy je razem, a z pewnością nie będzie trzeba — dla załatwienia ilości spraw, równającej się sumie interesów owych 100 domów oddzielnie wziętych — zatrzymywać wszystkich ich urzędników, nie będzie bowiem potrzeba 100 kasyerów lub 100 buchalterów. Każdy urzędnik mogąc pracować odtąd bez przerwy, będzie mógł wykonać dwa lub trzy razy większą pracę, a więc zastąpić swą własną osobą dwu lub trzech pracowników.

2. Zaoszczędzenie miejsca. Aby uzyskać sto razy więcej miejsca dla magazynu lub fabryki nie potrzeba wcale zajmować powierzchni sto razy większej, lub zużyć sto razy więcej materyałów dla wzniesienia odpowiedniego budynku. Najprostszy rachunek wskazuje, że skoro stosunek objętości dwu sześcianów jest jak 1 : 1000, to stosunek ich powierzchni wyniesie 1 : 100. Otóż tylko powierzchnia kosztuje. Nawet w braku rachunku matematycznego, codzienne doświadczenie dowodzi, że koszt budowy lub czynsz najmu nie wzrasta stosunkowo do miejsca zajętego. Najmniejszy magazyn paryski, mający 500 fr. dziennie obrotu, płaci 8—10.000 fr. czynszu rocznego, a czynsz magazynu »au Bon Marché«, sprzedającego dziennie prawie za 500.000 fr., mającego więc 1000

---

rzeniu, n. p. połączenie kopalni, dostarczającej rudy z hutami lub produkcyi parafiny z rafineryą nafty.

razy więcej obrotu, nie jest 1000 razy wyższym — coby wynosiło 8 do 10 milionów, lecz w rzeczywistości wynosi zaledwie 1,000.000 fr., t. j. dochód z dwudniowej sprzedaży.

3. Oszczędność na środkach produkcyi. Wielka maszyna parowa zużywa stosunkowo znacznie mniej węgla, niż słabsza: różnica może dojść do stosunku 1 : 10 [1]). Oświetlenie elektryczne kosztuje mniej niż gazowe w razie zużycia na wielkich przestrzeniach, lecz na małą skalę jest za kosztowne.

4. Oszczędność na kapitałach obrotowych. Wielki magazyn, ma dajmy na to, 100 razy więcej obrotu niż mały, nie potrzebuje jednak wcale 100 razy większego kapitału, gdyż a) kupując towary w wielkich ilościach lub wytwarzając je na własny rachunek, płaci za nie taniej; b) towary te nie pozostają na składzie przez lata czy miesiące, tylko sprzedają się po kilku dniach lub tygodniach, zwrot więc kapitału następuje znacznie prędzej. Wystarcza mu mieć 10 razy więcej kapitału i 10 razy do roku towary odmienić. Może więc mieć 100 razy większy dochód z kapitału tylko 10 razy większego, a także i publiczność kupująca więcej będzie zadowoloną, mając do wyboru towary nowsze i modniejsze, oczywiście skutkiem tego ciągłego odnawiania zapasów [2]). Tendencya więc ku wielkiej produkcyi jest naturalnym rezultatem korzyści, które się przez nią uzyskuje.

[1]) Siła jednego konia, wydobyta parą, kosztuje 0.04 fr. na godzinę, wytworzona przez maszynę o sile 5 koni: 0.027, jeżeli maszyna wytwarza siłę 10 koni: 0.0105, jeżeli zdoła produkować siłę 50—100 koni. (Achard, *Sur distribution municipale de force motrice.* Revue d'Economie politique, Septembre, 1890).

[2]) Uwzględniając wszystkie przytoczone okoliczności obliczono, że wydatki ogólne magazynu nowości zwykłego wynoszą 40%, podczas gdy wydatki magazynu takiego, jak *au Bon Marché,* wynoszą 14%, to znaczy, że tych samych towarów, które *au Bon Marché* może sprzedać za 114 fr., mały magazyn nie może oddać niżej 140 fr. Por. De Foville *Des moyens de transport.*

Gdyby ten rozwój dokonywał się wyłącznie drogą doskonałego stowarzyszenia, drogą powolnego wstępowania pracy stowarzyszonej w miejsce indywidualnej, możnaby w nim widzieć tylko dodatnie strony. Lecz nawet i wtedy, gdyby rozwój organizacyi zbiorowej miał sprowadzić osłabienie i zmniejszenie bodźców działalności i odpowiedzialności osobnika, jak sprężyn rdzewiejących skutkiem nieużywania, bylibyśmy jeszcze w prawie wyrazić pewne obawy lub co najmniej żal.

Z większą jeszcze racyą możemy się niepokoić, widząc jak rozwój ten dokonuje się pod postacią wielkich przedsiębiorstw jednoosobowych lub spółek akcyjnych, to znaczy, drogą powolnego wstępowania pracy najemnej w miejsce pracy samodzielnej.

Przyszłość, która nam się ukazuje, jeżeli ruch ten będzie się odbywał zawsze tym samym torem, przedstawia się w postaci powolnego zaniku z widowni ekonomicznej tych wszystkich, którzy pracują na własny rachunek: małych rzemieślników, małych kramarzy, drobnych właścicieli ziemskich i wstępowania tych warstw w szeregi najemnych robotników, pracowników, urzędników pracujących na rachunek cudzy, na rachunek akcyonaryuszów. Znajdują oni wprawdzie wdzięczniejsze pole dla swej pracy i zdolności, mają pewniejsze i stalsze utrzymanie — lecz za to widzimy coraz większy przedział warstw społecznych, coraz większy upadek równowagi społecznej i politycznej.

Lecz czyż istotnie podobne prawo istnieje?

Socyaliści oświadczają się za niem, gdyż prawo koncentracyi stanowi jedną z zasadniczych podstaw całej doktryny Marxa. Wielka produkcya jest, ich zdaniem, produkcyą kollektywną, gdyż łączy tysiące robotników, a w spółkach akcyjnych także tysiące kierowników (akcyonaryuszy). Można przeto spodziewać się, że w ślad za uchyleniem małej produkcyi przez wielką, pójdzie usunięcie drobnej własności indywidualnej przez wielką kollek-

tywną. Zresztą socyaliści oceniają bardzo pogardliwie małą produkcyę indywidualną. System ten, powiada Marx, nie dozwala koncentracyi, współdziałania na większą skalę i użycia maszyn; nie dopuszcza do opanowania przyrody przez rozum ludzki, utrudnia ustanowienie jednolitego celu, uniemożliwia użycie środków, które zawdzięczamy usilnej pracy kollektywnej. Mała produkcya odpowiada tylko okresowi nizkiego rozwoju społecznego i wytwórczego; jej uwiecznienie byłoby skazaniem ludzkości na miernotę we wszystkich kierunkach.

Ten sąd potępiający nie da się utrzymać. Ustrój drobnego przemysłu byłby nader korzystny dla utrzymania harmonii społecznej i odpowiedniego rozdziału dochodów i majątków. Dzięki swej prostocie uchyliłby najznaczniejszą część sporów, które wybuchają pomiędzy różnemi warstwami, szczególniej między pracą a kapitałem. Nie doprowadziłby — na szczęście — do zupełnej równości, lecz utrzymałby tylko te różnice, które są wynikiem różnej wydajności gruntów i rozmaitej siły wytwórczej użytych narzędzi, jakoteż szczęśliwych lub nieszczęśliwych okoliczności przypadkowych, nieodłącznych od wszelkich zjawisk życia ludzkiego. Innych różnic nie widzielibyśmy wcale.

Lecz nawet ze stanowiska wytwórczości mała produkcya nie jest tak bezsilną i zacofaną, jak się nieraz myśli. Drobni producenci mogą przez asocyacyę zastosować niektóre sposoby działalności wielkiej produkcyi i podziału pracy, nie poświęcając bynajmniej swej niezależności, inicyatywy, poczucia odpowiedzialności i interesu osobistego, które zawsze stanowią potężną dźwignię produkcyi a słabną w przedsiębiorstwach zbiorowych. Możliwem jest także, że nowe sposoby rozdziału sił poruszających do pracowni przez elektrownie, zużywające siłę wodną, ułatwią drobnemu przemysłowi tanią produkcyę, a nawet wytworzą nowe formy rękodzieł. Pomiędzy wielkim i małym przemysłem konkurencya nie jest niezbędną; wręcz przeciwnie może przyjść pomiędzy nimi do podziału pracy.

Zresztą nawet w tych gałęziach które nadają się najlepiej do koncentracyi, ewolucya w tym kierunku nie idzie bynajmniej w nieskończoność, lecz prawdopodobnie zatrzyma się u pewnego punktu. Wzrost ustrojów społecznych, podobnie jak organizmów żyjących, przyroda zdaje się zamykać w pewnych granicach, których przekroczyć nie można. Na uzasadnienie tego twierdzenia można przytoczyć nawet argument czysto gospodarczy, gdyż ogólne koszta produkcyi nie zmniejszają się już, gdy przedsiębiorstwo przejdzie pewne rozmiary, lecz rosną, znikają przeto korzyści, połączone z wielką produkcyą.

W każdym razie rzeczywistość, ważniejsza od wszelkiej argumentacyi, nie wskazuje wcale na zanik rękodzieł, drobnego handlu, a tem mniej małych gospodarstw rolnych. Jest to tak widoczne, że część socyalistów, za przewodem Bernsteina, porzuciła już słynne prawo koncentracyi.

Wielka produkcya w rolnictwie zapewnia podobne korzyści, jak w przemyśle, jakkolwiek w mniejszych rozmiarach, a więc:

— Oszczędność umieszczenia i budowli, bo mniej się traci w wielkiem gospodarstwie na gruncie pod rowy, ogrodzenie, miedze, a także na piwnice, spichlerze, obory, niż w małym folwarku.

— Oszczędność pracy także, bo choć podział pracy daleko trudniej zastosować w folwarku niż w warsztacie, to jednak można go wprowadzić w życie w części, a zwłaszcza używanie zwierząt roboczych i maszyn pozwala znacznie zmniejszyć ilość pracy.

— Oszczędność kapitału przedewszystkiem. Jest zupełnie naturalnem, że uprawa 500 hektarów nie zatrudni tej samej ilości wołów, koni, wozów i różnorodnych przyrządów rolniczych, co 10 folwarków po 50 hektarów.

Lecz mimo tych wszystkich korzyści uprawa, pro-

wadzona na wielką skalę, przedstawia znów braki pod względem wydajności: uzyskuje bowiem z gruntu stosunkowo do uprawianej przestrzeni znacznie mniejszą ilość płodów niż uprawa drobna; może dać w ostatecznym wyniku znaczniejszy czysty dochód, t. j. większy zysk przynieść właścicielowi, lecz daje dochód surowy znacznie mniejszy [1]). Otóż w razie wzrostu gęstości zaludnienia we wszystkich cywilizowanych społeczeństwach, przyszłość należy do tego rodzaju uprawy, który potrafi z ziemi wydobyć największą ilość środków do życia.

Przykład Stanów Zjednoczonych niczego nie dowodzi pod tym względem. Te olbrzymie folwarki w Nowym Świecie, jeżeli rzeczywiście przedstawiają korzyść tańszej produkcyi zboża, to łączą się z drugiej strony z niekorzyścią, że dają go za mało. Wynik zbiorów nie przechodzi średnio 10—11 hektolitrów z hektara, to jest mniej, niż z najgorszych gruntów we Francyi [2]).

Można sobie pozwolić na taką uprawę ekstenzywną w Stanach Zjednoczonych, bo tam ziemi jest podostatkiem, a ludność dość rzadka; lecz z dniem, kiedy ludność będzie tam równie liczną jak u nas, trzeba będzie wkrótce odstąpić od prowadzenia wielkich gospodarstw, a pracę i kapitał ześrodkować na coraz mniejszych przestrzeniach, chcąc zwiększyć wydajność ziemi. Już obecnie, po każdym nowym spisie ludności, okazuje się ciągłe zmniej-

[1]) Hipolit Passy w swem nieprzestarzałem jeszcze dziele: *Traitée des systèmes de culture,* przyznaje wyższość drobnej uprawie roli, nietylko z punktu widzenia dochodu *brutto*, lecz także ze względu na czysty dochód. Wyższość wielkiej produkcyi rolniczej polega na złudzeniu, spowodowanem wyższością umysłową właścicieli wiekszych gospodarstw nad małym wieśniakiem: widzi się, że wielkie dobra lepiej są zagospodarowane, a przedewszystkiem, że dają przykład rolniczych ulepszeń i tym sposobem przypisuje się różnicy między sposobami uprawy to, co w rzeczywistości odnosi się do różnicy osób.

[2]) Średnia wydajność wynosi we Francyi 15 hektolitrów z hektara, a w Belgii, Holandyi i Anglii dochodzi do 25 i 30.

szanie rozmiarów gospodarstw rolnych, a w dniu, kiedy Stany Zjednoczone zaludnią się tak jak Chiny: jeżeli do tego przyjdzie, że hektar ziemi będzie musiał wyżywić całą rodzinę, zobaczymy, że tak jak w Chinach, uprawa roli stanie się niemal ogrodniczą, t. j. wszystkie siły będzie zużywać w gospodarstwach nie większych od małych ogrodów.

Wierzymy więc, że przyszłość należy raczej do małych, niż do wielkich gospodarstw i znajdujemy w tem stwierdzenie i wyjaśnienie tego prawa, które zaznaczyliśmy już wyżej, to jest, że ciągłe zmniejszanie się uprawianych przestrzeni postępuje w miarę przechodzenia ludu przez stopnie rozwoju: życia łowieckiego, pasterskiego rolniczego, a w samej epoce rolniczej w miarę przechodzenia od uprawy ekstenzywnej de intenzywnej, a od tej znów do ogrodniczej, tak, jak się ją stosuje dziś przy zaludnieniu najgęstszem, t. j. w okolicach pod wielkiemi miastami. Uprawa ogrodnicza w okolicach Paryża daje do 20 i 30.000 franków dochodu *brutto* z hektara, jest więc z czego utrzymać 50—60 osób, lecz oczywiście rozciągłość gospodarstw pozostaje w stosunku odwrotnym do wysokości przychodów; trzeba już być dość majętnym, by módz uprawiać choćby jeden tylko hektar w podobnych warunkach [1]).

Małe gospodarstwa nie uniemożliwiają bynajmniej stowarzyszenia, lub nawet użycia środków technicznych wielkiego gospodarstwa, jeżeli się pod tem rozumie ześrodkowanie największej możliwie ilości kapitału i pracy na danem miejscu. Wszyscy drobni gospodarze mogą się między sobą łączyć dla zastosowania w swych posiadłościach udoskonaleń rolniczych, a więc w celu kupowania lub wynaj-

[1]) »W Chinach gospodarstwa nie są zbyt wielkie — jednodwu- lub półhektarowe są już dość znacznemi, bo hektar może wyżywić rodzinę złożoną z 20 osób«. Jenerał Czengi-Tong: *Réforme sociale* 15 października 1886. Por. także w tej kwestyi Toubeau: *Relèvement de la populution* i Fernand Maurice: *Reforme agraire.*

mowania maszyn i reproduktorów zwierzęcych, w celu wspólnego przewozu zbiorów zapomocą polnych kolei żelaznych systemu Decauville, dla zakupu nawozu, nasion i roślin w wielkich ilościach i wspólnej sprzedaży swych wytworów; czynią to już dziś, choć nie na bardzo jeszcze wielką skalę we Francyi, syndykaty rolnicze. W każdym razie stowarzyszenie właścicieli, mające za zadanie nie kilka tylko spraw wspólnie załatwiać, lecz wprost wspólną prowadzić uprawę ziemi — przedstawia bezwątpienia trudności nie do pokonania. W istocie podobne stowarzyszenie może powstać z korzyścią między sąsiadującemi gospodarstwami, lecz niestety sąsiedztwo właścicielom ziemskim nadaje się dziś zwykle lepiej do prowadzenia procesów, niż do ułatwienia stowarzyszenia.

W zasadzie konkurencya wielkiego przemysłu powinnaby zabić wszystkie małe warsztaty. Wielki przemysł produkuje taniej, bo technicznie stoi wyżej, ogólne koszta zarządu są stosunkowo mniejsze, a masowe nabywanie surowców i taki sam transport wytworów, obniża cenę zużytych materyałów i koszta przewozu. Ceny fabrykatów będą więc niższe, a dodając do tego oddziaływanie organizacyi handlowej, ze wszystkimi środkami reklamy, musi się przyznać, że mały producent nie jest w stanie bronić się skutecznie wobec takiego przeciwnika. Stąd też drobny przemysł może utrzymać się tylko tam, gdzie tego rodzaju konkurencya jest niemożliwa, albo przynajmniej bardzo utrudniona. Zachodzi to w następujących wypadkach: 1) Gdy stan techniki jest tego rodzaju, że przy małym kapitale osiąga się już najwyższy stopień doskonałości. Wtedy przewaga wielkiego przemysłu ogranicza się tylko do strony handlowej, jest więc tem mniejsza, że o ile chodzi o targ lokalny, koszta przewozu albo w grę nie wchodzą, albo nawet zwracają się przeciwko fabrykatom, jeżeli wyrabia się je w innych miejscowościach. Zresztą przewagę handlową zwalczają dosyć skutecznie związki małych producentów. 2) Jeżeli rodzaj przemysłu nie nadaje się do wielkiej produkcyi, bądź dlatego, że opiera się przeważnie na pracy ręcznej, bądź też, że masowo dostarczane towary nie znalazłyby zbytu. 3) Jeżeli przystosowanie się do indywidualnych potrzeb musi dojść tak daleko, że niepodobna przeprowadzić specyalizacyi produkcyjnej, która opiera się zawsze na przyjęciu przeciętnych typów. 4) Gdy dostarcza się poszczególnym odbiorcom towarów tak tanich i w tak nieznacznej ilości, że mała różnica w cenie nie wpływa na wybór dostawcy. 5) W końcu gdy dla jakichkolwiek powodów konsumenci przyznają wyższość wyrobom ręcznym nad maszynowymi (zaliczając n. p. pierwsze do kategoryi przedmiotów zbytkownych, pod wpływem mody, dla lepszego ich wykończenia, ze względów estetycznych i t. p.). Zbierając wszystkie te uwagi razem można powiedzieć, że mały przemysł utrzymuje się i rozwija, jeżeli wytwórca zaspokaja bezpośrednio indywidualnie oznaczone potrzeby, a jakość pracy ludzkiej posiada dla oznaczenia wartości towaru większe znaczenie od innych czynników produkcyi.

ROZDZIAŁ III.

PODZIAŁ PRACY.

I.

Kolejne formy podziału pracy.

Asocyacya sama przez się jest tylko połączeniem sił pewnej liczby jednostek, czyli tak zwanem prostem

współdziałaniem (kooperacyą). Podział pracy zaś wymaga do swego pojęcia pewnego rozdziału ról między wszystkich stowarzyszonych w ten sposób, by każdy z nich miał za zadanie wykonać jedną tylko czynność: możnaby to nazwać współdziałaniem złożonem.

Jeżeli praca, którą należy wykonać, jest bardzo prostą (skopać ziemię, podnieść ciężar, wiosłować, ścinać drzewo), to nie nadaje się w takim razie do jakiegokolwiek podziału; każdy ze swej strony wykona te same ruchy; lecz jeżeli tylko zadanie jest złożone i obejmuje różne ruchy — nader korzystnem jest rozłożenie pracy (która razem wzięta przedstawiałaby jedną robotę), na szereg częściowych robót i przeznaczenie każdej z tych robót jednemu człowiekowi.

Pierwszą formą, w której przejawił się podział pracy, był podział według płci, rozdzielającej funkcye gospodarcze pomiędzy mężczyzn i kobiety. Odpowiada on pierwszej epoce ekonomicznej, okresowi gospodarstwa rodzinnego. Mężczyzna zatrzymał dla siebie wszystkie roboty szlachetniejsze, t. j. wojnę, polowanie, pasterstwo, natomiast niższe rodzaje pracy przeznaczył kobiecie: nietylko prowadzenie gospodarstwa domowego i przędzenie, lecz także uprawę roli, a nawet dźwiganie w drodze ciężarów, jakby zwierzęciu pociągowemu. Kobieta była pierwszym niewolnikiem i właściwemu niewolnictwu, t. zn. jeńcom wojennym zawdzięcza pierwotną swą emancypacyę, bo na nich przeszedł obowiązek pracy najcięższej, mianowicie tłuczenia i mielenia ziarna.

Już w starożytności pojawia się podział pracy społeczny czyli zawodowy, t. j. według zawodów i rzemiosł. U ludzi wolnych powstał on niewątpliwie wskutek różnorodności wrodzonego uzdolnienia[1]), rozwiniętego praktyką i przenoszonego drogą naśladownictwa

[1]) Pierwsze zawody powstają, według Büchera, dzięki uzdolnieniu intelektualnemu lub artystycznemu. Najpierw więc spotykamy

dziedzicznego na całe generacye; niewolnikom narzucano ten podział dowolnie. U różnych ludów podział pracy zawodowy stał się przymusowo dziedzicznym, dzięki przepisom prawa (kasty w Egipcie i Indyach).

W ustroju cechowym podział zawodowy staje się wyraźniejszy. Każdy cech oddaje się tylko jednemu rodzajowi pracy, a statuty cechowe przestrzegają ściśle zasady, że każdy ma się zamknąć w swej specyalności. Z czasem poszczególne zawody dzielą się na gałęzie (przemysł drzewny na ciesielstwo, stolarstwo, kołodziejstwo i t. d.) i na kolejne stadya (drzewo przechodzi od rębaczy do rąk tych, którzy przepiłowują je podłużnie i t. p.) — a każda z tych części staje się rzemiosłem odrębnem. Ta specyalizacya postępuje coraz dalej i dzisiaj, równolegle z różniczkowaniem się potrzeb, tak że każdej nowej potrzebie odpowiada nowy zawód.

W okresie produkcyi fabrycznej występuje podział pracy techniczny. Skoro każda praca gospodarcza jest, jak widzieliśmy wyżej, szeregiem prostych ruchów, dąży się do rozłożenia nawet najbardziej skomplikowanych czynności na pewną ilość ruchów jak najprostszych i powierza się ich wykonanie odpowiedniej ilości robotników w ten sposób, aby każdy z nich miał do uskutecznienia o ile możności tylko jeden ruch i to zawsze ten sam. Ten rodzaj podziału pracy uderzył najpierw Adama Smitha i skłonił go do napisania tych wspaniałych ustępów, które zamieścił na początku swego dzieła.

Ostatnia faza rozwoju podziału pracy, w okresie przemysłu maszynowego, wydaje się pozornie cofnięciem, gdyż maszyna wyrabia często cały wytwór. W rzeczywistości mamy tu do czynienia ze specyalizacyą maszyn, która zastąpiła specyalizacyę ludzi.

osobny zawód kapłanów, wróżbitów, czarodziejów, śpiewaków, tancerzy i t. p. Zwykle pojawia się po nich najwcześniej kowal, inni rzemieślnicy występują znacznie później.

W końcu istnieje t. zw. podział pracy międzynarodowy, który powstaje skutkiem rozwoju komunikacyi i międzynarodowej wymiany. Polega on na tem, że każdy naród poświęca się przedewszystkiem produkcyi tych wytworów, które odpowiadają najlepiej warunkom przyrodniczym, w których żyje i jego właściwościom rasowym.

II.

Warunki podziału pracy.

Techniczny podział pracy będzie tem doskonalszy, m większą będzie ilość poszczególnych czynności, na które można pracę rozdzielić. Liczba robotników musi koniecznie pozostawać w odpowiednim stosunku do ilości owych oddzielnych zadań. Otóż jasną jest rzeczą, że ilość robotników, zatrudnionych przez przemysłowca, zależy od rozmiarów jego produkcyi, a ponieważ wiemy, że rozmiary produkcyi zależą od wielkości targu, — możemy zatem ostatecznie stwierdzić, że podział pracy pozostaje w prostym stosunku do rozciągłości targu.

Dlatego to często zwracano uwagę na zjawisko, że podział pracy istnieje wyłącznie w wielkich miastach, a nieznanym jest na wsi lub małem miasteczku. Tutaj znajdziemy w jednym i tym samym sklepiku obok siebie skład korzenny, masarnię, zabawki dla dzieci, handel papieru, wstążki, igły itp., co w wielkim mieście stanowiłoby przedmiot sprzedaży różnorodnych sklepów [1]). Przyczyna tego zjawiska jest zupełnie jasna: na wsi trzeba się zaj-

[1]) Możnaby sądzić z pierwszego wejrzenia, że przy wielkich magazynach w stolicach, jak Louvre lub Bon Marché, zachodzi ten sam wypadek, bo sprzedają różnorodne przedmioty. Lecz one przeciwnie w wyższym jeszcze stopniu stosują podział pracy, bo każdy oddział sprzedaży tworzy oddzielny sklep, mający osobnych naczelników; jeden zajmuje się wyłącznie koronkami, drugi tylko wschodnimi dywanami etc.

mować wszystkimi zawodami naraz, trzeba być *Jack of all trades*, jak mówi Anglik, z tego prostego powodu, że jeden zawód nie dałby jeszcze środków do życia.

W bardzo wielu podręcznikach ekonomii politycznej spotykamy jeszcze drugi warunek, a mianowicie ciągłość produkcyi bez żadnej przerwy, a z tego zwykle wyciąga się wniosek, że podział pracy nie da się zastosować w rolnictwie. Teorya ta, choć wyznawaliśmy ją w pierwszem wydaniu tego dzieła, nie zdaje się nam być zupełnie ścisłą. Bez wątpienia nie można zaprowadzić na folwarku podziału pracy zupełnie takiego samego, jak we fabryce, nie można jednego człowieka przeznaczyć do siana, dziesięciu do zbierania zboża, innego wreszcie do zbierania wina, szczepienia, obcinania winnej latorośli, sadzenia — jednem słowem, nie można żadnej z tych czynności z osobna oddać jednemu robotnikowi, bo każda z nich: siejba, zbiór wina, zbiory zboża, szczepienie, obcinanie latorośli, sadzonka, może się odbywać tylko w okresie oznaczonym, w krótkim przeciągu czasu. Robotnik, poświęcający się wyłącznie jednej z tych czynności, musiałby pozostać bezczynnym przez 11 miesięcy w ciągu roku. Możliwem jest jednak, a przynajmniej byłoby pożądanem, osiągnąć podział pracy pod inną postacią — mianowicie zajmowania się jednego człowieka lub całych grup uprawą pewnej oznaczonej rośliny. Z drugiej strony bardzo jest prawdopodobnem, że do tego przyjdzie, w miarę jak uprawa roli stanie się więcej intenzywną i zbliży się do ogrodnictwa [1]).

[1]) Tak właśnie rozumiał Fourier podział pracy w swej *Association agricole* — doprowadzał go jednak do przesady tworząc tyle kół pracowników, ile było gatunków (kapuściarze, rzepiarze, gruszkarze, wiśniarze etc.) a nawet tyle podpodziałów, ile mogło być odmian w tym samym gatunku rośliny uprawnej.

III.

Korzyści i niekorzyści podziału pracy.

Podział pracy wzmacnia siłę produkcyjną pracy w rozmiarach przechodzących najśmielsze marzenia, a to z następujących powodów:

1) Praca najzawilsza rozkłada się tak, jak to przedstawiliśmy, na szereg bardzo prostych ruchów, prawie automatycznych, a stąd nadzwyczaj łatwych do wykonania, co niezmiernie ułatwia wytwórczość.

Możliwem jest dojście tą drogą do ruchów tak prostych, że praca ludzka stanie się zbyteczną i zastąpi się ją produkcyą maszynową — i w rzeczywistości tą drogą rozkładu doprowadzono do wykonywania zapomocą maszyn najzawilszych na pozór zadań.

2) Różnorodność zadań stąd powstałych, zupełnie różnych z punktu widzenia trudności, siły lub odwagi, której wymagają, dozwala na przystosowanie każdego zadania do osobistych zdolności pracowników. W ten sposób można zużyć przyrodzone właściwości każdego pracownika, a uniknąć marnowania czasu, sił, a nawet kapitału, które musiałoby nastąpić, gdyby wszyscy, silni i słabi, głupcy i rozumni, mieli wykonywać tę samą pracę; marnowania pracy najsilniejszych lub najzdolniejszych na czyny zbyt łatwe dla nich i odwrotnie straty pracy najsłabszych lub najgłupszych na zadania przechodzące ich siły.

3) Ciągłe powtarzanie tego samego ruchu powoduje u wszystkich ludzi zadziwiającą wprost przewagę prawej ręki, a tak samo praca umysłowa przez ciągłe i trwałe stosowanie rozwija szczególnie umysłowe zdolności, a skutkiem tego i zdolność produkcyjną. Lekarze, adwokaci, malarze, powieściopisarze, uczeni, mają dziś każdy z osobna jakąś specyalność; każdy z nich korzysta

z zamknięcia się w jednym małym kąciku ludzkiej wiedzy i ciągłych badań nad tym samym przedmiotem. Dążenie to przedstawia swoją drogą w dziedzinie pracy umysłowej pewne niekorzyści, lecz w zakresie ściśle wziętej pracy produkcyjnej pewnem jest, że to udoskonalenie pracy, wynikłe z długiego ćwiczenia, stanowi główną korzyść podziału pracy.

Do wyżej przytoczonych zalet dodaje się jeszcze zazwyczaj trzy inne, mniejszej doniosłości:

4) Oszczędność czasu, wynikająca z ciągłości pracy: robotnik często pracę zmieniający, traci przy każdej zmianie nietylko ów przeciąg czasu między jedną a drugą czynnością, lecz przedewszystkiem czas, potrzebny do rozpoczęcia każdej czynności.

5) Oszczędność narzędzi doprowadzona do najwyższego stopnia w razie, jeżeli każdy pracownik z osobna używa jednego tylko narzędzia, a używa go stale.

6) Wreszcie krótsze trwanie okresu nauki, albowiem jest on tem dłuższym, im więcej złożone są czynności.

Lecz jako przeciwwagę tych korzyści oddawna już podnoszono następujące bardzo ciężkie zarzuty:

1) Zepchnięcie pracownika do roli maszyny, skutkiem powtarzania ciągle tego samego ruchu, możliwie najprostszego, a czysto automatycznego.

Na to można odpowiedzieć, że używanie maszyn dąży ciągle do usunięcia tego smutnego wyniku podziału pracy Można być pewnym w istocie, że skoro tylko do tego stopnia uprości się czynność, że stanie się czysto automatyczną, nie długo trzeba będzie czekać na wstąpienie maszyny w miejsce pracownika, bo w ten sposób będzie można zawsze uzyskać pewną oszczędność.

Ograniczenie dnia roboczego, pozwalające robotnikowi zająć w sposób odpowiedniejszy ciało i umysł, na-

leży uważać także za konieczną poprawkę podziału pracy w nowoczesnej produkcyi przemysłowej [1]).

2) Ogromną zależność robotnika, który nie umie nic wytwarzać poza oznaczoną czynnością czysto specyalną, w której się wyćwiczył, a stąd jest na łasce i niełasce pracodawcy. Podobnie jak cząstki, które on wyrabia, mają wartość tylko jako części całości, tak można powiedzieć, że i robotnik sam wartością swą równa się jednemu kołu tej wielkiej maszyny, zwanej fabryką: poza nią jest do niczego.

Bez wątpienia w tej ostrej ocenie mieści się część prawdy; — zapewne — z dzisiejszego urządzenia przemysłu wraz z przesadną specyalizacyą w czysto automatycznych czynnościach mogą wynikać pewne niekorzyści, zwłaszcza na wypadek oddalenia robotników dla braku zajęcia; lecz wogóle, w zasadzie nie można się uskarżać na to, że człowiek zdąża do coraz większej zależności od swych bliźnich. Ta wzajemna zależność, ten węzeł coraz ciaśniejszy, wiążący jednostki w związki — nie osłabia

[1]) Por. w tej kwestyi wspaniale ustępy u Lemontey'a i jego sławne zdanie: »Przykro się do tego przyznać, że w ciągu całego życia robiło się zawsze tylko $^1/_{18}$ część szpilki«.

Socyalista Fourier sądził, że można równocześnie osiągnąć korzyści podziału pracy a uniknąć niekorzyści, zapomocą tak nazwanych przez niego *courtes séances*. Każdy pracownik ma wykształcić się w kilku zawodach i następnie przechodzić je po kolei. Zachowuje się tem korzyści specyalizacyi, bo nie potrzeba, by coś robić dobrze, robić to przez całe życie, można nabyć wprawy w pięciu lub sześciu różnorodnych czynnościach — zwłaszcza, jeżeli skutkiem podziału pracy są bardzo proste; a z drugiej strony unika się zabijającej monotonii. Tak też i namiętność, którą Fourier malowniczo nazywa motylową, znajduje swe zaspokojenie. Myśl Fouriera nie jest wcale tak śmieszną, jak ją przedstawiano; tylko należy sobie życzyć, by robotnik, przechodząc do nowej pracy, nie tracił zbyt wiele czasu; dlatego to właśnie wynalazł on *falanster* i tam gromadził wszystkich pracowników, chcąc ułatwić wymianę pracy, aby kowal mógł zaraz po opuszczeniu kowadła zacząć uprawę róż.

skutkiem tego osobistości, lecz przeciwnie ją wzmacnia. Słusznie mówi Espinas *(Sociétés animales)*: »zdolność do życia w odosobnieniu jest bardzo nizką właściwością jednostki... Nie upadkiem, lecz raczej postępem jest dla osobnika wejść jako część składowa do wielkiej, znacznie rozciąglejszej całości i utrzymywać związki liczne z innemi ogniskami życia, z innemi jednostkami«.

To jest zresztą wynikiem przyrodzonego i bezwzględnie ogólnego prawa; w pierwotnych, słabo urządzonych społeczeństwach, właśnie skutkiem ich niedoskonałego urządzenia, każda jednostka zachowuje swe osobiste znaczenie i mogłaby żyć w odosobnieniu od społeczeństwa, do którego należy, bez wielkiej szkody tak dla siebie, jak i dla społeczeństwa samego, tak jak gąbki, polipy lub nawet dżdżownice można oddzielać kawałkami bez wielkiej niekorzyści, bo urwana część wystarcza sobie. Lecz w społeczeństwie urządzonem, zorganizowanem, gdzie podział pracy silnie się rozwinął, jednostka znajduje się w takiej zależności od swych bliźnich, że w razie odosobnienia życie staje się dla niej niemożliwem tak, jak u istot wyższych członek oddzielony od ciała ginie natychmiast i w pewnych wypadkach może pociągnąć za sobą śmierć samego ciała, do którego należał. Zawsze sprawdza się ta stara bajka Meneniusa Agryppy, który przecież nie znał ani socyologii, ani biologii; owa stara bajka o członkach ciała i żołądku.

We wszystkich wypadkach więc, kiedykolwiekby ktoś uskarżał się, choćby na temat podziału pracy — że zabija on osobistość pracownika, nasuwa się odpowiedź, że jest to małą bardzo niekorzyścią w porównaniu do wielkiego dobrodziejstwa, które przynosi, a którem jest: coraz większy rozwój ludzkiej łączności [1]).

[1]) Krytycy, podnoszący te zarzuty, popełniają błąd historyczny i praktyczny sądząc, że człowiek przed wejściem w okres podziału pracy był więcej zbliżonym do ideału ludzkiej osobistości, więcej harmonijnym... Bez podziału pracy byłby dzikim, myślącym

Nie idzie zatem bynajmniej, ażeby uważać za idealne społeczeństwo, w którem każdy człowiek wyspecyalizowałby się w jednym tylko kierunku, a jego duch i ciało nosiły niezatarte piętno tej specyalności. Byłoby to szkodliwem tak dla ogólnego rozwoju indywidualności, jak i dla postępu społecznego, bo groziłoby niebezpieczeństwo uwiecznienia szablonu, jak za panowania systemu kastowego. Właśnie zdolność do zmiany zawodu jest dowodem siły i wyższości człowieka. Większość tych ludzi, którzy w Stanach Zjednoczonych doszli do największej materyalnej potęgi, przechodziła w swem życiu przez dziesiątki zawodów. Cechę społeczeństwa silnego i postępującego naprzód stanowi możność zużytkowania wszystkich swych obywateli w rozliczny sposób, a dwa do tego niezbędne są warunki. Przedewszystkiem wykształcenie, choćby tylko techniczne, jednakże tak ogólne, że otwiera jednostce większą ilość dziedzin pracy, pozwalając w ten sposób na zmianę zajęcia w miarę potrzeby; powtóre dosyć wolnego czasu od zawodowej pracy, ażeby człowiek mógł nadwyżkę swych sił zużytkować na innych polach, w życiu domowem, obywatelskiem, umysłowem, religijnem i. t. p.

Podział pracy występuje w gospodarstwie w czworakiej formie, jako podział międzynarodowy, społeczny, terytoryalny i techniczny. Każdy z nich jest właściwie jedną tylko stroną ogólnego zjawiska — wzajemnego wspierania się w ekonomicznej działalności. Podział międzynarodowy, spoglądając na całą

o jedzeniu, piciu i próżnowaniu.. Tylko skutkiem podziału pracy stał się możliwym rozwój umysłowy, moralny, estetyczny i ekonomiczny — pierwotnie, co prawda, tylko dla małej garstki, lecz z czasem dla coraz większej liczby jednostek. Nie stworzymy człowieka doskonałego, starając się o rozwój harmonijny wszystkich jego sił, bo to byłoby niemożliwem. Słabość ludzka i krótkotrwałość życia nie pozwalają na nic więcej i na nic szlachetniejszego, jak na oddanie się zawodowi specyalnemu, zachowując umysł przystępny dla wszystkiego, co jest pięknem i wielkiem w innych zakresach działania. Schmoller art. *Revue d'écon. polit.* 1890. str. 246.

ludzkość jako na jedną całość, rozdziela rozmaite czynności pomiędzy jej części — narody i społeczeństwa. Części te jednak są tak ogromne, że idąc dalej po wskazanej drodze, ponownie rozdzielają pracę przypadającą im w udziale i to raz terytoryalnie, uwzględniając warunki przyrodnicze, powtóre zaś społecznie, licząc się z uzdolnieniem różnych jednostek i warstw do rozmaitych gałęzi produkcyi. Na gruncie podziału międzynarodowego wyrasta więc podział społeczny i terytoryalny, które obejmują jeszcze zakres tak znaczny, że dozwalają na dalsze, techniczne różniczkowanie podziału pracy. Każdy kraj i każdy zawód, mając wytwarzać liczne rodzaje i odmiany płodów, mogą w swem gronie dzielić się dalej swem zadaniem i to już ściśle technicznie, ze względu na materyalne warunki produkcyi. Zawsze przyświeca ta sama zasada — dążność do oddania każdego działu pracy czynnikom najodpowiedniejszym — a tylko analiza gospodarcza jest coraz dokładniejszą i głębszą. Przy podziale międzynarodowym decydują stosunki naturalne i społeczne, występujące tylko w najgłówniejszych konturach; podział terytoryalny liczy się już z objawami drobniejszymi, które się wyłaniają z poprzednio już znanych ogólnych rysów; wreszcie osobiste uzdolnienie członków społeczeństwa i ich materyalne zasoby stanowią o podziale społecznym i technicznym.

Wszystkie rodzaje podziału pracy mają tę samą przyczynę — chęć jak największego zastosowania się do warunków produkcyi i dążą do tego samego celu, do ułatwienia wytwórczej pracy. Najsilniejszym na to dowodem jest zjawisko, które można nazwać wzajemną zastępowalnością różnych rodzajów podziału pracy. Podział techniczny pozwala na zastosowanie się do czasu, terytoryalny i międzynarodowy do przestrzeni, społeczny do indywidual-

nych przymiotów. Właściwie jednak odniesienie tych różnych form podziału do głównych sił działających w produkcyi ma znaczenie jedynie typowe, w rzeczywistości każdy rodzaj podziału pracy może tu niekiedy przynieść te same skutki. Wprawdzie stratę czasu usuwamy z reguły podziałem technicznym, lecz tę samą przeszkodę zwalcza się również podziałem społecznym, albowiem człowiek zawodowo wykształcony potrzebuje mniej czasu na wykonanie tej samej czynności niż ktokolwiek inny; wpływa tu korzystnie podział terytoryalny, który łącząc gospodarstwo z jednem miejscem, zmniejsza czas potrzebny na dostanie się do miejsca, w którem danej czynności mamy się podjąć, jak to widzimy w dobrze zaokrąglonem gospodarstwie rolnem; nie jest wreszcie obojętnym i podział międzynarodowy, gdyż dostarczając rozmaitym jednostkom i ludom obcych im płodów, uchyla potrzebę wytwarzania tych przedmiotów w warunkach niekorzystnych, zapomocą dłuższej i uciążliwszej pracy. Przeciw przestrzeni i oddaleniom wysunęliśmy podział terytoryalny i międzynarodowy, lecz wiadomo powszechnie, że przeciwdziała tutaj i podział techniczny, który koncentrując w jednem miejscu liczną i różnorodną pracę, sprzyja gęstszemu zaludnieniu i ogranicza potrzebę odwoływania się do pomocy odległych okolic; nawet podział społeczny nie jest bez znaczenia, albowiem dozwala na liczniejsze i częstsze urządzenie zakładów, które bez niego nie mogłyby się utrzymać. Dość tu wskazać różnice zachodzące między naszą organizacyą a stosunkami panującymi dawniej. Wskutek braku wydoskonalonego podziału społecznego pracy, niektóre zawody, jak n. p. rzadsze rzemiosła i prawie wszystkie zawody liberalne, nielicznie były reprezentowane. Stąd też we wszystkich ważniejszych sprawach musiano się udawać do stolicy, musiano

się łamać z przestrzenią. Dzisiaj, gdy każdy pracuje jedynie w swoim zawodzie i może liczyć na obce potrzeby, liczba ludzi specyalnie ukwalifikowanych wzrosła, rozsiadła się po całym kraju. Lecz najtrudniejszą jest walka z samym człowiekiem, z jego zaletami i wadami. Tutaj służy nam przedewszystkiem podział społeczny, a w drugiej linii i techniczny, który przyzwyczajając człowieka do tej samej pracy, pozwala na nabycie coraz większej wprawy, ułatwia mu coraz bardziej jego zadanie. Podział terytoryalny i międzynarodowy mają już wprawdzie mniejsze znaczenie, lecz niekiedy mogą i one wydać skutki bardzo dodatnie, albowiem z jednej strony przyzwyczajają do życia w pewnych stałych warunkach naturalnych, z drugiej zaś zmuszają do walki z przyrodą, a tem samem wyrabiają pewne cechy charakteru, pewne indywidualne zdolności.

Podział pracy jest rozłożeniem zjawisk gospodarczych na ich pierwiastki, o ile one są dostępne człowiekowi. Czynniki te możemy podzielić na dwie wielkie grupy, ze stanowiska gospodarczego zupełnie różne, na pierwiastki, które same przez się mogą już wywołać skutki ekonomiczne i na takie, które do wywołania jakiegoś skutku potrzebują pomocy, czasowo i miejscowo bezpośrednio z nimi połączonej. Jeżeli potrzebujemy wielkich zapasów węgla, który ma być złożony w przeznaczonem na to miejscu, to można to uskutecznić w dwojaki sposób: albo ta sama osoba przenosi węgiel z wozu aż do składu, albo też jeden z robotników stojąc na wozie podaje węgiel drugiemu, który go składa. W pierwszym razie każdy wór węgla odniesiony na miejsce stanowi rezultat gospodarczy, w drugim praca woźnicy, podnoszącego węgiel z wozu, byłaby zupeł-

nie bezużyteczną, gdyby mu tego ciężaru natychmiast nie odebrano. Dopiero wraz z pomocą następnego robotnika, a gdy jest więcej podających, dopiero z chwilą gdy węgiel odbierze składający, możemy mówić o rezultacie gospodarczym, gdyby bowiem brakło nagle ostatniego ogniwa w tym łańcuchu, wszyscy poprzednicy pracowaliby bez skutku; nie złożonoby bowiem węgla, a o to właśnie chodzi. Stąd też, podczas gdy praca składającego jest pierwiastkiem pierwszej kategoryi, czynności podających należą do kategoryi drugiej. To samo widzimy przy podawaniu cegieł, wapna i kamieni, przy jakiejkolwiek budowie; wszelki trud byłby tu straconym, gdyby na rusztowaniu nie było ludzi, którzyby ujęli podawany ciężar; poprzedzająca praca nie miałaby najmniejszych skutków, jest pierwiastkiem drugiej kategoryi.

Należy tu zastosować teoryę o dobrach wzajemnie się uzupełniających. Każda czynność, która przez podział pracy da się rozdzielić na kilka czynników, jest właściwie grupą dóbr wzajemnie się uzupełniających, nic więc dziwnego, że widzimy je w dwóch odmianach: jako systemy usług o wartości samoistnej i jako zbiory poszczególnych czynności, które odłączone od siebie tracą wszelką wartość.

To odróżnienie rozmaitych pierwiastków podziału pracy decyduje zarazem o warunkach, w których można go przeprowadzić. Gdzie podział dochodzi tylko tak daleko, że każdy poszczególny akt pracy ma swe samoistne znaczenie, tam oglądamy się jedynie na przeszkody, na które napotyka produkcya. O ile podział pracy lepiej je zwalcza niż działalność jednolita, o tyle jest on gospodarczo usprawiedliwiony i potrzebny. Gdzie jednak pracę musimy rozłożyć

na czynności bezwartościowe, tam powyższe względy wystarczyć nie mogą; chociażby bowiem taki podział był rzeczywiście najwłaściwszy, będzie on gospodarczo błędny, jeżeli nie możemy uzupełnić grupy usług pracą innych jednostek, względnie innego rodzaju. W ten sposób określa się zarazem ostateczną granicę, do której może dojść podział pracy. Jest on bezwzględnie możliwy, jak długo każdy, chociażby najmniejszy akt siły ludzkiej posiada jakąkolwiek wartość, dalej jednak iść niepodobna, chyba że ma się zapewnione uzupełnienie jednych usług drugiemi. Oczywiście zasady te decydują dopiero z chwilą, gdy podział pracy pozwala na dogodniejszą produkcyę.

Otóż podział pracy doprowadzony tak daleko, że poszczególne czynności są same przez się bezwartościowe może pojawić się jedynie w wielkiem przedsiębiorstwie. Mały gospodarz nie może go doprowadzić tak daleko, gdyż nie rozporządza dostateczną ilością pracy ludzkiej, ani też nie wytwarza tak znacznej ilości towarów, aby podobny podział przedstawiał dla niego ekonomiczną korzyść. Dopiero produkcya wielka, może się domagać od swych robotników spełnienia czynności, które służą jedynie do ułatwienia lub umożliwienia następnej pracy. Robotnik staje się tu rzeczywiście narzędziem. Nie troszcząc się o rezultat swej działalności, poddaje się obojętnie rozkazowi przełożonych, a zajmując się bezustannie tą samą pracą, nie posiadającą żadnej wewnętrznej wartości, traci powoli swe umysłowe siły. Nie może on dojść prawie nigdy do samoistnego bytu, gdyż nie zna całości tego rodzaju produkcyi, któremu się poświęca. Przedział między gospodarzem samoistnym a robotnikiem wzrasta coraz bardziej, uniemożliwiając stopniowe wznoszenie się warstw pozbawionych własności do rzędu ma-

łych przedsiębiorców. Nie można jednak dlatego potępiać istoty technicznego podziału pracy, należy go tylko ograniczyć do właściwych rozmiarów, gdyż wszystkie te braki ukazują się dopiero w wielkiej produkcyi, która poszła w tym względzie zanadto daleko.

KSIĘGA II.

OBRÓT.

ROZDZIAŁ I.

WYMIANA.

I.

Historya wymiany.

Funkcya jaką wymiana spełnia w życiu społecznem, jest niesłychanie ważną. Aby się o tem przekonać, wystarczy zaznaczyć, że prawie ogół dóbr wytwarzanych produkuje się wyłącznie dla wymiany. Weźmy zbiory w szpichrzach lub lamusach właścicieli ziemskich, ubiory w magazynach ubrań, obuwie u szewca, klejnoty u złotnika, chleb u piekarza... i zapytajmy się, jaką jest ta część tych dóbr, przeznaczona do osobistego użytku wytwórcy: albo jej nie ma wcale, albo jest nieznaczną. Są to tylko towary czyli przedmioty, przeznaczone do sprzedaży. Nasz przemysł, nasza zręczność, nasze zdolności również, i to najczęściej, są przeznaczone do zaspokajania potrzeb cudzych, a nie naszych własnych. Ileż to razy zdarza się, że lekarz lub notaryusz pracuje na własny

rachunek, prowadzi własny proces, dogląda własnej słabości lub spisuje akta dla siebie samego? Oni także czynności swe oceniają ze stanowiska wymiany. Jest to prawdą tak oczywistą, że ilekroć chodzi o ocenienie naszych dóbr, oceniamy je, jak wiemy, nie ze stanowiska większej lub mniejszej przyjemności, jaką nam mogą sprawić, lecz wyłącznie ze stanowiska wartości ich, czyli inaczej mówiąc, ze stanowiska ich zdolności do wymiany.

Nie zawsze jednak tak było. Wymiana nie jest bynajmniej tak naturalnym ustrojem jak asocyacya lub podział pracy, które dostrzegamy nawet u niektórych rodzajów zwierząt. Wymiana nietylko nie odpowiada żadnym instynktom, lecz wręcz przeciwnie była nawet początkowo wstrętną naturze ludzkiej. Człowiek pierwotny uważał wszystkie wytwory swej pracy za nieoddzielne od swej osoby, dlatego też każde pozbycie było pierwotnie otoczone nader uroczystemi formami, jak n. p. *mancipatio* w prawie rzymskiem. Ciekawą jest rzeczą, że darowiznę znano przed wymianą i że ona zrodziła wymianę w kształcie darowizny wzajemnej.

Jasną jest rzeczą, że w pierwszym okresie gospodarczym, w okresie gospodarstwa rodzinnego, nie mogło być mowy o wymianie, albowiem każda rodzina tworzyła zamkniętą całość, która wystarczała sobie najzupełniej. Zaspokajano swe potrzeby pracą członków rodziny i niewolników, w czasach późniejszych zaś pracą ludności poddańczej. Wymianę dostrzegamy tu co najwyżej wyjątkowo tylko, gdy przypadkiem kupcy zagraniczni przywiozą płody dalekich krajów.

W drugim okresie, cechowym, wymiana staje się konieczną wskutek podziału zawodowego pracy. Jednakże zamyka się ona w murach jednego miasta; konsumenci i producenci są mieszkańcami tej samej miejscowości, istnieją jedynie r y n k i l o k a l n e. Obcy kupcy dostają się na nie jedynie po wielu walkach i trudach, w warunkach bardzo niekorzystnych i uciążliwych, muszą najczęściej

opłacić pewien podatek, a wolno im tylko sprzedawać kupcom miejscowym, nie publiczności, jedynie w pewnych dniach (n. p. jarmarcznych) i na pewnem oznaczonem miejscu.

W okresie przemysłu fabrycznego targ miejscowy rozszerza się w n a r o d o w y, w tym też dopiero czasie rozpoczyna się prawdziwy handel i właściwa wymiana. Zauważono, że targi narodowe powstały równocześnie niemal z wytworzeniem się wielkich państw nowożytnych i z zastąpieniem dawnych fortyfikacyi miejskich ochroną granic narodowych, coby dowodziło, że tak na polu ekonomicznem, jak politycznem i wojskowem ewolucya dziejowa postępuje tym samym krokiem.

Z czasem targi zbytu rozszerzają się i na k o l o n i e, wskutek czego w XVII w. powstają owe potężne stowarzyszenia handlowe, które, jak n. p. kompania Indyi angielskich, odegrały tak wybitną historyczną rolę. W końcu w najnowszej epoce, w okresie przemysłu maszynowego i kolei żelaznych, powstaje prawdziwy t a r g m i ę d z y n a r o d o w y. Odtąd handel przybiera kształty rzeczywiście olbrzymie, zmienia radykalnie stosunki gospodarcze starego świata i uzyskuje tak wielkie znaczenie, że sprawy handlu zagranicznego zaliczamy obecnie do najważniejszych zagadnień naszego stulecia.

II.

Korzyści wymiany.

Stara to kwestya teoretyczna: czy należy wymianę uważać za wytwórczą? Fizyokraci dają odpowiedź przeczącą na to pytanie. Jeżeli się bierze fakt wymiany oddzielnie, ograniczając się do czynników prawniczych prostego przeniesienia własności: *do ut des,* nie można go w takim razie uważać za akt produkcyjny, bo wynika

z samej definicyi, że nie chodzi tu o utworzenie nowych dóbr, lecz przeniesienie już istniejących. Lecz nie z tego stanowiska należy oceniać wymianę. Należy w niej widzieć ostatni akt tego szeregu czynności produkcyjnych, który rozpoczyna się wynalazkiem, więc równie niemateryalnym aktem, przechodzi przez całą grupę czynności rolniczych, przemysłowych i przewozowych, posuwając wytwory, stopień za stopniem, ku ostatecznemu ich przeznaczeniu, którem jest dostanie się do rąk spożywcy. Zmiana postaci zewnętrznej, zmiana miejsca, zmiana rąk — wszystkie trzy są równie niezbędne dla osiągnięcia tego końcowego wyniku. A bezwątpienia ostatnia zmiana nie jest najmniejszego znaczenia [1]).

Korzyści wymiany można sprowadzić do dwu następujących czynników:

1. Wymiana pozwala zużytkować w najlepszy sposób wielką ilość dóbr, które bez niej byłyby bezużyteczne.

[1]) Fizyokraci starali się nawet wykazać, że wymiana nie dostarcza żadnego zarobku; w rzeczy samej, mówili oni, wszelka wymiana, jeżeli jest słuszną, ma za założenie równowartość obu wymienionych przedmiotów, a zatem nie pozwala na przyjęcie zysku lub straty z tej lub owej strony. Możliwem jest wprawdzie istnienie wyzyskanego, lecz zyskowi z jednej strony odpowiada strata po drugiej, tak że ostateczny wynik równa się zawsze zeru (por. Quesnay *Dialogues sur le Commerce* i le Frôsne *de l'intérêt social*). Jest to jednak czysty sofizmat, który zwalczył oddawna Condillac. Wystarczy z góry zaznaczyć, że gdyby nikt nie mógł nic zyskać z wymiany, lub gdyby musiała polegać na wyzysku jednej strony, trudnoby zrozumieć, dlaczego ludzie przez tak długie wieki ciągle wymianę stosują. W rzeczywistości wartość przedmiotów wymiany nie jest równą: To, co ja daję, ma dla mnie mniej wartości, niż to, co otrzymuję, bo inaczej nie odstępowałbym mego dobra, a strona przeciwna rozumuje w ten sam sposób. Każdy z nas spodziewa się otrzymać drogą wymiany więcej niż daje. I obaj mamy słuszność. Niema tu wcale sprzeczności w tych odmiennych zapatrywaniach i wzajemnem przenoszeniu towaru obcego — bo wiemy, że użyteczność każdej rzeczy jest czysto podmiotową i zmienia się stosownie do potrzeb i życzeń jednostki.

Bez wymiany cóżby robiła Anglia ze swym węglem kamiennym, Kalifornia ze złotem, Peru z guanem, Brazylia zę swą korą chinową? Rozbierając znaczenie dobra, stwierdziliśmy, że koniecznym warunkiem zaliczenia pewnego przedmiotu do rzędu dóbr jest możność jego użycia. Otóż, by można użyć pewnego dobra, trzeba je oddać drogą wymiany w ręce tego, który ma go użyć, więc chininę choremu na febrę, guano rolnikowi, węgiel kamienny fabrykantowi i t. d. Wyobraźmy sobie, że nagle, skutkiem jakiegoś rozkazu, usuwa się wymianę wszędzie i że każda jednostka i kraj każdy ma zatrzymać u siebie i dla siebie ogół posiadanych dóbr, a obaczymy jak wiele dóbr straciłoby odrazu swą użyteczność. Nietylko więc należy stwierdzić, że bez wymiany większość dóbr byłaby bezużyteczną, lecz nawet bez wymiany nigdyby ich nie wytworzono. Wymiana więc podnosi, a często nawet wprost tworzy użyteczne dobra.

Wymiana więc jest ostatnim aktem produkcyi, która rozpoczęta wynalazkiem, przechodzi przez cały szereg czynności rolniczych, przemysłowych i przewozowych, ażeby doprowadzić wytwór na miejsce przeznaczenia, t. zn. do rąk konsumenta. Zmiana kształtu, miejsca i posiadacza są zarówno konieczne, ażeby osiągnąć ostateczny rezultat gospodarczy.

Prawda że w niektórych objawach wymiany i kredytu, n. p. przy sprzedaży gruntów, domów, mebli, dzieł sztuki lub papierów wartościowych trudno dopatrzeć się produkcyi, gdyż zdaje się, że jest rzeczą obojętną czy ta, czy owa osoba stanie się ich właścicielem. Mimo to i w tych nawet wypadkach, nie mających nic wspólnego z handlem i przemysłem, wymiana działa twórczo, a więc jest produktywną, jasną bowiem jest rzeczą, że nabywca lub dłużnik uważa dany przedmiot za użyteczniejszy dla siebie, niż sprzedający czy wierzyciel. Inaczej nie mogłoby przyjść do wymiany, wynajmu lub pożyczki.

2. Wymiana pozwala przedewszystkiem zużyć jak

najlepiej wielką ilość zdolności wytwórczych, które bez niej leżałyby odłogiem.

Zwróćmy uwagę na tę okoliczność, że gdyby nie było wymiany, każda jednostka musiałaby się zająć produkcyą tego wszystkiego, czego potrzebuje, a przyjmując, że liczba jej potrzeb wynosi np. 10, musiałaby trudnić się dziesięciu różnymi zawodami; czyby je wykonywała dobrze czy źle, nie wchodzi w rachubę — byłaby bowiem obowiązaną produkcyę swą stosować nie do zdolności, lecz do potrzeb. Z dniem wejścia w życie wymiany, postać rzeczy się zmienia: każdy osobnik, pewny odtąd, że drogą wymiany otrzyma wszystko, czego będzie potrzebował, oddaje się wyłącznie wytwarzaniu tego, co robi najlepiej; stosuje też odtąd produkcyę swą nie do potrzeb, lecz zdolności lub środków. Przed wymianą każdy musiał zajmować się wytwarzaniem tego, co mu było najpotrzebniejszem; pod rządami wymiany trudni się wyłącznie produkcyą tego, co jest dlań najłatwiejszem. Jest to uproszczenie wielkie, niemal zdumiewające.

Można powiedzieć, że korzyści powyżej zaznaczone, są bardzo podobne do korzyści wynikających z podziału pracy — i w rzeczywistości są to te same, lecz jakżeż zwiększone i o ile liczniejsze! Raczej możnaby powiedzieć, że wymianie zawdzięczamy podział pracy wraz z zyskami stąd płynącymi: dopiero wymiana pozwala podziałowi pracy wyjść poza ciasne koło warsztatu lub rodzinnej wspólności na to, by się rozszerzyć po całej powierzchni rozległego kraju, a nawet od jednego do drugiego krańca ziemi. Gdyby nie było wymiany, asocyacya i podział pracy wymagałyby uprzedniej umowy między współpracownikami: musieliby wszyscy porozumieć się między sobą co do rozdziału ról we wspólnem dziele. Lecz wymiana uwalnia od tego układu wstępnego, odtąd każdy z blizka lub zdala będzie wytwarzać stosownie do swych zdolności wrodzonych lub przyswojonych, stosownie do

właściwości przyrodzonych okolicy, którą zamieszkuje; będzie mógł poświęcać się całkowicie jednej jedynej pracy i dostarczać na targ zawsze tego samego wyrobu, będąc pewnym, dzięki znakomitym urządzeniom, które poznamy później, że drogą wymiany otrzyma jakibądź przedmiot, którego właśnie potrzebuje. Niejednokrotnie już zrobiono to spostrzeżenie, że na to, co każdy z nas spożywa w jednym dniu, składa się czynność setek a może tysięcy pracowników, zjednoczonych węzłem istotnego, choć nieświadomego związku.

III.

Rozkład zamiany na kupno i sprzedaż.

Wymiana bezpośrednia towaru za towar nosi miano surowej (troc), jest ona jednak najniewygodniejszą, a często i najtrudniejszą do urzeczywistnienia. Aby wymiana surowa przyszła do skutku potrzeba, aby posiadacz pewnego przedmiotu znalazł osobę gotową do nabycia jego towaru i (wypadek trudniejszy jeszcze do urzeczywistnienia) gotową odstąpić mu ten właśnie towar, którego on potrzebuje. Lecz to nie wszystko; trzeba jeszcze — przypuśćmy, że szczęśliwe to spotkanie może nastąpić — aby dwa przedmioty, przeznaczone do wymiany, przedstawiały zupełnie równą wartość. Przybywa więc jeszcze jedno nieprawdopodobieństwo.

Niekorzyściom tym zapobiega wynalazek towaru trzeciego. Użycie jego wymaga oczywiście pewnej wyraźnej lub milczącej umowy między ludźmi, żyjącymi w społeczeństwie, a mianowicie zgody każdego z nich na przyjmowanie owego towaru w zamian za swe wytwory. Jeżeli się to raz umówi, sama czynność postępuje gładko. Przypuśćmy, że do tego celu wybrano srebro, otóż

w zamian za towar przezemnie wyprodukowany, a którego chcę się pozbyć, przyjmę chętnie pewną ilość srebra, wtedy nawet, gdy nie mam z niem co robić: a to dlaczego? dlatego, bo wiem, że jeżeli zechcę nabyć potrzebny mi przedmiot, wystarczy mi ofiarować jego posiadaczowi tę samą ilość srebra, a on przyjmie ją znów z tego samego powodu, dla którego ja ją przyjąłem.

Jasnem jest na podstawie tego, cośmy powiedzieli, że w ten sposób wymiana surowa rozdzieli się na dwie odrębne czynności. Zamiast wymienić swój towar A na towar B, wymieniam swój towar A na pieniądze, aby potem wymienić pieniądze na towar B. Pierwsza czynność nosi nazwę sprzedaży, druga kupna (przynajmniej w takim razie, jeżeli towar trzeci przedstawia się pod postacią pieniądza właściwego). Zdaje się napozór, że czynności te wywołują raczej zagmatwanie niż uproszczenie; ale droga najkrótsza nie zawsze jest dobrą, a to genialne zboczenie z drogi usuwa przecież niezliczoną ilość trudu i pracy. Tem, co czyniło w rzeczywistości surową zamianę tak trudną, była okoliczność, że — jak powiedzieliśmy — producent jakikolwiek, *primus*, musiał, chcąc zamiany dokonać, spotkać inną osobę — *secundusa*, którąby się godziła równocześnie: 1) nabyć rzecz, której *primus* chciał się pozbyć; 2) odstąpić mu właśnie tę rzecz, którą chciał dostać. Odtąd producent *(primus)* będzie się musiał zająć wyszukaniem nabywcy na towar, lecz nie będzie już potrzebował od nabywcy żądać towaru, który sam chce nabyć. W tym celu zwróci się on do innej osoby, w innym czasie i w innem miejscu. Obie powyższe czynności były bardzo trudnemi dla ich niepodzielności; jeżeli zerwiemy raz łączący je węzeł, każda z nich osobno wzięta staje się dość prostą. Nie będzie już tak trudno znaleźć nabywcę towaru, t. j. kupca. Niemniej nie będzie zbyt trudno znaleźć kogoś drugiego, gotowego odstąpić towar, którego się potrzebuje, t. j. sprzedawcę.

Nie należy jednak zapominać, że choć dwie te czyn-

ności są odtąd oddzielone od siebie, to mimo to tworzą całość tak, że nie możnaby pojąć jednej bez drugiej. Zanadto jesteśmy skłonni w życiu codziennem do wyobrażania sobie, że sprzedaż lub kupno są czynnościami, nie mającemi związku między sobą i sobie z osobna wystarczającemi. Jest to złudzenie. Każde kupno łączy się z pojęciem poprzedniej sprzedaży, bo zanim można wymieniać pieniądze na towary, trzeba przedtem zmieniać towary na pieniądze. Odwrotnie znów, każda sprzedaż każe przypuszczać kupno w przyszłości, bo jeżeli się wymienia towar na pieniądze, to tylko na to, by wymieniać później te pieniądze na inne towary; bo cóżby z niemi zrobiono w przeciwnym wypadku? W każdym razie, ponieważ pieniądze można przechowywać w nieskończoność bez użycia ich, jest możliwem, że upłynie bardzo długa przerwa, kilku lat, lub może nawet kilku pokoleń, między dwiema temi czynnościami, pozostającemi w tak ścisłym związku, t. j. między sprzedażą i odpowiadającem jej kupnem. Lecz w myśli można zbliżyć te czynności i rzeczywiście pomimo współudziału trzeciego towaru, wszyscy, tak w społeczeństwach cywilizowanych, jak i pierwotnych, stosujemy jeszcze ciągle zamianę surową, t. zn. zmieniamy przedmioty i usługi, przynajmniej w myśli, nie na pieniądze, lecz na inne dobra i usługi.

IV.

Środki ułatwiające wymianę.

Wymiana byłaby bardzo utrudnioną, niemal niemożliwą, gdyby nie odkryto pewnych środków, służących do jej uproszczenia i ułatwienia.

Środki te można ugrupować w następujący sposób:

1) Stworzenie koła pośredników, oznaczonych mianem

kupców lub handlarzy i innych różnych sposobów połączenia wytwórców z konsumentami.

2) Stworzenie i udoskonalenie środków przewozowych, przeznaczonych do łatwiejszego przewożenia towarów z miejsca na miejsce.

3) Wynalazek środka wymiany, oznaczonego mianem pieniądza, którego celem jest rozłożyć zamianę na kupno i sprzedaż.

Przejdziemy środki te, jeden po drugim.

V.

Rola kupców w produkcyi.

Handel nie rozpoczął się, jakby sądzić można, między sąsiadami, aby później powoli rozszerzać się coraz dalej. Między członkami jednego plemienia zbyt wiele było jednolitości zwyczajów i potrzeb, za mało rozwinięty podział pracy, aby mógł powstać ruch prawidłowej wymiany. Między oddalonymi od siebie ludami, i różnemi okolicami powstała wymiana po raz pierwszy: była najpierw międzynarodową, zanim stała się wewnętrzną.

Z tego też wynikło, że pierwsi kupcy musieli być podróżnikami, awanturnikami; czego dowodzą jasno przygody Marka Polo, lub równie znamienne, choć fantastyczne, Sindbada marynarza w »Tysiącu i jednej nocy«.

Wynikło stąd również, że skoro handel odbywa się między cudzoziemcami czyli między nieprzyjaciółmi (bo u starożytnych pojęcia te się mięszały) rozpoczynał swe pierwsze występy podstępem, oszustwem a nieraz i gwałtem, tak że podówczas Merkury mógł być — bez wywołania zdziwienia i zaniepokojenia opinii publicznej — bogiem zarazem kupców i złodziei.

Wynikło stąd wreszcie, że z początku kupcy byli

osobistościami wybitnemi, którym zazdroszczono i których się obawiano, stojącemi znacznie wyżej od rękodzielników i rolników, tworzącemi prawdziwą arystokracyę. W najnowszych dopiero czasach zjawia się drobny handel cząstkowy [1]).

Można zaznaczyć w historyi kupców dwie epoki:

1) Pierwszą jest faza kupca wędrownego. Wszystkie kraje, w których handel mało się jeszcze rozwinął, są właśnie w tym okresie: handel przybiera tam postać karawan. Po wsiach naszych odkrywamy to samo pod postacią domokrążcy, a nawet pod postacią wykrzykiwaczy, których wywołania rozbrzmiewają po ulicach Paryża.

System ten kupca podróżującego z swym towarem jest bardzo niedoskonałym, bo może znaleźć zastosowanie tylko w handlu towarami zbytkowymi i takimi, które można łatwo przewozić, a najmniej można go stosować do towarów ciężkich, bo obciąża każdy przedmiot olbrzymimi wydatkami ogólnymi. Zyski kupców, idących z karawanami do Afryki środkowej, muszą wynosić najmniej 400 na 100, by się wyprawa opłaciła.

2) Również, gdzie tylko handel cokolwiek się rozwinie, wkrótce handlarz wędrowny ustępuje miejsca kupcowi osiadłemu stale — właścicielowi sklepu. Przedtem szukał kupiec nabywcy, odtąd szuka nabywca kupca, lecz odtąd też musi kupiec zwracać uwagę przechodnia czy to zapomocą znaków mówiących, których ślady odnajdujemy dzisiaj w talerzykach, wiszących u drzwi fryzyerów, w drewnianej fajce sterczącej u wstępu do handlu tytoniem lub w blaszanym kapeluszu, zdobiącym wejście do kapelusznika — czy też zapomocą wystawy samych towarów, wspaniale rozłożonych w oknie sklepo-

---

[1]) Por. odnośnie do całej tej historyi kupców artykuły Schmollera: *Podział pracy z punktu widzenia historycznego w Revue d'économie polit.* Marzec, kwiecień 1890.

wem — lub wreszcie musi się starać o ściągnięcie nabywcy zdaleka zapomocą ajentów podróżujących, lub jak dziś się mówi grzeczniej — »zastępców firmy«, którzy przypominają dawnych kupców wędrownych z tą tylko różnicą, że wożą z sobą wyłącznie tylko próbki.

Korzyści, wynikające dla społeczeństwa z istnienia kupców, są następujące:

1) Służą oni za pośredników między wytwórcą a konsumentem, oszczędzając jednemu i drugiemu czasu na szukanie się wzajemne.

2) Nabywają towary w wielkiej ilości u producenta, a sprzedając je cząstkowo, usuwają tym sposobem trudności któreby oczywiście musiały wyniknąć z różnicy, zachodzącej między ilością towaru ofiarowaną przez wytwórcę, a ilością żądaną przez konsumenta.

3) Przechowują towary na składzie, usuwając tym sposobem trudności, które musiałyby powstać z niezgodności pod innym względem, mianowicie czasu, w którym wytwórca chce się pozbyć swego towaru z chwilą, w której konsument skłania się do nabycia.

4) Przysposabiają towary do konsumcyi, n. p. czyszcząc kawę, krając tkaniny i t. d.

Są to bezwątpienia cenne usługi, lecz, jak to zobaczymy, opłaca się je za drogo.

Skutkiem różnych okoliczności—między któremi w pierwszym rzędzie zajmuje miejsce sama istota handlu, nie wymagającego wielkich trudów i ta siła przyciągająca, którą handel wywiera na wiele osób, zwłaszcza we Francyi — wynikło, że liczba tych pośredników, a przedewszystkiem kupców cząstkowych, sklepikarzy i kramarzy przechodzi już znacznie rzeczywiste potrzeby. To zwiększenie się liczby pośredników, zmniejszając obrót handlowy każdego z nich, musiało pociągnąć za sobą niezmierne obciążenie każdego przedmiotu ogólnymi kosztami i wywołać zwyżkę cen, w całem tego słowa znaczeniu sztuczną. Na darmo postępy mechaniki i rozwój międzynarodowego handlu obniżają coraz bardziej ceny produkcyi całego szeregu wytworów, konsument nie płaci skutkiem tego taniej; ceny handlu cząstkowego pozostają mniej więcej w tej samej wysokości, jeżeli się nie podnoszą, a ogół nie bierze udziału w korzyściach przemysłowego postępu. Pośrednicy stają się prawdziwymi pasożytami.

Jeżeli do tej wielkiej już niekorzyści dodamy fałszowanie środków żywności, — które staje się prawdziwie groźnem dla zdrowia ogólnego, a jest również wynikiem zapamiętałej konkurencyi naszych kupców — musimy się zapytać, czy usług, które oddają ci pośrednicy, nie opłaca się dziś zbyt drogo i czy nie możnaby znaleźć jakiegoś innego sposobu urządzenia wymiany, mniej uciążliwego dla społeczeństwa?

Prawdziwym środkiem zaradczym byłby bezpośredni związek między wytwórcą a konsumentem, gdyż w ten sposób usunęłoby się pośredników, lub przynajmniej ograniczyło ich liczbę do *minimum*.

Największą trudnością, jaką się napotyka, chcąc stworzyć bezpośredni związek między wytwórcą a konsumentem, jest to, że producent nie może sprzedawać drobnych, a konsument nabywać wielkich ilości. Obecnie staramy się ominąć tę przeszkodę przy pomocy stowarzyszeń dwojakiego rodzaju, t. j. stowarzyszeń wytwórców, które jak np. syndykaty rolnicze, sprzedają bezpośrednio publiczności lub stowarzyszeń spożywczych, nabywających wprost u producentów.

VI.

Targi, jarmarki i giełdy.

We wszystkich czasach i w każdym kraju, nawet w okresach pierwotnych, ludzie zbierali się zwyczajnie w pewnych określonych dniach i miejscach, dla wymiany

swych wytworów. Zebrania te, jeżeli były mniejsze, obejmujące zwykle samo tylko miasto i powtarzały się często, zwyczajnie co tygodnia, nazywano targami; większe i rzadsze zwały się jarmarkami. Jarmarki posiadały niegdyś wielkie znaczenia gospodarcze, a i dziś jeszcze na jarmarku w Niżnym Nowogrodzie wynosi obrót 400 milionów, a bierze w nim udział 200 – 300.000 ludzi, przybyłych z bardzo dalekich nawet okolic Europy i Azyi.

Mimo to jarmarki dziś zanikają, bo nie odpowiadają już potrzebom nowożytnego obrotu. W ich miejsce weszła giełda, t. j. stała instytucya dla uskuteczniania wymian. Odróżniamy giełdy towarowe, dla wymiany towarów i pieniężne czyli papierowe, na których odbywa się wymiana papierów wartościowych i kapitałów pieniężnych. Obroty na giełdach dochodzą do kwot ogromnych, a cenę towarów i papierów, uzyskaną na giełdzie, która zwykle decyduje o ich wartości także przy wszystkich innych transakcyach, ogłasza się w urzędowym cenniku giełdowym. Operacye giełdowe przeprowadza się w zasadzie jedynie przy pomocy ustanowionych w tym celu pośredników, zwanych senzalami, a wogóle cały tok postępowania i organizacyę giełdy normują specyalne postanowienia prawne.

Na giełdzie najczęściej przychodzi do wymiany terminowej, przy której sprzedający zobowiązuje się dostarczyć towarów lub papierów w pewnym określonym czasie, a kupujący wtedy je nabyć, lecz cenę kupna oznacza się już dzisiaj. Umowy tego rodzaju są bardzo często fikcyjne, gdyż bardzo być może, że sprzedający nie ma wcale towaru, który pozbywa, a kupujący nie ma zamiaru go nabyć. Rozchodzi się wtedy tylko o różnicę kursu; jeżeli od dnia zawarcia umowy towar ten, n. p. zboże lub akcya, podrożał, sprzedający musiałby go najpierw kupić po wyższej cenie, a potem odstąpić po niższej; jeżeli towar jest obecnie tańszy, kupujący musi zapłacić cenę dawniejszą, a więc znaczniejszą, chociaż mógłby dziś już

kupić taniej, lub o ile nie potrzebuje go, chociaż taniej go zaraz odsprzeda. Otóż zamiast tego wszystkiego płaci się drugiej stronie różnicę kursu, jeżeli cena spadła, płaci odbiorca, bo on traci gdyż, jak się mówi, grał na zwyżkę, jeżeli podniosła się, płaci dostawca, bo grał na zniżkę wartości.

Wskutek tego giełdy stały się pewnym rodzajem sal gry na ogromną skalę. Mimo to byłoby szkodliwem, gdyby zakazano operacyi giełdowych, gdyż najpierw wymiana terminowa jest niejednokrotnie realną, t. j. rzeczywiście chodzi o dostawę zamówionych towarów lub papierów, a powtóre nawet wymiana fikcyjna może przyczynić się do powstrzymania przesileń gospodarczych. Spekulant, który sprzedaje przewidując zniżkę, np. gdy spodziewa się wielkiego urodzaju, lub kupuje w nadziei zwyżki, wskutek prawdopodobieństwa złych zbiorów, amortyzuje niejako już z góry wstrząśnienie, które wywoła w przyszłości wzrost lub spadek cen i w ten sposób, eskontując już naprzód skutki takiej zmiany, zmniejsza bardzo znacznie ich gospodarczą doniosłość.

VII.

Środki przewozowe.

Wymiana może istnieć i można ją sobie łatwo wyobrazić bez zmiany miejsca wymienianych przedmiotów, n. p. jeżeli się ją stosuje do nieruchomości, lub jeżeli chodzi o prostą spekulacyę towarami. Mimo to przenoszenie z miejsca na miejsce można uważać za część istotną tej szczególnej formy wymiany, której praktyka i język prawniczy nadają imię handlu. Otóż sama czynność przenoszenia, czyli przewóz (transport), wymaga wiele pracy, a stąd i kosztów. Każdy wynalazek, zmierzający do ułatwienia środków przewozowych, ułatwi tem samem wy-

mianę, a z tego wynika, że historya handlu zlewa się pod pewnym względem z historyą rozwoju komunikacyi lądowych i morskich.

Trudności przewozu są różnego rodzaju.

Mogą mianowicie dotyczyć:

1. Oddalenia. Geniusz ludzki nie ma żadnego środka na oddalenie, nie może żadnym sposobem zmniejszyć lub znieść przestrzeni, dzielącej dwa punkty kuli ziemskiej. Przeszkoda oddalenia jednak praktycznie przedstawia się pod postacią straty czasu, otóż pomysłowość ludzka w sposób szczególnie skuteczny starała się o skrócenie czasu, potrzebnego do przebycia danej przestrzeni. Jeżeli czas, potrzebny do przebycia jakiejś przestrzeni, jest dziś 20 razy mniejszy, niż w w. XIII. to można zupełnie słusznie twierdzić, że skutek tym sposobem osiągnięty jest zupełnie ten sam, jak gdyby przestrzeń ta była dziś 400 razy mniejszą niż w wieku XIII. (bo powierzchnia zmienia się w stosunku prostym do kwadratu promienia). Otóż wiemy, że dzięki kolejom, twierdzenie to stało się rzeczywistem, można więc powiedzieć, że postępy, dokonane w szybkości komunikacyi, osiągają nieskończone zmniejszenie powierzchni kuli ziemskiej.

2. Właściwości towaru. Wołu nie można przewozić równie łatwo, jak jarzyny, jarzyn tak, jak węgli kamiennych, a tych znów tak, jak złota. Ciężar, kruchość, trudność przechowania są przeszkodami także. Ta sama szybkość przewozu, o której dopiero co mówiliśmy, może i tu wprowadzić ułatwienie w znacznej mierze. Bydło lub mięso nie mogło przybyć w dobrym stanie z Ameryki lub Australii w epoce statków żaglowych, podczas kiedy dziś jest to możliwem, dzięki krótkiemu trwaniu przewozu. Ryb, nowalii, dziczyzny, nie można było dawniej przesyłać z prowincyi do Paryża, dziś przychodzą codziennie, bo przewóz ich dokonywa się w 24 godzinach. Oprócz szybkości przewozu, różnorodne wynalazki pomogły do usunięcia tej przeszkody, n. p. za-

stosowanie mrożenia przy przewozie mięsa, dzięki czemu przychodzi mięso świeże z Australii; lub procesów chemicznych do konserwowania środków żywności (mięso wędzone, metoda Apperta). Pomimo tego wszystkiego trudność przewozu pewnych przedmiotów, a zwłaszcza mięsa, dziś jeszcze wywołuje pewne ważne a niemiłe następstwa ekonomiczne.

3. Stanu dróg przewozowych. Jest to przeszkoda najpoważniejsza, lecz jedna z tych, nad któremi pomysłowość ludzka odniosła świetne zwycięstwo.

Na morzu droga jest gotowa lub wcale jej nie potrzeba; czynnik płynny niesie każdy ciężar bez wyjątku, a powierzchnia jego pozioma z matematyczną dokładnością pozwala statkom poruszać się dowolnie w każdym kierunku. Najsłabsza siła ruchu, zupełnie bezpłatna, jeżeli się używa wiatru, wystarcza, by ogromne masy poruszyć. Niema się więc czemu dziwić, że morze po wszystkie czasy było wielką handlową drogą i że okolice, oddzielone od siebie tysiącami mil morza, w rzeczywistości są sobie bliższe, niż inne, przedzielone tylko stu milami lądu stałego. Nawet obecnie, mimo postępu środków przewozowych lądowych, przewóz morzem jest znacznie mniej uciążliwy, co znaczy, że wymaga bez porównania mniejszej pracy. Koszt przewozu jednej tonny kilometrycznej (10.000 klgr. przez jeden kilometr) nie przenosi nigdy 2 centimów, a zniża się bardzo często do $^1/_2$ centima i jeszcze mniej, podczas gdy, jak zobaczymy, cena przywozu koleją żelazną wynosi 4—5 centimów.

Na lądzie trudność jest już znaczniejszą. Powierzchnia chropowata naszego planety nie pozwala zupełnie na przewóz towarów bez użycia sztucznych dróg. Przewóz karawanowy, t. j. zapomocą rąk ludzkich, jak w Afryce, lub na zwierzętach pociągowych, jak w środkowej Azyi, może bez wątpienia obejść się bez nich, lecz nie przewóz kołowy. Stworzenie drogi jest jednak zadaniem bardzo kosztownem i to tem kosztowniejszem, im droga jest do-

skonalszą, t. j. im oporniejszą jest powierzchnia, a im więcej linia drogi zbliża się do poziomu. Kolej żelazna jest szlakiem doskonałym, lecz też i najdroższym. Koszt budowy jednego kilometra dochodzi we Francyi do 400.000 fr., a najmniej do 100.000 fr., w razie dokonania jej z najmniejszym możliwym wydatkiem. Wkłada się więc olbrzymi kapitał, który oczywiście obciąży przewóz towarów całą sumą, konieczną dla pokrycia odsetek i umorzenia kapitałów. Mimo to, jeżeli ruch przewozowy jest dostateczny, t. j. jeżeli towary przewożone są drogą żelazną w ilości znacznej, robi się wielkie oszczędności w przewozie, nie licząc już nawet jego regularności, wygody i szybkości. Cena przewozu tonny kilometrycznej waha się między 4 a 5 centimami, podczas gdy przy kołowym przewozie wyniosłaby 30 centimów. Tak więc oszczędza się najmniej $^4/_5$ kosztów. Niema się jednak temu co dziwić, jeżeli się zważy, że do wykonania pracy lokomotywy, przyprzężonej do pociągu towarowego, trzebaby najmniej na zwykłej drodze 600 koni, a i tak zrobionoby 10 razy mniejszą drogę.

ROZDZIAŁ II.

PIENIĄDZ KRUSZCOWY.

I.

Historya pieniądza.

Niektóre przedmioty stały się powszechnie używanym środkiem wymiany. Ten charakter nie zawdzięczają one jakiejś wyraźnej umowie, lecz swym właściwościom przyrodniczym, które uzdolniły je do tego celu. W istocie

trudność wymiany surowej zmusiła ludzi już wcześnie, do użycia w każdej wymianie trzeciego towaru, który spełniałby zadanie miernika wartości. Wybrano w tym celu przedmiot najlepiej znany i najogólniej używany, np. obrobiony kamień u ludów pierwotnych. W epoce patryarchalnej rolę tę spełniało z natury rzeczy bydło, wół lub baran, to też przeważna liczba języków indoeuropejskich przechowała pamięć tych stosunków w samej nazwie pieniądza (pecunia). W różnych krajach i czasach używano także innych towarów jako środka wymiany, stosownie do istniejących tam stosunków, a więc ryżu w Japonii, cegiełek herbaty w Azyi środkowej, skórek na futra nad zatoką Hudsońską, wyrobów bawełnianych i bałwanów soli w Afryce środkowej. Jednakże we wszystkich społeczeństwach cokolwiek wyżej cywilizowanych jeden rodzaj dóbr zwrócił już bardzo szybko na siebie uwagę i wyparł, jako środek wymiany, wszystkie inne towary, a były nim t. zw. szlachetne kruszce, t. j. miedź, srebro i złoto.

Wskutek swych właściwości chemicznych, szlachetne kruszce znajdują się w przyrodzie w stanie stosunkowo czystym, złoto w wyższym stopniu niż srebro, to znowu w wyższym stopniu od miedzi. Ludzkość przeto mogła je poznać i wydobywać już w czasie, zanim wzrost wiadomości metalurgicznych pozwolił na przerabianie rudy na kruszec przy innych metalach n. p. żelazie. Godną uwagi jest rzeczą, że stara legenda o czterech wiekach, złotym, srebrnym, miedzianym i żelaznym szereguje te kruszce w tym samym porządku, w jakim je człowiek poznawał. Fizyczne właściwości szlachetnych kruszców — ich barwa, blask i ciągłość — jakoteż ich rzadkość sprawiły, że poszukiwano ich już bardzo wcześnie dla ozdoby i w celach przemysłowych. Wszystko to usprawiedliwia już dostatecznie to doniosłe znaczenie, które nadawano szlachetnym kruszcom we wszystkich czasach i u wszystkich ludów.

Przymioty te jednak wywołują prócz tego doniosłe skutki gospodarcze i zapewniają szlachetnym kruszcom wybitną wyższość nad wszystkimi innymi towarami, o ile chodzi o ich użycie jako środka wymiany.

Polega to na następujących właściwościach:

1. Łatwość przewozu. Żaden inny towar nie ma tak wielkiej wartości przy tak małym ciężarze. Ciężar który człowiek może przenieść na plecach dochodzi do 30 klg. Otóż 30 klg. węgla przedstawia wartość zaledwie 1 franka, zboża 7 fr., wełny 30—40 fr., miedzi 60 fr., kości słoniowej 400 — 500 fr., surowego jedwabiu 1.500 fr., srebra 3.000 fr., czystego złota 100.000 fr.

2. Tożsamość gatunku (jakości). Ponieważ szlachetne kruszce, jak stwierdza chemia, są pierwiastkami, więc w każdej swej cząstce są równe co do swego składu. Doświadczony kupiec potrafi rozróżnić zboże odeskie od kalifornijskiego, garść wełny australskiego barana od wełny hiszpańskiego „merynosa," lecz najzdolniejszy złotnik lub chemik, uzbrojony w najsilniejsze środki rozkładające, nie znajdzie różnicy między australskiem złotem a uralskiem. Nie potrzeba tu żadnych próbek.

3. Trudność fałszowania. Szlachetne kruszce można rozpoznać równocześnie wzrokiem, słuchem i dotknięciem, po barwie, ciężarze i dźwięku; to też łatwo je odróżnić od innych ciał.

4. Zupełna podzielność. Należy to rozumieć nietylko ze stanowiska czysto mechanicznego (złoto i srebro dają się ciągnąć na drut i rozpłaszczać w blachy), lecz także z punktu widzenia ekonomicznego; dzieląc sztabę kruszcu na sto części, nie zmieniamy wcale jej wartości: każdy kawałek przedstawia wartość stosunkową do swego ciężaru, a wszystkie cząstki w połączeniu dają wartość zupełnie równą pierwotnej sztabie.

5. Wysoki stopień trwałości. Skutkiem właściwości chemicznych, czyniących je nieczułemi na wszelkie działanie chemiczne, a zwłaszcza na wpływ powietrza,

daje się złoto i srebro przechowywać w nieskończoność bez zmiany. Nie ma drugiego ciała, o któremby można powiedzieć to samo, a dla dobra, które ma przedstawiać i zachować wartość, jest to przymiot nieporównany.

Inną jest rzeczą używać szlachetnych kruszców jako środka wymiany, inną zaś używać ich jako właściwego pieniądza. Przejście od jednego stadyum do drugiego nastąpiło drogą trzech odrębnych stopni rozwoju:

1. Najpierw zaczęto używać szlachetnych kruszców w postaci surowych sztab. Trzeba było przy każdej wymianie najprzód sztabę odważyć, następnie poddać próbie. Prawne czynności starego prawa rzymskiego n. p. *mancipatio* ze swym *libripens*, zachowały nam ślady tych czasów, kiedy to ważono środek wymiany: srebro lub bronz. Dziś jeszcze w Chinach, gdzie nie używa się pieniądza bitego, widzi się kupców, noszących u pasa wagę i kamień probierczy.

2. Chcąc uniknąć ciągłego powtarzania tej podwójnej czynności przy każdej wymianie, wpadli ludzie na pomysł używania sztab obciosanych, których ciężar i jakość zostały z góry oznaczone i stosownie do potrzeby potwierdzone jakąś pieczęcią, jakimś stemplem urzędowym. Prawodawca, który pierwszy powziął tę myśl znakomitą, może śmiało żądać przyznania sobie zasługi rzeczywistego odkrycia pieniądza, bo odtąd zaprzestano już ważyć sztaby kruszcu, lecz je liczono, a to jest cechą pieniądza. W Chinach sztaby noszą czasem na sobie znak pewnych domów handlowych, których zadaniem jest stwierdzić wagę i jakość kruszcu.

3. Pozostawał jeszcze krok jeden: nietylko forma sztaby sześcienna lub nieregularna jest niewygodną, lecz mimo cechy stemplowej, nie ma nic łatwiejszego, jak ją oberznąć bez zostawienia śladu tego fałszerstwa. Należało ją więc z przezorności zważyć dla przekonania się, że jej nie uszczuplono. Chcąc uniknąć tych praktycznych trudności, wprowadzono, co było koniecznem, tę postać pie-

niądza bitego, która jest wspólną wszystkim cywilizowanym ludom: mianowicie postać małych krążków, ozdobionych wypukłymi wyciskami na całej powierzchni po stronie górnej, dolnej i naokoło; a to w tym celu, by nie można naruszyć sztuki bez równoczesnego naruszenia rysunku, pokrywającego ją ze wszystkich stron.

Z tą chwilą dochodzi się do typu pieniądza właściwego, który od wieków nie uległ żadnej wybitnej zmianie i do którego można zastosować określenie, podane przez Stanley'a Jevons'a: jest to krążek, którego ciężar i jakość poręcza państwo, a całość stwierdzają znaki, które go pokrywają.

II.

Czy pieniądz wyróżnia się czemś wśród wszystkich innych dóbr?

Jeżeli chodzi o ogólną opinię ludzi, to odpowiedź na to pytanie nie będzie wątpliwą. Wszędzie i po wszystkie czasy, przynajmniej w społeczeństwach cywilizowanych, przyznawano pieniądzom, ku którym zwracają się starania i pragnienia ludzkie, wyjątkowe stanowisko. Uważano je, jeżeli nie za jedyne, to przynajmniej za najwyższe dobro i prawdę powiedziawszy, wszystkie inne dobra oceniamy tylko według ilości pieniędzy, jaką przedstawiają, lub jaką można za nie otrzymać. Być bogatym, znaczy posiadać albo pieniądze, albo środki do ich pozyskania.

Ciekawem byłoby śledzić w historyi rozwój tej idei, która pojęcie bogactwa łączyła z posiadaniem pewnej ilości złota. W wiekach średnich objawia się ona w próbach alchemistów, pragnących inne kruszce zamienić w złoto i ziścić to, co się »wielkiem dziełem« nazywać miało; a chodziło przy tem nie o odkrycie chemiczne, lecz przedewszystkiem o ekonomiczny przewrót. Za przybyciem pierwszego okrętu z Ameryki, entuzyazm ogarnia ludzi starego świata; wydaje się im, że w tem istnem Eldorado znajdą wybawienie od wszelkiej nędzy. W czasach późniejszych ideę, o której mówimy, urzeczywistniają rządy, siląc się na zaprowadzenie słynnego systemu merkantylnego, który miał nagromadzić złoto w krajach, które go nie posiadały, a powstrzymać jego odpływ z tych, które były w nie zaopatrzone. I dziś jeszcze to dążenie przebija się w tej uwadze, z jaką mężowie stanu i finansiści śledzą przypływ i odpływ pieniędzy z kraju, spowodowany różnicą między wywozem a przywozem towarów do kraju.

Jeżeli jednak zwrócimy się do ekonomistów, to odpowiedź będzie zupełnie odmienna. Można powiedzieć, że właśnie tem potępieniem powszechnej opinii, którą nazywa przesądem, daje ekonomia polityczna po raz pierwszy znak swego istnienia. Zaraz w pierwszych chwilach swego powstania, wypowiada ekonomia przez usta Boisguillebert'a, (1697) że: »pieniądz sam przez się nie jest jeszcze wcale dobrem i że zamożność kraju bynajmniej nie zależy od jego ilości«. Odtąd niema już ekonomisty, któryby nie traktował pieniądza z prawdziwą pogardą i nie zapewniał, że jest to tylko towar, podobny do wszystkich innych, a nawet o wiele od nich wszystkich niższy, albowiem sam przez się nie może zaspokoić bezpośrednio żadnej naszej potrzeby, ani też sprawić jakiejkolwiek rozrywki — stąd też pieniądz jest jedynem dobrem, o którem możnaby powiedzieć, że jego obfitość lub rzadkość są objawami zupełnie obojętnymi. Jeżeli w kraju jest mało pieniędzy, wtedy każda sztuka monety będzie posiadała większą siłę kupna; jeżeli jest ich dużo, to siła kupna każdej się zmniejszy. A to przecież dla nas jest zupełnie obojętnem!

Te dwie opinie, choć napozór sprzeczne, można bardzo dobrze ze sobą pogodzić. Publiczność bowiem ma ra-

cyę ze stanowiska indywidualnego, które ją jedynie obchodzi, ekonomiści znowu mają słuszność ze społecznego punktu widzenia. Łatwo to wytłumaczyć.

Każdą sztukę monety musimy uważać jako przekaz na wszystkie istniejące dobra, nadający okazicielowi prawo do nabycia dowolnej cząstki tych dóbr, aż do wysokości wartości, oznaczonej na monecie.

Rzecz jasna, że w interesie każdego z nas leży posiadać możliwie największą liczbę tych »przekazów« i że będziemy tem bogatsi, im więcej ich będziemy posiadali.

Rozumiemy to doskonale, że te przekazy same przez się nie mogą ani nas nasycić, ani ugasić naszego pragnienia; nie jesteśmy tak naiwni i jeszcze zanim ekonomiści odkryli tę prawdę, głosiła ją starożytna legenda, opisując króla Midasa, umierającego z głodu wśród bogactw, które niebacznie na złoto przemienił. Niemniej jednak sądzimy i to zupełnie słusznie, że jest o wiele wygodniej posiadać te przekazy, niż jakiekolwiek inne dobra. Jeżeli spojrzymy na organizacyę naszych społeczeństw, zobaczymy, że ktokolwiek pragnie pozyskać dla siebie jakiś przedmiot, którego sam nie wytwarza (a takich właśnie jest ogromna większość), musi go nabyć za pośrednictwem podwójnego działania, które polega: 1) na zamianie swoich wytworów lub swojej pracy na pieniądze, co się nazywa sprzedażą; 2) na wymianie tych pieniędzy na przedmioty, których się pragnie, co znów zowie się kupnem. Otóż druga z tych czynności, t. j. kupno, jest nader łatwą, mając bowiem pieniądze, zawsze można kupić, co się komu podoba. Przeciwnie pierwsza, t. j. sprzedaż, jest o wiele trudniejszą, gdyż choć się posiada jakiś przedmiot, choćby wielkiej wartości, to jeszcze nie zawsze dostanie się zań pieniądze. Posiadacz zatem pieniędzy znajduje się w położeniu znacznie korzystniejszem od posiadacza jakiegoś innego przedmiotu; pierwszego czeka jedno tylko zadanie bardzo łatwe, tymczasem drugi ma do wykonania dwa,

z których jedno jest często bardzo trudne. To też bardzo dobrze powiedziano, że każde dobro, umożliwia zaspokojenie tylko jednej, ściśle oznaczonej potrzeby, podczas gdy pieniądz pozwala zaspokoić dowolnie jakąkolwiek potrzebę. Posiadacz towaru, choćby bardzo użytecznego, może nie wiedzieć co z nim zrobić, lecz kto posiada pieniądze, bynajmniej się o to nie kłopocze, gdyż zawsze znajdzie chętnego nabywcę. A jeśliby przypadkiem nie mógł ich użyć, to przynajmniej może je zachować na lepsze czasy, co nie zawsze da się zrobić z jakimkolwiek innym towarem [1]).

Jeżeli jednak nie będziemy uwzględniali stanowiska ednostki, lecz weźmiemy pod uwagę ogół ludzi, tworzących społeczeństwo, wtedy zmieni się nasz punkt widzenia i okaże się prawdziwem zdanie ekonomistów, utrzymujących, że jest rzeczą obojętną, czy jest więcej, czy też mniej pieniędzy. W rzeczywistości na niewiele mi się przyda to, że ilość pieniędzy, którą posiadam, powiększy się dziesięciokrotnie, jeżeli tej samej zmianie ulegną pieniądze u wszystkich członków spo-

[1]) Pieniądz oprócz tego, że jest jedynym bezpośrednim środkiem nabywania, posiada jeszcze jedną bardzo ważną własność, mianowicie, jest jedynym środkiem zwalniania od zobowiązań. Niema żadnego innego dobra, któreby posiadało tę właściwość, albowiem tak prawo jak i zwyczaj nie uznaje innego sposobu zwalniania od zobowiązań, prócz zapłaty pieniądzmi. Niema osoby w świecie handlowym lub przemysłowym, któraby nie miała większych lub mniejszych długów. I na próżno posiadanoby w jakimś sklepie lub fabryce dużo towarów, przewyższających swą wartością sumę długów, (w istocie wydarza się nieraz, że w razie upadłości, po przeprowadzeniu całego obrachunku, stan czynny okazuje się wyższym od stanu biernego) gdyby w chwili płatności nie miano pod ręką tego uprzywilejowanego dobra, które nazywamy pieniądzem. W podobnym wypadku musiałby być ogłoszonym stan upadłości. Czyż wobec tego może jeszcze zadziwiać, dlaczego tak wielką przypisujemy wagę temu towarowi, od którego w pewnej chwili może zależeć nasz kredyt i nasz honor?

leczeństwa. — W tym wypadku wcalebym się nie stał bogatszym, ponieważ bogactwo jest rzeczą czysto względną i nie byłbym w stanie obficiej jak dotychczas zaspokajać swych potrzeb — skoro bowiem ogólna suma tych dóbr, na które pieniądz jest przekazem, bynajmniej się nie powiększyła, przeto każda sztuka pieniądza mogłaby na przyszłość rościć sobie prawo tylko do ilości dziesięć razy mniejszej. Innemi słowy, każda sztuka pieniądza miałaby siłę kupna dziesięć razy mniejszą — czyli inaczej, ceny wzrosłyby dziesięć razy, a tem samem moje położenie pozostałoby takie same, jak pierwej.

Jednakowoż, jak jednostkom tak i krajom w swych wzajemnych stosunkach, zależy na tem, aby były w pieniądze zawsze dobrze zaopatrzone. Gdyby ilość pieniędzy, obiegających we Francyi, powiększyła się dziesięć razy, to z pewnością nicby się przez to nie zmieniły stosunki jednych Francuzów do drugich (przypuszczając, że to powiększenie byłoby dla wszystkich stosunkowo równem), ale za to wielkiej zmianie uległoby położenie Francyi wobec innych narodów; ekonomiści więc nie mieli czasami słuszności w swojej walce przeciwko systemowi merkantylnemu, o ile zaprzeczali tak oczywistej rzeczy. Prawda, że wszystkie sztuki monety, z powodu swej wielkiej obfitości, straciłyby we Francyi na swej wartości, lecz gdzieindziej, na obcych targach, zachowałyby niezmienną swą siłę kupna, tak, że Francya mogłaby powiększyć miarę zaspakajania swych potrzeb, odpowiednio do wzrostu ilości pieniędzy.

Twierdzenie ekonomistów, że mniejsza czy większa obfitość pieniędzy jest rzeczą obojętną, wtedy dopiero staje się bezwzględnie prawdziwem, gdy obejmujemy myślą już nietylko jedno indywidyum, albo nawet jeden kraj — ale zbiorowo cały ród ludzki. To też z całą pewnością można twierdzić, że choćby odkryto kopalnie złota sto razy obfitsze od dziś istniejących, to jeszczeby ludzie przez to nie odnieśli żadnej korzyści;

byłoby te raczej nieprzyjemnym objawem, albowiem w takim razie złoto nie miałoby większej wartości od miedzi i zmuszeni bylibyśmy wtedy dźwigać po kieszeniach takie stosy monety, jak owe z żelaza, które Lykurg chciał narzucić Sparcie.

III.

Wpływ zmian wartości pieniądza na ceny.

Już przy omawianiu ceny podnieśliśmy, że zmiana w ilości pieniądza sprowadza proporcyonalną zmianę w wysokości cen, tak, że cena towarów stoi w odwrotnym stosunku do zasobów monetarnych. Teoryę tę zwaną teoryą ilościową, w zasadzie prawdziwą, należy jednak o tyle uzupełnić, że 1) szybkość obrotu pieniądza wpływa w taki sam sposób jak zwiększenie jego ilości, t. zn. że przy dwa razy mniejszych zasobach pieniężnych nie będzie zwyżki cen, jeżeli równocześnie okres obrotu jest dwa razy krótszy; 2) że środki zastępujące pieniądz, mianowicie kredytowe, należy doliczyć do jego ilości tak, że powiększenie ich neutralizuje równe zmniejszenie ilości pieniądza; 3) że zmiany w cenach wywołują odwrotne zmiany w ilości pieniądza. Wzrost cen towarów sprowadza tendencyę ku uszczupleniu zasobów monetarnych, gdyż najpierw wobec zmniejszonej siły kupna pieniądza, spadnie produkcya szlachetnych kruszców, jako mniej zyskowna; powtóre część monet przetopi się w celach przemysłowych, bo wartość wyrobów złotych i srebrnych wzrasta na równi z ceną innych towarów, podczas gdy obniżyła się wartość pieniądza.

Wobec tego bardzo trudną rzeczą jest stwierdzić, czy cena towarów istotnie się zmieniła, mierzymy ją bowiem miarą, która również ulega zmianie. Może się więc

zdarzyć, że np. wzrost płacy robotnika nie będzie wynikiem podniesienia się wartości pracy ludzkiej, lecz tylko zniżki wartości pieniądza, w którym wypłaca się zarobki. Wskutek tego powstaje pytanie, czy leży w naszej mocy rozpoznanie i obliczenie tych pozornych tylko zmian w cenie, spowodowanych chwiejnością wartości pieniądza?

Przypuśćmy, że w pewnej chwili wykonano dokładny spis cen wszystkich towarów, nie wyłączając żadnego i że w dziesięć lat później przeprowadzono drugi spis w taki sam sposób. Jeżeli porównawszy je ze sobą, przekonamy się, że wszystkie bez wyjątku ceny podniosły się np. o połowę, natenczas na podstawie dostrzeżonych zmian będziemy mogli stwierdzić, że wartość pieniądza zmniejszyła się w rzeczywistości o 33%. Albowiem odtąd każda rzecz, która dawniej kosztowała 2 franki, kosztuje 3 fr., czyli tem samem 3 franki nie są warte teraz więcej niż dawne dwa, a wskutek tego pieniądz stracił $^1/_3$ część swej wartości.

Ale zapytać ktoś może, co za przyczyna upoważnia nas do podobnego wniosku?

Oto następująca. — Zjawisko takie, jak powszechna i jednakowa zwyżka cen, dopuszcza dwóch tylko możliwości: albo potrzeba przyjąć, że wszystkie towary uległy zwyżce powszechnej i zupełnie równej — albo też przypuścić, że wartość jednej tylko rzeczy, t. j. pieniądza, uległa zniżce, a nie ma żadnej zmiany we wszystkich innych towarach. — Którąż tedy wybrać z tych dwóch hypotez? Zdrowy rozum nie pozwala ani chwili się wahać. O ile druga z nich jest prosta i łatwa, o tyle pierwsza nieprawdopodobna, bo przypuszcza nader dziwny zbieg okoliczności. Cóż bowiem za przyczynę można sobie wyobrazić, któraby równocześnie i z równym skutkiem wpływała na wartość przedmiotów najróżnorodniejszych, tak pod względem swej użyteczności, jak ilości i sposobu produkcyi, któraby sprawiła, żeby na raz i w równym stosunku wzrosła cena jedwabiu i węgla, zboża i dyamentów, koronek i win, ziemi i pracy ręcznej — słowem przedmiotów, nie mających ze sobą żadnej wspólności, zupełnie od siebie niezależnych? — Oświadczyć się za tą drugą możliwością byłoby tak samo nierozumnem, jak w celu wyjaśnienia ruchu gwiazd, kierować się raczej systemem Ptolomeusza niż Kopernika. Wspomniany ruch można również wytłumaczyć dwojako, albo posuwaniem się całego sklepienia niebieskiego z wschodu na zachód, albo też po prostu obracaniem się ziemi w kierunku odwrotnym. Otóż nawet w braku wszelkich bezpośrednich dowodów, nie możnaby się wahać ani chwili między temi dwoma hypotezami. Boć jakże sobie wyobrazić, aby te ciała niebieskie tak różne co do swej natury i tak cudownie obok siebie rozłożone — słońce, księżyc, planety, gwiazdy stałe i mgławice — mogły tak razem naprzód kroczyć, zachowując przytem i swój porządek i odległości wzajemne, słowem zupełnie tak samo, jakby żołnierze na manewrach? Toż samo rozumowanie odnosi się do jednolitego a zwyżkowego ruchu, jakiemu ulegają ceny — to też dla naszego umysłu jest on rodzajem optycznego złudzenia, albowiem ten ruch jest tylko pozorny, spowodowany prawdziwym, lecz odwrotnym ruchem pieniądza.

Prawda, że zjawiska nie przedstawiają się w sposób tak prosty, jakeśmy to przyjęli. Nigdy nie można wykazać powszechnej i równej zupełnie zwyżki cen; przeciwnie, ponieważ na wartość każdej rzeczy wpływają odrębne przyczyny, przeto nieraz się widzi, że niektóre ceny poszły w górę i to w bardzo różnorodnym stosunku, podczas gdy inne pozostały niezmienne, a inne nawet spadły. Mimoto, ilekroć można stwierdzić, zapomocą dobrze przeprowadzonego rachunku, przeciętną ogólną zwyżkę cen, naprzykład o 10%, to niepodobna wytłumaczyć jej inaczej, jak tylko w sposób dopiero co podany, t. j. przez odpowiednią zniżkę wartości pieniądza. Właśnie z tego powodu ekonomiści pracują nad ułożeniem tablic, znanych pod nazwą index numbers. Wybiera się najważniejsze

towary i jako punkt wyjścia przyjmuje się ich ceny w pewnym oznaczonym czasie, które się do siebie dodaje. Tak samo postępuje się we wszystkich latach, które się chce zbadać, a porównywując sumy, widzi się już na pierwszy rzut oka, czy ogół cen podniósł się, czy się zmniejszył. Dla ułatwienia odczytania tablicy i przeprowadzenia obliczeń, oznacza się cyfry odnoszące się do roku, przyjętego za podstawę, przez 100, a sumy lat innych wyraża się w cyfrach względnych. Tak n. p. jeżeli rok 1850 przyjmiemy za podstawę, a więc ceny w nim za sto, to dostaniemy w r. 1873: n. p. 140, w r. 1904: n. p. 90. Rezultaty te można wyrazić także graficznie. Tablice te, które ułożył po raz pierwszy ekonomista angielski Newmarch od r. 1859 nie dają jednak rezultatów zupełnie zgodnych, a tem samem zupełnie pewnych. W każdym jednak razie bardzo łatwo zrozumieć, że zapomocą zmian w cenach, można obliczać zmiany wartości pieniądza, a nawet ogłaszać w oznaczonych terminach wykazy tych zmian, któreby mogły służyć jako urzędowy kurs do usuwania błędów, wynikających w praktyce używania pieniądza za miernik wartości. Na tej podstawie możnaby n. p. pozwolić dłużnikowi, który pożyczył 100 fr., uiścić się z długu przez zapłacenie tylko 90 fr., albo naodwrót zmusić go do zapłacenia 140 fr., stosownie do tego, czy stwierdzonoby odpowiednią zwyżkę, czy zniżkę wartości pieniędzy.

IV.

Czy wartość pieniądza będzie ciągle spadać?

Ogromna zniżka wartości pieniądza od przynajmniej tysiąca lat, jest faktem stwierdzonym przez wszystkie poszukiwania historyczne. Za czasów Karola Wielkiego wartość pieniądza była dziewięć razy większą aniżeli dzi-

iaj, w wilię odkrycia Ameryki była jeszcze sześć razy, a w epoce wielkiej rewolucyi francuskiej dwa razy większą niż obecnie. Przypuszczenie więc, że ta zniżka będzie iść coraz dalej aż w nieskończoność, wydaje się bardzo usprawiedliwionem. Wszak rozum ludzki staje się coraz przemyślniejszym w odkrywaniu kryjówek, w których natura ukryła swe skarby i coraz zręczniej wyzyskuje je ekonomicznie. Srebro a nawet złoto nie są tak rzadkie, jak sądzimy, znajdują się wszędzie[1]), wprawdzie w ilościach nieskończenie małych, ale ulepszenia sztuki metalurgicznej zniżają coraz więcej granicę, poniżej której wydobywanie kruszcu przestaje być korzystnem. Jest więc prawdopodobnem, że szlachetne kruszce będą coraz obfitsze, a tem samem coraz mniej warte.

Możnaby sądzić, że wzrost popytu na nie, spowodowany przez wzrost ludności i rozwijanie się wymiany, wystarcza do zrównoważenia rosnącej podaży, ale trzeba pamiętać, że wzrost popytu jest już więcej jak zrównoważony przez ulepszenie środków kredytowych i szybkość komunikacyi. Widzimy, że w największych centrach finansowych doszło do niemal zupełnego uchylenia kruszcowej monety, dzięki nader przemyślnym systemom kredytu i kompensaty.

Możnaby powiedzieć, że to nic nie szkodzi, jeżeli wskutek obfitości pieniądza spada jego wartość, a rośnie ilość. Wszak nikt przez to nie będzie bogatszym, ani uboższym. Jedynym przykrym skutkiem może być coraz większy ciężar przyszłej monety. »W brzydki ołów czyste zmieniło się złoto! »Lecz dzięki biletom bankowym i czekom, ta ostateczność nie będzie bardzo dotkliwą i gdyby nawet doszło kiedyś do tego, że kruszce zwane szlachetnymi, stałyby się zwyczajnymi, nawet wtedy nie omieszkanoby znaleść innych kruszców, rzadszych, aby zastąpić

---

[1]) Wnętrze ziemi, jak wykazano, składa się z pierwiastków znacznie cięższych od skorupy ziemskiej, prawdopodobnie z kruszców. Ponieważ złoto jest jednym z najcięższych metali, przeto nie jest wykluczonem, że wnętrze ziemi zapełnia czyste złoto.

ten zdetronizowany majestat[1]). Takie zapatrywania jednak byłoby błędne. W rzeczy samej stała zniżka jednostki monetarnej jest zjawiskiem wysokiego społecznego znaczenia, którego skutki należy uważać za nader korzystne.

Najpierw zmniejszenie się wartości pieniędzy sprowadza jak wiemy, zwyżkę cen. Zwyżka cen zaś jest pożytecznym bodźcem dla produkcyi, gdyż podtrzymuje zmysł przedsiębiorczy, prowadzi do zwiększenia płacy, działa jak środek zachęcający i jest objawem zdrowych stosunków ekonomicznych.

Co więcej zniżka monety popiera dłużników, którzy mogą uwolnić się od zobowiązań, dając mniejszą wartość od tej, którą otrzymali; przynosi według znanego zdania, zastosowanego do odkrycia kopalń Nowego Świata, uwolnienie od starych długów. Działa ona w tym samym kierunku jak zniżenie stopy procentowej — albo lepiej jeszcze, jako konieczna i nieunikniona amortyzacya kapitału. A dobrze jest bardzo, gdy wielkie długi amortyzują się i nie ciążą aż do setnej generacyi, na synach i wnukach pożyczającego. Przedewszystkiem jest to niezbędne dla państw, które są największymi i jedynymi prawdziwie wiecznymi dłużnikami.

Prawdą jest, że w miarę jak zniżka wartości pieniądza działa na korzyść producentów i dłużników, szkodzi równocześnie konsumentom i wierzycielom. Ale ta szkoda jest już sama przez się korzyścią. Najpierw co się tyczy konsumentów, to jeżeli są zarazem wytwórcami, odbiją łatwo wzrost wydatków na zwiększeniu się wartości swych wytworów, albo swojej płacy. Jeżeli zaś kto konsumuje, nic nie produkując, tem gorzej dla niego: zwyżka ceny dotyka go słusznie. Co się zaś tyczy wierzycieli, to nie do-

[1]) Zapomocą analizy spektralnej odkrywamy coraz nowe kruszce, znacznie kosztowniejsze od złota, np. *lithium i zirkonium*, których kilogram kosztuje 65.000 Kor., albo *vadanium*, 100.000 Kor., a przedewszystkiem radium, którego gram ocenia się na 190.000 Kor. Prawda, że w całym świecie ma go być jakiś dziesiątek gramów.

sięga ich zniżka wartości pieniądza, jeżeli wierzytelność jest krótkoterminową, jak się to dzieje zwyczajnie w handlu; jeżeli zaś wierzytelność jest długoterminową albo wieczną, to jest jeżeli stanowi rentę (renta państwowa, gruntowa w formie dzierżawy i t. d., obligacye długoterminowe, kolejowe lub gminne, i t. d.), natenczas jest dobrze, jeżeli wzrastające zmniejszenie się dochodów ostrzega ich, że odgrywają na tym świecie rolę pasożytów i że jeżeli chcą zachować i pozostawić swym spadkobiercom takie same stanowisko społeczne, powinni starać się odegrać rolę czynną lub przynajmniej nauczyć tego swe dzieci.

Dawno już temu mąż, który wcale nie był socyalistą, wielki finansista z czasów restauracyi, Laffitte, mawiał o kapitaliście: »musi on albo się ograniczyć albo pracować, gdyż kapitalista jest próżniakiem, a oszczędność nie jest dla niego karą nadto surową«.

Jeżeliby te przewidywania co do obniżania się wartości szlachetnych kruszców nie miały się ziścić — bo zupełnej pewności co do tego nie mamy wcale — zobaczylibyśmy wręcz przeciwne skutki, mianowicie stałą zniżkę cen, ciążącą na przemyśle i deprymującą zmysł przedsiębiorczy; państwa, upadające pod ciężarem wzrastających długów, na krawędzi bankructwa; wreszcie kapitalistów, bogacących się swem próżniactwem znacznie prędzej, jak inne klasy ludności swą pracą. Trudno o coś odpowiedniejszego do wywołania społecznej rewolucyi. Cieszmy się więc zniżką wartości szlachetnych kruszców, gdyż działa jak oliwa w kołach maszyny.

V.

Jakie przymioty musi posiadać dobry pieniądz?

Każdy pieniądz ustawowy powinien przedstawiać wartość rzeczywistą, zupełnie równą nominalnej.

Wiemy, że pieniądz spełnia podwójne, ustawą przepisane zadanie: jedynego środka zapłaty i jedynego środka zwalniania od zobowiązań, czyli inaczej mówiąc, nie może go odrzucić, jako środka zapłaty, ani sprzedawca, ani wierzyciel. Jest to przywilej, stanowiący t. zw. prawną walutę. Ten przywilej jednak każe przypuszczać warunek wyżej wymieniony. Mamy n. p. złotą 20-frankówkę: polecając wyryć na tej sztuce złota cyfrę 20 franków i herb państwa, rząd chce stwierdzić, że sztuka ta przedstawia rzeczywiście wartość 20 franków i że każdy może ją przyjąć z zupełną ufnością; w razie, jeżeli sztuka ta nie ma tej wartości, popełnia państwo fałszerstwo w całem tego słowa znaczeniu. W ciągu wieków jednak rządy mało robiły sobie niestety skrupułów pod tym względem, dziś natomiast jest to kwestyą godności i uczciwości, której nie zechciałoby się państwo sprzeniewierzyć.

Każdy pieniądz należy oceniać z dwojakiego punktu widzenia: jako sztuka pieniądza przedstawia on wartość oznaczoną i wyrytą na jednej stronie, a jako sztaba kruszcu ma wartość stosunkową do ceny kruszcu na targu; bo są targi i ceny oznaczone dla złota i srebra tak, jak dla zboża i bawełny.

Ilekroć schodzą się te dwie wartości, ilekroć mały krążek 6 gramów 451 miligramów ϱ jakości $^{9}/_{10}$ złota, przedstawiający 20-frankówkę, ma na targu wartość 20 franków (odpowiada to cenie 3444 franków za kilogram czystego złota), mówi się, że pieniądz jest dobry, lub używając wyrażenia technicznego, że jest pełnowartościowy [1]).

[1]) Mogłoby się jednak wydawać, że sztaba złota przebita na pieniądze, będzie miała wartość zawsze cokolwiek wyższą, niż surowy kruszec, ze względu, że każdy przedmiot, przetworzony ręką ludzką, wart więcej, niż w stanie surowym, a różnica będzie odpowiadała kosztom fabrykacyi. Rzeczywiście zachodzi ten wypadek przy monecie, lecz koszta fabrykacyi odgrywają tu tak małą

Jeżeli wartość krążka przenosi wartość nominalną sztuki pieniądza, jeżeli n. p. sztuka 20-frankowa zawiera kruszcu za 22 lub 23 franków, mówimy, że pieniądz jest nadwartościowy.

Jest to miła wada, lecz jest to zawsze wada, która może nawet, jak to wkrótce zobaczymy, pociągnąć za sobą znaczne niekorzyści. W każdym razie niema potrzeby zbytnio się niepokoić tym wypadkiem:

1. Ponieważ nie zdarza się to często, by państwo wybijało rzeczywiście monety nadwartościowe, a jeżeli to czyni, to tylko skutkiem nieświadomości, bo operacya ta naraża je na oczywistą stratę. Bić 20-frankówki ze sztaby złota, przedstawiającej wartość 21 lub 22 franków, byłoby równie rujnującem, jak dla przemysłowca wyrabiać szyny tonna po 100 franków z żelaza, przedstawiającego wartość 110 fr.

2. Ponieważ, przyjmując nawet, że ten wypadek się zdarzy skutkiem pewnych okoliczności, które później poznamy (n. p. nagłej zwyżki ceny kruszcu już po wybiciu pieniędzy), stan ten nie może trwać długo, każdy bowiem z nas, chcąc wyciągnąć z tego korzyść, prędkoby się starał traktować pieniądz jako towar, sprzedając go jako kruszec, a czynność ta powtarzałaby się tak długo, dopóki wszystkie sztuki złota nie zniknęłyby z obiegu. Zobaczymy, że wypadek ten zachodzi dość często w systemie bimetalistycznym.

Jeżeli przeciwnie wartość krążka kruszcu niższą jest

rolę, że nie pociągają za sobą znacznej różnicy. Mennica paryska każe za przebicie kilogramu złota na pieniądze płacić fr. 7·44, czyli mniej więcej 2 per mille. Przedstawia to przy 20-frankówce mniej więcej różnicę 4 centimów między wartością pieniądza a sztaby kruszcu. Państwo mogłoby, gdyby chciało, uniknąć tej małej różnicy, zamieniając sztabę w pieniądze bezpłatnie, biorąc więc na siebie koszta wybicia. Stosuje to u siebie Anglia, to też suweren angielski jest typem idealnego pieniądza. Wartość ustawowa pokrywa się zupełnie z targową.

od wartości pieniądza, jeżeli n. p. wartość metalu, zawartego w 20-frankówce, wynosi 18—19 franków, mówimy, że pieniądz jest p o d w a r t o ś c i o w y.

Wypadek ten jest znacznie groźniejszym, niż poprzedni, a to z dwóch powodów:

1. Ponieważ mieści się w tem silna pokusa dla rządu. Wybijać 20-frankówki ze sztab kruszcu, przedstawiających wartość 18 lub 19 franków, jest czynnością dość ponętną dla rządu, będącego w złych stosunkach finansowych, a przytem niesumiennego. W rzeczy samej ilość monarchów, którzy się dali do tego skłonić, jest znaczną; wystarczy tylko przypomnieć przydomek »fałszerza pieniędzy», z którym w opinii publicznej wiąże się pamięć niektórych królów francuskich, między innymi Filipa Pięknego [1]).

2. Ponieważ, skoro pieniądz taki raz dostanie się w obieg, nie usunie go stamtąd sam porządek rzeczy, jak pieniądz nadwartościowy; przeciwnie, pozostaje w obiegu, a nawet, jak to zobaczymy (por. prawo Greshama), ma się do czynienia z największemi w świecie trudnościami, chcąc się go z obrotu pozbyć.

Aby utrzymać równowagę między wartością krążka

[1]) Wiemy, że jednostka monetarna pod dawnymi rządami we Francyi nazywała się f u n t e m *(livre)*. Lecz zazwyczaj nie wszyscy znają pochodzenie tej nazwy, nie wszyscy wiedzą, że pierwotnie, n. p. za Karola Wielkiego, przedstawiała w rzeczywistości ciężar jednego funta srebra (funt Karolingów równał się zaledwo 408 gramom, t. j. przedstawiał wartość równą przeszło 82 frankom dzisiejszym, nie zwracając już uwagi na różną siłę kupna pieniądza). Jak się to stało, że jego waga spadła do 5 gramów, t. j. do wagi dawnego liwra i dzisiejszego franka? Jedynie tylko dzięki szeregowi emisyi coraz gorszych pieniędzy: każdy król zmniejszał ciężar dawnego funta, starając się z drugiej strony utrzymać dawną jego ustawową wartość. Taka sama mniej więcej jest historya funta angielskiego, cokolwiek zaszczytniejsza dla rządu angielskiego, bo wyszedłszy z tego samego punktu wyjścia, zatrzymał się przecież w swej zniżce na wartości 25 franków, jaką posiada dzisiejszy funt szterlingów.

i sztuki pieniądza, pozostawia się zazwyczaj w każdym dobrym systemie monetarnym osobom prywatnym wolność przekształcania ich, nie u siebie oczywiście, lecz za pośrednictwem mennicy; jest to t. zw. w o l n o ś ć b i c i a m o n e t. Zaręcza ona równowagę w czasie swego trwania, bo gdyby wartość monety złotej była wyższą od wartości krążka kruszcu, każdyby się spieszył skorzystać z zysku, któryby wynikł z fabrykacyi tej monety: każdy kupowałby złote sztaby i niósł do mennicy dla przebicia na pieniądze tak długo, dopóki zmniejszenie się ilości kruszcu, a zwiększenie ilości monet nie wprowadziłoby na nowo równowagi między temi dwiema wartościami. Mimo to jednak w każdym kraju spotykamy pewne rodzaje monet, nie spełniające wyżej wymienionego warunku, t. j. mające wartość rzeczywistą mniej lub więcej niższą od wartości ustawowej; zwiemy je m o n e t a m i z d a w k o w e m i. Są to wogóle monety małej wartości, najczęściej z miedzi, czasem także ze srebra, których nie używa się zazwyczaj do znacznych wypłat, lecz tylko jako dodatki. W tych warunkach można bez niekorzyści odstąpić od ścisłego trzymania się powyższych zasad. Lecz mimo to, nawet odstępując od zasadniczego przepisu, zatrzymuje go ustawa w mocy o tyle, że o d m a w i a m o n e c i e z d a w k o w e j c h a r a k t e r u m o n e t y u s t a w o w e j; nie uważa za stosowne zmuszać nikogo do przyjęcia zapłaty w niej ponad pewną sumę. Oczywiście także z a w i e s z a w t y m r a ź i e w o l n o ś ć b i c i a m o n e t, b e z c z e g o c a ł y ś w i a t k a z a ł b y b i ć monety zdawkowe, by uzyskać różnicę między wartością faktyczną a ustawową. Rząd zastrzega sobie prawo emisyi takiej ilości monet zdawkowych, jaką uzna za potrzebną, a nie powinien puszczać ich w obieg w ilości zbyt wielkiej.

M o n e t y z d a w k o w e n i e m a j ą w i ę c p e ł n e j w a l u t y, t. j. p r a w a z w a l n i a n i a o d z o b o w i ą z a ń b e z o g r a n i c z e n i a, l e c z t y l k o w a l u t ę o g r a n i c z o n ą.

W odróżnieniu od zdawkowych, nazywamy pieniądze, mające pełną walutę, monetami obiegowemi.

VI.

Prawo Greshama.

W każdym kraju, gdzie są w obiegu dwie monety ustawowe — zła wypędza zawsze dobrą.

W powyższych wyrazach ujmuje się jedno z najdziwniejszych praw ekonomii politycznej, ochrzczone imieniem kanclerza królowej Elżbiety, który je wykrył przed trzema wiekami. Dawno jednak przed nim Arystofanes w sztuce swej *Żaby* zaznaczył, a nawet bardzo dobrze wytłómaczył to dziwne zjawisko, t. j. wyższość, którą przyznają ludzie zawsze złemu pieniądzowi.

Tę cechę dziwaczności nadaje temu prawu okoliczność, że nie możnaby go zastosować do innego przedmiotu, oprócz pieniądza. Nie możnaby pojąć, dlaczego ludzie mieliby mieć tak popsuty smak, aby przenosić zawsze i wszędzie zły towar nad dobry. Ekonomiczne urządzenie naszych społeczeństw z wolnością pracy i wolną konkurencyą nie może istnieć bez przyjęcia hypotezy, że w każdej okoliczności życia człowiek będzie wolał towar lepszy i ten, który lepiej odpowiada jego potrzebom. Dlaczegóż ma się inaczej, wprost odwrotnie, zachować wobec monety?

Zdziwienie zniknie, jeżeli zważymy, że moneta nie jest przeznaczoną tak, jak inne dobra, do konsumcyi lub produkcyi, lecz wyłącznie do wymiany. Z pomiędzy dwu owoców wybierzemy soczystszy, z pomiędy dwu maszyn lepiej idącą; lecz mając do wyboru dwa pieniądze różnej jakości, mało nam zależy na tem, którego z nich użyć, bo nie przeznaczamy ich do naszego osobistego użytku, tylko żądamy od nich zdolności zaspokojenia naszych wierzycieli i osób, od których kupujemy. Nie mamy więc interesu wybierać pieniądz najlepszy; przeciwnie, interes nasz leży w wyborze najgorszego, to też uczynimy to bez wahania, byleby wierzyciel lub sprzedający nie mógł odmówić jego przyjęcia, t. j. aby moneta zła miała równie jak dobra zdolność zwalniania od zobowiązań. To też z tym tylko warunkiem da się zastosować prawo Greshama, t. j. chodzić musi o dwie monety, z których obydwie są ustawowemi.

To nam tłómaczy, dlaczego zła moneta zostaje w obiegu, lecz nie tłómaczy, dlaczego dobra znika? Co się z nią więc dzieje? Ucieka ona trzema różnemi drogami; są niemi: gromadzenie skarbów, wypłaty zagraniczne i sprzedaż na przetopienie.

1. Gromadzenie skarbów. Kiedy ktoś chce zachować sobie pewną ilość pieniędzy na nieprzewidziany wypadek, nie uchyla się już tym razem z pod ogólnego prawa i nie stara się już o wyszukanie złych sztuk, przeciwnie wybiera jak najlepsze, bo te właśnie dają mu największą rękojmię. W czasie rewolucyi francuskiej, jeżeli kto strwożony chciał zebrać skarb, nie bawił się wcale w zbieranie papierowych asygnat, lecz szukał dobrych luidorów. Tą drogą już może, zwłaszcza w czasach przesileń, pewna ilość najlepszego pieniądza zniknąć z obrotu. W każdym razie ta pierwsza przyczyna zniknięcia pieniądza odgrywa małą rolę i trwa tylko przez pewien czas.

2. Wypłaty zagraniczne pociągają za sobą poważniejsze następstwa. Choćby kraj jakiś miał małą tylko część swego dowozu opłacić pieniądzmi, to jednak zawsze musi się część spłaty dokonać w gotówce. Otóż jeżeli wewnątrz kraju i w stosunkach ze współobywatelami ma się spłacić długi, to ustawa nadaje nam prawo użycia tak dobrze złego, jak dobrego pieniądza — lecz ta możliwość odpada przy spłatach i zakupnach zagranicznych. Wierzyciel zagraniczny nie jest obowiązany do przyjęcia naszych pieniędzy, to też przyjmie je tylko na wagę kruszcu

szlachetnego w nim zawartego, a więc po rzeczywistej ich wartości. Niema więc mowy o tem, by mu módz posłać pieniądz podwartościowy — z czego wynika, że musimy zachowywać go tylko dla wewnętrznego handlu, bo w tej dziedzinie odda usługi takie, jak każdy inny, a dobry zatrzymywać dla naszego handlu zagranicznego. Oto jest druga, a ważna przyczyna utraty dobrej monety.

3. Lecz przyczyną, która powoduje najszybsze znikanie dobrego pieniądza, jest sprzedaż na przetopienie. Sprzedawać pieniądz jako kruszec na wagę, jest czynnością dość dziwną pozornie, której pożytku nie można zrozumieć, a jednak jakże jest prostą! Jeżeli tylko skutkiem zwyżki ceny złota, złoty pieniądz ma przypadkiem wartość rzeczywistą większą od ustawowej, jeżeli tylko jako sztaba kruszcu wart więcej, niż jako pieniądz, jest czystym interesem nie używać go jako pieniądza, lecz jako kawałka kruszcu; to też usuwa się go z obiegu a posyła na targi szlachetnych kruszców. Jeżeli wartość miedzi wyraźnej doznała zwyżki, czyż znacznej ilości przedmiotów bronzowych, zegarów, dział, figurek nie niszczy się dla otrzymania zawartego w nich kruszcu? Lub nawet gdyby wartość papieru, przypuśćmy, bardzo się podniosła, czyżby wiele książek nie opuściło pułek bibliotecznych, by się dostać kupcowi starego papieru? Zupełnie tak samo ma się rzecz z pieniądzem; skoro tylko szlachetny kruszec podnosi się w wartości, sztuki pieniądza bitego z tego kruszcu tracą swą cechę pieniądza, a stają się towarami, których wartość staramy się szybko zrealizować, drogą sprzedaży. Prawo Greshama znajduje zastosowanie w następujących przypadkach:

1. Ile razy pieniądz stary obiega równoważnie z nowym.

Wśród takich to właśnie okoliczności spostrzegł to prawo Tomasz Gresham. Kazano mianowicie w tym czasie wybić nowy pieniądz dla zastąpienia dawnego, całkiem już zniszczonego, a to więcej skutkiem obcinania, niż używania; ze zdumieniem jednak spostrzeżono, że nowe pieniądze znikły bezzwłocznie, podczas kiedy dawne krążyły jeszcze lepiej, niż przedtem. To też rząd powinien dokonywać częstego przetapiania, bez czego później natrafi na wielkie trudności, chcąc stary pieniądz zastąpić nowym.

2. Ilekroć moneta papierowa ze zmniejszoną siłą kupna znajduje się w obiegu obok kruszcowej.

W tym razie, byle tylko zmniejszenie wartości pieniądza było cokolwiek znaczniejszem, wywóz monety kruszcowej dokonywa się na wielką skalę. Do ostatnich lat widzieliśmy wszystek włoski pieniądz na wygnaniu we Francyi; rząd włoski uznał za stosowne uciec się do różnych środków, by go zmusić do powrotu, a nawet uzyskał u rządu francuskiego zakaz jego obiegu we Francyi, lecz wszystko to byłoby nie pomogło, gdyby nie był stłumił złego w zarodku, usuwając pieniądz papierowy, a przynajmniej jego kurs przymusowy. Widzieliśmy dwa kraje, będące dostawcami szlachetnych kruszców: Stany Zjednoczone i Rosyę, w niemożności zatrzymania u siebie pieniądza kruszcowego, na który przecież dostarczały surowca całemu światu. Lecz nadarmo starano się go wybijać, ich pieniądz papierowy wypędzał go z kraju bez litości.

3. Każdym razem, ilekroć moneta podwartościowa znajduje się w obiegu równocześnie z pełnowartościową, lub nawet ilekroć pełnowartościowa rywalizuje z nadwartościową, w tym wypadku pieniądz o niższej wartości wypędzi pieniądz o wyższej wartości. Jest to najbardziej zajmujący wypadek; zdarza się prawie w każdym kraju, który przyjął równoczesny obieg złotej i srebrnej monety. Rozbiór też tego zjawiska odkładamy do przedstawienia kwestyi mono i bimetalizmu, którą się zajmiemy w następującym ustępie.

VII.

Konieczność używania kilku kruszców i wynikające stąd trudności.

Rozprawy, które oddawna na temat tej sławnej kwestyi się toczą, nie odnoszą się zupełnie do pytania, jakby ktoś mógł sądzić, czy dany kraj ma używać więcej kruszców dla stworzenia swego organizmu monetarnego, czy tylko jednego? Tych pytań nie stawia się, bo przecież jest widocznem, że wszystkie kraje cywilizowane muszą koniecznie posiadać równocześnie sztuki pieniądza złote, srebrne, z miedzi lub podobnego kruszcu. Jakżeżby sobie można przedstawić używanie samego tylko złota? Już pięciofrankówka złota jest niewygodną dla swych drobnych rozmiarów; czemżeż byłby 5-centymowy pieniążek złoty: ziarnkiem nieuchwytnem. Tem mniej można sobie wyobrazić, chybabyśmy wrócili do czasów Lykurga, używanie samej tylko miedzi, bo 20-frankówka miedziana ważyłaby 10 kilogramów. Nawet samo srebro, choć już wywygodniejsze dla swej pośredniej wartości, nie mogłoby wystarczyć, bo 5-frankówka srebrna jest już za wielką, a 20 centymów jest sztuką za małą do obiegu. Tak więc z konieczności musimy używać równocześnie trzech kruszców. Nie jest jednak koniecznem używać wszystkich trzech jako pieniądza obiegowego; w rzeczywistości wiemy, że jeden z nich nie ma nigdy tego charakteru: jest nim miedź, będąca zawsze monetą zdawkową. Pozostają nam dwa inne: czy należy więc przyznać cechę i właściwości obiegowego pieniądza obu, czy też jednemu tylko? Oto jest pytanie, znane dawniej jako kwestya pojedynczej lub podwójnej waluty, a które dziś oznaczamy zwyczajnie mianem: monometalizmu i bimetalizmu.

Jeżeli się przyznaje znaczenie obiegowego pieniądza jednemu tylko z dwu kruszców, np. złotu, wówczas nie ma

trudności; pieniądz srebrny usuwa się równolegle z miedzią do rzędu monety zdawkowej — przyznaje się mu wartość dowolną, z góry oznaczoną, lecz nie zmusza się też nikogo do przyjmowania go ponad pewną ilość, jako środka zwalniania od zobowiązań. Złoty pieniądz jest jedynym, który ma w takim razie pełną walutę i tylko przy nim należy się starać o zachowanie równowagi między wartością rzeczywistą a nominalną.

Jeżeli zaś chcemy przyznać dwu kruszcom równocześnie cechę obiegowej monety, położenie znacznie się gmatwa. Weźmy, np. chcąc sobie lepiej zdać sprawę, system francuski, który można uważać za typ systemu bimetalicznego i wróćmy do chwili, w której go ustawodawca tworzył w całej jego osnowie (ustawa z 7 germinala roku XI t. j. 28 marca 1803).

Jednostką monetarną był dawny funt (livre), zmieniony we franka. Był to pieniądz srebrny — srebro zatem przyjęto za monetę obiegową; zresztą w tym czasie nikt nie byłby mógł mu odmówić tego tytułu. Lecz musiano jeszcze przyznać go złotu.

Weźmy dla większej jasności dwie sztuki podobne, istniejące we francuskim systemie monetarnym: 5-frankówkę złotą i srebrną. Chcemy, aby obie były monetą obiegową, trzeba więc, aby obie miały wartość rzeczywistą, zupełnie równą ich wartości nominalnej; jest to, jak wiemy, warunek konieczny. Nie trudno to uskutecznić, o ile chodzi o pieniądz srebrny: srebro kosztuje, lub przynajmniej kosztowało w badanej przez nas epoce 200 fr. za kilogram, tak więc sztabka srebra 25-cio gramowa kosztowała 5 fr. ściśle; stąd 5-ciofrankówce mamy nadać ciężar 25-ciu gramów, a spełnimy żądany warunek. Lecz jaką wagę dać należy złotej 5-ciofrankówce? W owej to epoce kilogram złota kosztował 3.100 fr. (przy tym samym stosunku aligerowania jak srebra t. j. $^9/_{10}$). Jeżeli więc z kilogramu złota bije się 620 sztuk, a każda będzie przedstawiać ściśle wartość 5-ciu franków (620×5=3100) i każda będzie ważyć

1 gr. 613 — to warunek postawiony zostanie spełniony także w zastosowaniu do złota.

Weźmy teraz te dwie sztuki pieniądza i połóżmy je na dwu szalkach wagi, a zobaczymy, że chcąc stworzyć przeciwwagę dla srebrnej pięciofrankówki, trzeba będzie do drugiej szalki włożyć $15^1/_2$ złotych 5-frankówek — lub inaczej mówiąc, dla przeciwwagi dwu srebrnym sztukom pieniądza, należy do drugiej szali włożyć 31 złotych tej samej wartości. To dowodzi, że czynność została wykonaną dokładnie. Rzeczywiście kilogram złota był wart w tej epoce $15^1/_2$ kg. srebra (3100 fr. kg. złota; 200 fr. kg. srebra). Zatrzymajmy ten stosunek 15·5; ustawowy ten stosunek wartości dwu kruszców jest równie sławnym w ekonomii politycznej, jak znany stosunek π=3·1416 w geometryi. Jak dotychczas, idzie wszystko gładko, lecz czekajmy końca.

W roku 1847 odkrywają kopalnie złota w Kalifornii, w roku 1851 w Australii. Ilość złota dobywanego corocznie wzrasta pięciokrotnie (5—600 milionów rocznie zamiast 100 mniej więcej). Przeciwnie znów srebro staje się coraz rzadszem skutkiem rozwoju indyjskiego handlu, pochłaniającego znaczne jego ilości, stąd też stosunek wartości obu kruszców się zmienia. Na targu szlachetnych kruszców do nabycia 1 kg. złota nie potrzeba, jak dawniej, $15^1/_2$ kg. srebra, wystarczy 15, czyli inaczej mówiąc złoto straciło 3% swej wartości. Odtąd jest rzeczą jasną, że te małe krążki złota, które stanowią złote pieniążki, doznały stosunkowego spadku wartości: 5-frankówka złota warta w rzeczywistości tylko 4 fr. 85.

Cóżby więc należało uczynić dla wprowadzenia równowagi? Oczywiście dodać trochę więcej złota każdemu złotemu pieniążkowi, mniej więcej 3%; dla stworzenia równowagi między wartością rzeczywistą a nominalną trzebaby, aby 5-ciofrankówka srebrna równała się 15-tu lub $14^1/_2$ sztukom złotej 5-frankówki — na wagę. Tak więc trzebaby przetopić cały zapas złotej monety. Ale chwilę cierpliwości.

Dwadzieścia lat później, koło roku 1873, nastaje nowa zmiana. Produkcya złota, wskutek wyczerpania min Australii i Kalifornii zmniejsza się do połowy, podczas gdy kopalnie srebra, odkryte na zachodzie Ameryki, rzucają na targi ogromne ilości srebra. W tym samym czasie Niemcy, przyjmując złotą walutę, swej srebrnej monecie odmawiają charakteru pieniądza i rzucają ze swej strony na targi swe talary, których nie chcą już więcej posiadać. Stosunek wartości zmienia się po raz wtóry, lecz tym razem w kierunku odwrotnym: na targu szlachetnych kruszców za kilogram złota można dostać już nie $15^1/_2$ kg. srebra, lecz 16, 17, 18, 20, a nawet 22 kilogramów. Tak więc srebro utraciło przeszło $^1/_4$ swej wartości w stosunku do złota. Odtąd jest już jasnem, że każdy krążek srebrny, stanowiący srebrny pieniążek, dozna tego samego losu: srebrna 5-ciofrankówka w rzeczywistości warta jest tylko 3 fr. 50. Cóż więc należałoby uczynić dla uratowania równowagi? Oczywiście dodać każdej sztuce srebrnej więcej srebra, zwiększyć ciężar jej o $^1/_4$ tak, aby srebrna 5-ciofrankówka ważyła tyle, co 20 złotych 5-ciofrankówek; wtedy stworzylibyśmy na nowo równowagę między wartością rzeczywistą a nominalną. A zatem cały nasz zasób srebrnych pieniędzy należałoby przetopić.

Jakżeż więc, czy dla zachowania charakteru pieniądza pełnowartościowego obu naszych monet, t. j. ścisłej równowagi między ich rzeczywistą a ustawową wartością, musiałoby się koniecznie i to naprzemian to jeden to drugi pieniądz przetapiać, aby zastosować ich ciężar do zmian wartości obu kruszców? Jest to wniosek, który się sam nasuwa, lecz trudnym jest do wprowadzenia w życie i wprost niedorzecznym[1]).

[1]) Bez długiego zastanawiania się można wpaść na pomysł, że w tym celu wystarczyłoby zmieniać ciężar jednej tylko monety, biorąc niezmiennie drugą za podstawę, n p. biorąc za jednostkę 5-ciogramowy frank srebrny — zmieniać ciężar złotych pieniędzy powy-

VIII.

Jakim sposobem kraje bimetaliczne mają w rzeczywistości jedną tylko monetę?

Wszystkie systemy bimetaliczne przedstawiają, jak widzieliśmy, tę wielką niekorzyść, że nie mogą utrzymać dla obu monet jednocześnie tej równowagi między wartością rzeczywistą a ustawową, stanowiącej cechę dobrego pieniądza. Nieustannie, stosownie do zmian wartości kruszcu, jedna lub druga będzie albo nadwartościową albo podwartościową.

Możnaby sądzić, że niekorzyść ta jest natury więcej teoretycznej niż praktycznej. »Co na tem zależy, mógłby ktoś powiedzieć, czy nasze złote lub srebrne pieniądze mają ustawową wartość nieco wyższą lub niższą od rzeczywistej? Nikt na to nie zwraca uwagi, a w każdym razie nikt na tem nie cierpi«.

Jest to stanowisko fałszywe: w tem położeniu tkwi rzeczywiście niekorzyść, a nawet prawdziwa strata, mianowicie następująca: podwartościowy pieniądz wypędza powoli z obrotu pieniądz nadwartościowy, tak, że kraj o t. zw. podwójnej walucie znajduje się w rzeczywistości w tem szczególnem położeniu, że zachowuje w obiegu jedną tylko monetę i to gorszą. Ruch peryodycznego przy-

żej lub poniżej ustawowej wagi — stosownie do zmian wartości złota. Lecz mimo tej zmiany nie możnaby tego stosować.

Możnaby także, nie zmieniając ciężaru pieniążków, zamazać znak ustawowej wartości na nich wyryty, a pozwolić na dowolne wahanie się wartości, stosownie do prawa popytu i podaży, jak się to n. p. dzieje z piastrem w Kochinchinie. Wówczas jednak sztuki złotego pieniądza nie są właściwie monetą, są to tylko sztabki, krążące jak zwykły towar. Będzie się notować kurs 20-frankówek równie zmienny, jak bawełny lub zboża. Ileż tu pogmatwania w interesach, ile pułapek na prostaczków! Byłaby to wówczas jedynie moneta handlowa (n. p. 8-mio guldenowe złote pieniądze w Austryi). Ustawodawcy z germinalu r. XI. tworząc francuski system monetarny, przewidzieli te możliwe trudności, to też doradzają oba te środki.

pływu i odpływu unosi z sobą kruszec, cieszący się zwyżką, a przynosi kruszec zniżkowy.

Jest to proste i czyste następstwo prawa Greshama, które już poznaliśmy — a historya francuskiego systemu monetarnego od lat 40 jest ciągłym i znakomitym dowodem jego trafności.

Kiedy za drugiego cesarstwa złoto doznało zniżki skutkiem wskazanych w poprzednim rozdziale stosunków, francuski srebrny pieniądz zaczął znikać i ustępować miejsca złotemu, tym pięknym Napoleonom, pieniądzowi, do którego jeszcze się nie przyzwyczajono, a który bardzo podziwiano, w którym dworacy witali bogactwo i świetny blask nowej monarchii, lecz który w rzeczywistości nie był tak cennym, bo był z kruszcu zniżkowego. To też łatwo się tłómaczy to zjawisko przemiany kruszców. Londyński bankier, pragnący zaopatrzyć się w srebro dla przesyłki do Indyi, starał się o jego zakupienie tam, gdzie znajdował je tańszem. W Londynie za 1 klg. złota byłby mógł dostać najwyżej 14 klg. srebra, posyłając jednak do paryskiej mennicy swój kilogram złota, mógł kazać sobie wybić 3100 franków w złocie, następnie wymienić je na 3100 franków w srebrze, ważących całkiem ściśle 310×5 gr. $= 15^1/_2$ kg. Tak więc za swój kg. złota zdołał ostatecznie uzyskać $15^1/_2$ kg. srebra.

Łatwo można zrozumieć, że dzięki temu postępowaniu, pewna ilość pieniędzy srebrnych opuściła Francyę i ustąpiła miejsca równej ilości złotej monety. Jest to bezwątpienia zjawisko, pozostające w związku z prawem Greshama: pieniądz nadwartościowy usunął się przed podwartościowym. Całymi okrętami wywożono do Indyj francuskie srebrne pieniądze, kupowano je na wagę i sprzedawano mennicom w Bombayu i Madras, mieniając na rupie. W tym czasie mennice te zmieniły na rupie przeszło dwa miliardy sztuk francuskich pieniędzy srebrnych.

Wkrótce dał się uczuć zupełny niedostatek srebrnej monety. Aby wstrzymać jej ucieczkę, z pewnością, wiek

temu, zastosowanoby pewne środki zapobiegawcze, lub może ściganoby w drodze karnej tych, którzy przyczyniali się do wywozu pieniędzy srebrnych. Ekonomia polityczna, wskazując przyczynę złego, pozwalała na skuteczniejsze zaradzenie mu: srebrny pieniądz znikał, bo był nadwartościowy, wystarczało więc zmniejszyć jego wartość przez zmniejszenie ciężaru lub tylko stosunku szlachetnego kruszcu do domieszki, a można było być pewnym, że mu się odetnie skrzydła, że nie ruszy się już więcej. Tego też dokonały za wspólną zgodą Francya, Włochy, Belgia i Szwajcarya układem z 23 grudnia 1865. Zawartość szlachetnego kruszcu wszystkich monet srebrnych, z wyjątkiem 5-ciofrankówek, zmniejszono z $^{900}/_{1000}$ na $^{835}/_{1000}$, co im odbierało 7% wartości. Wszystkie więc te monety stały się i odtąd już pozostały monetą zdawkową t. j. stosownie do niezmiennych zasad w tej kwestyi, utraciły też swój charakter obiegowego pieniądza i krążą tylko jako moneta dokładowa. Dlaczego stworzono wyjątek dla 5-ciofrankówki? Nie było żadnego rozumnego powodu — lecz Francya to sobie zastrzegła. Wszystkie srebrne pieniądze zmienić w monetę zdawkową, znaczyłoby to porzucić zupełnie pieniądz srebrny, jako monetę obiegową, znaczyłoby to stać się krajem złotego monometalizmu, jak Anglia, a ten przewrót w systemie monetarnym wydawał się strasznym rządowi francuskiemu. Zatrzymano więc 5-ciofrankówkę wraz z jej ciężarem, jakością i charakterem obiegowego pieniądza. Oczywiście 5-ciofrankówka uciekała dalej, lecz można się było łatwiej obejść bez niej, niż bez monety zdawkowej: w razie potrzeby można ją było zastąpić złotemi 5-ciofrankówkami.

Od roku 1873 jesteśmy świadkami przewrotu wprost przeciwnego w stosunku wartości obu kruszców: francuski organizm monetarny popsuł się na nowo, lecz obecnie w kierunku wprost przeciwnym. Teraz złoty pieniądz stał się nadwartościowym i oczywiście zaczął odpływać — srebrny zato jako podwartościowy zaczął się mnożyć.

Rozpoczęły się te same czynności, które wyżej przedstawiono, lecz w odwrotnym kierunku. Bankier paryski nabywał 3100 franków w złocie, w sztukach 20 lub 10 frankowych — mniejsza o to. Znaczy to ściśle kilogram złota. Wkładał je do worka i posyłał do Londynu. Na targu kruszców szlachetnych w Londynie można było nabyć za 1 kg. złota 20 kg. srebra; kupował więc tych 20 kg. srebra, kazał je sobie odesłać do Paryża, kazał je następnie wybić sobie na pieniądze w paryskiej mennicy. Ponieważ z jednego kilograma srebra mennica ma wybić 200 frankówek lub 40 5-ciofrankówek, więc (20×200) wydawała naszemu bankierowi 4000 franków w sztukach 5-cio frankowych. Zysk *brutto* wynosił 900 franków; odliczmy od tego koszta przewozu, wybicia i t. p., a także pewny naddatek dla nabycia coraz rzadszych pieniędzy złotych, to w każdym razie czynność ta była bardzo zyskowną. Jasnem jest, że dla Francyi operacya ta pociągała za sobą zmniejszenie się ilości złotych pieniędzy, a zwiększenie srebrnych. Powtarzana zaś w nieskończoność, czynność ta byłaby z biegiem czasu sprowadziła zupełne zastąpienie w obiegu pieniędzy złotych srebrnymi.

Trzeba więc było, aby te mocarstwa, które stworzyły unię łacińską (do której tymczasem przyłączyła się Grecya), ułożyły się dla zaradzenia temu nowemu niebezpieczeństwu. Tak, jak w r. 1865 wstrzymywano ucieczkę monety srebrnej przez zmniejszenie zawartości szlachetnego kruszcu, tak i teraz można było zaradzić ucieczce złotej przez zmniejszenie jej jakości lub ciężaru. Lecz to ciągłe przetapianie to jednej, to drugiej monety, byłoby się zakończyło dezorganizacyą samego systemu monetarnego. Uważano też za korzystniejsze uciec się do prostszego znacznie środka. Układ z 5 listopada 1878 r. zawiesił zupełnie wybijanie monet srebrnych. Odtąd wyżej przedstawiona czynność stała się niemożliwą. Nie było już interesu kupować srebrne sztaby za granicą, skoro ich nie można było więcej zmienić na pieniądz.

To też środek ten w zupełności cel swój osiągnął i zatrzymał Francyi piękny jej zapas złota jeszcze nienaruszony zbytnio; lecz jak łatwo sobie wyobrazić, układ ten, zamykający srebru targ blizko 80 milionów ludzi, a tem samem ograniczający znacznie jego rynki zbytu, pociągnął za sobą gwałtowną zniżkę w cenie srebra, czyli innemi słowy, zło jeszcze pogorszył. Wtedy to widzieliśmy, że srebro, które dotychczas utraciło zaledwo 10—12% swej wartości, spadało coraz bardziej w cenie aż do 138 franków za kg. (w 1888 r.) zamiast ustawowej ceny 20 franków, co odpowiadało stosunkowi wartości obu kruszców 1:22½.

Dziś jeszcze nikt nie podjął na nowo bicia srebrnych pieniędzy i nie wiemy, czy kto podejmie. Tak więc można powiedzieć, że choć kraje Unii łacińskiej są jeszcze ustawowo pod rządami bimetalizmu, faktycznie zmieniły swój system monetarny. Ze wszystkich ich pieniędzy srebrnych został tylko jeden, mający charakter pieniądza obiegowego, a i tego się już nie wybija. Waluta podwójna straciła więc swój czysty charakter, polegający: 1) na wolności wybijania złotych i srebrnych monet; 2) na daniu obydwu charakteru pieniędzy obiegowych. Powstał więc niejako nowy system waluty, zwany walutą ułomną, gdzie celem sztucznego utrzymania pełnej wartości monet srebrnych obiegowych, ogranicza się ich cyrkulacyę, wstrzymując dalsze ich wybijanie.

IX.

Czy należy przyjąć monometalizm?

Zdawałoby się po powyższem przedstawieniu, że niema się wyboru, że monometalizm jest systemem znacznie prostszym, który usuwa wszystkie dopiero co zaznaczone trudności. Poco się więc wahać?

Twierdzenie to wywiesza na swym sztandarze szkoła klasyczna ekonomii, dla której monometalizm oraz wolny handel międzynarodowy stanowią dogmat wiary.

Ten pogląd zresztą od dawna już wprowadziły w praktykę najpierw Anglia (od 1816 r.), potem Portugalia (w r. 1854), Niemcy (w r. 1873), trzy państwa Skandynawskie (1875), Finlandya (1878), Rumunia (1890), Austro-Węgry (1892),[1]) Rosya (1897), Japonia (1897) i Peru (1901). Przy walucie podwójnej pozostały tylko kraje unii łacińskiej (Francya, Włochy, Belgia, Szwajcarya, Grecya), jakoteż Holandya, Hiszpania, Rumunia, Serbia, Meksyk i Stany Zjednoczone[2]). Jednakże największe i najważniejsze z tych krajów, Francya, Holandya i Stany Zjednoczone, posiadają faktycznie walutę złotą, jakkolwiek, z punktu widzenia prawa, panuje tam i dziś jeszcze system dwukruszcowy. Co się tyczy Unii łacińskiej, widzieliśmy już wyżej, że węzeł, łączący ją z bimetalizmem, jest czysto nominalny. Tak samo jest w Stanach Zjednoczonych. Przez długi czas potężne stronnictwo srebra (t. zw. silvermen) walczyło o ustanowienie, a nawet o rozszerzenie i zagranicą bimetalizmu. Doprowadziło ono do tego, że za inicyatywą Stanów Zjednoczonych, zebrała się w listopadzie 1892 r. międzynarodowa konferencya monetarna (dawniejsze z r. 1867, 1878 i 1881 obradowały na zaproszenie Unii łacińskiej) a w Stanach Zjednoczonych uchwalono już r. 1878 na wniosek Blanda (Blandbill) ustawę, zobowiązującą rząd związkowy do wybijania co miesiąc monet srebrnych wartości 2 milionów dolarów. W roku 1890 t. zw. Silverbill podniósł tę sumę do kwoty 4½ milionów, lecz w r. 1900 wskutek klęski wyborczej zwolenników srebra, kongres

---

[1]) Austro-Węgry mają ustawowo walutę koronową, pełnowartościowemi są jednak tylko monety złote. *(Przyp. tłum.).*

[2]) Właściwie Stany Zjednoczone mają walutę złotą, lecz srebrny dolar ma nieograniczoną moc zwalniania od zobowiązań. Relacyę przyjęto tam złota do srebra jak 1 do 16. Podobnie jest w Meksyku, gdzie relacyę ustanowiono w stosunku 1:32·58.

uchwalił w dniu 14 marca ustawę, wprowadzającą w Stanach Zjednoczonych walutę złotą, jakkolwiek dolar srebrny zachował nieograniczoną moc zwalniania od zobowiązań.

Dlaczegoż więc te państwa nie zrywają tej tak słabej nici, łączącej je z bimetalizmem i nie przejdą wyraźnie do waluty złotej?

Przyczyną tego zjawiska jest, że przyjęcie monometalizmu pociąga za sobą pewne niekorzyści i niebezpieczeństwa, a to tak w chwili obecnej, jak i na przyszłość:

1) Pierwsza niekorzyść polega na tem, że przyjęcie złotej waluty pociąga za sobą utratę charakteru pieniądza po stronie srebra, bo odejmując n. p. pięciofrankówce charakter ustawowego pieniądza, należy ją równocześnie usunąć z obiegu. Otóż we Francyi jest ich blizko 3 miliardy, które sprzedane na wagę przedstawiałyby wartość zaledwo $1^1/_2$ miliarda. Koszta więc tej czynności wyniosłyby około 1500 milionów, a może i więcej, bo podobny środek musiałby koniecznie wywołać jeszcze gwałtowniejszą zniżkę srebra[1]).

2) Drugą niekorzyścią jest, że przy pojedynczej walucie należy się więcej obawiać zmian w cenach, niż przy podwójnej.

Jeżeli jeden tylko kruszec mierzy wartość, każda zmiana w jego wartości wywołuje odwrotną zmianę w cenach, a jeżeli zmiany te są częste i nagłe, psują cały organizm handlowy i wywołują przesilenia.

[1]) Państwo mogłoby wprawdzie przerzucić te koszta na posiadaczy 5-frankówek. Lecz nie licowałoby to z godnością państwa, które poręczyło wartość tych monet przez wypisanie na nich tej wartości, a w każdym razie pociągnęłoby za sobą ruinę banku francuskiego, który posiada w swej kasie przeszło 1200 milionów w srebrze, z czego musiałby stracić najmniej 200, to jest więcej, niż wynosił jego kapitał zakładowy.

Kiedy Niemcy w r. 1873 chciały pozbawić srebro charakteru pieniądza, musiały czynności tej zaprzestać, bo narażała na zbyt wielkie straty, choć zniżka srebra nie była tak wielka jak później.

Używając przeciwnie dwu kruszców do mierzenia wartości, wytwarza się między nimi pewien stan równowagi, wyrównania zmian wartości, bardzo korzystnie wpływający na stałość cen, a co za tem idzie, na korzystny rozwój handlu, bo w interesach głównie na stałość wartości pieniędzy należy zwracać uwagę. Wytłumaczenie tego zjawiska wyrównania jest nieco zawiłe, lecz łatwo wyrobić sobie o niem ogólne pojęcie.

Wystarczy przypomnieć sobie, że główną przyczyną wyższości szlachetnych kruszców, jako miernika wartości, jest okoliczność, że zmiany ilości grają małą rolę w porównaniu z istniejącym ich zapasem. Warunek ten spełnia się tem lepiej, im większy jest zapas kruszcu, a zarazem z im większej ilości różnych źródeł on płynie. Z dwu kruszców powstanie przedewszystkiem zapas dwa razy większy, a nadto, ponieważ jest nieprawdopodobnem, by przyczyny wzrostu produkcyi obu kruszców się schodziły, zmiany też będą mniej znaczne; tak samo, jak tem rzadsze jest wezbranie wody w rzece i tem mniej należy się go obawiać, im liczniejsze są jej dopływy, im dalsze są okolice, z których one pochodzą i im większe zachodzą między niemi różnice geologiczne lub klimatyczne. Z tego względu raczej życzyć sobie należy, by nasz zapas kruszcu posiadał dwa dopływy, t. j. złoto i srebro, niż jeden tylko, a gdyby ich było cztery, byłoby jeszcze lepiej. Rzeczywiście, gdyby tylko złoto istniało jako materyał monetarny, odkrycie pokładów złota w Kalifornii i Australii, Transwalu i Klondyke wywołałoby wstrząśnienie bardzo gwałtowne, skutkiem nadmiernej zwyżki cen, a wyczerpanie się ich spowodowałyby przesilenie równie groźne. Mało na tem zależy, czy ceny są wysokie czy nizkie, lecz bardzo wiele na tem, by ceny nizkie zbyt szybko nie następowały po wysokich i vice versa, bo ideałem dobrego systemu monetarnego jest stałość cen.

Łatwo też sobie wytłumaczyć, dlaczego kraje bime-

taliczne wahają się z przyjęciem monometalizmu. Na razie dostatecznie czują się bezpiecznymi pod rządami ustawy, zabraniającej wybijania monety srebrnej i rzeczywiście od czasu jej wprowadzenia, nie widzi się wcale niepokojącego zmniejszania się ilości złota, krążącego we Francyi, — to też czekają korzystniejszej sposobności, n. p. otwarcia Afryki środkowej dla europejskiego handlu, co podniesie wartość srebra. Polityka tego *status quo* zdaje się być rzeczywiście najrozumniejszą. Nie byłoby to wcale nieszczęściem, byłoby nawet dobrodziejstwem, gdyby się świat podzielił na kraje złotego monometalizmu, srebrnego monometalizmu i kraje bimetalizmu, służące za pośrednika między nimi. Bezwątpienia położenie bimetalicznych jest nieco trudniejszem: muszą bronić zawsze tej monety, która znajduje się w zwyżce, choć można to osiągnąć w pewnej mierze, a nawet gdyby musiały odstąpić zagranicy części monety zwyżkowej, byłoby to ostatecznie rodzajem czynności handlowej, bo nie odstąpiłyby jej za darmo, lecz za zapłatą pewnej premii. Zresztą można mieć nadzieję, że znowu powróci równowaga obu kruszców, bądź przez wzrost wartości srebra, gdy całe Chiny i Afryka otworzą się dla handlu Europy i Stanów Zjednoczonych, bądź też przez potanienie złota, wskutek znacznego wzrostu produkcyi[1]).

Zwolennicy bimetalizmu idą jeszcze dalej; twierdzą bowiem, że niema żadnej trudności, wypływającej z istoty bimetalizmu, któraby stała na przeszkodzie wprowadzeniu go drogą układu międzynarodowego wszystkich ludów cywilizowanych z przyjęciem stosunku 1:15½ lub jakiegokolwiek innego.

Przeciw temu twierdzeniu występują szczególnie eko-

[1]) Produkcya złota wzrasta bardzo silnie od lat kilkunastu, dzięki kopalniom odkrytym w południowej Afryce. Podczas gdy w r. 1883 wartość świeżo wydobytego złota wynosiła 500 milionów kor., to w r. 1894 wynosiła 900 milionów kor., w r. 1897: 1190 milionów kor., a w r., 1904: 1703 milionów kor. *(Przyp. tłum.)*

nomiści szkoły klasycznej. Nie może bowiem zależeć, zdaniem ich, od woli rządu lub nawet od wszystkich rządów połączonych ze sobą, ustalenie stosunku wartości złota i srebra na zawsze, tak samo, jak nie można go ustalić między wołami a baranami, lub pszenicą a owsem. Wartość rzeczy utrwala wyłącznie prawo popytu i podaży, usuwające się zupełnie z pod władzy ustawodawczej, a wartość szlachetnych kruszców nie stanowi wyjątku od ogólnego prawidła.

Rozumowanie to szkoły klasycznej nie zdaje się nam całkiem trafne. Złoto i srebro nie są wcale towarami, któreby można zestawiać na równi z wołami i baranami lub innemi dobrami, a to dlatego, że ich głównem zadaniem jest służyć jako materyał monetarny. Stąd mówiąc o popycie na kruszce szlachetne należy przez to rozumieć prawie wyłącznie popyt kilkunastu rządów, chcących je nabyć dla swych mennic. To też niema nic niedorzecznego w przypuszczeniu, że tych kilkunastu kupców skutecznie może się porozumieć celem ustalenia stosunku cen obu kruszców. Jeżeli oświadczą, że zakupią wszyscy kilogram złota po 3100 fr., a kilogram srebra po 200 fr., to bardzo jest prawdopodobnem, że tym sposobem naznaczą cenę targową. Zarzuca się, że dziwacznem jest twierdzenie, jakoby można zawyrokować wartość wołu równą zawsze dziesięciu baranom, a hektolitra pszenicy równą dwu hektolitrom owsa. Niezawodnie, bo targ na te towary jest ogromny, a każdy z nas swymi osobistymi zakupami nań wpływa. Lecz gdyby na świecie było tylko kilkanaście osób, któreby nabywały barany lub woły, to prawdopodobnie od nich tylko zależałoby drogą układu ustanowić cenę w stosunku 1:10 lub w innym, któryby uznały za odpowiedniejszy. Wypadek ten zachodzi zbyt często w handlowych spekulacyach, przedsiębranych przez połączenie wielkich firm handlowych w t. zw. k a r t e l e lub t r u s t y.

Bezwątpienia nie należy wniosku tego posuwać zbyt daleko. Wynika samo z siebie, że nie leżałoby w możności

rządów, choćby jednomyślnych pod tym względem, zawyrokować, że odtąd złoto i srebro będą sobie równe co do wartości, lub co więcej, że stosunek będzie odwrotny i że odtąd 1 kilogram srebra będzie wart $15^1/_2$ kilogramów złota! Dlaczego podobne orzeczenie stałoby się martwą literą? Bo przemysłowe zużycie szlachetnych kruszców, choć jest mniejszego znaczenia niż monetarne, nie znikłoby wcale, a byłoby dostatecznem, aby przeszkodzić ustaleniu stosunku tak dziwacznego, jak powyższy. Wszystkie rządy całego świata mogłyby postanowić, że srebro równa się co do wartości złotu, lecz nigdy nikt nie zapłaciłby za zegarek lub pierścionek srebrny tej samej ceny, co za zegarek lub pierścionek złoty.

Lecz w rozumnych granicach nie wahamy się ani chwili z wypowiedzeniem twierdzenia, że układ międzynarodowy mógłby skutecznie wpłynąć na ustalenie stosunku wartości obu kruszców i, co za tem idzie, usunąć główną niekorzyść bimetalizmu, a mianowicie ucieczkę to jednego to drugiego kruszcu. Gdzieby bowiem uciekał, gdyby świat cały podlegał jednemu i temu samemu prawu?

Inna rzecz, czy taki układ międzynarodowy jest wogóle możliwy. Wobec odpornego stanowiska Anglii, bez której międzynarodowy bimetalizm nie mógłby się utrzymać i dążenia wszystkich państw większych do waluty złotej, trudno spodziewać się, aby nadzieje bimetalistów mogły się spełnić w niedalekiej przyszłości. Zresztą cała kwestya waluty podwójnej straciła już dzisiaj znaczną część swej aktualności, bo niema już obawy braku złota, która była jednym z najgłówniejszych argumentów bimetalistów.

Przeciwnicy waluty złotej zarzucają jej głównie następujące skutki, szkodliwe dla gospodarstwa społecznego:

1) Waluta złota jest d r o g a, t. zn. pieniądz ma wysoką siłę kupna, dzięki niewielkiej swej ilości. Wskutek tego spada cena wytworów, tak, że producent znajduje się w położeniu niekorzystniejszem od

konsumenta. Zyskują na niej przeto przedewszystkiem warstwy ludności, posiadające stałe dochody pieniężne, lub zajmujące się obrotem kapitałów pieniężnych (finansiści, urzędnicy i t. d.), tracą właściwe klasy wytwórcze. Jest to zarzut o tyle nie zupełnie uzasadniony, że jak widzieliśmy wyżej, drożyzna waluty zależy nie tyle od ilości pieniędzy ile raczej od ilości wszystkich środków wymiennych i od szybkości ich obrotu. Ponieważ rozwój techniki gospodarczej dąży ku coraz krótszym okresom wymiennym i ku regulowaniu wypłat przy pomocy środków i instytucyi kredytowych (czeki, przekazy, rachunki bieżące, izby wyrównawcze i t. d.), przeto wpływ ilości pieniędzy na ceny towarów musi być coraz mniejszy.

2) Wskutek drożenia pieniądza dłużnik musi wierzycielowi zwrócić więcej, aniżeli od niego otrzymał, bo kapitał wypożyczony dawniej miał mniejszą siłę kupna niż dzisiaj. Przeciw temu przemawiają argumenty przytoczone poprzednio, o ile chodzi o stosunek kredytowy, zawarty już w czasie panowania waluty złotej. Natomiast, jeżeli zobowiązanie zaciągnięto za czasów waluty srebrnej lub podwójnej, a uiszczenie przypada na okres waluty złotej, dłużnik istotnie byłby pokrzywdzony, gdyby określono niewłaściwie stosunek wartości dawnego i nowego pieniądza. Jest to więc sprawa dobrego doboru relacyi, a nie kwestya waluty złotej, jako takiej.

3) Pełnowartościowy pieniądz złoty musi mieć wartość stosunkowo wysoką, gdyż ze względów praktycznych nie można wybijać monet zbyt drobnych. Wskutek tego powstaje konieczność wielkiej ilości pieniędzy zdawkowych, tak, że szczególniej ludność uboższa i ci wszyscy, którzy pobierają dochody niewielkie w krótkich odstępach czasu (zarobki dzienne, tygodniowe) będą używać prawie wyłącznie monety zdawkowej. Innemi słowy, otrzymują oni za swą pracę

lub swe wytwory cenę w istocie rzeczy za nizką, bo wewnętrzna wartość monety zdawkowej jest niższa od nominalnej. Stąd też w razie jakiegoś kataklizmu państwowego lub nawet wycofania z obiegu pieniędzy zdawkowych są oni narażeni na straty. W zasadzie zarzut ten jest słuszny, w praktyce jednak posiada większą doniosłość tylko tam, gdzie ludność stoi na nizkiem stopniu gospodarczej kultury i albo tworzy oszczędności z monety zdawkowej w kształcie nie fruktyfikowanych skarbów, albo przy zmianach monetarnych nie wymieni jej na nowy pieniądz w czasie przejściowym, zawsze dosyć długim. Upadek państwa niema tu żadnego znaczenia, gdyż państwa przyjmują dzisiaj już zawsze zobowiązania państw, które zabrały lub przyłączyły.

4) Waluta złota utrudnia konkurencyę krajową z zagranicą, gdyż tworzy premię przywozową dla wytworów obcych, a na własne działa jak cło wywozowe. Ponieważ pieniądz złoty posiada większą siłę kupna od srebrnego, a producentowi chodzi zawsze o to, ażeby otrzymał za swój towar odpowiednią cenę w walucie krajowej, przeto wywożąc towar do kraju, w którym panuje waluta srebrna, musi żądać za niego więcej, gdyż to srebro wypadnie potem zmienić na złoto. Wyobraźmy sobie dwóch producentów pracujących w zupełnie równych warunkach, tak, że każdy z nich może sprzedać swój wytwór za tę samą cenę. Każdy z nich jednak oblicza ją w walucie krajowej, a więc Anglik w funtach szterlingach na 100 Ł, które równają się 2500 frankom, lub nominalnie dawniejszym 625 rs. W rzeczywistości jednak sto funtów warte jest mniej więcej 960 rs., tak że Anglik, chcąc sprzedać w Rosyi swój towar, musi zażądać za niego tę kwotę, t. z. o 335 rs. więcej, tylko wskutek tańszej waluty. Te 335 rs. działają w taki sam sposób, jak gdyby w Rosyi nałożono cło w tej

wysokości na towary angielskie, lub co na jedno wychodzi, jak gdyby każdy Anglik, wywożący swe wyroby do Rosyi, musiał uiścić tę kwotę w chwili, gdy jego towar opuszcza ojczyznę. Wręcz odwrotne jest położenie fabrykanta rosyjskiego, sprzedającego swe wytwory w Anglii. Ma on otrzymać 625 rs, ponieważ jednak cenę ustanawia w walucie angielskiej, wystarczy mu dostać około 66Ł, bo te zmienione na ruble wynoszą 625 rs. Anglik, który pracuje w zupełnie indentycznych warunkach musi żądać 100 Ł., tak że nie może wytrzymać konkurencyi, bo angielska waluta złota zapewnia przedsiębiorcy rosyjskiemu premię 34 Ł.

Wywody te są tylko w części prawdziwe, gdyż opierając się na pojęciu drogiej i taniej waluty, o ile chodzi o handel zagraniczny, zapominają o jej wpływie na targ wewnętrzny. Prawda, że w rublach wypadnie żądać więcej za towar angielski, lecz tylko o tyle, o ile jego siła kupna będzie wogóle mniejsza, a w takim razie towary rosyjskie wytwarzane nawet w równych warunkach z angielskimi, muszą być droższe. Cena jest wypadkową z wartości wytworu, który nabywamy i towaru, który ofiarowujemy w zamian, w tym wypadku pieniądza. Jeżeli więc rubel będzie miał wartość o trzecią część mniejszą, towar będzie o trzecią część droższy nawet w Rosyi, a więc w naszym przykładzie stosunek nie będzie 100 Ł do 625 rs. lecz do 833 rs. Zresztą niema potrzeby, ażeby Anglik przemieniał otrzymane ruble na swoją walutę, bo może nabyć inne towary rosyjskie i naodwrót, eksporter rosyjski, będzie musiał żądać pełnych 100 Ł, jeżeli chce za nie kupić inne towary w Anglii. Ponieważ w ten właśnie sposób kształtują się rzeczywiste stosunki, szczególniej pod wpływem używania weksli międzynarodowych, jak to zobaczymy dalej, przeto wpływ drogiej waluty na siłę konkurencyjną

krajowej produkcyi nie jest bynajmniej tak znaczny i niekorzystny, jak to przedstawiają zwolennicy bimetalizmu.

ROZDZIAŁ III.

PIENIĄDZ PAPIEROWY.

I.

Czy można pieniądz kruszcowy zastąpić papierowym?

Gdybyśmy nie wiedzieli już z praktyki, z ciągłego stykania się z tem zjawiskiem, że można pieniądzem papierowym zastąpić kruszcowy, trudnoby nam przyszło temu uwierzyć i pytanie umieszczone w nagłówku tego rozdziału wydałoby się nam dziwnem.

Jasną jest rzeczą, że nie można zastąpić zboża, węgla lub jakiegokolwiek innego dobra prostymi świstkami papieru, na którychby się kazało wypisać 100 hektolitrów zboża lub 100 cetnarów węgla; papierki te nas nie pożywią, ani nie ogrzeją. Gdybyśmy nawet mieli zwyczaj używania pieniędzy w celach ozdoby, jak to czynią córy Wschodu, wieszając złote i srebrne cekiny na szyi, jasnem jest również, że kawałki papieru nie zrobiłyby tego wrażenia. Wiemy jednak, że zadanie, które spełniają pieniądze w naszych cywilizowanych społeczeństwach, jest zupełnie nie materyalnem. Sztuka monety nie jest niczem innem, jak przekazem (bonem), dającym nam prawo nabycia pod pewnymi warunkami części istniejących dóbr. Otóż rolę przekazu może grać świstek papieru równie dobrze, jak kawał kruszcu.

Aby lepiej wyjaśnić to, wypada rozróżnić trzy rodzaje pieniądza papierowego:

1) Pieniądz papierowy reprezentacyjny, który

tylko przedstawia odpowiednią ilość gotówki, złożonej gdzieś, n. p. w kasie jakiegoś banku, a służącej jako poręczenie. Tak to rząd Stanów Zjednoczonych widząc, że ogół nie lubi zbytnio srebrnych dolarów, zatrzymuje je w swych kasach, zastępując je w obiegu zapomocą t. zw. srebrnych certyfikatów *(silver certificates)*, będących właśnie dlatego, że są świstkami papieru, znacznie wygodniejszymy do użycia. Ta pierwsza postać papierowego pieniądza nie może przedstawiać żadnych trudności w praktycznem zastosowaniu.

2) Pieniądz papierowy kredytowy, przedstawiający się w formie tytułu pożyczki, właściwie w kształcie przyrzeczenia wypłaty pewnej ilości pieniędzy. Jasnem jest, że wartość tej wierzytelności zależy wyłącznie od wypłacalności dłużnika; lecz, jeżeli dla tego lub owego powodu mamy zupełną wiarę w tę wypłacalność, jeżeli, jak się często mówi w języku giełdowym, »obligacya warta jest złota«, natenczas niema, rzecz jasna, przyczyny, dla którejby ten kawałek papieru nie miał obiegać z równą łatwością, jak pieniądz kruszcowy. Bilety bankowe należą wogóle do tej kategoryi, wyjąwszy niektóre szczególne wypadki, które poznamy niżej.

3) Pieniądz papierowy umowny, niczego nie przedstawiający i do niczego nie dający prawa — dla którego zachowuje się zwykle miano pieniądza papierowego *(papier-monnaie)* w znaczeniu ścisłem. Należą tu n. p. kawałki papieru, puszczane w obieg przez państwo, które nie ma wcale gotówki. Noszą one, co prawda, na sobie napis: «nota na 100 fr.» lub »na 1000 fr.« i tym sposobem przybierają tak, jak poprzednie, pozory obietnicy wypłaty pewnej ilości pieniędzy. Lecz wiemy, że to jest czystą fikcyą i że państwo nigdy ich nie wypłaca gotówką, bo nie ma na to pieniędzy.

Trudnem zdaje się do zrozumienia, jak mógł pieniądz papierowy w tej to ostatniej postaci zastąpić kruszcowy i rzeczywiście nie jest to zadaniem tak łatwem

Tymczasem doświadczenie, stokrotnie powtarzane we wszystkich krajach, wykazało, że to zastąpienie było możliwem pod pewnymi warunkami, a nawet, że ludy łatwo się do niego przyzwyczajały. Rosya, Austro-Węgry i rzeczypospolite Ameryki południowej mają system ten od wielu pokoleń. Bo dlaczegóżby miało być przeciwnie? Jeżeli z woli ustawy i powszechnego uznania, które powinno zawsze pod pewnym względem zatwierdzać rozporządzenie ustawodawcy, te białe lub niebieskie kawałki papieru otrzymały zdolność pokrycia naszych zakupów, długów, podatków, dlaczegóżby nie miały krążyć równie dobrze, jak białe lub żółte monety? Przecież one nie służą nam do niczego więcej.

Mimo to należy przyznać, że między wartością pieniądza kruszcowego a papierowego będą zawsze zachodzić poważne różnice. Wartość pieniądza papierowego będzie zawsze mniej pewną, będzie się obracać w ciaśniejszych granicach terytoryalnych i będzie bardziej zmienną:

1) Wartość pieniądza papierowego jest niepewna, bo opiera się wyłącznie na woli ustawodawcy i ta sama ustawa, która ją powołała do życia, może ją znieść. Jeżeli ustawa odbiera papierowi znaczenie monety, w rękach jego posiadacza zostanie świstek bez wartości; ze stratą prawem przyznanej wartości traci on wszystko. Wcale inaczej przedstawia się rzecz przy pieniądzu kruszcowym. Poza swą wartością ustawową ma on jeszcze wartość zwykłą, codzienną, którą zawdzięcza właściwościom fizycznym i chemicznym kruszcu w nim zawartego. Bezwątpienia, jeżeliby złoto i srebro utraciło znaczenie pieniądza w całym świecie, pieniądz kruszcowy utraciłby największą część swej wartości; niema się co łudzić pod tym względem, a zniżka obecna pieniądza srebrnego, wywołana odmówieniem srebru charakteru monetarnego w kilku tylko krajach (po 1873 r.) dowodzi tego aż nadto wymownie. W każdym razie jednak, nawet przyjąwszy powyższe założenie, musimy stwierdzić, że szlachetne kruszce mimo to przedstawiałyby

pewną użyteczność, bo możnaby ich używać do celów przemysłowych, a ponieważ tem częściej i w tem większych rozmiarach używanoby ich, im mniejszą byłaby wartość kruszcu, możliwem jest, że zniżka nie byłaby tak wielką, jak przypuszczamy. Przypuśćmy, że wartość szlachetnych kruszców spadłaby do $^1/_3$ lub $^1/_4$ wartości obecnej, mimo to jednak w rękach posiadaczy monet zostałaby pewna wartość, którejby im ustawa nie mogła odebrać, prawdopodobnie nawet wartość wyższa od wszystkich innych towarów.

2) Wartość pieniądza papierowego jest więcej ograniczoną terytoryalnie, bo opierając się na ustawie, nie może się rozciągnąć poza granice tego terytoryum, które ustawie owej podlega, nie może więc służyć do wymiany międzynarodowej. Przeciwnie wartość pieniądza kruszcowego, normowana wartością kruszcu, równą jest mniej więcej w całym cywilizowanym świecie; może on krążyć wszędzie, jeżeli nie jako pieniądz, to przynajmniej jako kawałek kruszcu. Oto dlaczego pieniądz kruszcowy jest z istoty swej powszechnym i międzynarodowym, podczas gdy pieniądz papierowy z istoty swej jest państwowym.

3) Wreszcie wartość pieniądza papierowego jest zmienniejsza niż pieniądza kruszcowego, a to dla tej prostej przyczyny, że cała ilość papierowego pieniądza zależy jedynie od ustawodawcy, natomiast pieniądza kruszcowego wyłącznie od przyczyn naturalnych, mianowicie od odkrycia nowych pokładów złota lub srebra. Papier puszczają w obieg ludzie, kruszec przyroda. W ręku ustawodawcy nieprzezornego leży możność obniżenia wartości pieniądza papierowego przez puszczenie w obieg zbyt wielkiej ilości, co się niejednokrotnie zdarza, lecz nie leży to w mocy żadnego rządu obniżyć w ten sposób wartość pieniądza kruszcowego. Gdyby nawet państwo puszczało w obieg ilość oznaczoną pieniądza papierowego, ukazywałyby się te same braki, bo potrzeby zmieniają się z biegiem czasu i jeżeli po czasie ruchu handlowego, wymagającego zwiększenia ilości środków

wymiany nastąpi, co się najczęściej zdarza, czas zastoju, okaże się ilość papierowych pieniędzy zbyt wielką.

Prawdą jest, że odkrycie pokładów wyjątkowo bogatych może rzucić w świat w danej chwili znaczną ilość drogich kruszców i, co za tem idzie, sprowadzić zniżkę wartości pieniądza kruszcowego. Prawdą jest również, że jeżeli po epoce ruchu nastąpi epoka zastoju, może być w danym kraju zbyt wiele pieniędzy kruszcowych. Zdarza się to niejednokrotnie, lecz zmiany te nie przybierają nigdy tak wielkich rozmiarów i nie wywołują tak smutnych następstw, jakie pociąga za sobą wszelka zmiana w ilości pieniądza papierowego, bo rozciągają się na cały świat cywilizowany; wszędzie poszukiwane i przyjmowane kruszce szlachetne, jeżeli się znajdują w jednym kraju w zbyt wielkiej ilości, szybko odpływają do innego, podczas gdy nagłe wezbranie papierowych pieniędzy, ograniczone na pewien oznaczony kraj, tworzący jakby zamknięty zbiornik, poza który nie może wypłynąć, jest zgubnem.

Dopiero co zaznaczone niekorzyści, powodujące, że pieniądz papierowy jest w stosunku do kruszcowego tak niedoskonałym środkiem wymiany, — zmniejszają się w znacznej mierze, jeżeli mamy do czynienia z rozumnym rządem, który puszcza w obieg taką ilość pieniędzy papierowych, jaka jest niezbędnie potrzebną dla zaspokojenia potrzeb cyrkulacyi i odpowiednio do zasad, które poznamy niżej. Zniknęłyby zaś prawie w zupełności, gdyby sobie można wyobrazić międzynarodowy układ, zawarty między wszystkimi krajami cywilizowanymi, mocą którego zobowiązałyby się one:

1) nadać kurs ustawowy pieniądzowi papierowemu;

2) nie zwiększać jego ilości lub zwiększać ją tylko w stosnnku z góry oznaczonym i osobno obliczonym dla każdego kraju, n. p. według wzrostu ludności.

W tym razie wartość pieniądza papierowego, choć umowna tylko i sztuczna, opierająca się na jednomyślnej zgodzie narodów, spoczywałaby odtąd na podstawie równie

szerokiej a nawet pewniejszej, niż wartość samego pieniądza kruszcowego i prawdopodobnie byłaby mniej zmienną, skoro jej ilość zamiast zależeć od przypadku, zawisłą byłaby od stałej i znanej ustawy.

II.

Czy stworzenie pieniądza papierowego jest stworzeniem nowego dobra?

Ludzie, którzy pierwsi wpadli na myśl robienia pieniędzy papierowych, mniemali, że tym sposobem zwiększą społeczny majątek tak, jakby odkryli pokład złota lub dokonali wielkiego dzieła przemiany kruszców, o którem marzyli alchemicy.

W tej postaci myśl ich była oczywiście absurdem, bo przypuszczali tworzenie bogactw z niczego. A jednak śmieszniejszą starano się ją zrobić, niż na to zasługuje, bo jest wielką prawdą, że puszczenie w obieg pieniędzy papierowych może pomnożyć w pewnej mierze ilość dóbr, znajdujących się w pewnym kraju. Lecz jakim sposobem? Pierwszy Adam Smith wyjaśnił to zjawisko; spostrzegł on, że pieniądz kruszcowy, obiegający w danym kraju, jest kapitałem nieproduktywnym i że zastąpienie go papierowym, oddając kapitał ten do rozporządzenia, pozwala go użyć w dziedzinie produkcyjnej. Tak samo mówił on w sławnem odtąd porównaniu: gdybyśmy mogli podróżować w powietrzu, możnaby oddać pod uprawę i produkcyę całą powierzchnię ziemi, zajętą obecnie na drogi.

Znakomite porównanie Adama Smitha pozostawia jednak pewną wątpliwość. Oto widzimy jasno, że z dniem, w którym nie będziemy już więcej potrzebowali dróg ani kolei żelaznych, będzie można oczyścić zajmowaną przez nie przestrzeń i oddać tym sposobem uprawie i produkcyi około 400.000 hektarów w samej Francyi, lecz wcale nie jest wi-

docznem, coby można zrobić z kruszcowym pieniądzem w dniu, kiedy się potrafimy bez niego obejść. Czy każemy go przetopić, by zrobić naczynia stołowe lub kolczyki? Zysk będzie bardzo mały. Nie! lecz umieścimy go za granicą: w tem leży zysk. Francya ma kapitał 6 miliardów mniej więcej, w postaci srebrnej i złotej monety. Ten olbrzymi kapitał służy do wymiany, lecz nie przynosi żadnego dochodu; przypuśćmy że znajdziemy sposób zastąpienia go pieniądzem papierowym: oto 6 miliardów można będzie umieścić za granicą, bądź to kupując papiery rentowe, akcye kolei żelaznych, ziemie, okręty, bądź odnawiając zasób narzędzi przemysłowych lub rolniczych, co w ten lub ów sposób może Francyi przynieść 4—5%, t. j, 240—300 milionów dochodu. Zachodzi tu ten sam wypadek, co z ojcem rodziny, który mając kilka milionów franków w srebrach i sądząc, że równie dobrze mogłoby służyć srebro chińskie, sprzedaje swe srebra dla zwiększenia dochodów; lub z człowiekiem, który świadom tego, że pieniądz, spoczywający w kieszeni lub kufrze, nie przynosi dochodu żadnego, stara się o to, by zatrzymywać u siebie tylko niezbędnie potrzebną ilość, a resztę umieszczać na procent. Najbogatsi, zwłaszcza w Anglii, mają najczęściej najmniej gotówki u siebie. Wieśniak ma skrytkę w swej szafie pełną napoleonów lub dukatów, lecz milioner dla zapłacenia swego dostawcy daje mu czek na swego bankiera. Narody robią dziś podobnie: najbogatsze mają najmniej pieniędzy. Kiedy Francya ma ich 6 miliardów, Anglia zadowalnia się trzema, a reszty używa do produkcyi.

A więc, jeżeli się stawia pytanie: czy leży w mocy państwa lub nawet banków zwiększenie rzeczywiste bogactwa kraju przez puszczenie w obieg pieniądza papierowego, nie jest dość ścisłem odpowiadać na to stanowczem przeczeniem. W rzeczy samej można cel ten osiągnąć, lecz tylko w granicach zakreślonych przez ilość obiegowej monety kruszcowej. Zastępując 6 miliardów gotówki we Francyi odpowiednią ilością papierów, puszczenie takie w obieg pieniądza papierowego mogłoby rzeczywiście wywołać zwiększenie majątku tylko o 6 miliardów, a nawet trudnoby było dojść aż do tej cyfry bez sprowadzenia zniżki jego wartości.

Trzeba jednak zaznaczyć, że dopiero co wskazany zysk możnaby osiągnąć w kilku krajach, lecz nie we wszystkich naraz. Kraj dany może użyć swego zasobu kruszcowego w sposób produkcyjny, oddając go zagranicy, lecz gdyby wszystkie państwa chciały to samo uczynić, — żadneby nie było w stanie tego dokonać. Gdyby wszystkie kraje ofiarowały gotówkę w złocie i srebrze, chcąc się jej pozbyć, to ponieważ niktby jej przyjąć nie chciał, stałaby się towarem nagromadzonym w zbyt wielkich zapasach, a stąd bez wartości.

W każdym razie jednak, nawet gdybyśmy przyjęli to dość zresztą nieprawdopodobne założenie, ród ludzki zyskałby bardzo wiele, obchodząc się bez szlachetnych kruszców. Oszczędzałby odtąd całą pracę, którą rok rocznie poświęca na utrzymywanie swego zasobu kruszcowego, na przemianę sztab w pieniądze, na wypełnianie próżni, którą wywołuje codziennie ścieranie się i przypadkowe straty, a przedewszystkiem na utrzymanie całego zasobu na poziomie odpowiadającym potrzebom handlu i ciągle wzrastającej ludności. Mógłby ktoś myśleć, że praca ta gra małą rolę: roczna produkcya złota i srebra w świecie całym trzyma się od kilku lat stale powyżej półtora miliarda; otóż z drogimi kruszcami ma się rzecz jak z wszystkimi towarami, ich wartość, o ile niema monopolu, stosuje się do ilości wyłożonej pracy. Mamy więc wszelkie prawo twierdzić, że świat chcąc utrzymać i zwiększyć swój zasób kruszcu, musi corocznie utrzymywać mniej więcej od 4 do 500.000 robotników, t. j. ilość, odpowiadającą wielkiej armii. Usuńmy konieczność używania szlachetnych kruszców, a wszystkie tu zajęte ręce będą do rozporządzenia na inne cele produkcyjne; tak więc wzrośnie siła produkcyjna ludzkości.

Z powyższego się okazuje, że pieniądz papierowy powiększa bogactwo kraju, nie, jak sądzono dawniej, w miarę zwiększenia zapasu kruszcowego, lecz przeciwnie w miarę, jak pozwala na jego zmniejszenie.

Oto jest korzyść, jaką może przynieść puszczenie w obieg pieniędzy papierowych w danym kraju. Jeżeli ktoś zapyta się, jaką korzyść finansową może przynieść puszczenie w obieg pieniądza papierowego państwu, odpowiedź jest daleko łatwiejszą. Jeżeli skarb ma za mało pieniędzy, stworzenie pieniędzy papierowych jest dla niego bardzo wygodnym środkiem zapłacenia swych dostawców, urzędników, żołnierzy lub rentyerów, pokrycia jednem słowem wszystkich swych wydatków bez potrzeby pożyczania i, co za tem idzie, płacenia procentu. Wogóle ilekroć państwo znajduje się w tem położeniu, to widocznie nie cieszy się zbyt wielkim kredytem; to też gdyby musiało pożyczyć, wysokość procentu byłaby prawdopodobnie znaczną; pieniądz papierowy pozwala w tym razie dokonać oszczędności nie do pogardzenia. Wiele też państw uciekało się do tego środka i zwykle z korzyścią, pod warunkiem oczywiście, że w swych emisyach trzymało się granicy wyżej wskazanej, którą przedstawia ilość pieniądza kruszcowego w obiegu. Każda emisya, przechodząca tę granicę, musiałaby pociągnąć za sobą utratę wartości i spowodowałaby dla państwa samego i dla kraju straty, przewyższające znacznie oszczędność osiągniętą.

III.

Niebezpieczeństwa, wynikające z używania pieniądza papierowego i środki, służące do ich uniknięcia.

Korzyści, które pieniądz papierowy może przynieść czy krajowi czy państwu, są więc rzeczywistemi, lecz nie jest wykluczonem, że się je drogo opłaca, być może nawet

wyżej ich wartości. To też nawet ktoś twierdził, że wynalazek pieniądza papierowego »więcej klęsk wywołał, więcej sprawił złego i zabił więcej ludzi, niż sama wojna«.

W każdym razie należy zaznaczyć, że te smutne skutki trzeba przypisać raczej nieroztropności rządów, niż samej istocie pieniędzy papierowych; zdarzają się zaś one faktycznie tylko wtedy, jeżeli rząd chciał przekroczyć już wskazaną granicę i puścić w obieg więcej pieniędzy papierowych, niż było potrzeba (potrzeby mierzy dostatecznie ilość pieniędzy kruszcowych będących zwykle w obiegu). Niestety pokusa jest wielką dla zadłużonego rządu przekroczyć tę granicę fatalną, bo też wiele już rządów ją przeszło i skończyło bankructwem.

W każdym razie można powiedzieć, że przy obecnym stanie wiedzy ekonomicznej nie można uniewinnić rządu, który ją przekracza. Wistocie są pewne objawy, zrozumiałe dla ekonomisty i finansisty, po których można poznać niebezpieczeństwo nawet z daleka, a które dają wskazówki lepsze i pewniejsze, niż może je dać ołów sondy lub znaki morskie żeglarzowi.

1. Pierwszym jest *agio* pieniędzy kruszcowych. W dniu puszczenia w obieg pieniędzy papierowych w ilości przechodzącej potrzeby, zaczynają one tracić na wartości stosownie do stałego prawa wartości, a pierwszym skutkiem tej zniżki wartości, pierwszym znakiem, który ją odkrywa, jest agio pieniędzy kruszcowych. Pieniądz kruszcowy nie bierze wcale udziału w tej rozpoczynającej się zniżce wartości środka wymiany, bo i dlaczegóżby miał dzielić jego losy, skoro złoto i srebro zachowało wszędzie swą dawną wartość? Bankierzy i kantory wymiany zaczynają poszukiwać kruszcu, w celu wysłania za granicę w postaci sztab i płacą małe agio, aby go dostać. Jest to chwila, wymagająca czujności finansistów[1]).

[1]) Kiedy po wojnie r. 1870 Francya była pod panowaniem pieniądza papierowego, a całe złoto przeszło do Niemiec dla zapłacenia

2. Drugim znakiem jest zwyżka kursu weksli. Wierzytelności płatne zagranicą t. j. weksle, stały się na wszystkich miejscach handlowych świata przedmiotem znacznego obrotu. Mają one oznaczony kurs, jak każdy inny towar, t. zn. kurs wymiany zwany kursem weksli. Otóż wierzytelności te na zagranicę są zawsze płatne w złocie lub srebrze, najczęściej w złocie, bo jest to pieniądz międzynarodowy. Jeżeli więc n. p. Francya jest pod rządami pieniądza papierowego, a papier ten zacznie spadać w wartości, wierzytelności na zagranicę, jak weksle na Londyn lub Brukselę pójdą w górę tak, jak samo złoto, bo wistocie wartością równają się ze złotem i jeżeli sztuka złota będzie mieć 2% agia i 20 fr. będzie się sprzedawać po 20 fr. 40 ct., to weksel na 100 fr. na Brukselę będzie mieć również agio 2% i będzie się sprzedawał po 102 fr.

3. Trzecim jest ucieczka pieniądza kruszcowego. Choćby zniżka wartości pieniądza papierowego była jak najmniejszą, to jeżeli się jej nie zatamuje bezpośrednio przez usunięcie nadmiaru papieru, lecz pozwoli trwać dalej i coraz bardziej postępować, to w krótkim czasie zniknie cały zasób pieniądza kruszcowego. Zjawisko to jest bardzo charakterystyczne i powtarza się we wszystkich krajach, gdzie pieniądz papierowy nadużył swej władzy; wyjaśniliśmy je już dokładnie przy sposobności rozbioru prawa Gresham'a — to też nie będziemy tu tego powtarzać.

4. Wreszcie czwartym jest zwyżka cen. Zjawia się ona później i wskazuje, że złe jest już poważnem i że granicę dozwoloną przekroczono już znacznie. W czasie, kiedy zniżka wartości pieniądza papierowego była małą n. p. 2—3%, ceny nie odczuwają jej jeszcze wcale (z wyjątkiem cen kruszców szlachetnych). Kapelusznik lub szewc bądź wcale nie podwyższy cen swego towaru, bądź też

długu wojennego, była chwila, w której płacono 2½% agia od złota. Było to nie wiele, lecz dość, aby zwrócić uwagę rządu, który zażegnał burzę.

czyni to tak, że sobie publiczność kupująca nie zda z tego sprawy. Lecz z dniem, w którym zniżka wartości pieniądza papierowego dosięga 10, 12 lub 15%, wszyscy kupcy i producenci podniosą swe ceny w odpowiednim stosunku[1]). Złe, ukryte można powiedzieć, dobywa się na zewnątrz i zjawia się w pełnem świetle.

Należy zaznaczyć, że dawne ceny pozostają w tej samej wysokości co dawniej dla tych, którzy mogą płacić monetą kruszcową, jeżeli jeszcze obiega: nie utraci ona bowiem na wartości, lecz zyska. Widzi się podówczas ciekawe zjawisko podwójnych cen: każdy towar odtąd ma dwie ceny — jedną płatną w kruszcowym, drugą w papierowym pieniądzu, a różnica między niemi jest dokładną miarą zniżki wartości pieniądza papierowego. Kiedy tylko spostrzeże rząd powyższe objawy, mianowicie agio złota lub zwyżkę kursu weksli, pierwszym jego obowiązkiem jest zakazać stanowczo wszelkiego dalszego wypuszczania w obieg papierowych pieniędzy, już bowiem doszły one do granicy, przy której winne się zatrzymać. Jeżeli jednak rząd na nieszczęście już ją przekroczył i jeżeli widzi się, że skutkiem tego zjawia się ów groźny objaw zdwojenia cen, powinien dołożyć wszelkich starań, by wrócić wstecz i niszczyć pieniądz papierowy w miarę, jak wraca do kas, aż się sprowadzi odpowiedni stosunek ilościowy. Ten heroiczny środek jednak, który w następstwie wywołuje częściowe zmniejszenie dochodów państwowych, nie leży w możności wszystkich rządów. Aby go

[1]) Kupcy i producenci nie gniewają się na tę zwyżkę; przeciwnie, znajdują ją bardzo korzystną (choć w rzeczywistości jest iluzoryczną, bo jeżeli sprzedają drożej, to sami kupują także drożej) i przyzwyczajają się do niej tak łatwo, że przywiązują się do rządów pieniądza papierowego i sprzeciwiają się jego usunięciu, coby przywróciło dawne ceny. Kiedy Stany Zjednoczone były pod panowaniem papierowej monety, było osobne stronnictwo, nazywane charakterystycznem imieniem »Inflacyonistów«, dokładające wszelkich starań, by je zatrzymać i dziś jeszcze pragnące jego powrotu.

zastosować, trzeba mieć możność obejścia się bez pewnej części dochodów t. j. trzeba mieć w budżecie nadwyżkę.

IV.

Jak można usunąć pieniądz papierowy?

Jeżeli pieniądz papierowy przedstawia tę korzyść, że się oszczędza pieniądza kruszcowego, to uzyskuje się ją tylko kosztem ciężkich strat, a nawet wielkich niebezpieczeństw. Gdyby więc można znaleść jakiś sposób zaoszczędzenia pieniędzy kruszcowych bez uciekania się do tego niebezpiecznego środka — to byłoby to z pewnością wielkiem dobrodziejstwem.

Otóż środek ten istnieje: jest on zarazem znacznie radykalniejszy i mniej szkodliwy. Polega on po prostu nie na zastąpieniu środka wymiany kosztownego przez inny mniej kosztowny, lecz na usunięciu wogóle środka wymiany.

Oto, jak należy rozumieć ten system. Przedewszystkiem zastępuje się sprzedaż za gotówkę t. j. wymianę towarów za pieniądze, sprzedażą na termin t. j. wymianą towarów za wierzytelność — bo tak się ostatecznie rzecz przedstawia: oddaję ci towar, a zato otrzymuję obietnicę zapłaty w postaci weksla.

Następnie, stworzywszy już te wierzytelności, należy się zająć ich uiszczeniem w inny sposób, niż drogą spłaty gotówką kruszcową. To też nauka prawa dostarcza nam w tym kierunku różnych sposobów osiągnięcia tego celu n. p. przez kompenzacyę, przy której dwie wierzytelności gasną, skoro dwie osoby znajdują się względem siebie równocześnie w położeniu dłużnika i wierzyciela; przez zlanie się, kiedy jedna osoba jest równocześnie dłużnikiem i wierzycielem; wreszcie przez nowacyę, jeżeli wierzytelność gaśnie skutkiem stworzenia nowej.

Wielkie skomplikowanie społecznych stosunków i okoliczność, że każdy z nas lub przynajmniej każdy producent jest raz nabywcą, raz sprzedającym, ułatwia w wysokim stopniu użycie tych różnych sposobów uiszczania się z wierzytelności, niemożliwego na pierwszy rzut oka.

Po raz pierwszy zastosowano formy kredytowe i zaczęto obchodzić się bez pieniędzy w handlu międzynarodowym. Trudność i niebezpieczeństwo przewożenia wielkich ilości gotówki na znaczne odległości poddały myśl, zdaje się Lombardom, utworzenia weksla. Obaczymy jak w praktyce dochodzi się tego celu. Przypuśćmy, że kupcy francuscy sprzedali za 100 milionów fr. wina do Anglii. Sprzedali na termin t. j. zamiast otrzymać gotówkę, dostali na 100 milionów fr. weksli na swych dłużników angielskich. Przypuśćmy, że towarzystwa angielskie kopalń węgla kamiennego sprzedały ze swej strony za 100 milionów fr. węgla przemysłowcom francuskim i otrzymały równowartość w wekslach, płatnych we Francyi. Jeżeli przemysłowcy francuscy zechcą swe zakupy pokryć, czyż poszlą 100 milionów gotówką? Nie! Poproszą po prostu handlarzy wina o odstąpienie owych 100 milionów efektów płatnych w Anglii (nie będzie im trudno ich dostać, bo jak zobaczymy istnieje kategorya ludzi zwanych bankierami, których zajęciem jest właśnie handel wekslami t. j. szukanie papieru płatnego na zagranicę, aby go odstąpić temu, który go potrzebuje) i poszlą swym wierzycielom, t. j. owym właścicielom kopalń węgla, w miejsce 100 milionów w gotówce, odpowiednią wartość w wierzytelnościach do ich współobywateli Anglików. Tak uniknie się przewożenia dwukrotnego przez morze tego samego zasobu pieniędzy.

Prawda, że ten przykład przypuszcza istnienie dwu krajów nawzajem będących wierzycielami i dłużnikami na sumy zupełnie te same, co jest założeniem niezbyt prawdopodobnem. Lecz, jeżeli się to nie zdarza w praktyce, można dojść do tego inną drogą. Przypuśćmy, że Francya

zakupiła za 50 milionów herbaty w Chinach, a nic im nie sprzedała. Kompenzacya jest więc, napozór, niemożliwą i zdawałoby się, że Francya musi przesłać Chinom tych 50 milionów w gotówce. A jednak nie jest to wcale koniecznem. Jeżeli sami bowiem nie sprzedaliśmy Chinom niczego, to jest wiele innych krajów, które im coś sprzedały, są więc ich wierzycielami. Wystarczy zupełnie zwrócić się do tych krajów i postarać się o odstąpienie ich wierzytelności, a w ten sposób, będąc już wierzycielami Chin, będziemy mogli z łatwością potrącić swą pretensyę. N. p. możliwem jest, że Anglia sprzedała Chinom za 50 milionów opium; w tym wypadku Francya postara się o odstąpienie tej wierzytelności (w języku techniczym: zakupi w Londynie papiery płatne na Shanghai lub Hong-Kong). Lecz powie ktoś — w każdym razie Francya będzie musiała zapłacić 50 milionów czy Anglii czy Chinom, czyż to nie jest obojętne? Owszem, to wcale nie jest obojętnem, bo wystarczy, by Francya stała się wierzycielem Anglii na 50 milionów (n. p. za sprzedane wina), aby wyrównać wymianę między trzema krajami bez rozwiązywania trzosa.

Bez tych świetnych kombinacyj handel międzynarodowy byłby wprost niemożliwy, bo Francya musiałaby corocznie płacić gotówką 4—5 miliardów za dowiezione towary, a skąd wzięłaby tak olbrzymią ilość pieniędzy? Nie posiada ich w całym obiegu więcej i w istocie gotówka, przewożona z kraju do kraju, przedstawia tylko mały ułamek, najwyżej 8 do 10% wartości wymienionych towarów. W stosunkach między osobami prywatnemi da się zaznaczyć znacznie mniejszy postęp pod tym względem.

Dla uregulowania wymiany między jednostkami bez pośrednictwa pieniędzy można przedewszystkiem użyć tego samego systemu, który stosuje się między dwoma krajami, t. j. sprzedaży na termin, wystawiając weksle i puszczając je w obieg na tak długo, dopóki nie zgasną skutkiem potrącenia lub zlania się dwóch pretensyi. Jestem, dajmy na to, adwokatem, a jeden z mych klientów, handlarz win,

winien mi jest pewną ilość pieniędzy. Zamiast mi ją zapłacić, podpisuje weksel, a ja chcąc zapłacić mego księgarza, mogę mu dać ten weksel. Jeżeli przypadkiem księgarz zaopatruje się w wina u mojego handlarza — ze swej strony zamiast płacić, odda mu tylko ten weksel.

Można sobie wyobrazić jeszcze prostszy w teoryi system i jeszcze łatwiejszy do zrozumienia. Przypuśćmy, że wszyscy Francuzi bez wyjątku mają otwarte *konto* w tym samym domu bankowym, który będzie obowiązanym przyjmować przychody wszystkich swych klientów, które zapisuje na ich »ma« i pokrywać wszystkie wydatki, zapisując je na ich »winien«.

Przy podobnym systemie możnaby usunąć pieniądze do ostatniego centa. Ilekroć robię zakupy, zamiast płacić swemu dostawcy, poprzestanę na poleceniu swemu bankierowi przeniesienia danej sumy na mą niekorzyść a na korzyść mego dostawcy, który znów ze swej strony postąpi podobnie przy każdorazowym zakupnie jakichkolwiek towarów. Jeżeli zamiast pokrywać swe wydatki, chcę umieścić pewną sumę pieniędzy, postąpię w podobny sposób; bank zapisze na mą niekorzyść sumę przedstawiającą wartość zakupionej obligacyi a równowartość na rzecz towarzystwa, które ją puściło w obieg lub poprzedniego jej posiadacza, który mi ją sprzedał. Na końcu roku bank poszle każdemu ze swych klientów rachunek, który wyrówna się bądź na korzyść banku, bądź na korzyść klienta. Nadwyżkę tę przeniesie się na rachunek roku przyszłego bądź na niekorzyść klienta, jak w pierwszym razie, bądź na jego korzyść, jak w drugim i tak dalej. Jasnem jest, że przy tym systemie możnaby teoretycznie wyrównywać ogół załatwianych interesów zapomocą prostego przenoszenia wpisów *(virement)*.

W Anglii stosunki tego rodzaju upowszechniają się coraz więcej. Ile razy Anglik ma zapłacić jakąś kwotę, wystawia czek na swego bankiera, zamiast uiścić gotówkę. Posiadacz czeku nie realizuje go, lecz oddaje swemu ban-

kierowi, który zapisuje na jego rachunek odpowiednią kwotę. Ponieważ wszystkie banki w Anglii są pomiędzy sobą związane licznymi interesami, tak że równocześnie są i wierzycielami i dłużnikami w stosunku do siebie, przeto i bankier nie podnosi czeku, tylko uwiadamia o nim swego zastępcę w Londynie. Tam reprezentanci wszystkich banków zbierają się codziennie w Izbie wyrównawczej (Clearing-House) i przez kompensaty rachunkowe regulują wzajemne pretensye. Roczny obrót w londyńskiej izbie wyrównawczej przenosi kwotę 200 miliardów franków, a na rozwikłanie tych olbrzymich interesów potrzeba tylko bardzo drobnej gotówki.

V.

Udoskonalenie wymiany prowadzi do wznowienia zamiany surowej.

Rozwój dopiero co wskazany, przedstawia nam ciekawe zjawisko: widocznem jest w istocie, że zdąża przez zupełne usunięcie środka wymiany do zwrotu w kierunku bezpośredniej wymiany towaru za towar czyli zamiany surowej. Rzeczywiście w tych sztucznych i skomplikowanych systemach, tworzących ostatni wyraz ekonomicznego postępu, dziwne tkwi podobieństwo do pierwotnych urządzeń ludów barbarzyńskich. Nie pierwszy to raz zaznacza historyczny rozwój ludów ten szczególny pochód umysłu ludzkiego, który doszedłszy do ostatnich granic swego biegu, zdaje się wracać do samego prawie punktu wyjścia, zakreśliwszy w ten sposób jeden z owych kręgów, tak uderzających zmysł spostrzegawczy Vica [1]).

[1]) Jest to zjawisko analogiczne do owego zwrotu, którym zajmowaliśmy się w rozdziale o handlu. Widzieliśmy, że rozwój społeczny tworzy najprzód klasę kupców, których zadaniem jest ułatwienie stosunków między producentami a konsumentami, następnie zaś

Do surowej zamiany zdąża handel międzynarodowy, bo ostatecznie każdy kraj płaci za swój dowóz wywozem, to znaczy wymienia swe wytwory na wytwory obce.

Do surowej zamiany doprowadzi nas także założenie, że wszyscy mieszkańcy danego kraju mogliby być klientami jednego i tego samego banku: jeżeli nikt nie potrzebowałby pieniędzy, wszyscy opłacaliby ostatecznie wytwory i usługi własnymi wytworami lub własnemi usługami.

Również rodzaj surowej zamiany ma miejsce w przedziwnej instytucyi t. zw. *Clearing-house* (izba wyrównawcza), bo te ogromne masy czeków, weksli, efektów handlowych, które codziennie się wymienia i kompensuje, są tylko znakami przedstawiającemi stosy skrzyń, pak, beczek, które zamieniono w naturze, to też Clearing-house dla tego, który umie patrzeć poza kulisy, jest wspaniałym bazarem podobnym do bazarów Kaszgaru lub Tombuktu z tą tylko różnicą, że zamiast wymieniać towary w naturze — wymienia się przedstawiające je papiery kredytowe.

Jednakże jakkolwiek szlachetne kruszce tracą swe znaczenie jako środki wymiany, to przecież zatrzymują je jako miernik wartości, albowiem wszystkie papiery wartościowe i bilety bankowe przedstawiają ostatecznie pewną sumę monety kruszcowej. Tylko że ta podstawa staje się z każdym dniem szczuplejszą w porównaniu z olbrzymim gmachem, który na niej wybudował kredyt. Jest to jakby niebotyczna piramida oparta na krawędzi, na którą spoglądamy z obawą, aby nie straciła równowagi.

Nie jest jednak wykluczonem, że szlachetne kruszce stracą kiedyś swój przywilej mierzenia wartości. Z łatwością można sobie wystawić ustrój społeczny, w którym jednostka wartości, używana w celu wzajemnego wyrów-

ten sam rozwój zmierza dziś do powolnego usunięcia tej klasy kupców i do odnowienia zapomocą pojedynczych i niekosztownych środków bezpośredniego związku między producentem a konsumentem.

nania rachunków, byłaby czysto fikcyjna i nie odpowiadała żadnej monecie znajdującej się istotnie w obiegu. W dziejach mamy liczne przykłady tego rodzaju pieniędzy fikcyjnych, n. p. grzywna bankowa w wiekach średnich, livre tournois w dawniejszej Francyi, a dziś jeszcze gwinea w Anglii. Dopiero gdyby wogóle monet nie było i gdyby powszechnie zaczęto się posługiwać miarą wartości czysto abstrakcyjną, możnaby w zupełności przeprowadzić system wyrównywania wzajemnych pretensyi ekonomicznych, za pośrednictwem zwyczajnych rachunkowych działań i wpisów.

ROZDZIAŁ IV.

WYMIANA MIĘDZYNARODOWA.

I.

Co należy rozumieć przez bilans handlowy?

Bilansem handlowym nazywamy stosunek wartości przywozu, do wartości wywozu. Badając statystykę przywozu i wywozu, widzimy, że między nimi niema prawie nigdy równowagi i że bilans handlowy przechyla się najczęściej na stronę przywozu, lecz nieraz i wywozu.

Weźmy n. p. wykazy handlu szczegółowego [1]) Francyi z ostatniego pięciolecia:

[1]) Handlem ogólnym lub generalnym nazywamy ogólny ruch towarów, które przechodzą granicę pewnego kraju, choćby chodziło tylko o ich przewóz do innego państwa lub pochodziły z zagranicy. Handel szczegółowy czyli specyalny obejmuje tylko ten dowóz z zagranicy, który ma w danym kraju pozostać i wywóz jedynie wyrobów krajowych. Jasną jest rzeczą, że handel ogólny jest zawsze znaczniejszy od szczegółowego, a stopień tej przewyżki zależy przedewszystkiem od położenia geograficznego.

W r. 1900	przywóz	wynosił	4698	wywóz	4109	milionów	fr.
» 1901	»	»	4369	»	4013	»	»
» 1902	»	»	4394	»	4252	»	»
» 1903	»	»	4801	»	4252	»	»
» 1904	»	»	4502	»	4451	»	»

Razem przywóz wynosił 22764 wywóz 21077 milionów fr.

Wynika więc z tego, że Francya w tym czasie kupiła za granicą za 1687 milionów fr. więcej, aniżeli sprzedała, że więc roczna nadwyżka przywozu nad wywozem wynosiła średnio 337 milionów franków.

Czyż mamy to uważać za zaprzeczenie dopiero co zaznaczonego prawa? Czyż więc Francya musiała płacić miliard co roku? To nie jest prawdopodobnem, bo łatwo jest stwierdzić drogą najpowierzchowniejszego badania faktów, że wcale nie daje się uczuwać zmniejszenie monety obiegowej. Co więcej — ilość jej zwiększyła się, dowodzą tego te same urzędy celne, które spisując wywóz i przywóz towarów, podają także przybytek i ubytek szlachetnych kruszców[1]). Oto odnośne liczby z tego samego czasu:

Rok 1900.	Przywóz	605	milionów.	Wywóz	333	mil.	fr.
» 1901.	»	526	»	»	286	»	»
» 1902.	»	538	»	»	246	»	»
» 1903.	»	441	»	»	238	»	»
» 1904.	»	753	»	»	251	»	»

Razem . . . 2863 milionów. Wywóz 1354 mil. fr.

Tak więc zapas gotówki wzrósł w tym samym okresie o więcej niż 1509 milionów, czyli o 300 milionów rocznie.

Jeżeli bierzemy pod uwagę Anglię, liczby zadziwiają

[1]) Bez wątpienia sprawozdania te celne nie są bardzo dokładne, bo niema w nich ilości gotówki, którą podróżni mają przy sobie. Lecz ponieważ te omyłki są prawdopodobnie równie wielkie przy wpływie jak przy odpływie, przeto stosunek obu cyfr nie powinien uledz zmianie.

nas jeszcze więcej[1]). Roczna nadwyżka przywozu nad wywozem dochodzi tam przeciętnie do 6 miliardów, t. j. w jednym roku powinnaby zniknąć gotówka Anglii do ostatniego szeląga, bo niema jej tam tyle. Tymczasem wcale do tego nie przychodzi i przeciwnie widzimy tam, tak dobrze jak we Francyi, zwykle nadwyżkę przybytku gotówki ponad jej ubytek.

Jakież jest więc rozwiązanie zagadki? Bardzo proste: oto chcąc się dowiedzieć, czy handel zagraniczny danego kraju zachowuje równowagę, nie należy się ograniczać wyłącznie do badania bilansu przywozu i wywozu, jak to w rozdziale poprzednim przyjęliśmy, lecz uwzględnić bilans wierzytelności i długów. Otóż bilans płatniczy nie pokrywa się z bilansem handlowym; wywóz stanowi wprawdzie wierzytelność na zagranicę i to główną, lecz mogą być inne także; przywóz stanowi dług wobec zagranicy, lecz także nie jedyny.

Jakież są więc te wierzytelności i te długi międzynarodowe oprócz wywozu i przywozu?

Jest ich wiele, lecz możemy zaznaczyć trzy główne:

1. Koszta przewozu wywożonych towarów, t. j. fracht i ubezpieczenie. Jeżeli kraj wywożący sam ponosi koszta przewozu, co nie zawsze się zdarza, ma wierzytelność na zagranicę, która z pewnością nie będzie widnieć w jego wywozie, bo powstaje dopiero po wyjściu towaru z portu i w czasie jego przewozu do miejsca przeznaczenia. Kraj taki, jak Anglia, ma z tego tytułu ogromną wierzytelność wobec zagranicy, cenioną na 90 milionów funtów szterlingów rocznie, nietylko bowiem przewozi faktycznie ogół własnych towarów, lecz także największą część towarów krajów obcych, czego oczywiście nie czyni za darmo[1]). Francya przeciwnie ma długi z tego tytułu, połowę bowiem zaledwie swego wywozu, a trzecią część przywozu przewozi na własnych okrętach.

2. Odsetki od kapitałów, umieszczonych za granicą. Bogate kraje umieszczają za granicą wielką część swych oszczędności i z tego tytułu mają do podniesienia z zewnątrz corocznie bardzo znaczne sumy w postaci kuponów od rent, akcyi lub obligacyi, lub nawet w kształcie czynszów dzierżawnych i zysków z przedsiębiorstw przemysłowych i handlowych. Do dwu miliardów ma wynosić haracz, nałożony z tego tytułu przez Anglię na zagranicę jak i na własne kolonie. Nietylko zaciągnęły na rynku londyńskim ogół swych pożyczek Indye i kolonie australskie, lecz nadto iluż to przedsiębiorstwami kierują i rozporządzają Anglicy w świecie całym. Zdobyli oni sobie w Stanach Zjednoczonych obszary, których powierzchnię ocenia się na 8 milionów hektarów, co

[1]) Przywóz do Anglii wynosił w latach 1901—1905 w milionach franków 13.172, 13.344, 13.700, 13.910, 14.292, razem 68.418, wywóz w tym samym czasie 8.697, 8.731, 9.009, 9.276, 10.190, razem 45.903. Nadwyżka przeto przywozu wyniosła 22.515, czyli średnio rocznie 4503 milionów franków. Przeciwnie Austro-Węgry w pięcioleciu 1901 do 1905 wywiozły za 10.201 przywiozły za 9.444 milionów koron, roczna przewyżka wywozu wynosi więc 163 milionów koron. *(Przyp. tłum.).*

[1]) Nadwyżka ta, którą koszta przewozu obciążają wartość towarów, wyjaśnia nam zjawisko pozornie niezrozumiałe: oto jeżeli się porówna ogół wywozu i przywozu wszystkich krajów całego świata, musi się stwierdzić znaczną przewyżkę przywozu nad wywozem, gdyż wartość ogólną przywozu świata całego oznaczono 1902 roku na 60.756, podczas gdy ogólna wartość wywozu wynosiła tylko 56.473 milionów franków. Otóż gdybyśmy zamiast porównywać wartość towarów przybyłych i wysłanych, porównali ich ilość, okazałoby się, że dwie te sumy byłyby równe, bo jest jasnem, że nie może być na świecie więcej towarów przybyłych niż wysłanych, chyba, żeby po drodze się mnożyły. Ponieważ przeciwnie, niektóre po drodze giną skutkiem rozbicia się okrętów, jasnem jest, że liczba przybyłych powinna być nieco mniejszą od wysłanych. Lecz ponieważ zamiast brać pod uwagę ilość, bierze się wartość i ponieważ te wartości wzrastają po drodze skutkiem kosztów przewozu, niema w tem nic dziwnego, że towary, przywiezione na miejsce przeznaczenia, przedstawiają wartość wyższą, niż w chwili wywozu, t. j. w miejscu wysyłki.

się równa Irlandyi. Francya także ma wierzytelności znaczne na zagranicę, zwłaszcza w Europie; mają one przedstawiać niemniej jak 30 miliardów franków, dających 1134 milionów odsetek rocznie. Przeciwnie Hiszpania, Turcya, Egipt, Indye, rzeczypospolite Ameryki poludniowej zajmują z tego tytułu miejsce między dłużnikami. W każdym razie należy zaznaczyć, że skoro kraje te zaciągają nową pożyczkę, to jak długo jej inne kraje nie pokryją — są wierzycielami chwilowo tych krajów, które mają przysłać gotówkę.

3. W y d a t k i c u d z o z i e m c ó w, mieszkających w kraju. Ponieważ cudzoziemcy wydają nie wytwory własnej pracy, lecz dochody z swych posiadłości ziemskich lub kapitałów umieszczonych w ich kraju rodzinnym, stąd kraj, zwiedzany przez cudzoziemców, ma w nich stałe źródło dochodu. Francya, Włochy, Szwajcarya, Algerya są z tego tytułu wierzycielami Anglii, Rosyi, Stanów Zjednoczonych na bardzo znaczne sumy. We Francyi jest według ostatniego spisu 66000 cudzoziemców. Licząc po 20 franków dziennie na głowę, co nie jest zbyt wiele, będą oni musieli dla pokrycia swych wydatków sprowadzać z ojczyzny rocznie sumę 480 milionów. Jest to niejako cena ich utrzymania.

Oto są główne wierzytelności [1]). Wystarczają one dla stworzenia równowagi i rozwiązania zagadki na miejscu. We Francyi n. p. jeżeli się liczy na jej korzyść z jednej strony 4200 mil. wywozu, 1200 mil. odsetek od kapitałów umieszczonych za granicą i 500 milionów wydatków, które czynią w niej cudzoziemcy — a na jej niekorzyść z drugiej strony 4700 mil. przywozu, 400 milionów za prze-

[1]) Prócz tego możnaby jeszcze wymienić: 1) K o m i s o w e b a n k i e r ó w, którzy operują także za granicą. 2) s p r z e d a ż o k r ę t ó w, co ma znaczenie szczególnie w Anglii, w której buduje się okręty dla całego świata. Natomiast nie można tu wliczać zysków eksporterów, gdyż mieszczą się już one w wartości towarów dowożonych do kraju.

wóz tych towarów, które odbywają drogę pod obcą flagą, i 500 milionów jako oprocentowanie długów francuskich i na rachunek wydatków Francuzów za granicą — widzimy, że równowaga szukana powoli się odnalazła i że możemy nawet liczyć 300 milionów zysku na rzecz Francyi. Taki sam rachunek możnaby zrobić dla Anglii.

Tak więc zewnętrzny handel danego kraju znajduje się w równowadze dokładnej nie wtedy, kiedy zachodzi równowaga między przywozem a wywozem, bo tego nigdy niema, lecz kiedy równoważą się wierzytelności z długami.

W razie popsucia się tej równowagi, zdąża ona do naprawy sama przez się na podstawie wyżej wymienionego prawa. Podobnie jak każdy nowy wywóz towarów sprowadza wzrost przywozu, tak też można twierdzić, że k a ż d a n o w a w i e r z y t e l n o ś ć n a z a g r a n i c ę z d ą ż a d o w y w o ł a n i a o d p o w i e d n i e g o p r z y w o z u z t e g o k r a j u. I podobnie, jak przywóz prawidłowy oznacza odpowiedni wywóz, tak samo każdy dług zaciągnięty względem zagranicy, zdąża do wywołania wywozu do tego kraju.

A przyczyny tego prawa są zupełnie te same, a mianowicie: zmiany w cenach lub tylko w kursie weksli, zdążające do przywrócenia stosunku między wywozem a przywozem.

II.

W jaki sposób utrzymuje się bilans handlowy?

Wobec tego należy odrzucić starą i nielogiczną doktrynę o upadku gospodarczym kraju, który więcej przywozi niż wywozi. Dzisiaj pokutuje już ona tylko po dziennikach, niekiedy nawet bardzo poważnych, lecz nauka zastąpiła ją inną, w której miejsce bilansu handlowego zajął b i l a n s p ł a t n i c z y. Obecnie więc pytamy się, czy nie

naraża się na ruinę społeczeństwo, które więcej płaci zagranicy niż od niej otrzymuje?

Na tak poprawione pytanie należy odpowiedzieć twierdząco. Rzeczywiście, kraj, który nie posiadając wierzytelności za granicą dla wyrównania swego bilansu handlowego, więcej kupuje u obcych niż im sprzedaje, którego najbogatsi obywatele spożywają za granicą swe dochody, taki kraj musi wywozić swą gotówkę, a chcąc dostarczyć środków wymiennych, zmniejszonych jej ucieczką, musi wydawać pieniądz papierowy. Lecz pieniądz papierowy zastępuje kruszec tylko w obrocie krajowym, zobowiązań zagranicznych płacić nim niepodobna, stąd też wypadnie u tej samej zagranicy, której należą się wypłaty, zaciągać pożyczki, co prowadzi tak jednostki jak i państwa na drogę bankructwa. Przykładów na to dostarczają nam tak dobrze państwa południowo-amerykańskie, jak i niektóre państwa europejskie.

Istnieją jednak pewne zjawiska, które niejako kompensują te szkody i pozwalają nader skutecznie ograniczyć straty, płynące z powyżej skreślonych stosunków.

Najpierw ktokolwiek ma wypłaty za granicą, stara się uiścić je w inny sposób, niż przez wysłanie gotówki, raz dlatego, że podobna wysyłka jest niedogodną, powtóre dlatego, że prawdopodobnie nie będzie tych pieniędzy w kraju, w których wypłata ma nastąpić. Szuka się więc, technicznie mówiąc, t. zw. papierów na zagranicę, czyli weksli, które służą do międzynarodowych wypłat. Takich weksli, w przyjętym przez nas położeniu, będzie stosunkowo niewiele, a popyt na nie będzie znaczny, albowiem przypuściliśmy, że ów kraj ma więcej zobowiązań niż wierzytelności i że jest w nim więcej dłużników niż wierzycieli. W myśl prawa podaży i popytu cena tych weksli podniesie się ponad wartość nominalną, czyli uzyskają one pewne agio. Jasną jednak jest rzeczą, że ta zwyżka, podnosząc zyski tych, którzy mają wierzytelności za granicą i mogą sprzedać swe weksle, t. j. wszystkich eksporterów,

oddziała ożywiająco na wywóz i naodwrót, że to agio pogarszając położenie dłużników wobec zagranicy, przedewszystkiem tych, którzy coś stamtąd przywożą, zmniejszy dowóz z zagranicy. A właśnie wzrost wywozu a zniżka przywozu jest właściwym środkiem polepszającym położenie.

Lecz to jeszcze nie wszystko. Przypuśćmy, że brak równowagi między wierzytelnościami a długami sprowadzi wywóz gotówki. Ucieczka pieniądza obniża cenę towarów, a jakkolwiek zniżka cen jest szkodliwą, to jednak w naszym przypadku działa korzystnie, albowiem zachęca obcych do zakupywania towarów w tym kraju taniej niż u siebie, a równocześnie odbiera krajowcom chęć do zaspokajania swych potrzeb za granicą, gdyż mogą to taniej uskutecznić u siebie. Wszak towary nie idą z krajów drogich do tanich, tak samo jak rzeki nie płyną od ujścia do źródeł. Innemi słowy, podobne skutki, zupełnie tak samo jak kurs weksli zagranicznych, działają ożywiająco na wywóz a tamują przywóz.

Takie same rezultaty odniesie emisya pieniędzy papierowych, przedsięwzięta w celu zastąpienia gotówki. W tym wypadku ukaże się agio dla pieniędzy kruszcowych, tem znaczniejsze, im więcej wydano papierowych. Wówczas producenci krajowi będą mogli nader zyskownie sprzedawać swe wytwory za granicą, która płacąc kruszcem, da im jeszcze pewną premię ponad zwyczajny procent, w formie agia. Naodwrót dowóz z zagranicy natrafi na wielkie trudności, gdyż niechętnie sprzedaje się w krajach o zdeprecyonowanej walucie papierowej, a nawet decydując się na to, musi się podnieść ceny, co oczywiście zmniejsza liczbę nabywców. Tak więc znowu dostrzeżemy wzrost wywozu a upadek przywozu.

Ostatecznie więc można powiedzieć, że bilans płatniczy działa automatycznie w kierunku równowagi, tak jak regulator maszyny parowej, który stara się zawsze sprowadzić jej szybkość do punktu równowagi. Prąd nie może iść nigdy stale w jednym kierunku, prędzej czy później za-

cznie działać w kierunku odwrotnym; tak jak niema przypływu morza bez odpływu, tak i bilans płatniczy, odebrawszy raz gotówkę, przynosi ją po pewnym czasie napowrót.

Najlepszym dowodem tego, że w normalnych stosunkach rzeczywiście się tak dzieje, jest fakt statystycznie stwierdzony, że gotówka odgrywa bardzo małą rolę w regulacyi handlu międzynarodowego. Zwykle zaledwie 6—7% ogólnego handlu pokrywa się pieniądzem. Należy więc przyjąć, że bilans płatniczy wyrównywa się sam przez się i że wierzytelności i długi dążą do pewnej równowagi. Szkoła Bastiata nazwałaby to harmonią ekonomiczną.

Co więcej, doświadczenie uczy, że gdy pod wpływem traktatów handlowych lub innych okoliczności, wzrasta wywóz, rośnie także równocześnie dowóz. I naodwrót, gdy taryfy ochronne zmniejszą przywóz, należy wyczekiwać równomiernej zniżki wywozu.

III.

Na czem polegają korzyści międzynarodowej wymiany.

Korzyść międzynarodowej wymiany rozpatrywano zawsze z dwóch stanowisk, wręcz sobie przeciwnych. Szkoła liberalna uwzględnia jedynie przywóz. Tylko przywóz jest celem i właściwym powodem istnienie wymiany międzynarodowej; wywóz jest tylko koniecznym środkiem uzyskania towarów, które kraj sprowadza, jest ich ceną, wypłacaną w naturze. Stąd też, jej zdaniem, przewyżka wartości przywozu ponad wartością wywozu jest właściwą miarą korzyści, jaką się odnosi z międzynarodowej wymiany. To też przywieźć towary wartości 4 miliardów wzamian za wywóz 3 miliardów, przedstawia operacyę, która daje krajowi jeden miliard w zysku. Typem idealnej wymiany byłby przywóz 100 bez żadnego wywozu.

Wbrew temu tak szkoła protekcyonistów jak i opinia publiczna ocenia wymianę międzynarodową jedynie ze stanowiska wywozu, bo tu tylko należy szukać właściwych korzyści. Przywóz jest tylko złem koniecznem, na które należy się zgodzić, jeżeli kraj nie może sam dostarczyć wszystkich niezbędnych towarów, lecz właśnie dlatego należy dowóz z zagranicy o ile możności zmniejszać. Wywóz przedstawia wzbogacenie się i dochód, podczas gdy przywóz jest tylko znamieniem braku i sprowadza wydatek. Dlatego też korzyść międzynarodowego handlu należy mierzyć nadwyżką wywozu nad przywozem, czyli dochodów nad wydatkami; wywożąc za 4 miliardy a przywożąc za 3, otrzymuje się miliard czystego zysku.

Oba te zapatrywania są zarówno błędne, gdyż jedno i drugie opiera się na zupełnie mylnem zrównaniu całego kraju z położeniem jednostki. Nie można, tak jak to czyni szkoła liberalna, traktować wielkiego społeczeństwa na równi z Robinsonem lub dzikim, który stara się uzyskać przez wymianę to, czego mu brakuje. Kraj nie wywozi jedynie na to, aby mógł przywozić, lecz dlatego, że wywóz sam przez się daje mu pewne korzyści; wywóz nie jest dla niego środkiem prowadzącym do celu, lecz celem dla siebie. Wprawdzie wywóz pośrednio wpływa na odpowiedni przywóz, lecz jest już wynikiem innych praw gospodarczych, niezależnych od woli wywożących.

Naodwrót znowu, system protekcyjny jest równie nieścisłym, albowiem ocenia kraj ze stanowiska kupca, który kupuje towary, aby je sprzedać i otrzymuje zysk w przewyżce ceny sprzedaży nad ceną kupna. Co za dziwna myśl, dzięki której protekcyonistów nazwano merkantylistami, aby korzyści kraju lub jednostek, płynące z handlu i z wymiany, mierzyć zyskami kupców! Zapomniano, że zyski kupców są właściwie ciężarem dla konsumentów i producentów, który należy odjąć z korzyści wymiany, jakkolwiek ten ciężar jest usprawiedliwionym, gdyż odpowiada oddanym usługom.

W rzeczywistości korzyści z wymiany międzynarodowej nie można obliczyć matematycznie, gdyż nie dadzą się one oznaczyć w pieniądzach. Korzyści te są nader różnorodne i należy ich szukać zarówno w przywozie jak i w wywozie.

Zacznijmy od przywozu:

1. Podniesienie się dobrobytu, jeżeli przywozimy towary, których kraj nie może dostarczać wskutek swego położenia przyrodniczego, jakości gruntu lub klimatu, jak płody kopalniane do Europy, wino do Anglii, sól do Norwegii, złoto, srebro i miedź do Francyi, węgiel do Szwajcaryi i t. d.

2. Oszczędność pracy, gdy chodzi o towary, które wytwarza się za granicą mniejszym kosztem, wskutek jakichkolwiek przyczyn naturalnych lub sztucznych. Tak n. p. do Francyi sprowadza się niejednokrotnie maszyny z Anglii i ze Stanów Zjednoczonych, jakkolwiek sama Francya posiada dobre fabryki maszyn, gdyż w tamtych krajach znajdują się zarówno większe pokłady żelaza i węgla, jak i doskonalsze narzędzia.

Przy tego rodzaju korzyściach z przywozu przypuszcza się zwyczajnie, że kraj przywożący stoi niżej od państwa wywożącego pod względem wytwórczym. Nie jest to jednak koniecznem, owszem czasami pewien kraj może zyskiwać na dowozie z zagranicy niektórych towarów, jakkolwiek mógłby je sam produkować nawet w warunkach korzystniejszych. Zjawisko to na pierwszy rzut oka zdaje się być dziwnem, a jednak zdarza się dość często. Przypuśćmy, że Antyle mogłyby wytwarzać zboże w warunkach korzystniejszych niż Francya, n. p. w 3 dniach pracy cetnar, zamiast w 6 dniach; czyżby nie był to czysty zysk dla nich wytwarzać w takim razie bezpośrednio zboże i czyby nie było lekkomyślnością sprowadzać je z Francyi? A jednak możliwem jest, że Antyle będą mieć pewien interes w tej czynności. Przypuśćmy tylko, że mogą opłacać zboża francuskie artykułem, który wytwarzają w warunkach jeszcze korzystniejszych niż zboże, n. p. cukrem, który będzie kosztował 1 dzień pracy. Jasnem jest, że czynność ta będzie bardzo korzystną, bo dostarczy im tej samej ilości zboża za pracę trzy razy mniejszą.

Tak więc dany kraj mógłby przewyższać na wszystkich punktach swych sąsiadów, a mimo to mieć zysk na przywozie ich produktów. Nawet w tym wypadku łączyłoby się z korzyścią dla niego poświęcić się wytwarzaniu przedmiotów, przy których wyższość jego jest widoczną i oddawać je mniej uprzywilejowanym sąsiadom nato, aby w zamian otrzymywać przedmioty, przy których jego wyższość, choć także istnieje, jest już znacznie mniejszą. Prawda, że w tym wypadku wywóz jest tylko środkiem, polegającym na zasadzie: do ut des.

Przy wywozie należy zaznaczyć następujące korzyści:

1. Wywóz pozwala na wyzyskanie takich darów lub sił przyrody, które byłyby bezużyteczne, lub przynajmniej wskutek swego nadmiaru niezbędne, gdyby nie znaleziono zbytu za granicą. Bez wywozu nie wiedzianoby co zrobić z pokładami guana lub nitratu w Peru, z wełną w Australii, ze złotem w Kalifornii, z winem w Hiszpanii.

2. Rozwija przemysł krajowy, gdyż tak już wiemy, podział pracy i postęp wielkiej produkcyi rosną w miarę rozszerzania się targów zbytu. Przemysł angielski nie doszedłby do swej obecnej doskonałości, gdyby nie sprzedawał swych towarów we wszystkich częściach świata.

3. Rozszerza przewagę handlową, gospodarczą, polityczną, a nawet intellektualną społeczeństwa. Sprzedając za granicą, stawia się swych obcych odbiorców tak pod względem handlowym jak i moralnym w pewnej zależności do siebie, uzyskuje się stanowisko wierzyciela, zawsze korzystniejsze od położenia dłużników. Właśnie o tę korzyść walczą ze sobą tak namiętnie ludy Europy i Ameryki.

IV.

Dlaczego handel międzynarodowy musi także przynieść pewne szkody?

Nie należy wcale, z tego cośmy powiedzieli przed chwilą, wysnuwać wniosku, że handel międzynarodowy przedstawia same tylko korzyści dla całego świata — dowodziłoby to złego zrozumienia jego skutków. Z samego wyjaśnienia skutków handlu międzynarodowego, które podaliśmy, wynika, że ten sposób wymiany ma na celu i wywołuje w rezultacie oszczędzenie pewnej ilości pracy. Otóż, ponieważ społeczeństwa nasze opierają się na podziale pracy, przeto nie możnaby oszczędzić pewnej ilości pracy, bez odsunięcia na bok pewnej ilości pracowników. Handel z Chinami przedstawia korzyść dla konsumentów i dla Francyi wogóle, ponieważ pozwala jej otrzymywać jedwab mniejszym wydatkiem i mniejszą ilością pracy, lecz rolnicy i pracownicy w Sewennach, żyjący dotąd z tej gałęzi przemysłu — będą w pewnym stopniu wywłaszczeni.

Prawdą jest, że wszelki nowy przywóz, jak to wyżej przedstawiliśmy, wywołuje odpowiedni wywóz i że jedwabie chińskie zapłaci się n. p. wytworami mody t. zw. »articles de Paris«, które trzeba będzie w tym celu wytworzyć; nie należy jednak zapominać, że jedwabie sprowadzone z Chin posiadają, rzecz jasna, wartość znacznie mniejszą niż jedwabie francuskie, które im ustąpiły miejsca w konsumcyi, bo bez tego nie mogłyby ich zastąpić na targu. Przedstawiają dajmy na to wartość 100 milionów tylko, podczas kiedy produkcya francuska jedwabnicza przedstawiała wartość 140 milionów. A zatem, aby temu przywozowi przeciwstawić odpowiedni wywóz, wystarczy, że paryski przemysł wyszle do Chin swe artykuły za 100 milionów. Ostatecznym wynikiem będzie

zmniejszenie się wytwórczości krajowej o 40 milionów, przedstawiające odpowiednie zmniejszenie pracy. Gdyby nie sprowadziło innego skutku, jak przeniesienia pracy z jednego miejsca na inne, a to rzuca się w oczy — wynikłoby z tego smutne nastepstwo dla pewnych klas ludności. Jasnem jest, że wytwórcy jedwabiu w Sewennach, nie mogąc przeistoczyć swych przędzalń na fabryki artykułów paryskich, muszą stracić kapitały umieszczone w swych fabrykach; a ponieważ prządki, które zatrudniali, nie mogą również zająć się obecnie wyrabianiem zabawek dla Chińczyków, nie jest wcale pewnem, czy wogóle znajdą jakieś zatrudnienie. Tak więc powstaje stąd ruina dla pierwszych, nędza i bezrobocie dla drugich.

Można tu jednak podnieść kilka okoliczności łagodzących, można bowiem stwierdzić tak, jak przy maszynach, że handel międzynarodowy, skutkiem swych pośrednich wpływów, może zwiększyć ilość pracy, którą zaczął zmniejszać, a to dwiema różnemi drogami:

1. Ponieważ zniżka cen, wynikająca z samej wolnej wymiany pociągnie za sobą wzrost konsumcyi i co za tem idzie, wzrost wytwórczości. N. p. zniżka ceny jedwabiów spowoduje, że będziemy ich więcej używać. Przypuśćmy nawet, że ten zwiększony popyt odnosi się tylko do chińskich jedwabiów a nie do francuskich, to jednak trzeba będzie do zapłaty tego zwiększającego się przywozu — zwiększenia wywozu także artykułów paryskich, przedstawiającego nie już, jak dopiero co wymieniliśmy, 100 milionów, lecz być może 140 jak przedtem.

2. Ponieważ zniżka cen, zmniejszając wydatki konsumentów na oznaczony przedmiot, pozwala im skierować tak uzyskaną oszczędność na inny wydatek lub ją umieścić na procent. Tym sposobem, co się zabierze pracy z jednej strony, może ujść w innym kierunku w postaci oszczędności lub nowych wydatków i podsycić inne gałęzie wytwórczości, to też możliwem jest, że ostatecznie praca narodowa nic na tem nie straci.

Lecz podobnie jak przywóz, tak i wywóz może sprowadzić nader szkodliwe skutki. Jeżeli np. kraje, które tak jak Rosya, wywożą stale swe zboże i paszę, odbiorą wreszcie ziemi wszelkie czynniki urodzajności, które przechodzą w wywiezione zbiory, to znajdą się w położeniu, jak gdyby powoli, po kawałku wywiozły samą ziemię. Peru, skąd wywieziono już cały zapas guana i prawie wszystkie pokłady nitratu, zużyło dla obecnej chwili podstawy materyalne swej przyszłości.

V.

Historya ochrony celnej.

W starożytności i w wiekach średnich handel międzynarodowy nie miał tego ogólnego znaczenia, jakie uzyskał w naszych czasach. Był on w ręku nie wielu małych ludów, które dzięki swemu położeniu nadmorskiemu uzyskały monopol handlu i przewozu, jak Tyr i Kartagina w starożytności, miasta włoskie i hanzeatyckie w średnich wiekach, a Holandya w początkach wieków nowszych. Inne narody odgrywały rolę czysto bierną, przyjmowały zagranicznych kupców — podobnie jak to dzisiaj czynią ludy afrykańskie z kupcami europejskimi lub muzułmańskimi — z pewną przyjemnością, albowiem znajdowały u nich towary, których w inny sposób nie można było uzyskać. Starano się tych kupców przyciągać w razie potrzeby, nadawano im przywileje, lecz z drugiej znowu strony, w zamian za przyznawaną im opiekę, domagano się od nich pewnych opłat, które były rodzajem udziału w ich zyskach, tak jak się to dzieje i dzisiaj w Afryce, gdzie miejscowi królicy pobierają opłatę od karawan, przeciągających przez ich państewka. Te cła, jeżeli je można tak nazwać, nie miały początkowo żadnego charakteru

ochronnego, bo też nie było kogo chronić, były one jedynie cłami skarbowemi.

Gdy w XVI i XVII stuleciu zaczęły powstawać wielkie państwa nowożytne, cała kwestya ceł zmieniła się, a to z następujących trzech powodów:

1) ponieważ te wielkie państwa chciały się zorganizować jako narodowe targi zbytu, wytwarzające wszystko to, co im jest koniecznem i wystarczające dla siebie samych;

2) ponieważ wielkie znaczenie, jakie nadano szlachetnym kruszcom pod wpływem odkrycia Ameryki, wytworzyło zapatrywanie, że należy zagranicą kupować jak najmniej, ażeby gotówka nie wychodziła z kraju;

3) ponieważ otwarcie wielkich dróg morskich świata rozwinęło handel międzynarodowy w sposób dotąd nieznany. Przedtem międzynarodowa konkurencya nie mogła odgrywać żadnej roli, bo handel przewoził jedynie towary zbytkowne, jak purpurę z Tyru, brokaty z Wenecyi lub klingi z Toledo; teraz, gdy handel już rozporządzał odpowiednimi środkami, ażeby przewozić towary, służące do zaspokojenia zwyczajnych potrzeb, jak n. p. holenderskie sukno, konkurencya nabierała coraz większego znaczenia.

Już omawiając różne szkoły ekonomiczne, wspominaliśmy o merkantylizmie, który się pojawił w ciągu XVI stulecia. Odznacza się on zbyt wygórowanem znaczeniem, przywiązywanem do pieniądza i do handlu zewnętrznego, jako najlepszego środka dla zdobycia gotówki. To zapatrywanie nie było tak nierozsądnem, jak się to zwyczajnie mówi, albowiem w epoce, w której handel się rozpoczynał, należało rozporządzać znacznym zapasem gotówki, ażeby umożliwić jego rozwój. Wkrótce jednak zaczęto się zajmować jeszcze drugą kwestyą, mianowicie zaczęto się starać, ażeby kraj mógł wystarczyć na wszystkie swoje potrzeby, co stanowi już właściwą treść wszelkiej doktryny protekcyjnej. Należy przytem zauważyć,

że w merkantylizmie objawia się zupełnie jasno ewolucya gospodarcza, która zawsze postępuje drogą związków autonomicznych, pierwotnie w kształcie rodziny, następnie miasta, obecnie rynku narodowego, jutro może całej Europy.

W ten sposób ówcześni mężowie stanu powzięli myśl posłużenia się opłatami celnemi dla usunięcia konkurencyi zagranicznej, a podniesienia krajowej produkcyi. Od tej chwili cła utraciły swój charakter skarbowy i stały się ochronnemi [1]). Cromwell w Anglii i Colbert we Francyi pierwsi wprowadzili prawdziwy system protekcyjny. Colbert przyjmował tu trzy zasady: 1) powstrzymać dowóz obcych fabrykatów zapomocą ochronnych ceł dowozowych; 2) przez obniżenie ceł dowozowych od surowców i wszystkich towarów potrzebnych przemysłowi, popierać ich przywóz; 3) popierać wywóz płodów krajowych przez obniżenie ceł wywozowych, a nawet, w razie potrzeby, przez premie wywozowe.

System ten, zwany niekiedy kolbertyzmem, panował niepodzielnie aż do pojawienia się fizyokratów, którzy, przyjąwszy za dewizę »*laissez-faire, laissez-passer*«, zwalczali z równą energią ochronę celną jak i organizacyę cechową, w imię wolności handlowej i przemysłowej. Rewolucya francuska zapewniła zwycięstwo wolności pracy, lecz nie zrobiła nic dla wolności handlowej, a następna epoka dwudziestoletnich wojen nie była również korzystną dla idei wolnego handlu.

[1]) Pomimo tego posiadamy jeszcze dzisiaj cła czysto skarbowe. Tak n. p. w Anglii, hołdującej zasadzie wolnego handlu, istnieją cła na niektóre towary, jak herbata, kawa, cukier, wina i tytoń, które państwu dają przeszło 400 milionów kor. dochodu. Różnica między cłami ochronnemi a skarbowemi polega na tem, że przy skarbowych chodzi o ich obniżenie do tego stopnia, aby podnieść przywóz oclonych towarów i tem samem zwiększyć dochody państwowe, podczas gdy przy cłach ochronnych, opłata musi być tak znaczną, aby ten dowóz zmniejszyła lub powstrzymała.

Natomiast w Anglii zasady Adama Smitha wydały swoje owoce. W r. 1838 rozpoczął Cobden w Manchester swoją pamiętną walkę przeciwko cłom ochronnym i wybierając bardzo zręcznie pole, na którem najłatwiej można było zwyciężyć, zwrócił się wyłącznie przeciwko cłom zbożowym. Rzeczywiście cła zbożowe były nader niepopularne i niemal wstrętne, albowiem przy ich pomocy lordowie angielscy, do których na mocy zdobyczy należała prawie cała ziemia królestwa, nie dopuszczali zboża zagranicznego, aby sprzedawać własne po wyższych cenach i w ten sposób wyzyskać wzrost ludności dla podniesienia renty gruntowej [1]). To też izba lordów znalazła się w bardzo przykrem położeniu, tak, że nie mogła się oprzeć oburzeniu ogólnemu, rozdmuchanemu przez ligę wolnohandlową i musiała ustąpić w r. 1846, gdy minister sir Robert Peel przeszedł do obozu wolnohandlowców. Wraz z uchyleniem ceł zbożowych, upadł w Anglii cały gmach protekcyonizmu, nie wyłączając sławnego aktu nawigacyjnego Cromwella, któremu przypisywano potęgę morską Anglii.

We Francyi związek wolnohandlowy, założony przez Bastiata na wzór angielskiego, upadł w r. 1846, gdyż znalazł się wobec zupełnie innych warunków społecznych.

[1]) Cła zbożowe angielskie, pomimo wszystkiego co mówi autor, były przynajmniej w części uzasadnione. Napoleon I. chcąc zwalczyć Anglię, wprowadził w r. 1806 t. zw. blokadę kontynentalną, polegającą na zakazie wywozu towarów do Anglii a przywozu z Anglii. Anglia, zagrożona wskutek tego klęską głodową, musiała podnieść przynajmniej o tyle swą produkcyę rolną, ażeby pokryć najniezbędniejsze potrzeby narodu. Wskutek tego użyto znacznych bardzo kapitałów w rolnictwie, zmeliorowano dotychczasowe nieużytki i podniesiono krajowe rolnictwo, lecz bardzo znacznym kosztem, tak, że mogło się ono utrzymać jedynie przy wysokich cenach. Po upadku pierwszego cesarstwa i zniesieniu blokady, napływ obcych płodów rolnych, a stąd nadmierny spadek cen, groził ruiną całemu stanowi rolniczemu, to też starano mu się przyjść z pomocą w kształcie ceł zbożowych. *(Przyp. tłum.).*

że w merkantylizmie objawia się zupełnie jasno ewolucya gospodarcza, która zawsze postępuje drogą związków autonomicznych, pierwotnie w kształcie rodziny, następnie miasta, obecnie rynku narodowego, jutro może całej Europy.

W ten sposób ówcześni mężowie stanu powzięli myśl posłużenia się opłatami celnemi dla usunięcia konkurencyi zagranicznej, a podniesienia krajowej produkcyi. Od tej chwili cła utraciły swój charakter skarbowy i stały się ochronnemi [1]). Cromwell w Anglii i Colbert we Francyi pierwsi wprowadzili prawdziwy system protekcyjny. Colbert przyjmował tu trzy zasady: 1) powstrzymać dowóz obcych fabrykatów zapomocą ochronnych ceł dowozowych; 2) przez obniżenie ceł dowozowych od surowców i wszystkich towarów potrzebnych przemysłowi, popierać ich przywóz; 3) popierać wywóz płodów krajowych przez obniżenie ceł wywozowych, a nawet, w razie potrzeby, przez premie wywozowe.

System ten, zwany niekiedy kolbertyzmem, panował niepodzielnie aż do pojawienia się fizyokratów, którzy, przyjąwszy za dewizę »*laissez-faire, laissez-passer*«, zwalczali z równą energią ochronę celną jak i organizacyę cechową, w imię wolności handlowej i przemysłowej. Rewolucya francuska zapewniła zwycięstwo wolności pracy, lecz nie zrobiła nic dla wolności handlowej, a następna epoka dwudziestoletnich wojen nie była również korzystną dla idei wolnego handlu.

[1]) Pomimo tego posiadamy jeszcze dzisiaj cła czysto skarbowe. Tak n. p. w Anglii, hołdującej zasadzie wolnego handlu, istnieją cła na niektóre towary, jak herbata, kawa, cukier, wina i tytoń, które państwu dają przeszło 400 milionów kor. dochodu. Różnica między cłami ochronnemi a skarbowemi polega na tem, że przy skarbowych chodzi o ich obniżenie do tego stopnia, aby podnieść przywóz oclonych towarów i tem samem zwiększyć dochody państwowe, podczas gdy przy cłach ochronnych, opłata musi być tak znaczną, aby ten dowóz zmniejszyła lub powstrzymała.

Natomiast w Anglii zasady Adama Smitha wydały swoje owoce. W r. 1838 rozpoczął Cobden w Manchester swoją pamiętną walkę przeciwko cłom ochronnym i wybierając bardzo zręcznie pole, na którem najłatwiej można było zwyciężyć, zwrócił się wyłącznie przeciwko cłom zbożowym. Rzeczywiście cła zbożowe były nader niepopularne i niemal wstrętne, albowiem przy ich pomocy lordowie angielscy, do których na mocy zdobyczy należała prawie cała ziemia królestwa, nie dopuszczali zboża zagranicznego, aby sprzedawać własne po wyższych cenach i w ten sposób wyzyskać wzrost ludności dla podniesienia renty gruntowej [1]). To też izba lordów znalazła się w bardzo przykrem położeniu, tak, że nie mogła się oprzeć oburzeniu ogólnemu, rozdmuchanemu przez ligę wolnohandlową i musiała ustąpić w r. 1846, gdy minister sir Robert Peel przeszedł do obozu wolnohandlowców. Wraz z uchyleniem ceł zbożowych, upadł w Anglii cały gmach protekcyonizmu, nie wyłączając sławnego aktu nawigacyjnego Cromwella, któremu przypisywano potęgę morską Anglii.

We Francyi związek wolnohandlowy, założony przez Bastiata na wzór angielskiego, upadł w r. 1846, gdyż znalazł się wobec zupełnie innych warunków społecznych.

[1]) Cła zbożowe angielskie, pomimo wszystkiego co mówi autor, były przynajmniej w części uzasadnione. Napoleon I. chcąc zwalczyć Anglię, wprowadził w r. 1806 t. zw. blokadę kontynentalną, polegającą na zakazie wywozu towarów do Anglii a przywozu z Anglii. Anglia, zagrożona wskutek tego klęską głodową, musiała podnieść przynajmniej o tyle swą produkcyę rolną, ażeby pokryć najniezbędniejsze potrzeby narodu. Wskutek tego użyto znacznych bardzo kapitałów w rolnictwie, zmeliorowano dotychczasowe nieużytki i podniesiono krajowe rolnictwo, lecz bardzo znacznym kosztem, tak, że mogło się ono utrzymać jedynie przy wysokich cenach. Po upadku pierwszego cesarstwa i zniesieniu blokady, napływ obcych płodów rolnych, a stąd nadmierny spadek cen, groził ruiną całemu stanowi rolniczemu, to też starano mu się przyjść z pomocą w kształcie ceł zbożowych. *(Przyp. tłum.)*.

Pomimo tego Napoleon III, który hołdował zasadom demokratycznym i całą swą politykę oparł na przymierzu z Anglią, skorzystał ze swego prawa, poręczonego konstytucyą i zawarł w r. 1860, bez zgody izb, traktat handlowy z Anglią na zasadzie wolnej wymiany. Traktat ten, we Francyi przyjęty dość niechętnie, wywarł w całej Europie olbrzymie wrażenie, tak, że niemal natychmiast poszły tą samą drogą wszystkie państwa europejskie. Zdawało się, że panowanie zasady wolnohandlowej jest już odtąd zapewnione.

Pomimo tego zwycięstwo wolnego handlu nie długo trwało. Już w r. 1866 Stany Zjednoczone, chcąc powetować choć w części olbrzymie straty, poniesione wskutek wojny domowej, ustanowiły nader wysoką, wybitnie protekcyjną taryfę celną. Za tym przykładem chciała pójść Francya w r. 1872, po wojnie niemieckiej, pragnąc przerzucić na zagranicę chociażby w części ciężar nowych podatków, które musiano nałożyć, lecz próba ta nie udała się, albowiem obowiązywały jeszcze wówczas wszystkie dawniejsze traktaty handlowe. Dopiero Austrya, swą taryfą z 27 czerwca 1878, a przedewszystkiem Niemcy za inicyatywą ks. Bismarcka 1879 r., zainaugurowały powrót do śmiałej i otwartej polityki protekcyjnej. Jak Francya 1860, tak teraz Niemcy pociągnęły wszystkie kraje za sobą do tego stopnia, że obecnie tylko Wielka-Brytania [1]), Holandya, Dania i Norwegia pozostały wierne wolnemu handlowi; we wszystkich innych krajach w miejsce wolności i traktatów handlowych wprowadzono taryfy i wojny cłowe.

W nauce nie dostrzegamy na polu protekcyi celnej tak wielkiej reakcyi jak w polityce, owszem dziś jeszcze znaczna część ekonomistów zalicza się do zwolenników klasycznej teoryi wolnego handlu. Trzeba jednak przy-

[1]) Kolonie angielskie, a nawet Indye, trzymają się niemal wyłącznie systemu protekcyjnego. *(Przyp. tłum.).*

znać, że właśnie w czasie, gdy stała ona u zenitu swej władzy, ekonomista niemiecki List i amerykański Carey zadali jej największe ciosy. Gwałtowna reakcya przeciw szkole liberalnej, która objawiła się w nowszych czasach, nie zwróciła się wprawdzie bezpośrednio przeciwko zasadzie wolnego handlu, lecz zachwiawszy wiarę w »niewzruszalne prawa« klasyków, przyczyniła się pośrednio do osłabienia ich stanowiska i na tem polu, tak, że dzisiaj większość ekonomistów godzi się na zasadę, że kwestyę handlu międzynarodowego należy w każdym kraju urządzić stosownie do warunków jego gospodarczego bytu i rozwoju.

Przed przejściem do bliższego rozbioru argumentów, przemawiających za opieką celną lub wolnością handlową, należy ustalić pojęcie ceł, ich formy i podziały, jakoteż wyjaśnić niektóre kwestye, wchodzące w zakres polityki handlowo-celnej.

Cłem nazywamy opłatę, którą należy uiścić od towarów, wymienionych w ustawie, w chwili, gdy przechodzą granicę pewnego terytoryum. Jeżeli ta opłata pobiera się tylko na granicy państwa, podczas gdy obrót wewnętrzny jest od niej wolnym, natenczas mówimy o cle zewnętrznem, jeżeli zaś państwo nakłada opłaty także w swoim obrębie, na handel pewnych okolic lub miejscowości, wtedy mamy do czynienia z cłem wewnętrznem. W jednym i w drugim wypadku możemy odróżnić trzy rodzaje ceł, w miarę tego, czy nakłada się je na towary przywożone, wywożone, czy wreszcie tylko przewożone przez terytoryum zamknięte granicą celną; znamy przeto cła dowozowe, wywozowe i przewozowe. Wszystkie te rodzaje ceł istniały w wiekach średnich i przez pierwszą połowę wieków nowszych, z czasem jednak uchylono cła wewnętrzne, jakoteż prawie wszystkie wywozowe i przewozowe cła

zewnętrzne, tak, że dzisiaj w nauce i w praktyce nazywamy cłem opłatę, nałożoną na towary zagraniczne w chwili, gdy wchodzą w granice państwa, innemi słowy, obecnie znamy właściwie tylko zewnętrzne cła dowozowe.

Przy ustanowieniu cła można mieć dwojaki cel na oku: albo chodzi o podniesienie całego gospodarstwa społecznego, albo tylko o przysporzenie dochodów skarbowi państwa. Cła, dążące do podniesienia gospodarstwa, nazywamy gospodarczemi czyli ekonomicznemi, te zaś, które ustanowiono jedynie dla uzyskania dochodów, mają charakter podatków spożywczych i noszą nazwę ceł skarbowych. Cła gospodarcze ustanawia się dla dwóch powodów: 1) gdy chodzi o wyrównanie ciężarów publicznych, które wskutek podatków, opłat, ustaw i t. p. ponosi krajowa produkcya z ciężarami, spoczywającymi na produkcyi zagranicznej; 2) gdy chodzi o ochronę krajowej produkcyi, zapomocą uchylenia lub przynajmniej ograniczenia obcej konkurencyi. — W miarę tego też dzielimy cła gospodarcze na cła wyrównawcze i cła ochronne. Dwojakie są ciężary publiczne, ponoszone przez produkcyę krajową, które w kształcie ceł wyrównawczych nakłada się również na wytwory zagraniczne. Z jednej strony wszelkim podatkom spożywczym muszą odpowiadać odpowiednie cła, albowiem podatki tego rodzaju opłaca się od spożycia, wskutek czego towary wychodzące zagranicę są od nich wolne. Gdyby więc nie było odpowiednich ceł, natenczas obcy wytwór wchodziłby na rynki danego kraju nieopodatkowany, bo w swym kraju, jako niespożyty, podatkowi nie podlega (gdy podatek został opłacony przez producenta, zwrócono mu go w chwili wywozu), podczas gdy towar krajowy byłby obciążony podatkiem. Dlatego też, nakładając podatki spożywcze na krajowe wyroby, ustanawia się równocześnie dla towarów zagranicznych równie wysokie cła wyrównawcze. Z drugiej znowu strony w nowszych czasach powstał cały szereg ustaw fabrycznych i robotniczych, który pośrednio lub bezpośrednio zwiększają koszta produkcyi krajowej, zmniejszając ilość godzin pracy dziennej, ograniczając pracę kobiet i nieletnich, nakładając na przedsiębiorców obowiązek opłaty premii ubezpieczenia robotników, żądając kosztownych urządzeń fabrycznych dla bezpieczeństwa pracowników i t. d. Wszystko to utrudnia położenie wytwórców krajowych, wobec zagranicy, jeżeli tam niema ustawodawstwa socyalnego, albo też jeżeli go tam nie przeprowadzono na równie szeroką skalę. Aby uniknąć wynikających stąd niekorzyści, nakłada się na towary zagraniczne takie same ciężary zapomocą socyalnych ceł wyrównawczych.

Podczas gdy cła wyrównawcze dążą jedynie do zrównania położenia producentów krajowych i obcych, ustanawia się cła ochronne dla zapewnienia krajowym wytwórcom zbytu w granicach kraju. Chcąc osiągnąć ten cel, należy stworzyć dla rodzimej produkcyi lepsze warunki zbytu, należy zapewnić jej pewne przywileje, z których cudzoziemcy nie mogliby korzystać. Ponieważ najczęściej łatwość sprzedaży zależy od wysokości ceny, przeto w pierwszej linii należy się starać, aby towary krajowe mogły być tańsze od zagranicznych. Służą do tego cła ochronne, które zwiększając koszta towarów przywożonych, tem samem zmuszają obcych producentów do sprzedawania ich po wyższych cenach, innemi słowy, zapewniają względną taniość wyrobom krajowym. Ponieważ cła ochronne mają podnieść produkcyę krajową, przeto można je nakładać tylko na takie artykuły, które w kraju można wytwarzać, a utrzymać je należy tak długo, jak długo

krajowa produkcya rzeczywiście ich potrzebuje, t. zn. dopóki ona bez pomocy ceł nie może skutecznie konkurować z wytworami zagranicznymi. Cła ochronne, które są zawsze ciężarem dla konsumcyi, powinny mieć charakter przejściowy, t. zn. powinny być uchylone z chwilą, gdy towary krajowe, dla jakichkolwiek powodów innych, uzyskają wyższość nad zagranicznymi, n. p. dla taniości surowca, wyższego rozwoju techniki i t. d. Ponieważ dobrobyt społeczny zależy nietylko od utrzymania i rozwoju istniejących już gałęzi produkcyi, lecz zarazem od stworzenia nowych, które odpowiadają potrzebom ludności, a znajdują w kraju niezbędne warunki naturalne, przeto cła ochronne winny z jednej strony opiekować się produkcyą istniejącą, z drugiej zaś starać się wytworzyć te gałęzie, których dotąd jeszcze nie było. Cła ochronne więc dzielimy na cła wychowawcze, które mają dopiero stworzyć produkcyę krajową i na cła opiekuńcze, chroniące przedsiębiorstwa krajowe przed naporem obcej konkurencyi. Z natury rzeczy wypływa, że cła wychowawcze muszą być zawsze wyższe od opiekuńczych, gdyż wszelkie początki działalności gospodarczej są nader utrudnione brakiem kapitałów, odpowiednich maszyn i narzędzi, fachowo wykształconych robotników i kierowników, stosunków handlowych i t. d.; powtóre, że z chwilą, gdy dzięki cłom wychowawczym rozwiną się odnośne gałęzie produkcyi, należy te cła przemienić na opiekuńcze, t. zn. obniżyć ich stopę.

Co się tyczy techniki ustaw celnych należy zwrócić uwagę na następujące rzeczy:

1. Wszelkie cło nakłada się przez ustawę i to albo przez ustawę samoistnie, jednostronnie wydaną przez państwo, którą nazywamy autonomiczną taryfą celną, albo też przez zatwierdzenie międzynarodowego układu handlowego, czyli t. zw. traktatową taryfę celną. Taryfa celna wymienia szczegółowo każdy towar oclony, podając zarazem wysokość cła, które należy uiścić i to albo jako cło jednostkowe t. j. w stosunku pewnej jednostki fizycznej towaru (sztuki, wagi, objętości), albo też w formie t. zw. cła wartościowego, t. zn. w stosunku procentowym do wartości towaru.

2. Pozycye celne, wymienione w autonomicznej taryfie celnej, mogą być stałe albo zmienne i to tak co do swej mocy obowiązującej jak i co do wysokości opłat. W tym kierunku należy odróżnić następujące wypadki:

a) cła stałe, t. j. cła, które o ile traktatami handlowymi nie zostały zmienione, obowiązują bezwarunkowo i muszą być pobierane od wszystkich w jednakowej wysokości;

b) cła różniczkowe, których wysokość zmienia się stosownie do okoliczności przewidzianych ustawą. W tym razie ustawa oznacza tylko najwyższe i najniższe granice cła, pozostawiając władzy wykonawczej bliższe oznaczenie, w jakiej wysokości rzeczywiście będą one pobierane. Zwyczajnie zastosowuje się rozmaite cła od tych samych towarów albo ze względu na ich pochodzenie, albo też ze względu na ich cenę w granicach kraju. To też wyższemu ocleniu podpadają towary przywożone z krajów, z którymi nie zawarto traktatu handlowego, albo też, które zbyt wysokiemi opłatami obciążają towary zagraniczne (t. zw. wojna cłowa), albo wreszcie nakłada się wyższe cła na towary obce w chwili, gdy ceny pewnych towarów spadają zbyt szybko, ażeby przez powstrzymanie konkurencyi, podnieść wartość tych wytworów.

c) System francuski minimalnej i maksymalnej taryfy celnej. Polega on na ustanowieniu dla każdego towaru dwojakiego cła: najniższego, opłacanego przez

towary pochodzące z krajów, z którymi zawarto traktat handlowy i najwyższego, nałożonego na towary, pochodzące z państw innych. Różni się on od systemu różniczkowego o tyle, że rząd nie może się zgodzić na żaden traktat, w którym cło oznaczonoby poniżej minimalnej taryfy; powtóre, że władza wykonawcza musi zastosować najwyższą taryfę, jeżeli niema traktatu handlowego.

3. Traktaty handlowe zajmują się oznaczeniem wzajemnych ceł, ażeby niedopuścić dowolnego, jednostronnego ich podnoszenia i w ten sposób zapewnić na pewien przeciąg czasu (zwyczajnie lat 10, czasami bez określenia terminu lecz za jedno lub dwurocznem wypowiedzeniem) pewną stałość stosunków handlowych. W kwestyach celnych mieszczą one zwyczajnie następujące przepisy:

a) klauzulę największego uprzywilejowania, na mocy której państwa, zawierające traktat, korzystają z wszelkich ułatwień przyznanych jakiemukolwiek państwu innemu, czy to już poprzednio, czy też później, byleby w czasie trwania traktatu;

b) oznaczenie wysokości ceł na przeciąg traktatu handlowego. Tutaj traktaty wymieniają przedewszystkiem te towary, które mają być zupełnie wolne od cła; dalej oznaczają cło od innych towarów, o ile zostało traktatem zniżone (w porównaniu z taryfą autonomiczną), wreszcie wyszczególniają t. zw. pozycye związane. Związaniem cła nazywamy zobowiązanie się państwa do tego, że nie nałoży na pewien towar cła ponad granicę traktatem określoną. Wskutek tego też związanie może być dwojakie, mianowicie przy towarach już oclonych autonomicznie nie można podnosić taryfy, przy towarach zaś nie oclonych dotąd, o ile one nie mają być stale wolne od cła, oznacza się najwyższe

cło, jakie w czasie trwania traktatu może być ustanowione.

c) Regulacyę ruchu nadgranicznego. Państwa graniczące ze sobą ustanawiają pewne wyjątkowe przepisy dla handlu w okolicach nadgranicznych, ściśle terytoryalnie oznaczonych, ze względu na potrzeby tamtejszej ludności. Są to normy wyjątkowe, zawierające zwyczajnie albo nader znaczne obniżenie ceł, albo nawet zupełne ich uchylenie, dlatego też inne państwa, ani też inne okolice nie mogą z nich nigdy korzystać, a klauzula największego uprzywilejowania do nich się nie stosuje.

VI.

Argumenty zwolenników ochrony celnej.

Niema przedmiotu w ekonomii politycznej, któryby wywołał tyle agitacyi i polemiki, spowodował napisanie tylu tomów, a być może tyle strzałów armatnich, co kwestya handlu międzynarodowego.

I dlaczegoż to? Czyż handel dwu krajów nie odpowiada zupełnie handlowi między dwoma jednostkami? Czyż nie jest tak, jak tamten, zwykłą i normalną postacią wymiany i w takim razie nacóż nam osobnej teoryi dla handlu międzynarodowego? Jeżeli wymiana sama przez się jest już korzystną, skąd to pochodzi, że ktoś obawia się niebezpieczeństwa, mającego wyniknąć z tej zupełnie przypadkowej okoliczności, że strony wymieniające dzieli słup graniczny?

To stanowisko zajmuje też szkoła klasyczna; nie dopuszcza ona i nie rozumie tego, że handel międzynarodowy może podlegać innym zasadom, niż handel wewnętrzny: dla niej kwestya ta nie istnieje. Jej zdaniem wymiana jest formą współdziałania i podziału pracy, której

cudowne wyniki już wyjaśniliśmy; jej pożytek jest równy dla obu stron i nie zależy zupełnie od tego, czy wymieniający należą do jednego państwa, czy do różnych. Wolny handel międzynarodowy jest ostatnim stopniem tego rozwoju, który zastąpił targ domowy miejskim, a miejski narodowym, bo w jego miejsce wprowadza targ wszechświatowy. To też wszystkie korzyści wymiany, a mianowicie lepsze zużycie sił ludzkich i przyrody, rosną w miarę rozszerzania się pola do wymiany.

Szkole tej nie udało się jednak przekonać ani ustawodawców, ani ludów — a był czas, mniej więcej trzydzieści lat temu, gdy zdawało się, że wygrała sprawę. Opinia publiczna przyznaje, że wolny handel jest systemem, który należy stawiać wyżej nad inne z punktu widzenia teoretycznego, że godzi się on najlepiej z powszechnem dobrem ludzkości. Protekcyoniści nie chcą bynajmniej uchodzić za wrogów handlu międzynarodowego, owszem aż nadto dowodzą swej sympatyi dla niego wysiłkami, które czynią dla zdobycia nowych targów, jakoteż ofiarami, które ponoszą dla połączenia różnych krajów świata nowemi liniami kolejowemi lub drogami morskiemi. Lecz ludy i rządy nie mają zwyczaju zważać na ogólne interesa rodu ludzkiego; zajmują się wyłącznie interesami pewnego kraju, w którym żyją i trudno im z tego robić zarzut. Sądzą zatem, słusznie czy niesłusznie — to jest właśnie kwestya — że handel międzynarodowy, pozostawiony sobie samemu, naraża na niebezpieczeństwo upadku produkcyę danego kraju, na ograniczenie jego sił wytwórczych i wymierza, choć pośrednio, cios w byt narodowy. Uważają oni handel międzynarodowy za wojnę, za jednę z odmian narodowej walki o byt. To też jak każda sztuka wojenna polega na zajęciu wrogiego kraju, a niedopuszczeniu nieprzyjaciela do siebie, tak też, zdaniem protekcyonistów, taktyka handlu międzynarodowego powinna dążyć do zalania obcych targów własnymi wytworami, a powstrzymywać dowóz z zagranicy. Należy

więc wytworzyć tak silną produkcyę krajową, ażeby mogła nietylko skutecznie odeprzeć konkurencyę zagraniczną, lecz także zwycięsko z nią walczyć w jej własnej ojczyźnie. Takiem jest zagadnienie, które protekcyoniści starają się rozwiązać od kilku już wieków zapomocą środków nader skomplikowanych.

Argumentacyę ich można streścić w następujących czterech tezach:

1. Jeżeli handel międzynarodowy przybrał w naszych czasach charakter walki o byt, w takim razie musi wydać wszystkie te szkodliwe rezultaty, które są nieodłączne od wszelkiej, nawet indywidualnej konkurencyi, mianowicie musi doprowadzić do zgniecenia słabszych. Tak n. p. Stany Zjednoczone mogą uprawiać ziemię w znacznie korzystniejszych warunkach niż kraje europejskie, dzięki rozmiarom swych gospodarstw rolniczych, urodzajności niektórych okolic, zbyteczności nawozu, nizkim cenom ziemi i drobnym podatkom. Jeżeli więc dowóz zboża amerykańskiego nie pozwala francuskim rolnikom na produkcyę zboża, cóż oni mają zrobić? Powie ktoś, niech produkują wino. Lecz Hiszpania i Włochy wskutek swego klimatu dostarczają wina znacznie silniejszego, a dzięki nizkim płacom, znacznie tańszego. Taką samą niższość dostrzegamy w porównaniu z Chinami co do jedwabiu, z Australią co do wełny, z Argentyną co do mięsa. Więc cóż robić? Czyż rolnicy, stanowiący połowę francuskiej ludności, mogą opuścić ziemię i przenieść się do miast? Ileż to niebezpieczeństw dla kraju pociągnęłoby za sobą podobne przeniesienie, nietylko ze względów ekonomicznych, lecz także ze względów sanitarnych, moralności, politycznej trwałości, siły wojskowej i przyszłości kraju! Któż zresztą nam ręczy, że ta ludność wypędzona ze wsi, znajdzie w mieście pracę lepiej się opłacającą? Czyż nie jest również możliwym upadek przemysłu fabrycznego pod wpływem przywozu zagranicznego? Jeżeli kraj pewien znajduje się w tem nieszczęśliwem położeniu, że we wszystkich gałęziach pro-

dukcyi niższym jest od pewnych krajów zagranicznych, będzie musiał ustępować miejsca na wszystkich polach i pozostanie mu tylko jeden chyba ratunek: przenieść ludność i kapitały, które mu jeszcze zostały, do tych właśnie krajów, które tak zwycięsko prowadzą z nim walkę konkurencyjną, aby przynajmniej korzystać z pomyślnych warunków, zapewniających mu tę wyższość. Jeżeli Francya nie może znieść konkurencyi amerykańskiej, niech się przeniesie do Ameryki. — Oto jest — jak mówią — logiczny wniosek, wynikający z systemu, który w handlu międzynarodowym widzi sposób urządzenia, pozwalający wyciągnąć największy możliwy zysk z ziemi i ludzi ją zamieszkujących, bez troski o to, że ludzie ci dzielą się na narody i że każdy z nich ma prawo i chęć do życia.

Prawdą jest — dodają — że konkurencya wewnętrzna i handel wewnętrzny mogą wywołać te same skutki w swoim zakresie. Możliwem jest, że wolność i łatwość połączenia między Cantal a Paryżem pociągnie za sobą wyludnienie i przemysłową śmierć tej prowincyi, lecz tutaj jedna część Francyi zyskuje, co druga traci — nikt temu nie powinien przeszkadzać.

Łatwo zrozumieć, że o ileby chodziło o jednostki, jakiś zwolennik Darwina mógłby w końcu poświęcić je dla ważniejszych interesów całego rodzaju, lecz nie można się domagać, ażeby jakiś kraj poświęcił siebie na rzecz ludzkości. Byłoby to tem więcej nierozsądnem, że ostatecznie jest tu w grze jedynie wyższość ekonomiczna i handlowa, a kraje mają na tym świecie jeszcze inne zadanie jak produkcyę gospodarczą. Byłoby to bardzo rozpaczliwem, gdybyśmy pewnego dnia wykreślili jakąś nową Helladę z szeregu narodów ze względu na to, że jej nieurodzajna ziemia nie pozwala jej tak tanio produkować jak innym.

Jeżeli już nie ma się dojść aż do uchylenia konkurencyi zagranicznej, należy przynajmniej wprowadzić równe warunki dla stron rywalizujących. Jeżeli więc zagranica może wskutek swych bogactw naturalnych, kopalń złota lub żelaza i dziewiczej swej ziemi, której nie wyczerpała jeszcze uprawa dwudziestu wieków, wytwarzać o 10% taniej, albo gdy jest to wynikiem znacznie mniejszych wydatków publicznych — gdyż ponoszą one skutki dawniejszych wypadków dziejowych — w takim razie słuszność domaga się wprowadzenia na przywóz towarów zagranicznych ceł wyrównawczych w wysokości 10%, ażeby usunąć różnicę ciężarów, spoczywających na produkcyi krajowej i obcej.

2. Przypuszczając nawet, że żaden kraj nie upadłby w tej walce i każdy znalazł jakąś gałąź produkcyi, w którejby zachował swą wyższość i ku niej skierował wszystkie swe wytwórcze siły, czyż byłby to rezultat do którego powinniśmy dążyć? Tak twierdzą wolnohandlowcy, gdyż widzą w tem najszersze zastosowanie prawa podziału pracy; uważają oni świat cały jako olbrzymią fabrykę, w której każdy naród oddaje się tylko jednej czynności i to takiej, do której jest najwięcej uzdolniony wskutek czego wyzyskuje się możliwie najdokładniej wytwórcze siły ziemi i ludzkości. Francya miałaby dostarczać tylko najlepszych win, kapeluszy i dzieł sztuki, Anglia maszyn i wyrobów bawełnianych, Chiny herbaty, Australia wełny, Grecya rodzynków, Rosya zboża, Szwajcarya serów i zegarków.

Lecz tutaj znowu poświęca się najzupełniej interes narodowy dla mniemanego interesu ogólnego, który jest tylko abstrakcyą. Podobny ideał, gdyby nawet dał się urzeczywistnić, doprowadziłby wszystkie narody do upadku, a tem samem i cały rodzaj ludzki, który przecież niema poza związkami narodowymi własnego życia. W istocie, jeżeli uznano, że nawet dla jednostek specyalizacya pracy jest nader szkodliwą dla rozwoju fizycznego, umysłowego i moralnego, to cóż dopiero mówić o narodzie. Kraj, w którym wszyscy oddawaliby się temu samemu zawodowi, byłby czemś monstrualnem, bezduszną masą bez myśli

i bez życia. Biologia uczy, że rozwój istot organicznych i ich stanowisko na szczeblach życia, stoją w prostym stosunku do rozmaitości i różnorodności ich funkcyi jakoteż do zróżniczkowania organów, które im odpowiadają. Zupełnie to samo da się powiedzieć o narodzie; jeżeli się chce podnieść do bogatego i czynnego życia, to powinien starać się o pomnożenie u siebie wszystkich odmian działalności społecznej i wszystkich energii, a tem samem tego czuwać nad tem, ażeby zagraniczna konkurencya kolejno ich nie zabiła.

3. Dowóz wytworów zagranicznych, jeżeli nie towarzyszy mu odpowiedni wywóz towarów krajowych, może doprowadzić kraj do ruiny, najpierw odbierając mu gotówkę, następnie sprowadzając go do rzędu dłużników. Kraj, który sprowadza obce towary, płaci początkowo pieniądzmi, a gdy ich już braknie, pożycza najczęściej u tych, którzy mu sprzedają; lecz wskutek tego położenie jego pogarsza się coraz więcej, gdyż do deficytu handlowego przyłącza się deficyt, płynący z obowiązku opłacania procentów. Wskutek tego dochodzi on do bankructwa. W tem położeniu znalazły się np. Portugalia, Turcya i t. d. Wprawdzie ekonomia polityczna uczy, że wszelki dowóz wywołuje prędzej czy później odpowiedni wywóz, lecz to prawo, gdyby nawet było udowodnionem, nie wystarcza bynajmniej dla uspokojenia zwolenników ochrony celnej. Rzeczywiście już poprzednio wykazaliśmy, że wywóz tego rodzaju może powstać dopiero po utracie gotówki i jedynie wskutek ogólnej zniżki cen. Otóż to właśnie jest dla kraju bardzo szkodliwem, a położenie jego staje się jeszcze gorszem, jeżeli pożycza na zapłacenie swych zobowiązań. Wreszcie nie wystarcza to bynajmniej, jeżeli się powie, że kraj za towary obce zapłaci również towarami, niema bowiem wzajemności ekonomicznej, choćby nawet była równość wartości w wypadku, w którym w zamian za przedmioty zbytkowne należy wywieźć rzeczy niezbędne, jak np. dobra, które się dadzą użyć jako kapitały, albo też jako środki wyżywienia.

4. Dalej zwolennicy ochrony celnej twierdzą, że cła są najlepszym podatkiem, gdyż opłaca go zagranica. Żaden kraj nie powinien się wahać z ich wprowadzeniem, albowiem zyskuje na nich podwójnie: popiera własną produkcyę i uzyskuje dochody, które ludność nic nie kosztują.

5. W końcu bezpieczeństwo narodowe domaga się stanowczo ceł ochronnych. Każdy naród stara się, choćby największemi ofiarami, o budowę fortec, floty wojennej i fabryk broni. Lecz równie niezbędnym dla ochrony niepodległości jest węgiel, bez którego nie kursowałyby pociągi, a więc mobilizacya byłaby niemożliwa, a tak samo żelazo, konie, zboże, mięso, sukno, skóra, słowem wszystko, co jest konieczne do życia i utrzymania milionowych wojsk w czasie wojny. Anglia może sobie pozwolić na dowóz z zagranicy środków żywności, bo panuje nad drogami morskiemi i wydaje olbrzymie sumy, ażeby zachować sobie wyższość na morzu na wypadek wojny. Lecz z pewnością starałaby się wszelkiemi siłami powiększyć swą produkcyę rolną, gdyby tylko był powód do obaw, że droga morska może być dla niej odciętą. Nowożytna wojna absorbuje do tego stopnia wszystkie siły i zasoby gospodarcze, że niema żadnej gałęzi wytwórczej, która byłaby obojętną dla obrony narodowej.

VII.

Teorya wolnego handlu.

Zwolennicy wolnego handlu twierdzą, że większa część przytoczonych poprzednio argumentów niema właściwie żadnego znaczenia i posiada jedynie pozory prawdy.

1. Największe wrażenie sprawia zwyczajnie wskaza-

nie na zgubne skutki konkurencyi. Wolny handel ma być walką prowadzoną zapomocą równej broni, przestaje więc być słusznym, jeżeli jedna strona jest widocznie słabszą. Lecz do jak dziwnego zboczenia logicznego doprowadziło to twierdzenie!

Dawniej uczono, że należy chronić słabszych przed silniejszymi, mówiono o t. zw. opiece celnej. Zwracano uwagę, że świeżo powstająca produkcya ma do zwalczenia bardzo wielkie przeszkody. Nie łatwo jej przychodzi dotrzymać placu przemysłowi zagranicznemu, będącemu w posiadaniu obszernych rynków zbytu, który może posunąć udoskonalenie podziału pracy do najwyższego stopnia i rozwinąć produkcyę na wielką skalę. Walka jest tem trudniejszą, że w tych nowych państwach płace robotnicze są wyższe, a robotnicy mniej wyćwiczeni. Powszechnie jest wiadomem, że nie łatwo przychodzi sadzić młode drzewka w sąsiedztwie starych, bo te zabrały już cały krąg światła i całą powierzchnię ziemi naokoło, nie zostawiając zatem miejsca dla nowych, ani na zapuszczenie korzeni, ani na rozrost gałęzi.

Powoływano się na przykład Stanów Zjednoczonych, które, dzięki swej wysokiej taryfie celnej, w tak świetny sposób zmieniły swe położenie ekonomiczne i stały się jednem z pierwszych ognisk przemysłowych świata. Czyż amerykański przemysł mógłby wzróść tak szybko, gdyby od pierwszych początków musiał walczyć z fabrykatami angielskimi, czyż raczej przepotężna konkurencya nie byłaby go zgniotła w zarodku?

Wskazywano również na młode kolonie angielskie, jak Australia i Kanada, które, jakkolwiek wychowane na gruncie najczystszej doktryny wolnohandlowej, nie zawahały się odgrodzić taryfami ochronnemi nawet od kraju macierzystego.

Bardzo dobrze, lecz dzisiaj Stany Zjednoczone są jednym z pierwszych krajów przemysłowych a jednak trzymają się dalej ochrony celnej, jakkolwiek odrzucają stanowczo twierdzenie o »opiece celnej«, jako ubliżające ich narodowej godności. Nie chcą już być nadal traktowane jak dzieci, to też obecnie głoszą zasadę, że kraje stojące na wyższym stopniu cywilizacyi, bogate i płacące swym robotnikom znaczniejsze wynagrodzenie, powinny się bronić przed państwami, które pod względem cywilizacyi i płac pozostały w tyle [1]).

Chodzi tu o Europę, a tymczasem od państw europejskich dowiadujemy się czegoś wręcz przeciwnego. Protekcya celna jest im niezbędną, bo są krajami starymi i muszą się bronić wobec druzgocącej konkurencyi nowych krajów i ziem dziewiczych.

Cóż więc o tem sądzić, ktora tu strona zwodzi? Czy słabi potrzebują obrony przed silnymi, czy też potężni wobec słabych, czy młodzi wobec starych, czy starzy wobec młodych? Co mamy sądzić o argumentach, służących zarówno dwom wręcz przeciwnym tezom?

Nie potrzeba także również obawiać się, aby handel zagraniczny doprowadzić mógł do wyludnienia. Niema potrzeby brać sobie do serca tego przerażającego obrazu narodu, kolejno spędzanego zagraniczną konkurencyą ze wszystkich gałęzi produkcyi, zmuszonego do opuszczenia swej ziemi i wywędrowania zagranicę. Nigdy, żaden kraj, choćby najbardziej od natury upośledzony, nie będzie niższym od innych na wszystkich polach działalności wytwórczej. A przypuszczając nawet, że jakiś kraj miałby to nieszczęście że byłby niższym od swych sąsiadów we wszystkich gałęziach produkcyi, że byłby rzeczywiście uboższym od wszystkich innych, tak że tą samą ilością pracy lub nawet większą jeszcze mógłby zdobyć sobie mniejszą tylko ilość wytworów — wtedy już prohibicya zagra-

[1]) Ekonomiści amerykańscy twierdzą, że Azya i Europa przysyłają im tak wychodźców ubogich, którzy obniżają wymagania życiowe *(standard of life)* jak i tanie towary. Muszą więc bronić się przed najściem biednych robotników i napływem wytworów pracy ubogich.

nicznych wytworów nic chyba nie zmieniłaby w tem przykrem położeniu, nie wstrzymałaby wychodźtwa na wielką skalę; wtedy potrzebaby już nie taryf celnych, lecz murów więziennych.

Rozumując w ten sposób, zapomina się o tem, że wszelki handel międzynarodowy, dąży do wymiany naturalnej. Każdy dowóz domaga się odpowiedniego wywozu, jakżeż więc przypuścić, że istnieje kraj, który wszystko kupuje zagranicą, a nic jej nie sprzedaje? Chyba przyjmiemy, że zagranica dostarczy mu wszystkiego *za darmo*, czego potrzebuje; lecz w takim razie położenie jest raczej godnem zazdrości, a nie opłakanem. W rzeczywistości możemy być spokojni: kraj za ubogi, aby coś oddać zagranicy, nic od niej nie dostanie!

2. Również nie potrzebujemy się obawiać, aby w zwyczajnych stosunkach, kraj utracił swą gotówkę pod wpływem handlu międzynarodowego. Wytłumaczyliśmy już powyżej, że przyczyny tego zjawiska (n. p. w państwach południowej Ameryki) należy raczej szukać w złej gospodarce finansowej niż w handlu zewnętrznym.

3. Przedewszystkiem zupełnie mylnem jest twierdzenie, że cła ochronne nietylko nie nakładają na kraj żadnego nowego ciężaru, lecz przeciwnie podnoszą dochody państwowe, albowiem opłaca je zagranica. Rzeczywiście jakżeż można sądzić, że jakiś kraj będzie miał zdolność przerzucenia na zagranicę całości lub części swych podatków? A przypuściwszy nawet, że toby było możliwem, jasną jest rzeczą, że każde państwo starałoby się z tego skorzystać, nakładając podatki na zagranicę; w istocie więc niktby żadnej nie odniósł korzyści.

Taki wypadek może zajść tylko wyjątkowo [1]), lecz zwyczajnie skutkiem dobrze znanego prawa przerzucenia

[1]) Wskutek nałożenia cła podnosi się cena towarów, a tem samem może odpaść pewna liczba konsumentów, nie mających już dostatecznych środków do ich nabycia. Dlatego też producent może się znaleźć wobec dylematu: albo mniej sprzedawać, albo zniżyć

podatków, każdy podatek, opłacony przez producenta lub kupca, ponosi właściwie konsument przez zwyżkę cen towarów. Daleko częściej dostrzeżemy to przerzucenie, gdy mamy do czynienia z wytwórcą zagranicznym. W istocie cła opiekuńcze wywołują odpowiednie zwiększenie się wysokości cen nietylko przywiezionych towarów, lecz także wszystkich towarów podobnych, wytwarzanych wewnątrz danego kraju, tak, że społeczeństwo musi opłacać z własnej kieszeni, pod postacią zwyżki cen, dziesięciokrotnie zysk państwa. Przypuśćmy, że wchodzi do Francyi 10 milionów cetnarów obcego zboża w cenie po 20 franków, w chwili przybicia do brzegu. Skutkiem konkurencyi tego zboża zagranicznego, 80 milionów cetnarów zboża, przedstawiającego mniej więcej wytwórczość Francyi, sprzedaje się także po 20 franków i na to też się użalają. Nałóżmy więc cło przywozowe na zboże zagraniczne po 5 franków od cetnara.

Państwo więc drogą administracyi celnej otrzyma (o ile cło nie ma na celu zmniejszenia ilości przywozu) $10 \times 5 = 50$ milionów franków. Lecz społeczeństwo nietylko zapłaci 5 fr. więcej za każdy cetnar zagranicznego zboża, dajmy na to 50 milionów — czyli tyle właśnie, ile państwo otrzymuje — lecz nadto zapłaci 5 fr. więcej za każdy cetnar zboża wytworzonego we Francyi, bo wytwórcy francuscy starać się będą oczywiście sprzedawać zboże swe po tej samej cenie co zagraniczni, więc $80 \times 5 = 400$ milionów franków. To znaczy, razem wziąwszy, że cła ochronne przyniosą 50 milionów fr. państwu, a 400 milionów fr. krajowym wytwórcom, lecz będą kosztować konsumentów 500 milionów.

Odpowiadają na to zwykle zapewnieniem, że cła

ceny, t. zn. przyjąć cło na siebie. Zdecyduje się na zniżkę cen, jeżeli pomimo tego pokryje swe koszta, a zarazem jeżeli nigdzie nie może uzyskać lepszej ceny. Wtedy rzeczywiście cło opłaca producent zagraniczny, lecz jest to wypadek wyjątkowy i nie można na nim opierać gospodarki finansowej.

przywozowe płacą wytwórcy zagraniczni i że ceny towaru przywiezionego nie zwiększają się. Przyjmując nawet na chwilę, że odpowiedź ta opiera się na słusznych podstawach, należałoby wysnąć stąd wniosek, że skoro ceny się nie zmienią, narodowy przemysł nic na tem nie zyska, gdyż nie uchylimy konkurencyi obcej, nie ochronimy narodowej pracy, nie podniesiemy wreszcie cen — do krytyk więc, które dopiero co przytoczyliśmy przeciw cłom opiekuńczym, należałoby dodać ostatnią i bardziej jeszcze rozstrzygającą, że są bezskuteczne.

4. Obawa nadmiernej specyalizacyi, prowadzącej do upadku kraju, jest również bezpodstawna. Prawda, że każdy kraj, mając prawo do życia, ma zarazem prawo i obowiązek dążyć do rozwoju wszystkich swych gospodarczych organów, bez względu na to, czy już działają, czy znajdują się jeszcze w stanie bezczynnym, a więc do rozwoju rolnictwa, przemysłu i handlu. Lecz nie należy gwałcić przyrody, aby np. wytwarzać wino w Anglii lub pomarańcze we Francyi, tylko możliwie najdokładniej i najlepiej wyzyskiwać wszystkie właściwości ziemi, klimatu i charakteru narodowego dla podniesienia dobrobytu. A w tym kierunku właśnie działa najskuteczniej wolna konkurencya, zmuszająca do pracy lepszej lub odmiennej od innych. To też właśnie w krajach wolnego handlu produkcya jest najbardziej urozmaicona i najwyżej wykształcona.

5. Tak samo błahe są przepowiednie niższości lub nawet ruiny tych krajów, które tylko kupują od innych. Prawda, że lepiej być bogatym niż ubogim, lecz położenie nabywającego nie musi być bynajmniej gorszem od położenia sprzedającego. Czyż konsumenci uważają się za upośledzonych w stosunku do swych dostawców? Ostatecznie naród, który sprowadza towary z zagranicy, każe pracować na siebie cudzoziemcom, naturalnie za w nagro-

dzeniem. Z pewnością nie jest to cechą niższości, a tem mniej ubóstwa.

Twierdzenie, że przewaga dawna nad wywozem prowadzi do zadłużenia kraju zagranicą, polega na zupełnie mylnem zrównaniu jednostki, żyjącej z kredytu i narodu. Obrót międzynarodowy odbywa się za gotówkę, a co najwyżej na kredyt krótkoterminowy, tak że jest rodzajem wymiany surowej, która nie może sprowadzić zadłużenia. Narody rujnują się niekiedy przez zaciąganie pożyczek zagranicą, lecz nie zaciąga się ich na kupno towarów.

6. Pozostaje więc tylko kwestya przygotowania się na wypadek wojny. Pytanie tylko czy system protekcyi celnej nie zwiększa raczej tego niebezpieczeństwa, czy wojna cłowa nie prowadzi do walki orężnej. Natomiast wolny handel uchyla niemal zupełnie prawdopodobieństwo wojny, a w każdym razie doświadczenie uczy, że stosunki handlowe są bardzo skuteczną zaporą przed wybuchem wojny. Już Montesquieu napisał, że naturalnym skutkiem handlu jest pokojowa dążność.

Zresztą, jeżeli ochrona celna ma być konieczną ze względów wojskowych, należy ją uważać za dodatkowy ciężar, uzupełniający wydatki militarne, a nie jako źródło dochodów i dobrobytu. Jeden z ekonomistów amerykańskich obliczył, że pewna przędzalnia kosztowała Stany Zjednoczone więcej, niż opancerzony krążownik. Powiedzmy więc otwarcie, że ochrona celna jest równie koniecznym ciężarem społecznym jak wojna lub zbrojny pokój, lecz nie łudźmy kraju nadzieją urojonych zysków które ma przynieść ten system.

Zwolennicy wolnego handlu nie poprzestają na odparciu argumentów przeciwników, lecz przechodząc z obrony do ataku, podnoszą jeszcze następujące braki ochrony celnej:

1. Ochrona celna jest szkodliwą dla konsumentów, bo podnosi koszta utrzymania, albo przynajmniej nie dopuszcza do ich obniżenia. Większa część artykułów konsumcyi masowej jest tańszą w krajach wol-

nohandlowych, n. p. w Anglii, niż w państwach o cłach ochronnych. Widzieliśmy już poprzednio, że cło opłacają najczęściej konsumenci krajowi i że podnosi ono także cenę wytworów krajowych tego samego rodzaju. Możliwy jest wprawdzie wypadek odwrotny, gdy cła ochronne przez sztuczne podniesienie cen wywołają nadmierny wzrost produkcyi i przez to doprowadzą do upadku cen. Lecz nadmiar produkcyi krajowej jest z pewnością szkodliwszy od zalewu kraju przez obce towary. Przed napływem wytworów zagranicznych można się bronić, nie kupując już ich więcej, tymczasem ten sam środek, zastosowany do własnej produkcyi, sprowadza ruinę wytwórców krajowych.

2. Ze stanowiska rozdziału cła ochronne są niesłuszne, gdyż poręczają minimum dochodu właścicielom, podczas gdy nie chce się przyznać ustawowego minimum zarobku robotnikom. Zarazem cła te przynoszą znacznie większy zysk bogatym niż ubogim, powiększając w ten sposób różnice majątkowe. Tak n. p. cło 7 franków od cetnara zboża podnosi jego cenę z 20 na 27 franków. Właściciel ziemski, uprawiający je na średnim gruncie lub nie posiadający dostatecznych środków uprawy — produkując 10 cetnarów z hektara — uzyska zwiększenie dochodu o 70 franków, co prawdopodobnie nie będzie dostatecznem do pokrycia kosztów uprawy. Właściciel ziemski, który dzięki ziemi bujnej lub udoskonalonym środkom uprawy, zbiera 30 cetnarów z hektara, a zatem może się łatwo obchodzić bez ochrony, zyska na niej 210 franków z hektara.

3. Cła tworzą znaczną przeszkodę dla handlu zagranicznego, bo zmniejszając przywóz towarów, zmniejszają w równym stosunku wywóz, co stanowi rażący kontrast do wysiłków wszystkich ludów, zdążających do ułatwienia połączeń między krajami, przebijających góry, przecinających przesmyki, przerzynających morza liniami parowców subwencyonowanych i lin telegraficznych, urządzających międzynarodowe wystawy, zawierających monetarne układy i t. d. Czyż można sobie wyobrazić coś więcej szalonego, jak wydać dziesiątki a nawet setki milionów na przebicie tunelu Alp lub zbudowanie mostu na kanale la Manche, ażeby następnie postawić z obu stron straż celną i o ile możności powstrzymywać przewóz towarów!

4. Zadają cios produkcyi narodowej podniesieniem kosztów produkcyi, bądźto wprost przez podrożenie surowców i narzędzi, bądź pośrednio przez podrożenie robotników. Stąd pochodzą stałe i trudne do usunięcia zatargi między różnemi gałęziami produkcyi; jeżeli się nałoży cła przywozowe na wełnę lub jedwab dla ochrony producentów baranów lub jedwabników, podnoszą się krzyki oburzenia ze strony przędzalń jedwabiu lub wełny; jeżeli się nakłada cło przywozowe na nici jedwabne, wełniane lub bawełniane, niszczy się przemysł tkacki itd. Skombinowany system »czasowych dopuszczeń« [1]) jest tylko środkiem łagodzącym, zupełnie niedostatecznym.

5. Utrudniają postęp przemysłu, odbierając mu bodźca w postaci zagranicznej konkurencyi. W jednej ze swych mów politycznych wspomniał Bismark o owych szczupakach, które rzuca się do stawów pełnych karpi, aby je ożywić i przeszkodzić im w osiadaniu na dno. Porównanie to możnaby tu śmiało zastosować. Jeżeli chcemy — a jest to właśnie życzeniem zwolenników ceł opiekuńczych — aby kraj pewien zachował swe stanowisko przemysłowej i handlowej potęgi, należy go zmusić do stałej zmiany swego zasobu środków produkcyjnych i swej techniki wytwórczej, do ciągłego wyłączania zużytych lub przestarzałych maszyn

[1]) Czasowem dopuszczeniem (drawback) nazywamy dopuszczenie pewnych surowców bez cła, lub za zwrotem późniejszym cła opłaconego, jeżeli w pewnym określonym czasie wywiezie się te surowce przerobione na fabrykaty.

aby, jak wąż ciągle się odradzał, zmieniając skórę; ponieważ jednak czynność ta jest zawsze bardzo niemiłą, wątpliwem jest, czy wytwórcy zechcieliby zgodzić się na to własnowolnie, gdyby ich w tym kierunku nie parła jakaś siła zewnętrzna.

6. Ze względów skarbowych należy podnieść, że pobór ceł jest wprawdzie dość łatwy, lecz z drugiej znowu strony nader kosztowny i niewygodny dla ludności, a zarazem, że cła wytwarzają kontrabandę, która staje się nowem, potężnem a demoralizującem źródłem znacznych dochodów. Przytem dochody z ceł są znaczniejsze tylko z początku, później zaś zmniejszają się lub znikają zupełnie, gdyż wysycha ich źródło, t. zn. dowóz z zagranicy. Zadaniem ceł jest przecież powstrzymanie konkurencyi zagranicznej, jeżeli więc dowóz trwa w dalszym ciągu — a tylko w tym razie skarb może mieć z nich dochody — cel całego ustroju jest chybiony. Przy cłach skarbowych natomiast leży w interesie państwa obniżenie ich do tego stopnia, ażeby dowóz mógł być znaczny, bo wtedy wzrosną zarazem dochody publiczne z tego źródła.

VIII.

System premii wytwórczych.

Dochodzimy zatem do tego przekonania, że jeżeli państwo uważa za potrzebne w pewnych okolicznościach popierać narodowy przemysł, nie powinno się uciekać do systemu ceł przywozowych, lecz do systemu premii, o wiele prostszego i bardziej otwartego — bądźto w postaci poręczenia dochodu, bądź nawet w kształcie bezpośrednich subwencyi.

System ten w istocie nie przedstawia żadnych z tych

niekorzyści, które zaznaczyliśmy poprzednio, a posiada następujące zalety:

1. Można go stopniować dowolnie w miarę tego, jak zachodzi rzeczywista potrzeba ochrony, z pominięciem innych, którzy jej nie potrzebują. Zarzuci ktoś, że to będzie zbytnia dowolność — lecz system ceł ochronnych jest równie dowolnym i to dowolnym ślepo, podczas gdy ten jest nim rozumnie.

2. Nie stanowi tamy dla zagranicznego handlu i pozwala na pełny rozwój przywozu i wywozu, bo nie podnosi ceny wytworów.

3. Nie hamuje wcale produkcyi, bo nie zwiększa ceny surowców i kosztów produkcyi, lecz przeciwnie je zmniejsza.

Prawdą jest, że zapewniając przemysłowi narodowemu pewne bezpieczeństwo, można wywołać zbytnią rutynę — lecz jest to ciemna strona każdego systemu ochrony, a premie przynajmniej można ustanawiać pod pewnymi warunkami, wytwarzającymi bodźce dla popieranej gałęzi produkcyi.

4. Wreszcie co najważniejsze, system ten nie rości sobie pretensyi większych niż na to zasługuje, wyznaje on otwarcie, że jest ofiarą, nałożoną na kraj dla dobra publicznego. Nie prowadzi do żadnej dwuznaczności; publiczność wie, że płaci za tę ochronę, a nawet zna cenę, którą płaci. To właśnie stanowi wyższość ekonomiczną i moralną tego systemu. Lecz ta właśnie okoliczność nie zachęca protekcyonistów, to też rzadko żądają jego zastosowania: jest to system zanadto przeźroczysty. Z tego też powodu premie nie mogą być nigdy popularne, bo otwarcie domagają się ofiar jednych na rzecz drugich i przyznają przywileje pewnym warstwom czy jednostkom, co jest rażącem ze względu na złamanie zasady równości. Domaga się on także ze strony państwa wielkiej bezstronności i zrozumienia interesów gospodarczych, na co nie zawsze można liczyć. Nic więc dziwnego, że dotąd system premii

nie okazał się w praktycznem zastosowaniu dosyć skutecznym i korzystnym.

Obok tego można jeszcze wymienić kilka drobniejszych sposobów poparcia krajowej produkcyi. Należą tutaj 1) taryfy różniczkowe środków przewozowych, które mają ułatwić wywóz własnych towarów, lub dowóz surowców, przez obniżenie kosztów transportu; 2) gwarancya oprocentowania kapitałów, włożonych w nowe przedsiębiorstwo, przyczem państwo obowiązuje się do uzupełnienia czystego dochodu, jeżeli nie dosięgnie on pewnej granicy; 3) ulgi podatkowe, przyznawane niektórym przedsiębiorstwom, głównie nowo powstałym, n. p. w Węgrzech, Rumunii [1]).

IX.

System traktatów handlowych.

Takie stanowisko zajmują oba te kierunki — protekcyi celnej i wolnego handlu. Przechylić się na jedną lub drugą stronę jest tem trudniej, że fakta rzeczywiste nie rozjaśniają wcale tej kwestyi. Wprawdzie wolny handel doprowadził Anglię w ciągu XIX wieku do cudownego rozwoju dobrobytu, a krótkie jego panowanie we Francyi zeszło się z nadzwyczajnie korzystnem położeniem przemysłu, które już nie powróciło w epoce ochrony celnej, lecz za to, właśnie w systemie protekcyi handel i przemysł Niemiec i Stanów Zjednoczonych wzrosły do tego stopnia, że wzbudziło to zaniepokojenie w Anglii. Stąd też należy przyjmować argumenty jednej i drugiej strony

[1]) W Galicyi nowe przedsiębiorstwa mogą być również pod pewnymi warunkami uwolnione od dodatków krajowych. W Anglii towary zagraniczne muszą być opatrzone napisem, stwierdzającym, że są wyrobem obcym, co stanowi tam również ochronę produkcyi krajowej. (*Przyp. tłum.*).

z pewną nieufnością; wolny handel i ochrona celna nie są widocznie ani tak szkodliwe, ani tak zbawienne, jak to przedstawiają ich przeciwnicy i zwolennicy. Zdaje się nam, że dobrobyt i rozwój gospodarczy każdego kraju zależy przedewszystkiem od innych przyczyn, a ustrój celny jest czynnikiem drugorzędnym, którego wpływ przeceniono bardzo znacznie.

Odnosi się to nietylko do ustroju celnego, gdyż przeceniono także bardzo znacznie doniosłość handlu zagranicznego wogóle. Stanowi on tylko drobną cząstkę (według obliczeń amerykańskich około 5%) obrotu wewnętrznego, o ile nie rozchodzi się o państwo bardzo małe lub rzeczpospolitą miejską, jak Tyr czy Wenecya. Wielki kraj można raczej porównać z właścicielem ziemskim, żyjącym w swej posiadłości, który wytwarza przeważną część potrzebnych mu środków i zużywa na własne potrzeby większość swych wytworów, a tylko pozostałą resztę sprzedaje w mieście, w którem zarazem kupuje przedmioty, których nie uzyskał we własnem gospodarstwie.

Ideałem dla obrotów międzynarodowych są stosunki, które powinny panować między jednostkami. Naszem zdaniem podstawą ich nie ma być ani konkurencya ani nawet zwykła wymiana, lecz współdziałanie. Wystarcza to, ażeby oświadczyć się przeciw ochronie celnej, której zadaniem jest przeprowadzić zasadę: »każdy naród dla siebie i u siebie«. Lecz tem bardziej nie można zgodzić się na bezwzględny wolny handel, gdyż jest on tylko przejawem anarchicznej konkurencyi.

Ustrój, który o ile chodzi o narody, zbliża się najwięcej do asocyacyi jednostek, jest system traktatów handlowych, bez względu na to, czy są one umową pomiędzy dwoma państwami, czy, co jeszcze lepsze, stwarzają związek handlowy większej liczby państw. Do nich należy przyszłość i dziś już ta dążność objawia się wyraźnie. Traktaty handlowe są najlepszem wyjściem ze wszystkich trudności, gdyż nakładają więzy nadmier-

nym wymaganiom, opierają się na zasadzie wzajemności i prowadzą do wytworzenia solidarności interesów pomiędzy narodami, złączonymi umową handlową.

Traktaty handlowe posiadają następujące zalety:

1. Zapewniają trwałość taryf celnych na pewien z góry oznaczony przeciąg czasu, co jest nader korzystne dla stosunków handlowych. Prawda, że krępują swobodę państw i nie dozwalają na zmianę ceł stosownie do chwilowo panujących okoliczności, lecz jest to raczej ich zaletą niż brakiem, gdyż dzięki temu mogą przedsiębiorcy ustalić swe obliczenia i ceny na dłuższy okres czasu.

2. Pozwalają na indywidualizowanie ceł, stosownie do krajów, z którymi wchodzi się w umowę, podczas gdy taryfa autonomiczna jest jednolita i równa dla wszystkich. W praktyce jednak to indywidualizowanie uchyla klauzula największego uprzywilejowania.

3. Prowadzą stopniowo do coraz większej wolności handlowej, gdyż przy każdem odnowieniu traktatu obie strony uzyskują nowe ustępstwa. Tymczasem system ochronny, raz ustalony, prowadzi, jak uczy doświadczenie, do coraz powszechniejszej i znaczniejszej protekcyi, każdy bowiem żąda czegoś dla siebie.

Zarazem traktaty handlowe pozwalają na spełnienie pewnych żądań zwolenników ochrony celnej, a mianowicie:

1. Narzucają zasadę wzajemności (angielskie *fair trade*, w przeciwstawieniu do *free trade*), t. zn. otwierają granice krajom, które otwierają swoje, zamykają tym, którzy swoje zamknęły [1]).

2. Uwzględniają istniejące stosunki, licząc się z potrzebami tych gałęzi produkcyi, których upadek wywołałby znaczniejsze szkody, albo też których utrzymanie jest niezbędne, więcej jeszcze ze względów politycznych i społecznych, niż gospodarczych. W tym razie można utrzymać w traktatach handlowych cła ochronne, które je zabezpieczą przed obcą konkurencyą.

3. Niedopuszczają do sztucznego lub ukrytego popierania konkurencyi zagranicznej, n. p. przez premie wywozowe, ofiarowywane przez skarb państwa, lub przez sprzedaż towarów za granicą po niższych cenach niż w kraju, jak to czynią trusty (system ten zowie się *dumping*).

[1]) Odmowa zawarcia traktatu handlowego pociąga za sobą często represalia w kształcie wygórowanych ceł lub wprost niedopuszczenia dowozu. Ma ona skłonić przeciwną stronę do ustępstw przez szkody, które ona w ten sposób poniesie.

ROZDZIAŁ V.

KREDYT.

I.

Kredyt jest tylko rozszerzeniem wymiany.

Kredyt jest tylko rozszerzeniem wymiany, wymianą w czasie zamiast w przestrzeni. Kredyt jest wymianą przedmiotów obecnych w zamian za przedmioty przyszłe.

Przypuśćmy, że ktoś chce kupić wełnę, lecz niema czem zapłacić, t. zn. niema dobra, któreby mógł odstąpić w zamian. Nie przeszkadza to wymianie, bo można mu odstąpić wełnę w zamian za dobro przyszłe, które on chce wytworzyć przy jej pomocy, tj. w zamian za równą wartość sukna, w chwili gdy ono będzie już istniało.

W tym wypadku wymiana jest widoczną, jest to sprzedaż, różniąca się tylko tem od zwyczajnej, że jest terminową a nie za gotówkę. Ta drobna pozornie ró-

żnica ma olbrzymie znaczenie i wprowadzenie tych układów w szereg umów było ogromnym postępem.

Lecz oto drugi wypadek, w którym wymiany już nie dostrzega się tak łatwo, jakkolwiek istnieje bezwarunkowo. Zamiast sprzedać wełnę pożycza się ją, t. zn. nabywca obowiązuje się zwrócić ją po pewnym czasie, gdy już jej użył do wyrobienia sukna. Naturalnie nie odda tej samej, bo przerobił ją na sukno, lecz odda taką samą wartość, którą uzyska ze sprzedaży sukna. Tutaj również, jakkolwiek nie wspomina się o sprzedaży, mamy do czynienia z wymianą rzeczy teraźniejszych na przyszłe.

Te dwa zjawiska sprzedaży terminowej i pożyczki stanowią właśnie dwie istotne formy kredytu.

Ponieważ rzeczy przyszłe mają zawsze niższą wartość od rzeczy obecnych, przeto dla zrównoważenia tej różnicy dłużnik musi zwrócić cokolwiek więcej niż otrzymał. Wskutek tego sprzedaż terminowa przychodzi do skutku zawsze po wyższej cenie niż wymiana za gotówkę, a tę różnicę cen nazywamy eskontem. Tak samo przy pożyczce musi się zwrócić wyższą sumę od otrzymanej, dodać do niej pewną nadwyżkę, którą zowiemy procentem.

Istotnym przeto znamieniem kredytu jest zużycie, zniszczenie rzeczy wypożyczonej lub kupionej po stronie dłużnika, a oczekiwanie nowego dobra, któreby je zastąpiło, po stronie wierzyciela. I tak ten, kto pożycza kapitał w formie worka talarów, jakikolwiekby chciał z nich zrobić użytek, musi oczywiście wypróżnić worek aż do ostatniego grosza; tak też i ten, kto pożycza wór zboża, czy to w celu zasiania go, czy zjedzenia, musi je zużyć, jużto rzucając je w ziemię, jużto mieląc w młynie [1]).

[1]) Ta cecha charakterystyczna nie jest pieniądzom tylko właściwa, lecz odnosi się do wszystkich rzeczy, które w znaczeniu prawnem uznane są za znikome, t. j. niszczejące, ginące przy jednorazowem użyciu.

Otóż ta właśnie cecha powoduje przy kontrakcie, o którym mówimy, ważne zmiany, tak odnośnie do dającego, jak i biorącego pożyczkę.

1. Co do wypożyczającego najpierw, to on narażony jest na bardzo znaczne ryzyko. Kiedy bowiem ten, kto wynajmuje dom lub wydzierżawia ziemię, wie, że zostanie mu oddaną po skończeniu się dzierżawy i że się tak wyrażę, nie traci jej z oczu przez cały czas trwania dzierżawy — to przeciwnie ten, kto wypożycza drugiemu rzecz zamienną, wie, że rzecz ta zostanie całkowicie zużytą stosownie do swego przeznaczenia [1]). Prawda, że on spodziewa się i liczy na przedmiot równej wartości, który ma w zamian otrzymać, ten jednak ostatecznie jeszcze nie istnieje, lecz ma być dopiero w tym celu wyprodukowany — a wszystko, co ma nastąpić w przyszłości, jest już tem samem niepewne. Ustawodawcy starali się usilnie o ochronę wierzyciela przed wszystkiemi niebezpieczeństwami, a sposoby zabezpieczenia, które w tym celu wprowadzili, stanowią jeden z najważniejszych działów ustawodawstwa cywilnego — należą tu: poręczenie, hipoteka, solidarność zobowiązania i t. d. Niemniej jednak potrzeba zawsze pewnego zaufania i dobrej wiary ze strony wierzyciela; w tem też leży przyczyna, dla której ten rodzaj pożyczki oznacza się specyalnie nazwą »kredytu«, która już swoim etymologicznym pierwiastkiem wskazuje na pewne zaufanie *(creditum, credere)*.

2. Co do biorącego pożyczkę, to nie jest on obowiązany tak, jak dzierżawca lub najmobierca, zachować rzecz sobie pożyczoną i utrzymywać ją w dobrym stanie, by ją

[1]) Prawnicy rzymscy zrozumieli to bardzo dobrze, że rzecz dana jako *mutuum* (pożyczka) zostaje tem samem pozbytą (alienowaną) — w przeciwstawieniu do rzeczy danych w *commodatum*, które zostają tylko użyczone. To też po upływie terminu pożyczki dłużnik nie był obowiązany oddać tej samej rzeczy, bo ta już nie istniała, lecz dać wierzycielowi na własność rzecz taką samą, równej wartości.

mógł oddać w oznaczonym czasie. On musi po wyciągnięciu z niej korzyści, t. j. po zużyciu, starać się zapomocą tego zużycia wyprodukować z niej przedmiot równej wartości na zaspokojenie wierzyciela w należytym terminie. Musi więc wszelkich dołożyć starań, by wyzyskać, użyć to dobro w sposób, jak największą korzyść przynoszący. Jeżeli był zmuszony użyć je nieprodukcyjnie, n. p. bezpośrednio na własne potrzeby lub gdy tylko z jakiegobądź powodu nie udało mu się wyprodukować dobra, co najmniej równej wartości z pożyczonem, to grozi mu upadek. To też w historyi wszystkich krajów i czasów spotykamy prawdziwą martyrologię dłużników, których kredyt przyprowadził do upadku. Produkcya na kredycie oparta jest więc o wiele niebezpieczniejszą niż wszystkie te jej sposoby, któreśmy dotąd poznali i może oddać rzeczywiste usługi tylko w społeczeństwach bardzo rozwiniętych.

II.

Historya kredytu.

Pojęcie i zadanie kredytu jest zbyt skomplikowane, ażeby mógł on powstać już w społeczeństwach pierwotnych. To też kredyt jest najnowszą ze wszystkich form organizacyi społecznej. Wprawdzie pożyczka (a może nawet sprzedaż terminowa) miała już w starożytności i w wiekach średnich wielkie znaczenie, lecz stanowiła jedynie pewien rodzaj pomocy dla członków tej samej rodziny lub tej samej warstwy, albo też była jednym ze sposobów wyzysku obcych lub członków innej klasy społecznej, nigdy zaś nie stanowiła odrębnej formy produkcyi. Stąd powstała niepopularność umów tego rodzaju i owe zaburzenia z powodu obdłużenia ludności. Kanoniści średniowieczni, którzy starali się w kontraktach pożyczki odróżnić wypadki kredytu produkcyjnego, w których procent był uprawnionym i nieprodukcyjnego, gdzie procent stanowił lichwę, rozumowali nie tak błędnie, jakby się to zdawało, owszem to odróżnienie odpowiadało najzupełniej ówczesnym potrzebom.

Kredyt jako jedna z form produkcyi powstał w rzeczywistości dopiero z chwilą, gdy przyszłe dobra, które są jego przedmiotem, do pewnego stopnia już zrealizowane, stały się przedmiotem handlu w kształcie papierów wartościowych. Wywołało to prawdziwą rewolucyę ekonomiczną. Oto droga, po jakiej ludzkość doszła do tego rozwoju.

Początkowo wierzytelności nie uważa się za dobro, ponieważ nie oznacza żadnego przedmiotu materyalnego; stanowi ona tylko czysto osobiste zobowiązanie między wierzycielem a dłużnikiem. Glossatorowie wyrażają to bardzo silnie zdaniem *ossibus haeret*, t. zn. wierzytelność złączona jest z osobą dłużnika. Jeżeli dłużnik nie uiszcza się z długu, wierzyciel nie może żądać zapłaty z jego majątku, nie może zabrać mu jego własności, ma tylko prawo do osoby dłużnika, może go więzić a nawet pokrajać w kawałki: *in partes secanto!* W tych stosunkach pojęcie przenośnych wierzytelności nie mogło się ukazać.

Wkrótce jednak, dzięki pracownikom rzymskim, wierzytelności nabierają znaczenia dóbr i przez nader subtelną interpretacyę nadaje im się zdolność przenoszenia na inne osoby przez *novatio* i *litiscontestatio*.

To uruchomienie wierzytelności jest jednak bardzo trudne i skomplikowane, o wiele trudniejsze niż przenoszenie dóbr materyalnych, co nawet widać i dziś jeszcze, przynajmniej w powszechnem prawie prywatnem.

Prawo handlowe jednak, które zawsze wyprzedza prawo prywatne, już w ciągu wieków średnich wprowadziło tu dwie świetne zmiany: wynalazło weksel i przekaz, który wyobraża pretensyę we formie papieru kredytowego i indos, zapomocą którego można przenieść

własność tego papieru przez krótką formułę, umieszczoną na odwrotnej stronie.

Dwie główne formy papierów kredytowych są następujące:

1. Weksel własny brzmiący: Za trzy miesiące od daty zapłacę Pawłowi, lub na jego zlecenie, sumę 1000 fr. Wartość otrzymałem w towarach. 1 Sierpnia 1900. Podpisano: Piotr.

2. Weksel przekazowy opiewający: Za trzy miesiące od dnia wystawienia zapłacisz Jakóbowi, lub na jego zlecenie, sumę 1000 fr. Wartość otrzymano w towarach. 1 Sierpnia 1900. Podpisano: Paweł.

Weksel własny, osobisty, jest po prostu zobowiązaniem się do zapłaty, uczynionem przez dłużnika na korzyść tego, kto mu udziela kredytu. Zawilszą jest forma wekslu przekazowego: jest to polecenie zapłaty, wystosowane przez wierzyciela do dłużnika i to polecenie uskutecznienia zapłaty nie samemu wierzycielowi, ale i osobie trzeciej. Dzięki tej właśnie formie swojej, używane są weksle przekazowe głównie do uskutecznienia wypłat z miejsca na miejsce, lub z kraju do kraju.

Indos był już cudownem uproszczeniem, w każdym jednak razie wymagał formalności, mającej poważne znaczenie, bo pociągającej za sobą solidarne zobowiązanie wszystkich podpisanych na wekslu. Postąpiono więc o krok naprzód i uchylono podpisy, wydając papiery kredytowe na okaziciela, których własność przenosi się przez wręczenie, tak jak własność pieniędzy.

Z tą chwilą cel został osiągnięty. Przerażające ilości wartości przyszłych łączą się z dobrami teraźniejszemi i znajdują się w obiegu w kształcie papierów kredytowych. Stanowią one przedmiot olbrzymich tranzakcyi, o których dawniej nie miano pojęcia, a zakłady handlowe, zajmujące się ich wymianą, nazywamy bankami.

Jakaż jednak płynie korzyść z zorganizowania kredytu w formie papierów wymiennych? Oto, jeżeli jest korzystnem dla dłużnika, że może w drodze pożyczki lub kupna na kredyt uzyskać kapitał do dyspozycyi na pewien przeciąg czasu, to znów przeciwnie dla wierzyciela byłoby to wielce uciążliwem, gdyby był zmuszonym obchodzić się bez tego kapitału przez ten sam przeciąg czasu. Przemysłowiec musi codzień czynić zakupna i płacić robotników, tylko wtedy więc będzie się mógł utrzymać, jeśli będzie w stanie ustawicznie zasilać, odnawiać swój kapitał, który mu jest potrzebny do prowadzenia przedsiębiorstwa. Lecz jeśli sprzeda swe produkty na kredyt — więc nie za gotówkę — to zdawałoby się, że nie potrafi utrzymać nadal swego przedsiębiorstwa. Cóż więc ma zrobić? Czy nie możnaby tego tak urządzić, żeby jednym i tym samym kapitałem mogły dwie różne osoby, t. j. biorący i dający pożyczkę, dowolnie rozporządzać? Zaiste tak — doprowadzono do tego i właśnie kredyt spełnił to, na pierwszy rzut oka, niemożliwe zadanie. Wierzyciel lub sprzedawca na kredyt otrzymują, w zamian za ustąpiony przez się kapitał, papier wartościowy, t. j. dokument o różnej formie, jak n. p. weksel własny lub przekazowy i t. p. — a dokument ten posiada pewną wartość, którą można, jak każdą inną, sprzedać. Gdy więc wierzyciel chce mieć na nowo do rozporządzenia swój kapitał — to po prostu tylko sprzedaje swój papier wartościowy.

Każda czynność kredytowa powoduje powstanie jakiegoś papieru kredytowego. W społeczeństwach o wysoko rozwiniętym handlu i przemyśle, te czynności kredytowe są nadzwyczaj liczne, a to z tego powodu, że każdy towar zostaje zwykle sprzedany trzy lub cztery razy, a ponieważ każda taka sprzedaż jest terminowa, więc daje początek papierowi kredytowemu.

III.

Czy kredyt stwarza nowe kapitały?

W społeczeństwach nowożytnych kredyt tak się rozwinął i takiego nabrał znaczenia, że zaczęto mu przypisywać nadzwyczajne własności. Wskutek tego, że mówiono ustawicznie o wielkich majątkach, powstałych przy pomocy kredytu i zrobiono spostrzeżenie, że największe dziś przedsiębiorstwa przemysłowe oparte są na kredycie, nabrano stanowczo tego przekonania, że kredyt jest jednym z czynników produkcyi i może tak dobrze, jak ziemia lub praca, wytwarzać nowe dobra.

Jest to jednak tylko czyste złudzenie. Kredyt nie jest czynnikiem, lecz tylko jednym ze sposobów produkcyi tak samo, jak zamiana lub podział pracy, a to wielka różnica. Polega on, jak widzieliśmy, na przenoszeniu dóbr i kapitału z jednych rąk do drugich — a przenosić to jeszcze nie to samo, co wytwarzać. To też kredyt nie stwarza nowych kapitałów, równie jak zamiana nie stwarza towarów.

Błędne to przekonanie popierał fakt istnienia kredytowych papierów wartościowych. Widzieliśmy, że kapitał wypożyczony zastępuje u wierzyciela pozbywalne papiery tej samej wartości. Z tej też przyczyny często przypisywano pożyczce tę cudowną własność, że z jednego robi dwa kapitały: mianowicie *a)* dawny kapitał 10.000 franków, który został przeniesiony drogą pożyczki w obce ręce i *b)* nowy kapitał, również w wysokości 10.000 fr., który reprezentują znajdujące się w moich rękach papiery wartościowe. Ze stanowiska podmiotowego papiery te w istocie są kapitałem, przynajmniej są nim dla mnie, lecz nie są nim dla społeczeństwa, boć jasnem jest, że papiery te nie mogłyby być zrealizowane, gdyby nie znalazł się ktoś taki, ktoby zechciał w zamian za nie oddać mi kapitał, posiadany przez siebie w pieniądzach lub

towarach. Papier ten więc nie jest sam przez się kapitałem, on tylko umożliwia mi uzyskanie innego kapitału w miejsce tego, którym już obecnie swobodnie rozrządzać nie mogę.

Zresztą oczywista, że jakikolwiek chciałbym użytek zrobić z posiadanego papieru, czybym go chciał użyć na zaspokojenie swoich potrzeb, czy na produkcyę — to zawsze muszę wymienić ten papier na jakiś przedmiot do konsumcyi lub produkcyi służący, który już istnieje na targu, temi bowiem przedmiotami *in natura* będę żył, lub zapomocą nich produkował, a nie zapomocą świstka papieru [1]).

Choć więc kredyt nie współdziała przy produkcyi w tem znaczeniu, by tworzył nowe dobra i kapitały, to jednak oddaje on jej ogromne usługi przez to, że:

[1]) Macleod zyskał rozgłos jako główny obrońca tezy, że papiery kredytowe stanowią dobra realne, są kapitałami rzeczywistymi. Twierdzeniem tem dowodzi on tylko wielkiej konsekwencyi w swych wywodach, bo wychodzi z założenia, że dobrem jest wszystko, co ma wartość zamienną. Skoro zaś papiery kredytowe posiadają bezsprzecznie wartość zamienną, powinny więc być zaliczone do dóbr. Taka jednak definicya dóbr jest niewłaściwą — bo, gdyby każdy papier kredytowy, t. j. każda wierzytelność stanowiła dobro realne, to wystarczyłoby do zdwojenia zasobów całej Francyi i podniesienia ich z 230 na 460 miliardów, by każdy Francuz pożyczył cały swój majątek swemu sąsiadowi.

Macleod kładzie główny nacisk na to, że papiery te są przecież co najmniej dobrami przyszłemi. Bez wątpienia — lecz właśnie dlatego, że są przyszłemi, nie mogą przydać się na nic i nie mogą iść w rachubę. Będzie je można brać pod uwagę dopiero w dniu, kiedy powstaną — bo właśnie na tem polegać będzie zawsze cała różnica między dobrami teraźniejszemi a przyszłemi, że podczas kiedy pierwsze już istnieją, to drugich jeszcze niema; a tu tymczasem żyć i produkować można tylko zapomocą dóbr już istniejących, a nie dopiero spodziewanych. W przeciwnym wypadku należałoby przy spisie ludności Francyi wliczyć — jako przyszłych członków społeczeństwa — także wszystkich tych, którzy przyjdą na świat w ciągu najbliższych dwudziestu lat!

1. Umożliwia jak najlepsze spożytkowanie istniejących kapitałów.

Większa zapewne część kapitałów leżałaby zupełnie bezczynnie, gdyby kapitały nie mogły przechodzić z jednej ręki do drugiej i gdyby każdy człowiek sam był zmuszony używać produkcyjnie kapitałów, jakie posiada. W każdem cywilizowanem społeczeństwie jest wielu takich, którzy sami nie potrafiliby ciągnąć odpowiednich korzyści ze swoich kapitałów. Tutaj należą:

a) Ci, którzy mają za dużo kapitału. Z chwilą bowiem, kiedy majątek przekroczy pewną miarę, właściciel nie jest więcej w stanie, zapomocą osobistej pracy, zużytkować go odpowiednio — pominąwszy już tę okoliczność, że zazwyczaj w takim razie nie ma najmniejszej ochoty sam się tem trudzić.

b) Ci, których kapitał jest znów zbyt mały. Robotnicy, wieśniacy, służący, którzy trochę grosza zebrali, nie umieliby sami tego mikroskopijnego kapitału produkcyjnie użyć, a tymczasem wszystkie te kapitały razem zebrane mogą wynieść miliardy.

c) Wreszcie ci, którzy ze względu na swój wiek, płeć lub zatrudnienie, nie mogą sami osobiście zatrudnić swoich kapitałów w handlu lub przemyśle, jak dzieci, kobiety, osoby poświęcające się zawodom liberalnym, n. p. adwokaci, lekarze, wojskowi, duchowni i wszelkiego rodzaju urzędnicy.

Z drugiej jednak strony nie brak znowu takich przedsiębiorców, wynalazców, rolników a nawet robotników, którzyby mogli bardzo korzystnie użyć kapitałów, gdyby je posiadali, lecz na nieszczęście ich nie mają. Kredytowi więc mamy do zawdzięczenia, że kapitały mogą dostawać się z rąk tych, którzy nie mogą lub nie chcą produkcyjnie ich używać, do rąk tych, którzy potrafią to uczynić, przysparzając korzyści i każdemu z nich i krajowi całemu. W ten sposób więc w kraju takim, jak n. p. Francya, wydobywa się ze schowków kapitały, na miliardy się

liczące, chroni się je przed nieproduktywną konsumcyą i zatrudnia w drodze kredytu.

2. Kredyt pobudza do większej oszczędności.

Gdyby bowiem nie było widoków znalezienia przy pomocy kredytu korzystnej lokacyi dla uzbieranych oszczędności, to wielu osobom, szczególniej z pośród wyż wymienionych, brakłoby bodźca do zbierania kapitałów, a to właśnie dla braku sposobności do ich wyzyskania [1]).

3. Zmniejsza zapotrzebowanie gotówki, jak to widzieliśmy już poprzednio.

IV.

Banki.

Widzieliśmy, że zamiana towarów byłaby bardzo utrudniona bez współdziałania pośredników, jakimi są kupcy. Również obrót kapitałów byłby prawie niemożliwy, gdyby nie było pośredników, których zwiemy bankierami.

Bankierzy są kupcami, jak wszyscy inni, tylko, kiedy inni handlują towarami, to bankierzy pośredniczą w obrocie kapitałów, reprezentowanych bądź przez papiery kredytowe, bądź przez gotówkę. Pierwsi kupują papiery w celu odsprzedaży i zarabiają na tem, starając się zakupić papiery wartościowe po możliwie najniższej cenie, a sprzedać po możliwie najwyższej. Drudzy znów pożyczają sami pieniądze od jednych osób, by je dalej wypożyczać innym osobom i znajdują zarobek swój w tem, że zaciągają pożyczkę na niższy procent, a udzielają jej na wyższy. To

[1]) Kredyt odgrywa wogóle tę samą rolę w odniesieniu do kapitału, co zamiana w odniesieniu do wszystkich dóbr. Widzieliśmy, że zamiana wprawdzie nie tworzy nowych dóbr, przenosząc je z rąk jednej do rąk drugiej osoby, jednak prowadzi do ich lepszego użycia, a tem samem pobudza do większej produkcyi.

są dwie zasadnicze czynności bankierskie — zaciąganie i udzielanie pożyczek — a ponieważ te pożyczki zostają zaciągane we formie depozytów, a udzielane dalej przez banki we formie eskontu, stąd pochodzi nazwa ogólna banków depozytowo-eskontowych.

Istnieje jeszcze trzecia forma czynności bankowych, odmienna od dwóch poprzednich, choć polega także na pewnego rodzaju pożyczce. Czynnością tą jest emisya biletów bankowych. Czynnością tą jednak nie trudnią się wszystkie banki — owszem jest ona zwykle dozwoloną tylko poszczególnym bankom uprzywilejowanym, zwanym dlatego bankami emisyjnymi[1]).

Rozbierzmy dokładniej te poszczególne czynności po porządku.

---

[1]) Historya banków wiąże się ściśle z historyą handlu już od średnich wieków i każdy nowo utworzony wielki bank jest nową stacyą i zapowiedzią dalszego rozwoju handlu. Najdawniejsze z nich powstały w rzeczpospolitych włoskich: w Wenecyi (1400 ?) Genui (1407). Kiedy w handlu pierwszorzędne miejsce zajęła Holandya, powstaje słynny wielki bank amsterdamski (1609), a wkrótce po nim także w Hamburgu i Rotterdamie. Nakoniec założenie banku angielskiego w roku 1694 wskazuje chwilę, od której Anglia zapanowała wszechwładnie nad handlem wszechświatowym. Bank francuski występuje na widownię dopiero bardzo późno, bo z początkiem XIX wieku, nie liczymy bowiem banku, który założył w r. 1716 Law, a którego smutny koniec znany jest każdemu.

Pierwsi bankierowie zajmowali się mienianiem pieniędzy, co miało w wiekach średnich wielką doniosłość, wobec ogromnej ilości rozmaitych monet i licznych fałszerstw. W Londynie oddawali się temu złotnicy. Dzięki rozwiniętemu handlowi Holandyi, zagraniczni kupcy składali w banku amsterdamskim swą gotówkę i otrzymywali od banku na nią pokwitowanie, w którem oznaczano ilość t. j. ciężar srebra, które było zawarte w złożonych pieniądzach, przy pomocy fikcyjnego pieniądza bankowego. Te pierwotne banki nie zajmowały się eskontem weksli, dopiero bank angielski rozpoczął także udzielać pożyczek.

V.

Depozyta.

Pierwszą, przedwstępną czynnością bankierską jest pozyskanie kapitałów. Może wprawdzie bankier tak dobrze posługiwać się swymi własnymi kapitałami, jak i temi znacznemi sumami, które zebrać można drogą spółki — a które w naszych wielkich zakładach kredytowych dochodzą nieraz setek milionów. Jednakowoż, gdyby bankier mógł obracać tylko kapitałami własnymi, a nawet kapitałami spółki całej, to i sam miałby bardzo niewielkie dochody i społeczeństwu oddawałby niewielkie usługi z powodów, które zaraz poznamy. Potrzeba zatem, by mógł w swem przedsiębiorstwie rozporządzać pieniądzmi wielkiej liczby jednostek, t. j. żeby w tym celu od nich te kapitały pożyczył. Otóż, w jakiej formie należy mu tej pożyczki udzielić? Nie nadaje się do tego pożyczka długoterminowa (renta, obligi, akcye), zapomocą której państwo, miasto lub nawet jakieś przedsiębiorstwo przemysłowe zyskuje kapitały od osób, chcących je gdzieś ulokować. Ta forma pożyczki wymaga bowiem opłacania procentów za wysokich, by bankier mógł jeszcze sam zyskać coś na jej czynności. To, czego bankier potrzebuje od ogółu, to są kapitały obrotowe, ruchome, spoczywające jako gotówka w kieszeni lub w szufladzie biurka. W każdym bowiem kraju spoczywają w ten sposób znaczne kapitały, które na razie nie mają żadnego jeszcze przeznaczenia, leżą bezczynnie, nie przynoszą żadnego dochodu i czekają tylko chwili, w której zostaną użyte. Bankier zwraca się więc do ogółu: »Powierzcie mnie te kapitały na ten czas, dokąd nie znajdziecie dla nich zatrudnienia, będę je wam przechowywał i oddam na pierwsze żądanie, skoro ich tylko zapotrzebujecie. Przez ten czas zaś będę wam płacił pewien mały procent, n. p. 1,

$1^1/_2$ lub 2% [1]). Będzie to zawsze więcej, niżby one u was przynosiły, bo u was leżałyby bez żadnego użytku — a nadto nie będziecie potrzebowali troszczyć się o nie i strzedz ich. Jeśli zechcecie, będę nawet spełniał czynności waszego kasyera — będę odbierał w waszem imieniu i na wasz rachunek wasze dochody, spieniężał wasze kupony i płacił waszych dostawców, stosownie do danego mi zlecenia — co wszystko będzie dla was bardzo dogodnem«.

Tam, gdzie podobną propozycyę publiczność wysłucha i przyjmie, mogą bankierzy łatwym sposobem zgromadzać w swem ręku znaczne kapitały, ściągając gotówkę, która jest rozsypana w obiegu, podobnie jak dreny odprowadzają zbyteczną wodę z całego gruntu. Kilkakrotnie już wspomnieliśmy, że na przykład w Anglii nie trzymają ludzie bogaci gotówki u siebie, lecz składają wszystkie fundusze u bankiera. Jeśli zaś wypadnie im płacić dostawcy lub wierzycielowi, to odsyłają go po prostu do bankiera, by ten ich spłacił i wręczają im równocześnie zlecenie zapłaty, napisane na karteczce, wydartej z ząbkowanej książeczki na ten cel przeznaczonej: karteczka ta zwie się czekiem. Zwyczaj powyższy zaczyna się rozpowszechniać również po innych krajach.

[1]) Bank mógłby nie płacić nawet żadnych odsetek. Niektóre banki n. p. bank francuski i angielski nie płacą ich też zupełnie w przekonaniu, że i tak oddają niemałe usługi tym, którzy u nich pieniądze składają. Widocznie mają słuszność, kiedy mimo to otrzymują ogromne sumy w depozyt. Co więcej, niektóre banki depozytowe, a mianowicie te dawne banki, któreśmy wyliczyli, kazały jeszcze swoim deponentom płacić sobie pewien procent jako wynagrodzenie za przechowywanie.

Jednak większość banków dzisiejszych płaci zazwyczaj lokującym kapitały pewien mały procent, głównie w celu ściągnięcia zapomocą tej premii możliwie największej liczby depozytów. Naturalnie premia ta jest znacznie wyższa, jeśli składający zobowiąże się nie odbierać swego kapitału przez pewien przeciąg czasu—przez 6 miesięcy, rok lub 5 lat.

VI.

Interes eskontowy.

Skoro bank uzyskał kapitał pod korzystnemi dla siebie warunkami, to następnie chodzi o to, w jakiej formie ma rozpożyczać go szerszym warstwom społeczeństwa. Bankier nie może udzielać pożyczek długoterminowych, jak n. p. pożyczki hipoteczne, lub udzielane w formie długu obligacyjnego, — nie powinien bowiem zapominać, że kapitały te dano mu tylko w depozyt, że więc jest obowiązany je zwrócić zaraz na pierwsze wezwanie. Dlatego też powinien wdawać się tylko w interesy krótkoterminowe, któreby nie pozbawiały go możności rozporządzania kapitałami, jak tylko na krótki przeciąg czasu — pozostawiając mu je zawsze pod ręką i na oku. Pytanie jednak, czy istnieje forma pożyczki, któraby czyniła zadość tym wymaganiom?

Jest jedna, która im odpowiada w zupełności. Jeżeli kupiec, sprzedawszy — stosownie do zwyczaju handlowego — swój towar na kredyt, zapotrzebuje gotówki przed nadejściem terminu zapadłości dla jego pretensyi, udaje się do bankiera. Ten wypożycza mu sumę, jaka się kupcowi należy za sprzedane na kredyt towary — sobie zaś odciąga od niej małą kwotę, stanowiącą jego zarobek. Nadto każe sobie ustąpić w zamian za sumę wypożyczoną tę pretensyę, jaką ma kupiec do tego, komu sprzedał towary, — a więc odnośny weksel. Bankier zachowuje ten weksel u siebie aż do dnia jego płatności — wtedy przedstawia go do zapłaty dłużnikowi — i w ten sposób odzyskuje na nowo kapitał, dany naprzód kupcowi. Czynność ta zowie się eskontem.

Jest to rodzaj pożyczki — w rzeczy samej bowiem bankier, który w zamian za weksel na 1000 fr., za 3 miesiące płatny, daje kupcowi 985 fr. i odbiera te 1000 fr. w dniu płatności od pierwszego dłużnika, znajduje się

w tem samem położeniu, jakby wypożyczył te pieniądze na przeciąg trzech miesięcy na 6%, a nawet nieco wyższy procent. Jest to zaś zawsze pożyczka krótkoterminowa, bo weksle, nabywane przez bankierów, są płatne w terminie, który wogóle dochodzi najwyżej do trzech miesięcy. Kupcy przecież nie zawsze są w tem położeniu, by sprzedawali weksle zaraz nazajutrz po dniu ich wystawienia, owszem nieraz zatrzymują je przez pewien czas u siebie, a nawet zdarza się i to, że je pozbywają dopiero w ostatnim dniu przed ich płatnością. W banku francuskim wynosi czas, przez który przeciętnie leżą weksle w portfelu wekslowym banku, 27 dni. Jest to więc bardzo krótki przeciąg czasu, na który bankier pozbywa się gotówki danej mu w depozyt, skoro przeciętnie po upływie krótkiego czasu czterech tygodni wszystkie pieniądze wracają znów do kasy. To też trudnoby było znaleźć inną formę pożyczki, którąby w wyższym stopniu zaspokajała wszystkie wymogi depozytu. Wystarczy więc, żeby żądania zwrotu depozytów rozdzieliły się na czasokres mniej więcej czterech tygodni — a wtedy bankier, dzięki ustawicznemu przypływowi gotówki do swej kasy, będzie mógł zaspokoić wszystkie te żądania. Trudno jednak przypuścić, by żądania te zwrotu depozytów były tak liczne, przynajmniej wśród stosunków normalnych.

Niemniej jednak należy pamiętać, że bankier narażony jest na pewne niebezpieczeństwa. Gdyby bowiem wszyscy deponenci zmówili się i zażądali w jednym i tym samym dniu wszystkich swoich pieniędzy, to bank z wszelką pewnością nie byłby w stanie wszystkich zaspokoić, skoro ich pieniądze w tej chwili obiegają po całym świecie. Wprawdzie będzie się starał oddać je jak najprędzej, ale zawsze ostatecznie zachodzi ta różnica między kapitałami oddanymi w depozyt, a danymi jako pożyczka drogą eskontu, że kiedy zwrotu pierwszych można zażądać natychmiast, bez terminu lub zwłoki, to drugich można się domagać dopiero z nadejściem pewnego terminu — a różnica ta wystarczy do sprowadzenia w danej chwili upadłości.

Czyż więc to niebezpieczeństwo — tylko wyjątkowo rzeczywiście zajść mogące — ma powstrzymać banki od obracania kapitałami n nich deponowanymi, a za to skłonić je do przechowywania takowych bez uszczuplania, jak rzeczywisty depozyt, na wzór dawnych banków Wenecyi lub Amsterdamu? Zapewne, że nie — wszyscyby bowiem ucierpieli na tem bardzo.

1. W pierwszym rzędzie ci, którzy pieniądze w banku złożyli, boć oczywista, jeżeli bankier ma przechowywać ich pieniądze w swej kasie, nie tykając ich wcale, trudno mu pomyśleć nawet o płaceniu od nich odsetek, — owszem on sam kazałby sobie je opłacać za swą troskę o ich przechowanie. Lepiej więc wyjdzie na tem deponent, jeśli zgodzi się na zwłokę kilkudniową przy odbieraniu złożonej gotówki, niż gdyby przechowywał w banku pieniądze bez żadnej korzyści, lub musiał jeszcze płacić za to przechowanie.

2. Społeczeństwo całe także, bo społeczne zadanie banków polega na gromadzeniu kapitałów, rozrzuconych i bezczynnych i zamienianiu ich na czynne i produkcyjne. Spełnienie zaś tego zadania stałoby się niemożliwem oczywiście od dnia, kiedyby bank nie mógł swobodnie rozrządzać swymi depozytami. To też i banki nie wahają się ciągnąć korzyści z powierzonych sobie kapitałów, a troszczą się jedynie o to, by był w ich kasie pewien zasób gotówki na zaspokojenie mogącego się zdarzyć żądania zwrotu, zwany r e z e r w ą.

Z góry nie można podać stosunku, jaki winien zachodzić między wysokością zapasu gotówki w kasie, a wysokością depozytów. Każdy bank powinien mieć pod ręką tem więcej gotówki, im słabszy jest jego kredyt, im więcej ma znacznych depozytów u siebie, nadto winien zwiększać zapas gotówki w czasie handlowych przesileń, w razie zbliżania się chwili emisyi rent lub obli-

gów — jednem słowem z nadejściem okoliczności, z których może wnosić, że deponenci zapewne zażądają swych pieniędzy.

Zresztą eskont nie jest jedyną formą, w której banki mogą spożytkować swe kapitały. One wypożyczają te kapitały także:

1. W formie lombardowania papierów wartościowych, t. j. biorąc w zastaw papiery i starając się tylko o to, by suma pożyczona była niższą od wartości papieru. To zaliczki na papiery stanowią n. p. jedno z najobfitszych źródeł dochodu banku francuskiego.

2. W formie kredytu, który otwiera bank dla swoich klientów. Jeżeli bank pozostaje z nimi w rachunku bieżącym, to może im pozwolić pobierać ze swej kasy więcej, niż oni tam złożyli, co równa się oczywiście udzieleniu im pożyczki. Jednak skoro ten rodzaj pożyczki otwartej *(à découvert)* — jak go zowią — jest dość niebezpieczny i nie daje żadnego zabezpieczenia, niektóre banki odmawiają takowego. Statuty np. banku francuskiego zabraniają go stanowczo.

VII

Emisya biletów bankowych.

Leży w interesie bankiera, tak jak każdego kupca, zwiększyć, o ile się tylko da, rozmiary swego przedsiębiorstwa, bo z ich podwojeniem, podwoi się i jego dochód. Cóż więc ma robić w tym celu?

Gdyby bankier posiadał sztukę stwarzania kapitałów w formie gotówki, nie potrzebując czekać cierpliwie, aż mu ją publiczność zechce przynieść — to oczywiście niby mu już nie stało na przeszkodzie w powiększaniu bez końca swoich czynności.

Otóż bankierzy [1]) wpadli na ten genialny pomysł zamieniania papieru w kapitał, którego im potrzeba, a to przez wydawanie prostych przyrzeczeń zapłaty, t. zw. not lub biletów bankowych. Jak doświadczenie wykazało, sposób ten postępowania okazał się skutecznym, bo osiągnął w zupełności cel zamierzony.

W zamian za przedstawiony do eskontu papier handlowy bank nie daje gotówki, ale swój bilet. Lecz mógłby się kto zdziwić, że publiczność przystaje na tę zmianę. Oto kupiec przychodzi zeskontować weksel na 1000 fr. i otrzymuje zań po prostu inny papier kredytowy, bo bilet bankowy na 1000 fr. Cóż mu potem? On potrzebuje gotówki, a nie wierzytelności, bo gdyby szło tylko o nią, czyżby nie wolał zatrzymać nadal tę, którą już miał? Otóż pamiętać należy, że choć bilet bankowy nie jest w rzeczywistości niczem innem, jak równym wekslowi papierem kredytowym, to jednak przedstawia wierzytelność o wiele dogodniejszą.

Bilet bankowy wyróżnia się stanowczo od weksli i innych papierów kredytowych następującemi swojemi cechami charakterystycznemi:

1. Nie przynosi żadnego procentu tak, jak każdy pieniądz. Jego wartość jest więc zawsze jedna i ta sama, a nie zmienia się w stosunku do większej lub mniejszej odległości terminu płatności.

2. Jest papierem brzmiącym na okaziciela — jak każdy pieniądz — a przeniesienie własności nie jest utrudnione żadnemi formalnościami, ani nie rodzi odpowiedzialności indosatarjusza.

3. Jest on płatny za okazaniem *(à vista)*, a więc

---

[1]) Palmstruch, założyciel Banku Stockholmskiego w 1656 r., pierwszy miał wpaść na ten szczęśliwy pomysł. Bankierzy włoscy i amsterdamscy puszczali wprawdzie w obieg bilety bankowe, te jednak zastępowały tylko gotówkę w kasie złożoną, były więc tylko pokwitowaniami na odebrane przez bank depozyta.

kiedy tylko zechcę, podczas gdy papiery handlowe płatne są dopiero w pewnym dniu oznaczonym.

4. Jest zawsze wymagalny, a inne papiery kredytowe ulegają przedawnieniu.

5. Opiewa na jakąś równą, zaokrągloną sumę, odpowiadającą istniejącemu systemowi monetarnemu, na 50, 100 lub 1000 franków, przeciwnie zaś inne papiery kredytowe, będąc wynikiem czynności handlowych, opiewają zwykle na jakąś kwotę nierówną, nieokrągłą.

6. Wreszcie wydaje je i podpisuje jakiś znany bank, n. p. bank francuski, którego firma budzi powszechne zaufanie, nawet w osobach nie zajmujących się bezpośrednio interesami pieniężnymi.

Wszystko to sprawia, że bilety bankowe przyjmuje publiczność tak, jakby one w rzeczywistości były gotówką, i że stanowią one pewien rodzaj pieniądza papierowego [1]).

Rozumie się samo przez się, że banki mają ogromne dochody z emisyi biletów, z jednej strony bowiem zyskują przez nią konieczny środek do rozszerzania swych czynności aż po granice, które im roztropność wskazuje, a które zaraz poznamy, z drugiej zaś w formie biletów bankowych zyskują o wiele dla siebie dogodniejszy kapitał, niż w formie depozytów — od tych ostatnich bowiem muszą opłacać od 1 do 2% odsetek, podczas gdy pierwsze mają zupełnie darmo, ponoszą bowiem tylko niewielkie koszta druku biletów.

[1]) We Francyi i w Anglii bilety bankowe mają kurs prawny (walutę zupełną) zarówno z monetą złotą lub srebrną na 5 fr. Nie należy jednak brać tego za jedno, jak się to zwykle zdarza, z kursem przymusowym. Bilet bankowy ma kurs prawny, jeżeli wierzyciel lub sprzedawca musi go przyjąć przy wypłatach, zaś kurs przymusowy ma wtedy, kiedy nadto posiadacz biletu nie ma prawa przedstawić go bankowi do wymiany na gotówkę. Kursem przymusowym objęty jest zawsze i kurs prawny, ale nie naodwrót. W Anglii i Francyi mają bilety bankowe kurs prawny, ale nie przymusowy, — każdy jest obowiązany je przyjąć, ale te każdy może wymienić je w banku na monetę brzęczącą. W Austro-Węgrzech mają one jeszcze kurs prawny i przymusowy.

Nie należy jednak zapominać o tem, że choć ta czynność przynosić może bankom wielkie zyski, może też sprowadzić na nie wielkie kłopoty. W rzeczy samej bowiem suma biletów bankowych, będących w obiegu, stanowi dług każdej chwili płatny, bo może być każdego czasu zaprezentowaną do zapłaty, tak jakby pochodziła z depozytów. Wskutek tego więc bank narażony jest odtąd na podwójne niebezpieczeństwo: musi być przygotowany na żądanie zwrotu depozytów i żądanie wymiany biletów na gotówkę.

Jeżeli zatem istniała już dla banku konieczność utrzymywania pewnego zapasu gotówki w chwili, gdy miał do czynienia tylko z obowiązkiem zwrotu depozytów, to występuje ona teraz jeszcze w silniejszym stopniu, skoro bank do istniejącego już obowiązku — odnośnie do depozytów — nałożył jeszcze na siebie odpowiedzialność nową, wypływającą z emisyi biletów bankowych.

Na nieszczęście trudno jest dla banku oprzeć się pokusie, która w postaci większego zysku popycha go do możliwie najwyższego zmniejszenia zapasu gotówki w kasie. Gdyby tak n. p. bank francuski był bankiem prywatnym, to z całą pewnością jego akcyonaryusze powstawaliby energicznie przeciw trzymaniu czterech miliardów franków gotówki w kasie i domagaliby się, by ją puścić w obieg czy to zapomocą eskontu, czy jakiejkolwiek innej, dochód przynoszącej operacyi.

VIII.

Różnica między biletem bankowym a pieniądzem papierowym.

Zdarza się dość często, że niejeden nie rozumie tej różnicy i uważa tak jeden, jak i drugi papier za pieniądz. Tymczasem bilet bankowy posiada trzy właściwości, rzecby można trzy zabezpieczenia, których nie posiada pieniądz papierowy.

1. Przedewszystkiem bilet bankowy jest zawsze wymienny na pieniądz — na żądanie okaziciela — a pieniądz papierowy nie. Ten ostatni ma wprawdzie formę przyrzeczenia zapłaty pewnej sumy i jest nadzieja, że pewnego dnia państwo, poprawiwszy swe finansowe stosunki, wykupi ten papier, lecz te mniej lub więcej oddalone widoki nie obchodzą zupełnie tego, kto pieniądz taki dostaje i nie ma zamiaru zatrzymać go u siebie.

2. Bilety bankowe wydaje się stosownie do potrzeb obrotu handlowego i wyłącznie tyle tylko, ile obrót ten wymaga, n. p. kwotę równą sumie wekslowej (mniej dyskont), przedstawionej do zeskontowania. Pieniądz papierowy natomiast wydaje rząd w celu pokrycia swych wydatków, to też emisya ta nie ma innych granic ani hamulca, jak potrzeby finansowe państwa w danej chwili.

3. Jak już sama nazwa wskazuje, bilety bankowe emituje bank jakiś — a więc instytucya, mająca na oku głównie czynności handlowe, niezależnie od tego, czy ma charakter mniej lub więcej publiczny — gdy przeciwnie pieniądz papierowy puszcza w obieg państwo.

Tem się więc różni bilet bankowy od pieniądza papierowego, choć może niekiedy zbliżyć się do niego, tracąc w zupełności lub w części podane wyżej swe cechy istotne.

1. Najpierw bilet bankowy może mieć niekiedy kurs przymusowy. Znaczy to, że nie można przedstawić go do wymiany na gotówkę, przynajmniej na jakiś dłuższy lub krótszy przeciąg czasu. Zdarzało się to w chwilach przesileń emisyjnych prawie wszystkim wielkim bankom. W tym wypadku pozostają jeszcze dwie dalsze różnice pomiędzy biletem bankowym a pieniądzem papierowym — a szczególniej druga z powyż podanych, mianowicie, że ilość emitowanych biletów nie jest ani nieoznaczoną, ani bezwzględnie oznaczoną w sposób dowolny, ale odpowiada zawsze tylko potrzebom handlu. Jest to więc rękojmia poważna.

2. Może się jednak zdarzyć, że bilety bankowe otrzymują nietylko kurs przymusowy, ale nadto nie bywają emitowane na podstawie obrotu handlowego, lecz jedynie w celu udzielenia pożyczki państwu i dania mu możności pokrycia swych wydatków. Wtedy rzecz tak się przedstawia, że państwo, potrzebując pieniędzy, zwraca się do banku, by ten wybił kilkaset milionów biletów i udzielił ich jako pożyczki państwu, a ono zobowiązuje się zasłonić bank, nadając jego biletom kurs przymusowy [1]). Wtedy druga z podanych cech biletu bankowego odpada, wysokość emisyi nie ma wtedy żadnych innych granic nad potrzeby państwa, a bilety bankowe stają się wtedy nadzwyczaj podobne do pieniądza papierowego.

Nawet i wtedy jednak pozostaje jeszcze trzecia z podniesionych różnic, która sama jedna jest w stanie spowodować mniejszą deprecyacyę biletów bankowych niż pieniędzy papierowych. To też doświadczenie uczy, że państwa porzuciły myśl bezpośredniego wydawania pieniędzy papierowych, a uciekają się do pośrednictwa

[1]) Takie właśnie stosunki zapanowały w czasie wojny niemiecko-francuskiej w roku 1870. Rząd francuski zaciągnął na kilka zawodów w banku pożyczkę w ogólnej wysokości 1470 milionów franków, lecz począł od tego, że zaraz z początku nadał kurs przymusowy biletom bankowym.

banków. Publiczność uważa słusznie, że bank będzie się opierał jak się tylko da najdłużej, przesadnej emisyi biletów bankowych, gdyby mu takową chciano narzucić, bo mogłaby ona sprowadzić upadek banku. Zdanie to nie jest pozbawione pewnej słuszności, bo taka instytucya finansowa, pilnując dobra swego, będzie zawsze przezorniejszą i wstrzemięźliwszą od rządu lub ministra finansów, któremu chodzi tylko o interes skarbu.

IX.

Kurs weksli.

Kasy wszystkich wielkich banków, a przynajmniej tych, które czynności swe rozciągają i na zagranicę, pełne są weksli, płatnych w różnych miejscach całego świata. Przedstawiają one wartość wielu miliardów i są przedmiotem żywego obrotu. Zwą się papierem na Londyn, na New-York i t. p. stosownie do miejsca płatności wekslu.

Bankierzy, którzy takie weksle mają i ich handlem się trudnią, są oczywiście tylko pośrednikami. Należy więc zbadać, od kogo oni te papiery nabywają, a komu je pozbywają.

Od kogóż więc najpierw je nabywają? Od osób które powstanie tego wekslu spowodowały, od tych, którzy z jakiejbądź przyczyny mają wierzytelności zagranicą, n. p. od kupców francuskich, którzy sprzedając swe towary za granicą, dostali od swych kontrahentów weksle, płatne przez tych ostatnich w Londynie lub New-Yorku. Jeśli więc taki kupiec francuski zapotrzebuje gotówki wpierw, nim nadejdzie dzień płatności posiadanego przez niego wekslu, lub gdyby mu po prostu było niewygodnie posyłać ten weksel do zapłaty za granicę, to idzie z tym papierem do bankiera który papier ten od niego kupuje, czyli go eskontuje.

Komuż go jednak bankier dalej sprzedaje? Wszystkim, którzy ich potrzebują, a takich jest bardzo wielu. Weksle takie są bowiem bardzo poszukiwane przez osoby, które mają jakieś wypłaty zagranicą, n. p. przez kupców francuskich, którzy kupili towary zagranicą. Jeśliby więc wierzyciel zagraniczny nie chciał przekazywać do nich wekslu, musieliby całą sumę dłużną za towary posyłać w gotówce do miejsca zamieszkania wierzyciela, chyba, że dostaną papier płatny w tem miejscu zamieszkania wierzyciela, bo wtedy uzyskują już o wiele dogodniejszy i tańszy sposób umorzenia swego długu.

Zdawałoby się, że papier taki powinien być sprzedawany zawsze po jednakiej cenie, a mianowicie równej sumie, na jaką opiewa. Czyż weksel na 1000 fr. nie powinien mieć zawsze tylko wartość 1000 fr. — ani mniej, ani więcej? Tymczasem tak nie jest, boć rzecz oczywista, że na wartość jego musi wpływać w pierwszym rzędzie stopień zaufania, jakie budzi podpis wystawcy i termin płatności wekslu. Jednak niezależnie od tych, tak oczywistych przyczyn fluktuacyi cen weksli, — choćby więc weksel był pewny i płatny za okazaniem — wpływa codzień na wysokość jego ceny — tak, jak na cenę każdego towaru — stosunek podaży do popytu. Zmiany te zowią się kursem weksli i bywają notowane wraz z kursami papierów giełdowych w dzienniku giełdowym. Jasnem jest, co należy rozumieć przez podaż i popyt odnośnie do papierów handlowych. Przypuśćmy bowiem, że 1 miliard wynoszą wszystkie wierzytelności, które ma Francya do żądania od zagranicy za wywiezione tam towary lub z jakiegobądź innego tytułu, z drugiej zaś strony długi jej zagraniczne za dowiezione towary dochodzą do 2 miliardów. Wtedy z całą pewnością popyt za papierami przewyższy podaż, bo kiedy podaż będzie dochodzić do 1 mi-

liarda, to równoczesny popyt do 2 miliardów. Ci więc, którzy będą chcieli nabyć jakiś papier handlowy w celu umorzenia nim swego długu, zaczną się wzajem licytować, a papiery na zagranicę będą miały tendencyę zwyżkową i tak np. za weksel na 1000 fr., płatny w Brukseli lub Rzymie, będzie można wziąć nie 1000 fr., ale 1002 lub 1005 fr. Technicznie wyrażając się powiemy, że weksel stoi wyżej *pari* i przynosi premię[1]).

Gdybyśmy zaś przypuścili wprost przeciwnie, że zagraniczne wierzytelności Francyi wynoszą 2 miliardy a jej długi tylko 1 miliard, to wtedy papierów byłoby za dużo, bo aż do 2 miliardów byłoby ich do zbycia, kiedy na zupełne zaspokojenie popytu za nimi wystarczy 1 miliard. Wielka więc ich ilość nie znajdzie chętnych nabywców i nie będzie można użyć ich inaczej, jak tylko posyłając je zagranicę z żądaniem zapłaty. Również bankierzy będą gotowi sami się tem zająć za odstąpieniem sobie papieru poniżej jego wartości nominalnej, a więc za weksel na 1000 fr. na Brukselę dadzą 998, a może tylko 995 fr. — spadnie on niżej *pari*.

We wszystkich tych wypadkach, kiedy w jakimkolwiek kraju, n. p. we Francyi, papiery na zagranicę stoją wyżej *pari*, mówimy, że kurs ich jest dla tego kraju — jak w naszym wypadku dla Francyi — niekorzystny. Cóż ma wskazywać to wyrażenie, że kurs papierów jest niekorzystny dla kupujących je? Prawda, że jest niekorzystny dla kupujących, ale za to jest przecież korzystny dla tych, którzy te papiery sprzedają — a o tem nikt nic nie mówi.

[1]) Wymaga to osobnej znajomości oznaczania i szacowania tych zmian kursu weksli. Bierze się zwykle jako podstawę do obliczania weksel na 100 jednostek monetarnych — franków, dolarów, rubli, marek, koron i bada się, czy weksel taki był sprzedawany poniżej czy powyżej swej wartości nominalnej. I tak weksel na 100 marek na Hamburg ma wartość nominalną 122 fr. — bo 1 marka = 1 fr. 22 ct.

Otóż wyrażenie to ma wskazać, że wierzytelności, jakie może mieć w danej chwili Francya zagranicą, nie wystarczą na wyrównanie jej długów zagranicznych, że więc będzie zmuszoną, dla pokrycia tej nadwyżki długów, posłać pewną ilość gotówki zagranicę. Zwyżka więc kursu papierów, czyli podrożenie papierów na zagranicę jest oznaką niezawodną, przepowiadającą wywóz gotówki — i dlatego też zowie się kursem niekorzystnym. Przeciwnie, ilekroć we Francyi weksle na zagranicę stoją niżej *pari*, mówi się, że kurs jest korzystny dla Francyi. Powód tu jest ten sam, spadnięcie bowiem ceny papierów na zagranicę wskazuje, że po zamknięciu wzajemnych rachunków z zagranicą, bilans handlowy da wynik dla Francyi korzystny i że nastąpi przypływ gotówki z zagranicy do kraju. Nie należy jednak do tych wyrazów »korzystny« lub »niekorzystny« przywiązywać zbyt wiele znaczenia — wiemy bowiem, że fakt przypływu lub odpływu gotówki z jakiegoś kraju nie jest jeszcze ani tak bardzo smutnym, ani znów tak bardzo korzystnym objawem i że to wszystko może być tylko chwilowe. Jednak dla bankierów ma tego rodzaju położenie wielkie znaczenie, bo jeśli idzie o wysłanie gotówki zagranicę, to z pewnością w ich kasach będą tej gotówki szukać; wszystkie więc objawy, które to zapowiadają mają dla nich wielką doniosłość, nic więc dziwnego, że tak, jak żeglarz obawiający się burzy ustawicznie zwraca swe oczy na barometr, oni zwracają je na kurs weksli.

W każdym razie jednak należy zaznaczyć, że zmiany kursu weksli zamykają się w znacznie ciaśniejszych granicach, niż zmiany cen towarów zwyczajnych. Wśród stosunków normalnych, prócz wyjątkowych wypadków, które zaraz poznamy, kurs nie stoi ani zbyt poniżej ani zbyt powyżej *pari*, a to z dwóch przyczyn:

1. Dlaczego kupiec mający do uiszczenia jakąś na-

leżytość za granicą poszukuje weksli? Jedynie dla zaoszczędzenia kosztów, połączonych z przesłaniem gotówki; a zatem rzecz oczywista, że nie miałby po co kupować tych weksli, gdyby premia, jakąby mu przyszło zapłacić za nabycie weksli, przewyższała koszta przesyłki gotówki. Z drugiej strony również i kupiec, mający wierzytelności zagranicą i bankier, będący pośrednikiem przy obrocie weksli, starają się sprzedawać weksle tylko w celu uniknięcia kłopotów posyłania ich do zapłaty zagranicę i sprowadzania stamtąd uzyskanej gotówki, ale też znów wolą wybrać tę ewentualność, niż sprzedać ten papier za bezcen. Łatwo więc zrozumieć, że skoro fakt wystawienia jakiegoś wekslu ma jedynie na celu zaoszczędzenie kosztów przesyłania gotówki, wystawianie to nie miałoby więcej racyi bytu, gdyby było dla obu stron uciążliwszem od samego przesłania gotówki, czyli wtedy, gdyby zmiany kursu weksli powyżej, lub niżej *pari* przekraczały koszta transportu. Tymczasem koszta te, choćbyśmy wliczyli w nie także ubezpieczenie, są bardzo niewielkie, wskutek czego i zmiany kursu weksli muszą być drobne.

Kurs weksla, który doszedł już do tej granicy, poza którą lepiej jest wysyłać lub sprowadzać gotówkę, nazywamy granicą złota *(gold-point)*. Jeżeli n. p. koszta posyłki wynoszą wraz z ubezpieczeniem 2 fr., a wartość weksla na 1000 fr. wynosi 1002 fr., to obojętną jest rzeczą, czy kupiec swe zobowiązanie za granicą uiści gotówką, czy wekslem zagranicznym. Dalsze podnoszenie się kursu sprowadzi wywóz gotówki, a więc i wycofanie depozytów z banku. Naodwrót znowu, gdy kurs weksla spadnie do 998 fr., dłużnik zagraniczny może zapłacić swój dług wekslem lub złotem, a dalszy spadek kursu sprowadzi napływ gotówki. Są więc dwie granice złota, najwyższa wywołująca wywóz i najniższa, prowadząca do przywozu gotówki.

2. Istnieje jednak jeszcze dalszy powód, miarkujący

zbytnią różnicę kursu. Przypuśćmy, że cena weksli poszła w górę nad *pari* tak, że kupiec, mający weksel na 1000 fr. wystawiony na swego zagranicznego odbiorcę, może sprzedać go za 1010 fr.; te zatem 10 fr, powiększają niespodziewanie jego zarobek na tej sprzedaży — a on zamiast zarobić n. p. 10% jak się spodziewał, zyskuje na tym interesie 11%. Ta nadwyżka zysku po stronie tych, którzy wywozili swe towary zagranicę, zachęciłaby wielu innych do pójścia za ich przykładem — czyli innemi słowy, zwyżka kursu weksli działa tak, jak premia wywozowa[1]).

Jednak wskutek wzrostu wywozu pomnaża się też i liczba weksli na zagranicę, bo wywóz daje im początek, a w dalszym ciągu odpowiednio do ogólnych prawideł podaży i popytu cena weksli tych spada ustawicznie, dopokąd nie dojdzie do *pari*.

Przeciwnie, jeśli papiery stoją niżej *pari*, to łatwo wykazać, że dla tej samej przyczyny zniżka ta, sprowadzając za sobą stratę dla kupca wywożącego, spowoduje też i zmniejszenie się wywozu, a tem samem zmniejszenie się podaży weksli na zagranicę, póki kurs ich nie podniesie się znów do *pari*. Wogóle zachodzi tu tylko zwyczajne działanie podaży i popytu, które przez zwiększenie lub zmniejszenie produkcyi stara się cenę towarów utrzymać w równowadze, ilekroć ta wyjdzie poza swój normalny poziom. To tak powszechne prawo podaży i popytu wywołuje tu jednak bardzo zajmujące zjawisko, którego

[1]) Po wojnie roku 1870 wywóz z Francyi wzrósł znacznie w ciągu kilku lat. Dlaczego? Bo ogromne wypłaty, jakie miano do uskutecznienia w Niemczech, spowodowały stałą zwyżkę papierów na zagranicę tak, że posiadacz weksli na zagranicznego dłużnika, miał tak wielki zysk ze samej sprzedaży weksli, że mógł zadowolić się już bardzo małym zarobkiem na samym towarze, a nawet sprzedawać go ze stratą. Przyszło więc do wywozu zagranicę nie tyle w celu zarobienia na cenie samego towaru, ile raczej na kursie weksli.

skutki mają bardzo wielkie znaczenie dla handlu międzynarodowego. Ilekroć tylko bilans handlowy jest dla pewnego kraju niekorzystny, t. j. jego dowóz przewyższa wywóz, to zawsze wynikająca stąd zwyżka kursu weksli dąży do zmiany stanu rzeczy i do przywrócenia korzystnego bilansu, a to przez powiększenie wywozu a zmniejszenie dowozu, a zmiana o 3 lub 4 centy w kursie weksli wystarczy nieraz do przywrócenia równowagi bilansu, dochodzącego kilku miliardów.

W wyjątkowych razach może jednak kurs weksli ulegać dość znacznym, a nawet nieograniczonym zmianom. Zachodzi to mianowicie.

1. Naprzód, jeśli idzie o miejsca bardzo oddalone lub o takie, z któremi komunikacya jest utrudniona — skoro więc koszta przesłania gotówki byłyby bardzo znaczne, więc też i zmiany kursu weksli mogą być bardzo wielkie. Jasnem bowiem jest, że kupiec, któryby miał coś do zapłacenia w Chartum lub Samarkandzie, będzie się czuł szczęśliwym, jeśli dostanie weksel płatny w tem właśnie miejscu, choćby miał zapłacić zań 10 lub 12% nad wartość jego nominalną. Również i wierzyciel, mający weksel płatny w podobnem miejscu, z ochotą pozbędzie go nawet po kursie 10 lub 12% niższym od *pari*.

2. Przedewszystkiem jednak zachodzą tak znaczne zmiany kursu, nie mające prawie żadnych granic, jeśli weźmiemy pod uwagę weksle na kraj o zdeprecyonowanej monecie. Weksel na Rio-Janejro ma w Paryżu lub Londynie kurs dochodzący zaledwie do połowy wartości nominalnej, a za to kurs weksla na Paryż lub Londyn jest w Brazylii dwa razy wyższy od swej nominalnej wartości. Przyczyną tego jest deprecyacya milreisa brazylijskiego, którego wartość nominalna wynosi 2 fr. 83, rzeczywista 1 fr. 50, a jasną jest rzeczą, że wartość weksla płatnego musi ulegać tym samym zmianom, którym podpada waluta, w której jest on płatny. Ponieważ i pieniądz kruszcowy, mianowicie srebrny, jest dziś zdeprecyonowany,

przeto weksle na kraje o walucie srebrnej, stoją bardzo nizko i naodwrót weksle państw o walucie złotej, mają w tamtych krajach kurs bardzo wysoki. Wywołuje to wielkie przewroty w handlu międzynarodowym.

Dla tych więc nawet, którzy nie znają zresztą wcale stosunków ekonomicznych i finansowych poszczególnych krajów, wystarczy przeczytać tylko kurs weksli, by mogli zdać sobie dokładnie sprawę o położeniu tych państw i poznać, czy one wywożą więcej niż dowożą do siebie, lub przeciwnie, czy mają monetę zdeprecyonowaną, wreszcie jak wielkim jest ten spadek jej wartości.

3. Wreszcie kurs weksli może się podnieść nad *pari* w tych wszystkich wypadkach, w których dłużnikowi z jakiegobądź powodu trudno wystarać się o gotówkę, czyto wskutek zmniejszenia się kredytu wogóle, czy wskutek trudności, jakie stawiają banki w eskontowaniu weksli. I tak w czasie, kiedy Francya płaciła miliardy kontrybucyi Niemcom, trudno jej było oczywiście zebrać tak ogromny okup, więc rząd francuski, chcąc się uiścić, starał się wszędzie o weksle na Niemcy a nawet na Londyn, by zapłacić w drodze arbitrażu [1]). Tak więc kurs weksli

[1]) Arbitraż jest czynnością handlową dość zawiłą. Oto na czem polega. Nietylko w Paryżu są weksle na Londyn, są one po wszystkich miastach handlowych. Jeśli więc w Paryżu stoją one bardzo wysoko, można ich szukać na innych miejscach, gdzie z powodu odmiennego stanu rzeczy można je będzie taniej zakupić. Tę więc czynność, polegającą na zakupieniu papierów tam, gdzie nizko stoją, w celu sprzedawania ich tam, gdzie stoją wysoko, zwiemy arbitrażem. Charakterystyczną jego cechą jest dążność do ułatwienia wszystkim krajom wypłat przez kompenzacyę. Wysoki kurs papierów w pewnem miejscu wskazuje, że jego długi są wyższe niż wierzytelności, że więc nie będzie można długów tych umorzyć zapomocą samej tylko kompenzaty. Lecz można to zrobić przy pomocy papierów, których dostarczą z zagranicy osoby, trudniące się arbitrażem. One zaś zakupują te papiery w krajach, gdzie naodwrót więcej mają wierzytelności zagranicznych niż długów, tam bowiem weksle zagraniczne stoją nizko.

na Niemcy, a nawet na Londyn trzymał się przez dłuższy czas wyżej *pari*.

X.

Podnoszenie stopy eskontowej.

Bank niejednokrotnie narażony jest na niebezpieczeństwo, że będzie musiał wymienić wielką ilość swych biletów na gotówkę, zachodzi to szczególniej w czasie wielkich wypłat na rzecz zagranicy. Skoro bowiem wypłat tych nie można uskutecznić w biletach, lecz tylko w gotówce, więc należy się zwrócić do banku z żądaniem wymiany biletów na monetę brzęczącą.

Jeżeli wskutek niepomyślnych zbiorów zboża, trzeba go będzie sprowadzić z zagranicy, np. dwadzieścia milionów centnarów, to już około 400 milionów franków wypadnie posłać celem zapłaty do Ameryki lub Rosyi. Bank zaś musi zważać na to, że potrzebną gotówkę — jeśli nie w całości, to przynajmniej w znacznej części — będą chcieli kupcy zaczerpnąć z jego kasy. Jakeśmy bowiem widzieli, kasy bankowe są zbiornikami, w których gromadzi się większa część kapitałów obrotowych z całego kraju i to w formie gotówki, one też są tem źródłem, z którego czerpie się tę gotówkę w nagłych wypadkach. Położenie to mogłoby się stać dla banku niebezpieczne, gdyby jego zapas gotówki w monecie brzęczącej nie był dość znaczny. Na szczęście kurs weksli jest tą wskazówką, która ostrzega bank o zbliżaniu się tej chwili krytycznej — a to w sposób o wiele pewniejszy, niż barometr żeglarza, a manometr maszynistę. Jeśli bowiem kurs zaczyna być dla kraju niepomyślnym, t. j. papiery na zagranicę zaczynają podnosić się nad *pari* — to z tego wynika jasno, że o wiele więcej jest takich, którzy mają coś do płacenia

zagranicą, niż takich, którzy mają tam jakieś wierzytelności, a skoro z natury rzeczy wzajemne te rachunki nie dadzą się załatwić zapomocą samej tylko kompenzaty, trzeba będzie posłać gotówkę w celu pokrycia tej nadwyżki. Niebezpieczeństwo przeto jest już stwierdzone, bank więc musi się chwycić środków zaradczych w celu odwrócenia go.

Chcąc uniknąć możliwości pojawienia się w większej liczbie żądania wymiany biletów na gotówkę, musi bank przedsięwziąć kroki potrzebne już to do zwiększenia swego zapasu gotówki, już to do zmniejszenia ilości biletów bankowych znajdujących się w obiegu.

Nie leży wprawdzie w mocy banku podnieść dowolnie zapas gotówki, lecz za to od banku tylko zależy nie puścić ani jednego biletu więcej w obieg, nie udzielając nikomu pożyczki, ani w formie zaliczki ani w formie eskontu (widzieliśmy bowiem, że bank zapomocą tych dwóch czynności puszcza w obieg swe bilety). To zaś wystarcza zupełnie do osiągnięcia celu. Z jednej bowiem strony wskutek wstrzymania emisyi biletów bankowych, nie powiększa się nadal ta ich ilość, która już jest w obiegu, z drugiej zaś strony codzień wpływa do kasy bankowej albo znaczna ilość biletów, przez co zmniejsza się równocześnie ich suma w obiegu, albo też znaczna ilość gotówki, która zwiększa jej zapas w kasie banku — a wpływy te są wynikiem ustawicznych zapłat wskutek nadejścia terminu płatności weksli, znajdujących się w portfelu bankowym.

Ilość biletów bankowych, będących w obiegu można porównać z bieżącą wodą, która odnawia się ustawicznie, wpływając jednym, a uchodząc drugim kanałem. Bilety bankowe puszcza się w obieg drogą emisyi t. j. eskontu, a wycofuje się je z obiegu i ściąga na powrót do banku drogą bankowego incassa.

Jeśli więc bank wstrzyma emisyą, zostawiając otwarty

przypływ do kasy, to oczywiście wszystkie bilety zostaną wkrótce z obiegu wycofane [1]).

Jednakowoż takie zupełne zaprzestanie udzielania zaliczek i eskontowania byłoby znów środkiem zbyt radykalnym. Z jednej bowiem strony, niszcząc zupełnie kredyt, wywołałoby ogromne przesilenie w kraju, z drugiej zaś przyprawiłoby bank o wielkie szkody, albowiem wstrzymując swe czynności, pozbawiłby się tem samem dochodu.

Jednak bank może osiągnąć cel zamierzony także w sposób łagodniejszy, zmniejszając tylko sumę udzielanych przez się pożyczek drogą eskontu. Wystarczy więc tylko podniesienie stopy procentowej lub stawianie większych wymagań przy przyjmowaniu weksli, przedstawionych do eskontu, a to przez odmówienie eskontu weksli o zbyt odległym terminie płatności lub o niedość pewnych podpisach.

[1]) Przypuśćmy, że bank ma w kasie swej weksli kupieckich na 1 miliard, gotówki 1 miliard, i wreszcie 2 miliardy biletów bankowych w obiegu. Przy takim składzie rzeczy nie byłby oczywiście w stanie uczynić zadość żądaniu wszystkich, gdyby wszyscy posiadacze biletów, wskutek jakiegoś nieprzewidzianego wypadku, zjawili się z żądaniem wymiany biletów na gotówkę.

Jednak bank, zamiast narażać się na podobne niebezpieczeństwo, zaprzestaje odtąd na przyszłość eskontować. Następstwa tego są takie, że weksle, znajdujące się w posiadaniu banku, jeden po drugim stają się płatnymi i w ten sposób ta suma 1 miliarda, ulokowana w wekslach kupieckich, wpływa odtąd ustawicznie i najdalej w 90 dniach wejdzie w całości do kasy bankowej. Jakaż więc zaszła zmiana w położeniu? Jeśli zapłacono te weksle gotówką, to w kasie jest 2 miliardy gotówki — tyle właśnie, ile biletów w obiegu, bank nie potrzebuje więc już niczego się obawiać. Jeśli zaś ten miliard zapłacono biletami, to zostało ich w obiegu jeden miliard, a ponieważ bank ma właśnie tę sumę gotówki, więc teraz również wolny jest od niebezpieczeństwa. Choćby nawet miliard ten zapłacono w połowie gotówką, a w drugiej biletami, to i tak bank może już być spokojnym, bo jego zapas gotówki wynosiłby wtedy 1500 milionów, a ilość biletów w obiegu także 1500 milionów; tak samo rzecz się ma i w innych możliwych wypadkach.

Prawda, że środek ten jest mniej przyjemnym dla kupców, a to tem więcej, że wchodzi w zastosowanie właśnie w chwili największego braku pieniędzy i popytu za gotówką i jeszcze bardziej utrudnia jej pozyskanie.

Twierdzą nawet niektórzy, że ten sposób postępowania wywołuje sam często przesilenia i zdanie to jest słuszne. Jest to środek drastyczny, lecz mimo to dobry dla tych, którzy się znajdują w podobnem położeniu, a bank rozsądnie urządzony nie powinien nawet wahać się, czy go można użyć w celu obrony swej gotówki (zwie się to »zamknięciem listy«), bo skuteczność jego została już dostatecznie przez praktykę stwierdzoną. Wydaje on dobre owoce nietylko dla banku przez to, że odpiera grożące niebezpieczeństwo, ale sprowadza pożyteczne dla całego kraju następstwa, zmieniając na jego korzyść położenie ekonomiczne.

Przypuśćmy, że jakiś kraj znajduje się przededniu wielkich wypłat zagranicą. Podniesienie stopy procentowej dla eskontu (t. zw. dyskonta) ze względu na te, mające się uskutecznić wypłaty, zmienia stan rzeczy przez to, że robi kraj wierzycielem zagranicy na znaczne sumy, a to powoduje przypływ gotówki do kraju z zagranicy lub przynajmniej wstrzymuje wysyłanie gotówki z kraju. W istocie taki będzie przebieg rzeczy:

Pierwszym wynikiem podniesienia dyskonta będzie obniżenie wartości wszystkich weksli handlowych. Weksel bowiem na 1000 franków, który przy 3% eskoncie można było sprzedać za 970 fr. teraz, kiedy dyskont wynosi 7%, nie będzie więcej wart, jak 930 fr. — jest to więc obniżenie jego wartości o więcej jak 4%. To też bankierzy, trudniący się w poszczególnych krajach arbitrażem, zaczną z pewnością skupować w tym kraju te papiery, dopokąd tylko będą stać tak nizko, a przez to staną się jego dłużnikami do wysokości tych sum, jakie każdy z nich obrócił na to zakupno papierów.

Drugiem następstwem będzie zniżka kursu

wszystkich papierów giełdowych. Każdy kapitalista wie, że giełda jest bardzo wrażliwa na wysokość stopy eskontu i że jej podniesienie powoduje prawie zawsze zniżkę kursów. Przyczyna leży w tem, że papiery giełdowe (szczególnie tak zwane międzynarodowe, bo notowane na głównych giełdach europejskich) zastępują bardzo często miejsce papierów handlowych [1]), to też muszą dzielić ich losy. Kupiec, który nie może wcale lub bez wielkich strat uzyskać gotówki za swe weksle kupieckie, będzie próbował pozyskać ją zapomocą sprzedaży innych papierów wartościowych. Tak samo zaś jak spadek kursu weksli kupieckich sprowadził popyt na nie ze strony bankierów zagranicznych, tak też i spadek papierów giełdowych wywoła ich zakupno w większej ilości przez bankierów zagranicznych, czyli znowu zostanie ów kraj wierzycielem zagranicy odnośnie do znacznych kwot, jakich użyto na te zakupy.

Jeśliby wreszcie to podniesienie dyskonta trwało przez dłuższy czas bez przerwy, miałoby jeszcze ten trzeci skutek, że wywołałoby ogólną zniżkę cen towarów. Kupiec bowiem, potrzebując gotówki, stara się ją pozyskać przedewszystkiem przez sprzedaż weksli kupieckich, które posiada. Skoro to źródło albo się wyczerpie, albo staje się dlań za kosztowne, zwraca się do papierów giełdowych, o ile je wogóle posiada, a wreszcie, gdy już i ten sposób zaczyna nie dopisywać, musi wtedy zwrócić się, chcąc uzyskać gotówkę, do sprzedaży towarów, które ma na składzie. I oto stąd ta ogólna zniżka cen. Zniżka ta wywołuje znowu dalej ten sam skutek, tylko, że w większych rozmiarach, bo wywołuje ona zakupna ze strony

[1]) Jeśli kto ma co do płacenia w Londynie, to najprostszym sposobem jest postaranie się o weksel kupiecki płatny w Londynie; lecz równie dobrze można się posługiwać w tym celu kuponami renty włoskiej, obligami kolei lombardzkich lub banku otomańskiego itp., które są także płatne w Londynie.

zagranicy, zwiększa tem samem wywóz i robi kraj wierzycielką zagranicy.

Wogóle wszystkie te następstwa dadzą się określić w słowach, że podniesienie stopy eskontu wytwarza sztuczny brak gotówki [1]), a wskutek tego wywołuje ogólną zniżkę wszystkich wartości, co bez wątpienia jest złem, lecz powoduje zarazem znaczny popyt z zagranicy, a w dalszej linii napływ gotówki — co znowu jest tym właściwym środkiem zaradczym, którego domaga się chwilowe położenie gospodarcze.

XI.

Wolność bankowa.

Szkoła liberalna domaga się z równą siłą wolności bankowej, jak wolnej wymiany. Żąda ona dwojakiej wolności w dziedzinie emisyi biletów bankowych, t. j. tak wolnej konkurencyi, t. zn. przyznania każdemu bankowi prawa wydawania biletów, jak i wolności emisyi, t. zn. uznania, że może je wydawać dowolnie, bez żadnych ograniczeń prawnych, na własną odpowiedzialność.

I. Głównym argumentem, który przytaczają na poparcie wolnej konkurencyi, jest owo twierdzenie klasyczne, że monopol wprowadza drożyznę, a konkurencya taniość. Twierdzą więc że gdyby »bank francuski« nie miał monopolu emisyi, to stopa eskontowa weksli byłaby niższą,

[1]) Nazwaliśmy go sztucznym, jednak odpowiada on rzeczywistemu, lub przynajmniej zaczynającemu się urzeczywistniać brakowi gotówki, a mianowicie przez ucieczkę jej zagranicę. Leczy się więc jedno złe zapomocą innego zła — odpowiednio do przepisów jednej ze szkół w medycynie: *similia similibus.*

a tem samem handel i przemysł mogłyby większe odnosić korzyści z kredytu.

Na to można odpowiedzieć, że przedewszystkiem nie wykazał jeszcze nikt w sposób przekonywujący, że konkurencya prowadzi koniecznie do taniości, a monopol do drożyzny. Jest to tylko ekonomiczna zasada, która doznaje licznych modyfikacyi, a której prawdziwość w tym szczególnym wypadku jest co najmniej wielce wątpliwą. Samo doświadczenie nie zdaje się bowiem tego wskazywać, żeby eskont tam miał niższą stopę, gdzie banki są liczniejsze. Nadto należy zauważyć, że zarzut ten nie ma nic wspólnego z kwestyą, o którą tu chodzi. Pytanie bowiem, czy ma być monopol, czy wolna konkurencya, nie dotyczy czynności bankowych wogóle, a tem mniej eskontu. Nikt nie zaprzecza żadnemu bankowi prawa zajmowania się eskontem — więc tu panuje konkurencya i bez wyraźnego przepisu prawa — i to we wszystkich krajach. W dziedzinie eskontu i wszystkich innych czynności bankowych istnieje n. p. dla banków biletowych konkurencya, którą rozwijają bez żadnych przeszkód nietylko bankierzy prywatni, ale i potężne towarzystwa o ogromnych kapitałach. Bank biletowy służy im niejako za kasyera, gdyż ile razy potrzebują gotówki lub chcą tylko pozbyć się posiadanych weksli, eskontują je w banku biletowym i dlatego nie mają potrzeby utrzymywania większych zasobów pieniężnych. W ten sposób na banku biletowym opiera się pośrednio cały kredyt krajowy.

Spór może więc dotyczyć wyłącznie emisyi biletów bankowych, a ta ma większe znaczenie dla całego ogółu, niż dla handlu. To też ten system powinien być uznany za lepszy, który będzie dawał ogółowi lepszą rękojmię, który będzie w wyższym stopniu zapewniał stałość wartości biletów. Bilety są dla ogółu po prostu pieniądzem — gdy idzie o emisyę pieniędzy, nikt nie zaleca systemu konkurencyi, lecz każdy zastrzega prawo bicia monety wyłącznie państwu. Zupełnie więc będzie właściwem, jeśli

państwo, skoro samo nie emituje biletów bankowych, będzie miało prawo przekazać ich emisyę temu wyłącznie bankowi, który będzie posiadał zupełne zaufanie rządu i całego kraju.

Zresztą przypuściwszy nawet, że w razie istnienia większej ilości banków emitujących, bilety ich nie ulegną żadnej zniżce kursu, to i tak powstanie niedogodność, bo bilety bankowe przynajmniej co do formy zewnętrznej będą różne, chyba, że dla uniknięcia tej różności zaprowadzi się pewien rodzaj syndykatu banków, jak to jest w Szwajcaryi, lub że państwo wyznaczy dla wszystkich banków jedną i tę samą formę biletu, jak to zrobiły Stany Zjednoczone. Gdyby natomiast w każdem państwie istniał tylko jeden emitujący bank narodowy, a więc liczba takich banków narodowych byłaby wogóle niewielką, to możnaby się spodziewać, że z czasem może przecież wprowadzi się bilety bankowe międzynarodowe, które będą miały kurs we wszystkich krajach — a tem samem spełni się oddawna już podnoszona myśl zaprowadzenia pieniędzy wszechświatowych.

II. Zwolennicy wolności emisyi, opierają się głównie na twierdzeniu, że nie potrzeba się nigdy obawiać przesadnej emisyi biletów bankowych. Obawa ta, jak powiadają, jest zupełnie bezpodstawna, gdyż samo już oddziaływanie wzajemne praw bezwzględnych, w dziedzinie ekonomii istniejących, potrafi utrzymać emisyę we właściwych granicach, choćby nawet banki chciały tę granicę przekroczyć. Przyczyny tego mają być następujące:

1. Przedewszystkiem bilety bankowe emituje bank tylko na podstawie i z powodu pewnych czynności bankowych, czy to eskontu czy zaliczki na papiery wartościowe. Żeby więc jakiś bilet dostał się do obiegu, nie wystarczy, by sam tylko bank chciał go puścić w obieg, lecz trzeba nadto jeszcze, by ktoś zdecydował się wziąć go od banku we formie pożyczki. Więc potrzeby ogółu, a nie sama tylko wola banku, oznaczają wysokość emi-

syi. Ilość biletów bankowych w obiegu zależy jedynie od ilości weksli, przedstawionych do eskontu, co zależy od rozmiarów gospodarczego obrotu.

2. Nadto bilety bankowe dostają się w obieg tylko na krótki przeciąg czasu i w kilka tygodni po wypuszczeniu ich wracają z powrotem do kasy bankowej. To też można o nich powiedzieć: »jak przyszły tak poszły«.

Bank wydaje n. p. bilet na 1000 franków, eskontując weksel, ale po upływie 40 lub 50 dni, lub najwyżej trzech miesięcy, dostanie bilet na 1000 franków z powrotem, skoro przedstawi ten weksel do zapłaty. Wprawdzie bilet nie będzie ten sam może, ale to rzecz zupełnie obojętna, dość, że tyle ich wraca do kasy bankowej, ile ich bank w obieg puścił.

3. Choćbyśmy wreszcie przypuścili, że bank może ich emitować za dużo, to dłuższe utrzymanie ich w obiegu będzie niemożliwe, bo jak tylko będzie ich za wiele, muszą spaść niżej *pari*, a wtedy choćby ta zniżka była jak najmniejszą — posiadacze biletów zwrócą się natychmiast do banku z żądaniem wymiany na gotówkę. Na darmo będzie się bank silił zasypać kraj swymi biletami — on sam będzie nimi zalany.

W tych uwagach tkwi niejedno ziarno prawdy, bo i samo doświadczenie stwierdziło ich słuszność. Banki wyjątkowo tylko mogły puścić w obieg więcej biletów niż tego wymagała potrzeba obrotu. Nie należy się jednak łudzić; panowanie zupełnej wolności co do wysokości emisyi może sprowadzić poważne niebezpieczeństwo, jeżeli nie w czasach normalnych, to przynajmniej w chwilach przesileń, które w rozwoju ekonomicznym naszych nowożytnych społeczeństw są coraz częstszemi zjawiskami.

W teoryi prawdziwem jest twierdzenie, że ilość biletów w obiegu będących zależy od potrzeb ogółu, a nie od woli banku. Należy jednak zauważyć, że jeśli jeden z banków zechce pozyskać sobie klientów i robić konkurencyę innym bankom, to będzie mógł zawsze, przez odpowiednie obniżanie stopy eskontowej, powiększać prawie bezustannie swe czynności, a tem samem i wysokość swej emisyi. Również prawdą jest, że wskutek tej nadmiernej emisyi nastąpi deprecyacya biletów, a w dalszym ciągu żądanie, by bank je wymienił na gotówkę, — ale też ten spadek ich wartości nie pojawi się natychmiast, lecz za parę dni, może nawet za kilka tygodni. Wtedy dla banku, który emitował za dużo biletów, wszelki ratunek może być już za późny — nie potrafi już zadość uczynić swym zobowiązaniom i zginie zasypany żądaniami swych wierzycieli. Prawda, że on pierwszy zostanie ukarany za swą nieostrożność przez swój upadek, lecz cóż z tego — idzie przecież o niedopuszczeniu do przesilenia, a nie o ukaranie jego sprawców.

W tem tkwi właśnie jeden z poważnych argumentów, przemawiających za systemem monopolu. Można bowiem snadnie przypuścić, że bank, zajmujący wybitne i uprzywilejowane stanowisko w danym kraju, a wzbogacony doświadczeniami z własnej przeszłości, zachowa przy emisyi całą potrzebną ostrożność i rozwagę — a to stanowi jedyną skuteczną rękojmię. Zresztą stwierdza to zapatrywanie historya wszystkich większych banków, a przedewszystkiem banku francuskiego, któremu, jeśli można było co zarzucić w ciągu dziewięćdziesięciu lat jego istnienia — to chyba tylko za daleko posuniętą ostrożność, która pozbawiała go możności osiągnięcia niejednej korzyści ze swych czynności. A właśnie bank francuski nie miał nigdy nałożonych z góry żadnych ograniczeń co do emisyi biletów. Dopiero od niedawna ustanowiono maximum dla emisyi na 5800 milionów franków — maximum zresztą czysto teoretyczne, do którego emisya nigdy jeszcze nie doszła [1]).

[1]) Zresztą to maximum pochodzi dopiero z ostatnich lat, nie spotykamy się z niem w statutach banku, ale wprowadziła je zu-

XII.

Organizacya banków biletowych.

W żadnym prawie kraju nie przyjęto systemu zupełnej wolności. Jedynie w Szkocyi istnieje ona w zasadzie, lecz i tutaj tylko nieliczne banki korzystają z prawa wydawania biletów, a chociaż nie ma żadnych przepisów co do wysokości emisyi, zastępuje je nader ostre postanowienie prawne, wprowadzające nieograniczoną porękę wszystkich akcyonaryuszy, t. zn. że każdy z nich odpowiada całym swym majątkiem za wszystkie zobowiązania banku. Zresztą we wszystkich innych państwach przyjęto albo system monopolu, albo system koncesyi, przyczem w obu wypadkach wprowadzono osobne przepisy, odnoszące się do pokrycia biletów bankowych. Monopol może być zastrzeżony bezpośrednio państwu i w tym wypadku mamy do czynienia z bankiem państwowym, albo też państwo może nadać monopol bankowi prywatnemu.

System banku państwowego istnieje tylko w Szwecyi i w Rosyi [1]). Ustrój ten, zachwalany przez socyalistów, bo stanowi, ich zdaniem, jeden etap w pochodzie kollektywizmu, upaństwowiając kredyt, jest zresztą ogólnie potępiany, albowiem narzuca państwu funkcyę handlową, do której ono jest niezdolne, wywołuje szkodliwe pomieszanie kredytu państwowego i bankowego i otwiera drogę emisyi pieniędzy papierowych.

We Francyi i przeważnej większości innych państw

pełnie niespodzianie ustawa finansowa z 1883 r. w kwocie 3½ miliarda, którą podniesiono w r. 1897 do 5 miliardów, w r. 1906 do 5800 milionów. Ograniczenie to jest raczej skierowane przeciw państwu, niż przeciw bankowi. Zaprowadzono je, ażeby państwo nie mogło żądać od banku zbyt wielkich pożyczek.

[1]) Bank biletowy w Niemczech *(Deutsche Reichsbank)* nie jest wprawdzie bankiem państwowym, gdyż kapitał złożyły osoby prywatne, jednakże zarząd cały spoczywa w ręku państwa, które zastrzegło sobie także prawo wykupienia akcyi.

przyjęto system mieszany. Bank francuski jest spółką akcyjną, której kapitału dostarczyły osoby prywatne, jednakże zarząd jej nie spoczywa wyłącznie w ręku akcyonaryuszy, tylko państwo mianuje gubernatora banku i jego zastępcę. Bank francuski założył Napoleon I. w dniu 13 lutego 1800, początkowo bez prawa wydawania biletów bankowych, które nadano mu dopiero w r. 1803. Przywilej ten rozciągał się początkowo tylko na Paryż i te miasta, w których bank francuski posiadał swe filie, równocześnie zaś inne banki główniejszych miast prowincyonalnych otrzymały taki sam przywilej. Dopiero po r. 1848, wskutek zlania się banków departamentalnych z bankiem francuskim, uzyskał on wyłączne prawo wydawania biletów bankowych, które co lat 30 odnawia się, a obecnie, nadane w r. 1897, obowiązuje do r. 1920.

Najważniejsze zobowiązania, które bank przyjął w zamian za ten przywilej są następujące:

1. Stopa eskontowa banku jest dla wszystkich weksli jednakowa, a bank może przyjmować do eskontu tylko weksle, opatrzone trzema podpisami i płatne najwyżej w 90 dni od daty wystawienia.

2. Nie może płacić procentu do depozytów.

3. Może wprawdzie udzielać zaliczek na niektóre papiery wartościowe lub sztaby kruszcu, lecz nie wolno mu dawać kredytu w rachunku bieżącym. Jedyny wyjątek stanowi państwo, któremu bank, według przywileju z roku 1897, musiał udzielić bezprocentowej pożyczki w kwocie 180 milionów fr.

4. Nie może wydać więcej niż za 5800 milionów fr. biletów bankowych.

5. Opłaca państwu daninę, której wysokość zależy od ilości wydanych biletów i wysokości stopy procentowej. Jest to rodzaj udziału w zyskach, przyznanego państwu w zamian za odnowienie przywileju [1]).

[1]) Udział ten, który w r. 1904 wyniósł 4,521.000 fr., jest przeznaczony ustawowo na subwencyonowanie stowarzyszeń dla kre-

Monopol ten banku, jak wogóle wszystkie monopole, atakują bardzo ostro przy każdem odnowieniu przywileju. Nie ulega wątpliwości, że bank, t. zn. jego akcyonaryusze mają wielkie zyski, tak, że wartość akcyi wzrosła w ciągu stulecia czterokrotnie. Wzrost ten jednak zawdzięcza się tylko w części monopolowi, gdyż wartość akcyi innych zakładów kredytowych, nie wyposażonych żadnym przywilejem, podniosła się również bardzo znacznie. Zresztą zyski banku są dość obojętne, przedewszystkiem bowiem należy zapytać, jakie korzyści przyniósł monopol społeczeństwu? Otóż można stwierdzić, że skutki tego systemu były bardzo dodatnie 1) dla całego społeczeństwa, gdyż wartość biletów bankowych była zawsze równa, niekiedy nawet wyższa od wartości pieniędzy kruszcowych tak, że bank nie utracił nic ze swego kredytu nawet w czasie najcięższych przesileń, jak np. podczas wojny w r. 1870; 2) dla handlu, bo stopa procentowa była zawsze co najmniej równie nizka jak w innych krajach; 3) dla państwa, gdyż bank we wszystkich sytuacyach poważniejszych wzmacnia kredyt państwa swym własnym kredytem, a jego rezerwa kruszcowa, dochodząca do 4 miliardów franków, stanowi skarb wojenny.

W Anglii panuje dość zawiły system pośredni. »Bank angielski« nie posiada wyłącznego przywileju emisyjnego, lecz istnieje obok niego pewna ilość banków prowincyonalnych, które również mają prawo wydawania biletów. Nie jest to jednak system wolnej konkurencyi, gdyż ilość banków emisyjnych jest ściśle oznaczona. Mianowicie według ustawy z r. 1844, wydanej na wniosek ówczesnego premiera sir Roberta Peela, tylko te banki mogą wydawać bilety, które korzystały z tego prawa w chwili wejścia w życie wspomnianej ustawy. Ponieważ liczba ich

dytu rolniczego. Prócz tego opłaca bank francuski jeszcze około 3 miliony fr. podatków, tak, że państwo zabiera prawie trzecią część czystego zysku.

stale się zmniejsza, bo są to przeważnie małe banki prywatne, które ustępują miejsca wielkim zakładom, więc niebawem przyjdzie do tego, że bank angielski zmonopolizuje faktycznie i prawnie całą emisyę biletów. Już dzisiaj emisya banków prowincyonalnych jest nieznaczna, a liczba ich spadła do 63, podczas gdy w r. 1844 było 279 banków biletowych.

W Stanach Zjednoczonych natomiast panuje system wolnej konkurencyi, a ilość banków, wydających bilety, jest ogromna i może powiększać się dowolnie. W tej chwili banków tych, które nazywają się tam narodowymi, jest 4370!

W każdym jednak razie, tak przy monopolu jak i wolnej konkurencyi, z jedynym wyjątkiem Szkocyi, ustawodawstwo starało się unormować prawnie emisyę biletów bankowych, ażeby ubezpieczyć ich wypłatę w gotówce. W tym celu wprowadzono w różnych krajach cztery odmienne systemy:

1. Emisya biletów bankowych nie może być wyższą od zapasu gotówki, którą bank posiada. Jest to t. zw. zasada pokrycia kruszcowego *(currency principle)*, w przeciwstawieniu do zasady bankowej *(banking principle)*, którą poznamy niżej. Obowiązuje ona bank angielski, na mocy wspomnianej już ustawy sir Roberta Peela z r. 1844. Bank angielski może wydawać bilety tylko do takiej wysokości, która odpowiada łącznej sumie jego kapitału zakładowego i zapasu gotówki. Kapitał zakładowy banku wynosił pierwotnie 14,000.000 Ł., obecnie doszedł do kwoty 17,775.000 Ł., gdyż bank angielski ma prawo każdym razem, gdy ginie jeden z prowincyonalnych banków emisyjnych, podnieść swój kapitał zakładowy o sumę, równą $^2/_3$ emisyi banku ustępującego pod warunkiem, że tę kwotę umieści w papierach renty państwowej.

W celu ścisłego przestrzegania tego postanowienia jest bank angielski podzielony na dwa odrębne oddziały.

Jeden z nich zajmuje się czynnościami bankowemi, depozytowemi i eskontowaniem, a nie emituje żadnych biletów, drugi zaś zajmuje się tylko emisyą — a nie może załatwiać żadnych innych czynności bankowych. Ten oddział wydaje pierwszemu w miarę potrzeby bilety, lecz skoro ich dał już za sumę równą kapitałowi zakładowemu, nie wydaje już więcej, jak tylko za gotówkę lub za sztaby kruszcu szlachetnego.

Tego rodzaju ograniczenia nie możnaby uważać za dostateczną rękojmię, gdyby chodziło o inny bank, a nie angielski. W istocie bowiem kapitał banku nie da się tak odrazu bezpośrednio zrealizować, a w naszym szczególnym wypadku jest on prawie że fikcyjnym, bo częściowo przedstawiają go wierzytelności banku u państwa (275 milionów fr.), częściowo renta angielska nabyta przez bank.

Nadto ograniczenie to w życiu praktycznem, a szczególniej w chwilach przesileń, jest wielce niedogodne, trzykrotnie musiano też zawiesić czyli wstrzymać działanie tej ustawy i pozwolić bankowi na wyższą emisyę. Boć naturalnie skoro n. p. bank ma 500 milionów gotówki i 950 milionów biletów w obiegu, to nie może już ani jednego wekslu eskontować. Czemżeby bowiem zapłacił za przedstawiony sobie do eskontu papier? biletami? — ależ te doszły już do swego dozwolonego maximum 450 milionów — gotówką, która jest w kasie, też nie, bo gdyby zapas jej zmniejszono na 499 milionów, a równocześnie pozostawiono 950 milionów biletów w obiegu, to już odnośny przepis ustawy byłby naruszony. Tymczasem bank angielski nie może odmówić eskontu zupełnie, jeśli nie chce sprowadzić upadłości przynajmniej połowy firm angielskich, ustawodawca jest więc zmuszony interweniować w takich wypadkach i znosić to, przez siebie samego ustanowione ograniczenie.

2. Drugi system polega na tem, że ustanawia się stały stosunek, zazwyczaj stosunek jednej trzeciej części, gotówki do sumy emitowanych biletów. Trudności pozostają w tym razie te same, jeśli nie większe [1]).

3. Trzeci system polega na prostem ustanowieniu maximum dozwolonej emisyi.

System ten jest bez wątpienia więcej elastyczny niż poprzedni (jest to właśnie system zaprowadzony we Francyi od roku 1870). Jest on połączony z mniejszemi trudnościami, ale też trzeba przyznać, że daje małą rękojmię, bo i jakież może mieć praktyczne znaczenie ten przepis, że bankowi nie wolno emitować więcej biletów, jak tylko pewną oznaczoną ilość, skoro może za to zmniejszyć swój zapas gotówki aż do zera. Gdzież tu więc jest rękojmia dla ogółu? Jedynie w dobrym i ostrożnym zarządzie banku. W takim jednak razie i ograniczenie ustawowe emisyi jest zupełnie zbyteczne.

4. Czwarty system polega na nałożeniu na bank obowiązku dania zabezpieczenia dla emitowanych biletów w papierach zupełnie pewnych, zazwyczaj w rencie państwowej, w wysokości przynajmniej równej emisyi biletów. Ten system zaprowadzony jest w Stanach Zjednoczonych. Każdy bank musi złożyć państwu jako zabezpieczenie papiery renty państwowej w wysokości wyższej o jedną dziesiątą od wartości nomi-

[1]) Łatwo przekonać się, że w razie ustanowienia stałego stosunku, jak 1 : 3, nietylko eskont ale i sama wymiana biletów na gotówkę może w danej chwili stać się dla banku niemożliwą. Niechże bank ma stosownie do przepisu 100 milionów gotówki a 300 milionów biletów — wtedy nie może nawet jednego biletu wymienić, nie chcąc przekroczyć przepisanego stosunku jednej trzeciej w gotówce z ogólnej sumy biletów, bo 99 nie jest trzecią częścią 299. Sprowadza się więc właśnie to niebezpieczeństwo, którego chciano uniknąć. System ten przyjęto w Niemczech, gdzie $^1/_3$ biletów musi być pokryta kruszcem reszta portfelem banku, t. zn. papierami wartościowymi. Jeżeli jednak zachodzi potrzeba wyższej emisyi, może bank wypuścić większą liczbę biletów, lecz od nadwyżki opłaca 5-cioprocentowy podatek. W Rosyi ilość biletów nie pokrytych kruszcem może wynosić najwyżej 300 milionów rubli.

nalnej biletów, które chce emitować (biletów tych dostarcza zresztą bankowi rząd — bank sam nie może ich drukować [1]).

Ubezpieczenie to jest zbyteczne, jeśli idzie o zapewnienie kredytu banku w czasach normalnych, a w chwilach przesileń, a więc właśnie wtedy, kiedy się największa tego okazuje potrzeba, system ten okazuje się zupełnie bezsilnym. W takich wypadkach kurs wszystkich papierów, a z niemi i rent musi spaść; jeżeli więc bank dla zadośćuczynienia obowiązkowi wypłaty biletów w gotówce, będzie musiał spieniężyć tę wielką sumę papierów rentowych, którą właśnie musiał złożyć jako zastaw, to tem nie osiągnie zamierzonego celu, nie poprawi swojego położenia, a zniszczy zupełnie kredyt państwa.

Przykład Stanów Zjednoczonych dowodzi, że właśnie w systemie wolnej konkurencyi wprowadzono najostrzejsze przepisy dla zabezpieczenia pokrycia biletów, podczas gdy najswobodniejszą jest emisya przy monopolu, jak to widać we Francyi. Jest to rzeczą zupełnie naturalną, gdyż monopol sam przez się stanowi już gwarancyę bardzo skuteczną [2]).

[1]) Depozyt ten musi wynosić co najmniej czwartą część kapitału zakładowego banku. Nadto wprowadzono jeszcze liczne inne ograniczenia, a mianowicie banki muszą utrzymywać rezerwę kruszcową, równą czwartej części wartości deponowanych papierów, składać w kasach publicznych 5-procentowe pokrycie emitowanych biletów w gotówce, posiadać kapitał zakładowy o pewnej wysokości, zależnej od wielkości miasta, w którem mają swą siedzibę i t. d.

[2]) Do banku austro-węgierskiego zastosowano system mieszany polegający na tem, że bank może wydawać 400 milionów koron niepokrytych rezerwą kruszcową, do której wlicza się także wierzytelność do państwa, o ile zaś emituje więcej, opłaca od nadwyżki 5% podatku. Ponieważ stopa procentowa banku wyjątkowo tylko dochodzi do takiej wysokości, a zwykle jest niższą, więc nie ma obawy, ażeby bank bez potrzeby korzystał z tego uprawnienia, gdyż nic na tem nie zyskuje, a nieraz wprost traci. *(Przyp. tłum.).*

Jak się z powyższego okazuje, żaden z używanych systemów nie zdołał dać zupełnej gwarancyi, że bank będzie w stanie wypłacić swe bilety monetą brzęczącą. Chcąc ten cel z zupełną pewnością osiągnąć, trzebaby żądać od banku, by ten utrzymywał w swej kasie zapas gotówki, równy i sumie biletów w obiegu i sumie depozytów banku. Wtedy wprawdzie bezpieczeństwo byłoby zupełne, ale też i bank nie oddawałby już społeczeństwu żadnych usług, bo nie obracałby w sposób produkcyjny kapitałami ruchomymi całego kraju, a ograniczałby się tylko do przechowywania ich w swoich piwnicach. Słowem — banki przestałyby wtedy być instytucyami kredytowemi. Kto zatem chce korzystać z dobrodziejstw kredytu, musi pogodzić się z tem niebezpieczeństwem. Chcieć pogodzić dodatnie strony kredytu z dodatniemi stronami obrotu za gotówkę równocześnie, jest to zajmować się kwadraturą koła, bo jedno wyklucza drugie.

XIII.

Poszczególne rodzaje kredytu.

Trzy szczególne formy kredytu stanowią przedmiot niezliczonych rozpraw i dały początek powstaniu licznych i różnych zakładów — a to: kredyt rolniczy hipoteczny, rolniczy krótkoterminowy i kredyt ludowy.

§. 1. Kredyt rolniczy hipoteczny czyli długoterminowy.

Dzisiaj uprawa roli, jeśli ma być wydatną, wymaga coraz to znaczniejszych kapitałów, właściciele ziemi zaś nie zawsze mają te kapitały, a dla braku ich nie mogą ciągnąć z ziemi takich korzyści, jakieby się osiągnąć dały. Byłoby więc pożądanem i to nietylko dla nich sa-

mych, ale i dla dobra całego społeczeństwa, by rolnikom ułatwić nabywanie potrzebnych kapitałów do starannej uprawy roli. To jest właśnie zadaniem kredytu rolniczego długoterminowego, który będąc dobrze urządzonym, dostarcza rolnikom potrzebnych na ten cel kapitałów.

Najdawniejszą i najprostszą formą tego kredytu jest pożyczka na hipotekę. Z punktu widzenia wierzyciela posiada ona znaczną wyższość, to też właśnie ta forma jest najwięcej poszukiwana przez kapitalistów. Wyższość tę stanowi prawie zupełne jej bezpieczeństwo, ziemia bowiem ma wartość, która nie może ani zniszczeć zupełnie, ani być skradzioną [1]).

Ale obok tych stron dodatnich ma pożyczka hipoteczna także i wielkie niedogodności i to dla obu stron: dla dłużnika, bo nakłada nań uciążliwy obowiązek opłacania procentu rzadko kiedy niższego od 5%, podczas gdy poczynione wkłady w gospodarstwie rolnem dają zwykle niższe odsetki — dla wierzyciela również, skoro pożyczka hipoteczna daje mu wprawdzie bezpieczeństwo, że kapitał odbierze, ale uniemożliwia mu prędkie odzyskanie tego kapitału, bo nie tak łatwo będzie mu znaleźć nabywcę na swą wierzytelność. Przytem często już po terminie jej płatności będzie musiał chwytać się ostatecznego środka przymusowego, t. j. wywłaszczenia dłużnika, które dla niego samego jest przykre, a dla dłużnika zgubne.

Chcąc zaradzić tym niedogodnościom, postanowiono nadać wierzytelnościom hipotecznym charakter wierzytelności handlowych. System zwany często, choć niezbyt właściwie, uruchomieniem własności gruntowej, został w niektórych krajach wprowadzony w życie z całą znajomością rzeczy [1]). Atoli zauważyć należy, że poprawka ta ma na oku tylko dobro wierzyciela, a nie zmienia w niczem na lepsze położenie dłużnika, t. j. właściciela ziemi. Tem też wątpliwsza jest jej wartość, że uwzględnia samych tylko wierzycieli hipotecznych i to w stopniu o wiele wyższym, niż jakakolwiek inna forma pożyczki, pozwalając im pozbywać swe papiery w ten sam sposób, jak się pozbywa papiery handlowe, co sprzeciwia się naturze stosunku, bo papiery hipoteczne muszą zawsze do pewnego stopnia posiadać tę stałość i nieruchomość, która jest właściwą ziemi, będącej podstawą kredytową każdego papieru hipotecznego.

Inny, lepszy system, polega na zakładaniu specyalnych *ad hoc* banków, zwanych pospolicie bankami hipotecznymi lub ziemskimi. Banki te są pośrednikami pomiędzy kapitalistami a właścicielami ziemi, bo pożyczają pieniądze od pierwszych w celu wypożyczania ich drugim, t. j. rolnikom. Naturalnie nie robią tego darmo, bez zysku dla siebie, boć przecież to ich pośrednictwo przynosi korzyści obu stronom. Kapitaliści dostają od banku papiery równie pewne, jak papiery hipoteczne, bo oparte również na gospodarstwach ziemskich, ale papiery te prędzej znajdą nabywcę, bo na pokrycie ich nie służy pewna bezwzględnie oznaczona ilość ziemi, ale cały wogóle majątek towarzystwa — a zazwyczaj jest to jakieś zamożne towarzystwo, które emituje te papiery, to też w obiegu stawia się je na równi z rentami, akcyami lub obligacyami kolei żelaznych. Właściciele ziemscy zaś odnoszą potrójną korzyść z po-

[1]) Sumę pożyczek hipotecznych w całej Francyi obliczono na 13 do 14 miliardów, t. j. koło 15—16 procent ogólnej wartości ziemi. Są kraje, w których długi hipoteczne prawie dorównywują wartości własności ziemskiej.

[1]) W Niemczech może właściciel sam wystawiać na swą ziemię papiery hipoteczne, które potem pozbywa w miarę potrzeby na podobieństwo bankiera, wydającego czeki do swej kasy. W Australii na mocy ustawy *Act Torrens* papiery hipoteczne mogą też łatwo być przenoszone. Co do szczegółów patrz liczne dzieła, ogłaszane w ostatnich czasach odnośnie do postępowania przy uruchomieniu własności gruntowej (Challamel, Worms itd.).

średnictwa banku: 1) pożyczka taka jest długo terminową, np. 75-cioletnią; 2) zwrot jej dokonywa się zwolna, w sposób prawie nie dający odczuć się w drodze rocznych upłat; 3) wreszcie stopa procentowa jest tu zazwyczaj stosunkowo umiarkowana [1]).

Nie należy zresztą przeceniać zbytnio użyteczności kredytu rolniczego długoterminowego — jakąkolwiekbyśmy mu formę nadali. Nie stawiamy tego jako reguły absolutnej, ale sądzimy, że zbytnia łatwość uzyskania pożyczki nie leży znów ani w interesie małych, ani wielkich właścicieli ziemskich; może ona jednemu posłużyć do zrobienią majątku, ale w dziesięciu innych wypadkach może się stać przyczyną ruiny. Raczej bylibyśmy więc gotowi oświadczyć się za wprost przeciwnym kierunkiem i zalecalibyśmy przyswojenie sobie tego rodzaju instytucyi, jak »homestead« Stanów Zjednoczonych, która z jednej strony uniemożliwia właścicielowi ziemskiemu zaciągnięcie na ziemię pożyczki, z drugiej jednak strony daje mu rękojmię, że ziemia ta utrzyma się w rękach jego i jego rodziny [2]).

[1]) We Francyi istnieje tylko jedno towarzystwo tego rodzaju, bardzo zamożne, używające od 1852 roku monopolu, a noszące nazwę »Credit Foncier de France«. Towarzystwo to udziela pożyczek na 75 lat. Procent nie jest zbyt nizki, bo około 5%, lecz odsetki te obejmują już w sobie i roczne upłaty obrachowane na umorzenie kapitału w ciągu tych 75 lat w ten sposób, że po upływie tego czasokresu właściciel jest już zupełnie wolny od długu, płaci więc w rzeczy samej niższy procent, niż ten, jakiby musiał płacić zwykłemu wierzycielowi. Jednak pomimo tych zalet, usługi przez to towarzystwo oddane rolnictwu, nie są znów tak wielkie, bo choć suma udzielonych przez nie pożyczek dochodzi do poważnej cyfry 3 miliardów, to przecież przeważna część ich użytą została na budowle, a zaledwie może $^1/_4$ część na wkłady w gospodarstwie. To też właściwszą byłaby może dla tego towarzystwa nazwa »banku budowlanego miejskiego«.

[2]) Na mocy ustawy »Homestead« może każdy właściciel amerykański, uprawiający ziemię, ogłosić ze skutkiem prawnym swój dom z pewnym kawałkiem ziemi naokoło — za nieulegający sądowemu zajęciu. Obszar tego kawałka ziemi jest różny, stosownie do ustaw poszczególnych Stanów. Niekiedy nawet to wyjęcie z pod zajęcia sądowego nie jest pozostawione woli właściciela, ale bezwzględnie przymusowe — i zdaniem naszem tylko w tym wypadku może ono być skutecznem. Rozumie się samo przez się, że właściciel musi wyrzec się chęci uzyskania kredytu, przynajmniej na ten obszar swej ziemi, który ulega prawu »homestead«. Niedawno postawiono wniosek, by taką ustawę zaprowadzić w Anglii i Francyi. Celem jej byłoby oczywiście utrzymanie jak najdłużej drobnej własności ziemskiej.

§ 2. Kredyt rolniczy krótkoterminowy.

Ten rodzaj kredytu jest na pierwszy rzut oka bardzo zbliżony do kredytu długoterminowego, bo celem jego jest również dostarczyć właścicielowi ziemi potrzebnego mu kapitału. Atoli zachodzi między nimi dość wyraźna różnica, tak co do ich celu ekonomicznego i co do charakteru prawnego, jak co do organizacyi zakładów bankowych, które go mają udzielać. Ten rodzaj kredytu może, naszem zdaniem, oddać o wiele ważniejsze usługi. Zadaniem kredytu krótkoterminowego jest dostarczyć funduszu, potrzebnego właścicielowi nie na pierwsze rozpoczęcie i urządzenie gospodarstwa rolnego, ale na opędzenie bieżących potrzeb produkcyi, więc kapitału obrotowego. Trzeba bowiem pamiętać, że z natury samej rolnictwa wypływa, iż daje ono dochód dopiero z końcem roku a niekiedy nawet po upływie jeszcze znaczniejszego przeciągu czasu, wymaga zaś ustawicznie nowych wydatków. Rolnik potrzebuje więc coraz to nowych zaliczek, których ma mu dostarczyć właśnie kredyt krótkoterminowy.

Pokrycie ma pożyczka rolnicza krótkoterminowa nie w ziemi samej, ale w całym kapitale obrotowym rolniczym, można więc na jej zaspokojenie zająć tylko go-

spodarskie ruchomości, bydło i zboże zebrane. Prawnicy zwą ją pożyczką na ruchomości, nie zaś na nieruchomości.

We Włoszech i w Niemczech kredyt rolniczy krótkoterminowy występuje pod formą »towarzystw wzajemnego kredytu«, w których właściciele ziemscy udzielają sobie nawzajem pożyczek, lub korzystają z kredytu, jaki pozyskali wskutek samego faktu zawiązania towarzystwa, w celu zaciągania pożyczek od osób trzecich pod korzystniejszymi warunkami. Najsławniejsze z tego rodzaju towarzystw są tak zwane banki Raiffeisen'a, które niezbyt dawno [1]) dopiero powstały. We Francyi przeciwnie nie ma instytucyi, któreby zajmowały się specyalnie udzielaniem kredytu krótkoterminowego rolnikom, choć niejednokrotnie podnoszono myśl ich założenia; w rzeczywistości więc nie ma tu odrębnej formy rolniczego kredytu krótkoterminowego.

§ 3. Kredyt ludowy.

Znane przysłowie: »pożyczaj tylko bogatemu«, znajduje też często zastosowanie w praktyce życia, tymczasem biedni mogą tak samo, a nawet więcej niż bogaci, potrzebować kredytu. Jakże go więc dla nich pozyskać?

Cel ten można łatwo osiągnąć za pomocą stowarzyszenia (assocyacyi). Sam jeden rzemieślnik czy rękodzielnik, choćby był jak najuczciwszym i najpracowitszym, nie jest w stanie dać wierzycielowi dostatecznego zabezpieczenia, bo choroba, brak roboty lub śmierć mogą

[1]) Stowarzyszenia te są w ten sposób zorganizowane, że: 1) ich członkowie nie wnoszą żadnych wkładek do kasy towarzystwa, tworzą się więc takie towarzystwa bez kapitału; 2) nie przynoszą członkom żadnej dywidendy; 3) wszyscy członkowie odpowiadają za długi towarzystwa solidarnie całym swym majątkiem.

w jednej chwili obrócić w niwecz jego najlepsze zamiary. Gdy jednak ci robotnicy czy rzemieślnicy w liczbie dziesięciu, stu, czy tysiąca, połączą się w jedną całość, której członkowie w razie potrzeby odpowiadają solidarnie za siebie, to wtedy będą dawać zupełne bezpieczeństwo, to też znajdą łatwo kredyt, nie potrzebując mieć żadnej styczności z lichwiarzami. Nadto ich osobiste wkładki, choćby były jak najmniejsze, utworzą z biegiem czasu wskutek ich wielkiej ilości poważny wspólny kapitał, z którego będą mogli sami sobie udzielać pożyczek.

Instytucye takie rozwinęły się nadzwyczaj pomyślnie [1]), przedewszystkiem w Niemczech, dzięki inicyatywie Schulzego z Delitzsch, to też tam te banki ludowe, zwane też stowarzyszeniami udziałowo-kredytowemi lub towarzystwami zaliczkowemi — noszą imię swego inicyatora.

We Francyi przeciwnie, mimo, że nie brak było inicyatywy, banki takie nie mogły się pomyślnie rozwinąć. Atoli w tym wypadku nie ma tak dalece nad czem ubolewać. Wprawdzie instytucya taka może oddać pewne usługi pewnej klasie społeczeństwa, a to małym rzemieślnikom lub kramarzom — wogóle tym, którzy pracują na własny rachunek, ale nie ma co przywiązywać zbyt wielkich nadziei do niej, jeśli idzie o płatnych robotników, więc o wielką masę klasy robotniczej. Odnośnie do tej bowiem wyraz »kredyt ludowy« jest całkiem źle użyty. Robotnik, jeśli się ucieka do kredytu,

[1]) Banków ludowych w Niemczech jest przeszło 2000, z tejże liczby jednak tylko dla 900 (co prawda najznaczniejszych), bilanse są znane. W roku 1887 miały one własnego kapitału 165 milionów frk., a pożyczonego 513 milionów — rozporządzają więc wogóle kapitałem do 700 milionów frk. dochodzącym! One same dostawały pożyczki na 3·81% — a pożyczały swym członkom na 5·55% — a nadto rozdzielały między nich zysk, w ten sposób osiągnięty, w formie dywidendy.

to zazwyczaj używa go na potrzeby swe osobiste, a nie na produkcyę; cóż będzie robił innego z tym kapitałem skoro nie pracuje samodzielnie, na własną rękę? Co najwięcej mogłaby taka instytucya pomódz pojedynczym jednostkom z pomiędzy robotników w pozyskaniu gotówki, potrzebnej im do przejścia ze stanu robotnika płatnego w stan drobnego rzemieślnika.

KSIĘGA III.

ROZDZIAŁ DOCHODÓW.

CZĘŚC PIERWSZA.

ZASADY ROZDZIAŁU DOCHODÓW.

ROZDZIAŁ I.

MAJĄTEK.

Majątkiem nazywamy ogół przedmiotów gospodarczych, którymi rozporządza gospodarz. Majątek składa się z dóbr i usług, które można podzielić na pewne części, w miarę tego, jakim służą potrzebom. Ogół dóbr i usług, służących potrzebom tego samego gatunku, nazywamy zapasem. Wartość zapasu oznacza się znaczeniem wszystkich potrzeb od niego zależnych, a ponieważ majątek jest tylko zbiorem zapasów, przeto wartość majątku równa się sumie wartości zapasów. Oczywistą jest rzeczą, że jeżeli w skład majątku wchodzą zapasy, które w danym razie mogą

zaspokoić te same potrzeby (np. węgiel i materyał budowlany ze względu na potrzebę ciepła), posiadają one w majątku wartość zmniejszoną. W tym wypadku utratę węgla można zastąpić drzewem, jeżeli potrzeba ciepła jest ważniejszą; oznaczy się więc wartość obu tych zapasów według potrzeb najsłabszych, t. j. tych, których się nie zaspokoi w razie częściowej straty. Innemi słowy, ze względu na potrzebę, którą oba zapasy mogą pokryć, stanowią one jeden tylko zapas i jako jedna całość wpływają na wartość majątku. Zmiana wartości poszczególnych dóbr, wchodzących w skład zapasu, wpływa tylko o tyle na wartość majątku, o ile powoduje zmianę wartości całego zapasu, w przeciwnym razie jest zupełnie obojętną. Chcąc oznaczyć przyczyny wzrostu wartości majątku, musimy przeto poznać czynniki, wywołujące zwiększenie wartości zapasów. Wartość dóbr reguluje się ilością i siłą potrzeb od nich zawisłych z jednej, a ilością dóbr, przeznaczonych na ich pokrycie, z drugiej strony. Ilość i siła potrzeb działa jednakowo tak na całe zapasy, jak i na poszczególne dobra; wartość ich stoi zawsze w prostym stosunku do potrzeb, od nich zawisłych. Zmiana w ilości dóbr wywiera odmienny wpływ na poszczególne przedmioty, odmienny na całe zapasy. Wartość każdego dobra stoi zawsze w odwrotnym stosunku do ilości dóbr tego samego rodzaju, domaga się bowiem tego prawo minimalnej korzyści; im większy mamy zapas, tem niższą potrzebę możemy zaspokoić danem dobrem, tem mniejszą jest jego wartość; im bardziej się zmiejszy ilość dóbr tego samego rodzaju, tem wyżej musimy przerwać pokrycie swych potrzeb, tem większą jest wartość poszczególnych egzemplarzy. Wręcz przeciwne zjawisko wywołuje ta sama zasada, zastosowana do zapasów. Wszelkie pomnożenie dóbr w nie wchodzących, byleby znalazło odpowiednie, a nie pokryte jeszcze potrzeby, podnosi wartość zapasów, gdyż pozwala na zaspokojenie liczniejszych potrzeb. Potrzeby dotąd wolne uzyskały wskutek wzrostu ilości dóbr swe pokrycie, a stąd podniosła się wartość zapasu, bo dzięki większej ilości potrzeb od niego zawisłych, zwiększyła się minimalna jego korzyść. Nie wszystkie jednak zapasy, wchodzące w skład majątku, zachowują się równomiernie pod wpływem czynników, powodujących wzrost wartości. Owszem, właśnie z tego stanowiska można je podzielić na trzy działy, z których każdy w inny sposób zwiększa swą wartość. Są to zapasy wolne, zapasy gospodarcze, złożone z dóbr wolnych, wreszcie zapasy gospodarcze, złożone z dóbr gospodarczych. Zapas dóbr, od którego nie zależy zaspokojenie żadnej potrzeby, nazywamy zapasem wolnym. Składa on się zawsze albo z dóbr zupełnie bezużytecznych, albo z takich, których zniszczenie można powetować każdej chwili bez najmniejszego kosztu i trudu. Drugą kategoryę tworzą zapasy gospodarcze, złożone z dóbr wolnych, które posiadają wartość w swej całości, podczas gdy ich części są bezwartościowe. Wchodzą w nie dobra, które znajdują się wprawdzie w nadmiernej ilości, których jednak nie można odzyskać bez kosztów w razie utraty. W tym wypadku poszczególne dobra nie mają żadnej wartości, gdyż nie zależy od nich żadna potrzeba, cały jednak zapas tworzy jedyne pokrycie dla pewnych potrzeb, jest niezbędnym do ich zaspokojenia, posiada więc wartość równą ich znaczeniu. Mamy wreszcie zapasy gospodarcze, złożone z dóbr gospodarczych, gdzie tak ogół dóbr, jak i najmniejsza jego cząstka posiada wartość. W obecnym stanie gospodarstwa społecznego jest to wypadek najczęstszy, wymaga bowiem do swego powstania, aby ilość potrzeb była większą, albo przynaj-

mniej równą ilości środków, służących do ich uśmierzenia. Wartość takich zapasów oznacza się ogółem zawisłych od nich potrzeb, czyli sumą znaczenia wszystkich tych potrzeb, które można zaspokoić dobrami, w skład tych zapasów wchodzącemi. U zapasów wolnych łączy się nadanie im wartości wraz z jej wzrostem, bo dotąd jej nie było. Stają się one wartościowymi, gdy przybiorą charakter gospodarczy, a więc gdy zniknie przyczyna, która je zepchnęła w kategoryę dóbr wolnych. Ani powiększenie ilości dóbr, ani wzmożenie się potrzeb, które się niemi zwykle pokrywa, nie wywołuje tej zmiany, gdyż nie wyklucza dotychczasowego nadmiaru. Zapasom wolnym nadaje wartość albo powstanie potrzeby, którą można niemi zaspokoić, albo odebranie im możliwości dowolnego odnawiania. Jeżeli zapas był wolnym dla swej bezużyteczności, zapewnia mu wartość ukazanie się odpowiedniej potrzeby, a więc wzrost ilości potrzeb; jeżeli nie przywiązywano doń wagi, wiedząc, że można go każdej chwili bez kosztów odzyskać, wzrost potrzeb nie ma żadnego wpływu, a wartość otrzyma on tylko wtedy, gdy ponowne jego otrzymanie wywoła jakieś koszta lub trudy; działały wreszcie oba czynniki, należy zmienić jeden i drugi: musi zniknąć nadmiar i powstać potrzeba. — Obie kategorye zapasów gospodarczych zachowują się jednakowo pod wpływem wzrostu siły potrzeb. Im znaczniejsze potrzeby zaspokaja nimi gospodarz, tem większą przedstawiają one dlań wartość. Wzrost ilości dóbr nie wpływa ani na wartość zapasu złożonego z dóbr wolnych, ani zapasu, złożonego z dóbr gospodarczych, wystarczającego na pokrycie wszelkich odczutych potrzeb; w obu bowiem wypadkach suma zaspokojonych potrzeb nie ulega zmianie, a dobra nowe są zupełnie zbędne; natomiast podnosi wartość zapasu dóbr gospodarczych, który nie wystarczał na zupełne zaspokojenie potrzeb, jego zwiększenie bowiem rozszerza zakres zadowolonych potrzeb, potęguje się przeto jego znaczenie. Z tych też powodów zwiększa się wartość zapasu gospodarczego, złożonego z dóbr wolnych pod wpływem nowych potrzeb, dozwalają one bowiem na zużytkowanie dóbr dotychczas bezużytecznych, podczas gdy wzrost potrzeb nie zmienia wartości zapasów, obejmujących dobra gospodarcze, bo chociaż są nowe potrzeby, niema środków na ich pokrycie. Ponieważ wartość majątku zależy od wartości zapasów, przeto można powiedzieć, że wartość majątku wzrasta 1) gdy zapasy wolne nabierają wartości przez odpadnięcie dowolnego i darmego ich odnawiania, lub przez wzrost ilości odpowiednich im potrzeb; 2) gdy zapasy gospodarcze zwiększają swą wartość *a)* przez wzrost siły potrzeb od nich zależnych, *b)* przez wzrost ilości potrzeb, gdy istnieją dobra na ich zaspokojenie, *c)* przez wzrost ilości dóbr, gdy służą one niezaspokojonym dotąd potrzebom.

ROZDZIAŁ II.

DOCHÓD.

W gospodarstwie odróżniamy trzy rodzaje wzrostu majątku: przybytek, przychód i dochód. Przybytkiem nazywamy wszelki wzrost wartości, okazujący się w gospodarstwie danego podmiotu ekonomicznego, bez względu na przyczyny, którym zawdzięcza swe powstanie i bez względu na jego trwałość. Jedynem jego znamieniem jest wzrost wartości,

gdyby bowiem wartości nie posiadał (n. p. zwiększenie wyłącznie ilości dóbr), nie miałby dla gospodarstwa żadnego znaczenia. Przybytek przewidziany przez gospodarza, powtarzający się peryodycznie, nazywamy przychodem, jeżeli wzrost wartości zawdzięcza się tylko pewnej, ściśle oznaczonej części majątku (np. przychód z ziemi, z domu, z usług osobistych i t. d.); natomiast dochodem, jeżeli jest wypływem całej działalności gospodarczej, t. zn. jeżeli obejmuje cały przewidziany i peryodycznie powtarzający się wzrost majątku w pewnym okresie. Każdy dochód podobnie jak i przybytek musi powiększać obecny majątek, t. zn. musi tworzyć wzrost wartości, znajdujących się w danej chwili w posiadaniu pewnego podmiotu ekonomicznego, nie musi jednak przewyższać, ani nawet dorównywać wydatkom, poniesionym dla jego uzyskania. Wydatki te, jako uskutecznione przed jego powstaniem, nie wchodzą w rachubę; w chwili, gdy dochód się tworzy, majątek gospodarza zmniejszył się już o całą sumę kosztów, dochód przeto lub przybytek stanowią w każdym razie wzrost tego zmniejszonego majątku. Dochód musi być przewidziany przez gospodarza i tem różni się zasadniczo od przybytku, inaczej bowiem byłby tylko zyskiem przypadkowym, aleatorycznym, nie mógłby się peryodycznie powtarzać. Jak zawsze, tak i w tym wypadku, decydujące znaczenie ma nie sam fakt peryodycznego powtarzania się, lecz uznanie tego zjawiska przez gospodarza, t. zn. przeświadczenie, że ono ponownie zajść winno. Do pojęcia dochodu wystarcza sama nadzieja jego powtórzenia się, choćby potem zawiodła. Dochód musi reprezentować pewną wartość, nie można przeto nazywać dochodem samego powiększenia istniejącego zapasu dóbr, jeżeli niema równoczesnego wzrostu wartości. Tak zwany dochód naturalny jest

pojęciem, ze stanowiska ekonomii, najzupełniej błędnem. Dochód naturalny jest wzrostem ilości dóbr, nie baczy przeto na ich stosunek do człowieka, którego wyrazem jest wartość, stąd też nie może być uznany za pojęcie ekonomiczne. Nie można również uważać dochodu naturalnego, za zewnętrzną formę dochodu ekonomicznego, gdyż wzrost ilości nie zawsze idzie w parze z wzrostem wartości przedmiotów.

Możemy odróżnić kilka rodzajów dochodu. W pierwszej linii, podobnie jak w produkcyi, należy odróżnić dochód społeczny i dochód prywatny, w miarę tego, czy mamy do czynienia ze wzrostem majątku społecznego, czy tylko majątku prywatnego. Majątek społeczny może się zwiększyć przez zmianę rozdziału dóbr pomiędzy członków społeczeństwa, mianowicie, gdy zasoby mniej zamożnych zwiększą się skutkiem rozdziału majątków znaczniejszych (w tym wypadku minimalna korzyść zapasów będzie znaczniejszą, bo będzie zaspakajać ważniejsze potrzeby, np. co milioner używał w celach zbytkownych, to może ubogiemu służyć do utrzymania życia); albo też gdy dobra, pozostające w ręku bezczynnych lub nieudolnych, dostaną się gospodarzom lepszym — naodwrót może się zmniejszyć, gdy zajdą okoliczności wręcz przeciwne. Dlatego też dochód prywatny może tworzyć stratę dla społeczeństwa i naodwrót, dochód społeczny może być wypływem strat prywatnych. — Powtóre odróżniamy w dochodzie, tak społecznym jak i prywatnym, dochód surowy, czysty i wolny. Dochodem surowym nazywamy każdy peryodyczny i przewidziany wzrost majątku, bez względu na koszta, które spowodował; dochód czysty stanowi ta część wzrostu majątku, która pozostała po opłaceniu kosztów, poniesionych dla uzyskania dochodu; wreszcie dochód wolny jest tą częścią dochodu czy-

stego, która pozostaje po opłaceniu całego utrzymania gospodarza, a więc może być użyta do dalszej kapitalizacyi. Jeżeli powstanie dochodu nie spowodowało żadnych wydatków, wtedy naturalnie cały dochód jest czystym; jeżeli istniały pewne koszta, ogólny wzrost wartości tworzy tylko dochód surowy, który może zawierać w sobie dochód czysty, albo też nie zawiera go wcale. W gospodarstwie prywatnem chodzi przedewszystkiem o uzyskanie jak największego dochodu czystego; ogólna suma dochodów, zawierająca w sobie zarazem pokrycie kosztów, jest ilością najzupełniej obojętną. Mimo to jednak, ma ona ze stanowiska ogółu, bardzo doniosłe znaczenie, ponieważ bardzo często w części swej, nie tworzącej dla danego gospodarstwa dochodu czystego, zawiera rzeczywisty zysk innego gospodarstwa lub też całego społeczeństwa, gdyż koszta indywidualne mogą tworzyć czysty dochód dla innych podmiotów ekonomicznych.

ROZDZIAŁ III.

PRZYCZYNY POWSTANIA DOCHODU.

Jak to wynika z pojęcia dochodu, jest on specyalnie ukwalifikowanym wzrostem majątku; chcąc więc poznać przyczyny jego powstania, musimy zastanowić się nad czynnikami, które zwiększają majątek peryodycznie, za wiedzą gospodarza. Majątek zwiększa się pod wpływem albo wzrostu ilości dóbr, albo wzrostu ilości lub siły potrzeb, te więc tylko wypadki mogą wywołać dochód. Lecz dochód musi być wzrostem wartości peryodycznym i przewidzianym, stąd też niektóre przyczyny wzrostu majątku

wywołać go nie mogą. Mianowicie dochód nie może powstać ani wskutek jakiejkolwiek zmiany w potrzebach, ani też wskutek zmiany wartości zapasów wolnych.

1. Zmiana w potrzebach nie może być przyczyną dochodu, albowiem nie może się powtórzyć. Gdzie tylko nie możemy zaspokoić wszystkich potrzeb, tam w myśl gospodarności, musimy je ze sobą porównać, oznaczyć ich siłę i pokryć ważniejsze z pominięciem słabszych. Gdyby nasze życie, a przynajmniej świadomość o niem, ograniczało się do teraźniejszości, gospodarz miałby do czynienia tylko z potrzebami odczuwanemi w obecnej chwili, mógłby więc cały swój majątek między nie rozdzielić. Człowiek jednak jest istotą, która pragnie i spodziewa się dłuższego bytu, wskutek czego do potrzeb obecnych przyłączają się przyszłe. Prócz wszystkich potrzeb teraźniejszych, zna gospodarz i część przyszłych, umysł nasz bowiem posiada zawsze mniej lub więcej rozwiniętą zdolność przewidywania; zna tylko część z nich, podczas gdy reszta pozostaje zakrytą, gdyż nikt nie posiada daru dokładnego przedstawienia sobie przyszłości. Majątek winien zapewnić nam o ile możności jak największy dobrobyt, nie spełniłby zaś tego zadania, gdyby wyczerpano go na pokrycie potrzeb chwilowych, nie pozostawiając nic na przyszłość, stąd też oglądamy się także na przyszłe potrzeby i staramy się wyszukać środki na ich zaspokojenie. Jeżeli spodziewamy się, że z chwilą powstania nowych potrzeb, otrzymamy także służące im dobra, możemy zaspokoić całym majątkiem potrzeby dzisiejsze; jeżeli natomiast przypuszczamy, że zużywszy go dzisiaj, nie będziemy mieli z czego żyć jutro, porównujemy potrzeby przyszłe z teraźniejszemi i w miarę tego, czy jednym czy drugim przyznamy pierwszeństwo, przeznaczamy na ich pokrycie dobra,

które jednym i drugim służyć mogą. Jeżeli gospodarz uzna potrzeby przyszłe za ważniejsze od niektórych potrzeb dzisiejszych, wtedy wartość odpowiedniego im zapasu oznacza się według ich znaczenia, które oczywiście przewyższa stopień potrzeb teraźniejszych, inaczej bowiem pokrytoby te ostatnie, z pominięciem pierwszych. Wskutek tego wartość majątku normują obok potrzeb teraźniejszych, przewidziane potrzeby przyszłe, lecz przyszłość nie równa się teraźniejszości; dobra i potrzeby istniejące już dzisiaj, posiadają zawsze pewną przewagę nad takiemi samemi dobrami i potrzebami przyszłemi. Stąd też wartość majątku podnosi się z upływem czasu, mimo że oznaczamy ją z uwzględnieniem przewidzianych potrzeb przyszłych; oceniliśmy je bowiem według znaczenia, jakie posiadały wtedy, gdy należały jeszcze do przeszłości, a było ono mniejsze od rzeczywistego, które się objawiło dopiero teraz w całej swej pełni. Wskutek tego powstaje wzrost majątku, lecz nie ma on charakteru dochodu, nie może się bowiem powtórzyć. Przyszłe potrzeby domagają się na swe pokrycie dóbr, któreby równocześnie z nimi istniały, a więc dóbr przyszłych. Wprawdzie można przechować dla nich dobra, wchodzące już dzisiaj w skład majątku, otrzymują one jednak swą wartość od potrzeb, które się mają dopiero ukazać, mają więc charakter dóbr przyszłych [1]). Jeżeli posiada się je już dzisiaj, nie użyto ich tylko dlatego, że zdaniem pospodarza potrzeby przyszłe nadawały im wyższą wartość. Wskutek ubiegu czasu przyszłość staje się teraźniejszością, potrzebę dawniej tylko przewidzianą, uczuwamy już rzeczywiście. Potrzeba dotąd słaba, bo przyszła, nabiera, przez wejście w teraźniejszość, większej siły, ulega najważniejszej w ekonomii zmianie. Wskutek tego podniosła się wartość dobra, a więc i całego zapasu, gospodarz jednak może mówić tylko o przybytku, nie o dochodzie. Dobro zachowało swe naturalne właściwości, potrzeba, wszedłszy w teraźniejszość, nie może już uledz żadnym nowym zmianom; zaspokojona zniknie, niepokryta zatrzyma zawsze swój kształt obecny [1]). Od tej chwili wzrostu majątku już więcej nie zobaczymy, bo nie będzie zmiany ani co do dóbr, ani co do potrzeb, nie dojrzymy więc i dochodu, bo podniesienie się majątku powtórzyć się już nie może. Ilość potrzeb wpływa w niektórych wypadkach również na wzrost majątku, poprzednie jednak wywody zachowują i tutaj całą swoją siłę. Dobra obecne zatrzymuje się na pokrycie większej ilości potrzeb przyszłych w przypuszczeniu, że w ten sposób podniesie się wartość zapasu. W dniu, w którym spełni się ta nadzieja, należy rozrządzić majątkiem w myśl pierwotnego planu, gdyż dalsze jego przechowywanie nie miałoby celu. Stąd też i tutaj o powtórzeniu się tego przewidzianego wzrostu majątku, a więc i o dochodzie, nie może być mowy. Zmiana co do potrzeb może więc dać tylko przybytek; przewidując potrzeby przyszłe, eskontujemy je już obecnie; nie wiedząc o nich, nie możemy również spodziewać się dochodu, bo nie możemy go przewidzieć.

2. Zapasy wolne nie mogą dać dochodu. Dwa tylko zjawiska nadają wartość zapasom wol-

[1]) Patrz niżej str. 450—456.

[1]) Właściwie ukształtują się stosunki w następujący sposób. Potrzeby przewidziane muszą być pokryte, gdyż od chwili gdy wejdą w teraźniejszość, dalsze przechowywanie odpowiednich im środków nie miałoby celu. Może się jednak zdarzyć, że właśnie wtedy pozna gospodarz, że w przyszłości będzie miał jeszcze ważniejsze potrzeby. Zatrzyma więc dla nich swe dobra, lecz spowodowany tem wzrost ich wartości nie był poprzednio przewidziany, nie ma więc dochodu.

nym: zniknięcie ich nadmiaru i wzrost potrzeb, od nich zawisłych. Nadmiar dóbr wolnych wywołują pewne okoliczności pozytywne, mianowicie bezinteresowna reprodukcya, wykonana przez czynniki od gospodarza niezależne, np. przez przyrodę; ustaje on wskutek odpadnięcia tych okoliczności, a więc wartość powstaje w tym wypadku wskutek zniszczenia pewnych istniejących faktów. Powiększa ona majątek, lecz nie sprowadza dochodu, gdyż wzrost ten nie może się powtórzyć. Stworzyło go usunięcie pewnych konkretnych zjawisk, które wskutek tego zniknęły z widowni, zniszczyć więc ich powtórnie niepodobna. Nadanie wartości dobrom wolnym przez powstanie zależnych od nich potrzeb, nie wywołuje również dochodu, gdyż widzieliśmy, że zmiana w potrzebach nie może być jego przyczyną.

Wobec tego jedyną przyczyną powstania dochodu może być wzrost ilości dóbr, niezbędnych do zaspokojenia potrzeb. Otóż można zwiększyć ilościowo swój majątek w trojaki sposób: przez produkcyę, zamianę i przez pobieranie pożytków z dóbr trwałych. Produkcya i używanie dóbr trwałych mogą być przedsięwzięte w każdej organizacyi społecznej; wymiana zachodzi tylko w gospodarstwach wymiennych, jest niemożliwą w gospodarstwach izolowanych i w gospodarstwie całej ludzkości, która, jako taka, jest również izolowaną.

Produkcya podnosi bezwątpienia ilość dóbr, polega bowiem na zmianie ich właściwości naturalnych, tworzy więc nowe dobra, które powiększają istniejący już ich zapas; może się powtórzyć w następnym okresie, gdyż rezultaty jej mogą posłużyć do dalszej produkcyi, lecz świadomość zadania i celów produkcyi nie musi poprzedzać jej wytworów, ani też tkwić w umyśle samego wytwórcy. Produkcyę zobaczymy i wtedy, gdy świadomość ta powstanie

tylko w społeczeństwie i będzie równoczesną otrzymanym rezultatom, chociażby właściciel nowego dobra nie posiadał jej wcale. Dochód jednak jest ściśle związanym z osobą gospodarza; podmiot ekonomiczny musi o nim wiedzieć, co więcej, musi się go spodziewać, inaczej ukazać się nie może. Dziecko, które bawiąc się, wytworzy jakąś rzecz użyteczną, produkuje, gdyż zyskuje nowe dobro, nie ma jednak dochodu, bo nie działało w żadnym, z góry oznaczonym celu; przypadek zrządził, że zabawa, która mogła przeminąć bez żadnych skutków, wydała korzystne rezultaty; jest to wypadek, który nazywamy zwykle szczęściem, który może zapewnić pewien przybytek, dochodu jednak dać nie może, bo nie można się spodziewać jego ponowienia. Produkcya istniała, nie wywołała jednak dochodu. Nie są to zdarzenia wyjątkowe; każdy wynalazek przechodzi prawie zawsze te same koleje. Wynalazca, gdy nie działał w zamiarze odkrycia nieznanych dotąd rzeczy, mających znaczenie w gospodarstwie społecznem, gdy pracował np. w celach ściśle naukowych, produkuje, a mimo tego nie ma dochodu. Produkuje, bo jego praca jest wytwórczą; nie ma dochodu, bo nie spodziewał się swojego odkrycia. Wprawdzie wynalazek może mu w przyszłości przynieść znaczne dochody, lecz powodem ich będzie już tylko jego reprodukcya, którą się przedsięweźmie z pełną świadomością jego użyteczności; pierwsza jednak, najgłówniejsza czynność, może dać zawsze tylko przybytek. Z tych samych powodów nie daje dochodu produkcya, której wytwory są zupełnie bezużyteczne dla gospodarza, posiadają jednak dla społeczeństwa doniosłe znaczenie. Najlepiej widzimy to na wszystkich dobrach, których cena targowa nie opłaca kosztów transportu. Gospodarz nie mogąc ich użyć, nie nada im żadnej wartości, uzna pracę potrzebną do ich wytworzenia

za nieprodukcyjną, bo własny jego interes zabrania mu ich sprzedaży, gdyż transport na targ sprowadza wyższe wydatki od przypuszczalnej ceny; społeczeństwo zaś potrzebując tych dóbr, uzna sposób ich uzyskania za produkcyę. Produkcya jest pojęciem obszerniejszem, tylko jeden jej odłam może dochód wywołać. Dochód daje tylko produkcya, przedsięwzięta wskutek świadomości gospodarza, że w ten sposób uzyska wzrost ilości dóbr niezbędnych na zaspokojenie potrzeb, które z jego majątku mogą być pokryte.

Drugim powszechnym powodem dochodu jest pobieranie pożytków z dóbr trwałych. Dobra trwałe[1]) są niejako zbiorem pewnej ilości pożytków, wydają je jednak tylko kolejno, składając się jakby z pokładów, z których nie można pobrać niższego, bez zniszczenia wyższego. Każdy pożytek jest ciałem, które wymaga pewnej przestrzeni; póki ta nie jest wolną, nie może on się ukazać, a przestrzeń tę zajmuje jego poprzednik. Usunąć go możemy tylko przez zużycie, wskutek czego robimy miejsce jego następcom. Konsumcya zastępuje tu produkcyę i to tak długo, dopóki dobro nie straci całej swej zawartości, dopóki się nie zniszczy. Daje ona dochód, gdyż pozwala na zaspokojenie większej ilości potrzeb nowemi dobrami, które wprawdzie istniały w majątku, nie mogły być jednak użyte; jest świadomą czynnością ludzką, a powtarzać się może tak długo, jak długo istnieje jeszcze dane dobro niezużywalne. Mamy tu do czynienia ze zmianą ilości dóbr, służących potrzebom, które zależą od pożytków, a zwiększa się ich ilość, bo w miejsce straconego pożytku, a więc teoretycznie biorąc w próżnię, wchodzi

[1]) Patrz wyżej str. 83.

nowy.. Ma on wartość, bo służy niepokrytym potrzebom; jego zniszczenie przywoła do życia pożytek następny; wiemy o tem z góry, są więc wszystkie znamiona dochodu.

Wymiana stanowi trzeci czynnik powstania dochodu. Gospodarz może pozbyć swe dobra w zamian za inne i w ten sposób powiększyć potrzebne mu zapasy, a wzrost ich będzie dochodem, jeżeli jest przewidziany i może się powtórzyć. Wymiana może się powtórzyć i można się jej spodziewać, jeżeli dobra, ofiarowywane za przedmioty, które pragniemy nabyć, posiadają siłę wymienną, t. zn. jeżeli ich niezbędność do zaspokojenia potrzeb jest uznaną przez innych. Bezwartościowe pamiątki nie dają przez wymianę nigdy dochodu, nie można mieć bowiem nadziei, ze znajdzie się na nie kupca; może go nastręczyć tylko przypadek, a cena za nie uzyskana będzie zwykłym przybytkiem. Większość jednak dóbr posiada siłę wymienną, może więc zapewnić dochody, a na czele ich kroczy pieniądz, któremu wyłącznie ta siła nadaje przymiot źródła dochodu. Jako trzecią przeto przyczynę dochodu należy przytoczyć wymianę dóbr takich, których siła wymienna jest powszechnie uznaną.

Dochód jest tylko możliwym, nie koniecznym skutkiem powyższych zjawisk. Ani z produkcyą, ani z wymianą, ani z pobieraniem pożytków z dóbr trwałych nie łączy go żadna żelazna konieczność; wprawdzie gdzie niema tych przyczyn, niema i dochodu, lecz ich ukazanie się nie uprawnia jeszcze do wniosku, że dochód rzeczywiście istnieje, bo nie dostrzegamy zdolności do powtórzenia się w następnym okresie. Produkcya, wymiana i używanie dóbr trwałych, mogą wywołać dochód; odmiany ich, któreby się mogły powtórzyć, czerpiąc tę siłę same

z siebie, dałyby go rzeczywiście, bo odpadłaby jedyna różnica, dzieląca ich rezultaty od dochodu a wytwory miałyby wszelkie jego cechy. Takie odmiany istnieją faktycznie. Wszelkie czynności gospodarcze przedsiębierze się w nadziei jednorazowych lub kilkakrotnych korzyści. W pierwszym wypadku wytwór jest tylko przybytkiem, w drugim ma charakter dochodu. Gdyby gospodarz brał w rachubę tylko potrzeby dzisiejsze, mógłby się zadawalać przybytkiem, wystarczyłby on bowiem na zaspokojenie jego wymagań. Majątek jednak winien służyć wszystkim potrzebom, nietylko teraźniejszym lecz i przyszłym. Każda jego część zużyta obecnie, narusza jego wielkość, osłabia jego zdolność do pokrycia potrzeb późniejszych. Majątek używany, a nie odnawiany, ginie i odbiera gospodarzowi środki do dalszego życia. Interes osobisty nakazuje temu zapobiedz, dążyć do wypełnienia braków, spowodowanych konsumcyą. Jeden jest na to sposób: podzielić swój majątek na dwie części, z których jedna ma pokryć natychmiast potrzeby, druga posłużyć do odzyskania utraconych zapasów. Wzrost wartości części pierwszej nie może się nigdy powtórzyć, gdyż cokolwiek w niej się znajduje, niszczy się użyciem; część druga winna wynagradzać poniesione straty. Straty jednak są podwójne; z jednej strony należy odzyskać dobra zużyte na bezzwłoczne zaspokojenie potrzeb, z drugiej zaś przedmioty, które odnowiły część majątku przeznaczoną do konsumcyi i wskutek tego uległy pewnemu zniszczeniu. Częściowe tylko wynagrodzenie tych strat nie może wystarczyć, którekolwiek bowiem dobra znikną z majątku, zawsze pociągną za sobą gorsze zaspokojenie potrzeb, a więc zmniejszenie majątku. Zupełne pokrycie strat natomiast nastąpi tylko wtedy, gdy rezultat działalności tej części majątku, której używamy w celu odnawiania naszych zapasów, będzie posiadał wyż-

szą wartość od swych kosztów, prócz nich bowiem musi jeszcze zapełnić braki drugiej części. W takim razie powstanie dochód, bo wzrost wartości będzie się powtarzał, powstanie więc peryodyczność, której dotąd jeszcze nie było. Konieczny wzrost tej wartości może powstać w dwojaki sposób; przez upływ czasu — a w takim razie daje dochód czysty, o którym pomówimy poniżej — i przez włączenie w majątk wartości, które doń dotąd nie należały. Taką wartością jest praca ludzka. Twierdzenie, że praca nie będąc częścią majątku, nie może dawać dochodu, byłoby tak samo fałszywem, jak jego antyteza, która dowodzi, że dochód powstaje tylko przez pracę. Obie te teorye są skutkiem pomięszania pojęcia pracy z siłą do pracy. Siła do pracy nie wchodzi rzeczywiście w skład majątku, a stąd ani nie może go zwiększyć, ani też wywołać dochodu, jest bowiem przymiotem człowieka, który stoi nie obok, lecz ponad dobrami. Zupełnie inne stanowisko zajmuje jej objaw, praca rzeczywiście wykonana, czyli jak ją technicznie nazywamy, usługa. Jest ona dobrem, równem każdemu innemu, posiada wartość, może więc zwiększyć lub zmniejszyć stan majątku. Wskutek tego włączenie jej do majątku podnosi jego znaczenie, ponieważ zaś żadna z przyczyn dochodu bez pracy obejść się nie może, przeto każda zapewni swym wytworom wyższą wartość od ich kosztów, jeżeli zdoła w nie włożyć więcej niezbędnej pracy, niż jej posiadały poprzednio. Innemi słowy: gdzie strata dóbr da się zastąpić pracą ludzką, tam majątek będzie można zawsze odnawiać, tam przyczyny dochodu zapewnią go rzeczywiście. Tak więc dochód może powstać, gdy istnieje świadoma celów produkcya, wymiana lub pobieranie pożytków z dóbr prywatnych; powstanie rzeczywiście, gdy pod ich wpływem znajdzie się ta część majątku, która jest prze-

znaczona na jego odnawianie pod warunkiem, że wartość dóbr nowo uzyskanych przewyższy straty przez to poniesione. Nadwyżkę wartości daje upływ czasu lub niezbędna, a świeżo włączona usługa ludzka. Wskutek tego majątek dzieli się na konsumcyjny i zarobkowy, do którego należą zapasy, którymi go odnawiamy, a więc: 1) wszystkie dobra trwałe, gdyż sama ich konsumcya pozwala na ponowne ich użycie; 2) zapasy, które są dla gospodarza dobrami dalszego rzędu, jeżeli zapewniają mu więcej od siebie wartościowe wytwory, a więc dają albo czyste zyski, albo umożliwiają obszerniejsze spożytkowanie siły do pracy; 3) wreszcie usługi ludzkie. Krótko przeto można powiedzieć, że dochód daje majątek zarobkowy pod wpływem świadomej swych celów produkcyi, wymiany lub używania dóbr trwałych.

ROZDZIAŁ IV.

POWSTANIE DOCHODU CZYSTEGO.

Przyczyna dochodu czystego czyli powód, dla którego suma wytworów, otrzymanych zapomocą produkcyi lub zastępujących ją zjawisk ekonomicznych, t. j. zapomocą wymiany i używania dóbr trwałych, ma wyższą wartość, aniżeli dobra poświęcone dla ich pozyskania, nie była do ostatnich czasów dostatecznie zbadana. Dla wytworów, na których powstanie składały się czynniki, podpadające pod pojęcie pracy i kapitału, zadawalano się uwagą, że gdyby czystego dochodu nie było, znikłby wszelki interes produkcyi; dochód z ziemi wyjaśniano naturalnemi różnicami między poszczególnymi kawałkami gruntu

i jednakową wysokością cen targowych dla tych samych wytworów, bez względu na koszta ich produkcyi. Takie tłumaczenie pozostawia pytanie, dlaczego majątek zarobkowy daje dochód czysty, bez dostatecznej odpowiedzi, gdyż interes osobisty, który doprowadził do jego użycia w produkcyi i zamianie, jest skutkiem, a nie przyczyną dochodu. Pierwotnie wszystko było przedmiotem konsumcyi; dopiero przy rozwoju społeczeństwa, gdy spostrzeżono, że pewne rodzaje dóbr i pracy zapewniają wyższy dochód, a więc lepsze utrzymanie przy pośredniem niż przy bezpośredniem zużyciu, rzucono się do produkcyi i wymiany, ujrzano w nich bowiem większą korzyść. Interes został zaspokojony istnieniem dochodu, nie był jednak nigdy jego przyczyną, należy więc jej szukać gdzieindziej. Leży ona w czasie, który wpływa na wartość. W gospodarstwie wytwarza się pewien stosunek między teraźniejszością a przyszłością, polegający na tem, że w obecnej chwili staramy się o dobra, potrzebne nam na czas późniejszy. Potrzeby przyszłe wystawiamy sobie już dzisiaj i przeznaczamy lub wytwarzamy dobra na ich pokrycie. Są to więc dobra przyszłe, bez względu na to, czy się już dzisiaj znajdują w naszym majątku, czy też mają się tam ukazać dopiero później, albowiem służą zawsze tylko przyszłym potrzebom i od nich otrzymują swą wartość. Otóż wartość ich jest zawsze mniejsza od wartości dóbr teraźniejszych tego samego rodzaju. Oto powody tego zjawiska.

Człowiek ma dar wystawiania sobie potrzeb przyszłych i porównywania ich tak między sobą, jak i z potrzebami, odczuwanemi obecnie. Lecz nietylko z potrzebami przyszłemi mamy ciągle do czynienia, spotykamy się również z dobrami, które mają służyć na ich pokrycie. Ogromna większość naszych

zapasów należy do tego rodzaju przedmiotów; wszystkie dobra dalszego rzędu wydają swe wytwory dopiero w przyszłości, trwałe dobra pierwszego rzędu zaspokajają wymagania dzisiejsze tylko małą cząstką swych pożytków, większa część ich usług da się użyć dopiero później; nawet zużywalne środki konsumcyi przechowuje się, chociaż już gotowe, na przyszłość, a tylko nieznaczną część spożywa się natychmiast. Oczywistą jest rzeczą, że gdy można ocenić znaczenie potrzeb przyszłych, można także oznaczyć i porównać wartość dóbr przyszłych. Normuje ją, jak wszędzie, ich minimalna korzyść, lecz naturalnie korzyść przyszła, gdyż mogą służyć tylko przyszłym potrzebom. Korzyść tę uważamy z reguły za niższą od korzyści dóbr teraźniejszych, dlatego też wartość subjektywna, a za nią i jej wypadkowa, wartość zamienna dóbr przyszłych, jest w zasadzie mniejszą od wartości takich samych dóbr teraźniejszych. Trzy przyczyny składają się na ten rezultat: odmienność stosunku między potrzebami a pokryciem w różnych czasach, systematyczne subjektywne obniżanie znaczenia dóbr i potrzeb przyszłych, wreszcie fakt, że dobra teraźniejsze zawsze zaspokajają lepiej potrzeby niż dobra przyszłe. Pierwszy powód sprawia, że wszyscy, którzy znajdują się w chwilowym niedostatku, jakoteż osoby, których byt ma się polepszyć w przyszłości, dają pierwszeństwo potrzebom i środkom dzisiejszym, przed potrzebami i dobrami późniejszemi. Wprawdzie zdarzają i stosunki odwrotne, gdzie położenie gospodarza z każdym rokiem się pogarsza, lecz i tutaj mają dobra dzisiejsze przewagę nad przyszłemi, gdyż można je tak zużyć, jak i przechować. W najgorszym więc razie, gdy przyszła minimalna korzyść odniesie zwycięstwo nad możliwem użyciem wcześniejszem,

dobro obecne będzie miało tę samą wartość co dobro przyszłe; jeżeli zaś jest tylko możliwem, że w międzyczasie zajdzie potrzeba o większem znaczeniu, wartość dobra teraźniejszego podniesie się o wysokość tego prawdopodobieństwa i przewyższy o tyle wartość dóbr przyszłych. Jedyny wyjątek widzimy w wypadkach stosunkowo rzadkich, gdy dóbr teraźniejszych niepodobna przechować na przyszłość, np. gdy podlegają zepsuciu. — Trudniej jest oznaczyć powody, wywołujące subjektywne obniżenie znaczenia dóbr i potrzeb przyszłych, chociaż prawdziwość tego twierdzenia nie ulega wątpliwości. Główną przyczyną tego jest niepewność naszego życia, która działa bezpośrednio u osób w podeszłym wieku, lub znajdujących się w wielkiem niebezpieczeństwie, jako też we wszystkich wypadkach, w których dobra lub potrzeby leżą w bardzo odległej przyszłości; pośrednio zaś obniża wartość wszystkich rzeczy przyszłych, gdyż wymiana nie pozwala na skoki w cenach, stara się je wyrównać, rozdziela na cały czasokres. Prócz tego występuje tu słabość naszego umysłu, która nie dozwala nam dokładnie ocenić przyszłości i słabość woli, wskutek czego niechętnie tylko zrzekamy się przyjemności natychmiastowych dla potrzeb przyszłych, chociażby znacznie ważniejszych. Wszystko to działa rozmaicie u różnych osób, zawsze jednak obniża wartość rzeczy przyszłych, ukazuje je nam w zmniejszeniu, niejako w perspektywie. — Trzecia wreszcie przyczyna niższej wartości dóbr przyszłych, wyższa zdolność dóbr już istniejących do pokrycia potrzeb, wpływa bezpośrednio na środki produkcyi, pośrednio na wszystkie inne dobra. Z doświadczenia wiemy, że im dłuższą obierzemy metodę produkcyi, tem więcej otrzymamy wytworów. Polega to na tem, że dłuższą, pośrednią produkcyą, pokonywamy potężniejsze siły przyrody, które mogą większe oddawać

usługi. Ponieważ dzisiejsze dobra dalszego rzędu dadzą się użyć do odleglejszej produkcyi, przeto otrzymujemy przy ich pomocy zawsze większą ilość wytworów. Wprawdzie większa ilość dóbr nie pociąga za sobą wyższej ich wartości, w każdym jednak razie więcej dóbr tego samego rodzaju posiada w tym samym czasie większe znaczenie, niż mniejsza ich ilość. Stąd otrzymują teraźniejsze środki produkcyi przewagę nad przyszłymi. Lecz posiadanie dóbr, służących bezpośrednio konsumcyi, decyduje o tem, czy możemy użyć dóbr dalszego rzędu do bliższej lub dalszej produkcyi; im większą rozporządzamy ilością środków do życia, tem dłużej możemy czekać na skutki wytwórczej działalności, tem odleglejszą możemy zastosować metodę, a tem samem uzyskać większą ilość wytworów. Wskutek tego posiadają obecne dobra spożywcze, jako podnoszące wartość środków produkcyi, wyższość nad dobrami przyszłemi, techniczna przeto przewaga teraźniejszości nadaje wyższą wartość wszystkim dobrom, dziś już istniejącym.

Dwie pierwsze przyczyny działają inaczej niż ostatnia. Tamte popierają się wzajemnie, ta daje zawsze pierwszeństwo temu momentowi, który zapewnia dobrom teraźniejszym większą przewagę. Kto znajdując się dziś w niedostatku, albo też spodziewając się w przyszłości polepszenia swego bytu, nadaje dobrom przyszłym mniejszą wartość, obniży ją jeszcze bardziej wskutek stosunkowo małego znaczenia, jakie przypisuje przyszłości; kto dobra obecne stawia na równi z przyszłemi, zmieni to zdanie na korzyść teraźniejszości dla tego samego powodu. Wyższa użyteczność dóbr teraźniejszych wywołuje odmienne skutki. Subjektywne zmniejszenie wartości dóbr przyszłych nie może podnieść ażia na dobra obecne, gdyż produkcya pracuje na przyszłość, wytwory jej podlegają więc same tej obniżce. Nie wpływa tu również stosunek między potrzebami a ich pokryciem, niepodobna bowiem danego zapasu dóbr użyć równocześnie do produkcyi przyszłej i zaspokojenia potrzeb dzisiejszych, nie można więc dobru teraźniejszemu nadawać znaczenia, równającego się sumie dwóch użytków, których razem otrzymać nie można. Za to jednak wyższość techniczna sprawia, że nawet tam, gdzie dobra przyszłe nie straciłyby nic ze swej wartości, gdzie więc gospodarz jest zamożny i zapobiegliwy, tracą one na znaczeniu, gdyż przy pomocy dóbr dzisiejszych może on pracować lepiej, niż używając dóbr przyszłych. Wyższość długotrwałej produkcyi, ukazując prócz tego gospodarzom znaczne zyski, zniewala ich do poprzestania na zaspokojeniu potrzeb stosunkowo wyższych i użycia reszty swego majątku w produkcyi, podnosi więc minimalną korzyść dóbr teraźniejszych, a zatem i ich przewagę nad przedmiotami przyszłymi. W ten sposób uogólnia się wyższość wartości rzeczy dzisiejszych nad wartością dóbr przyszłych; bogaty i oszczędny daje pierwszeństwo teraźniejszości, bo mu pozwala na lepsze zużytkowanie majątku; biedny i nieopatrzny postępuje tak samo, gdyż nie umie lub nie może przechować swych zapasów, starać się o swe potrzeby przyszłe. Wartość subjektywna jednak decyduje o wartości objektywnej zamiennej, stąd też i cena dóbr teraźniejszych będzie wyższa od ceny dóbr przyszłych. Różnice zastosują się do odległości rzeczy przyszłych od obecnej chwili, gdyż wszelkie nierówności wyzyskałaby natychmiast spekulacya, zakupując kolejno za dobra dzisiejsze przedmioty im najbliższe i sprowadzając w ten sposób jednolitą skalę zniżki wartości. Wskutek tego różnice przenoszą się z właściwych swych przyczyn na odległość w czasie, tak, że wysokość zmniejszenia

wartości dóbr przyszłych stoi w prostym stosunku do czasu, o jaki odbiegają one od teraźniejszości.

Właśnie to zjawisko wywołuje powstanie czystego dochodu.

Wytwory dotąd nieskończone, albo też nieprzydatne lub niepotrzebne jeszcze do konsumcyi, oceniamy ze względu na znaczenie potrzeb przyszłych, do których zaspokojenia będą one niezbędne, a więc nadajemy im wartość zmniejszoną. Majątek zarobkowy oceniamy według wartości wytworów, które on nam dać może, ponieważ zaś są one dzisiaj, jako dobra przyszłe, mniej niezbędne, więc i dobra, użyte do ich uzyskania, będą w teraźniejszości mniej warte od sumy swych wytworów przyszłych; chociaż bowiem, przyrodniczo biorąc, są one dobrami teraźniejszemi, jednakże przybierają wartość tylko ze względu na swe późniejsze zyski, są więc ze stanowiska ekonomii dobrami przyszłemi. Źródła dochodów ponoszą, wskutek swej działalności wytwórczej, pewne koszta, które muszą być powetowane wartością ich rezultatów; ponieważ jednak koszta te są teraźniejsze, musi je więc pokryć teraźniejsza wartość wytworów. Wartość ta jest jednak niższą od rzeczywistej, gdyż wytwór jest dobrem przyszłem, koszta więc produkcyi są pokryte wartością pozorną, mniejszą od faktycznej. Z chwilą, gdy wytwory staną się dobrami teraźniejszemi, gdy nabiorą charakteru dóbr pierwszego rzędu, wartość ich się podniesie, a tem samem pozostanie po pokryciu kosztów pewna reszta, pewna nadwyżka, tworząca czysty dochód.

Dochód ten powstaje więc wyłącznie wskutek wpływu czasu, który jest jedyną jego przyczyną.

ROZDZIAŁ V.

UDZIAŁ RÓŻNYCH WARSTW W DOCHODZIE SPOŁECZNYM.

Rozdział dochodów winien nastąpić według ich źródła, t. j. według czynników, którym dochód zawdzięcza swe powstanie. Źródłem dochodów jest majątek zarobkowy, każda więc jego część winna otrzymać odpowiedni swym zasługom udział w dochodach. Ponieważ w majątku zarobkowym mieszczą się dobra, których dostarcza przyroda i usługi, powstające dzięki pracy ludzkiej, przeto ogólny dochód należy rozdzielić między dwa te czynniki: część oddać przyrodzie, a raczej tym, którzy w danym wypadku nią rozporządzali, t. zn. właścicielom dóbr gospodarczych, a część pracy ludzkiej, t. zn, tym, którzy ją wykonali. Ponieważ w zwyczajnem życiu do majątku wliczamy tylko dobra z pominięciem usług, przeto dzielimy dochody na rentę majątkową, wynagradzającą przyrodę i dochód z pracy, opłacający usługi ludzkie. Każdy z tych obu rodzajów dochodu rozpada się na dwie części. Natura działa w majątku zarobkowym w kształcie pierwotnym, t. j. jako ziemia wraz ze swemi siłami, albo też w kształcie przerobionym na kapitał. Wskutek tego dzielimy rentę majątkową na dochód, przeznaczony dla ziemi, zwany rentą gruntową i na dochód, idący na rzecz kapitałów, zwany procentem. Podobnie i praca ludzka może przybrać dwie odmienne formy, wystąpić jako praca samoistna, zużywana we własnem gospodarstwie, albo też zależna, wykonywana na rachunek innych osób, które ją wynagradzają. Otóż dochód, powstający z pracy samoistnej, nazywamy zyskiem przedsiębior-

cy, dochód, płynący z pracy zależnej, wynagrodzeniem czyli płacą.

Jeżeli rozejrzymy się wokoło i zbadamy, w jaki sposób ludzie żyją i skąd czerpią swe dochody, nie będziemy mogli na pierwszy rzut oka rozeznać się w ich różnorodnych i powikłanych stosunkach. A przecież łatwo rozróżnić pięć wielkich warstw w obrębie społeczeństwa, których znamiona są dość wybitne.

1) Włościanie-właściciele, rękodzielnicy, kramarze posiadają narzędzia pracy — ziemię lub kapitał — które zużytkowują przez swą własną, osobistą pracę. Niestety niema dla nich osobnej nazwy w słowniku ekonomicznym. Ponieważ ich znamieniem jest praca osobista a niezawisła, przeto nazwiemy ich wytwórcami samoistnymi. Również niema osobnej nazwy na oznaczenie właściwego im dochodu, który pobierają [1]).

2) Drudzy posiadają ziemię lub kapitały w ilości tak wielkiej, że nie wystarcza im ich osobista praca, tak, że są zmuszeni używać pracy innych ludzi. W nauce utarła się dla nich nazwa przedsiębiorców, a dochód, który im przypada w udziale, nazywa się zyskiem przedsiębiorcy.

3) Inni, zwykli proletaryusze, których jedynym majątkiem jest siła do pracy, muszą pracować w usługach kapitalistów lub właścicieli i od nich otrzymywać narzędzia, nieodzownie potrzebne do produkcyi. Zazwyczaj nazywamy ich zarobkującymi, lub mniej dokładnie robotnikami. Udział, który na nich przypada, nazywamy płacą [2]).

[1]) Do tej warstwy zaliczyć można zawody, zwane liberalnymi, np. adwokatów, artystów, lekarzy i t. d. Ludzie ci żyją ze swej pracy osobistej, sprzedając swe usługi wprost publiczności i posiadają zwykle kapitał, potrzebny do wykonywania swego zawodu. Dochody ich określamy nazwą honorarya.

[2]) Możnaby tutaj zaliczyć wszystkich urzędników, którzy pobierają płacę od związków publicznych. W każdym razie, ponieważ są w służbie nie jednostek, lecz społeczeństwa, którego są obywatelami, stanowisko ich różni się zasadniczo, prawnie i faktycznie od stanowiska robotników. Bezsprzecznie trzeba także zaliczyć do tej klasy wszystkich tych, którzy poświęcają swe usługi pewnym osobom, czyli t. zw. służbę domową.

4) Inni znów nic nie robią i żyją z dochodów peryodycznych, płynących z pewnego źródła, jak z ziemi, domu lub kapitału, w postaci czynszu dzierżawnego, wynagrodzenia za najem, procentu lub dywidendy. Nazywamy ich kapitalistami.

5) Poza temi wielkiemi warstwami znajduje się jeszcze jedna, której, choć ukryta jest w cieniu, nie powinniśmy pominąć. Są to ci wszyscy, którzy nie żyją ani z pracy, bo nic nie robią, ani z kapitałów, bo ich nie mają, lecz z dobroczynności publicznej lub prywatnej. Są to ubodzy, a dochodem ich jest jałmużna [1]).

Pierwsza i trzecia warstwa tworzy we wszystkich krajach znaczną większość, trzy inne są zawsze w mniejszości [2]).

[1]) Wywoła może pewne zdziwienie brak jeszcze jednej warstwy, t. j. właścicieli ziemskich, niema jednak żadnego powodu tworzyć z nich odrębnej warstwy. Włościanin-właściciel jest wytwórcą samoistnym; właściciel, który używa cudzej pracy, jest przedsiębiorcą, a właściciel, wydzierżawiający swe dobra, kapitalistą. Wprost przeciwne wszelkiemu naukowemu podziałowi jest łączenie w jedną warstwę, jak to się zazwyczaj dzieje, tak różnorodnych stanowisk społecznych.

[2]) Często twierdzą, że dziś już niema klas; lepiejby było zadowolnić się skromniejszem powiedzeniem, że dziś już niema kast, a jest to prawdą z dwóch powodów:

a) Ponieważ niema prawnej przeszkody, wzbraniającej jednostce przejść z jednej warstwy do drugiej; to też nie brak ludzi, którzy wznieśli się ze stanowiska robotnika na stanowisko samoistnego wytwórcy, przedsiębiorcy lub nawet kapitalisty; również nie brak takich, którzy zeszli w szeregi ubogich.

b) Ponieważ ta sama osoba może równocześnie należeć do kilku warstw, a jest to nawet objawem bardzo częstym. Wielu małych wytwórców, prawie wszyscy przedsiębiorcy, a nawet pewna

ROZDZIAŁ VI.

ZASADY ROZDZIAŁU DOCHODÓW, DZISIAJ ISTNIEJĄCE.

I.

Sposób, w jaki odbywa się obecnie rozdział dóbr.

Gdyby wszyscy żyli w gospodarstwie izolowanem, jak Robinson na swej wyspie, każdy zatrzymywałby dla siebie dobro, które wyrobił, a tem samem nie byłoby wogóle problematu rozdziału. Zasada, każdemu jego wytwór, *suum cuique*, panowałaby siłą rzeczy.

Jednakże podobny ustrój, wykluczający podział pracy i wymianę, uniemożliwia wszelkie życie społeczne. Nie było go nigdy nawet u dzikich, żyjących z myśliwstwa i rybołówstwa. A jak nieprzyjemnie bylibyśmy zdziwieni, gdyby przypadkiem chciano go zastosować w naszych społeczeństwach, gdyby powiedziano szewcom lub piekarzom: wyrobiliście tyle par obuwia czy tyle bochenków chleba, zatrzymajcie je dla siebie, są one waszym udziałem!

We wszystkich społeczeństwach cywilizowanych każda jednostka wrzuca bezustannie w strumień obrotu różne wartości, sprzedając swe towary lub wynajmując swe usługi, a w zamian za nie wyławia ciągle inne

liczba zarobkujących, posiada więcej lub mniej papierów wartościowych, jak obligacyi, rent lub akcyi, należy tedy po części przynajmniej do warstwy kapitalistów. Część robotników skutkiem pobierania zapomóg od towarzystw dobroczynności, należy do warstwy ubogich. Właśnie to pomięszanie źródeł dochodu jest powodem, że nie mamy statystyki różnorodnych warstw, uczestniczących w rozdziale dochodu społecznego.

wartości, w kształcie dochodów wszelkiego rodzaju. Każdy ofiarowuje na targu to, co posiada — rolnik płody ziemi, właściciel domu mieszkania, kapitalista pieniądze lub kapitały, fabrykant swe wyroby, robotnik swą pracę. Każdy stara się oczywiście sprzedać swe dobra lub usługi jak najlepiej, lecz nie zależy to od niego, bo cenę reguluje prawo podaży i popytu, będzie więc wyższą lub niższą w miarę tego, czy towar służy silniejszym lub słabszym potrzebom odbiorców. Wskutek tego cenę naszych wytworów i usług ustanawia konsument, a ta cena właśnie tworzy nasz dochód, w kształcie płacy, honoraryum, czynszu najmu i dzierżawy, procentu lub zysku przedsiębiorcy.

Cała więc kwestya podziału sprowadza się do pytania, czy każdy z ogólnej masy przedmiotów gospodarczych odbiera wartość równą tej, którą tam włożył.

Szkoła liberalna daje tu odpowiedź twierdzącą. Prawo podaży i popytu, powiada ona, które określa wysokość wartości, zapewnia właśnie każdemu udział równy tej wartości, którą sam dostarczył i tem pewniej, że wymiar odbywa się zupełnie bezstronnie drogą wymiany targowej, t. zn. na mocy wolnej umowy. Czyż nie jest to zgodne z interesem społecznym, a nawet ze sprawiedliwością, że dobra i usługi posiadają tem większą wartość im są rzadsze i im silniejszym odpowiadają pragnieniom, a więc im bardziej piekące zaspokajają potrzeby społeczne? Twierdzić, że każdy otrzymuje dochody, odpowiadające wartości dobra lub pracy, których dostarczył, znaczy innemi słowy, że przypadająca na niego część dóbr społecznych odpowiada sumie pożytku społecznego, którą przysporzył, czyli usługom, które oddał społeczeństwu.

Zresztą wolna konkurencya zakreśla wszelkim nierównościom bardzo ciasne granice. Działa ona zawsze w kierunku usuwania niesprawiedliwości, które podobny

ustrój mógłby wywołać. Jeżeli bowiem pewne dobra lub usługi osiągną cenę nadmierną, pojawia się natychmiast cały tłum rywali, pragnących również na tem skorzystać, którzy przez pomnożenie ilości tych towarów czy usług, a więc przez zwiększenie podaży, sprowadzają ceny do poziomu kosztów produkcyi. Ostatecznie wartość okazuje tendencyę ku przystosowaniu się do poczynionych wydatków i poniesionego trudu — czyż można więc wynaleźć lepszą zasadę rozdziału?

W ten sposób wyjaśniają i usprawiedliwiają ekonomiści liberalni panującą dziś zasadę rozdziału. Wyjaśnienie to odpowiada istotnie rzeczywistości, lecz nie można bynajmniej uważać podobnego ustroju za zgodny ze sprawiedliwością. Niewątpliwie system ten posiada, ze stanowiska praktyki, tę wielką wyższość nad wszystkimi innymi, które możnaby wymyślić, że działa sam przez się, automatycznie. Prawo podaży i popytu uwalnia władzę od obowiązku jakiejkolwiek ingerencyi; każdy bierze sobie sam, co mu się należy, ustawodawca więc nie potrzebuje przeprowadzać rozdziału, wystarczy gdy niedopuszcza, aby ktoś zabrał część cudzą. Jednakże należy pamiętać, że jeżeli prawo podaży i popytu działa samo przez się, to tylko dlatego, że je raz wprowadzono w ruch, t. zn. że stworzono własność indywidualną wraz ze wszystkiemi jej konsekwencyami, czynszem, rentą, procentem i t. d. Do tego jednak niezbędną była zdobycz, władza królewska i stanowa, setki rewolucyi ludowych i tysiące ustaw, wypracowanych przez prawników. I prawdę mówiąc, tę pracę prowadzi się ciągle bez przerwy, tak, że w istocie trudnoby było znaleźć cośkolwiek z tego systemu, rzekomo przyrodzonego po pod naszą organizacyą gospodarczą.

Z drugiej strony, jakżeż jest z tą ową doktryną o równomierności wkładów i dochodów? Wartość mierzy się, jak wiemy, prawem krańcowej użyteczności, więc prawem naturalnem, tak samo nie mającem nic wspólnego ze sprawiedliwością i etyką, jak n. p. prawo ciężkości. Gdyby — jak to tendencyjnie twierdzą dla usprawiedliwienia indywidualistycznego rozdziału — praca była miernikiem wartości, rozumowanie ich byłoby słusznem. Byłoby niem i wówczas, gdyby tym miernikiem był pożytek społeczny w zwykłem tego słowa znaczeniu, to znaczy, gdyby podstawą wartości dóbr był ich rzeczywisty współudział w produkcyi społecznej, ale tak nie jest.

Przykład wyjaśni to lepiej. Oto górnik, który dostaje 4 franki dziennie za wydobywanie węgla i śpiewaczka, której płacą 4000 fr. za jeden występ w teatrze. Na zapytanie, dlaczego pierwszemu, który wytwarza »chleb przemysłu«, płacą tysiąc razy mniej niż drugiej, sprawiającej tylko przelotną przyjemność kilku dyletantom, szkoła Bastiata odpowie nam śmiało: »albowiem ona oddaje społeczeństwu usługę tysiąc razy większą, niż ów górnik... a dowodem tego jest gotowość społeczeństwa zapłacenia jej tysiąc razy więcej niż jemu. Społeczeństwo może się mylić, ale my nie możemy inaczej oznaczyć wartości oddanych usług, jak ceną, którą im społeczeństwo przyzna na targu« [1]).

Któż nie widzi, że to tylko rodzaj gry słów odnośnie do wyrazu usługa? Jeśli śpiewaczce płacą daleko więcej niż górnikowi, nie wypływa z tego bynajmniej, żeby współudział jej w pracy społecznej był użyteczniejszy, lub żeby rodzaj zadowolenia, które może wywołać, odpowiadał silniejszym potrzebom ludzi w ogóle; to dowodzi tylko, że odpowiada pragnieniom małej liczby ludzi bogatych. Dowodzi także, że łatwiej znaleźć górników niż śpiewaczki, mające gardło w odpowiedni sposób ukształtowane.

Może ktoś powie, że nasz przykład jest wyjątkowym,

[1]) Może nie od rzeczy będzie przypomnieć odpowiedź pewnej śpiewaczki z czasów Katarzyny. Cesarzowa wyraziła swe niezadowolenie, że śpiewaczka żąda większej zapłaty, niż jej marszałkowie i usłyszała radę: »niech pani każe śpiewać swym marszałkom«.

gdyż prawo wartości działa tu ze względu na monopoliczny charakter takich nadzwyczajnych przymiotów osobistych. Z reguły jednak, powiadają, konkurencya wystarcza, ażeby wartość wszystkich wytworów i usług podnieść do pewnej średniej miary, która mniej więcej odpowiada zasługom każdego około społecznego dobra.

Na to optymistyczne przedstawienie rzeczy możemy jednak odpowiedzieć:

1) Konkurencya działa bardzo nierówno, a regułą jest raczej monopol. Przykład nasz da się *mutatis mutandis* zastosować w niezliczonych przypadkach. Każdy korzysta z jakiegość monopolu faktycznego, czy to wskutek swego majątku, czy też stanowiska społecznego, właściwości fizycznych lub umysłowych, miejsca lub pozycyi, którą zajmuje i t. p., a każdy monopol może być źródłem znacznych dochodów.

2) Nawet tam, gdzie działa konkurencya, wynagrodzenie może być bardzo nierówne wskutek pojawienia się renty. Z dwóch rolników, którzy wyłożyli zupełnie ten sam trud i którzy przyniosą na targ worki zboża zupełnie tego samego gatunku, a więc najdokładniej równe ze stanowiska pożytku społecznego, jeden uzyska znacznie wyższą rentę niż drugi, a renta zdarza się wszędzie.

3) W końcu tłumacząc jak najlepiej dla optymistów zasadę »każdemu wartość jego wytworów i usług«, należy się zapytać, dlaczego w naszym ustroju istnieją osoby, produkujące wytwory lub oddające usługi bardzo wysokiej wartości, li tylko dzięki swemu położeniu. Gdy angielski lord, właściciel wielkich obszarów w Londynie, pozwala przedsiębiorcom budować na nich domy, zastrzegając sobie wynagrodzenie za najem, podwyższane nadto przy każdem odnowieniu dzierżawy, z powodu zwyżki czynszów, to łatwo zrozumieć, że wynagrodzenie jego, które dosięga może kilku milionów funtów szterlingów, opiera się na przyrodzonem prawie podaży i popytu; lecz znacznie trudniej jest zrozumieć, w czem to wynagrodzenie stosuje się do oddanych usług. Ale nawet uważając za usługę pozwolenie zamieszkania na swej ziemi, niepodobna zdać sobie sprawy, z jakiej słusznej lub społeczeństwu pożytecznej przyczyny otrzymał szlachetny lord przywilej oddawania usług, tak drogo opłacanych, swym bliźnim. Przyczyną tego jest własność indywidualna.

W istocie osoby, które przybywają na targ ze swemi dobrami i usługami, nie stają do wymiany w równych warunkach, lecz wręcz przeciwnie, położenie ich jest nader nierówne, a zależy nie tyle od ich właściwości osobistych, ile raczej od posiadania środków produkcyi, więcej lub mniej potężnych. Jak ogromna zachodzi różnica pomiędzy wyrobnikiem, który chce wynająć swą pracę, t. zn. siłę znajdującą się w obfitości, a tem samem posiadającą małą wartość — a fabrykantem, rozporządzającym maszynami o sile tysięcy koni, kapitalistą, przynoszącym worki złota, lub właścicielem ziemi, ofiarowującym grunt, niezbędny do życia! Niewątpliwie oddają oni ogromne usługi, bo dostarczanie niezbędnych środków do produkcyi lub koniecznego mieszkania jest istotnie nieocenioną usługą. Lecz mogą oddać te usługi tylko dlatego, że są właścicielami.

Jasną przeto jest rzeczą, że nierówność uzyskanego wynagrodzenia jest przedewszystkiem wynikiem nierównych wkładów. O rozdziale dochodów zadecydowało już z góry zawłaszczenie ziemi i kapitałów. Dlaczegoż więc pewne jednostki przychodzą na targ, a nawet i na świat w tak korzystnych warunkach, pewne lwiej części w dochodach? Kto ich tak wyposażył? Czy zawdzięczają to własnej pracy, prawu czy przemocy? Oto są pytania, które teraz wypada rozpatrzeć.

II.

Nabycie własności.

Jak widzieliśmy w poprzednim ustępie, prawo własności osobistej jest główną sprężyną całego systemu rozdziału dochodów w cywilizowanych społeczeństwach. Prawo to wprawia w ruch wszystko, musimy przeto dowiedzieć się, na czem ono polega.

Ekonomiści ze szkoły Bastiata upatrują źródło własności w pracy, prawo własności jest prawem do wytworu własnej pracy. Człowiek jest właścicielem rzeczy, które wytworzył własną działalnością i które są do pewnego stopnia rozszerzeniem jego osobistości. Lecz ktoby w praktyce chciał zastosować to kryteryum, naraziłby się na przykre rozczarowanie. Zróbmy inwentarz naszej ojcowizny! Czyż dom ten jest wytworem naszej pracy? Nie, to majątek rodzinny. Las, łąki czyż są wytworem naszej pracy? Nie, one wogóle nie powstały z pracy. A więc może towary, napełniające nasze magazyny, lub zboże w spichlerzach zawdzięczamy swej pracy? Nie, to wytwór pracy naszych robotników lub dzierżawców. A więc?

Prawnicy są ostrożniejsi i ściślejsi. Prawo własności określają jego właściwościami, nie wchodząc bynajmniej w jego usprawiedliwienie; dla nich własność jest prawem właściciela wyłącznego rozporządzania rzeczą z wykluczeniem każdej innej osoby. Godnem jest uwagi, że ani kodeks napoleoński, pochodzący przecież z czasów rewolucyi, ani tem mniej prawo rzymskie nie wspominają o pracy w definicyach własności. Co więcej, nie wymieniają pracy pomiędzy licznymi sposobami nabycia własności, które wyszczególniają. Jasnem jest, że w starożytności praca nie mogła służyć do nabycia własności, była bowiem niemal wyłącznie niewolniczą, t. zn. pracownik był sam własnością swego pana. Lecz i dzisiaj praca sama przez się najczęściej nie zapewnia robotnikowi własności, gdyż istotną cechą umowy o pracę jest właśnie brak wszelkiego prawa do wytworu po stronie płatnego robotnika. Własność wytworu nabywa pracodawca, t. j. ten który nabywa pracę. A nawet wtedy, gdy samoistny wytwórca, jak drobny rolnik lub rzemieślnik, jest właścicielem swego wytworu, prawo własności nie powstaje dlatego, że wytwór jest rezultatem jego pracy, lecz jest tylko skutkiem jego prawa własności do ziemi i surowców, które rozciąga się zarazem na ich owoce.

Jakież więc są sposoby nabycia własności? Najważniejsze są kupno, darowizna, legaty i dziedziczenie, należy jednak zauważyć, że są to wszystko sposoby nabycia pochodne, polegające na przeniesieniu własności, z woli poprzedniego właściciela lub z mocy ustawy, a więc przypuszczają już z góry istnienie własności. Dla nas najważniejsze jest pytanie, jak własność utworzyła się wogóle, t. zn. jakie są pierwotne sposoby jej powstania. Prawnicy odróżniają trzy rodzaje powstania własności, wszystkie jednak dadzą się sprowadzić do jednej ogólnej przyczyny, do posiadania.

Zawłaszczenie uchodzi przedewszystkiem za pierwotne źródło prawa własności. Słusznie też mówi Graham-Sumner [1]): »Zawłaszczenie poprzedza logicznie i historycznie wszelką produkcyę... Ludy pierwotne uważają posiadanie za najlepszy tytuł własności. Pierwszeństwo zawłaszczenia jest jedynym tytułem, który można przenieść ponad prawo silniejszego«. W istocie, zawłaszczenie stanowi postęp w porównaniu z prawem zdobyczy i stoi wyżej od prostego wypędzenia słabszego przez silniejszego, gdyż przypuszcza objęcie w posiadanie rzeczy, nie należącej dotąd do nikogo. Mimo to nie przedstawia ono takiej wartości moralnej, ażeby można było oprzeć na niem wieczne i wyłączne prawo własności, gdyż do istoty zawła-

[1]) Graham-Sumner: *Des devoirs respectifs des classes de la Société.*

szczenia czynnik pracy nie jest niezbędny (odkrycie skarbu, zajęcie ziemi dziewiczej).

Inkorporacya jest sposobem nabycia opartem na zasadzie, że za rzeczą główną idzie wszelki przyrost i uzupełnienie. Na tej podstawie do właściciela gruntu należą budynki lub plantacye, powstałe dzięki obcej pracy, do przedsiębiorcy wytwór, wyrobiony z surowca, będącego jego własnością. Inkorporacya jest więc niejako rozszerzeniem zawłaszczenia, a tem samem posiada równą z niem cechę etyczną.

Oba te sposoby nabycia schodzą w rzeczywistości na drugi plan wobec zasiedzenia, które łączy prawo własności z posiadaniem, trwającem przez pewien ściśle określony przeciąg czasu. Zasiedzenie uchyla potrzebę docierania, przy badaniu prawa własności, aż do pierwszego faktu zawłaszczenia, co nieraz byłoby niemożliwe, jest więc w rzeczywistości jedyną prawną podstawą własności. Lecz stosownie do swej istoty, zasiedzenie jest niczem innem, jak tylko uznaniem i stwierdzeniem faktu, pozbawionego wszelkiej wartości moralnej. Praca i oszczędność mogą wprawdzie poprzedzić i spowodować zawłaszczenie lub zasiedzenie, lecz prawnie nie są niezbędne.

Przyjmijmy zatem własność osobistą jako fakt historyczny i zbadajmy jej cechy i doniosłość ze stanowiska sprawiedliwości. Zresztą w ekonomii nie rozchodzi się o własność rzeczy, lecz o własność wartości, nie rozchodzi się o sposób nabycia domu, lecz o przyczyny, które spowodowały lub podniosły jego wartość. Wartość jednak nie powstaje pod wpływem pracy, lecz skutkiem użyteczności dobra, innemi słowy, wskutek potrzeb, pragnień i popytu, które zależą od wzrostu ludności, dobrobytu i całego szeregu zjawisk, nieraz przypadkowych, które nazywamy konjunkturą.

Zbadajmy więc, które przedmioty może objąć prawo własności, które osoby mogą go wykonywać i jakie nadaje ono uprawnienia.

III.

Ewolucya co do przedmiotów i podmiotów prawa własności.

Obecnie wszystkie dobra bez wyjątku, jeżeli tylko mogą być zawłaszczone, a więc prócz powietrza, mórz, wielkich rzek — mogą być przedmiotem własności indywidualnej i w istocie w Europie niemal wszystkie dobra są zawłaszczone. Nie zawsze jednak tak było, owszem była epoka, w której obszar własności indywidualnej był niesłychanie szczupły.

Własność prywatna obejmowała najpierw właśnie to, co dziś nie może być przedmiotem własności, mianowicie kobiety i niewolników. Prócz tego należały tu rzeczy służące do ściśle osobistego użytku, jak klejnoty, broń, wierzchowce i t. d., a na zewnątrz własność indywidualną oznaczano przez to, że zamykano je w grobie wraz z właścicielem. Prócz tego należały, jeżeli nie do własności indywidualnej, to przynajmniej rodzinnej, domy, jako ogniska rodzinne i przynajmniej ta część ziemi, w której spoczywały zwłoki przodków. Pomimo tego pierwszego kroku, rozwój własności ziemskiej był nader powolny. Zobaczymy, badając dochód z ziemi, że z czasem prawo własności objęło w zasadzie i ziemię, a faktycznie zawłaszcza się ją coraz więcej, dzięki postępom kolonizacyi i rozszerzaniu się uprawy. Niedługo więc cały obszar ziemi, wraz ze wszystkiem, co znajduje się na jej powierzchni, stanie się istotnie własnością osobistą.

W różnych epokach rozmaite przedmioty własności uzyskiwały specyalną doniosłość — bydło u ludów pasterskich, ziemia w czasie feudalizmu, kopalnie węgla w okresie maszyn parowych. Własność osobista stworzyła nawet w naszych czasach nowe przedmioty własności, dawniej nieznane, a mianowicie papiery wartościowe i t. zw. dobra niemateryalne w kształcie własności literackiej, ar-

tystycznej i patentów na wynalazki. Nie jest więc wykluczonem, że w przyszłości własność indywidualna przybierze jeszcze inne formy, których sobie dzisiaj jeszcze nie wystawiamy.

Podobny postęp dostrzegamy także w dziedzinie podmiotów prawa własności. Pierwotnie koło ich było bardzo ograniczone, najpierw panujący, potem i głowa rodziny mogli być jedynie właścicielami, a w żadnym razie nie przyznawano prawa własności niewolnikom, cudzoziemcom, niekiedy i kobietom.

Dzisiaj nietylko każdy człowiek może być właścicielem, lecz rozszerzono to prawo nawet na istoty fikcyjne, na t. zw. podmioty prawne. Podmiotowość prawną nadano najpierw bogom, uznając ich prawo własności i dziedziczenia, dzisiaj są podmiotami prawnymi stowarzyszenia, zakłady publiczne i fundacye, tak że powstaje pytanie, czy nie tworzy się przez to niebezpieczeństwo dla własności osób fizycznych, t. zn. czy nie grozi im niejako wywłaszczenie na rzecz tych podmiotów abstrakcyjnych. Ewolucya ta doprowadziła przytem do powstania własności bezimiennej, w kształcie spółek akcyjnych i pokrewnych im ustrojów, w których nie można oznaczyć właścicieli, gdyż własność przenosi się przez papiery na okaziciela. Ta forma własności jest bardzo dogodną, bo chroni przed ingerencyą państwa, lecz jest bardzo wątpliwem, czy ta bezimienność godzi się z odpowiedzialnością społeczną, która łączy się z prawem własności.

IV.

Ewolucya treści prawa własności.

Prawo własności odznacza się dwoma zasadniczemi cechami: jest wieczyste i zapewnia nieograniczone władztwo nad rzeczą. W braku jednego lub drugiego przymiotu

przestaje być prawem własności i zmienia się w posiadanie lub użytkowanie.

I. Wieczystość prawa własności oznacza, że trwa ono tak długo, jak rzecz sama, która jest jego przedmiotem. Właśnie dlatego, że treść prawa własności polega na rzeczy, trwanie własności mierzy się czasem istnienia przedmiotu, nie podmiotu. To też własność rzeczy krótkotrwałych, n. p. środków spożywczych, będzie chwilowa, innych znowu bardzo długa, a jednej, jedynej która trwa wiecznie, a przynajmniej nie zna innych granic prócz przewrotów geologicznych — t. j. ziemi, będzie istotnie wieczna. Właśnie dlatego własność ziemska posiada specyficzne, sobie tylko właściwe znamiona, które wywołują, jak zobaczymy dalej, skutki gospodarcze pierwszorzędnej doniosłości. Dodać wreszcie należy, że w naszych czasach pewne przedmioty uzyskały sztuczną wieczność, która nie wypływa z ich istoty, lecz z pewnych umów; tu należą kapitały, umieszczone w niektórych papierach wartościowych, np. w wieczystej rencie państwowej.

Wieczystość jest doniosłym przymiotem prawa własności, wywołującym ważne następstwa dla rozdziału dóbr, a przedewszystkiem ten skutek, że prawo własności, które w tym wypadku przeżyje swego pierwotnego właściciela, przejść musi koniecznie na jakąkolwiek inną osobę: na dziedzica. Dziedzictwo staje się nieuniknionym wynikiem wieczystego prawa własności.

Przeważna część socyalistów uważa dziedzictwo, zapewniające synom bogaczy, może aż do setnego pokolenia kolejne bogactwo, niezdobyte żadnemi zasługami, za jedną z największych wad porządku społecznego, za główną przyczynę wszystkich nierówności, objawiających się w rozdziale dóbr [1]).

[1]) Zobaczymy, że przedewszystkiem szkoła Saint-Simona domagała się zniesienia dziedziczenia. Fourier wbrew powszechnemu mniemaniu, zupełnie na nie się zgadzał. Dzisiejsza szkoła kollekty-

Zobaczymy poniżej, że ten groźny skutek dziedziczenia równoważą pewne korzyści społeczne. Prócz tego odbierając ludziom prawo rozporządzania owocami ich pracy, niszczy się jedną z najsilniejszych sprężyn produkcyi. Dobra, których nie wolnoby było przenosić, straciłyby część swoj użyteczności, mniejby ich pożądano, mniejby pracowano na ich wytworzenie. Na pochwałę natury ludzkiej należy powiedzieć, że bardzo liczne są jednostki, które pracują raczej dla drugich, aniżeli dla siebie. Jeżeli się je zmusi myśleć tylko o sobie, będą mniej pracować, a więcej wydawać. Nadto należy zauważyć, że jest może pewnem dzieciństwem opierać się przenoszeniu dóbr drogą spadku, gdy nie można przeszkodzić przechodzeniu w ten sam sposób przywilejów donioślejszych niż majątek, naprzykład zdrowia, zdolności, cnót, stanowiska, poważania społecznego, nazwiska nawet, które czasami często znaczy tyle, co majątek. Jeśli co, to z pewnością dziedziczenie zasługuje na nazwę prawa przyrodzonego.

Najodpowiedniejszemi drogami do rozwiązania zawiłej kwestyi dziedziczenia, to jest rozwiązania pytania, komu przypaść mają dobra, które przetrwały swego właściciela, są trzy następujące, które Le Play charakteryzuje jako: wolność testowania, przymus zachowania i przymusowy podział. Trzeba:

1. W każdym wypadku, w którym właściciel rozporządził swemi dobrami w testamencie — uszanować bez zmiany jego wolę taką, jaką jest. Nietylko wolność darowania i zapisania jest naturalnym przymiotem prawa własności, lecz nadto — kierując się wskazaną przez nas za-

wistyczna dopuszcza dziedziczenia w pewnej mierze jako następstwa własności osobistej. Ustępstwo to mogłoby wydać się dziwnem, gdybyśmy zapomnieli, że kolektywizm wyklucza własność osobistą na ziemiach i kapitałach, to jest właśnie na tych dobrach, które są wieczne, jedynych więc, co do których dziedziczenie mogłoby wywołać doniosłe skutki.

sadą dobrego rozdziału dóbr, polegającą na oddaniu ich w ręce tych, którzy z nich zrobią najlepszy użytek — należy przypuszczać, że właściciel najłatwiej wyszuka tych, którzy majątku jego dobrze użyją. Jest to wolność testowania.

W każdym wypadku, w którym właściciel nie rozporządził swemi dobrami, a niema blizkich krewnych — przekazać je państwu jako *bonum vacans*. Społeczeństwo, a względnie jego przedstawiciel, państwo, jest naturalnym dziedzicem wszystkich jednostek, które nie rozporządziły swemi dobrami. Albowiem w istocie, tylko dzięki współpracownictwu wszystkich, dzięki owym zasobom społecznym idei, myśli, wynalazków, środków działania i przewozu, z których wszyscy korzystamy, każdy z nas mógł coś zrobić i mógł stać się właścicielem. Jest więc słuszną rzeczą, aby po naszej śmierci i wobec braku wszelkiej innej osoby, na którąbyśmy przelali nasze prawo, nasze dobra wróciły i zwiększyły tę ojcowiznę społeczną, z której w pewnej mierze wyszły.

Innemi słowy, wyrażając się po prawniczemu, wolność testowania z jednej, a zniesienia zbyt obszernego dziedzictwa beztestamentowego z drugiej strony — oto są główne zasady, które powinny wpływać na prawodawcę przy urządzeniu prawa dziedziczenia [1]).

[1]) Chodzi nam tylko o zasady ogólne, boć jest rzeczą jasną, że żadna z tych zasad nie może być zastosowaną dosłownie.

Co się tyczy wolności testowania, nie trzeba zapominać, iż każdy właściciel wobec dzieci, rodziców i żony — to jest wobec tych, którym dał życie, którym je zawdzięcza, z którą je dzielił — jest zobowiązany przynajmniej do alimentów; obowiązek ten wkładają nań wszystkie prawodawstwa za życia, a śmierć nie znosi go, lecz przeciwnie zwiększa. Jest więc słusznem, by wolność testowania była ograniczoną przez zapewnienie pewnej części spadku tym osobom. Lecz kodeks cywilny daje im część zanadto wielką. Słusznie powiedział Montesquieu: »prawo

2. Ustawodawca może pragnąć przedewszystkiem utrzymania nadal ojcowizny, stanowiska i blasku rodziny. W tym wypadku majątek przechodzi na jednego tylko spadkobiercę, zwykle najstarszego z dzieci, wskutek czego system ten nazwano prawem pierworodztwa. Jest to organizacya społeczeństw arystokratyczna, istniejąca do dzisiaj w Anglii. System ten, jakkolwiek narusza zarówno prawo własności ojca, jak i zasady słuszności wobec dzieci, przyczynił się bardzo skutecznie do wzrostu potęgi tych krajów, które go przyjęły. Jakkolwiek nikt nie pragnie do niego powrócić, to jednak należy przyznać, że majątek skupiony w ręku jednego, bezustannie się zwiększał, a równocześnie wydziedziczenie młodszych podnosiło ogólny dobrobyt, bo zmuszało do pracy tych, którzy inaczej zwykliby pędzić próżniacze życie.

3. Wreszcie ustawodawca może dążyć do uchylenia różnic majątkowych i zwiększenia liczby drobnych właścicieli. W tym wypadku wprowadza się równy podział między dzieci, a w ich braku pomiędzy innych

natury nakazuje rodzicom żywić dzieci, ale nie czynić ich dziedzicami«.

Co się tyczy zniesienia dziedzictwa beztestamentowego byłoby barbarzyństwem dosłownie stosować tę zasadę, gdy przypuszać należy, że jeśli zmarły nic nie powiedział, milczenie to pochodzi poprostu z opieszałości lub nieostrożności z jego strony. Dziedziczenie beztestamentowe dzieci, rodziców, a nawet braci i sióstr, powinno być w każdym razie dopuszczone, jako rozumne tłumaczenie woli spadkodawcy. Gdyby chciał ich wydziedziczyć, byłby to z pewnością powiedział. Gdy jednak chodzi o kuzyna w 12-tym stopniu lub nawet o siostrzeńca, jest niedorzecznością stosować to samo rozumowanie i tłumaczyć milczenie zmarłego jako nadanie prawa. W każdym razie prawo dziedziczenia beztestamentowego w żaden sposób nie pobudza działalności produkcyjnej, a raczej zaszczepia lenistwo przez wzbudzanie nadziei spadku. Spadek po amerykańskim wuju jest sposobem nabycia, nie różniącym się niczem od loteryi i wywiera ten sam demoralizujący wpływ zarówno na tego, który zeń korzysta, jako też na tych, którzy mu zazdroszczą.

krewnych. Jest to zasada kodeksu napoleońskiego. Sprowadza ona bardzo wielki podział ziemi i wogóle majątków i nader skutecznie popiera mnożenie się miernych fortun i średniej klasy. Niestety dzieli się w ten sposób nietylko wielkie lecz i małe spadki, tak, że ten podział idzie znacznie dalej, niżby to było wskazanem ze względu na racyonalne wymogi produkcyi. Równy podział szkodzi rolnictwu i wytwarza pewnę ospałość, zamykanie się w swoim małym kątku, a nawet nie popiera tak demokracyi, jakby się to zdawało, gdyż często doprowadza do tego, że wielcy posiadacze i kapitaliści skupują po nader nizkich cenach te drobne cząstki, na które spadek podzielonym być musi.

Szkoła katolicka i Le Play'a oświadcza się za wolnością testowania, która jej zdaniem przedstawia te same korzyści co prawo pierworodztwa, a posiada prócz tego wielką zaletę, że majątek nie przechodzi na spadkobiercę dzięki przypadkowi urodzenia, lecz wskutek rozumnej woli spadkodawcy. Natomiast szkoła liberalna sprzeciwia się wolności testowania, która jej zdaniem ojcu nadaje zbyt wielką władzę, co budzi obawę, że użyje jej do wprowadzenia majoratów i systemu arystokratycznego. Stany Zjednoczone, w których panuje wolność testowania, są dowodem, jak płonne są podobne obawy.

Nam zdaje się, że wolność testowania jest najlepszą, a to z następujących powodów. Jeżeli każdy właściciel ma spełnić pewną funkcyę społeczną, musimy przedewszystkiem wybrać tych, którzy mogą najlepiej odpowiedzieć takiemu zadaniu. Lecz któż ma wybór uczynić, czy państwo, tak jak w systemie St. Simona? większość głosów wszystkich pracujących, jak chcą kollektywiści? stopień pokrewieństwa, jak to się dzieje w ustawodawstwie obecnem? Bezwątpienia najlepszem wyjściem jest oznaczenie spadkobiercy przez ojca rodziny; być może, że czasami wybór będzie niesłuszny, lecz w każdym razie mniej bę

dzie ślepy, niż ten, jakiby się zrobiło, zastosowując którykolwiek z innych sposobów.

II. Drugim istotnym przymiotem prawa własności jest nieograniczone władztwo nad rzeczą. Prawo własności określają prawnicy rzymscy jako *ius utendi, fruendi et abutendi*, a kodeks cywilny francuski jako »prawo używania i rozporządzania rzeczami w sposób całkiem nieograniczony«. W tem określeniu — wiedzą o tem wszyscy słuchacze prawa — jedynym charakterystycznym przymiotem prawa własności jest nieograniczone prawo rozporządzania, *ius abutendi*.

Lecz to prawo dowolnego rozporządzania rzeczą, które nadaje własności znamię absolutnego władztwa i które pozornie jest nieodłączne od jej pojęcia, jest dopiero nowszym wytworem, którego początkowo nie było. Tylko powoli rozszerzało się pojęcie własności, dzięki prawu rzymskiemu, dziś zaś ewolucya, częściowo pod wpływem praw germańskich, postępuje w odwrotnym kierunku. Pierwotnie własność nie różniła się od zwykłego prawa użytkowania lub posiadania. Prawdopodobnie jej uprawnienia rozszerzały się w następującym porządku:

1. Pierwszem było prawdopodobnie prawo używania swej własności przy pomocy obcej pracy, najczęściej niewolniczej, później najemnej.

2. Prawo darowizny jest jednem z najstarszych, starsze od prawa sprzedaży, przynajmniej co do ruchomości. Jeżeli właściciel może swą rzecz zużyć dla własnego zadowolenia — choćby w sposób głupi — dlaczego nie mógłby dać jej innym do zużycia? Jednem z głównych dobrodziejstw prawa własności jest możność świadczenia dobrego innym.

3. Prawo kupna i sprzedaży, najmu i dzierżawy jest już znacznie późniejszem. Jeszcze Arystoteles mówi o tem w taki sposób, jak gdyby za jego czasów prawo to nie było powszechnie uznane. I rzeczywiście przemawia za tem wiele powodów. Jak długo własność

była rodzinną i stała pod opieką religii, pozbycie jej było niemożliwem, w każdym zaś razie miało charakter czynu bezbożnego. Nadto przy braku wymiany i podziału pracy, każdy w gronie rodziny wystarczał sam sobie, zatrzymywał więc dla siebie wszystkie ruchomości, czasami aż do grobu. Wskutek tego sprzedaż należała do rzadkości; to też z chwilą gdy się pojawia, otaczają ją uroczyste formy jak przy *mancipatio* rzymskiej.

4. Najpóźniejszem jest prawo dziedziczenia, które ze stanowiska społecznego jest najważniejszym przymiotem własności, bo nadaje jej charakter wieczysty. Powstaje zaś dopiero z chwilą, gdy własność uwolniła się zupełnie z więzów rodzinnych i zmieniła się w osobistą. W Rzymie prawo testowania powstało prawdopodobnie dopiero z ustawą dwunastu tablic, w Atenach za Solona, w Sparcie w początkach IV. wieku przed Chr.

Cztery te uprawnienia wykształciły ostatecznie własność i zrobiły z niej nieprzezwyciężone narzędzie rozdziału dóbr. Prawo produkcyi dzieli społeczeństwo na dwie warstwy: właścicieli bezczynnych, żyjących pozornie z cudzej pracy i płatnych najemników — i przygotowuje powoli walkę pracy z kapitałem. Pożyczka, dzierżawa, najem, tworzą podział równie groźny dla pokoju społecznego: na wierzycieli i dłużników, jakoteż nowy sposób utrzymywania się bez pracy zapomocą poboru renty. Darowizna i spadek czynią własność równą i niezależną od pracy i w połączeniu z pożyczką przenoszą z pokolenia na pokolenie przywilej próżniactwa, zwiększając, przy pomocy czasu i gromadzenia dóbr, nierówności społeczne. Wreszcie przez sprzedaż własności na rzeczy zmienia się własność na wartość, podlega przeto wszystkim wpływom podaży, popytu i konjunktury, uzyskując aleatoryczną, niepewną i nietrwałą formę, którą odznacza się w naszych czasach.

Ostatecznie więc prawo własności indywidualnej prowadzi do trzech koniecznych konsekwencyi, wytwarza

bowiem 1) nierówność majątkową, 2) warstwę ludności bezczynnej, 3) warstwę ubogich.

Przejdźmy kolejno te zjawiska.

V.

Nierówność majątkowa.

Nierówność majątkowa powodowała zawsze skargi bardzo głośne. Spór bogatych i ubogich jest jak świat stary.

Jest to niewątpliwie w pewnej mierze wynikiem zazdrości, tego tak ogólno ludzkiego uczucia, które niechętnie znosi wszelką cudzą wyższość zdolności, majątku, szlachetności lub bystrości, nawet zdrowia i cnoty.

Lecz niezadowolenie z nierówności ma jeszcze powód głębszy, który polega na poczuciu sprawiedliwości. Można nawet powiedzieć, że nierówność majątkowa staje się z każdym dniem nieznośniejsza, bo znikają wszystkie inne różnice, które niegdyś ludzi dzieliły. Nasze ustawodawstwo wprowadziło równość prawa prywatnego, a powszechne głosowanie nadało równość polityczną, szerzącą się coraz bardziej; nauka dąży nawet do stworzenia pewnego rodzaju równości wykształcenia — ale nierówność bogactw nie zmienia się, a gdy niegdyś była jakby przysłonięta innemi, daleko głębszemi nierównościami, teraz natomiast wysuwa się na pierwsze miejsce w naszych demokratycznych społeczeństwach i ściąga na siebie całe niezadowolenie. Dlatego też socyalizm wzrasta w obecnem stuleciu znacznie prędzej niż w któremkolwiek z poprzedzających. A przecież, gdyby dzisiaj nie było innej wady w rozdziale dóbr, jak pewna nierówność, nieszczęście nie byłoby zbyt wielkiem. Prawdę mówiąc, nie byłoby to nawet nieszczęściem.

Jeśli co, to z pewnością nierówność jest przyrodzoną;

jest to jej wybitnem znamieniem. Nauka nie upoważnia nas do wiary, że kiedykolwiek uda się nam doprowadzić do jej zniknięcia, w każdym razie nie radzi nam dążyć do tego. Przeciwnie oznajmia nam przez usta swych najpoważniejszych lub przynajmniej najbardziej poważanych przedstawicieli, że nierówność jest konieczną dla rozwoju rodzaju ludzkiego, tak jak dla rozwoju wszystkich rodzajów zwierzęcych, że jest niezbędnym warunkiem postępu. Ograniczając się nawet do ściśle ekonomicznej dziedziny, można stwierdzić, że nierówność dóbr jest znakomitą podnietą, może nawet jedynym bodźcem produkcyi, że utrzymuje w ruchu wszystkich ludzi na najniższych i na najwyższych szczeblach drabiny społecznej przez nadzieję stopniowego posuwania się naprzód, że ona jedna może rozwinąć całą potęgę osobistej inicyatywy, jednocząc wielkie kapitały w najzręczniejszych rękach i wreszcie, że ona jedna może stworzyć w pracach ludzi ożywczą różnorodność, dzięki nieskończonej ilości potrzeb i pragnień, które w nich rozbudza.

To wszystko prawda, ale nie rozwiązuje pytania, bo nierówność a nierówność to różnica. Istnieje rzeczywiście dobroczynna nierówność, która przyspiesza pochód społeczeństw ludzkich i przygotowuje życie lepsze dla wszystkich. Istnieje nierówność szkodliwa, która powstrzymuje rozwój organizmu społecznego, pozwalając żyć na jego koszt warstwom pasożytów. Chodzi teraz o to, by dowiedzieć się, do której z tych dwóch kategoryi zaliczyć należy nierówności, znamionujące nowożytne społeczeństwa.

By wywołać zbawienne i pożądane skutki, nierówność powinna mieć trzy znamiona: powinna stać w pewnym stosunku do oddanych usług, powinna być niezbyt wielką i nie powinna być wieczną.

Gdy nierówność udziałów nie pozostaje w żadnym stosunku do nierówności oddanych usług, gdy wypływa z przyczyn sztucznych, nie przyrodzonych, jak n. p. z da-

wnych zdobyczy lub z ustawodawstwa, uświęcającego długi ucisk, wówczas utrzymuje w społeczeństwie zaniepokojenie; czas nie leczy tej rany, przeciwnie pogarsza ją.

Gdy stałość i pewnego rodzaju przeznaczenie staje się znamieniem nierówności, gdy owocem jej są kasty, gdy potomkowie bogaczów są z pokolenia w pokolenie bogatymi, a synowie nędzarzy biednymi: wówczas wytwarza skutki niezadowalniające, nawet ze względu na postęp produkcyi. Odbiera odwagę tym, którzy stoją na najniższych szczeblach, pozbawiając ich nadziei podźwignięcia się, a usypia tych, którzy stoją wysoko, pewni swego niezmiennego stanowiska. Odciąga od pracy ręce zanadto biednych, bo oni już nie mają możności wytwarzania i zanadto bogatych, bo ci nie mają chęci. Zaszczepia te dwa nieszczęścia, które od tak dawna prześladują nasze społeczeństwa, a znane są pod nazwą lenistwa i ubóstwa; tak jedno, jak drugie prowadzi do nieprodukcyjnej konsumcyi. W ten sposób krańcowa nierówność, uwieczniając te dwie warstwy pasożytów na dole i na górze drabiny społecznej, przeciwdziała naturalnemu a zbawiennemu procesowi rozwoju i selekcyi społecznej.

Nareszcie, gdy nierówność majątków staje się bardzo wielką i przekracza pewne granice, pociąga za sobą cały szereg okrutnych objawów, które oburzają sumienie i robią zamęt w państwie. Tam, gdzie biedny jest bardzo biednym, z konieczności skazany jest na nieuctwo, na występki, na zbrodnię, na chorobę i przedwczesną śmierć. Zrywają się więc węzły solidarności społecznej i tworzy przepaść między bogatym a ubogim, której nic zapełnić nie może.

Trzeba przyznać, że w naszych społeczeństwach — bądź co bądź w mniejszym stopniu, jak w starożytnych — odnaleźć można prawie wszystkie niezadowalniające rysy, które powyżej wskazaliśmy.

Po pierwsze, te nierówności są bardzo wielkie i przewyższają o wiele te, które wypływają z natury rzeczy.

Różnice w wysokości olbrzyma i karła, w sile fizycznej najsilniejszego i najsłabszego człowieka, a nawet prawdopodobnie w sile umysłowej geniusza i głupca — przypuśćmy, że moglibyśmy je zmierzyć jakimś dynamometrem — są niczem w porównaniu z zadziwiającą różnicą, która może istnieć między bogatym a biednym. Większość rodzin, zamieszkujących Francyę, jeden z krajów, gdzie dobrobyt jest najbardziej rozszerzony, musi zadowalniać się dochodem niższym od tysiąca franków, a z drugiej strony są majątki na tym świecie, które obliczamy na setki milionów. Amerykanin Vanderbilt pozostawił majątek, oceniony na przeszło miliard, na jednego więc człowieka przypada dochód, z którego żyćby mogło 40 lub 50.000 rodzin. A przecież nikt, nawet sam Vanderbilt, nie śmiałby twierdzić, że jego umysł lub zdolności są 50.000 razy większe, niż zdolności współcześnie żyjących z nim ludzi. Ta nierówność wywołuje wszystkie inne, o których mówiliśmy. Nie wspominajmy już występku i nieuctwa; zwróćmy szczególną uwagę na to dobro, do którego — tak przynajmniej zdawałoby się — wszyscy ludzie powinni mieć równe prawa — chcę mówić o życiu. Jest ono bardzo nierówno rozdzielone między bogatych i biednych, bo statystyka dowodzi, że przeciętna długość życia jest dwa razy większą w warstwach bogatych, jak w biednych. Tak więc — o krwawa ironio losu — w miarę jak zmniejsza się udział dóbr, przeznaczony człowiekowi, zwiększa się danina, którą płacić musi chorobie i śmierci [1]). Nadto

[1]) Liczne obliczenia statystyczne dowodzą, że przeciętna długość życia Anglika w warstwach bogatych dosięga 55—56 lat, podczas gdy w warstwach robotniczych spada do 28 lat, a nawet niżej. Roczna śmiertelność w Paryżu wynosi w dzielnicach bogatych 100 na 10.000 mieszkańców, w ubogich 430 na 10.000 mieszkańców, a w Londynie jest jeszcze gorzej.

Leroy-Beaulieu w swem dziele o »Rozdziale dóbr« chce zrównoważyć do pewnego stopnia nieszczęścia, wynikające z ubóstwa i nieszczęścia, których powodem choroba lub przyczyny moralne.

mają te nierówności w wielu krajach znamię stałości. Albowiem, jeśli amerykańscy miliarderzy mogą w pewnej mierze powiedzieć o sobie, że są »dziećmi swych czynów«, to nie można tego powtórzyć naprzykład o angielskich lordach, którzy w liczbie kilkuset trzymają w swem ręku i przekazują z ojca na syna mniej więcej połowę ziemi angielskiej od czasów podboju Normanów. Pewne przepisy prawodawcze, jak substytucya, powstrzymują tych lordów od upadku ekonomicznego, mimo popełnianych szaleństw i utrzymują ich, w razie potrzeby wbrew ich woli, na tem wysokiem stanowisku, z którego nie powinni schodzić, a na które inni nie mogą się wydrapać.

W końcu one nie odpowiadają wcale oddanym społeczeństwu usługom, a co przedewszystkiem drażni, to brak widocznej ich przyczyny. Nie pozostają w żadnym stosunku do trudu łożonego, przeciwnie zdaje się, że zgodnie z gorzką uwagą Stuarta Milla, skala wynagrodzenia zniża się w miarę, jak praca staje się uciążliwszą, aż do tego stopnia, gdzie najcięższa praca ledwo starczy do zdobycia koniecznych środków do życia. Również nie stosują się one do cnót i zasług ludzkich. Przeciwieństwo między człowiekiem uczciwym lecz biednym, a złym ale szczęśliwym i bogatym jest objawem bardzo zwykłym, starym jak świat a powtarzającym się ciągle.

»Jakże mała jest liczba biednych w porównaniu z ludźmi prześladowanymi chorobami, słabościami nieuleczalnemi lub organicznemi n. p. skrofułami lub suchotami? A cóż dopiero w porównaniu z jeszcze większą liczbą ludzi, dręczonych dotkliwemi cierpieniami moralnemi? Zapewne ubóstwo jest złem, jednak dla umysłu filozoficznego jednem z najmniej rozpowszechnionych wśród społeczeństw ludzkich«. Znakomity ekonomista zapomina, że ubóstwo samo przez się jest przyczyną bardzo dotkliwych cierpień moralnych, również bardzo ważną przyczyną skrofuł i suchot, że więc przeznaczenie nie rozłożyło nieszczęść prześladujących ludzkość na dwóch przeciwnych szalach wagi, lecz skupiło je po jednej stronie.

VI.

Próżnowanie.

W każdem społeczeństwie, dzikiem czy cywilizowanem i częściej jeszcze w cywilizowanem, istnieje grono ludzi, naturalnie znajdujące się w mniejszości, którzy nic nie robią, a przecież żyją i to zazwyczaj żyją bardzo dobrze. Zwyczajnie w tej klasie są najwyższe dochody, a dochody te nietylko są najczęściej wyższe od dochodów z pracy, lecz i pewniejsze, bo bez względu na okoliczności jakiekolwiek, dochód zawsze towarzyszy kapitaliście. Posiadanie renty zapewnia dwie nieobliczalne korzyści, których nie dostarczają inne dochody: pewność i niezależność. Słusznie można zapytać tych uprzywilejowanych śmiertelników, co za bóstwo zapewniło im odpoczynek: *Deus vobis haec otia fecit?*

O odpowiedź nie trudno, przynajmniej pozornie. Osoby te są właścicielami domu, gruntu lub jakiegokolwiek kapitału; otóż zamiast produkcyjnie zużytkować swą ziemię lub kapitał na własny rachunek, albo zamiast mieszkać w swym domu, wolą z tej lub owej przyczyny, może właśnie dlatego, by nic nie robić, wynająć lub pożyczyć swe dobra innym osobom w zamian za kwotę pieniężną, wypłacaną corocznie, a zwaną procentem lub wynagrodzeniem za najem. Z tego żyją: żyją z kapitałów, mówi się o nich, t. j. żyją z rezultatów dawniejszej pracy.

Najlepiej to widzimy u urzędników państwowych, żyjących z emerytury i u jednostek, które coś zaoszczędziły na stare lata. Nikt nie może nic temu zarzucić. Nikogo nie można skazywać na wieczną przymusową pracę; kto pracował w okresie produkcyjnym swego życia, temu należy się spoczynek w czasie nieprodukcyjnym. Locking Backward zapowiada, że w ustroju kollektywistycznym jednostka, począwszy od 45 roku życia, będzie wolną od

wszelkich usług na rzecz społeczeństwa i od tej chwili będzie żyć tak, jak dziś żyje się z renty.

Istnieje jednak wielka liczba kapitalistów, którzy nie mogą się powoływać na swą własną pracę, bo od urodzenia wcale nie pracowali. Ci powołują się na pracę rodziców lub przodków, którzy pracowali, doszli do majątku i pozostawili go swym potomkom z prawem używania bezczynnego. W tym wypadku kwestya staje się bardziej skomplikowaną, gdyż to przeniesienie pracy, zasługi i majątku poprzedników na zastępców łączy się z kwestyą dziedziczenia.

Zobaczymy, że niektóre szkoły socyalistyczne, przedewszystkiem szkoła St. Simona, uważają przywilej próżniactwa, uzyskany w drodze spadku, jako jeden z największych braków naszego ustroju i domagają się jego uchylenia. Inni socyaliści godzą się na dziedziczenie, przynajmniej środków spożywczych, z pewnemi zastrzeżeniami, natomiast oburzają się na kapitalistów dlatego, że jak mówią, nie żyją oni z pracy dawniejszej, gdyż toby było niemożliwem, lecz z rezultatów obecnej pracy, wykonywanej przez innych ludzi, których oni wyzyskują. Właściciel, który żyje z czynszów najmu i dzierżawy, wierzyciel, żyjący z procentów, opłacanych przez dłużnika, kapitalista, pobierający rentę od państwa, składaną przez ludność w formie podatków — ci wszyscy żyją z pracy lokatorów, dzierżawców, dłużników i podatników. Tylko to pozwala im żyć wiecznie w bezczynności z generacyi w generacyę, albowiem żyją z pracy odnawiającej się bezustannie, wysysają krew coraz nową. Gdyby ograniczyli się jedynie do zabrania pracy dawniejszej, panowanie ich skończyłoby się prędko. Jak olbrzymie nawet byłyby miliony, nagromadzone przez ojców i przekazane synom, musiałyby się skończyć po kilku lub kilkudziesięciu latach, a wraz z niemi skończyłoby się prawo do próżniactwa. Tak jednak nie jest. Majątek ten umieszcza się na procent, a kapitalista używa

tylko dochodów, »renty«, a nie kapitału, który w ten sposób trwa wiecznie. Tu leży zło, na tem polega wyzysk. W istocie kapitalista wyzyskuje robotnika tak samo jak przedsiębiorca — każąc mu pracować na siebie — i to tem gorzej, że nie może się powołać na własną pracę, kierującą przedsiębiorstwem, ani na żadne niebezpieczeństwo ryzyka. Jednem słowem, można jeszcze zgodzić się na bezczynność, o ile ona jest skutkiem i kompensatą da wniejszej pracy, lecz nie można dopuścić renty w żadnej formie, czy procentu, czy dzierżawy, czy czynszu.

Tak rozumują socyaliści. W następnych ustępach zastanowimy się, o ile można usprawiedliwić istnienie różnych kapitalistów, tutaj poprzestajemy tylko na kilku uwagach ogólnych.

Nie da się zaprzeczyć, że kapitalista żyje z cudzej pracy, lecz z tego nie można mu zrobić żadnego zarzutu, albowiem w społeczeństwach, opartych na podziale pracy, wszyscy muszą żyć z cudzej pracy, nikt żyć inaczej nie może. Należy więc postawić odmienne pytanie, należy się zapytać, czy kapitalista żyje cudzym kosztem, czy w zamian za pobieraną rentę nic nie daje temu, który mu ją opłaca, albo przynajmniej czy nie oddał dawniej lub nie oddaje dzisiaj społeczeństwu żadnych usług, t. zn. czy nie przynosi żadnego pożytku? Jeżeli tak jest, należy kapitalistów potępić i o ile możności jak najprędzej usunąć.

Trudno jednak przypuścić, aby ten, który lokatorowi zapewnia użytkowanie przez się wybudowanego domu, albo dzierżawcy latorośl, którą zasadził, albo dłużnikowi kapitał, który zebrał — nie oddawał im żadnych usług. Nawet pomijając usługi dawniejsze i poprzestając na obecnych, nie można tak stanowczo twierdzić, jakoby bezczynni kapitaliści byli nieużyteczni. Bezwątpienia jest dużo pasożytów bezużytecznych i pogardy godnych, lecz podobnie się dzieje we wszystkich warstwach społecznych, a oczywiście kapitaliście najłatwiej być pasożytem i sto-

sunkowo najczęściej się to zdarza. Z drugiej jednak strony kapitaliści mają ważne zadanie społeczne, spełniają prawdziwą funkcyę socyalną.

Próżniacy nie są koniecznie piątem kołem u wozu. Próżniactwo może być użyteczne, może być prawdziwą funkcyą społeczną. Słowo próżniak, w naukowem znaczeniu, nie oznacza tych, którzy nic nie robią, lecz po prostu tych, którzy, dzięki swemu stanowisku nie potrzebują troszczyć się o chleb codzienny, mogą więc zajmować się innemi sprawami, a nie pracą wytwórczą lub przynoszącą zyski. Starożytni uważali za niezbędne, aby obywatele cały czas swój poświęcali sprawom publicznym. Dziś nawet, by zadosyć uczynić pewnym obowiązkom społecznym, by pracować na polu polityki i dyplomacyi, by sprawować rządy, by godnie odgrywać rolę znawcy w dziedzinie piśmiennictwa i sztuki, nie można mieć dłoni zgrubiałych od pracy codziennej a umysł zajęty myślą o zdobyciu koniecznych środków do życia! Do zadosyćuczynienia tym wielkim zadaniom nie wystarcza kilka godzin wolnych od pracy w fabryce lub w biurze, ani nawet uwolnienie od przymusowej pracy po 45 roku życia. Być jednak może, że kiedyś będzie inaczej, gdy wszystkim zapewni się dostateczny spoczynek, a codzienna praca pozostawi jeszcze każdemu dość wolnego czasu.

VII.

Ubóstwo.

W każdym kraju własność indywidualna wytworzyła nietylko bezczynnych kapitalistów, lecz i warstwę bezczynnych ubogich, t. zn. osób, które nie posiadając własności i nie mogąc lub nie chcąc utrzymywać się ze swej pracy, żyją z udziału, który pobierają z cudzych dochodów. Dlaczego jednak nie pracują? Pochodzić to może z przyczyn następujących:

1. Z braku *sił* do pracy (dzieci, starcy, wszyscy dotknięci chorobami lub słabościami chronicznemi).

2. Z powodu niemożności znalezienia *środków* do pracy. Chęć do pracy nie wystarcza, trzeba jeszcze »znaleźć robotę«, jak to powiadają, to znaczy rozporządzać surowcami i narzędziami, a w razie przesilenia i bezrobocia brak i jednych i drugich.

3. Z braku *chęci* do pracy. Każda praca, wiemy o tem, wymaga wysiłku mniej lub więcej przykrego. Wielu ludzi woli narazić się na niebezpieczeństwo śmierci głodowej, niż zadać sobie ten trud i poddać się karności, stanowiącej niezbędny warunek każdej pracy.

Co ma robić społeczeństwo z tymi trzema rodzajami ubogich? — Nie może uwolnić się od konieczności zajęcia się nimi. Musi zająć się pierwszym, z *pobudek czysto ludzkich*. Wprawdzie w zwykłych stosunkach rodzina powinna wspomagać tych krewnych, którzy sami nie mogą sobie dać rady, lecz rodzina w naszych czasach jest często rozrzuconą, a czasami, naprzykład dla nieprawych dzieci, nie istnieje. W tych razach społeczeństwo powinno zastąpić rodzinę. Gdyby społeczeństwo cywilizowane pozwalało umrzeć z głodu swym dzieciom i starcom, powrót do czasów pierwotnych byłby lepszym, bo wówczas zabijano ich, a to było mniej okrutnem.

Musi zająć się drugim rodzajem, ponieważ *jest poniekąd odpowiedzialne* za to położenie. Ustrój ekonomiczny społeczeństwa zrodził ten sztuczny, a nawet, możnaby powiedzieć, przeciwny naturze rozdział pomiędzy pracującym a narzędziem pracy, zmusił więc robotnika do szukania zarobku. Prawo postępu, które objawia się w wielkiej produkcyi, w wynalazkach maszyn, w handlu międzynarodowym, w konkurencyi, wywołuje przesilenia i bezrobocia. Sprawiedliwość tedy wymaga, żeby społeczeństwo, które ciągnie zyski z każdego dokonanego

postępu i które w tej wielkiej walce o byt zbiera wszystkie korzyści zwycięstwa, ponosiło i jego ciężary, niosąc pomoc rannym i zwyciężonym.

Społeczeństwo musi zająć się i trzecim rodzajem, choć nie przedstawia on nic sympatycznego, ponieważ jest niebezpieczeństwem publicznem. Ten tłum żebraków i włóczęgów jest najlepszym materyałem na zbrodniarzy. A ponieważ społeczeństwo, gdy raz popełnią jakikolwiek występek, będzie musiało dać im pomieszkanie i żywić ich w więzieniu, a nic więcej nie kosztuje, jak utrzymanie więźnia [1]), jest zatem rozumniej i zarazem oszczędniej zająć się nimi już przedtem. Te różne rodzaje ubogich mają prawo oczekiwać pomocy od społeczeństwa, zwanej prawem do wsparcia. Szkoła socyalistyczna nie lubi tego słowa, uważa je za poniżające i woli używać słów prawo do bytu lub prawo do pracy, jeśli chodzi o ludzi zdolnych do pracy. To są ładne słowa, lecz w gruncie rzeczy oznaczają tylko prawo żądania od społeczeństwa, to jest od swych współobywateli, środków do utrzymania życia [2]). Ten kto żyje kosztem swych bliźnich, albowiem sam utrzymać się nie może — choć niema w tem nic poniżającego, a nawet, naszem zdaniem, jest to należnem mu prawem — żyje przecież tylko ze wsparcia, jakiemkolwiek mianem nazwiemy ten sposób życia.

Trzeba tylko używać słowa »prawo do wsparcia« w prawdziwem jego znaczeniu, trzeba zarazem uznać zobowiązanie ze strony społeczeństwa, nietylko zobowiązanie przyrodzone, lecz i zobowiązanie prawne. Wielu ekonomistów sądzi, że wspieranie jest obowiązkiem społeczeństwa, lecz nie prawem ubogiego; jest to tylko prawnicze rozróżnienie. Ilekroć osoba jakaś znajdzie się w pewnych okolicznościach, które prawo oznaczy, społeczeństwo nie będzie mogło uwolnić się od obowiązku wspomożenia jej, a wydatek, potrzebny na ten cel, wpisany będzie do budżetu państwa lub gmin; jest to znamię odróżniające wsparcie prawne od tego, które zawisłem jest od dobrej woli wspierającego.

[1]) W nowych wzorowych więzieniach, które teraz budują, jedna izba więzienna kosztuje 6000 fr.

[2]) Jasną jest rzeczą, że żądając prawa do pracy, ma się na myśli poprostu zarobek, bo praca jest tylko środkiem. Zresztą praca jest właściwie obowiązkiem, a nie prawem.

Szkoła klasyczna, a przedewszystkiem szkoła Malthusa, sprzeciwia się jednak »prawnemu wsparciu«. Zarzuty jej streścić można w tem, często powtarzanem zdaniu: »liczba ubogich wzrasta w stosunku prostym do zapewnionego im wsparcia«. A oto dowody na to:

1. Prawo do wsparcia przyczynia się do rozwoju nieprzezorności. Wielu ludzi, którzyby mogli byli dać sobie radę, gdyby na niczyją pomoc nie liczyli, nie myśli o zaoszczędzeniu grosza na starość lub dla dzieci, właśnie dlatego, że spodziewa się pomocy państwa dla siebie i dla dzieci. »Drwij sobie z trosk« — powiada piosnka robotników wiejskich w Anglii — »parafia jest dobrą matką, ona nas wszystkich wyżywi.«

2. Prawo do wsparcia przyczynia się do wzrostu ludności ubogiej. Cóż im to szkodzi, przecież troska o wychowanie nie do nich należy. Oni mogą tylko zyskać na tem, bo wsparcia, rozumie się samo przez się, rozdzielane bywają w stosunku do liczby dzieci. Tą drogą dochodzi się do wyznaczania premii za zwiększanie się liczby nędzarzy, a w głębiach społeczeństwa wytwarza się osobna warstwa ubogich, zapisanych bez wyjątku na liście wsparcia publicznego; przekazują z pokolenia na pokolenie swe prawa i zarazem swe błędy, otacza ich pogarda, oni jednak zwyrodnieli do tego stopnia, że zadowoleni są ze swego położenia i nie pracują nad jego poprawą.

3. Prawo do wsparcia osłabia warstwy wytwórcze społeczeństwa na korzyść warstw

niewytwórczych i przeciwdziała tym sposobem prawu przyrodzonego doboru, które właśnie udoskonala ustrój społeczny, zapewniając przewagę żywiołom silnym nad żywiołami słabymi. Istotnie, jest rzeczą jasną, że warstwy ubogie nie są najzdrowszą i najdzielniejszą cząstką ustroju społecznego, społeczeństwo zaś może ich żywić tylko podatkami, pobieranymi z wytworu pracy zdolnych do wytwarzania. Wobec ciągłego wzrostu warstwy ubogich, haracz nałożony przez nią na warstwy pracujące, zwiększa się również bez końca i może strącić z kolei produkujące warstwy w przepaść ubóstwa [1]). Teorya ta o stosunkowem wzrastaniu liczby ubogich jest zanadto skrajna, wszyscy bowiem wiedzą (statystyka nie pozwala zaprzeczyć temu), że w Anglii n. p. liczba potrzebujących pomocy zmniejsza się z roku na rok. Z tych dowodów jeden tylko można wyciągnąć wniosek, to jest, że należy jak najostrożniej zorganizować prawo do wsparcia publicznego, ale nie można ukuć z nich broni przeciw prawu, jako takiemu.

Wprawdzie nadzieja otrzymania pensyi, wypłacanej jako wsparcie z funduszów publicznych, osłabia działalność wytwórczą lub oszczędność; lecz pewny przytułek, oczekiwanie spadku lub po prostu posiadanie papieru wartościowego wywołuje zupełnie te same skutki.

Wprawdzie utrzymanie i zachowanie wśród społeczeństwa wszystkich chorych, słabych, nieudolnych, leniwych lub po prostu naiwnych i dobrodusznych, szkodzić

[1]) W każdem społeczeństwie jest wielu ludzi, których dochody ledwo pokrywają wydatki i którzy stoją na pograniczu między zamożnością, a ubóstwem. Szalę przeważyć może niewielki podatek, który wystarczy do zepchnięcia ich na drugą stronę granicy, w szeregi ubogich. W Anglii zdarzało się, że mali właściciele nie mogli uiścić się z opłaty parafialnej na rzecz ubogich, bo była zanadto uciążliwą dla nich, wywłaszczano ich zatem z ziemi, a skutkiem tego, pozbawieni dochodów przechodzili z warstwy wspierających do warstwy wspieranej.

może ekonomicznemu rozwojowi; lecz rozwój moralny nie jest mniejszej wagi, a byłby ciężko skrzywdzony w społeczeństwie, któreby przyjęło za zasadę niemiłosierne usunięcie wszystkich nędzarzy.

Wprawdzie liczba urodzeń jest wyższą w klasach wspieranych niż w warstwach, które same sobie wystarczają, jeśli jednak wychowamy te dzieci na dobrych obywateli, będzie to dobrodziejstwem, a nie nieszczęściem, zwłaszcza we Francyi, ponieważ tam warstwy wyższe nie chcą, lub już nie mogą wytwarzać dzieci.

Wsparcie z funduszów publicznych powinno opierać się na następujących zasadach:

1) Powinno być gminnem (lub parafialnem, jak powiadają w Anglii). Gminie łatwiej jest, niż państwu rozróżnić prawdziwych ubogich od oszustów dlatego, ponieważ tworzy zazwyczaj małe stowarzyszenie, to też gmina zwykle mniej pieniędzy rozdaje między oszustów. W tym ustroju każdy ma prawo do pomocy tylko w tej gminie, w której urodził się lub w której żyje [1]). W każdym razie, ponieważ mogłoby się zdarzyć, że ciężary stąd wynikające byłyby zanadto nierówno rozłożone, mogą gminy łączyć się w stowarzyszenia (tak jak w Anglii), a państwo może im przyjść z pomocą, gdyby dochody ich były niewystarczające.

2) Wsparcie z funduszów publicznych powinno być obowiązkowe, jak to już powiedzieliśmy, to znaczy, że na pokrycie wydatków powinny istnieć osobne źródła dochodów. We Francyi jest inaczej. Istnieje tam wprawdzie wsparcie z funduszów publicznych (niema kraju

[1]) Ten warunek prawnego miejsca pobytu, jak go nazywają, pociąga za sobą co prawda pewne niedogodności, wywołuje mianowicie trudności i nieustanne spory między gminami, lecz we Francyi warunek ten miałby może tę zaletę, że przywiązywałby robotników do gminy, w której urodzili się, że więc położyłby w pewnej mierze tamę wyludnianiu się wsi i rozrostowi wielkich miast.

cywilizowanego, w którymby wsparcie tego rodzaju zgoła nie istniało), a nawet wydaje się na ten cel przeszło 50 milionów rocznie [1]), ale wydatki te zależą wyłącznie od dobrej woli gmin, departamentów lub państwa. A przecież prawo to odnajdujemy w licznych, z kolei po sobie następujących, konstytucyach francuskich, ponieważ jednak żadna ustawa nie określiła bliżej tego wsparcia, przeto prawo do wsparcia pozostało nadal czczym frazesem ustawodawczym. Głównymi czynnikami wsparcia z funduszów publicznych we Francyi są domy dobroczynności, jakoteż szpitale i przytułki. Zadaniem domów dobroczynności jest dostarczanie pomocy w pomieszkaniach ubogim; przytułki opiekują się starcami, dziećmi i kalekami (ślepymi, głuchymi i obłąkanymi); szpitale zaś przyjmują chorych. Zarząd zakładów tych sprawują komisye administracyjne. Źródłami dochodów są przedewszystkiem dobra, które zakłady te nabyły jako osoby prawnicze w drodze darowizny lub zapisu; nadto rozporządzają zasiłkami, przyznawanymi im dobrowolnie, a nie z mocy ustawy, przez gminy i kilku innymi, nieznacznymi funduszami [2]).

W Anglii, tak jak we wszystkich krajach protestanckich [3]), wsparcie z funduszów publicznych jest obowiązkowe. Zajmuje sie niem szereg ustaw, z których pierwsza sięga czasów królowej Elżbiety, a całość jest pomnikowem dziełem ustawodawstwa angielskiego. Każda parafia pokrywa wydatki z tytułu wsparcia osobnym podatkiem, zwanym *poor-rate*, (podatek na ubogich); cały dochód z tego źródła wynosi mniej więcej 200 milionów franków.

3) Wsparcie z funduszów publicznych powinno być wykonywane w odrębnych na ten cel przeznaczonych zakładach, zastosowanych do rozmaitego rodzaju ubogich:

a) dla kalek, starców, dzieci, ślepych i t. d. powinny istnieć przytułki i ochrony, w którychby każdy w razie potrzeby mógł znaleźć pomieszczenie;

b) dla ubogich, zdolnych do pracy, ale pozbawionych zatrudnienia, należy założyć domy pracy, gdzie każdy będzie swobodnie wchodził i wychodził. Najlepsze byłyby osady rolne, w którychby zatrudniano ubogich pracą na roli [1]);

c) dla włóczęgów i żebraków trzeba zbudować domy

---

[1]) Budżet wsparcia z funduszów publicznych wynosi 40 milionów dla gmin, (z tego przypada na sam Paryż 21 milonów), a 13 dla państwa.

[2]) Państwo przyznało im dochód z kilku małych podatków, naprzykład 10% pobieranych od teatrów i widowisk publicznych.

[3]) Państwa europejskie można podzielić pod względem ustawodawstwa o wsparciu z funduszów publicznych na dwie zupełnie różne kategorye.

Wszystkie kraje protestanckie przyjmują zasadę obowiązkowego, to jest ustawą nakazanego wsparcia z funduszów publicznych; kraje katolickie znają tylko dobrowolne wsparcie z funduszów publicznych. Powód tego ciekawego przeciwieństwa jest czysto historyczny. W ciągu średnich wieków zakony katolickie podjęły się utrzymywania ubogich; w krajach zaś, w których reformacya zwyciężyła, państwo, zagarniając majątki stowarzyszeń kościelnych, zazwyczaj ponosiło ciężary, połączone z nimi, a więc także obowiązek wspierania ubogich.

[1]) Odrzuciliśmy zasadę prawa do pracy, lecz trzeba zachować obowiązek do pracy; są to dwa różne pojęcia, jeśli chodzi o ubogich, zdolnych do pracy. Trudno jednak znaleźć pracę produkcyjną, a zwłaszcza nie łatwo jest zmusić potrzebujących wsparcia do pracowania. W Anglii zamykają ubogich w sławnych *workhouses* i używają ich do prac poniżających nawet przez swą bezużyteczność (naprzykład do robienia sznurów z przędzy i do rozplątywania tych samych sznurów w celu zrobienia z nich napowrót przędzy). Wyniki osad rolnych w Holandyi i w Niemczech są o wiele więcej zadowalniające. Ubodzy pracują tam daleko chętniej, nie czują, że są uwięzieni, a przedewszystkiem praca ich jest bardziej wytwórczą, albowiem większość tych zakładów pokrywa mniej więcej koszta, połączone z ich utrzymaniem. Nadto wielu z tych ubogich zostaje dzierżawcami, a nawet właścicielami, a to właśnie jest głównym celem wszelkiego wsparcia. (Szczegóły o tej instytucyi i o wszelkich rodzajach wsparcia z funduszów publicznych lub pry-

pracy przymusowej, a ponieważ celem ich jest wywarcie wpływu umoralniającego i uszlachetniającego, przeto według tego oznaczyć należy czas zamknięcia w tych zakładach;

d) dla chwilowo zubożałych należy założyć schroniska nocne i kuchnie ludowe, gdzie znajdą pomieszkanie i żywność na przeciąg dwóch lub trzech dni.

Nie znaczy to, że wsparcie z funduszów publicznych powinno bezwarunkowo wykluczyć z zakresu swego działania udzielanie pomocy w pomieszkaniu. Ten sposób wsparcia ma wielkie zalety, a przedewszystkiem jest o wiele mniej kosztowny i nie niszczy życia rodzinnego przez przymusowe rozłączenie. Lecz administracya publiczna zazwyczaj nie potrafi wykonać tego rodzaju wsparcia i nie umie odróżniać prawdziwych ubogich od oszustów, skutkiem czego wspiera często — wiemy o tem z doświadczenia — ubogich, niegodnych tego i przyczynia się do niepomiernego wzrostu liczby biednych. To właśnie doprowadza nas do ostatniej zasady:

e) w tych wypadkach, w których wsparcia z funduszów publicznych udziela się w pomieszkaniu, trzeba o ile możności jak najczęściej zwracać się, jeśli chodzi o zasięgnięcie wiadomości, a nawet o rozdzielenie wsparcia, do dobrej woli jednostek. Ajenci wyznaczeni z urzędu przez prefekta, na wzór tych, z których składają się francuskie biura dobroczynności, lub nawet wybierani przez komisye na wzór tych, którym poruczono te obowiązki w Anglii, nie dorównają nigdy ochotnikom miłosierdzia. Właśnie na tem szczęśliwem połączeniu wsparcia publicznego z miłosierdziem prywatnem, polega wyższość słynnego systemu elberfeldzkiego (od miasta Elberfeld [1]).

watnych znaleść można w małej książce pastora Robin'a: *Hospitalite et travail).*

[1]) Pomoc w pomieszkaniu w każdym razie powinna być zależną od dwóch warunków:

4) Cały ten system opiera się na zasadzie zakazu prawnego żebractwa. Rzeczywiście wyżej opisany mechanizm dobroczynności publicznej nie może działać, jeżeli ubodzy zdołają uzyskać, w drodze żebraniny, utrzymanie bez pracy. Zakaz prawny jednak nie wystarczy, jeżeli równocześnie jednostki prywatne nie powstrzymają się od udzielania wszelkich wsparć pieniężnych. Tem łatwiej to uskutecznić, że każdy może dawać jałmużnę rozsądniej, mianowicie nabywając na rzecz ubogich przekazy na domy pracy dla ubogich (oczywiście tam, gdzie one istnieją) i dostarczając w ten sposób tym zakładom środków materyalnych. Niepodobna jednak zakazywać żebrania, jeżeli się przedtem już nie zorganizowało pomocy publicznej; nie można zabronić wyciągania ręki, jeżeli się ubogich pozostawia ich własnemu losowi, jeżeli pozwala się im umierać z głodu. Podobne ustawodawstwo — a istnieje ono w wielu państwach — jest bezlitosne i nierozsądne, należy więc je zmienić jak najprędzej.

Odpowiedź na pytanie, czy liczba ubogich wzrasta, jest jedną z najsporniejszych. Łatwo można się domyśleć, że odpowiedź szkoły socyalistycznej jest twierdząca; uważa ona za pewnik, że bogaci stają się coraz bogatszymi, a biedni coraz biedniejszymi. Szkoła optymistyczna broni odmiennego zdania i udowadnia statystyką, głównie angielską, zmniejszanie się liczby ubogich. Liczby statystyczne nie mają jednak wiele wartości pod tym względem, albowiem pojęcie ubóstwa jest nieokreślone i giętkie. Szukając odpowiedzi na to pytanie, zajmijmy się raczej rozmaitymi,

1. nie powinna być nigdy wypłacaną w pieniądzach lecz w naturze, naprzykład w postaci bonów do kuchni ludowej, lub w postaci przedmiotów, zakupionych przez tego, który rozdziela wsparcie;

2. nie powina nigdy być wypłacaną bez poprzedniego zasięgnięcia wiadomości, a to wymaga koniecznie założenia osobnej ajencyi. W Paryżu istnieje taka ajencya dzięki inicyatywie prywatnej i oddaje wielkie usługi.

omówionymi już przez nas powodami ubóstwa i spróbujmy wykazać w jaki sposób one oddziaływują. Przypomnijmy sobie nasz podział biednych na trzy kategorye; jedni nie mogą pracować, bo są kalekami lub nie mają sił po temu; drudzy nie mogą, bo nie mają zatrudnienia; inni wreszcie, bo nie chcą.

Co się tyczy pierwszej kategoryi, zdawałoby się, że postępy hygieny i nauki powinnyby zmniejszyć liczbę dotkniętych nieuleczalnemi słabościami lub przynajmniej powinnyby umożebnić pracę wytwórczą niektórym z pomiędzy nich, naprzykład głuchoniemym lub ślepym. Lecz z drugiej strony pewne przyczyny, a zwłaszcza alkoholizm, wywołują przerażający wzrost obłąkanych. Również coraz częściej powtarzają się urodziny dzieci nieślubnych, a to jest także bardzo ważnym powodem ubóstwa.

Co się tyczy drugiej kategoryi biednych, niema wątpliwości: bezrobocia, wynikające z wynalazków technicznych lub z nadmiaru produkcyi, przesilenia ekonomiczne, których powodem wielka produkcya i konkurencya międzynarodowa, są zjawiskami nowszych czasów i nie były znane dawniejszym pokoleniom.

Co się tyczy trzeciej kategoryi, postępy wychowania publicznego, wzrastające poczucie godności ludzkiej, niezgodny z koczowniczem życiem rozwój życia cywilizowanego powinny przyczynić się do zniknięcia lenistwa i włóczęgi tak zwykłej w społeczeństwach średniowiecznych i starożytnych, lub dziś jeszcze w krajach wschodnich. A przecież przewidywania tego nie potwierdza rzeczywistość. Liczba włóczęgów i żebraków jest niezmierną w naszych cywilizowanych społeczeństwach, a zgoła nie zmniejsza się.

Zważywszy tedy wszystkie za i przeciw, dochodzimy do wniosku, że przyczyny, wywołujące rozwój ubóstwa w naszych nowożytnych społeczeństwach są silniejsze niż te, które działają w kierunku przeciwnym. Mimo to, trudno zgodzić się na wniosek, że ubóstwo będzie istniało

wiecznie i zwiększało się bez przerwy. Nie można przecież zupełnie zwątpić o przyszłości rodzaju ludzkiego, trzeba tedy wierzyć w zmniejszenie się z biegiem czasu oddziaływania kilku przynajmniej z omówionych powyżej przez nas i to najważniejszych przyczyn. Ubóstwo, zawisłe od powodów osobistych i przyrodzonych, jako to od wieku podeszłego, od chorób, słabości fizycznych i moralnych, zniknie dzięki dobrze zorganizowanemu systemowi ubezpieczeń — lecz ubóstwo, wywołane przez przyczyny ogólne i ekonomiczne nie zniknie, chyba w razie zmiany obecnego porządku społecznego.

Prawo do pracy jest najściślej związane z prawem do utrzymania, nie chodzi bowiem o pracę jako taką, lecz o pracę, której wynagrodzenie umożliwiłoby zaspokojenie potrzeb. Uzasadnienie i rozmiary prawa do pracy są następujące. Każda organizacya społeczna nakłada na jednostkę pewne ciężary, mianowicie ograniczenie swobody działania jednostki, obowiązek pracy na rzecz ogółu i obowiązek świadczeń materyalnych dla społeczeństwa. O ile ustrój społeczny wogóle dla rozwoju jednostek jest nader użyteczny, o tyle obowiązki te i granice zmuszają czasami do postępowania niezgodnego z własnym interesem. To konieczne poświęcenie korzyści osobistej na rzecz ogółu jest zwyczajnie zrównoważone ogółem świadczeń i zysków, które ustrój społeczny zapewnia jednostkom, niekiedy jednak świadczenia jednostek na rzecz społeczeństwa są tak znaczne i ciężkie, że uniemożliwiają lub w nader wysokim stopniu utrudniają pracę na własne utrzymanie, albo też ograniczenia swobody idą tak daleko, że pewne jednostki nie mogą znaleźć sposobności do pracy. Wtedy ogólne korzyści z ustroju społecznego nie stanowią już dla tych osób dostatecznego ekwiwalentu, tak, że jako konieczne uzupełnienie podobnej organizacyi powstaje obowiązek społeczeństwa dostar-

czenia środków do życia tym, którzy sami zapewnić ich sobie nie mogą.

Im dalej idzie państwo w swych dążeniach, tem obowiązki jego w powyższym kierunku są obszerniejsze. Państwo klasyczne, które właściwie nie pozostawiało obywatelom żadnej sfery działania, stanowczo oddzielonej od państwa, które każdej chwili mogło każdego powołać bez ograniczenia do swej służby i całe jego mienie zużyć na cele publiczne, musiało naodwrót zapewnić wszystkim obywatelom środki do życia.

Średniowieczna organizacya, osłabiająca państwo na rzecz poszczególnych stanów, przyniosła zmianę stosunków na tem polu. Państwo, stykając się bezpośrednio z niewielu tylko jednostkami, nie miało wobec innych obowiązków, które przeszły na panów lennych w stosunku do lenników i na stany w stosunku do swych członków. Równocześnie jednak, dzięki chrześcijaństwu, rozszerzyły się powody, dla których jednostka miała prawo do środków utrzymania, a tem samem zwiększył się i zakres osób, którym to prawo przyznano. W świecie klasycznym tylko obywatel miał prawo do domagania się od państwa w razie potrzeby środków do życia, bo tylko on miał wobec państwa obowiązki. W ustroju średniowiecznym uprawnienie opierało się na prawie naturalnem do życia, uznanem przez etykę chrześcijańską. Choćby ktoś nie miał żadnych obowiązków, posiadał prawo do środków do życia, a posiadał je każdy człowiek wolny i niewolny, swój i obcy.

Ta przemiana w średnich wiekach oddziałała nader wybitnie na obecne panujące stosunki. Państwo nowożytne stawia wymagania tak wysokie, że niewątpliwie narusza w pewnych kierunkach możność pracy na własne tylko potrzeby, a narzucając swoje, utrudnia byt jednostek. Przytem uchylenie ustroju

stanowego zetknęło bezpośrednio państwo z jednostką, tak, że podobnie jak w starożytności, państwo ma dzisiaj obowiązki względem swych obywateli. Obowiązek ten jest podwójny, raz jako prawo ogólnoludzkie, oparte o chrześcijańską etykę, powtóre jego wzajemne świadczenie w zamian za to, czego się żąda od jednostki. Powstaje więc ogólny obowiązek państwa do zabezpieczenia bytu jednostki, jeżeli ona sama nie może spełnić tego zadania. Państwo jednak, posługuje się w wykonaniu tego obowiązku związkami mniejszymi, lokalnymi (gminy, okręgi), a zarazem akcentując przedewszystkiem stronę etyczną a nie prawną, ogranicza rozmiary swego obowiązku do pokrycia niezbędnych, naturalnych potrzeb.

W taki sposób należy dzisiaj pojmować prawo do środków utrzymania, t. zw. prawo ubogich. W zastępstwie państwa występuje ono wobec gmin, a ponieważ jest raczej wypływem panujących poglądów etycznych, aniżeli ekwiwalentem za wzajemne świadczenia, przeto dla uprawnionego jest prawem bez sankcyi i niema określonych bliżej wymiarów co do jakości utrzymania. Związki publiczne mają obowiązek dostarczenia środków do życia tym, którzy sami ich nie posiadają, ubodzy jednak nie mogą tych świadczeń prawnie dochodzić; związki publiczne same określają, w jaki sposób zapewnienie utrzymania ubogich ma być przeprowadzone, interesowani nie mają wpływu ani na jego rodzaj, ani na rozmiar.

Ogólne panujące poglądy społeczne traktowały ten obowiązek, jako akt dobroczynności i miłosierdzia chrześcijańskiego. Dopiero najnowszy ruch społeczny sprowadził i na tem polu znaczną zmianę zapatrywań. Przejawiło się to na polu prawa do utrzymania w ten sposób, że zaczęto uważać je nie za dobrodziejstwo, lecz za ściśle określony obowiązek ogółu wobec potrzebujących. Jednostki, nie

mogące się utrzymać, mają prawo żądać utrzymania od związków publicznych i to w wysokości odpowiadającej ich wymogom stanowym. A ponieważ korzystanie z dobroczynności publicznej, mającej charakter dobrodziejstwa i łaski, jest czemś ubliżającem, przeto interesowani mają prawo domagać się, ażeby dano im sposobność do pracy, której zapłata wystarczyłaby na zaspokojenie ich potrzeb obecnych i na zabezpieczenie ich bytu w czasie, gdy już nie będą zdolni do pracy. W ten sposób powstała teorya prawa do pracy. Według niej ustrój społeczny powinien być tak urządzony, ażeby każda jednostka mogła w odpowiedniej pracy zużytkować swe siły; czuwać nad tem powinno państwo, jego przeto jest obowiązkiem dostarczenie pracy, odpowiedniej osobistym kwalifikacyom danej jednostki, o wynagrodzeniu, wystarczającem na zaspokojenie potrzeb, powszechnie odczuwanych w sferze pracującego.

Prawo do pracy wywołało w nauce i w praktyce liczne spory. Są zdania, bezwzględnie je przyjmujące, inne znowu, które odrzucają je stanowczo, jak zwykle jednak, słuszność jest po środku. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że dobry ustrój społeczny winien w najlepszy, a więc odpowiedni zdolnościom sposób zużytkować wszystkie siły, któremi społeczeństwo rozporządza, pewnem jest również, że społeczeństwo, żądając od jednostki wiele, znaczne także musi mieć wobec niej obowiązki. O tyle mają słuszność zwolennicy prawa do pracy. Z drugiej jednak strony należy stwierdzić, że powodem, dla którego żądamy, ażeby każda siła była jak najlepiej użytą, jest interes ogółu a nie korzyść jednostki, którą ma się użyć. Dla tego też nie można na tej podstawie tworzyć dla jednostki jakiegokolwiek prawa. Ogół przeto jest tu podmiotem mającym prawa i potrzeby, jednostka i jej praca środkiem, który zużywa

się dla zaspokojenia tych praw i potrzeb. Innemi słowy, społeczeństwo tylko ma prawo domagać się, ażeby każdy zdolny do pracy znalazł odpowiednie zatrudnienie, ono jest podmiotem prawa do pracy, podczas gdy jednostka tego prawa nie posiada wcale.

Lecz właśnie dla tego, że jednostka jest przedmiotem, zużytym dla ogółu, że jest użyteczną jego częścią, ma ona prawo do utrzymania swego bytu, t. zn. może żądać zapewnienia sobie utrzymania. Prawo do pracy, a raczej prawo do żądania, ażeby każdy odpowiednio pracował, jest prawem podmiotowem społeczeństwa, prawo do utrzymania jest prawem jednostki. A prawo to nie ma w sobie nic ubliżającego, bo jest zupełnie pozbawione charakteru litości czy dobrodziejstwa. Jednostka, w danej chwili nawet nie pracująca, gdyż nie znalazła na razie po temu sposobności, nie przestaje być użytecznym członkiem społeczeństwa, który musi być w interesie tego społeczeństwa utrzymany nadal. Stąd też nie pobiera ona utrzymania, choćby darmego, jedynie w swym własnym interesie lecz także w interesie ogółu, t. zn. otrzymuje zapłatę za swą zdolność do pracy, na razie tylko nie zużytkowaną, podobnie jak ktoś, kto pracuje tylko w pewnych czasach, pobiera płacę nawet za dnie wolne, właśnie dla tego, że chodzi o zużytkowanie jego sił w chwilach, gdy zajdzie tego potrzeba.

Ogólny przeto rezultat da się streścić w następujących zasadach. Prawo do pracy nie da się utrzymać jako prawo jednostki, która może żądać tylko zapewnienia odpowiednich środków do życia. Społeczeństwo musi się domagać, ażeby każdemu była zapewniona właściwa sposobność do pracy, jakkolwiek nie ma on prawa do pracy. Tam gdzie to jest na razie niemożliwe, albo też z wyjątkowych

powodów niezgodne z interesem ogółu, tam należy wszystkim użytecznym, lub mogącym później być użytecznymi członkom społeczeństwa zapewnić odpowiednie środki do życia. Ci wreszcie, którzy są już nie zdolni do pracy, mają prawo domagać się środków do życia od społeczeństwa w zamian za świadczenia, które na rzecz ogółu oddali poprzednio, a jedynie ci, którzy nigdy użytecznymi nie byli i nie będą, mają to prawo tylko z tytułu etycznego, a więc korzystają z dobroczynności publicznej, świadczonej im bez żadnego gospodarczego obowiązku.

ROZDZIAŁ VII.

ZASADY SOCYALISTYCZNE.

Rozdział dochodów, który widzimy w rzeczywistem życiu, wydaje się z wielu względów tak niesprawiedliwy, że ludzkość szukała we wszystkich epokach lepszych sposobów. Ta naturalna dążność do ulepszenia naszego ustroju zrodziła wszystkie systemy socyalistyczne. Wprawdzie socyaliści powstają nietylko przeciw rozdziałowi, pragną bowiem zmienić także zasady produkcyi i wymiany — Fourier omawia przedewszystkiem sposoby pomnożenia dóbr gospodarczych, mniej dbając o ich rozdział; Karol Marx uważa dzisiejsze i dawniejsze zasady rozdziału dochodów jako konieczny skutek panujących form produkcyi. Mimo to doktryny socyalistyczne poznaje się najlepiej przy kwestyi rozdziału, bo ostatecznie wszystkie dadzą się sprowadzić do wiecznej wojny ubogich z bogatymi. Należy więc w krótkości przedstawić tu charakterystyczne cechy głównych szkół socyalistycznych. Można w nich odróżnić cztery rozmaite kierunki, według czterech zasad rozdziału

dochodów, które jedynie dadzą się pomyśleć, a mianowicie:

1) każdemu równo;
2) każdemu według jego potrzeb;
3) każdemu według jego zasług;
4) każdemu według jego pracy.

I.

Równy podział.

Przypuśćmy więc, jak to czynili dawniejsi reformatorowie społeczeństw — że żyjemy w nowym świecie, na wyspie Utopii Morusa i tam, pomijając wszystko, co mogłoby nam przeszkadzać, więc przeszłość dziejową, zwyczaje lub prawa, szukamy zasady sprawiedliwego rozkładu, która nam służyć powinna za podstawę rozdziału dóbr.

Zdawałoby się, że wobec tego, iż bogactwo społeczne jest rozdzielone nierówno, że jedni mają za wiele, inni za mało, lekarstwo jest bardzo proste, bo wystarcza nadmiar zabrać bogatym i dać ubogim. W ten też sposób natury proste rozumieją socyalizm.

Jednakże podczas gdy koncentracya majątków w niewielu rękach wywiera na publiczność silne wrażenie, inne zjawisko, równie doniosłego znaczenia, wysuwa się zupełnie z pod naszej uwagi. Jest niem mała liczba bogatych we wszystkich krajach, nawet najzamożniejszych.

Wbrew powszechnemu przesądowi, ilość wytwarzanych dóbr jest mała, niedostateczna i to nawet w krajach, zwanych bogatymi. To właśnie utrudnia i zarazem zaostrza kwestyę rozdziału. Jest rzeczą jasną, że człowiek, choćby był na całym świecie najzręczniejszy w dzieleniu, nie potrafi wykroić z małej ilości, przeznaczonej do podziału, wielkich części. Łatwo przytoczyć niezbity dowód na to, co powiedzieliśmy. Ogólna ilość dóbr, które

mogą istnieć w takim kraju, jak Francya, oszacowana jest na 230 miliardów. Jeśli podzielimy tę liczbę przez liczbę oznaczającą ludność Francyi, a więc przez 39 milionów, otrzymamy jako iloraz 6000 franków. Przypuściwszy, że dobra byłyby rozdzielone na zasadzie równości między wszystkich Francuzów, to każda rodzina (licząc cztery osoby na rodzinę) otrzymałaby mniej więcej kapi- 24.000 franków, z czego połowę mniej więcej w ziemi. Może kto powie, że to położenie byłoby w każdym razie lepszem od teraźniejszego? Niezawodnie, ale trzeba przynajmniej przyznać, że byłoby to położenie bardzo skromne dla każdego i z pewnością bardziej zbliżone do ubóstwa, niż do bogactwa. Ten sam rachunek, zastosowany do Anglii lub do Stanów Zjednoczonych, doprowadziłby do zupełnie podobnych, analogicznych wyników, a zastosowany do każdego innego kraju, do wyników nawet znacznie gorszych [1]).

Stąd widać, jak bardzo mylnem jest zdanie ogółu i pewnej części socyalistów, którzy wyobrażają sobie, że do rozwiązania kwestyi socyalnej wystarczy uszczuplić udział bogatych, by o tę samą kwotę zwiększyć udział biednych. Ten dziecinny i nierozsądny sposób postępowania, przypuściwszy nawet możliwość jego urzeczywistnienia, zwiększyłby tylko w stosunku śmiesznie małym dochód olbrzymiej większości, tak, jak gdyby n. p. zdołano rozdzielić po całej powierzchni ziemi francuskiej wszystkie jej góry wraz z Mont-Blanc: podniesionoby tylko o kilka stóp poziom ziemi.

Zapominają o tem, że jeśli jest tylu ludzi na tym świecie, którzy posiadają tak małą część dóbr, to nietylko dlatego, że dobra są źle rozdzielone, ale przedewszystkiem dlatego, że ich ilość jest niedostateczna. Trudności kwestyi szukać należy nietyle w nierównym podziale — na to znalazłaby się dość łatwa rada — ile w niedostateczności dóbr.

[1]) Cały majątek Włoch szacują zaledwie na 54 miliardów, a więc przypada na głowę 1760 franków, a mniej więcej 7000 franków na rodzinę (Pantaleoni *Giornale degli Economisti*, sierpień 1890).

Ze stwierdzenia tego faktu wynika, co następuje. Każdy sposób rozdziału, któryby przedłożono, powinien być odrzucony bez wahania, choćby zresztą odpowiadał ideałowi sprawiedliwego rozkładu, jeśliby spowodował zmniejszenie produkcyi, albowiem w tym razie, zwiększałby zło, które ma leczyć. Rozwiązanie kwestyi rozdziału zależy więc od niezbędnego warunku, którym jest: nietamowanie działalności produkcyjnej. Zobaczymy, że właśnie o ten szkopuł rozbijają się wszystkie systemy socyalistyczne. Rozwiązanie kwestyi powinno zadość uczynić jeszcze jednemu warunkowi, który jest w pewnym związku z poprzednim, mianowicie nie powinno niszczyć wolności osobistej. Otóż przypuściwszy, że znajdziemy idealnie sprawiedliwą zasadę rozdziału, czyż nie będzie potrzeba władzy, przeznaczonej do wprowadzenia w życie tego prawa przez udzielenie każdemu jego części, podobnie jak matka dla każdego dziecka kraje chleb? Czyż ujęcie w przepisy rozdziału, nie zmusi do wydania przepisów dla produkcyi i pracy? Czyż którakolwiek władza, przeznaczona do podziału, potrafi w dniu żniw odliczyć każdemu jego snopki, a mimo tego zostawić każdemu wolność siania i pracowania według swej woli? To nie jest prawdopodobne. Trzebaby więc dla uniknięcia tej przeszkody wynaleźć sposób rozdziału, działający sam przez się, samodzielnie i bez konieczności ciągłego wkraczania władzy rozdzielającej.

II.

Komunizm.

Podział więc jest niemożliwy, lecz po co w ogóle dzielić? Każdy rozdział będzie przyczyną nowych nieró-

wności; dlaczego odtąd nie pozostawić raczej wszystkiego razem w rękach społeczeństwa, niż w rękach jednej i tej samej rodziny i każdemu wydzielić według jego potrzeb? To jest w istocie najprostszy i zarazem najdawniejszy ze wszystkich dotąd utworzonych systemów — komunizm[1]).

[1]) Liczba autorów, począwszy od Platona w jego Rzeczypospolitej lub nawet Fenelona w Telemaku, którzy stworzyli mniej lub więcej komunistyczne teorye, jest bardzo wielką, lecz za naczelników szkół można uważać jedynie: Gracchusa Baboeufa, Roberta Owena i Cabeta. Baboeuf, który się nazwał Gracchusem, (ponieważ sądził, że trybun rzymski, twórca ustaw agrarnych, wynalazł równy rozdział) był naczelnikiem spisku »Równych«, za czasów dyrektoryatu i został skazany na śmierć i stracony w r. 1797. Rozwinął cały plan ustroju społecznego w programie, zaczynającym się od słów: »Przyroda dała każdemu człowiekowi równe prawo do użycia wszystkich dóbr«. W każdym razie ruch ten miał raczej znamię rewolucyjne niż społeczne.

Owen, urodzony w Szkocyi w r. 1771, (umarł w r. 1857), był natomiast wielkim filantropem; już z początkiem tego wieku w swych zakładach w New-Lanark stworzył zawiązek wielkich urządzeń dobroczynnych naszego czasu: ograniczenie godzin pracy, zakaz pracy dzieci, stowarzyszenia robotnicze udziałowe, kasy oszczędności, magazyny spożywcze, a nawet szkoły świeckie. Nie zadowolnił się tem, marzył o stworzeniu społeczeństw komunistycznych i założył takowe w Stanach Zjednoczonych pod nazwą New-Harmony w r. 1826. Po kilku latach powodzenia, osady te rozpadły się.

Cabet, autor *Ikarii*, jednej z licznych powieści, będących naśladownictwem *Utopii* Tomasza Morusa, założył w r. 1848 stowarzyszenie Ikaryjczyków, które dziś jeszcze istnieje w stanie Jowa. Istnienie jego zakłócały wewnętrzne spory. Kilkanaście lat temu rozpadło się na dwie części, liczba członków jest nieznaczna (75 w *Młodej Ikaryi)*, położenie finansowe niepomyślne. Fouriera niesłusznie zawsze zaliczają do prawdziwych komunistów. Fourier był komunistą tylko o tyle, o ile chodziło o produkcyę i konsumcyę, a wcale nim nie był pod względem rozdziału dóbr. Życie wspólne w falansterze było dla niego tylko środkiem zorganizowania konsumcyi i produkcyi w warunkach bardziej ekonomicznych, ale celem jego nie było stworzenie równości między ludźmi; owszem chciał on pozostawić nietknięte nietylko nierówności, wynikające z pracy lub

Nikt nie zechce zaprzeczyć, że zasada: »każdemu według jego potrzeb« byłaby najlepszą i najdogodniejszą, gdyby dobra gospodarcze znajdowały się w nieograniczonej, a przynajmniej nadmiernej ilości, czyli, mówiąc językiem anarchistów, gdyby każdy miał czerpać je tylko z nagromadzonej masy, jak czerpiemy dowolnie powietrze lub wodę.

Niestety nie jesteśmy w tem szczęśliwem położeniu. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, ilość dóbr nigdy nie wystarczy na pokrycie wszystkich naszych potrzeb i pragnień, gdyż wzrastają one właśnie w miarę łatwości, z którą je zaspakajamy. Należałoby je więc ograniczyć, lecz któż się podejmie w społeczeństwie tej tak delikatnej roli? W rodzinie spełniają to zadanie rodzice, oddając każdemu jego część, lecz w najnowszem społeczeństwie komunistycznem niema żadnego odpowiedniego na to czynnika. Zapewniają wprawdzie, że wszystko się ułoży przy dobrej woli i wzajemnych ustępstwach, lecz ta hipoteza tak jaskrawo sprzeciwia się wszystkim naszym wiadomościom o naturze ludzkiej, że niepodobna się na niej opierać.

Jednakże komunistycznej organizacyi nie można zaliczyć bezwarunkowo do urojeń, skoro niewątpliwie istniała, jeśli nie w kolebce wszystkich społeczeństw ludzkich, jak tego dowodzono w sposób zanadto bezwzględny, to przynajmniej w początkach wielkiej części z pomiędzy nich.

Dziś jeszcze, nie mówiąc już o katolickich klasztorach, znajdujemy w Stanach Zjednoczonych dość liczne i bardzo charakterystyczne przykłady stowarzyszeń ściśle komunistycznych, a niektóre z nich istnieją blizko sto lat. Choć nie wydały wyników zbyt świetnych, dowiodły przecież samem swem istnieniem, że wspólność dóbr jest or-

zdolności, lecz nawet, jak Fourier wyraźnie to powiada, nierówności wynikające z nierównych włożonych kapitałów.

ganizacyą, mogącą się urzeczywistnić pod pewnymi warunkami [1]). Aczkolwiek doświadczenia poczyniono tylko w małych rozmiarach, dowodzą one jasno, że komunizm nie wyklucza bezwarunkowo pracy i produkcyi, jak lekkomyślnie twierdzono. Członkowie tych stowarzyszeń są wogóle ludźmi dość pracowitymi. Co prawda, nie znajdujemy tam tej silnej podniety, jaką jest własność osobista, skoro każdy pracuje i wytwarza na rachunek wszystkich, zamiast pracować i wytwarzać jedynie dla siebie, ale zazwyczaj, robiąc ten zarzut komunizmowi, zapominamy o tem, że w naszych nowożytnych społeczeństwach brak właśnie tej podniety dla olbrzymiej większości ludzi, to jest dla tych wszystkich, którzy jako najemnicy pracują wyłącznie na rachunek cudzy. Należy przypuszczać, że stowarzyszony, pracujący na rachunek stowarzyszenia, którego sam jest członkiem, weźmie się z większym zapałem do dzieła, jak najemnik, pracujący na rachunek przedsiębiorcy. Dowód więc jest obosieczny, zwraca sie przeciw tym, którzy nim walczą.

Prawdziwej przyczyny niepowodzenia systemów komunistycznych szukać należy w warunkach, niezbędnych do ich urzeczywistnienia, są one bowiem zupełnie niezgodne z kierunkiem rozwoju nowożytnych społeczeństw. By się o tem przekonać, wystarczy zastanowić się nad tymi warunkami, a zbadać je możemy w kilku istniejących gminach komunistycznych, który się utrzymały:

1) Trzeba bardzo małych stowarzyszeń, w których liczba członków nie przekraczałaby kilkuset lub tysiąca. Zresztą komuniści zrozumieli to dobrze, i tak

[1]) Patrz Nordhoff, *Communistic societies* i Richard Ely *The Labor movement in America.* Tych stowarzyszeń komunistycznych jest 70—80, liczba członków wynosi 6—7000, a cały ich majątek w sumie około 120 do 150 milionów franków, przedstawia niezawodnie znaczną wartość. Jest to około 20.000 franków na głowę, a więc o wiele więcej jak w ten sam sposob wyrachowany udział jednostki w naszych najbogatszych cywilizowanych społeczeństwach.

Fourier w swym falansterze uważał liczbę 1500 osób za najwyższą. Owen oznaczał ją na 500 do 2000 [1]). Przyczyna tego bardzo prosta: w miarę jak zwiększa się liczba stowarzyszonych, zmniejsza się interes każdego stowarzyszonego w powodzeniu stowarzyszenia. Gdy jest nieznaczną, każdy może liczyć na wynagrodzenie, zastosowane do jego osobistych wysiłków, lecz w stowarzyszeniu komunistycznem, któreby objęło wszystkich Francuzów, interes jednego wyrażałby się stosunkiem $\frac{1}{39000000}$, a ta mała cząstka nie wzbudzi w nikim gorliwości.

Próżne byłyby próby uniknięcia tej trudności, jak tego domagali się niektórzy komuniści, przez utworzenie wspólności tylko w łonie jednej gminy i rozdzielenie kraju, tak wielkiego jak Francya, na 36.000 odrębnych gmin. W tym wypadku trud byłby stracony, istniałyby gminy bogate i gminy ubogie, a nierówność ludzi zmieniłaby się w nierówność związków.

2) Trzeba stowarzyszeń rządzących się jak najostrzejszą karnością. Łatwo zrozumieć, że równość, wymagana w tego rodzaju stowarzyszeniach, narażonąby została łatwo każdą chęcią jednostki zużycia więcej nad to, co jej przeznaczono, lub zachcianką uchylenia się od swych obowiązków. Zakłady, w których panuje życie wspólne, klasztory, koszary i szkoły, rządzą się surowem posłuszeństwem. Dzieje rzeczypospolitej Ikaryjskiej są godne uwagi z tego punktu widzenia. Widzimy nowych obywateli usiłujących ciągle omijać przepisy, które uważają za nieznośne, lub niewykonalne i Cabeta walczącego napróżno o władzę dyktatora w interesie gminy. Względne niepowodzenie tego stowarzyszenia należy przypisać właśnie niezachowaniu karności.

[1]) Te, które widzimy w Stanach Zjednoczonych, są bardzo nieliczne. Najznaczniejsze pomiędzy niemi, stowarzyszenie Shakersów, składa się z kilku gmin, z których największa Mount-Lebanon liczyła w r. 1876 trochę mniej niż 400 członków (Nordhoff *Communistic societies).*

Godzi się zauważyć, że we wszystkich prawie wypadkach uczucie religijne, posunięte aż do fanatyzmu, było jedynie w stanie utrzymać w tych gminach karność, konieczną dla ich istnienia. Wszystkie związki komunistyczne w Stanach Zjednoczonych, z wyjątkiem Ikaryjczyków, są sektami religijnemi, a rzeczypospolite Jezuitów w Paragwaju były przykładem prawdziwej teokracyi.

Dziś umysły nie są wcale skłonne do poddania się jarzmu jakiejkolwiek władzy, a najmniej jarzmu religijnemu; wobec takiego usposobienia ludzkości przepowiedzieć można każdemu systemowi komunistycznemu niepowodzenie. A mimo to przez zadziwiającą nielogiczność jedyną szkołą socyalistyczną, która dziś jeszcze głosi zasady czystego komunizmu, jest szkoła anarchistów [1]).

III.

St. Simonizm.

Szkoła St. Simona, dziś już zapomniana, wywarła ogromny wpływ na pierwszą generacyę naszego stulecia, szczególniej we Francyi. System ten jest niejako odcieniem komunizmu, gdyż domaga się, aby wszystkie zajęcia, zawody i gałęzie działalności ludzkiej były funkcyami publicznemi w najściślejszem tego słowa znaczeniu, rozdzielonemi i opłaconemi przez państwo. Natomiast oryginalność St. Simonizmu polega na tem, że jest on jakby arystokratycznym socyalizmem. Sławne jego hasło, a zarazem zasada rozdziału, mieści się w zdaniu: każdemu według jego zdolności, każdemu według jego czynów. Zamiast potępiać przemysłowców, kapitalistów i bankierów — szkoła ta zapewnia im drugie miejsce w społeczeństwie, bezpośrednio po uczonych i kapłanach, wraz z którymi mają oni kierować społeczeństwem. Nie oburza się ona na nierówność majątkową i nie pragnie jej znosić, żąda tylko, aby nierówność z tytułu urodzenia zastąpiono nierównością, opartą na zasługach osobistych. Rewolucya francuska, twierdzą St. Simoniści, obaliła wszystkie przywileje polityczne, fiskalne i cywilno-prawne, polegające na urodzeniu; zapomniała tylko o najmonstrualniejszym i najnierozsądniejszym — o przywileju majątku.

Godło szkoły Saint-Simona: »każdemu według jego zdolności, według jego czynów« [1]) jest pełne szlachetności. Lecz któż będzie miał obowiązek oznaczyć zdolności i zasługi każdego i wynagrodzenie, do którego będzie miał prawo? Uczyni to rząd, który zamianuje każdą jednostkę w każdej gałęzi pracy zupełnie tak samo, jak dziś mianuje urzędników, naznacza im posadę i zapłatę, zastosowaną do ich przypuszczalnych zasług. Więc rząd ten będzie chyba nieomylnym papieżem — jak nim zresztą był kapłan w systemie Saint-Simona — jeżeli możemy myśleć o przyznaniu mu tak niezwykłej władzy. Saint Simoniści podnoszą przedewszystkiem z naciskiem, że w naszych społeczeństwach podział dóbr opiera się jedynie na przywileju urodzenia, a całkiem pomija zdolności tych, którzy je otrzymują. To prawda, ale sumienie publiczne z pewnością mniej oburza się widokiem majątku, rozdzielanego przez przypadek urodzenia, aniżeli gdyby rozdawała go łaska i samowola rządu. Przypuściwszy, że za-

[1]) Trzeba w każdym razie zaznaczyć dla wytłumaczenia choć w części tej sprzeczności, że anarchiści chcą odbudować społeczeństwo właśnie w postaci niezliczonej ilości małych stowarzyszeń, wolnych i opartych na samorządzie.

[1]) Saint-Simon, zmarły w r. 1835, pozostawił po sobie luźny system polityczno-religijny, stworzył on jednak wielką szkołę, która oczarowała najznakomitsze umysły tego czasu; dwaj jego uczniowie, Bazard i Enfantin, najwięcej pracowali nad rozwojem jego nauk i nadali im więcej ścisłości, szczególnie pod względem ekonomicznym.

stąpionoby wybór rządu przez głosowanie wyborców lub nawet przez system konkursów i egzaminów, obejmujących wszystkie rodzaje pracy i zawody od najniższych do najwyższych, nie doprowadzonoby i tak do niczego dobrego.

Jesteśmy przekonani, że system ten jest nietylko bez wartości ze stanowiska praktycznego, ale i niewiele więcej wart ze stanowiska sprawiedliwości. Wyższości umysłowej lub fizycznej nie powinno się wzmacniać nowym przywilejem, to znaczy prawem do większego udziału w dobrach materyalnych.

IV.

Kolektywizm.

Kolektywizm jest systemem umiarkowanego komunizmu, około którego skupili się prawie wszyscy dzisiejsi socyaliści (z wyjątkiem anarchistów, którzy dochowali wierności komunizmowi [1]). Kolektywizm pragnie wprowadzić własność społeczną tylko środków produkcyi — ziemi, kopalń, fabryk, banków, surowców — pozostawiając własność indywidualną na przedmiotach konsumcyi, lepiej jednakże, niż dzisiaj, rozdzieloną. Dla odróżnienia się od innych szkół socyalistycznych, przybrał nazwę socyalizmu naukowego, chcąc w ten sposób stwierdzić, że myśli o stworzeniu ideału nowego społeczeństwa,

[1]) Kolektywizmu nie można złączyć ściśle z imieniem jednego człowieka, tak, jak inne systemy socyalistyczne. Colins (1850) w Belgii, Pecqueur (1838) i Vidal (1846) we Francyi poczęli rozróżniać — jest to rys znamienny systemu — narzędzia produkcyi i przedmioty konsumcyi. Lecz dopiero Ferdynand Lasalle, a przedewszystkiem Karol Marx, dostarczyli temu systemowi broni, którą robi wyłom w dzisiejszym ustroju naszych społeczeństw. Plan przyszłego ustroju kolektywistycznego rozwinął Cezar de Paepe, Belgijczyk.

opartego na zasadzie słuszności i braterstwa, a także, że rości sobie prawo do tego, jakoby był przedstawicielem porządku rzeczy, do którego siłą rzeczy dążą nowożytne społeczeństwa, pod wpływem praw koniecznej ewolucyi. W tych wszystkich społeczeństwach, utrzymują jego zwolennicy, skutkiem rozwoju wielkiego przemysłu, wielkiego handlu i wielkiej własności, produkcya osobista znika, a w jej miejsce wstępuje produkcya zbiorowa. Dawniej indywidualnej własności odpowiadała indywidualna produkcya, istniała więc harmonia pomiędzy własnością i produkcyą. Dziś jednak, wskutek rozwoju wielkiego przemysłu, handlu i wielkiej własności, produkcya indywidualna pod naciskiem prawa koncentracyi z każdym dniem ustępuje więcej miejsca produkcyi kolektywnej; małych wytwórców wywłaszczają wielcy przedsiębiorcy. Pomimo tego rozdział dochodów opiera się ciągle jeszcze na zasadach indywidualnych, istnieje więc antynomia, która coraz więcej rośnie i doprowadzi wreszcie do upadku ustrój kapitalistyczny. Logika ewolucyi społecznej domaga się, aby kolektywnej produkcyi odpowiadała kolektywna własność, to też z kolei społeczeństwo wywłaszczy wielkich przedsiębiorców. A ponieważ w naszych czasach używa się kolektywnie, przy pomocy płatnych robotników, przedewszystkiem środków produkcyi, jak wielkiej własności ziemskiej, kolei, kopalń, hut, banków i t. d., przeto one nasamprzód przejdą na wspólną własność ogółu.

To uspołecznienie środków produkcyi nastąpi albo legalnie, przez wywłaszczenie [1]), za wolą większości narodu, albo rewolucyjnie, jeżeli opór warstw po-

[1]) Umiarkowańsi domagają się wywłaszczenia za wynagrodzeniem, o ile klasa posiadająca zgodzi się dobrowolnie na oddanie swych środków produkcyi społeczeństwu. Indemnizacya jednak ma być wypłacona nie w kapitale, lecz w kwitach na przedmioty konsumcyi. Inni proponowali wprowadzenie kolektywizmu drogą konfiskaty spadków, w całości lub w części.

siadających nie dopuści rozwiązania pokojowego. Będzie to ostatni akt walki klasowej, która trwa od wieków i, zdaniem Marxa, jest najważniejszem zjawiskiem historycznem, wyjaśniającem wszystkie inne. Skoro się raz przeprowadzi wywłaszczenie, środki produkcyi odda się do użycia związkom robotniczym, rolniczym lub przemysłowym, pracującym pod zarządem wybranych kierowników. Dochody składać się będą w kasach narodowych, które po pokryciu ciężarów społecznych [1]) resztę oddadzą wszystkim pracującym na własność, do dowolnego rozporządzania. Rozdział dochodów będzie się odbywał na zasadzie: każdemu według jego pracy, t. zn. każdemu stosownie do poniesionego trudu, zmierzonego ilością dostarczonej pracy, przyczem osobom, które nie mogą pracować, zapewni się odpowiednie minimum dochodu.

Kolektywizm przeto da się streścić w zdaniu, że dąży do stopniowego uspołecznienia środków produkcyi drogą walki klasowej pracujących z posiadającymi. Nie podobna zaprzeczyć, że ujmuje on rzeczywistość w pewnej mierze prawdziwie. Walka klasowa, chociaż jest objawem ujemnym, istnieje niewątpliwie, a nawet występuje coraz wyraźniej i silniej, w miarę jak polepszają się warunki bytu robotników. Podobnie szerzy się uspołecznienie pewnych zakładów — kolei żelaznych, tramwajów, gazowni, elektrowni, wodociągów, nawet domów mieszkalnych — w kształcie ich upaństwowienia lub umiastowienia. Zarazem przedsiębiorstwa prywatne przybierają również w pewnym stopniu cechę społeczną, wskutek coraz większej kontroli państwowej. Powstaje

[1]) Ciężary publiczne byłyby znacznie wyższe od naszych podatków, bo obejmowałyby koszta utrzymania niezdolnych do pracy, amortyzacyę kapitału społecznego i fundusz rezerwowy na utrzymanie i powiększanie majątku społecznego. Za to kolektywiści spodziewają się, że nie byłoby wydatków na wojsko, marynarkę i naturalnie na oprocentowanie długów.

więc pytanie, czy ten rozwój uogólni się w ten sposób, że doprowadzi do zaniku przedsiębiorstw prywatnych. Nie sądzę, ażeby mogło przyjść do tego, a to z następujących powodów:

To rzekome prawo dziejowe, stanowiące podstawę całego kolektywizmu, według którego produkcya indywidualna musi przejść stopniowo w produkcyę kolektywną, jest uogólnieniem niewłaściwem, gdyż wiele jest zjawisk gospodarczych, wprost mu przeciwnych. W produkcyi rolnej nie można przytoczyć żadnego dowodu, któryby za tem przemawiał i owszem, w miarę wzrostu ludności i postępu uprawy, gospodarstwa rolne stają się coraz mniejsze, a system spółek akcyjnych zastosowano do roli tylko w kilku zupełnie wyjątkowych wypadkach. Nawet w przemyśle widzimy coś podobnego, bo rękodzieła nie nikną wobec wielkich zakładów, lecz rozwijają się wraz z nimi, co najmniej w równym stopniu. Nie widać więc nigdzie owego ogólnego wywłaszczania drobnych wytwórców na rzecz nielicznych przedsiębiorstw wielkich, któreby umożliwiło z czasem ich zabór przez społeczeństwo; brakuje więc tej »logiki w ewolucyi«, a tem samem i w kollektywizmie.

Z drugiej znowu strony siła odporna posiadających nietylko nie maleje, jak mówią kolektywiści, lecz wręcz przeciwnie wzmaga się ciągle. Tysiące małych kapitalistów, posiadających rentę państwową, obligacye miejskie, akcye kolejowe lub listy zastawne — a liczba ich rośnie bezustannie — okazuje równe przywiązanie do swych papierów, jak rolnik do swej ziemi. Wprawdzie przyjęliby chętnie zasadę równego podziału, któraby pozwoliła im na powiększenie swego kapitaliku przez udział w majątku bogatych, lecz z pewnością nie poświęciliby swych oszczędności na rzecz próżnego i nieokreślonego prawa kolektywnego do kapitału społecznego.

Gdyby nawet kolektywizm dał się przeprowadzić w całej rozciągłości, okazałby w praktycznem wykona-

niu szereg poważnych braków, z których najgłówniejsze są następujące:

1) Rozróżnienie między narzędziami produkcyi a przedmiotami spożycia, na którem właśnie oparł kolektywizm cały swój system, tworzy bardzo kruchą podstawę.

Narzędzie produkcyi, bez względu na to, czy nazwiemy, czy nie nazwiemy je kapitałem, może być tak dobrze wytworem pracy jak przedmiot spożycia, może więc również stanowić zupełnie uprawnioną własność. Toż zdrowemu rozsądkowi przeciwną jest myśl, że powóz przeznaczony do konsumcyi będzie mógł być przedmiotem uprawnionej własności, podczas gdy łódki i sieci rybaka nie będzie można zawłaszczyć, bo to są narzędzia produkcyi. Co prawda, kolektywiści odpowiedzą może a nawet już odpowiedzieli, że nie mają zamiaru konfiskować kapitałów, używanych tylko jako narzędzia pracy osobistej, lecz jedynie te, które ich właścicielom dają możność zatrudniania innych ludzi na ich własny rachunek, więc kopalnie, wielkie dobra, huty i t. d. W takim razie jednak rozróżnienie to schodzi po prostu do twierdzenia, że skonfiskujemy wielkie a nie małe kapitały, traci więc wszelką wartość naukową, nie jest niczem więcej, jak zwykłym systemem zrównania.

2) Zastąpienie samoistnych przedsiębiorców, właścicieli i kapitalistów kierownikami obranymi przez społeczeństwo lub związki robotnicze, wywołuje obawy u tych wszystkich, którzy choć cokolwiek znają praktycznie stosunki przemysłowe i stopień wykształcenia klas robotniczych. Największą jednak stratą byłoby zniknięcie kapitalistów drobnych, oszczędzających corocznie małe kwoty, które ogółem wzięte stanowią ogromne sumy. Oszczędzają oni naturalnie we własnym interesie, lecz tem samem zaspokajają najżywotniejsze potrzeby krajowe. To cudowne źródło prywatnej oszczędności zniknęłoby natychmiast w systemie kolektywnym. Przedewszystkiem niktby prawdopodobnie nie oszczędzał pewnej części dochodów na

niego przypadającej, gdyby miał zapewnione wszystkie potrzeby; lecz gdyby nawet tacy się znaleźli i oszczędzali, n. p. w formie kwitów za pracę, przechowywaliby je na własne potrzeby, a nie dla lokacyi, która zresztą byłaby niemożliwą i surowo wzbronioną. Mielibyśmy co najwyżej bezpłodną tezauryzacyę, bez żadnej doniosłości ekonomicznej.

Ponieważ kapitał narodowy należy utrzymywać i zwiększać, czemże więc zastąpimy oszczędność prywatną? Oszczędnością publiczną, odpowiadają kolektywiści. Społeczeństwo przeznaczy część dochodów, n. p. 10 lub 20% na fundusz rezerwowy, tak, jak się to dziś dzieje w stowarzyszeniach finansowych. Lecz nie widziano jeszcze, aby państwo oszczędzało; państwo kolektywistyczne musiałoby być gospodarnem, przezornem, słowem posiadać wszystkie zalety dobrego ojca rodziny — a rządy demokratyczne odznaczały się zawsze przymiotami wręcz przeciwnymi.

3) Zasada rozdziału jest niemożliwą do przeprowadzenia, albo też prowadzi do najprymitywniejszego podziału na równe części. Bez wątpienia, gdybyśmy mogli dokładnie wymierzyć trud pracującego, teorya taka byłaby najsprawiedliwsza. Jest słusznem wynagradzać każdego w stosunku do łożonego trudu, poniesionych ofiar, do dobrej woli, której dowody złożył — i to niezawiśle od wewnętrznych warunków, naprzykład od wyższości lub niższości sił fizycznych i umysłowych, od sprzyjających lub wrogich okoliczności, które mogły pracę jego uczynić mniej lub więcej wydajną. Praca zamiatającego ulicę zasługuje ze stanowiska bezwzględnej sprawiedliwości na takie samo wynagrodzenie, jak praca takiego Jamesa Watta lub Lessepsa, jeśli działał ze świadomością, to znaczy, jeśli ten człowiek zrobił wszystko, co mógł zrobić. Takie jest wyobrażenie, które wyrobiliśmy sobie o Bożej sprawiedliwości, twierdzimy bowiem, że będzie wymierzała nagrody i kary ludziom, nie według tego co zrobili, lecz raczej

według tego, co zrobić chcieli; będzie obliczała zamiary, a nie wyniki. Lecz do zastosowania tej zasady trzeba nam jakiejkolwiek miary, zapomocą której możnaby było ocenić i porównać trud, łożony przez pracujących. Otóż takiego miernika brak nam zupełnie.

Szkoła kolektywistyczna chwali się wynalezieniem tego powszechnego miernika, a to w czasie, poświęconym pracy. Według tego systemu każdy otrzymywałby wynagrodzenie w stosunku do liczby godzin, poświęconych pracy produkcyjnej. Godzina pracy byłaby więc owym szukanym, powszechnym miernikiem [1]).

Cóż za urojenie chcieć ocenić trud włożony w jakąś pracę przez jej długość! Należy mierzyć intenzywność, a nie czas pracy!

Nasze trudy, niemniej jak nasze radości, nie dadzą się wymierzyć zegarkiem. Każdy wie, że robotnik na wsi, który pracuje na akord, w tym samym czasie dokona trzy razy większej roboty, zużyje trzy razy tyle sił i zada sobie trzy razy tyle trudu co ten, który pracuje za wynagrodzeniem dziennem. W tym przykładzie zastanawiamy się nad pracami tego samego rodzaju, lecz któż zechce mierzyć czasem pracę wyrobnika, uprawiającego ziemię i malarza malującego na płótnie? A możeby zmierzyć ją na sążnie?

Czy nie należy obawiać się, że lenistwo wyjdzie aż nadto dobrze na tym systemie, boć jeśli, by uzyskać prawo do podwójnego udziału, wystarczy zużyć dwa razy więcej pracy do wykonania swej roboty, postępowanie takie byłoby zaiste bardzo dogodne dla jednostki, lecz w wysokim stopniu niebezpieczne dla społeczeństwa!

[1]) Jest to system Karola Marxa, niegdyś naczelnika międzynarodówki, dziś jeszcze nauczyciela i wyroczni stronnictwa. — Karol Marx, zmarły w r. 1883, wydał w r. 1867 dzieło pod tytułem: Kapitał, które doczekało się zasłużonej sławy. »Miernikiem ilości pracy, jest jej długość w czasie. Praca, która jest podstawą istoty i wartości towarów, jest pracą równą, do której żadnych rozróżnień zastosować nie można, jest zużyciem tej samej siły«.

Na ten zarzut odpowiada Karol Marx, że czas społecznie konieczny do wytworzenia jakiegokolwiek przedmiotu będzie oznaczony i ustalony na podstawie danych statystycznych. I tak, znając liczbę hektolitrów zboża, produkowanych corocznie we Francyi, liczbę robotników, zajętych ich produkcyą i wreszcie liczbę godzin, zużytą przez tychże robotników — nie trudno oznaczyć, przez proste dzielenie, czas społecznie potrzebny, to znaczy przeciętną liczbę godzin, koniecznych do produkowania hektolitra zboża.

Nie jest to już zasada »każdemu według jego pracy, każdemu według jego trudu«; jest to zasada »każdemu według wyników jego pracy«, co jest zupełnie różnem. Wynika z tego, że jeżeli zamierzamy trzymać się ideału sprawiedliwości, który nasza zasada miała urzeczywistnić i dla której została stworzona, trzebaby wziąć za podstawę pracę osobistą a nie społeczną — sprawiedliwość jest osobistą lub niema jej wcale; ona nie może bawić się w przecięcia.

Zresztą praca jest tylko jednym z czynników wartości, a właściwą jej przyczyną jest użyteczność krańcowa. Możnaby więc dać komuś kwity, przedstawiające taką samą ilość godzin pracy, jaką on wykonał, niepodobna mu jednak poręczyć, że dostanie za nie wytwory, przedstawiające tę samą ilość godzin pracy, bo nie można nigdy przeszkodzić temu, ażeby przedmiot rzadki nie miał większej wartości od dobra, znajdującego się w obfitości, chociażby do ich wyrobienia potrzeba było tej samej ilości pracy.

4) Aby uniemożliwić każdej jednostce swobodne rozporządzanie przeznaczoną jej częścią dóbr, na której nawet kolektywista przyznaje jej prawo własności, trzeba uciec się do środków w wysokim stopniu ograniczających wolność, trzeba zabronić sprzedaży, po-

życzki i produkcyi prywatnej. Prawo własności, pozbawione swych zasadniczych przywilejów, będzie tylko urojeniem, a więc znów zejdziemy do poziomu czystego komunizmu. Jeśli przeciwnie kolektywizm zazdrośnie będzie czuwał nad poszanowaniem wolności jednostek, jeśli nie będzie naruszał przynajmniej ich praw własności na przyznanej im części dóbr, prawa rozporządzania nią w drodze darowizny lub w zamian za wzajemne świadczenie za życia i na przypadek śmierci — w tym razie, choćby własność osobista była bardzo ograniczona, wystarczy do odbudowania w kilku latach porządku społecznego, który zgoła nie będzie się różnił od dzisiejszego. To też kolektywiści przyznają wyraźnie, że właściciel w żadnym razie nie będzie mógł sprzedać lub pożyczyć swej części, ani też użyć jej dla wynajęcia obcej pracy, t. zn. że wolno będzie użyć swej części tylko nieproduktywnie. Perspektywa przyszłości jest wskutek tego bardzo niepokojąca, a ponieważ właściciele z pewnością użyją wszystkich sił, aby jak najwięcej korzyści wyciągnąć ze swej własności, przeto będą konieczne bardzo daleko idące środki, ograniczające wolność osobistą. W każdym razie własność, w ten sposób obcięta, będzie tylko cieniem, t. zn. wpadamy znowu w czysty komunizm.

System kolektywistyczny przeto na próżno spodziewa się zająć pośrednie stanowisko pomiędzy komunizmem a indywidualizmem; zdaje się, że musiałby zlać się z jednym, lub powrócić do drugiego z tych ustrojów.

5) Usunięcie samoistnych wytwórców przez produkcyę prowadzoną przez społeczeństwo, prowadzi z natury rzeczy do uchylenia wszelkiej wolności pracy. Żaden obywatel nie będzie mógł obierać sobie ani zawodu, ani zajęcia, tak jak dzisiaj nie może tego uczynić robotnik, wynajęty przez przedsiębiorcę. Każdemu wyznaczy miejsce i rodzaj pracy jeden, jedyny wielki przedsiębiorca — społeczeństwo — i nikt nie będzie miał nawet tego wyjścia, które służy dziś robotnikom, poszukania

sobie innego pracodawcy i innego zajęcia. Jest to perspektywa przerażająca, którą napróżno starają się zakryć niektórzy autorowie kolektywistyczni. A nie łagodzi jej bynajmniej twierdzenie, że w tem położeniu znajduje się dzisiaj cała warstwa robotnicza. Niestety to prawda, lecz właśnie dlatego szukamy sposobów, ażeby zdjąć z niej ten ciężar, a nie ażeby nałożyć go także na wszystkich tych, którzy są dziś od niego wolni.

V.

Współdzielczość.

Systemem współdzielczym czyli kooperatywnym nazywamy kierunek, który w dobrowolnem współdziałaniu widzi nietylko środek do przeprowadzenia pewnych ulepszeń, lecz cały program reformy ustroju społecznego. Program ten nie jest ściśle socyalistyczny, gdyż porusza się w granicach panujących dzisiaj zasad gospodarczych, mimo to jednak dąży do ideału zupełnie odmiennego od ustroju indywidualistycznego i kapitalistycznego, pragnąc urzeczywistnić w przyszłości najważniejsze żądania socyalistów, a tymczasem — co nie jest do pogardzenia — przynosi natychmiastowe i znaczne polepszenie warunków bytu.

Już w początkach XIX wieku, Owen w Anglii i Fourier we Francyi, przyszli do przekonania, że zapomocą dobrowolnych stowarzyszeń możnaby zupełnie odmienić tak ludzi jak i świat cały. W tym celu wymyślili mniej lub więcej przemyślne sposoby postępowania, które nie zostały jednak uwieńczone pomyślnym skutkiem. Lecz potrzeby życia praktycznego, potężniejsze od wszystkich systemów, wytworzyły samorodnie w rozmaitych krajach najprzeróżniejsze formy asocyacyi — w Anglii stowarzyszenia spożywcze, we Francyi wytwórcze, w Niemczech

kredytowe, w Danii rolnicze, w Stanach Zjednoczonych budowlane. Stowarzyszenia te już do dzisiaj przeprowadziły dość poważną przemianę warunków gospodarczych, a jakkolwiek zakres ich wpływu jest jeszcze skromny, osiągnięte rezultaty uprawniają do najśmielszych nadziei. Nie możemy tu omawiać dokładniej każdego rodzaju tych stowarzyszeń, lecz musimy już na tem miejscu wskazać na wspólne ich charakterystyczne cechy, które prowadzą w pewnej mierze do poznania społecznego programu tej szkoły.

1. Wszystkie stowarzyszenia współdzielcze mają na celu usamowolnienie ekonomiczne pewnych kategoryi gospodarzy, tak, ażeby mogli obejść się bez pośredników i wystarczać samym sobie. Stowarzyszenie spożywcze pozwala konsumentom obejść się bez piekarza, sklepu korzennego i wogóle jakiegokolwiek kupca, bo czyni zakupy bezpośrednio u wytwórców, lub jeszcze lepiej, samo wyrabia wszystko, czego potrzebuje. Stowarzyszenie kredytowe uwalnia dłużników ze szponów lichwiarzy, dostarczając swym członkom potrzebnych kapitałów, a nawet umożliwiając im samym zebranie kapitałów przez nader przemyślną kombinacyę oszczędności z wzajemnością. Stowarzyszenie wytwórcze pozwala robotnikom pracować bez przedsiębiorcy, wytwarzać przy pomocy własnych środków i na własny rachunek, a sprzedawać bezpośrednio konsumentom.

2. Wszystkie stowarzyszenia współdzielcze dążą do zastąpienia rywalizacyi solidarnością, zasady indywidualistycznej — każdy dla siebie — zasadą: każdy dla wszystkich. Pomiędzy jednostkami nie ma już, przynajmniej w zasadzie, konkurencyi, bo połączyły się celem zaspokojenia swych potrzeb; stowarzyszenia również trzymają się zasady, że należy się jednoczyć, ażeby utworzyć organizacye silniejsze i szersze.

3. Wszystkie stowarzyszenia współdzielcze starają się upowszechnić własność indywidualną, umożliwiając jej nabycie przez małe udziały, a zarazem wytwarzają obok tego własność kolektywną w postaci wspólnego majątku stowarzyszenia i zakładów ogólnej użyteczności [1]).

4. Wszystkie stowarzyszenia współdzielcze starają się odebrać kapitałowi jego kierujące stanowisko w produkcyi, a tem samem pozbawić go tych dochodów, które pobiera z tego tytułu, w kształcie zysków i dywidend. Uchylenie zysku przedsiębiorcy w jakiejkolwiek formie, było już zasadniczym postulatem systemu Owena. Znaczna część stowarzyszeń nie dozwala już statutem pobierania zysku, albo przeznacza go na fundusz rezerwowy; inne rozdzielają go pomiędzy swych członków, albo w stosunku do poczynionych zakupów, gdy chodzi o konsumentów, albo w stosunku do pracy, gdy chodzi o robotników — nigdy jednak rozdział zysku nie odbywa się na podstawie udziałów, t. zn. kapitału. Od udziałów płaci się mierny procent, podobnie jak od pożyczek; dywidenda jest niedopuszczalna, a w niektórych stowarzyszeniach udziały nie są nawet oprocentowane. Jeżeli porównamy ten system ze spółkami akcyjnemi, w naszych czasach tak rozszerzonemi, w których kapitał zagarnia cały zysk i kierownictwo przedsiębiorstwa, a pracę sprowadza na stanowisko najemnika — to zrozumiemy, że ustrój współdzielczy sprowadza prawdziwą rewolucyę, bo odwraca zupełnie role i kapitał spycha do poziomu, na którym w obecnych stosunkach stoi praca.

5. W końcu wszystkie stowarzyszenia współdzielcze posiadają doniosłe znaczenie wychowawcze, bo nie naruszając w niczem indywidualności i przedsiębiorczości swych członków, skłaniają ich do rozwinięcia energii dla po-

[1]) Angielskie stowarzyszenia spożywcze posiadają 700 milionów franków kapitału w gotówce, magazynach, towarach i fabrykach; niemieckie stowarzyszenia kredytowe miały w r. 1901 272 milionów franków kapitału w udziałach i funduszach rezerwowych.

magania innym, a przez to i sobie samemu, ukazują im właściwy cel gospodarowania nie w pogoni za zyskiem lecz w zaspokojeniu potrzeb, uszlachetniają wzajemne stosunki ekonomiczne przez uchylanie reklamy, oszustwa, fałszowania towarów, sweating-systemu i t. d. — słowem dążą do usunięcia wszystkich sposobów wyzysku i wszystkich przyczyn zatargów. Można nawet powiedzieć, że cechą każdego wielkiego stowarzyszenia współdzielczego jest usunięcie wszelkiej walki sprzecznych interesów — stowarzyszenie konsumcyjne uchyla antagonizm między sprzedającym a nabywającym, kredytowe między dłużnikiem a wierzycielem, wytwórcze między pracodawcą a robotnikiem [1]).

Trudno już dzisiaj powiedzieć, czy akcya współdzielcza ziści wszystkie pokładane w niej nadzieje, bo zaledwie 60 lat upływa od pierwszych jej początków. Stowarzyszenia wytwórcze, do których dawniejszy socyalizm francuski tak wielkie przywiązywał nadzieje, dały w kilku wypadkach rezultaty świetne, lecz jak dotąd są bardzo nieliczne. Za to stowarzyszenia kredytowe, a przedewszystkiem spożywcze rozwijają się tak znakomicie, że zadziwiło to nietylko ich przeciwników, lecz nawet najgorętszych zwolenników. Szczególniej w stowarzyszeniach spożywczych przejawia się dążność do opanowania wszystkich rodzajów stowarzyszeń współdzielczych i wytworzenia ustroju, w którym kierownictwo produkcyi przeszłoby do rąk konsumentów. Byłaby to z pewnością nie mała rewolucya gospodarcza. To też Claudio Jannet, który nie należy bynajmniej do zwolenników ruchu współdzielczego, napisał,

[1]) Istnieją inne stowarzyszenia, których celem jest również usunięcie pewnych walk, np. stowarzyszenia robotnicze lub syndykaty pracodawców, które chcą uchylić konkurencyę między robotnikami lub pracodawcami, należącymi do tej samej gałęzi produkcyi. Tutaj jednak rozchodzi się o rywalizacyę interesów pokrewnych, w stowarzyszeniach współdzielczych natomiast mamy do czynienia z sprzecznością interesów wręcz sobie przeciwnych.

że ruch ten jest jedynym eksperymentem społecznym, który się udał w ciągu XIX stulecia.

W każdym razie, choćby program współdzielczy nie dał się przeprowadzić, kierunek ten nie przyniesie szkody przyszłości społeczeństwa, bo nie narzuca jakiejś jednej, naprzód urobionej i dla wszystkich jednakowej formy. Wielką jego zaletę stanowi to właśnie, że opiera się na dobrowolnem przyjęciu jego zasad. Pragnąc zmienić dzisiejszy ustrój ekonomiczny, nie ucieka się do przemocy ani rewolucyjnej ani prawnej, lecz posługuje się bronią, której mu dostarcza panująca organizacya, a mianowicie konkurencyą i wolnością.

CZĘŚĆ DRUGA.

RÓŻNE RODZAJE DOCHODU.

ROZDZIAŁ I.

PŁACA.

I.

Pojęcie płacy.

Zwyczajnie określają płacę jako dochód, pobierany przez człowieka w zamian za jego pracę. Tak pojęta płaca byłaby powszechnym i koniecznym sposobem pobierania dochodów, sposobem, który zawsze istniał i zawsze musiałby istnieć. Niepodobna wystawić sobie ustroju społecznego, w którym człowiek mógłby żyć inaczej, jak tylko nabywając dobra w zamian za swą pracę, usługi

lub wytwory swej pracy. Stąd też taka definicya pozwala szkole klasycznej zaliczyć do kategoryi osób, pobierających płacę, nawet właścicieli i kapitalistów i twierdzić, za przewodem Mirabeau starszego, że »z płacy żyją wszyscy ludzie, z wyjątkiem złodziei i żebraków«.

Jednakże ta definicya jest, naszem zdaniem, mylna, a powstała tylko dzięki dążeniu, może nieświadomemu, do przedstawienia systemu płacy jako najdoskonalszego i nienaruszalnego sposobu rozdziału dochodów. Nauka winna dążyć do odróżnienia, a nie do pomieszania najrozmaitszych dochodów, płynących z pracy. Wyrazem płaca nie należy więc określać każdego wynagrodzenia pracy, lecz tylko jeden, szczególny jego objaw, a mianowicie cenę pracy, wynajętą i użytą przez przedsiębiorcę.

W istocie widzieliśmy już kilkakrotnie poprzednio, że przedsiębiorstwo stanowi charakterystyczną cechę nowożytnego ustroju gospodarczego. Otóż system płacy jest nieodłączny od przedsiębiorstwa, tak jak kupno i sprzedaż tego samego towaru. Towarem jest tu praca ludzka, sprzedającym ten, który pobiera płacę, kupującym przedsiębiorca. To też płaca jest stosunkowo świeżą w historyi gospodarczej formą wynagrodzenia, która upowszechniła się wraz z organizacyą kapitalistyczną, lecz która bardzo dobrze może wraz z nią zniknąć.

Ze stanowiska prawa płaca opiera się na dobrowolnej, dwustronnej umowie pracodawcy i robotnika, mocą której robotnik zobowiązuje się do dostarczenia pewnej ilości pracy, pracodawca do wypłacania mu peryodycznie pewnej ceny, oznaczonej według ilości dostarczonej pracy. W rzeczywistości dziś jeszcze umowa ta jest tylko formalnie dwustronną, gdyż robotnik musi przyjąć warunki, podyktowane mu przez pracodawcę, nie mając dość siły, ażeby zmienić je według swych życzeń. Dopiero w ostatnich latach, tak ustawodawstwo jak i związki robotnicze

czynią poważne wysiłki, ażeby umowie o płacę nadać charakter istotnego układu dwustronnego, t. zn. ażeby robotnikowi umożliwić omawianie warunków kontraktu i zapewnić ścisłe przestrzeganie przez obie strony przyjętych zobowiązań.

Wreszcie należy dodać, że umowa o płacę, która do niedawna była przedewszystkiem najmem usług, przemienia się coraz bardziej w sprzedaż pewnej ilości pracy, płaci się bowiem za dzień, godzinę, lub w akordzie za wykonaną robotę. Robotnicy wolą ten system, bo przynajmniej w zasadzie zapewnia im większą równość i niezależność.

II.

Historya umowy o pracę.

W każdej epoce, nawet w starożytności i w czasach panowania niewolnictwa, znajdowali się ludzie wolni, którzy za pewną cenę, w pieniądzach lub naturaliach, wynajmowali swą siłę do pracy, a więc podpadali pod nasze pojęcie robotników. Były to jednak wyjątki. W czasach gospodarstwa rodzinnego, gdy pan domu zaspokajał swe potrzeby przy pomocy służby, niewolników i poddanych, niema miejsca dla robotników. Zdaje się więc, że ci wolni robotnicy byli raczej ludźmi, utrzymującymi się z pewnego rzemiosła lub zawodu, których donajmywano chwilowo jako pomocników nadliczbowych, gdy niewolnicy i służba nie mogli podołać pracy.

Nie było również robotników, w ścisłem tego słowa znaczeniu, w następnym okresie ustroju cechowego. Wprawdzie czeladnika opłacał majster, lecz stosunek ich do siebie był zupełnie inny niż przedsiębiorcy do robotnika, albowiem polegał nietylko na wzajemnej pomocy w codziennem życiu, lecz także na obustronnych zobowiąza-

niach. Majster nie mógł dowolnie oddalać czeladników, ani też czeladnik opuszczać majstra według swej fantazyi; wynagrodzenie i pracę normowały statuty cechowe, a każdy czeladnik miał nadzieję zostać majstrem w przyszłości. To też czeladnicy i majstrowie nie stanowili dwóch odrębnych klas społecznych, lecz dwa kolejne etapy w zawodzie rzemieślniczym.

Lecz z chwilą, gdy z końcem wieków średnich małe targi miejskie przestają być centrem życia gospodarczego, a wskutek zorganizowania wielkich państw i otwarcia nowych dróg zaczynają powstawać targi narodowe i międzynarodowe — dawniejsi mali majstrowie są już za ubodzy, aby podołać potrzobom produkcyi. Miejsce ich zajmują kapitaliści, wielcy kupcy, którzy z czasem stają się kierownikami przemysłu i w ten sposób tworzą powoli typ nowożytnych przedsiębiorców. Równocześnie czeladnikom zamyka się droga do uzyskania stanowiska majstra, stąd też powstaje z nich odrębna klasa społeczna. Wykluczeni ze stowarzyszeń majstrów, przeciwstawiają im stowarzyszenia czeladników, t. zw. związki robotnicze, które są właściwie pierwszą formą syndykatów robotniczych. Od tego czasu rozchodzą się już drogi kapitału i pracy.

Jednakże ażeby wytworzyć typ dzisiejszych robotników, należało jeszcze uchylić wszystkie ograniczenia i regulaminy systemu cechowego, który wiązał i ochraniał robotnika, aby uruchomić pracę i wytworzyć możność dowolnej jej organizacyi. Najpierw przeprowadziły to fabryki, które powstały poza cechami, a nawet przeciw nim i dlatego, wolne od wszelkich regulaminów, mogły dowolnie zastosować podział pracy i produkcyę na wielką skalę; później powszechne już ustawy państwowe, ustanawiające wolność pracy.

Odtąd robotnicy uzyskali w istocie wolność sprzedaży swej pracy, po cenie odpowiadającej prawu podaży i popytu, uzyskali wolność zawarcia umowy i rozwiąza-

nia jej w chwili, gdy nadal pracować nie chcą. Naturalnie przedsiębiorcy mieli wolność, opartą na tych samych podstawach, t. j. płacić robotnika możliwie najniżej, najmować i usuwać dowolnie mężczyzn, kobiety i dzieci. Umowa o pracę stała się tak samo wolną, jak kontrakt kupna i sprzedaży, nawet o wiele prostszą, gdyż ustawy nią nie zajmowały się, a praca zmieniła się w towar, którego wartość regulowały ogólne prawa, normujące wartość jakichkolwiek towarów. Od tego czasu powstaje prawdziwa klasa robotników.

Nie ulega wątpliwości, że ten system był potężnym bodźcem dla rozwoju produkcyi i że z początku przyniósł znacznie więcej korzyści przedsiębiorcom, aniżeli robotnikom. Robotnicy izolowani, bez organizacyi, poddani ustawom, które nie pozwalały się im łączyć, znaleźli się w najgorszem położeniu przy sprzedaży swej pracy i musieli ją pozbywać po bardzo nizkich cenach. To też ogólnie się godzą na to, że co najmniej aż do połowy naszego stulecia, stosunki dla robotników w Europie były bardzo ciężkie, tak, że położenie ich było gorsze niż w czasach dawniejszych.

Jednakże od jakich lat czterdziestu widzimy dążenie do korzystnych zmian dla robotników, a to z następujących powodów:

1) Robotnicy zaczęli się organizować i łączyć w celu lepszej obrony swych interesów, a dotychczasowe zakazy prawne koalicyi robotników uchylono niemal wszędzie.

2) Ogół ustaw, które określamy nazwą ustawodawstwa robotniczego, dąży do odnowienia w naszych fabrykach tych przepisów ochronnych, które istniały w statutach cechowych, jak ustawy o regulacyi godzin pracy, o przymusowem ubezpieczeniu, o warunkach higienicznych, a nawet ustawy, określające do pewnego stopnia wysokość wynagrodzenia, a przynajmniej sposób wypłaty i regulujące sprawę oddalenia robotnika.

Niejednokrotnie wyrażano obawę, że te przepisy osła-

bią siłę wytwórczą nowoczesnego przemysłu. Z tego powodu zwalcza je głównie szkoła liberalna, lecz byłoby to w każdym razie tylko drobnem złem w porównaniu z ogromną korzyścią, płynącą z podniesienia dobrobytu warstw robotniczych, które zresztą prawdopodobnie potrafią wytwarzać lepiej, jeżeli będą szczęśliwsze.

III.

Prawa rządzące płacą.

Szukać praw, rządzących płacą, znaczy starać się o ujęcie czynników, od których zależy wysokość płacy i o określenie ich działania. Jest to jeden z główniejszych problematów ekonomii politycznej, któremu zawdzięczamy pojawienie się kilku słynnych teoryi.

W pierwszej linii nasuwa się pytanie, czy rzeczywiście istnieją prawa naturalne, normujące wysokość płacy? Czy nie jest to próżne badanie wobec tego, że wysokość płacy zmienia się według zawodów i miejscowości, że nawet w każdym poszczególnym wypadku określa ją wolna umowa przedsiębiorcy i robotnika.

Podobne rozumowanie jest błędne. Cena towarów zmienia się również według ich natury, miejsca i czasu, powstaje przez dobrowolny układ kupującego i sprzedającego, a wszystko to nie przeszkadza szukać praw, które rządzą ceną. Niema w tem żadnej sprzeczności. Cenę i płacę regulują umowy pomiędzy ludźmi, lecz te umowy zależą od pewnych ogólnych przyczyn, które należy wykryć. Wierzyć w istnienie praw naturalnych w ekonomii politycznej, znaczy przypuszczać, że postępowanie ludzkie zależy od pewnych czynników psychicznych lub okoliczności zewnętrznych, które mają charakter ogólny i dlatego dadzą się dostrzedz we wszystkich poszczególnych wypadkach.

Ponieważ w dzisiejszym ustroju społecznym praca jest tylko towarem, który jako robotę kupuje się i sprzedaje na targu (a raczej wynajmuje się — rozróżnienie bardzo ważne ze stanowiska prawniczego), tak, jak każdy inny towar, przeto cena roboty zależy również od tych samych praw, które ustalają cenę każdego innego towaru; praw, które poznaliśmy mówiąc o wartości i które podciągnąć można pod prawo podaży i popytu. Przypominamy, że według tego prawa, wartość rzeczy zależy od dwóch czynników: od użyteczności i ilości. To samo tyczy się roboty; cena jej zależeć więc musi zarazem od jej użyteczności i od jej ilości: od jej użyteczności, to jest od siły wytwórczej w danym kraju i w danej chwili i od tego, czy współudział roboty jest potrzebnym — od jej ilości, to jest od liczby robotników, żyjących z pracy swych rąk i sprzedających tę pracę na targu.

Lecz jakkolwiek praca w naszej organizacyi ekonomicznej jest tylko towarem i jako taki podlega ogólnym prawom wartości, to jednak protestuje ona przeciwko temu stanowisku i domaga się udziału w dochodach społecznych. Zresztą bardzo wiele czynników, które można nazwać moralnymi, jak opinia publiczna, zagrożenie strejkiem, interwencya państwa, a przedewszystkiem przeświadczenie robotnika o jego prawach i znaczeniu społecznem, działa bardzo skutecznie w kierunku podniesienia płacy. Ponieważ te przyczyny wzrastają w siłę w miarę postępu gospodarczego, przeto można powiedzieć, że prawa, rządzące płacą, stają się coraz bardziej skomplikowane. W pierwszej połowie naszego stulecia były one znacznie prostsze, bo robotnik izolowany i bierny był rzeczywiście tylko towarem. To też prawdziwą była malownicza formułka Cobdena: »Płaca wzrasta, jeżeli dwóch przedsiębiorców biegnie za robotnikiem, spada zaś, skoro dwóch robotników biegnie za przedsiębiorcą« [1]).

---

[1]) Levasseur wylicza pięć przyczyn, współdziałających przy

Pomimo tego teoretycy starali się odkryć prawa rządzące płacą, to znaczy sprowadzić do jednej przyczyny czynniki, które wpływają na jej wysokość. Spotykamy się tutaj z trzema wielkiemi teoryami, które jakkolwiek dzisiaj są zdyskredytowane, odegrały wielką rolę w historyi doktryn ekonomicznych.

§. 1. Teorya prawa spiżowego.

Według tej teoryi płaca nie może nigdy podnieść się ponad minimum, niezbędne dla robotnika do założenia i utrzymania rodziny.

Praca, zdaniem tej teoryi, czyli siła robocza *(Arbeitskraft)* jest w dzisiejszym ustroju społecznym tylko towarem, który sprzedaje i kupuje się na targu, według tych samych praw, jak każdy inny towar. Robotnicy sprzedają, a przedsiębiorcy kupują. Otóż prawem wspólnem dla wszystkich towarów jest, że wartość ich tam przynajmniej, gdzie wolna konkurencya nie jest ograniczona, stosuje się do kosztów produkcyi. Ekonomiści nazywają to cenę naturalną lub wartością normalną. To samo musi się tyczyć także towaru, zwanego pracą. I dla niej miernikiem ceny, czyli płacy, są koszta produkcyi [1]).

Musimy jeszcze dowiedzieć się, co należy rozumieć przez koszta produkcyi w odniesieniu do robotnika.

Weźmy za przykład maszynę. Kosztami produkcyi

oznaczeniu płacy: 1) wytwórczość pracy; 2) stopień dobrobytu krajowego; 3) stosunek liczby robotników do ilości zajęć; 4) koszta utrzymania robotnika; 5) zwyczaje, obyczaje i instytucye. Jasną jest rzeczą, że punkt ostatni mieści w sobie ogromną ilość różnych innych przyczyn.

[1]) »Miernikiem ceny jakiegokolwiek towaru, a więc i pracy, jest stosunek podaży do popytu. Od czegóż jednak zależy cena każdego towaru czyli stosunek podaży i popytu za tym towarem? Od kosztów, potrzebnych do jego wytworzenia«. Lassale: »Bastiat Schulze-Delitsch», rozdział IV.

są: 1) wartość zużytego węgla; 2) premia, którą trzeba rok rocznie odkładać na amortyzacyę, to jest na zastąpienie starej, niezdatnej już do użytku maszyny, nową.

A kosztami produkcyi pracy są: 1) wartość środków, potrzebnych do utrzymania życia i zdrowia robotnika, zdolnego do pracy; 2) premia amortyzacyjna, potrzebna do zastąpienia robotnika niezdolnego już do pracy, czyli koszta wychowania dziecka na młodzieńca.

Słowem, płaca musi ograniczyć się do wartości, niezbędnie potrzebnej dla wyżywienia robotnika i jego rodziny, czyli, uogólniając ten pogląd, do wartości, wystarczającej na utrzymanie i wychowanie ludności robotniczej.

Oto teorya, zwana powszechnie prawem spiżowem. To dźwięczne miano, wynalezione przez Lassalla, zdobyło sobie rozgłos i powtarzane bywa w proklamacyach stronnictwa robotniczego, jakby zwrotka Marsylianki socyalistycznej.

Teorya ta dziś już jest odrzucona. Nietylko sprzeciwili się jej energicznie klasycy, widząc do jakich prowadzi rezultatów, lecz i sami kolektywiści wyparli się jej formalnie, mianowicie Liebknecht na kongresie w Halli w r. 1890.

Istotnie, jeśli zechcemy tłumaczyć ją dosłownie, rozumiejąc w ten sposób, że płaca robotnika nie może nigdy wznieść się ponad to, co mu materyalnie jest do życia niezbędnie potrzebne, rzeczywistość zadaje kłam prawu spiżowemu. Potrzeby czysto materyalne, potrzeby życia zwierzęcego, są dla człowieka niewielkie: chłop irlandzki, a nawet francuski, w okolicach odległych od miasta, żyje prawie z niczego. Jeśliby więc ta najmniejsza ilość środków, koniecznych do utrzymania życia, była zwykłą wysokością płacy, płace byłyby z pewnością o wiele niższe od tych, które widzimy wszędzie. Nadto teorya ta w dosłownem znaczeniu nie wystarczy do wytłumaczenia:

dlaczego wysokość płacy nie jest jedna we wszyst-

kich zawodach, boć przecież nie można znaleźć powodu, dla któregoby rytownik lub mechanik musiał zużywać więcej gramów azotu lub węgla, jak inny rękodzielnik;

dlaczego płace robotników wiejskich są mniejsze w zimie, choć wówczas właśnie wydają więcej na opał i jedzenie, a większe w lecie, w porze roku, w której najłatwiej wyżyć biednym ludziom?

dlaczego płace są wyższe we Francyi, niż w Niemczech, w Stanach Zjednoczonych, niż w Anglii, choć niepodobna zrozumieć, z jakiego powodu Francuz musi jeść więcej, niż Niemiec, Amerykanin, niż Anglik;

dlaczego płace dzisiejsze są bezsprzecznie większe, jak przed stu laty? Czy może jemy więcej od naszych ojców?

Zaniechajmy więc dosłownego tłumaczenia. Oświadczą nam może, że nie chodzi jedynie o tę najniższą stopę zarobku, która jest konieczną do utrzymania życia i która jest równie niezmienna, jak niezmiennym jest organizm człowieka — lecz o tę najniższą stopę, która jest konieczną do zadosyćuczynienia różnorodnym potrzebom człowieka, żyjącego w otoczeniu cywilizowanem; o stopę zmieniającą się stosownie do zmian cywilizacyjnych otoczenia. W tem szerokiem znaczeniu teorya prawa spiżowego staje się prawdopodobniejszą, zarazem jednak — trzeba to przyznać — bardzo ludzką, a nawet możnaby powiedzieć, zanadto uspokajającą. Jeśli po prostu teorya ta ma znaczyć, że płaca robotników stosuje się do zwyczajów i sposobu życia warstwy robotniczej, do ogółu potrzeb cielesnych lub społecznych, wrodzonych lub sztucznych, znamionujących otoczenie, w którem żyć jest przeznaczeniem robotnika; jeśli zgodzimy się na to, że ta najniższa płaca nie jest »spiżową«, lecz giętką, ruchomą, zmienną, stosownie do klimatu, czasu, narodowości że dąży do ciągłego wzrostu w miarę, jak zwiększają się potrzeby, pragnienia, wymagania ludzi cywilizowanych — to w tym razie nie przeczymy jej i pragniemy gorąco, by teorya ta była

wyrazem prawdy, ponieważ nie należałoby już nazywać jej prawem spiżowem, lecz, jak powiedziano, złotem prawem płacy.

§. 2. Teorya wytwórczości pracy.

Szkoła optymistyczna broni wprost przeciwnego twierdzenia: zdaniem jej płaca stosuje się do wytwórczości pracy robotnika [1]). Nie twierdzi wprawdzie, że płaca jest tak wielka, jak całkowita wartość, wytworzona przez pracę robotnika — byłoby to niemożliwem, w tym razie bowiem przedsiębiorca nie zyskiwałby nic, traciłby nawet i zaprzestałby prowadzenia przedsiębiorstwa [2]) — lecz utrzymuje, że robotnik pobiera w postaci płacy to wszystko, co pozostaje z całkowitego wytworu po odciągnięciu części, przypadających innym współpracownikom, po odciągnięciu naprzykład procentu od kapitału (boć przecie robotnik kapitału nie dostarcza) i premii asekuracyjnej przeciw możliwym stratom (boć ich przecie nie ponosi).

Szkoła optymistyczna tak dowodzi swego twierdzenia:

---

[1]) Teorya ta powstała niedawno. Amerykanin Fr. Walker pierwszy wyłożył ją w swej książce: »The Wages Question«. Zgodził się na nią ekonomista angielski Stanley Jevons. — Beauregard, Chevallier i Villey przyznali się także do niej w trzech, równocześnie ogłoszonych i przez akademię nagrodzonych pracach.

[2]) Robotnicy ciągle dopominają się o całkowity wytwór swej pracy. Jest to zdanie powtarzane we wszystkich programach stronnictwa. Żądanie to byłoby uzasadnione, gdyby robotnik dostarczał wszystkich składników produkcyi, t. j. nietylko pracy, lecz także surowców i narzędzi tak, jak wytwórca samoistny; nie na tych jednak warunkach opiera się umowa o płacę. Na zgromadzeniu publicznem odezwał się pewien robotnik w następujący sposób: »Ten, kto zgotował rosół, powinien go zjeść«. Dobrze, ale czy to robotnik ugotował rosół? Nie, przedsiębiorca dostarczył garnka (narzędzie), mięsa (surowiec) i opału. A więc zapatrywanie robotników, chcących dla siebie wyłącznie zagarnąć rosół, względnie całkowity wytwór pracy, jest zupełnie nieuzasadnione w dzisiejszym ustroju ekonomicznym.

Wartość pracy nie może na równi z wartością jakiegokolwiek towaru podlegać wyłącznie prawu popytu i podaży pod wpływem wolnej konkurencyi. Czy robotnik jest narzędziem produkcyi? Zgoda, lecz właśnie wartość narzędzia produkcyi zależy od wytwórczości tegoż narzędzia. Gdy przedsiębiorca wydzierżawia grunt, czyż wysokość czynszu nie jest obliczona według wytwórczości tej ziemi; a dlaczegożby, gdy wynajmuje pracę, wysokość płacy nie stosowała się do wytwórczości pracy? Gdyby teorya ta była prawdziwą, byłaby o tyle zachęcającą, o ile poprzednia była przerażającą. Jeśli w istocie wysokość płacy zależy od wydajności pracy robotnika, przyszłość jego od niego zależy. Im więcej będzie wytwarzał, tem więcej zyska: wszystko to, co zwiększa i wydoskonala jego działalność wytwórczą, rozwój ciała, cnoty ducha, wykształcenie zawodowe, wynalazki i maszyny, musi koniecznie zwiększać jego płacę.

Według tej teoryi, umowa o płacę byłaby korzystniejszą pod względem wyników, jak spółka lub współudział w dochodach! Albowiem tylko robotnik korzystałby z całego wzrostu wydajności pracy. Inni współpracownicy pobieraliby dochód stały i zmniejszający się raczej, niż wzrastający [1]).

Niestety wystarczy wyliczyć te następstwa, by udowodnić, jak dalece teorya ta przeciwna jest rzeczywistości. Przyznaliśmy już, że wytwórczość pracy wywiera wpływ na wysokość płacy, albowiem, zwiększając ogólne bogactwo w kraju, pomnaża ilość dóbr, przeznaczoną do podziału i zwiększa w końcu część, przypadającą każdemu z uczestników produkcyi, a więc także część robotnika; również, że wytwórczość pracy wywiera wpływ różniczkowy na wysokość płacy, albowiem z chwilą gdy

[1]) To samo powiada w kilku słowach Stanley Jevons: »Płaca robotników zawsze w końcu jest równa wytworowi ich pracy, po odciągnięciu renty, podatków i kosztów produkcyi«.

wydajność pewnego rodzaju pracy jest znaczniejsza, będzie także zwyczajnie wyższem jej wynagrodzenie. Lecz teorya ta pomija jeden z zasadniczych pierwiastków, wpływających na wysokość płacy, większą lub mniejszą liczbę robotników: jest to czynnik zazwyczaj rozstrzygający. Nie jest prawdopodobnem, żeby siła wytwórcza pracy w Stanach Zjednoczonych była mniejsza dziś, niż przed dwudziestu laty, a przecież wysokość płacy zmniejszyła się znacznie, ponieważ liczba proletaryuszów wzmogła się, już to z powodu przybycia robotników z zagranicy, już to z powodu kolonizacyi niezajętych przedtem obszarów [1]).

§. 3. Teorya funduszu płac (wage-fund).

Teoryę tę uważano przez długi czas, szczególniej w literaturze angielskiej, za klasyczną i jedynie prawdziwą; dopiero niedawno zaczepiono ją gwałtownie. Podobnie, jak pierwsza, wychodzi i ta z założenia, że cena roboty stosuje się do prawa podaży i popytu, lecz określa podaż i popyt w następujący sposób:

[1]) W ostatnich czasach teoryę wytwórczości pracy udoskonalili ekonomiści, którzy opierają wartość na krańcowej użyteczności. Stosują oni do wartości pracy takie same rozumowanie, jak do wartości dóbr. Płaca, powiadają oni, jest istotnie równa wartości wytworu pracy robotnika, lecz tego, który jest najmniej wytwórczym, t. zn. który w danej gałęzi produkcyi pracuje w warunkach najmniej korzystnych. Przyczyna tego jest prosta, mianowicie tylko w tego rodzaju okolicznościach widzimy czysty wytwór pracy, we wszystkich innych zawdzięcza on swe powstanie nietylko pracy lecz i czynnikom innym, niezależnym od robotnika.

Tę teoryę krańcowej wytwórczości postawił pierwszy Thünen w swem dziele p. t.: *Der isolierte Staat*, a uzupełnili ją i rozszerzyli inni uczeni, przedewszystkiem Clark w dziele p. t.: *Distribution of Wealth*. Nie można jednak powiedzieć, ażeby ona wyjaśniała nasz problemat. Dosyć już trudno wyrobić sobie jasne pojęcie o krańcowej użyteczności dobra, a cóż dopiero gdy chodzi o wystawienie sobie tej abstrakcyjnej osoby, nazwanej dodatkowym lub krańcowym robotnikiem, która ma unormować dla wszystkich wysokość płacy.

Podaż, to robotnicy, proletaryusze, którzy poszukują pracy, chcąc zapracować na chleb codzienny i wystawiają na sprzedaż swe siły fizyczne. Popyt, to kapitaliści, którzy poszukują lokacyi dla swych kapitałów; wiemy, że jedynym sposobem wytwórczego zużycia kapitału jest dać pracę robotnikom. Stosunek tych dwóch czynników rozstrzygnie o wysokości płacy.

Weźcie, powiedziano, kapitał obrotowy w pewnym kraju, (to, co Anglicy nazywają funduszem płac, *wage-fand*, albowiem przeznaczeniem jego jest wyżywiać robotników, w ciągu ich pracy). Weźcie następnie liczbę pracujących. Podzielcie pierwszą cyfrę przez drugą, a iloraz będzie właśnie oznaczał wysokość płacy. Dajmy na to, że kapitał, znajdujący się w kraju, wynosi 10 miliardów, liczba robotników w kraju tak wielkim, jak Francya, 10 milionów, a otrzymamy okrągłe 1000 fr. jako przeciętną roczną płacę.

Jest jasnem, że według tej teoryi, płaca tylko wtedy może się zmienić, gdy jeden z czynników się zmieni. Wzrost jest zatem możliwy tylko w dwóch następujących wypadkach:

1) jeśli *wage-fund*, to jest ilość dóbr, przeznaczona do rozdziału, dzielna, zwiększa się — a zwiększać się może jedynie przez oszczędność;

2) jeśli ludność robotnicza, to jest dzielnik, zmniejsza się — a zmniejszać się może tylko o tyle, o ile robotnicy stosują się do zasad Malthusa, czy to wstrzymując się od małżeństwa, czy to mając mało dzieci.

W tej postaci teorya ta jest równie zniechęcająca dla warstwy robotniczej, jako prawo spiżowe i dochodzi do tych samych mniej więcej wniosków. Według niej dzielnik (t. j. liczba ludności robotniczej) musi zwiększać się szybciej, jak dzielna (to jest kapitał, którym rozporządzać można), a więc wynika z tego, że iloraz (to jest płaca) musi dążyć do zmniejszenia się, pokąd nie osiągnie najniższej stopy, granicy, której już przekroczyć nie może. A przyczynę tego zjawiska upatruje teorya ta w tem, że produkcya dzieci jest o wiele łatwiejsza od produkcyi kapitałów. Ta wymaga wstrzemięźliwości, tamta wprost przeciwnego postępowania. Ludność zwiększa się sama przez się, a o kapitale tego powiedzieć nie można.

Tej teoryi broni jeszcze kilku ekonomistów, jakkolwiek ogólnie już ją odrzucono. Przedewszystkiem polega ona na błędnem założeniu, gdyż zasada, że potrzeba pewnej ilości kapitału obrotowego, ażeby zatrudnić robotników, posiada znaczenie tylko dla produkcyi, a niema go wcale, o ile chodzi o rozdział. Innem jest pytanie, czy przedsiębiorca posiada dosyć kapitału, t. j. surowców lub narzędzi, ażeby zająć swych robotników, a innem, jaką część może im oddać z ogólnych dochodów przedsiębiorstwa. O odpowiedzi na pierwsze pytanie decyduje rozmiar tego, co posiada, rozstrzygnięcie drugiej kwestyi zależy od rezultatów przedsięwziętej produkcyi. Popyt na pracę zależy od rozwoju działalności gospodarczej, lecz na jej intenzywność wpływa w znacznie wyższym stopniu wysokość przypuszczalnych zysków przedsiębiorców, aniżeli suma kapitałów, którymi rozporządzają.

Prócz tego owa zachwalana ścisłość tej teoryi jest tylko ułudą. Jeżeli bowiem przypatrujemy się jej z blizka, dochodzimy do rezultatu, że wysokość wynagrodzenia oznacza się przez podzielenie ogólnej sumy płacy przez ogół robotników — co jest najzwyklejszą tautologią. Jeżeli zaś chce się włożyć w teoryę funduszu płac jakąś lepszą treść, należy powiedzieć, że płaca będzie podnosić się w miarę wzrostu dobrobytu — co znowu jest tak naturalnem, że nie potrzeba tego bynajmniej dowodzić.

W końcu skądżeż bierze się ten kapitał obrotowy, ten fundusz płac? Oczywiście z pracy. Znajdujemy się więc w błędnem kole, bo jak słusznie mówi Clark, fun-

dusz płac jest zbiornikiem, który w miarę potrzeby napełnią pompa, a pompą tą jest praca.

Ostatecznie więc, podobnie jak wartość nie zależy od jednej przyczyny, lecz od wielu, tak i na wysokość płacy wpływają liczne czynniki[1]). Mianowicie wysokość płacy zależy:

1) od wszystkich tych zjawisk, które wogóle wpływają na wysokość wartości przedmiotów gospodarczych;

2) od pewnych okoliczności, które działają tylko przy ocenie pracy, dlatego, że jakkolwiek jest ona towarem, to jednak towarem nieodłącznym od człowieka — a więc od opinii publicznej, od wzrastającego u robotników poczucia swych praw i ich znaczenia społecznego i od organizacyi, które powstają dla ochrony praw robotników.

IV.

Zwyżka płac.

Stopniowa zwyżka płac jest zjawiskiem, którego niepodobna zaprzeczyć. Tysiączne wykazy statystyczne, ze-

[1]) Starano się jednak badać tę kwestyę ze stanowiska czysto matematycznego, to znaczy, pytano się, jaką powinna być wysokość zarobku o stosunkach idealnych, innemi słowy, przypuściwszy, że kapitał i praca współdziałają w każdem przedsiębiorstwie, jak możnaby oznaczyć część należną każdemu z nich. Oto Paweł, dostarczający Piotrowi łodzi i wędek; Piotr przynosi po pewnym czasie 10 koszów ryb. Ile z tego przypadnie na Pawła? (kapitał). Ile na Piotra? (płacę). Tak postawioną kwestyę uważamy za nierozwiązalną. Wielu jednak ekonomistów próbowało swych sił na tem polu. Thünen starał się udowodnić matematycznie, że płaca naturalna jest średnią geometryczną z dwóch czynników: jednego, który jest wartością, zużytą na utrzymanie robotnika, drugiego, który jest wartością, wytworzoną przez jego pracę: $Z = \sqrt{ap}$. Właściwie jest to dla niego płacą idealną, bo wiedzieliśmy poprzednio, że wysokość rzeczywistej płacy określa on wytwórczością krańcowego t. j. najmniej produktywnego robotnika.

Pantaleoni podjął ten problem na nowo, zadawalniając się jednak określeniem granic dla płacy. Dochodzi on do tego badając, jaki może być dla każdej strony, przypuszczając że jest izolowaną, zysk z jej własnej działalności. Jeżeli Piotr może własną tylko pracą wydobyć 3 kosze ryb, a Paweł swym kapitałem samym także 3, to Piotr nie zgodzi się na mniej niż 3, a Paweł nie da więcej niż 7. Granice płacy będą więc 3 i 7. Jeżeli jednak przypuścimy, że jeden i drugi bez wzajemnej pomocy nic nie uzyskają, to problem pozostanie nierozwiązany.

brane w różnych krajach, dowodzą, że w ciągu XIX stulecia nastąpiło więcej niż podwojenie płac robotników, tak przemysłowych jak i rolnych[1]).

Lecz jakiż wniosek wyciągnąć należy, z tej zwyżki? Szkoła optymistyczna, opierając się na niej, uważa poprawę bytu warstw robotniczych za niezawodną, wielką,

[1]) Nie możemy tutaj przytaczać całych tablic statystycznych. Ograniczymy się do podania cyfr statystycznych, zebranych przez pana de Foville, a dających ogólne wyobrażenie o zwyżce płac. Tablica ta przedstawia dochód rodziny robotników rolnych w ciągu stu lat:

1788	200 fr.
1813	400 »
1840	500 »
1852	550 »
1862	720 »
1872	800 »

Zaznaczyć należy, że zwyżka była znaczniejszą na wsi niż w miastach, na prowincyi, niż w stolicy; objaw ten tłumaczy się wędrówką ze wsi do miast, z prowincyi do stolicy.

Na wystawie paryskiej z r. 1900 przedstawiono także graficznie zwyżkę płac we Francyi. Jeżeli płace z r. 1806 przyjmie się za 100, wynosiły one w r. 1830 : 109, w r. 1840 : 118, w r. 1856 : 135, w r. 1860 : 156, w r. 1880 : 218, w r. 1892 : 222, w r. 1900 : 229. Równocześnie przyjmując koszta środków żywności, mieszkania, opału i oświetlenia w r. 1804 za 100, wyniosły one, przy tej samej jakości i ilości w r. 1820 : 109, w r. 1840 : 116, w r. 1850 : 107, w r. 1860 : 136, w r. 1870 : 140, w r. 1880 : 148, w r. 1890 : 137. Po rok 1890 przeto płaca wzrosła o 122%, koszta utrzymania tylko o 37%.

nieograniczoną; uważa, że dokonuje się ona samodzielnie, że więc leży w interesie robotników nie zmieniać naturalnego biegu rzeczy.

Szkoła socyalistyczna, uznając za pewnik, że w dzisiejszym ustroju ekonomicznym bogatsi stają się coraz bogatszymi, biedni coraz biedniejszymi, nie może zgodzić się na ten sposób pojmowania rzeczy. Nie zaprzecza wprawdzie zwyżki płacy, jako takiej, bo zaprzeczyć nie może, ale dowodzi, że zwyżka ta nie poprawia doli warstw robotniczych, a to z następujących powodów:

1) Zwyżka płac jest pozorną, a nie rzeczywistą; jest to po prostu złudzenie, wywołane przez zniżkę wartości pieniądza. Jeśli pieniądz w ciągu pięćdziesięciu lat stracił połowę swej wartości, obojętną jest dla robotnika wypłata 2 kor. zamiast 1 kor. Nie poprawi to jego położenia.

Twierdzenie to jest w części prawdziwe. Nie ulega wątpliwości, że pieniądz stracił część swej wartości i że ta zniżka w wartości miary pieniężnej spowodowała ogólny wzrost cen, tak, że 2000 fr. dochodu nie daje dzisiaj dwa razy tyle wygody i dobrobytu, co 1000 fr. w r. 1850 [1]).

Zachodzi tylko pytanie, czy zniżka w wartości pieniądza, lub, co na jedno wychodzi, zwyżka ogólna cen, była tak wielką, jak zwyżka ogólna płacy.

Otóż jest rzeczą zupełnie pewną, że ceny podniosły się przeciętnie najwyżej o jednę trzecią, podczas gdy płace wzrosły przeszło w dwójnasób. Robotnik więc który pobiera 2000 fr., lub tylko 1666 fr. zamiast 1000 fr., jak przed czterdziestu laty, ma dochód większy nietylko pod względem ilości pieniędzy, lecz także co do siły kupna i zdolności konsumcyjnej. Zwyżka jego płacy jest częściowo pozorną, ale w znacznej mierze także rzeczywistą [2]).

[1]) Po roku 1890 nastąpił nawet ogólny spadek cen, jednakże przedewszystkiem w wielkim handlu, robotnik więc nie wielką odniósł z tego korzyść.

[2]) Chcąc dokładnie oznaczyć wzrost dobrobytu, wywołany wzrostem płacy, trzeba przeglądnąć budżet wydatków robotnika i obrachować wzrost ceny odnośnie do głównych pozycyi budżetowych. Rachunek ten przeprowadzono kilkakrotnie bardzo starannie i udowodniono, że rzeczywista zwyżka istnieje. Cena pożywienia (mięsa, jarzyn, wina, masła i t. d.), zwiększyła się bardzo znacznie, o przeszło 100%, cena mieszkania może jeszcze więcej; a są to bardzo ważne pozycye w budżecie robotnika. Z drugiej strony chleb, największy wydatek robotnika, bardzo nieznacznie podniósł się w cenie; wyroby przemysłowe, naprzykład ubrania, potaniały, a jeszcze bardziej zmniejszyły się koszta, łożone na podróże, pisanie listów, wykształcenie.

2) Przypuśćmy nawet, powiadają dalej socyaliści, że zwyżka płac jest częściowo rzeczywistą, w każdym razie nie odpowiada wzmaganiu się bogactwa ogólnego i wzrostowi dochodów innych warstw społeczeństwa. Dajmy na to, że ilość dóbr, przeznaczona do rozdziału między kapitalistów i proletaryuszów, wynosiła 50 lat temu 10 miliardów, z czego 5 miliardów przypadało każdej warstwie; dziś zaś ilość dóbr, przeznaczona do rozdziału, podniosła się do 25 miliardów, z tego jednak przypada proletaryuszom 10 miliardów, a kapitalistom 15; w tym razie zwyżka płacy, choćby była rzeczywistą, nie poprawi położenia robotnika; udział robotników bowiem zwiększył się o 100%, a udział kapitalistów o 300%, to jest trzy razy więcej. Dobrobyt robotników wzmógł się, ale robotnicy nie czują się bogatszymi albowiem — nie zapominajmy — bogactwo jest rzeczą względną, a taka to już jest natura człowieka, że nawet wygoda wydaje mu się nędzą, w przeciwstawieniu do zbytku jego bliźnich.

W istocie, ze stanowiska sprawiedliwości społecznej, robotnicy mają prawo nietylko do poprawy bytu, lecz także do dochodu, wzrastającego w tym samym stosunku, w jakim wzrasta dochód innych warstw społeczeństwa. Zdaje się jednak, że wzrost dochodu warstwy robotniczej nie jest równie szybkim, jak wzrost ogólnego bogactwa. Jeśli, naprzykład, zbadamy, na podstawie urzędowych źró-

del, wartości, przekazywane corocznie w drodze spadku lub darowizny we Francyi, przekonamy się, że podczas gdy w r. 1835 wynosiły 2,059 milionów, a w 1855 r. 3,133 milionów, wzrosły w r. 1875 do 5,320 a 1894 do 6,745 milionów fr. Ponieważ wartość spadków jest w pewnym stałym stosunku do ogólnej wartości majątków prywatnych, przeto twierdzić można, że majątki prywatne w ciągu 60 lat zwiększyły się przeszło trzechkrotnie, a przeszło dwukrotnie w ciągu 40 lat. Wzrost ten jest o wiele szybszy niż wzrost płac, albowiem, w tym samym czasie widać tylko podwojenie płac robotniczych.

3) W końcu należy zaznaczyć, że statystyka płac podaje ich wysokość z w y c z a j n ą i c a ł o r o c z n ą. Tymczasem brak pracy i sezon martwy, stanowiące dzisiaj chroniczną chorobę naszego ustroju produkcyjnego, mogą straszliwie zmniejszyć płacę, istotnie pobieraną. A tu niebezpieczeństwo jest tem groźniejsze, że dotychczas nie umiemy jeszcze ubezpieczyć przed niem skutecznie robotników.

Nasuwa się jeszcze pytanie, czy ten wzrost płac, któryśmy stwierdzili, jest wynikiem przyczyn naturalnych czy sztucznych, t. zn. czy powstaje samorodnie, przez działanie ogólnych praw gospodarczych, czy też pod wpływem świadomych i celowych wysiłków robotników, państwa, lub może nawet pracodawców?

Skrajni przedstawiciele szkoły liberalnej nie wierzą w skuteczność żadnego z nich. Ich zdaniem, wysokość płacy jest wynikiem praw naturalnych, a więc zmienić jej nie może żaden sztuczny środek. Wierzyć, że związek robotników, przepis ustawy, lub ta czy owa forma stowarzyszenia, podnieść może wysokość płacy, jest równie dziecinnem, jak przypuszczać, że do sprowadzenia pogody wystarczy popchnąć wskazówkę barometru.

Jeśli czasami wynikiem strejku była zwyżka płacy, to dlatego tylko, że ta zwyżka powinna była nastąpić, i że nastąpiłaby i bez niego. Strejk w tym razie oddziaływa w ten sam sposób, jak lekkie uderzenie palcem w puszkę, w celu przyspieszenia ruchu igiełki, powolnie posuwającej się pod wpływem podnoszenia się rtęci i w celu nadania jej równowagi.

Wysokość płacy podniesie się sama przez się, powiadają, jeśli powinna zwiększyć się, a jeśli nie może podnosić się, to nic jej do tego nie zmusi. Zresztą we wszystkich społeczeństwach, w zwykłych warunkach, płace objawiają dążność do wzrostu; trzeba więc ułatwić ten rozwój przez wzmacnianie i popieranie tych czynników, które dotychczas skutecznie działały, to jest wolnej konkurencyi i swobody zawierania umów [1]).

Wywody te nie wytrzymują krytyki. Choćby wysokość płacy była zawisłą od praw naturalnych — powiedzmy krótko, od prawa podaży i popytu — jak cena każdego towaru, nie wypływa jeszcze z tego wcale, ażeby wola człowieka nie mogła zmienić jej, działając odpowiednio na podaż i popyt. Wszak twierdzą, do pewnego stopnia słusznie, że można skutecznie oddziałać na ceny towarów zapomocą związków wytwórców (karteli) i ceł ochronnych, dlaczegóż więc ma być niemożliwym wpływ na cenę pracy? Przecież do tego dążą związki robotnicze, zmniejszając podaż pracy przez skracanie dnia roboczego, ograniczanie liczby uczniów, wykluczanie cudzoziemców od pracy, zakazy pracy akordowej i t. p.

Nie ulega wprawdzie wątpliwości, że prawa naturalne, t. zn. rzadkość lub obfitość szukających pracy, zwyczajny tryb życia robotnika, a szczególniej stopień dobrobytu narodowego zadecydują ostatecznie, w c i ą g u d ł u ż s z e g o o k r e s u, o wysokości płacy. Lecz dla obalenia optymistycznych wniosków, które z tego wysnuwa szkoła liberalna, wystarczy podnieść:

[1]) Dlatego też Molinari żąda utworzenia g i e ł d y p r a c y, gdzieby podaż i popyt za pracą mogły się skupić i zapewniły pracy tę ruchliwość, która w tak wysokim stopniu właściwą jest kapitałom.

a) że zwyczaj wpływa w znacznie wyższym stopniu na wysokość płac, aniżeli na ceny towarów, że więc wzrost płac jest powolniejszy od wzrostu cen i przychodzi dopiero później, nawet wtedy, gdy zwyżkę cen spowodowało zniżenie wartości pieniądza;

b) że na targu tak kupujący jak i sprzedający są równi, tymczasem nie ma tej równości pomiędzy pracodawcą a robotnikiem przy zawieraniu umowy o pracę. Związki robotnicze dążą właśnie do zabezpieczenia tej równości, a tem samem do wytworzenia stosunków, w których prawo podaży i popytu mogłoby działać zupełnie swobodnie.

Trudniej rozstrzygnąć pytanie, czy prawo może oddziałać na wysokość płacy. Tak częste dawniej przepisy, określające maximum ceny towarów, okazały się bezskuteczne, to też trudno spodziewać się, ażeby ustawowe minimum płacy, którego domagają się niektórzy, mogło wydać lepsze rezultaty. W każdym razie wprowadzono je w kilku koloniach australskich dla tych gałęzi produkcyi, w których płace były niestosunkowo nizkie, szczególniej dla przemysłu domowego.

Praktyka wytworzyła liczne sposoby oznaczenia wysokości płacy, które można ująć w następujące typy:

1) Płaca czasowa, zwana niewłaściwie dzienną, przyjmuje za podstawę ilość czasu, poświęconego pracy. Jest to forma najstarsza i dziś jeszcze najpowszechniejsza, jakkolwiek nie liczy się ani z wydajnością pracy, ani z potrzebami i trudem robotnika. Główną jej zaletą jest stałe i jasne określenie wysokości wynagrodzenia, które pozwala robotnikowi liczyć na z góry znany dochód, a w przedsiębiorstwie ustala koszta pracy. Formalnie oblicza się płacę czasową według rozmaitych jednostek czasu — według godzin, dni, tygodni i t. p. — w rzeczywistości jednak podstawą jej jest dzień roboczy, za który

robotnik musi otrzymać zapłatę, wystarczającą na utrzymanie. W żadnym razie nie można sprowadzić płacy poniżej kwoty, niezbędnej na zaspokojenie klasowych potrzeb robotniczych. Natomiast płaca czasowa uchyla zupełnie solidarność osób, współdziałających w produkcyi, a nawet potęguje jeszcze ich antagonizm, kapitalista bowiem chciałby nabyty czas pracy wyzyskać jak najlepiej, robotnik utrudzić się jak najmniej. Przytem płaca czasowa nie chroni robotnika przed niekorzystnym wpływem zmian w konjunkturze gospodarczej, gdyż pozwala zawsze przedsiębiorcy na zmniejszenie wynagrodzenia przez zawarcie nowej umowy. Z czasów rozkwitu robotnik nie korzysta, bo pobiera stałą płacę, gdy przyjdzie przesilenie musi się zgodzić na zniżkę wynagrodzenia, inaczej bowiem grozi mu utrata zarobku. W końcu płaca czasowa działa także niekorzystnie społecznie, gdyż wytwarza w sferach robotniczych tendencyę do jak najmniejszego wyzyskania swych sił i zdolności wobec tego, że każdy większy wysiłek wychodzi wyłącznie na korzyść pracodawcy.

2) Praca akordowa stosuje się do rezultatów pracy, nie licząc się ani z trudem, ani z czasem zużytym dla ich uzyskania. W tym systemie robotnika ocenia się wyłącznie ze stanowiska jego siły wytwórczej, podobnie jak każdy inny czynnik produkcyi. Płaca akordowa jest bardzo korzystna dla przedsiębiorstwa, gdyż podnosi intenzywność pracy ludzkiej, a równocześnie zmniejsza koszta nadzoru, robotnik bowiem pracuje jak najusilniej we własnym interesie. Ze stanowiska robotnika płaca akordowa jest w zasadzie zawsze szkodliwą. Wprawdzie system ten zapewnia robotnikom pewną samoistność gospodarczą, gdyż wysokość ich dochodu zależy od rezultatu pracy, co z pewnością podnosi dobrobyt robotników najtęższych, lecz z drugiej strony przerzuca na pracę całe ryzyko

technicznej części produkcyi i wyzyskuje przeciw niej tak powszechne i naturalne przecenianie własnych sił i zdolności.

Praca akordowa da się zastosować tam tylko, gdzie można oddzielić rezultat działalności każdej jednostki. W niektórych gałęziach produkcyi techniczny podział pracy doszedł już tak daleko, że niepodobna uskutecznić takiego rozdziału, tam więc wytworzono t. zw. płacę akordową zbiorową (akord grupy), polegającą na zasadzie, że w stosunku do pracodawcy występuje cała grupa robotników współdziałających jako jedna całość. Ocenia się więc ogólną wydajność pracy ich wszystkich i odpowiednią kwotę wypłaca się kierownikowi grupy, który rozdziela ją między poszczególnych jej członków. W tym systemie każdy robotnik odpowiada nietylko za siebie, lecz także za swych współuczestników, to też powiększa się dla niego rozmiar niepewności produkcyjnej.

3) Płaca połączona z premiami zapewnia robotnikowi dodatkowe wynagrodzenie, t. zw. premię, za pracę, przewyższającą przeciętnie wymagany jej stopień. W tym systemie odróżnia się w rezultatach produkcyi dwie części. Jedna z nich, normalna, przypada w całości na rzecz pracodawcy, w zamian za płacę, obliczoną czasowo lub akordowo; druga stanowiąc nadwyżkę, spowodowaną wydatniejszą niż zwykle pracą robotnika, rozdziela się między pracę i kapitał w ten sposób, że robotnik otrzymuje premię za swą wyjątkowo skuteczną działalność, a reszta pozostaje przedsiębiorcy. W ten sposób dochodzi się do stworzenia solidarności pracy i kapitału ograniczonej rzeczowo, bo nie wykluczającej walk, dotyczącej wydajności normalnej. Rzeczywiście, premie wypłaca się za pilność, dokładność, zręczność, albo też oszczędność. Prawo do premii

rozpoczyna się dopiero z chwilą, gdy praca robotnika jest wyżej ukwalifikowana od normalnej, musi mu więc zależeć na tem, ażeby od pracy przeciętnej wymagano jak najmniej, gdyż w ten sposób zwiększa się dla niego prawdopodobieństwo uzyskania tem znaczniejszych premii. Jasną jest rzeczą, że interes pracodawcy jest wręcz przeciwny, co łatwo doprowadzić może do sporów.

Premiowanie pracy nie zawsze da się przeprowadzić, niezbędnym bowiem jego warunkiem jest określenie przyczynowego związku pomiędzy pracą a wydajnością produkcyi. Najwyraźniej występuje ten związek przy pracy kierowniczej i intelektualnej, stąd też system premii wprowadzono oddawna w formie tantiem przy określaniu płac kierowników i całego personalu, który posiada samoistny zakres działania (dyrektorowie, urzędnicy, inżynierowie, ajenci handlowi i t. p.). Powoli zaczęto rozszerzać tę zasadę także na robotników technicznych, jednakże znaczenie jej dla płac robotniczych jest w każdym razie drugorzędne.

4) Udział w zyskach przedsiębiorstwa, do dzisiaj mało jeszcze upowszechniony, ma stworzyć zupełną solidarność pracy i kapitału. Robotnik pobiera pewną stałą płacę, prócz tego zaś ma zapewniony udział w czystym dochodzie przedsiębiorstwa, tak, że jego dochody podnoszą się wraz z wzrostem zysku kapitalistycznego. Udział ten oznacza się patryarchalnie, proporcyonalnie lub progresywnie. W systemie patryarchalnym pracodawca przeznacza z zysków przedsiębiorstwa pewną kwotę na rzecz robotników, oznaczając dowolnie jej wysokość w każdym okresie gospodarczym, tak, że robotnicy mają prawo do udziału w dochodach produkcyi, jednakże wysokość jego zależy wyłącznie od przedsiębiorcy. System proporcyonalny przeznacza na rzecz

robotników pewną stale oznaczoną część czystego zysku, po potrąceniu również z góry oznaczonego oprocentowania kapitału. Stopa progresywna wreszcie powiększa nawet procentowo udział robotników, skoro zwiększają się zyski. Jeżeli np. zastrzeżono najniższe oprocentowanie kapitału na 5%, a przedsiębiorstwo dało 6%, robotnicy otrzymują z nadwyżki czwartą część, gdy dało 7%, trzecią, przy 8% połowę itp.

Po oznaczeniu ogólnej kwoty, przypadającej na rzecz robotników, należy ją rozdzielić pomiędzy poszczególnych pracowników. Albo więc kwotę przypadającą robotnikom rozdziela pracodawca według własnego uznania, albo nie dzieli się jej wcale, lecz przeznacza na instytucye wspólne wszystkim robotnikom danego zakładu, jak na kasy zapomogowe, instytucye ubezpieczenia i t. p., albo wreszcie rozdział uskutecznia się na podstawie pewnych znamion zewnętrznych, zwyczajnie w stosunku do pobranej płacy i lat służby. Rozdział zysków dowolny jest niewłaściwy, bo prowadzi łatwo do protegowania lub pokrzywdzenia poszczególnych jednostek, w każdym zaś razie budzi u robotników nieufność. Również trudno się oświadczyć za przymusowem przelaniem udziału w zyskach na rzecz intytucyi robotniczych, bo przedsiębiorstwo dotuje w tym wypadku zakłady robotnicze, a nie zapewnia swym pracownikom udziału w zyskach, co jest rzeczą zupełnie inną. Nie można zapominać, że przyznanie udziału w zyskach nie polega na łasce, lecz na uznaniu uprawnienia robotników do korzystania w pewnym stopniu z rozwoju gospodarczego. Wskutek tego należy im pozostawić prawo wyboru tych korzyści, t. zn. możność użycia tych dodatkowych dochodów w sposób, który uznają za stosowny. Najlepszy niewątpliwie jest rozdział według pobieranej płacy, która jest jedynem praktycznem kryteryum użyteczności pracy

ludzkiej. System ten nie wyklucza liczenia się z trwałością związku robotnika z danem przedsiębiorstwem. I owszem, uwzględnienie lat pracy w przedsiębiorstwie jest zupełnie zgodne z zasadniczą ideą udziału w zyskach, bo trwałość zajęcia jest z pewnością jednym z czynników, solidaryzujących pracę z kapitałem.

Udział w zyskach przedsiębiorstwa jest dla robotnika nader korzystny, bo prócz zwyczajnych dochodów, które mają pokryć bieżące wydatki, daje mu jeszcze pewną kwotę na rzecz większych i rzadszych potrzeb, albo też pozwala mu dojść do posiadania pewnego kapitału, który w dalszej linii może go doprowadzić do samoistnego gospodarstwa. Społecznie jak najusilniej należy popierać ten sposób zapłaty, gdyż opiera się na idei sprawiedliwości, uznając przynajmniej w zasadzie równouprawnienie pracy i kapitału, a powtóre zmniejsza antagonizm pomiędzy bezwłasnościowym proletaryatem a klasami posiadającemi. Produkcyi wreszcie i kapitałowi przynosi skuteczniejsze i pewniejsze współdziałanie pracy ludzkiej, co naturalnie oddziaływa nader korzystnie na cały dobrobyt narodowy.

Pomimo tych wszystkich zalet system udziału w zyskach bardzo mało jest dotąd rozwinięty. Jednym powodem tego jest niechęć pracodawców, którzy zasadniczo nie chcą uznać prawa robotnika do udziału w dochodach przedsiębiorstwa. Nie miałoby to jednak większego znaczenia, gdyby nie wielkie braki tego systemu, spowodowane przez samych robotników. Robotnik mając raz prawo do zysków, domaga się zarazem prawa zbadania, czy nie ukrócono jego udziału sztucznie, przy pomocy niewłaściwego ułożenia bilansu. Żądanie to, samo w sobie słuszne, nie spotkałoby się z odmową, gdyby nie to, że robotnicy, mało obznajomieni z kierownictwem przedsiębiorstwa a przedewszystkiem z jego stroną han-

dlową, występują przeciwko wydatkom, na pozór niepotrzebnym i nieproduktywnym, w gruncie rzeczy niezbędnym, (np. wydatki na reklamę, sprzedaż wytworów poniżej własnych kosztów celem utrzymania targu, tworzenie różnych funduszów rezerwowych i t. p.). Stąd rodzą się spory i utrudnienie kierownictwa, co potęguje tylko niechęć pracodawców do wprowadzenia udziału w zyskach. Braki te można usunąć tylko tam, gdzie robotnicy stoją na dość wysokim stopniu kultury gospodarczej ażeby zrozumieć, że takie postępowanie szkodzi im samym, a zarazem gdzie organizacya zawodowa już tak się rozwinęła, że kierują nią ludzie, którzy obok zaufania robotników posiadają jeszcze dostateczne wykształcenie fachowe, ażeby kontrolę ksiąg przeprowadzić w imieniu robotników, licząc się z zasadami racyonalnego gospodarowania.

5) Ruchoma skala płacy polega na uwzględnieniu ceny wytworu przy określeniu wysokości płacy. Przedsiębiorcy wraz z reprezentantami zawodowej organizacyi robotników oznaczają przedewszystkiem normalną płacę i normalną cenę, t. zn. wysokość wynagrodzenia przy cenie wytworu, którą uznaje się za zwyczajną. Stanowi to główną podstawę całego układu, gdyż praca wzrasta lub maleje proporcyonalnie do fluktuacyi cen w sposób, oznaczony stale skalą, zamieszczoną w układzie. Jeżeli więc np. za normalną cenę przyjmie się 10, za normalną płacę 100, a cena podniesie się do 12, to płaca wzrośnie również np. do 120, jeżeli skala jest ściśle proporcyonalna. Zwyczajnie przyjmuje się jeszcze pewne minimum płacy, niekiedy i maximum, tak że bez względu na cenę, płaca nie może zejść poniżej pewnej granicy, ani też przewyższać pewnej kwoty.

System ten spotyka się w ostatnich czasach z silną opozycyą ze strony robotników, którzy podnoszą, że zwiększenie rentowności przedsiębiorstwa idzie nieraz równolegle ze spadkiem ceny, wskutek czego robotnik otrzymuje mniej niż dawniej, jakkolwiek pracodawca ma wyższe zyski. Rzeczywiście ulepszenia techniczne, zmniejszając koszta produkcyi, pozwalają na tańszą sprzedaż przy wysokich zyskach, robotnik przeto otrzyma płacę niższą, chociaż dochód pracodawcy jest znaczniejszy. W walce konkurencyjnej znowu przedsiębiorca może pójść bardzo daleko wiedząc, że część jej kosztów poniesie robotnik, bo mniejszej cenie odpowiada mniejsza płaca, może więc przerzucić na robotnika znaczną część ryzyka. Braki te jednak nie są wynikiem zasadniczej idei tego systemu, bo ogólnie rzecz biorąc, zyski zależą przedewszystkiem od wartości wytworu, t. zn. że płaca, stosująca się do jego ceny, zapewnia robotnikowi udział w rentowności produkcyi. Zarzuty, podnoszone przez robotników, dowodzą jedynie, że w pewnych wypadkach należy zmienić wymiar ceny normalnej, jako już przestarzały i nieodpowiedni. W istocie jeżeli postęp techniki jest specyalną właściwością danego przedsiębiorstwa, robotnicy nie mogą żądać udziału w płynących stąd korzyściach, które są wyłączną zasługą kierownika, gospodarującego lepiej od innych, nic jednak nie tracą na nowych urządzeniach, bo płaca ich stosuje się do cen przeciętnych, które nie uległy zmianie. Jeżeli natomiast postęp techniczny staje się ogólnym i sprowadza potanienie wytworu, należy tylko nowym układem zmienić odpowiednio pojęcie normalnej ceny. Co do walki konkurencyjnej, to o ile jest wynikiem konieczności, dowodzi jedynie pogorszenia warunków wytwórczych, a więc musi się odbić na obu stronach współdziałających w produkcyi, o ile zaś ma charakter przejściowy, stanowi sposób uzyskania w przyszłości lepszych cen, a więc i wyższego zarobku. Robotnicy

nie są tu narażeni na większe niebezpieczeństwo, niż przy jakimkolwiek innym systemie wynagrodzenia. I owszem, położenie ich jest korzystniejsze, gdyż brak ruchomej skali może w czasach walki i przesileń sprowadzić zamknięcie lub ograniczenie produkcyi, a więc zupełny zanik zarobku, podczas gdy tutaj następuje tylko pewna zniżka płacy; osiągnięte zaś zwycięstwo wychodzi przy stałej płacy wyłącznie na korzyść kapitału, przy ruchomej podnosi zarazem dochody pracy. Dla tych powodów należy uważać system ruchomej skali za wielki krok naprzód w kierunku sprawiedliwego rozłożenia zysków i strat między kapitał a pracę ludzką.

V.

Środki, służące do zmniejszania długości pracy.

Wynagrodzenie jest tylko jedną stroną życia pracującego: drugą stroną jest praca. Polepszenie jego losu może zależeć tak samo od zmniejszenia trudu, jak od zwiększenia dochodu.

Zmniejszenie godzin pracy jest jedną z reform, do której przywiązują w naszych czasach najwięcej wagi i której każdy pierwszy maj dodaje nowej aktualności, przez wielką międzynarodową manifestacyę. Socyaliści widzą w niej drogę do usamowolnienia robotnika i uwolnienia go choć w części od wyzysku przedsiębiorcy. Robotnicy znowu spodziewają się, że taka reforma pozwoli im mniej pracować, bez zmniejszenia wynagrodzenia, owszem dając nawet szansę podniesienia płacy, dzięki zwiększonemu popytowi na pracę, spowodowanemu ograniczeniem godzin roboczych. W końcu ekonomiści nowej szkoły spodziewają się przez to podnieść poziom umysłowy, moralny a nawet i fizyczny warstwy robotniczej, zapewniając jej konieczny spoczynek i czas dla zajęcia się jakąś użyteczną rozrywką, dając robotnikom położenie nowe, więcej odpowiadające przeznaczeniu człowieka i obywatela.

Niejednokrotnie podnosi się, że w naszych czasach solidarność ekonomiczna, a raczej konkurencya pomiędzy narodami, jest tak silna, że byłoby trudno jednemu krajowi ograniczyć u siebie liczbę godzin pracy, gdyż narażałby się przez to wobec innych na wielką niższość ekonomiczną. Dlatego też chciano to przeprowadzić w drodze międzynarodowego porozumienia [1]) między wszystkimi krajami cywilizowanymi, przez co zagadnienie to staje się międzynarodowem, a zatem znacznie trudniejszem do rozwiązania. Jednakże doświadczenie okazało, że narody, stojące kulturalnie dość wysoko, ażeby ograniczyć czas pracy, są zarazem przemysłowo tak rozwinięte, że nie potrzebują obawiać się konkurencyi krajów, posiadających dłuższy dzień roboczy.

Kwestya ta zresztą przedstawia się rozmaicie, stosownie do tego, czy chodzi o dzieci, kobiety, czy o mężczyzn dorosłych.

§ 1. Co się tyczy pracy dzieci, to wszystkie kraje przemysłowe, prócz kilku rzadkich i haniebnych wyjątków, zakazują dziś zgodnie pracy dzieci we fabrykach, a różnią się tylko co do granic wieku. We Francyi od ustawy w r. 1892 nie wolno pracować dzieciom do lat 13, podczas gdy od 13 do 18 lat praca nie może przenosić 10 godzin dziennie, a granicę tę należałoby podnieść do 14 lat, jak w Szwajcaryi i w Austryi. W Anglii nie wolno pracować do lat 12, a między 12—14 rokiem tylko co drugi dzień, lub połowę czasu pracy dorosłych.

Nie trzeba jednak myśleć, że to ograniczenie prze-

[1]) Dla tych kwestyi zebrała się w kwietniu r. 1890 międzynarodowa konferencya, w której brały udział wszystkie kraje europejskie, w Berlinie. Ułożyła ona szereg rezolucyi, które jednak, jak dotąd, pozostają jedynie w stanie życzeń.

szło bez oporu. Kampania rozpoczęła się w Anglii w roku w r. 1802, a dopięła celu dopiero 1833 roku, dzięki, wytrwałości bohaterskiej lorda Shaftesbury. Mówiono, że trzeba zostawić rodzicom ochronę własnych dzieci, jakkolwiek rodzice, przyciśnięci potrzebą, poświęcali je nieraz dla zarobku w najgorszy sposób.

§ 2. Co się tyczy kobiet, kwestya jest już trudniejsza. Pewna liczba skrajnych pragnie, aby kobiety podobnie jak dzieci, były wykluczone z fabryk. I nie brak im dobrych argumentów: ognisko rodzinne zniszczone, ogromna śmiertelność opuszczonych dzieci [1]), niebezpieczeństwo, jakie fabryka przedstawia dla młodej dziewczyny i kobiety, tak co do zdrowia jak i moralności. Z drugiej jednak strony trzeba powiedzieć, że w epoce, w której więcej jak kiedykolwiek mówi się o emancypacyi i równouprawnieniu kobiet, byłoby w rzeczy samej rażącem, narzucić wszystkim kobietom pewien rodzaj nieudolności do zarobienia własną pracą na utrzymanie. I tak mają one już dość trudu, aby uzyskać je w uczciwy sposób, nie należy więc zamykać im jeszcze drzwi fabryk. Musianoby chyba wyłączyć z pod tego zakazu niezamężne i wdowy, tem samem nie mające nikogo, ktoby mógł na nie pracować, lecz w takim razie zadanoby śmiertelny cios instytucyi małżeństwa.

Kończy się więc na kompromisie. Nie zabrania się kobietom pracy fabrycznej wogóle, tylko niektóre jej rodzaje, szczególnie nieodpowiednie i niebezpieczne dla ich płci, głównie pracę w kopalniach i pracę nocną, a zarazem ogranicza się liczbę godzin pracy i zapewnia się kilkutygodniowy spoczynek przed albo po połogu.

§ 3. Dla mężczyzn sprawa wikła się jeszcze więcej. Nie chodzi oczywiście o to, czy ma się im zabronić pracy

[1]) Opuszczenie dzieci, gdy chodzi o dziatwę w młodym wieku, pociąga za sobą naturalnie karmienie sztuczne, a zatem okropną śmiertelność ludności dziecięcej (więcej jak 60% w pierwszym roku); jest to więc sprawa dobra publicznego.

w fabrykach, ale czy się tę pracę ma ograniczyć. Zwolennicy szkoły liberalnej twierdzą, że jednostki pełnoletnie mają prawo dowolnie rozporządzać swym czasem i swą pracą, że są najlepszymi sędziami swych własnych interesów. Ale na to można odpowiedzieć, że w rzeczywistości, za panowania wielkiego przemysłu, ta wolność nie istnieje wcale. Robotnik musi przyjść do fabryki i wyjść z niej wtedy, gdy dzwon dzwoni, musi poddać się co do liczby godzin pracy, jakąkolwiekby była jego osobista wola, przepisom narzuconym nietyle przez pracodawcę, jak przez zwyczaj lub konkurencyę. Odtąd kwestya wolności nie jest już w grze — i chodzi tylko o to, czy zmniejszenie godzin pracy jest korzystne dla dobrobytu robotników, a nawet, w jeszcze ogólniejszy sposób, dla ulepszenia rodzaju ludzkiego. Otóż doświadczenie krajów, w których zniżono czas pracy, przemawia za tem stanowczo.

Wbrew temu, coby się zdawało i co jest jednym z najważniejszych i najczęściej wysuwanych zarzutów, zmniejszenie godzin pracy nie musi pociągnąć za sobą ani zmniejszenia produkcyi ani zniżenia płacy. Robotnicy mniej zgnębieni i zmęczeni, mając więcej czasu do rozwoju umysłowego, moralnego i fizycznego, mogą produkować więcej, a tem samem uzyskać wyższą płacę. W istocie widzimy, że w krajach, w których dzień pracy jest zwyczajnie najkrótszy (Australia, Stany Zjednoczone, Anglia) płaca jest najwyższa, a produkcya najintenzywniejsza [1]).

[1]) Bez wątpienia nie można tej tezy posuwać do absurdum i twierdzić, jak to czynią socyaliści, że im mniej się będzie pracowało, tem więcej się wytworzy. Nie można również, tak jak socyaliści, przytaczać argumentów sprzecznych i twierdzić, że przy krótszych dniach pracy z jednej strony praca będzie wydajniejszą, z drugiej zaś, że wskutek tego ustaną bezrobocia i wszyscy znajdą zatrudnienie. Jest to przecież widocznem, że jeżeli robotnicy mniej pracując, wytworzą tyle co dzisiaj, nie będzie potrzeba zatrudniać

Pomimo tego ograniczenie legalne dnia pracy dla mężczyzn istnieje tylko wyjątkowo. Trzy kraje europejskie tylko posiadają odnośne prawa, a mianowicie Szwajcarya i Austrya, oznaczając najwyżej godzin 11, a Francya (od r. 1848) na 12 godzin, ale te przepisy nie mają większego znaczenia praktycznego, albowiem w rzeczywistości pracuje się mniejszą liczbę godzin dziennie.

W Anglii granica zwykła jest dziewięć godzin (w sobotę tylko 6), w Stanach Zjednoczonych od 8 do 9 godzin, w Australii tylko 8 godzin [1]), ale te ograniczenia nie są narzucone przez prawo tylko przez izby robotnicze.

VI.

Zawodowe stowarzyszenia robotnicze.

W zwykłych stosunkach, gdy robotnik jako jednostka godzi się z przedsiębiorcą, nie może omawiać warunków umowy, musi przyjąć lub odrzucić ofiarowaną mu cenę w całości, a to z następujących powodów:

1. Ponieważ kapitalista może czekać, a robotnik nie może. Jest on w położeniu kupca, który koniecznie musi

---

większej liczby robotników. Musimy więc wybrać między tymi dwoma argumentami, a nie używać ich równocześnie.

Prawdą jest natomiast, że skrócenie dnia pracy może się zejść bardzo dobrze z wzrostem intenzywności pracy, a tem samem jej wytwórczości, jednakże pod warunkiem, że będzie się miało do czynienia z wyborową rasą, będącą w stanie dostarczyć pracy bardzo intenzywnej i to tylko w krajach, stojących wysoko pod względem techniki produkcyjnej.

[1]) Wiadomem jest, że ośmiogodzinny dzień pracy figuruje w programach partyi robotniczej i służy za pretekst do manifestacyi pierwszego maja. Jeżeli w Australii robotnicy mogli to otrzymać wcześniej aniżeli w Anglii lub w Stanach Zjednoczonych, to tylko dlatego, że wskutek wielkiej odległości jest ona mniej narażona na konkurencyę europejską.

sprzedać swój towar, by wyżyć — towarem w tym razie jest praca.

2. Ponieważ zazwyczaj przedsiębiorca obejść się może bez jednego robotnika, podczas gdy robotnik nie tak łatwo obejdzie się bez przedsiębiorcy. Zawsze znaleźć można innego robotnika; w razie potrzeby można sprowadzić go z zagranicy, a nawet w ostateczności można go zastąpić maszyną. Za to nie tak prędko znachodzi się innego przedsiębiorcę; nie można sprowadzić go ani koleją, ani okrętem, a dotychczas nie wynaleziono jeszcze sposobu zastąpienia go maszyną.

3. Ponieważ przedsiębiorca zna lepiej stosunki targu, badając je z wyższego i z ogólniejszego punktu widzenia, a przedewszystkiem ponieważ pracodawcy mogą łatwiej porozumieć się pomiędzy sobą.

Wskutek tego wolność i równość umowy jest tylko nominalną. Lecz z chwilą, gdy robotnicy utworzą stowarzyszenie zawodowe, zajmują, przynajmniej w pewnej mierze to samo stanowisko, co przedsiębiorca. Albowiem stowarzyszenie:

1. daje możność robotnikowi odrzucenia pracy, wspomagając go tymczasem z kapitału towarzystwa i ze składek stowarzyszonych i tworząc osobny fundusz na wypadek bezrobocia, który uchyla niebezpieczeństwo poddania się woli pracodawcy wskutek niedostatku;

2. łączy wszystkich robotników pewnej gałęzi, wskutek czego przedsiębiorca umawia się już nie z jednym, lecz ze wszystkimi, tak, że w miejsce umowy indywidualnej wchodzi umowa zbiorowa;

3. zakłada dla nich biura wywiadowcze i dostarcza im biegłych i doświadczonych kierowników, którzy umieją ocenić położenie tak dobrze, jak przedsiębiorca i nie dopuszczają, aby robotnik zrobił krok fałszywy i zgodził się na niekorzystne dla siebie warunki.

Ekonomistom przeto, którzy twierdzą, że stowarzyszenia robotnicze nie są w stanie ustanowić dowolnie wy-

sokości płacy, należy odpowiedzieć, że nie mają one także tego zamiaru. Pragną one zapewnić robotnikom jedynie taką płacę, która odpowiada panującym w danej chwili stosunkom gospodarczym i targowym, a nie dopuścić do obniżania jej pod naciskiem okoliczności przypadkowych, jak n. p. pod wpływem niedostatku lub konieczności utrzymania licznej rodziny.

Pomimo tego robotnicy od niedawna dopiero mają prawo porozumiewania się i łączenia między sobą. Najpierw uzyskali t. zw. prawo koalicyi, zezwalające na łączenie się w celu postawienia swych żądań, a w razie odmowy w celu rozpoczęcia bezrobocia. Przyznano im to w Anglii w r. 1824, we Francyi w r. 1864. To prawo jednak nie było dostateczne, gdyż żądania ich mogły być tylko o tyle skuteczne, o ile opierały się nie na związkach chwilowych lub przypadkowych, lecz na stałej i trwałej organizacyi. To też przyznano robotnikom prawo stowarzyszania się w Anglii w r. 1871, we Francyi w r. 1884.

Stowarzyszenia robotnicze istniały już w wiekach średnich jako związki czeladzi, podczas gdy cechy były związkami pracodawców. Jednakże dopiero w ostatnich czasach stowarzyszenia te stały się potęgą społeczną, a to szczególniej w krajach anglo-saksońskich, dzięki swej doskonałej organizacyi. Znane są pod nazwą *trade-unions*.

Poszczególne stowarzyszenia robotnicze łączą się znowu ze sobą, albo w t. zw. federacye, według gałęzi produkcyi (n. p. federacya robotników poligraficznych we Francyi), albo w związki okręgowe, zwane we Francyi giełdami pracy, gdy jednolitą organizacyą obejmują pewną przestrzeń kraju. Tak ugrupowane, stowarzyszenia zawodowe zapewniają robotnikom znacznie większą siłę przy układach z pracodawcami o płacę lub warunki pracy, jakoteż dopomagają im w czasach bezrobocia, czy przypadkowego, czy też spowodowanego strejkiem.

Niektórzy przypisują im nawet o wiele większe znaczenie; ich zdaniem, stowarzyszenia robotnicze prowadzą walkę klasową i zdobywają robotnikom należne im prawa, bez pomocy państwa lub ustawodawstwa, używając, w razie potrzeby, niezwyciężonej broni, jaką jest strejk ogólny.

§. 1. Strejki.

Strejkiem nazywamy zawieszenie pracy przez robotników, którzy w tym celu porozumieli się między sobą. Warunkiem tedy strejku jest poprzednie umówienie, czyli, jak zwykle powiadają, zmowa. Dziś już nikt nie odmawia robotnikom prawa do zmowy, czyli t. zw. koalicyi, albowiem uważając pracę za towar, trzeba każdemu dozwolić sprzedaży pod warunkami, które on naznaczy — natomiast dotąd jeszcze niema zgody co do skuteczności tego środka.

Strejk jest środkiem wojennym, łączą się tedy z nim wszystkie złe skutki, właściwe wojnie: powoduje olbrzymie marnowanie sił wytwórczych [1]), rodzi dużo cierpień i pozostawia zawsze w sercu zwyciężonego (przedsiębiorcy czy robotnika) zarzewie przyszłych starć. Lecz nie da się zaprzeczyć, że ten gwałtowny środek przyczynił się do podniesienia wysokości płac, zmuszając przedsiębiorców do przyznania większego dochodu swym robotnikom. Nie mo-

[1]) Biuro statystyczne pracy w Stanach Zjednoczonych oszacowało na 400 milionów dolarów straty, wywołane przez strejki i zmowy przedsiębiorców w ciągu 20 lat (1881—1900). Z tego stracili przeszło dwie trzecie, t. j. 276 milionów dolarów robotnicy, a jednę trzecią, t. j. 124 milionów, przedsiębiorcy. (Przez zmowę przedsiębiorców, *lockout*, rozumieć należy porozumienie się pracodawców, mające przez równoczesne zamknięcie fabryk zmusić robotników do ustępstw). Wogóle z ogółu strejków zwyczajnie 20—25% udaje się zupełnie, 30—40% kończy się zupełną klęską robotników, a w 35—50% wypadków przychodzi do wzajemnych ustępstw.

żna osądzać skuteczności strejków według liczby udałych lub nieudałych strejków, zapisanych w rocznikach statystycznych. Jeden, pomyślnym wynikiem uwieńczony strejk, może podnieść płace w wielu gałęziach przemysłu. Zresztą na podniesienie płacy oddziaływa nietyle sam strejk, ile ciągła obawa strejku. Strejk, zarówno jak wojna, tylko wówczas może być skuteczny, gdy się opiera na silnej organizacyi. Zmowa przypadkowa i chwilowa nie wystarcza. Trzeba stowarzyszeń trwałych i dość silnych, by wywierały wpływ nietyle strejkiem samym, ile raczej swą potęgą. Im stowarzyszenia będą silniejsze i liczniejsze, tem mniej będzie strejków — tak, jak utrzymywanie wielkich armii w każdem państwie Europy zabezpiecza pokój. Tak dzieje się w Anglii, gdzie stowarzyszenia robotnicze, głośne Trade-Unions (towarzystwa zawodowe), stały się potęgą w państwie i przyczyniły się bardzo do poprawy bytu warstw robotniczych w Anglii [1]).

[1]) Trade-Unions mają milionowe kapitały i tysiące członków (naprzykład towarzystwo mechaników 60,000); kierują nimi ludzie rozumni i wybitni, wybierani niejednokrotnie do izby poselskiej. Trade-Unions zwołują corocznie wielkie zjazdy i tworzą istotną potęgę w społeczeństwie. Dotychczas nie użyły tej potęgi do szerzenia idei socyalistycznej, lecz zakreśliły sobie cel łatwiejszy do urzeczywistnienia, a mianowicie zwiększenie zarobku lub zmniejszenie długości pracy, nie żądając pomocy od państwa. Niezbyt często walczyły obosieczną bronią strejków, lecz przeznaczały największą część swych środków materyalnych kasom, zabezpieczającym na wypadek braku pracy, niezdolności do pracy i choroby. Członkowie tych towarzystw stali się arystokracyą robotniczą — z powodu tego zasklepienia się w sobie — a tłum robotników, zatrudnionych pospolitemi pracami, niewymagającemi zawodowego wykształcenia, odwrócił się od stowarzyszeń. Między tym tłumem szerzy się coraz bardziej socyalizm, w miarę, jak Trade-Unions stają się konserwatywnemi, głównie od sławnego strejku tragarzy w dokach londyńskich w r. 1890. Ci robotnicy utworzyli potężne liczbą, jeżeli nie kapitałami, związki, które żądają już interwencyi państwa i zdobywając coraz więcej wpływu na kongresach izb robotniczych, starają się je popchnąć na drogę rewolucyjną. W Stanach Zjednoczonych

Ci, którzy strejkom odmawiają wpływu na wysokość płac, podnoszą, że płace wzrosły w równym stopniu, a nawet i wyższym w gałęziach, w których nie było nigdy strejku, a nawet w których niema stowarzyszeń zawodowych, jak n. p. w rolnictwie i służbie domowej. Lecz wzrost ten jest tylko pośrednim skutkiem zwyżki płac, uzyskanej przez robotników zorganizowanych. Płace robotników rolnych podniosły się, bo opuszczali oni wsie, ażeby szukać lepszego zarobku w mieście; wynagrodzenie służby domowej stosuje się również do płac robotników przemysłowych. W ostatniej przeto linii gałęzie zorganizowane stają się regulatorem na targu płacy, co stanowi olbrzymi postęp, tak ekonomiczny jak i etyczny.

§. 2. Sądy rozjemcze i Izby ugodowe.

Podobnie jak spory polityczne wywoływały pierwotnie bezustanne wojny, a dziś przynajmniej częściowo łagodzą się w drodze sądów rozjemczych, tak i w walce między kapitałem i pracą staramy się coraz częściej zastąpić brutalne rozwiązanie zapomocą strejku, a więc »prawa siły«, dobrowolną ugodą.

Najbardziej charakterystyczną jej formą jest sąd rozjemczy. Jednakże ażeby wydał dobre rezultaty, muszą istnieć silne organizacye robotnicze, dostatecznie wykształcone, a przedewszystkiem posiadające taką dyscyplinę, ażeby robotnicy poddali się wyrokowi rozjemczemu, nawet gdyby był dla nich niekorzystny. To też nie wiele jest krajów, gdzieby już dziś do tego doszło. Jedynie w Anglii, w niektórych wielkich gałęziach produkcyi, istnieją

istnieją także Trade-Unions, ale przedewszystkiem rozwijają się sławne, rozciągające się na olbrzymie obszary towarzystwa »rycerzy pracy« *Knights of Labor*, opierające się głównie na niewykształconych robotnikach. W ostatnich latach straciły one jednak bardzo wiele ze swego znaczenia.

sądy rozjemcze i ugodowe, obierane przez przedsiębiorców i robotników, które działają bardzo skutecznie.

Jedne z nich, tak zwane rady fabryczne, albo też rady robotnicze, są wydziałami, zorganizowanymi w niektórych przedsiębiorstwach dla wysłuchania skarg robotników, zastanawiania się nad regulaminami fabrycznymi i dla brania udziału w zarządzie wewnętrznym fabryki, jednakże zawsze tylko z głosem doradczym, który nie wiąże przedsiębiorcy.

Inne, jak n. p. »Izba ugodowa robotników przemysłu żelaznego północnej Anglii« obejmują prawie całą gałęź produkcyi, a w Stanach Zjednoczonych istnieje wiele takich izb, których akcya rozciąga się na cały stan. Należy jednak stwierdzić, że im ich zakres wpływu jest większy, tem mniej pomyślne są wyniki ich działalności.

Zdawałoby się, że sądy rozjemcze mogą być tylko dobrowolne, trudno bowiem wystawić sobie przymusowe narzucenie ugody lub rozstrzygnięcia polubownego. Mimo to w Nowej Zelandyi istnieje od 21 grudnia 1894 trybunał rozjemczy, którego kompetencyi muszą — w ustawą określonych wypadkach — poddać się obie strony. Rezultaty tam osiągnięte w ciągu lat kilkunastu są tak pomyślne, że instytucyę tę zaczęto wprowadzać i w innych stanach Australii. Nie należy jednak zapominać, że są to kraje słabo zaludnione, o potężnych związkach zawodowych, obejmujących całą ludność robotniczą. Tam, gdzie nie ma jeszcze takiej organizacyi, niepodobna przyznać sądom rozjemczym charakteru przymusowego, a tem mniej zapewnić ich wyrokom siłę egzekucyjną [1]).

[1]) Sądy przemysłowe mają zupełnie inny charakter. Są to prawdziwe trybunały, które nie rozstrzygają kwestyi ekonomicznych, jak n. p. sprawy podwyższenia płac, tylko spory czysto prawne, gdy n. p. robotnik skarży się, że nie otrzymał zapłaty, która mu się należy z umowy.

VII.

Ubezpieczenie robotników.

Nie wystarcza pobierać sprawiedliwą płacę, lecz należy nadto mieć pewność, że nie braknie jej w chwilach krytycznych. Tymczasem robotnikowi grozi pięć nieszczęść — trzy wspólne wszystkim ludziom, choroba, starość i śmierć, a dwa właściwe jego zawodowi: nieszczęśliwe wypadki i bezrobocie. Wszystkie wywołują ten sam skutek: pozbawiają go czasowo lub raz na zawsze pracy, z czegóż więc utrzyma siebie i swą rodzinę?

Tutaj nasuwa się pytanie, czy inicyatywa osobista, objawiająca się oszczędnością i stowarzyszaniem się, potrafi zapobiedz im, czy też należy odwołać się do pomocy państwa? Zdaje mi się, że oszczędność, i to oszczędność biedaka, nie podoła tym nieprzyjaciołom.

W jednym tylko wypadku i to niezupełnie, może wystarczyć inicyatywa prywatna, mianowicie niekiedy, o ile się to tyczy strat, wynikających z choroby, wystarczają towarzystwa wzajemnej pomocy. Mała wkładka, zazwyczaj w wysokości 1 fr. miesięcznie, wystarcza na zapłacenie lekarza, apteki i pewnego odszkodowania za dnie choroby. We wszystkich krajach, a szczególnie we Francyi, istnieje dużo towarzystw wzajemnej pomocy. Ustawodawstwo popiera je rozmaitymi przywilejami, w których zbadanie wdawać się tutaj nie możemy.

Lecz co się tyczy czterech innych nieszczęść, to można powiedzieć, że inicyatywa prywatna nic nie znaczy, albo przynajmniej bardzo mało. Wprawdzie istnieje pewna liczba towarzystw wzajemnej pomocy, które zabezpieczają swych członków na starość, obiecując im począwszy od pewnego wieku pewną płacę, lecz nie jest rzeczą pewną, czy zdołają one dotrzymać swych zobowiązań. Premia ubezpieczająca od starości, pomimo najlepszych kombinacyi, jest zawsze jeszcze bardzo wygóro-

wana i niemożliwa dla kieszeni robotnika. Tak naprzykład we Francyi należy płacić rocznie najmniej 42 fr. przez lat 25 z rzędu, ażeby od sześćdziesiątego roku życia otrzymywać dożywotnią rentę 365 franków.

Istnieje wiele towarzystw, które ubezpieczają na wypadek przypadkowego nieszczęścia i śmierci, lecz ich taryfy są wygórowane, a towarzystwa nie starają się bynajmniej o drobną klientelę robotniczą; zresztą nawet w klasach zamożniejszych mało jest osób ubezpieczających się, a nie można od robotnika wymagać większej przezorności.

Angielskie izby robotnicze potrafiły uzyskać doskonałe rezultaty z ubezpieczeniem na wypadek bezrobocia, dzięki swej potężnej organizacyi i wysokim wkładkom nałożonym na członków. Pomimo tego działają one skutecznie tylko w razie bezrobocia częściowego i lokalnego.

Jeżeli jednak robotnik jest tu bezsilnym, czy nie można się zwrócić do przedsiębiorcy? Słusznie można twierdzić, że szczególniej straty, wynikające z nieszczęśliwego wypadku i starości, ponosić powinien przedsiębiorca. W dzisiejszym ustroju robotnik jest narzędziem, używanym przez pracodawcę, który tem samem powinien ponosić koszta, połączone z zepsuciem się i zużyciem tego narzędzia, jak to czyni przy maszynach. Nawet i brak sposobności do pracy jest w pewnej mierze wynikiem postępowania przedsiębiorców, gdyż możnaby uniknąć tego nieszczęścia, gdyby lepiej uregulowali swą produkcyę, co przecież umieją zrobić, przy pomocy kartelów, gdy chodzi o utrzymanie cen w odpowiedniej wysokości.

Istotnie też część przedsiębiorców, a przedewszystkiem wielkie towarzystwa akcyjne, utworzyły dobrowolnie towarzystwa ubezpieczeń od wypadków i na wypadek starości; koszta ponoszą one same w całości lub przynajmniej większą ich część, każąc płacić robotnikom tylko nieznaczne wkładki, potrącane przy wypłacie zarobku.

Ten wspaniałomyślny przykład nie znalazł wielu naśladowców, już to z powodu braku dobrej woli, już to z braku odpowiednich funduszów, gdyż tego rodzaju zakłady potrzebują wielu urzędników i wielkich kapitałów.

Musimy więc zadać sobie pytanie, czy państwo nie ma obowiązku bronić warstwy robotniczej przed temi stratami, czyby nie było to zgodne z dobrą administracyą? Wynikiem bowiem najmniejszego z tych nieszczęść jest nędza, a tłum nędzarzy jest dla społeczeństwa niebezpieczeństwem, a zarazem powodem znacznych wydatków. Zresztą zasada solidarności społecznej żąda, ażeby wszyscy, którzy korzystają z rezultatów produkcyi, przyczyniali się zarazem do jej niezbędnych kosztów.

Interwencya państwa może się tu objawić w trojakim kształcie:

1) Państwo może się zadowolnić postanowieniem zasady p r z y m u s u, t. j. orzeczeniem, że każdy robotnik jest obowiązany ubezpieczyć się od wypadków, pozostawiając mu zresztą swobodę ubezpieczenia się, gdzie chce i jak chce. Jest to zasada przymusowego ubezpieczenia się, podobna do przymusu szkolnego lub służby wojskowej, którą można tak samo usprawiedliwić interesem publicznym.

2) W każdym jednak razie, jeżeli państwo na tem poprzestaje, to znaczy, jeżeli zadowalnia się zaprowadzeniem przymusowego ubezpieczenia bez dostarczenia środków ubezpieczenia się, przymus ten jest dziwnie twardy. Gdy państwo ustanowiło przymusową naukę, zobowiązało się zaraz dostarczyć szkół za darmo. Czyż zażądamy przeto od państwa dostarczenia ubezpieczenia przymusowego b e z p ł a t n e g o?

Tego właśnie żądają socyaliści. I w rzeczy samej prowadzi to prosto do kolektywizmu. Byłoby to olbrzymim ciężarem dla państwa ubezpieczyć wszystkich robotników przeciw wszelkim wypadkom, któreśmy wyliczyli; należałoby podwoić od razu wszystkie budżety! Zresztą nie jest to tylko kwestyą budżetu, mamy jeszcze dość

innych przyczyn, ażeby się oświadczyć przeciw podobnemu zarządzeniu, które zniszczyłoby wszelkie przewidywanie i wszelką odpowiedzialność w warstwach robotniczych. Państwo nie może powiedzieć bezkarnie milionom ludzi, większej połowie ludności: »nie macie już potrzeby troszczyć się o jutro«.

3) Zadowalamy się więc żądaniem, aby państwo u ł a t w i ł o ubezpieczenie, stwarzając specyalne organy, przeprowadzające je pod jak najlepszymi warunkami, pobierając od klasy robotniczej tylko część premii asekuracyjnej, podczas gdy resztę opłacałyby inne warstwy społeczne lub nawet w małej części samo państwo.

Wychodząc z tego właśnie założenia, rząd niemiecki, przez wydanie w latach 1883—1889 całego szeregu ustaw, różnie ocenianych, stanowiących jednak najważniejszy owoc prac ustawodawczych w ostatnich czasach, stworzył cały system ubezpieczeń przeciw chorobie, nieszczęśliwym przypadkom i przeciw starości — system, który łączy wszystkich przedsiębiorców i robotników, zatrudnionych w przemyśle lub w rolnictwie, bez względu na ich wolę, w wielkie związki przemysłowe i okręgowe. Koszta premii asekuracyjnej przeciw nieszczęśliwym przypadkom ponoszą w całości przedsiębiorcy; koszta premii przeciw chorobie w $^1/_3$ części przedsiębiorcy, a w $^2/_3$ robotnicy; koszta premii przeciw starości i kalectwu ponoszą w połowie przedsiębiorcy, a w połowie robotnicy.

Ponieważ w tym wypadku koszta są bardzo wielkie, państwo pomaga jednym i drugim, zobowiązując się płacić za każdego emeryta 60 marek rocznie. Nie można jeszcze sądzić o wartości i rzeczywistych wynikach tego olbrzymiego, nadzwyczaj zawikłanego mechanizmu, w każdym razie jednak pozostanie on pomnikiem ustawodawstwa naszych czasów i najśmielszą, jak dotąd, próbą urzeczywistnienia socyalizmu państwowego.

Co się tyczy bezrobocia, tego nieszczęścia, które nowożytny rozwój ekonomiczny wywołuje w pewnych stałych okresach czasu, niepodobna zapobiedz stratom przez stowarzyszenia i ubezpieczenie, albowiem w odróżnieniu od poprzednio wyliczonych nieszczęść, dotyka ono nietylko jednostki, lecz także całe tłumy robotników, zajętych w jednym zakładzie lub w jednym zawodzie, a czasami nawet cały przemysł kraju. Przytem niepodobna prawie stwierdzić dobrą wiarę tego, który utrzymuje, że nie może znaleźć pracy, t. zn. odróżnić robotnika istotnie nieszczęśliwego od takiego, który pracować nie chce. To też stowarzyszenia robotnicze w Anglii próbowały napróżno zorganizować ubezpieczenie na wypadek bezrobocia, bo koszta okazały się zbyt wysokie. Państwo jest do tego zupełnie niezdolne, natomiast takie ubezpieczenie miejskie udało się bardzo dobrze w Gandawie.

Czy państwo może uczynić coś dla zabezpieczenia robotnika przed stratami, wynikającemi z bezrobocia? Przez pewien czas broniono tego zapatrywania i żądano, by państwo przyszło w pomoc robotnikom, zapewniając im p r a w o d o p r a c y. Prawo to miało wielki rozgłos podczas rozruchów w r. 1848, dziś jednak pokryła je pleśń zapomnienia.

Państwo nie jest w stanie zapewnić każdemu pracę, rodzaj pracy odpowiedni jego zdolnościom, a przedewszystkiem pracę produkcyjną, chyba, że obejmie wszystkie przedsiębiorstwa przemysłowe, czyli, że zamieni się w państwo kolektywistyczne. Prawo do pracy może być tylko rodzajem wsparcia z funduszów publicznych; zapatrywanie to jest dzisiaj przyjęte prawie powszechnie.

Nie wystarcza wiedzieć, na kogo spada odpowiedzialność za ten czy ów powód utraty zarobku, a więc kto powinien ponosić koszta ubezpieczenia; drugiem, równie ważnem zagadnieniem jest pytanie, czy ubezpieczenie ma być p r z y m u s o w e czy d o b r o w o l n e.

System niemiecki wprowadza ubezpieczenie przymusowe. Obie strony, t. j. pracodawcy i robotnicy, muszą opłacać wkładki na rzecz specyalnych zakładów, zawo-

dowych lub terytoryalnych, przyczem pracodawca uiszcza zaliczkowo przypadające na robotników wkładki, ściągając je później, przy wypłacie zarobku.

W innych krajach ubezpieczenie jest dobrowolne; ustawa ogranicza się do oznaczenia odpowiedzialności, pozostawiając każdemu możność wyboru środków zaradczych. Tak n. p. we Francyi pracodawca wie, że w razie wypadku zapłaci odszkodowanie, jego więc rzeczą jest ubezpieczyć się przed ewentualną stratą, lecz może nie ubezpieczać się wcale, jeżeli chce sam ponieść całe ryzyko. System ten jest bardziej liberalny i dla państwa znacznie mniej uciążliwy. Jednakże przy ubezpieczeniu dobrowolnem zachodzi obawa, że będzie się ubezpieczać tylko drobna garstka, bo brak przezorności jest objawem ogólnym, szczególniej w warstwach uboższych.

Istnieje jeszcze system pośredni, przeprowadzony w Belgii, który zachowuje ubezpieczenie dobrowolne, lecz popiera je i upowszechnia przez przyznawanie subwencyi państwowej. Lepszy od poprzedniego, nie uchyla on jednak niebezpieczeństwa, że znajdzie się znaczna liczba niepoprawnych, którzy ubezpieczać się nie będą.

VIII.

Przyszłość systemu płacy.

Zagadnienie, czy system płacy jest ustrojem trwałym i wiecznym, czy też stanowi przemijającą fazę w ewolucyi gospodarczej, jest jednem z tych pytań, przy których występują najwyraźniej charakterystyczne cechy rozmaitych szkół ekonomicznych.

Szkoła katolicka uważa system płacy za ustrój normalny, a nawet opatrznościowy, gdyż w ten sposób bogaci dają utrzymanie ubogim. Płaca jednak nie może zależeć jedynie od podaży i popytu, albo też od wolnej,

często krzywdzącej umowy pracodawcy i robotnika. Ponad nimi, powiada Leon XIII, stoi prawo sprawiedliwości przyrodzonej, starsze i wyższe od ich woli, które żąda, ażeby płaca wystarczała na utrzymanie uczciwego robotnika. Pojęcie sprawiedliwej płacy może mieć dwojakie znaczenie. Sprawiedliwa płaca jest albo wtedy, gdy wystarcza na przyzwoite i godne istoty ludzkiej, stworzonej przez Boga, utrzymanie robotnika i jego rodziny, albo też gdy stanowi sprawiedliwą zapłatę za jego pracę. Byłoby najlepiej, gdyby sprawiedliwą płacę oznaczyły wspólne stowarzyszenia pracodawców i robotników, w ich braku, winno zrobić to prawo.

Szkoła liberalna uważa również system płac za ustrój trwały, a umowę o płacę za jedyny sposób oznaczenia wynagrodzenia pracy. Lepszego wymyślić niepodobna, gdyż jest to typowy objaw wolnej umowy. Jeżeli system płacy rozwinął się tak ogromnie w społeczeństwach nowożytnych, to tylko dlatego, że posiada stanowczą wyższość nad wszystkimi innymi, tak ze stanowiska robotnika, bo zapewnia mu dochód natychmiastowy, pewny i niezależny od rezultatów przedsiębiorstwa, jakoteż ze względu na interes społeczny, bo przyznaje pracodawcy, w zamian za kierownictwo i odpowiedzialność za przedsiębiorstwo, własność wytworów produkcyi.

Jednakże wbrew poglądom szkoły katolickiej, kierunek liberalny uczy, że płaca powinna być wynikiem wolnej umowy i że wszelkie polepszenie płacy można osiągnąć jedynie przez zapewnienie tej umowie coraz większej wolności. Wszelki ustrój rodzinny lub patryarchalny byłby tylko powrotem do gorszych stosunków; robotnik i przedsiębiorca powinni stać na stanowisku, równem kupującemu i sprzedającemu jakikolwiek towar. To też jedni, jak Molinari, domagają się założenia giełd pracy, na których notowanoby wartość pracy ludzkiej, tak jak na innych giełdach oznacza się kurs papierów wartościowych, inni, jak Yves Guyot, żądają utworzenia handlo-

wych stowarzyszeń pracy, które sprzedawałyby pracę swych członków na lepszych warunkach, niż mogą je osiągnąć poszczególni robotnicy. Jedynie sprawiedliwą płacą jest ta, która jest wynikiem prawa podaży i popytu, bo odpowiada najlepiej użyteczności społecznej. Podobnie jak niema powodu, ażeby w drodze prawa oznaczać sprawiedliwą cenę zboża czy węgla, lub sprawiedliwy dochód właściciela kapitału, tak też nie ma powodu, ażeby określać sprawiedliwą płacę. Robotnik ma prawo do wszystkiego, co może uzyskać; nie należy mu się ani mniej, ani więcej.

Kolektywiści zajmują stanowisko wręcz przeciwne. Ich zdaniem, płaca jest tylko kategoryą historyczną, trzecim stopniem rozwoju, który przyszedł po niewolnictwie i pańszczyźnie. Ustąpi on miejsca ustrojowi społecznemu, w którym robotnicy staną się właścicielami środków produkcyi i będą otrzymywać cały wytwór swojej pracy. Charakterystyczną cechą ustroju płacy jest zależność robotnika od przedsiębiorcy i zabieranie na rzecz pracodawcy pewnej części wytworu pracy. Jedyne sposoby poprawy — zanim dojdziemy do kolektywizmu — stanowi najpierw organizacya robotników, któraby prowadząc walkę z kapitalistą, zmniejszała o ile możności ten udział, który on sobie zabiera, a następnie wprowadzenie drogą prawa minimum płacy i maximum dnia roboczego.

Szkoła współdzielcza potępia również bardzo gorąco system płacy, zarzucając mu:

1) Przedewszystkiem umowa o płacę niszczy solidarność społeczną, bo jedna ze stron niema żadnego interesu w dobrych lub złych rezultatach produkcyi. Od chwili gdy robotnik nie ma udziału w wytworze swej pracy, nic mu na tem nie zależy, żeby wytwarzać wiele, przeciwnie, ma wszelki powód do dostarczania jak najmniejszej ilości pracy w zamian za wynagrodzenie, otrzymane od przedsiębiorcy. Tylko poczucie obowiązku lub obawa utraty miejsca i zarobku mogą skłonić go do innego postępowania; z tych dwóch czynników pierwszy nigdy nie rozciągnie swego wpływu poza grono wybranych, słabnie zresztą w miarę, jak zwiększa się przepaść między przedsiębiorcą a robotnikiem, — a drugi, jest to zaszczytnem dla ludzi, nigdy jeszcze nie wymógł na człowieku czegoś dobrego.

To też dla usunięcia do pewnego stopnia tych braków, starają się dziś zastosować wynagrodzenie od sztuki czyli akordowe, w którem robotnika nie płaci się dziennie czy od godziny, ale według ilości wyrobionych przedmiotów. Jednakże robotnicy wogóle sprzeciwiają się temu systemowi, uważając go za bardziej wyrafinowany sposób wyzysku, który ma wydobyć z robotnika największą ilość pracy bez wyższej zapłaty [1]).

2) System ten wytwarza między przedsiębiorcą a robotnikiem konieczną sprzeczność interesów. W istocie jasną jest rzeczą, że robotnik uważa za swój interes dawać za otrzymaną płacę jak najmniej pracy, podczas gdy przedsiębiorca chce uzyskać największą pracę za najniższe wynagrodzenie. Zaognia to tylko walkę klasową.

Szkoła współdzielcza przeto, podobnie jak kolektywiści, uważa płacę za przejściową formę wynagrodzenia, które zniknie wraz z ustrojem kapitalistycznym. Jednakże sądzi ona, że kolektywizm nie uchyli płacy, lecz raczej ją upowszechni, gdyż zniesie wszystkie samoistne przedsiębiorstwa, zastępując je jednym wielkim pracodawcą — społeczeństwem — u którego wszyscy będą pracowali, pobierając płacę. Zdaniem szkoły współdzielczej, zniesienie

---

[1]) Największe trwonienie pracy zachodzi przy rolnictwie, a to z trzech powodów: 1) ponieważ nadzór tutaj znacznie jest trudniejszy i to tem trudniejszy im posiadłość jest większą; 2) ponieważ rezultat pracy robotnika rolnego może być oceniony tylko bardzo niedokładnie i dopiero po długim przeciągu czasu; 3) ponieważ nie można tu zastosować na większą skalę akordowej pracy, albowiem znacznie więcej zależy na dokładności jak na szybkości.

własności prywatnej środków produkcyi i uchylenie systemu płacy są to cele wręcz sobie przeciwne, które wykluczają się nawzajem, tak, że można wybrać tylko jeden z nich. W istocie tylko ten rzeczywiście nie pobiera płacy, kto posiada własne środki produkcyi i może pracować na własny rachunek.

Prawda, że dzisiejsze warunki wielkiej produkcyi uniemożliwiają w wielu wypadkach utrzymanie się samoistnych wytwórców. Lecz pomiędzy systemem wytwórców samoistnych, pracujących dla siebie, a ustrojem, w którym robotnik pracuje na rzecz kapitalisty, może się pomieścić jeszcze system pośredni, robotników stowarzyszonych, pracujących na rzecz stowarzyszenia, do którego wstąpili dobrowolnie.

IX.

Udział w zyskach [1]).

Widzieliśmy poprzednio, że jednym z najważniejszych braków systemu płac jest sprzeczność interesów pracodawcy i robotnika, która w tym ustroju musi się pojawić. W istocie, przy równych innych warunkach, im płaca jest wyższa, tem niższe będą zyski, czyli, jak powiedział Ricardo, stopa zysku stoi w odwrotnym stosunku do stopy płac. To też pracodawca i robotnik, jakkolwiek nierozłącznie są związani, w dzisiejszej organizacyi gospodarczej muszą być sobie nawzajem wrogami.

Zarazem płaca sprowadza robotnika do roli najzupełniej biernej, tak, że dla niego tak rozwój jak i straty przedsiębiorstwa są obojętne. Robotników niepodobna przekonać, że nie mają prawa do wszystkich tych wytworów, które powstały z ich pracy, niepodobna przedewszystkiem

[1]) P. Także wyżej str. 549—552.

doprowadzić ich do wyzbycia się goryczy, gdy widzą całe pokolenia przedsiębiorców i akcyonaryuszy, bogacących się dzięki fabryce lub kopalni, w której oni, robotnicy, pracują również z ojca na syna — a przecież pozostają i nadal w ubóstwie.

Szukano więc innych sposobów wynagrodzenia pracy ludzkiej, któreby robotnika zmieniły stopniowo w wspólnika pracodawcy. Trudności są znaczne, bo ściśle biorąc, kontrakt spółki prowadzi do potrójnego udziału: w zyskach, w stratach i w kierownictwie. Robotnicy nie chcą i nie mogą zgodzić się na udział w stratach, przedsiębiorca nie chce dopuścić ich wpływu na kierownictwo, nietylko ze względu na swą miłość własną, lecz głównie dlatego, że, jego zdaniem, kontrola robotników byłaby szkodliwa dla samego przedsiębiorstwa.

Próbowano więc ominąć tę trudność, zachęcając robotników, pracujących w spółkach akcyjnych, do nabywania akcyi swego przedsiębiorstwa, ułatwiając mu to o ile możności. Robotnicy nie okazują jednak zbytniej ochoty do korzystania z ofiarowanych im udogodnień i wolą umieszczać swe oszczędności inaczej, co zresztą jest zrozumiałe, gdyż w razie upadłości, straciliby zarazem swój zarobek i swe oszczędności.

Wobec tego więc nie pozostawało nic innego, jak zadowolić się skromniejszym rezultatem i zapewnić robotnikowi jedynie udział w zyskach, bez udziału w stratach i kierownictwie. System ten wynagrodzenia pracy, który nazywamy technicznie udziałem w zyskach stosowano od niepamiętnych czasów w rybołowstwie, a także i w rolnictwie. W przemyśle instytucyę tę wprowadził po raz pierwszy w r. 1842 malarz budynkowy Leclaire w Paryżu, z powodzeniem dotąd niedoścignionem, które da się wytłumaczyć niektóremi właściwościami tego przemysłu.

Udział w zyskach, o ile nie ma być zwykłą gratyfikacyą, musi polegać na umowie pracodawcy z robo

tnikami, która przyznaje im prawo do zysku, na warunkach z góry oznaczonych, zwykle w stosunku do wysokości płacy, licząc się także ze starszeństwem robotników, oznaczonem latami ich pracy w przedsiębiorstwie. Udział ten wypłaca się im w gotówce, lub składa na ich rachunek w kasach oszczędności, albo stowarzyszeniach wzajemnej pomocy. Drugi ten sposób ma tę dobrą stronę, że zapewnia dobre użycie otrzymanego udziału, lecz o tyle zmniejsza korzystny wpływ tego ustroju, że robotnik, nie mogąc użyć zaraz przyznanej sobie kwoty, przywiązuje do niej, a więc i do całego systemu, mniejszą wagę. Niekiedy udział w zyskach służy do nabycia udziałów w przedsiębiorstwie i to albo dobrowolnie, albo przymusowo, tak, że robotnikowi wypłaca się zysk już w akcyach. System ten, zwany w Anglii *copartnership*, jakkolwiek niezgodny z zasadą wolności, okazał się w praktyce najwłaściwszym. W ten sposób powstał we Francyi słynny falanster w Guise.

Instytucya udziału w zyskach oddaje następujące, nader poważne usługi, tak ze stanowiska ekonomicznego jak i etycznego:

1) Zainteresowuje robotnika rozwojem przedsiębiorstwa i zachęca go wskutek tego do rozwinięcia całej siły, do której jest zdolny.

2) Wiąże interesy robotnika z interesem pracodawcy, usuwając przez to spory i strejki.

3) Zatrzymuje robotnika dłużej w tym samym zakładzie, zapewniając w ten sposób trwałość umowy.

4) Ułatwia oszczędność przez podzielenie dochodu robotnika na dwie części: na płacę stałą, którą zużywa na wydatki bieżące i na dywidendę, rozdawaną z końcem roku, stanowiącą nadwyżkę, która może być zaoszczędzoną.

5) Podnosi stanowisko robotnika, który przestaje być środkiem produkcyi i zmienia się w spólnika [1]).

[1]) Szkoła klasyczna, nie atakując formalnie udziału w zyskach,

X.

Stowarzyszenia produkcyjne.

Stowarzyszenie wytwórcze idzie dalej jak udział w zyskach; pierwsze zatrzymuje przedsiębiorcę, drugie jest zniesieniem systemu płacy. W tym wypadku robotnicy, zamiast pracować na rachunek przedsiębiorcy, łączą się z zamiarem wytwarzania na własny rachunek, zarazem jednak ponoszą wszelkie straty. Ponieważ są właścicielami narzędzi produkcyi, zachowują oczywiście dla siebie cały wytwór swej pracy. Stanowisko ich jest zupełnie po-

pozuje przecież w tym kierunku na pewną ironię. Dwa główne jej zarzuty są następujące:

a) Robotnicy nie mają prawa do zysków, ponieważ zyski w każdem przedsiębiorstwie są dziełem pracodawcy a nie robotników; albowiem zyski nie pochodzą z produkcyi, lecz ze sprzedaży wytworów, na którą robotnicy nie mają żadnego wpływu. Na to możemy odpowiedzieć, że uważa się za zupełnie naturalne dawać udział w zyskach przedsiębiorstwa kapitalistom, jeżeli są akcyonaryuszami, jakkolwiek te zyski są jeszcze mniej ich dziełem, aniżeli robotników!

b) Byłoby niesprawiedliwem, aby robotnicy brali udział w zyskach, ponieważ nie mają nawzajem obowiązku pokrywać stosownej części strat przedsiębiorstwa. Na to odpowiemy, że najpierw można znaleźć sposób dla usunięcia tej trudności, naprzykład przez ustanowienie kasy ubezpieczeń od strat, utrzymywanej w części przez udziały robotników. Lecz przedewszystkiem nie należy zapominać, że nasza organizacya pracy jest jeszcze niesprawiedliwsza, bo robotnik, który nie bierze nigdy udziału w zyskach, ponosi wszystkie straty w formie zmniejszenia płacy, gdy przedsiębiorstwo źle idzie, albo w formie zniesienia zupełnego płacy, to jest przymusowego bezrobocia, gdy przedsiębiorca zamyka swe zakłady.

Socyaliści również oświadczają się przeciw udziałowi w zyskach, widzą w nim bowiem utrwalenie dzisiejszego ustroju. Udział w zyskach, daje, ich zdaniem, robotnikom część tego, co im bezprawnie zabrał pracodawca.

Wogóle system ten nie ziścił nadziei, które z nim łączono, tak, że obecnie raczej zmniejsza się liczba przedsiębiorstw, dopuszczających robotników do udziału w zyskach.

dobne do znanego nam już stanowiska samoistnego wytwórcy; tylko zamiast jednostki występuje tutaj całe grono ludzi pracujących. Przeobrażenie to jest konieczne ze względu na wymagania wielkiej produkcyi.

Francya uchodzi za ojczyznę tego rodzaju stowarzyszeń; prawdopodobnie też ona zrobiła początek, gdyż pierwsze francuskie stowarzyszenie wytwórcze, założone przez Bucheza, sięga r. 1834. Po rewolucyi z r. 1848 wszczął się wielki ruch w tym kierunku i wówczas założono we Francyi, a głównie w Paryżu, około 200 robotniczych towarzystw wytwórczych, ale cztery zaledwie przetrwały do naszych czasów. Potem jeszcze zakładano i inne z niewiele większym powodzeniem w latach 1866—1867. W ostatnich latach ruch na tem polu był bardzo żywy, tak, że w roku 1905 było 338 takich stowarzyszeń, a niektóre z nich rozwijają się bardzo pomyślnie. Przeszkody, z któremi towarzystwa wytwórcze mają do walczenia, są bardzo liczne i tłumaczą aż nadto dobrze ich niepowodzenie.

1. Pierwszą i najgroźniejszą jest brak wykształcenia ekonomicznego w warstwach robotniczych, który nie pozwala im wynaleźć z pośród siebie ludzi zdolnych do kierowania przedsiębiorstwem przemysłowem, a jeśli nawet znajdą ich, skłania robotników do niepowierzania im zarządu, ponieważ ta wyższość często staje się przyczyną usunięcia ich od obowiązków zawiadowcy. Z tego samego powodu robotnicy, jeśli znajdą ludzi zdolnych i powierzą im kierownictwo, nie zapewniają im udziału w dochodach przedsiębiorstwa, odpowiedniego usługom, które wyświadczyli. — Należy spodziewać się, że różne rodzaje stowarzyszeń, przedewszystkiem te, o których mowa, a nawet stowarzyszenia spożywcze staną się dla robotników szkołą wykształcenia ekonomicznego.

2. Drugą przeszkodą jest brak kapitału. Można — wiemy już o tem — usunąć z przedsiębiorstwa produkcyjnego kapitalistę, ale w żadnym razie nie można

usunąć kapitału, a dzisiejsza wielka produkcya wymaga coraz to większych kapitałów. Któż ich dostarczy biednym robotnikom? Czy może potrafią uzyskać je oszczędnością, składaniem centa do centa? Jest to możliwem a nawet zdarza się w małych przedsiębiorstwach przemysłowych, dzięki bohaterskim poświęceniom; są to jednak tylko wyjątkowe wypadki, bo oszczędność robotników nie jest w stanie stworzyć potrzebnych kapitałów.— Czy może państwo ma ich dostarczyć w drodze pożyczki? Spróbowano tego sposobu w r. 1848, lecz rozdane trzy miliony nie przyniosły szczęścia obdarzonym towarzystwom. Darowany pieniądz, a zwłaszcza darowany przez państwo, najłatwiej roztrwonić [1]).

A jednak nie uważamy trudności tej za niezwyciężoną. Silnie zorganizowane towarzystwa robotnicze, złożywszy dowody trwałości, dostałyby łatwo potrzebne im kapitały w drodze pożyczki, a na dowód przytoczyć można niemieckie towarzystwa kredytowo-udziałowe, które zdołały wypożyczyć setki milionów; zresztą możnaby uzyskać wprost potrzebne kapitały, tworząc najpierw stowarzyszenia spożywcze, a na dowód przytoczyć można stowarzyszenia spożywcze angielskie, które także zebrały setki milionów ze swych zysków.

3. W trzeciej linii występuje brak odbiorców. Stowarzyszenia robotnicze są zwykle za słabe, ażeby wytwarzać tanio dla masowej konsumcyi, z drugiej zaś strony nie mają tak wyrobionej opinii, ażeby ściągnąć klientelę zamożną. We Francyi odbiorcami ich są gminy i państwo, a wiele stowarzyszeń tylko dzięki temu może się utrzymać.

4. Wreszcie ostatnim szkopułem jest ich dążenie

[1]) Łatwo zrozumieć, że był to ulubiony środek niektórych socyalistów. Lassalle żądał od państwa kilkuset milionów na poparcie stowarzyszeń udziałowych; chodziło mu o wyposażenie ich kapitałem, wystarczającym do zwycięskiej konkurencyi z przedsiębiorcami.

do odbudowania właśnie tego ustroju, który miały uchylić, t. j. przedsiębiorstwa opartego na systemie płacy — widzimy z tego, jak trudno jest zmienić ustrój społeczeństwa! Z chwilą bowiem, gdy stowarzyszeniom tym dobrze się wiedzie, większa ich część zasklepia się w sobie, odmawia przyjęcia nowych członków i zatrudnia płatnych robotników, zamienia się więc po prostu w spółki małych przedsiębiorców [1]). Jest to główny zarzut socyalistów, skierowany przeciw tym instytucyom, a pewnego uzasadnienia odmówić mu nie można. Z drugiej strony żądać od robotników, pracujących od początku, pracujących nad założeniem przedsiębiorstwa z powodzeniem, dzięki oszczędności i wytrwałości, by podzielili się owocami swej pracy z robotnikami, przychodzącymi pod koniec, gdy powodzenie dzieła jest już zapewnione, jest to wymagać od nich niezwykłego zaparcia się siebie.

Należy spodziewać się, że przeszkody te będzie można usunąć przez rodzaj przygotowania, a przygotowanie to może być dwojakie:

1. Może niem być udział w zyskach, jeśli przedsiębiorca sam się poniekąd usunie, a rozporządzi udziałem w zyskach w ten sposób, że robotnicy za jego życia będą wspólnikami, a po śmierci jego dziedzicami. Uczynili to, przytaczam tylko najbardziej znane przykłady, p. Godin, zakładając t. zw. »familister« w Guise i pani Boucicaut, właścicielka znanych magazynów «Au Bon Marché« w Paryżu.

2. Mogą niem być stowarzyszenia spożywcze, które,

[1]) Niektóre stowarzyszenia wytwórcze we Francyi mają na jednego wspólnika dziesięciu płatnych robotników. Tak n. p. w jednem jest 121 wspólników a 1480 robotników, cena akcyi zaś podskoczyła z 300 na 50.000 fr. Są to więc stowarzyszenia wytwórcze li tylko z nazwy, to też nowa ustawa francuska zmusza wszystkie takie stowarzyszenia do zapewnienia robotnikom udziału w zyskach.

gdy się dostatecznie rozwiną i potworzą związki między sobą, mogą założyć stowarzyszenia produkcyjne, dostarczając im kapitałów, kierowników i odbiorców — to znaczy wszystkich czynników, brakujących im zazwyczaj do powodzenia. Do tego celu dążą towarzystwa spożywcze angielskie. Założyły już szereg przemysłowych stowarzyszeń udziałowych, pomyślnie się rozwijających.

3. Wreszcie mogą niem być zawodowe związki robotnicze. W tym razie nie zatrudniają one wszystkich swych członków, bo nie posiadają na to dość kapitałów, ani dostatecznego zbytu — tylko kolejno tych stowarzyszonych, którzy tego żądają.

Stowarzyszenie produkcyjne nie spotkało się z uznaniem ani ekonomistów szkoły liberalnej, którym nasz porządek społeczny wydaje się dobrym, a więc zmiana jakakolwiek niepożądaną, ani skrajnych socyalistów, którym rewolucya wydaje się nieuniknioną, a więc nie trzeba jej przeszkadzać [1]). Ale ludzie, wierzący w istnienie kwestyi socyalnej, w potrzebę jej rozwiązania i chcący uniknąć rewolucyi socyalnej, na tych instytucyach oparli swe nadzieje.

[1]) Kolektywizm jest wprost nieprzyjazny korporacyi w produkcyi. W istocie stowarzyszenie produkcyjne, jeżeli dąży do zmiany wynagrodzenia, podtrzymuje własność indywidualną kapitałów, ponieważ prowadzi do zmienienia robotników w współwłaścicieli swych narzędzi produkcyi. Kolektywizm zaś przeciwnie stara się uspołecznić narzędzia produkcyi, to jest usunąć je od zawłaszczenia indywidualnego, nawet przez samych robotników. Ten antagonizm tendencyi wystąpił wyraźnie w czasie bezrobocia w Carmaux; gdy chodziło o to, aby stworzyć »hutę szklanną szklarzy«, socyaliści sprzeciwili się, mówiąc, że trzeba utworzyć »hutę szklanną robotników« to znaczy, należącą do całej klasy robotniczej.

A właśnie główny zarzut, który można postawić temu programowi, polega na tem, że zamiast starać się usunąć system płacy, dąży on nieświadomie do uogólnienia go. W istocie z chwilą, gdy tylko społeczeństwo będzie właścicielem wszystkich środków produkcyi, wszyscy jego członkowie będą jedynie robotnikami.

W tym to kierunku asocyacya produkcyi może znaleźć lepszą przyszłość. Ważną rzeczą jest jednak rozróżnić tu dwa systemy, ogólnie znane w Anglii pod nazwą federalizmu i indywidualizmu. W systemie federalistycznym stowarzyszenia konsumcyjne, ugrupowane w federacye, lub gdy są na to dość silne, pojedynczo stwarzają fabryki, w których bezpośrednio produkują artykuły, wchodzące w ich konsumcyę. W takim razie ich robotnicy fabryczni są zwykłymi płatnymi robotnikami, którzy nie należą bynajmniej do grona współwłaścicieli tych zakładów, a nawet nie mają zwykle żadnego udziału w zyskach, zachowanych wyłącznie dla konsumujących. Pomimo to domagają się oni energicznie udziału w zyskach, co przeprowadzono już w federacyi towarzystw szkockich. W systemie indywidualistycznym inicyatywa wychodzi od robotników, którzy łączą się w stowarzyszenie, wytwarzające na swój własny rachunek, a stowarzyszenia konsumcyjne ograniczają się do dostarczenia, drogą pożyczki, kapitałów i do zapewnienia zbytu.

ROZDZIAŁ II.

RENTA GRUNTOWA.

I.

Prawo renty gruntowej.

Pytanie, czy ziemia daje dochód, wydaje się dziwacznem. Dochód z ziemi jest zjawiskiem, bijącem w oczy, a jeżeli chodzi o jego udowodnienie, wystarczy wskazać na możność sprzedania lub wydzierżawienia gruntu, bo przecież jasną jest rzeczą, że nie znalezionoby ani dzierżawcy ani nabywcy ziemi, gdyby nic nie przynosiła.

Z pewnością, lecz nam rozchodzi się o rozstrzygnięcie pytania, czy istnieje dochód właściwy tylko ziemi, którego nie możnaby mieszać z dochodem pracy lub kapitału, w ziemi umieszczonych. Na takie pytanie nie można odpowiedzieć tak łatwo, jakby się zdawało. Niektórzy ekonomiści twierdzą, że dochód z ziemi jest właściwie dochodem z kapitałów, nagromadzonych w niej przez właściciela i jego poprzedników, że więc jest niczem innem jak sumą płacy, procentu i zysku przedsiębiorcy. Teoryę tę stworzono w celu usprawiedliwienia własności ziemskiej, lecz nie wielu tylko uznaje jej prawdziwość.

Fizyokraci, Adam Smith i J. B. Say uczą, że dochód z gruntu powstaje dzięki naturalnym siłom urodzajności, a właściciel otrzymuje go tylko dlatego, że korzysta z prawdziwego monopolu, z przywileju, który pozwolił mu zagarnąć dla siebie tę urodzajność. Usprawiedliwiają oni ten monopol względami na dobro ogółu, a dochód tłumaczą tem, że właściciel może albo sam wyzyskiwać naturalne siły ziemi, sprzedając jej płody, albo też ustąpić tego prawa innemu, wydzierżawiając mu swój grunt za pewną kwotę pieniędzy.

Subtelny umysł Ricarda nie mógł poprzestać na takiem wyjaśnieniu. Wielki ten uczony jest głównym twórcą teoryi, opierającej wartość na pracy i kosztach produkcyi. Nie mógł on, bez obalenia własnej doktryny, przyjąć, że wartość ziemi lub jej płodów powstała wskutek działania przyrody, jak to twierdzili ekonomiści, wspomniani poprzednio. Z drugiej znowu strony Ricardo nie mógł utrzymywać, że dochód z ziemi jest tylko wynagrodzeniem za pracę około jej uprawy, widział bowiem, szczególniej w Anglii, jak łatwo każdy kawałek gruntu znajduje dzierżawcę, który po pokryciu kosztów uprawy i własnego utrzymania, otrzymuje z ziemi jeszcze nadwyżkę, wystarczającą na opłacanie czynszu. Ażeby więc wytłumaczyć to dziwne zjawisko, stworzył on swoją słynną teoryę renty

gruntowej, która przez pół wieku była głównym przedmiotem wszystkich dyskusyi ekonomicznych.

Z początku, powiada Ricardo, gdy ludziom wystarczała uprawa niewielkich obszarów, wybierano grunta najlepsze. Mimo całej ich urodzajności, nie otrzymywano z ziemi wyższego dochodu od tego, który można było uzyskać z jakiegokolwiek innego umieszczenia swej pracy i swych kapitałów. W istocie, wobec tego, że istniały jeszcze grunta niezajęte, właściciele ziemi zawłaszczonej podlegali prawu wolnej konkurencyi, która zniżała wartość ich wytworów do poziomu kosztów produkcyi.

Nadchodzi czas, w którym wzrost ludności wymaga wzrostu produkcyi, a ponieważ wszystkie grunta pierwszej kategoryi są w całości zawłaszczone, trzeba rozpoczynać uprawę na gruntach mniej urodzajnych, to jest na gruntach, na których koszt produkcyi jest większy. Przypuszczając, że na ziemiach pierwszej kategoryi otrzymać można z hektara 30 hektolitrów zboża kosztem 300 fr., a więc hektolitr po 10 franków, to na ziemiach drugiej kategoryi wyprodukujemy tym samym kosztem tylko 20 hektolitrów, a więc koszt produkcyi jednego hektolitra wyniesie 15 fr. Jest rzeczą jasną, że właściciele tych gruntów nie będą mogli sprzedawać zboża niżej tej ceny, ponieważ straciliby na tem i zaprzestaliby produkcyi, a właśnie przypuszczamy, że bez nich obejść się nie można. Również jest jasnem, że właściciele gruntów najpierw uprawianych nie zechcą sprzedawać swego zboża taniej niż ich sąsiedzi, będą więc sprzedawać je także po 15 fr.; ponieważ zaś tak, jak dawniej koszt jego wynosi tylko 10 fr., więc zysk ich podniesie się o 5 fr. na hektolitrze, a 150 fr. na hektarze. Otóż ten zysk nazywa się w teoryi Ricarda i słowniku nauki gospodarstwa społecznego, gdzie zdobył prawo obywatelstwa, rentą gruntową.

Rozumiemy przez to oddzielny dochód własności ziemskiej, zależny od przyczyn naturalnych lub społecznych, a nie od pracy lub wydatków właściciela [1]).

Później ciągły wzrost ludności wytworzy znów potrzebę zwiększenia zasobu środków do utrzymania życia i zmusi ludzi do uprawiania [2]) jeszcze gorszych gruntów, na których będzie można zebrać z hektara tylko 15 hektolitrów zboża. Hektolitr więc będzie kosztował 20 fr. i cena wszystkich hektolitrów podniesie się na targu w tym samym stosunku pod wpływem wymienionych już przyczyn. Odtąd właściciele gruntów najpierw obsianych będą świadkami podniesienia się renty do 10 fr., a właściciele gruntów drugiej kategoryi do swego zysku wliczą z kolei rentę 5 fr.

Ten porządek uprawy, jak go nazywa Ricardo, może ciągnąć się w nieskończoność, wywołując zawsze podniesienie się ceny środków do utrzymania życia na niekorzyść konsumentów, a wzrost renty na korzyść właścicieli, którzy doznają zwiększania się swych dochodów bez łożenia trudu i znajdują źródło swego majątku w ogólnem zubożeniu.

Tak się przedstawia teorya Ricarda. Zarzucają jej,

---

[1]) By oznaczyć rentę z dochodu danego gruntu, trzeba odjąć od dochodu brutto nietylko koszta uprawy i zapłatę robotnika, lecz nadto to wszystko, co przedstawia zwykły zysk lub procent od kapitałów włożonych w uprawę.

[2]) Dlaczego ciągle przypuszczamy, że ludzie dla zwiększenia produkcyi będą musieli rozciągnąć uprawę na coraz to nowe ziemie? Czy nie mogą zwiększać produkcyi stosownie do swych potrzeb na urodzajnych ziemiach? W istocie — mogą, ale według prawa obniżającego się przychodu, każde zwiększenie wydajności poza pewną granicę, pociągnie za sobą niestosunkowe zwiększenie wydatków, a więc wywoła zwyżkę w kosztach produkcyi. Jeśli na tych ziemiach, z których otrzymywano 30 hektolitrów na hektarze kosztem 300 franków, zechcemy wyprodukować 60 hektolitrów, może je otrzymamy, lecz trzeba będzie wydać 800 lub 900 franków, a cena każdego hektolitra podniesie się do 25 lub 30 franków. W tem miejscu trzeba odczytać rozdział o prawie obniżającego się przychodu, z którem prawo Ricarda jest ściśle związane.

że nie opiera się na prawdzie historycznej, lecz jest dowolną konstrukcyą, mającą udowodnić twierdzenie, z góry już powzięte. Ekonomista amerykański Carey wykazał nawet, że rozwój uprawy szedł w kierunku wręcz przeciwnym, gdyż uprawa rozpoczynała się od gruntów najmniej urodzajnych, a mianowicie od ziem najlżejszych, jako najłatwiejszych do obrobienia i od wysoko położonych, nadających się najlepiej do obrony. Dopiero później rolnictwo, wyposażone w lepsze narzędzia i wyżej wykształcone, rozszerzało się stopniowo na ziemie ciężkie i bogate, chronione przedtem przed naporem ludzkim samym nadmiarem swej wegetacyi.

Nic to jednak nie znaczy. Nie przyjmując nawet historycznego porządku uprawy Ricarda, możemy uważać za pewnik, że przeznaczeniem wartości ziemi jest ciągły wzrost z powodu przyczyn, zupełnie niezależnych od działalności właściciela. W istocie, jeśli zwrócimy uwagę na to, że ziemia posiada znamiona, których żadne inne dobro nie posiada w tym samym stopniu, bo:

1) odpowiada istotnym i trwałym potrzebom rodzaju ludzkiego;

2) istnieje w ilości ograniczonej;

2) trwa wiecznie;

wówczas łatwo zrozumieć, że wartość jej musi dążyć do ciągłego wzrostu w miarę rozwoju społecznego. Wzrost ludności jest główną przyczyną, która oddziaływa na zwiększanie się wartości ziemi, ponieważ im więcej jest ludzi, tem więcej trzeba żądać od niej środków do ich żywienia i miejsca na mieszkanie. Nadto ogólny wzrost dóbr, budowa dróg i kolei żelaznych, powstawanie wielkich miast, a nawet rozwój porządku i bezpieczeństwa publicznego, pociągają za sobą nieunikniony wzrost tej nadwyżki w wartości ziemi, którą ekonomiści angielscy bardzo trafnie nazwali *unearned increment* (zwyżka niezapracowana[1]).

[1]) Rozumie się samo przez się, że nadwyżka w wartości ziemi

Dwie tylko przyczyny mogą powstrzymać wzrost wartości gruntów lub nawet sprowadzić jej zniżkę.

Pierwszą jest współzawodnictwo nowych ziem, spowodowane przez wielkie przedsiębiorstwa kolonizacyjne i znaczne ulepszenia środków przewozowych — zjawisko, które właśnie teraz objawia się w całej pełni. Jednakże można powiedzieć, że jest to zwykły przypadek w historyi gospodarczej, pozbawiony głębszego znaczenia.

W drugiej połowie XIX stulecia zaczęto uprawiać tak ogromną ilość gruntów, dotąd niezajętych, że podaż płodów rolniczych przewyższyła zapotrzebowanie. Jednakże stan ten jest chwilowym; skoro zaludnią się te nowe krainy, prawo renty gruntowej odzyska swą władzę i znowu pojawi się jej wzrost, na chwilę przerwany.

Drugą przyczynę stanowią wielkie a nagłe ulepszenia sposobów uprawy. Wydaje się to dziwnym paradoksem, jakkolwiek jest tylko naturalnym wynikiem teoryi Ricarda, który sam mówi, że postęp rolnictwa uczyni zbędną uprawę złych gruntów, albo też doprowadzi do jej zaniechania, wywołując w ten sposób obniżenie renty. Nie idąc nawet tak daleko, należy przyznać, że

występuje najwyraźniej w krajach młodszej cywilizacyi, n. p. w Stanach Zjednoczonych, albowiem tam przyczyny które zaznaczyliśmy powyżej, działają najsilniej. Jej zawdzięczają swe bajeczne majątki liczni miliarderzy amerykańscy.

W Europie gdzie przyczyny te działają słabiej, gdzie wzrost ludności jest bardzo powolny, jak naprzykład we Francyi, nadwyżka w wartości ziemi jest mniej widoczną. A przecież z ankiet rolniczych, zwołanych w r. 1851 i 1882 wynika, że wartość ziemi w tym okresie czasu, a więc w 30 latach zaledwie, podniosła się z 61 na 91 miliardów. Jest to nadwyżka miliarda rocznie czyli blizko 2%. Natomiast statystyka z r. 1892 wykazuje zniżkę 12—17% w ostatniem dziesięcioleciu.

W Anglii rentę z gruntów oceniano w r. 1800 na 500 milionów, a w r. 1880 na 1500 milionów — potroiła się zatem. W tym samym przeciągu czasu ludność również mniej więcej wzrosła trzechkrotnie.

postęp rolnictwa, mnożąc ilość płodów, zmniejsza ich użyteczność krańcową, a wskutek tego i wartość ziemi.

Żaden jednak z tych czynników nie dotyka gruntów budowlanych, dlatego też nigdzie nie widzimy tak zdumiewającego wzrostu wartości, jak przy nich i żaden wydatek nie podniósł się tak znacznie, jak czynsze mieszkań [1]).

Pomińmy teraz historyczną stronę teoryi Ricarda, a przypatrzmy się jej części czysto gospodarczej.

Na pierwszy rzut oka zdaje się, że renta jest wynikiem monopolu. Grunt posiadający jakąkolwiek wyższość — wskutek swej urodzajności, jakości swych płodów, lub położenia — powinien dać swemu właścicielowi wytwory o większej wartości, niż inne ziemie, bo one nie mogą wytrzymać z nim konkurencyi. W istocie renta, płynąca z monopolu, jest zjawiskiem bardzo częstem, tak w rolnictwie, jak i w innych gałęziach produkcyi. Ricardo miał jednak inną rentę na oku. Jego renta jest różniczkową, która nie powstaje wskutek monopolu, lecz przeciwnie wskutek konkurencyi.

Widzieliśmy już poprzednio [2]), że renta powstaje na gruntach lepszych, wskutek tego, że dostarczają one przy tych samych kosztach większej ilości płodów, a zapotrzebowanie jest tak znaczne, że cena targowa musi pokryć koszta uprawy gruntów mniej urodzajnych. Zawsze więc istnieje przynajmniej jeden grunt, najgorszy, który nie daje żadnej renty, tylko dochód, wystarczający na opłacenie pracy i procentu od kapitału — i on odgrywa najważniejszą rolę, bo decyduje o cenie płodów rolniczych. Dochody

[1]) W r. 1234 na przedmieściu Montmartre w Paryżu pewien szewc angielski kupił 2·7 ha za 2460 fr. naszej waluty. Obecnie wartość takiej przestrzeni wynosi tam co najmniej 27 milionów fr., oczywiście nie licząc domów, na niej wybudowanych. W Chicago 10 akrów, sprzedanych w r. 1830 za 100 fr., ocenia się dzisiaj na 6,250.000 fr.

[2]) P. wyżej str. 99—100.

wszystkich ziem innych nie płyną z ich urodzajności — bo gdyby wszystkie były jednakowo urodzajne, renty, jak widzieliśmy, nie byłoby wcale — lecz przeciwnie są wynikiem niższej urodzajności gruntów konkurujących, zawdzięczamy je więc nie hojności, lecz skąpstwu przyrody. Położenie właściciela ziemi urodzajnej jest istotnie uprzywilejowane, można nawet powiedzieć, że posiada on monopol. Lecz ten monopol jest szczególnego rodzaju, bo nie umożliwia mu podnoszenia ceny, tylko pozwala mu wytwarzać taniej. Nie jest to bynajmniej gra słów, gdyż monopolista, podnosząc ceny, szkodzi konsumentom, tymczasem właściciel ziemi nie czyni tego bynajmniej, tylko przyjmuje taką cenę, jaka na targu musi się pojawić. Gdyby właściciele płodów rolniczych, w jakimś przystępie szlachetności, zrzekli się renty, cena zboża nie spadłaby ani o grosz; ich ofiara byłaby tylko darem na rzecz dzierżawców lub osób, które nabyły zboże u nich bezpośrednio. Wyraził to Ricardo w zdaniu, że koszta produkcyi nie obejmują renty.

Renta pojawia się nietylko w rolnictwie, lecz we wszystkich gałęziach produkcyi, jeżeli tylko wytwory, uzyskane w nierównych warunkach, sprzedają się na targu po jednakowej cenie. Wtedy producenci, pracujący w stosunkach korzystniejszych, otrzymują rentę, którą stanowi nadwyżka ceny ponad ich koszta produkcyi. Jednakże w przemyśle renta występuje tylko chwilowo, gdyż najlepiej położeni wytwórcy, zwiększając odpowiednio swą produkcyę, sami dostarczają na targ dostatecznej ilości towarów. Wychodzą na tem lepiej, bo wprawdzie zrzekają się renty, obniżając cenę aż do swych własnych kosztów, lecz zato usuwają konkurencyę i monopolizują targ dla siebie. Za każdy towar dostają mniej, lecz mimo to, sprzedając większą ich ilość, powiększają swój zysk ogólny. Dlatego to w przemyśle najwyższe koszta produkcyi decydują tylko chwilowo, podczas gdy w większych okre-

sach czasu cena zależy od najniższych kosztów produkcyi; prawo bardzo korzystne dla społeczeństwa.

Do powyższych wywodów należy dodać następujące uwagi:

I. Teorya renty gruntowej Ricarda jest mylna, gdyż Ricardo nie udowodnił istnienia renty, ani też nie powiedział, kiedy i dlaczego ona powstaje. W najlepszym razie, gdybyśmy nawet przypuścili, że całe jego rozumowanie jest słuszne, dowiedzielibyśmy się tylko, od czego zależy wysokość renty i w jakich wypadkach ją się zapłaci; główne zaś pytanie, za co się ją płaci, pozostaje nierozstrzygnięte.

1. Renta gruntowa jest dochodem czystym, przypadającym na rzecz ziemi. Należy przeto stwierdzić dwie rzeczy: przedewszystkiem, że produkcya, w której ziemia bierze udział, zapewnia dochód czysty, powtóre, że część jego dostaje się ziemi, czyli, że uzyskane wytwory pokryły swą częścią wszelkie koszta, pozostawiając gospodarzowi resztę, jako dochód czysty. Ricardo nie czyni zadosyć temu żądaniu, gdyż nie rozwiązał pytania, czy ziemia jest dobrem gospodarczem, czy zużywa się w produkcyi, czy otrzymuje zwrot swych kosztów.

O tem czy ziemia się zużywa czy nie, niema u niego żadnej wzmianki, wskutek czego jego renta tłumaczy tylko wtedy istotę czystego dochodu z ziemi, jeżeli ziemia nie zużywa się w produkcyi, albo też jeżeli nie jest dobrem gospodarczem, to znaczy, jeżeli jej zużycie nie ma dla gospodarstwa żadnego znaczenia. We wszystkich innych wypadkach teorya Ricarda obejmuje coś więcej niż czysty dochód z ziemi, tłumaczy jej dochód surowy: pytanie czy zawiera on dochód czysty, pozostaje bez odpowiedzi. Stąd też nie przedstawia ona tego, co zamierzała, dochód surowy bowiem tylko może, lecz nie musi zawierać

renty. Nie można tu zarzucić, że Ricardo powiada wyraźnie, iż rentę opłaca się za »pierwotne i niezużywalne« siły natury, a tem samem daje do poznania, że ziemia nie ponosi żadnych strat w produkcyi. Najnowszy rozwój nauk przyrodniczych dowodzi niezbicie, że w ziemi nie ma sił niezużywalnych, lecz że wszystkie się niszczą, a przyjmując nawet wraz z Ricardem pierwotne, wieczne i niezużywalne siły natury, należy utrzymać w całości poprzednią krytykę.

Rentę naturalną tworzą płody przyrody, jeżeli ich ilość, bez względu na wartość, przewyższa spowodowane produkcyą koszta i straty. Ilość płodów będzie tem większa, im potężniejszemi będą siły, tkwiące w danym kawałku gruntu. Otóż mimo niezużywalności sił natury, ziemia może dawać raz wyższą, drugi raz niższą rentę, może jej też nie dawać wcale. Rentę, jak mówi Ricardo, opłacają grunta lepiej wyposażone pod względem sił natury od chwili, gdy uprawa objęła już grunta gorsze. Im dalej rozciąga się kultura na grunta coraz gorsze, tem więcej potężnieją siły gruntów klas wyższych, chociaż bowiem jakość ich nie zmieniła się pod względem przyrodniczym, to jednak zmienił się na ich korzyść stosunek między niemi a siłami, tkwiącemi w innych gruntach. Z tego samego powodu słabną coraz bardziej siły ziem, uprawianych w początkach cywilizacyi, gdy uprawa postąpi od gruntów gorszych do lepszych. W tym właśnie wypadku ziemia poniesie w produkcyi straty, które winny być wynagrodzone. Koszta produkcyi zobaczymy wtedy, gdy dobro dalszego rzędu utraci wskutek produkcyi część swej wartości. Grunt, który dawał, przed odkryciem pól lepszych, zupełny zwrot wyłożonych kosztów a nadto pewną rentę, utraci część swej wartości, jeżeli obecnie daje wprawdzie tę samą ilość wytworów, nie

zapewnia jednak żadnej renty. Zachodzi to wtedy, gdy ziemie świeżo uprawne wykazują taką ilość płodów, że tylko część wytworów naszego gruntu potrzebna jest do konsumcyi. Przypuśćmy, że w społeczeństwie, potrzebującem 200 hektolitrów żyta, właściciel najlepszego gruntu *A.* produkuje kosztem kapitału i pracy równym 50 hl. żyta, 80 hl. żyta. Będzie on miał 30 hl. czystego zysku czyli renty. Jeżeli grunta lepsze, z jakichkolwiek powodów nie są jeszcze uprawne, będzie on pobierał ciągle tę samę rentę, gdyż siły natury, którym zawdzięcza swe plony, są niezużywalne. Przypuśćmy jednak, że wzięto się do uprawy gruntów lepszych, które przy koszcie 50 hl. wydają nie 80, lecz 200 hl. żyta. Gospodarz nasz utraci swą dotychczasową rentę, gdyż wszelkie potrzeby społeczeństwa pokrywają się żytem łatwiej uzyskanem. Pierwej byłby dostał za zezwolenie na użycie swego gruntu 30 hl. czynszu dzierżawnego, obecnie już ich nie otrzyma, produkcya bowiem na niem jest stosunkowo za kosztowna. Potrzeby swe, które opędzał dawniejszą rentą, pozostaną niezaspokojone, ogół jego majątku utracił więc na wartości, poniósł straty w produkcyi. Kapitał ani praca nie wykazują jednak żadnych wyższych kosztów; jak przedtem tak i teraz wynoszą 50 hl. żyta, pozostaje więc tylko ziemia, która utraciła część swej wartości, mimo, że siły w niej tkwiące były niezużywalne.

Jeszcze łatwiej dowieść, że jakość sił natury nie wyklucza kosztów produkcyi ziemi, jeżeli badamy rentę zamienną. Ziemia użyta w produkcyi jest dobrem dalszego rzędu, które otrzymuje wartość od swych wytworów; jeżeli ich wartość się obniży, spadnie i wartość ziemi. Siły natury mogą wpłynąć tylko na ilość wytworów, dla ich wartości nie mają żadnego znaczenia, mimo więc ich niezużywalności

wartość dóbr, uzyskanych za ich pomocą, może się zmieniać w każdym okresie produkcyi. Jeżeli wskutek nagłego powiększenia ilości płodów ziemi, albo zmniejszenia potrzeb, które nimi się pokrywa, spadnie wartość wytworów rolniczych, to obniży się i renta, jaką dawał poprzednio dany kawał gruntu, a tem samem spadnie i wartość ziemi. Gospodarz, który produkując rocznie 100 hl. żyta, sprzedawał je po 10 kor., uzyskiwał dochód roczny w kwocie 1000 kor, z którego po potrąceniu 800 kor. na udział pracy i kapitału, pozostawało mu 200 kor. renty gruntowej. Wskutek tego przy 4% stopie grunt jego miał 5000 kor. wartości. Wszystko to jednak istniało tylko dlatego, że cały zapas żyta wystarczał w społeczeństwie na pokrycie tylko tych potrzeb, których wartość oceniało się przynajmniej na 10 kor. Jeżeli zapas dóbr podniósł się do takiej ilości, że można już zaspokajać potrzeby równe 8 kor., dochód gospodarza spadnie do 800 kor., t. j. do sumy, która pokryje tylko koszta pracy i kapitału. Wskutek tego nie otrzyma ziemia żadnej renty, samoistnie więc wartości mieć nie będzie. Do tego jednak przyczynił się nasz gospodarz, bo zwiększając swą produkcyą zapas dóbr, spowodował, że niższy już stopień potrzeb mógł być nimi pokryty. Zniżenie wartości ziemi nastąpiło przeto wskutek jego produkcyi, utworzyło więc jej koszta, które winne być wytworem wynagrodzone. Przy rencie zamiennej widzieliśmy przeto koszta produkcyi nawet wtedy, gdyby w ziemi tkwiły pierwotne i niezużywalne siły natury.

2. Teorya ta jest za wąska, gdyż rentę Ricarda zobaczymy w wielu wypadkach, w których niema różnicy w jakości uprawnych gruntów. Przedewszystkiem wszyscy uprawiający ziemię właściciele będą mieli dochód czysty ze swej ziemi, jeżeli ogół ich wytworów wystarczy na zaspokojenie tylko takich

potrzeb, których wartość jest wyższa od najwyższych kosztów produkcyi rolniczej. Każdy z producentów będzie się starał uzyskać jak najwyższy dochód ze swych wytworów, to też nikt nie pozbędzie swych płodów po wysokości swych kosztów, jeżeli wie, że może otrzymać za nie więcej; konsument zapłaci każdą cenę bez względu na koszta produkcyi, jeżeli niezbędnych mu dóbr nie może taniej otrzymać. Jeżeli koszta wytworu na glebie najlepszej wynoszą a, koszta zaś na polach najlepszych z pomiędzy nieuprawnych $a + 4$, to oczywiście będzie miał konsument, który zapłacił za wytwór $a + 3$, pewien zysk, ponieważ, gdyby sam produkował, poniósłby wydatek $a + 4$. Właściciele najlepszego gruntu wydają jednak tylko a, przeto owe 3 jednostki tworzą dla nich dochód, który Ricardo nazywa rentą. Powtóre, jeżeli cała ziemia jest już zawłaszczona, posiadacze jej mogą żądać za swe płody wynagrodzenia, przewyższającego znacznie ich koszta. Cena wytworów ziemi nie będzie się regulowała wysokością kosztów produkcyi, lecz znaczeniem najniższej potrzeby, do której zaspokojenia wolno ich jeszcze użyć; jeżeli więc będzie ono wyższe od kosztów produkcyi gruntów najgorszych, wszyscy producenci będą mogli pobierać rentę. Jeżeli społeczeństwo posiada tylko tyle pszenicy, ile mu potrzeba do zaspokojenia potrzeby głodu w stopniu wysokim, który ma wartość n. p. 100 kor., natenczas choćby najwyższe koszta produkcyi wynosiły tylko 60 kor. za 1 hl., cena może dojść do 100 kor., bo brak każdego hektolitra pozbawia zaspokojenia potrzebę wartości 100 kor. Wreszcie taki sam wpływ wywiera na powstanie renty ilość istniejących w społeczeństwie zasobów pracy i kapitału. Jeżeli kapitał i praca, użyte w rolnictwie, wykazują wyższe dochody, niż kapitał lub praca, zatrudnione w innych rodzajach

produkcyi, wtedy nadwyżka ta jest spowodowana współudziałem ziemi i może zapewnić jej rentę, równającą się różnicy między dochodami uzyskanymi w rolnictwie, a otrzymanymi w innych gałęziach pracy wytwórczej. Właściciel kapitału 2000 kor., które użyte w rolnictwie dają 100 kor., w przemyśle tylko 80 kor. dochodu, zapłaci posiadaczowi gruntu za jego wydzierżawienie rentę, gdyż jeżeli ona nie dojdzie do 20 kor., skorzysta na dzierżawie; kapitał jego daje mu w rolnictwie o 20 kor. więcej niż gdzieindziej, płacąc czynsz niższy od tej sumy, otrzyma zysk, który zawdzięcza współdziałaniu ziemi.

3. Teorya renty gruntowej Ricarda nie zgadza się z następującemi głównemi zasadami naszej nauki.

a) Tak ekonomia jak i nauki przyrodnicze nie uznają pierwotnych i wiecznych sił natury; pod względem przyrodniczym wszystko jest znikome, jak to udowodnił Liebig; pod względem gospodarczym siły zmieniają się w miarę potrzeb i w miarę zmiany sposobu ich użycia — jakość ich, istnienie i znaczenie zależy wyłącznie od woli człowieka. Renta więc nie może powstać wskutek działania pierwotnych i niezużywalnych sił natury, takich sił bowiem niema.

b) Ricardo uważa procent od kapitału i płacę za ilości stałe i pewne, rentę za przypadkową, możliwą, lecz nie konieczną resztę. Suma dochodu gruntowego n. p. D składa się, zdaniem naszego autora, zawsze z dwóch części: k (procentu) i p (płacy), czasami i z renty. Jeżeli $k + p = D$, natenczas renty niema; jeżeli $k + p$ jest mniejsze od D, wtedy zobaczymy rentę; wypadek zaś, w którym $k + p$ przewyższałyby D, jest niemożliwy. Zapatrywanie to jest mylne; procent i płaca są ilościami zmiennemi, a stąd renta może się znajdować w każdym, albo też nie przychodzić w żadnym dochodzie gruntowym. Nie możemy wnioskować z sumy dochodu o wysokości

renty, może się bowiem zdarzyć, że gorsze grunta, ją dadzą, gdy płaca i procent wynoszą tam bardzo mało, a lepsze mogą jej nie mieć, gdy potrzebny im robotnik i kapitał kosztują bardzo dużo.

c) Ricardo uważa ziemię za dar przyrody, nie mający żadnej wartości, nie zwraca więc uwagi na koszta, jakie ona w produkcyi ponosi. Ziemia jednak może być dobrem gospodarczem, od którego zawisło pokrycie naszych potrzeb, może więc posiadać wartość i wykazywać wydatki, które należy wynagrodzić wytworami. W takim razie teorya Ricarda nie wystarcza, albowiem koszta produkcyi mogą dorównywać, lub nawet przewyższać dochód z ziemi i nie pozostawić żadnej renty, którąby tworzyła dochód czysty, t. j. właściwą rentę gruntową.

II. Obok teoryi Ricarda, następujące jeszcze tłumaczenia renty uzyskały w nauce prawo obywatelstwa:

1. Teorya monopoliczna, głoszona najpierw przez fizyokratów, później przez J. B. Say'a, Sismondiego, a przedewszystkiem A. Smith'a. Według niej renta jest ceną używania gruntu, a wysokość jej oznacza się najwyższą kwotą, którą w danych stosunkach można za dzierżawę zapłacić. W czynszu dzierżawnym może się także znajdować procent od kapitałów włożonych w ziemię, lecz tworzy on co najwyżej tylko jego część, gdyż właściciel domaga się wynagrodzenia za użycie ziemi nawet wtedy, gdy jej wcale nie ulepszył, a nawet gdy melioracye przeprowadził dzierżawca własnym kosztem. Stąd też renta jest ceną monopolu, t. j. reguluje się nie wydatkami właściciela, lecz tem, co dzierżawca płacić może. Powstaje tylko wtedy, gdy wartość wytworów jest wyższą od kosztów produkcyi, jest więc skutkiem a nie przyczyną ceny ziemiopłodów. Wysokość czynszu dzierżawnego zależy od innych czynników, gdy ziemia daje dobra konieczne, a więc środki pożywienia, a od innych, gdy używa się jej do produkcyi dóbr, niekoniecznie potrzebnych, t. j. do wydobywania płodów kopalnianych. W pierwszym wypadku renta wzrasta w stosunku do urodzajności i położenia, w drugim ceny normuje produkcya najlepsza, która na danym targu może wejść w rachubę. Zachodzi więc między tymi oboma rodzajami produkcyi zasadnicza różnica: zwiększenie urodzajności ziemi podnosi rentę i na gruntach gorszych, gdyż pozwalając na gęstsze zaludnienie, tworzy nowy popyt, natomiast wzrost wydajności kopalń obniża wartość płodów kopalnianych, zmniejsza więc rentę górniczą.

Teorya ta opiera się na twierdzeniu, że wzrost produkcyi rolnej musi wywołać wzrost ludności, a tem samem, przez zwiększenie popytu, wyższe ceny na płody ziemi. Tymczasem produkcya rolna nie musi, lecz tylko może wywołać wzrost ludności, stąd renta jest możliwą, ale nie konieczną.

2. Teorya usług czyli harmonijna, postawiona przez Careya i Bastiata. Człowiek — powiada Carey — nie czyni nigdy tego, co chce, lecz to, co może. W początkach cywilizacyi musiał wyszukiwać sobie takie grunta, których opór mógłby pokonać tą małą ilością pracy, jaką rozporządzał. Uprawę przeto rozpoczynano od ziem najmniej urodzajnych, gdyż kryjąc w sobie najmniej sił, stawiały człowiekowi najmniej przeszkód. W miarę jednak, jak ludność się zwiększała, można było użyć więcej pracy, opanowywać potężniejsze czynniki przyrody. Wskutek tego praca stawała się bardziej wytwórczą i pozwalała na rozszerzenie uprawy na lepsze gleby; dobrobyt wzrastał coraz bardziej i wywoływał coraz dalszy rozwój w tym samym kierunku. Z czasem zaczęto opuszczać ziemie, dawniej używane,

gdyż skąpe ich siły nie mogły dawać odpowiednich dochodów, a ciągły postęp zmieniał bezustannie na korzyść człowieka jego stosunek do przyrody. Podczas gdy przedtem główną rolę w produkcyi grała przyroda, obecnie przewodnictwo obejmuje praca ludzka. Wysokość renty maleje, albowiem dawniej otrzymywano prawie wszystko od przyrody, właściciel ziemi mógł więc domagać się lwiego udziału w rezultatach produkcyi, obecnie zaś człowiek, podniósłszy produktywność swej pracy, nie zapłaci już za użycie ziemi dawnej ceny, gdyż nie jej, lecz sobie samemu zawdzięcza większą część swego majątku. Właściciele jednak nie ponoszą żadnych strat, gdyż chociaż dochody ich procentowo się zmniejszyły, obliczają się w stosunku do znacznie większej ilości wytworów, zwiększają się więc ilościowo t. j. absolutnie. Wręcz przeciwne skutki wywołuje zmniejszanie się ludności i dobrobytu. Ludzkość traci na sile, przyroda zyskuje coraz większą nad nią przewagę. Ziemie pełne potężnych sił musi się opuścić, gdyż niema ich czem uprawiać; stopa renty wzrośnie, stopa pracy spadnie, lecz tak właściciele jak i robotnicy otrzymają mniej dochodów, do podziału bowiem zostanie już tylko znacznie mniejsza liczba wytworów. Teorya ta jest również mylną, albowiem według niej renta jest ceną pracy włożonej w ziemię, która sama przez się nie posiada wartości. Ponieważ codzienne życie okazuje, że praca na różnych gruntach wydaje rozmaite rezultaty, musi mieć przeto rozmaitą wartość, gdyż jakość gruntów niema żadnego znaczenia. Stąd wypływają dwie konsekwencye:

1) za tę samą pracę, podjętą w tym samym czasie, będzie mógł żądać właściciel gruntu rozmaitej ceny, albowiem odmienne wyda ona skutki;

2) renta zwracając całą wartość pracy po ukończeniu pierwszego okresu produkcyi, nie powinna powtórzyć się po raz drugi, gdyż wtedy stanowiłaby już niczem nieusprawiedliwiony zysk dla właściciela. W istocie jeżeli ziemia niema wartości, dzierżawca kupując czynszem wartość pracy, płaci tem samem za cały grunt, byłoby więc wyzyskiem żądać od niego ponownego wynagrodzenia za rzecz, którą już poprzednio nabył.

3. Teorya wyzysku, której dał początek Rodbertus. Tłumaczy on powstanie renty gruntowej zabraniem pewnej części rezultatów pracy na rzecz właścicieli ziemskich. Wszelki dochód z własności polega na zabraniu części wytworów, należących się pracy. Może on powstać dopiero wtedy, gdy praca daje więcej, niż potrzebuje do swego utrzymania, a część jej rezultatów może posłużyć do zaspokojenia braków innych osób. Jak długo człowiek jednoczył w sobie właściciela i robotnika, tak długo własność nie mogła dawać renty; z chwilą jednak gdy nastąpił podział pracy, praca ludzka stała się bardziej wytwórczą, można więc było obrócić część jej rezultatów na utrzymanie innych ludzi; ziemia zaś i kapitał przestały być własnością robotnika. Wskutek tego brak potrzebnych surowców nie dozwalał mu dalej pracować i zmusił do poddania się warunkom ich właścicieli. Warunkiem tym było ustąpienie części swych wytworów, t. j. opłata renty od własności. Nastąpił już jednak rozdział własności: w innem ręku znajduje się ziemia, w innem kapitał, powstaje więc procent i renta. Kapitał wytwarza sobie pewną stałą stopę, a co ją przewyższa, przypada na rzecz właścicieli ziemi, jest rentą gruntową. Teorya ta upada, gdyż jak wiemy, praca nie jest jedynem źródłem wartości, wyzysk robotników nie może więc wyjaśnić istoty czystego dochodu.

4. Teorya rozszerzonego pojęcia renty.

Zawdzięcza ona swe powstanie Mangoldtowi i Schäfflemu, którzy twierdzą, że tak ziemia jak i kapitał mogą dawać dochody dwojakiego rodzaju. Jedne z nich ukazują się wszędzie, drugie powstają tylko wtedy, gdy wspomniane czynniki znajdują się w uprzywilejowanem położeniu. Pierwszy rodzaj dochodu jest wynagrodzeniem za użycie ziemi lub kapitału na ekonomiczną korzyść społeczeństwa, jest zwykłem pokryciem kosztów produkcyi, obejmujących przy kapitale zwykły procent, którego ziemia, jako dar przyrody, nie potrzebuje; drugi tworzy nadwyżkę ponad zwykłą stopę procentową, a będąc wypływem wyjątkowo korzystnego położenia, jest nadzwyczajnym dochodem, noszącym miano renty. Źródłami dochodów mogą być, prócz dóbr, także niektóre stosunki społeczno-gospodarcze, wypływające z wspólnego pożycia jednostek w społeczeństwie. Mogą one dawać dochody, jeżeli posiadają siłę znamienną, którą uzyskują, ilekroć wpływem swym ograniczają konkurencyę, a pozbycie ich jest tak prawnie, jak i faktycznie możliwem. Wtedy pozwalają swym posiadaczom albo podnieść cenę, albo też obniżyć koszta produkcyi, wywołują więc pewne nadzwyczajne dochody, zwane rentą. Stosunki te sprowadzają postęp ekonomiczny, albo przynajmniej pozwalają na najdokładniejsze zaspokojenie potrzeb społecznych, skutki ich są zatem zawsze zbawienne, należy je więc wynagrodzić właściwym ich dochodem, t. j. rentą. Stąd też renta jest zasłużoną premią postępu i gospodarności, regulatorem postępu, koniecznym czynnikiem wymiennej organizacyi społecznej; płynie zaś z każdego postępu dla tych, którzy się do niego przyczynili, jest nieusprawiedliwioną tylko wtedy, gdy powstała z utrudnień, sztucznie wywołanych. Możemy odróżnić pięć odmian renty. Renta może być: 1) zapłatą za zawłaszczenie części świata zewnętrznego, powodujące najniższe koszta produkcyi, więc za uprawę najżyźniejszych ziem; 2) może być nagrodą za najlepszą klasyfikacyę sił do pracy, wysokie bowiem dochody może pobierać ten, kto swej pracy najlepiej używa, albo też posiadając z natury już siły lepsze od innych i wykształciwszy je odpowiednio, takim samym trudem zaspakaja większą ilość cudzych potrzeb; 3) ceną za najlepszą klasyfikacyę kapitałów pożyczkowych, zyskuje się bowiem na kursie papierów kredytowych i na podniesieniu stopy procentowej; 4) zapłatą są chronione przez państwo wynalazki, w formie dochodów z patentów i praw autorskich; 5) wreszcie nagrodą za wyszukanie najbardziej wytwórczych kapitałów stałych, szczególnie gruntów, właściciel ich bowiem pobiera, w cenie ziemiopłodów lub w czynszu dzierżawy i najmu, znaczną nadwyżkę ponad swe wydatki. Ostatnia ta odmiana renty, renta gruntowa, odznacza się większą trwałością od innych, pokrewnych jej dochodów, polega bowiem na właściwościach naturalnych, czego niema przy innych, po największej części przemijających tylko rentach. Teorya ta prawdziwa, o ile chodzi o wysokość renty, nie tłumaczy jej powstania, gdyż nie powiada, co się dzieje w stosunkach zwyczajnych, gdy niema wyjątkowo korzystnych okoliczności.

II.

Uprawnienie renty gruntowej.

Na pierwszy rzut oka trudno usprawiedliwić rentę gruntową, która jak widzieliśmy, jest wynikiem monopolu

szczególnego rodzaju i wzrasta stale, dzięki czynnikom społecznym, niezależnym od właściciela ziemi. Możnaby wprawdzie powiedzieć, że renta gruntowa jest naturalnym i koniecznym skutkiem własności ziemskiej, jeżeli więc własność ziemi uzasadni się dostatecznie, tem samem usprawiedliwi się jej dochód. Tymczasem co do uprawnienia własności ziemskiej nasuwają się również poważne wątpliwości. Wszystkie dobra prócz ziemi są wytworami pracy, jeżeli więc chcemy pozostać wierni zasadzie, która w pracy upatruje podstawę własności osobistej, powinniśmy prawo własności uznać za uzasadnione co do wszystkich dóbr z wyjątkiem ziemi.

Rozróżnienie to oddziaływa silnie na umysły przez swą prostotę i logikę; jest ono bardzo dawne, gdyż jak widzieliśmy już poprzednio, sięga początków własności; jest zarazem bardzo nowożytne, ponieważ złączyło pod swym sztandarem w naszych czasach nietylko socyalistów, lecz także kilku ekonomistów i filozofów współczesnych.

Szkoła optymistyczna zaczepia silnie to rozróżnienie, które jest w stanie wstrząsnąć przedewszystkiem własnością ziemską. Głosi, że ziemia jest wytworem pracy uprawiającego ją rolnika, zarówno jak gliniany dzban, urobiony ręką zduna. Co prawda, człowiek nie stworzył ziemi, ale i nie stworzył gliny; praca nigdy nic nie stwarza, ogranicza się do przetwarzania materyałów dostarczanych jej przez przyrodę, a wielkość tej działalności przetwarzającej pracy nie zależy od tego, czy się ją zastosuje do ziemi samej, czy też do materyałów, wydobytych z jej łona. I przytacza nam jako przykład ziemię, którą chłopi w Pirenejach lub w Valais znieśli na stoki swych gór ze wszech stron, dźwigając ją w koszykach na plecach. Jeden ze starożytnych pisarzy opowiada, że chłop, oskarżony o czary z powodu żniw obfitych, zebranych na jego gruncie, choć pola sąsiednie były pustkowiem, został zawezwany przed pretora Rzymu i tam,

miasto wszelkiej obrony, wskazując na ręce zawołał: *Veneficia mea haec sunt,* »oto moje czary«. Własność ziemska dla odparcia skierowanych przeciw niej zaczepek może powtórzyć tę samą dumną odpowiedź.

A nawet, powiadają dalej, gdyby ziemia nie była wytworem pracy, będzie zawsze jeszcze wytworem kapitału. Wartość ziemi i wzrost tej wartości w ciągu wieków tłumaczą się dostatecznie wydatkami i melioracyami, dokonanemi przez właścicieli. Gdybyśmy zliczyli wszystkie wydatki, poniesione przez następujących po sobie właścicieli, doszlibyśmy nawet do przekonania, że niema gruntu, którego wartość dorównywałaby jego kosztom.

Mimo częściowej prawdy, którą to rozumowanie niezaprzeczenie zawiera, nie wystarcza ono do obalenia twierdzenia o różnicy między ziemią a dobrami, wydobytemi z jej łona. Ziemia jest narzędziem pracy, ale nie jest jej wytworem; wyprzedziła wszelką pracę ludzką i ona tylko umożliwia człowiekowi produkcyę. Zresztą nie jest materyałem nieczynnym, jak glina w rękach zduna; ona żyje, wytwarza, pracuje wraz z nami, ona oddaje na usługi człowieka cały skarb sił przyrodzonych; słońce, deszcz, rosę, a przedewszystkiem miejsce, które jak widzieliśmy, jest niezbędnym warunkiem wszelkiej produkcyi; czyżby więc nie miała użyteczności i wartości niezawisłej od pracy człowieka? Bezsprzecznie, człowiek wydoskonala i zmienia codziennie przez swą pracę to cudowne narzędzie produkcyi, którego przyroda mu dostarczyła, by je lepiej zastosować do swych celów, a w tym razie nadaje mu widocznie nową użyteczność i wartość. Lecz łatwo jest zawsze rozpoznać, przynajmniej w teoryi, pierwotną wartość ziemi, pod nagromadzonymi pokładami pracy człowieka [1]).

---

[1]) Szkoła Bastiata, dla poparcia swego twierdzenia, powołuje się na to, że ziemie dziewicze są bezwartościowe. Lecz ziemie

Wyraźnym jej objawem jest las i step, które nigdy nie były zaorane lub uprawiane, a które przecież można wynająć lub sprzedać za wysokiem wynagrodzeniem; te wydmy piaszczyste w okolicach Aigues-Mortes, które chyba tylko wiatr morski użyźniał, a które stały się majątkiem dla szczęśliwych właścicieli z powodu przypadkowego odkrycia, że można na nich sadzić szczepy winne, nie ulegające filokserze; te wielkomiejskie parcele budowlane, po których nigdy pług nie orał, a których wartość jest znacznie wyższa od wartości którychkolwiek pól uprawnych.

Wartość przyrodzona ziemi objawia się jeszcze w sposób bardzo dotykalny, nawet u gruntów uprawnych, w nierównej urodzajności pojedynczych obszarów, która sprawia, że z dwóch pól, uprawianych tą samą pracą i tym samym nakładem, jedno będzie majątkiem, a drugie nie będzie miało prawie żadnej wartości.

Objawia się jeszcze, jak to widzieliśmy przedtem, w nadwyżce wartości, złączonej z ziemią, niezależnie od wszelkiej pracy ludzkiej i zapewniającej właścicielowi dochód, wzrastający bez przerwy.

Również twierdzenie, że wartość każdego gruntu jest mniejsza od jego kosztów, polega na błędzie rachunkowym. Prawda, że gdybyśmy zliczyli wszystkie nakłady, włożone w ziemię francuską, począwszy od dnia, w którym pierwszy Celt zaczął ją karczować za czasów druidów, doszlibyśmy do sumy nieskończenie wyższej od dzisiejszej wartości ziemi. Lecz, żeby rachunek był sprawiedliwy, należy odjąć od tej kwoty wartość wszystkich pobranych dochodów, a w takim razie okazałoby się pra-

---

te nie mają wartości tylko dlatego, że są położone w okolicach niezamieszkałych, niema więc człowieka, któryby ich używał. Przenieśmy je do Europy, a uzyskają wartość równą najstarszym gruntom, uprawianym przez setki pokoleń, choćbyśmy nie włożyli w nie żadnej pracy, ani żadnego kapitału.

wdopodobnie, że ziemia dawała rentę, wzrastającą stopniowo z biegiem czasu.

Argumenty teoretyczne więc, lub zaczerpnięte z abstrakcyjnej sprawiedliwości dla uzasadniania własności ziemskiej, są kruche. Lecz nie na nich też opiera się własność ziemska, gdyż najpewniejszą i najtrwalszą jej podstawą jest użyteczność publiczna. Początku własności ziemskiej należy szukać w zjawiskach dziejowych.

Zobaczymy, jak własność ziemska powoli wyłoniła się z pierwotnej wspólności, jak skrystalizowała się jako własność osobista, coraz to bardziej podobna do własności na rzeczach ruchomych i jak wreszcie dotrzymała kroku postępom rolnictwa i rozwojowi cywilizacyi. Przyczyny ekonomiczne, które poniekąd zmusiły własność ziemską do skrystalizowania się w ten sposób, możemy teraz łatwo oznaczyć.

Z jednej strony wzrost ludności zmusił ludzi do uprawy bardziej intenzywnej, w celu wydobycia z ziemi coraz to znaczniejszej ilości środków do utrzymania życia; z drugiej strony powstała konieczność zapewnienia rolnikowi — jako bodźca do pracy — nietylko prawa do wytworów jego ziemi, lecz do ziemi samej, prawa najpierw czasowego, lecz ciągle przedłużanego w miarę jak postęp rolnictwa wymagał prac coraz dłuższych. Prawo to w końcu stało się wieczystem.

Czy przyczyny te, które wpłynęły w przeszłości na wytworzenie się własności ziemskiej osobistej, straciły swą siłę odporną wobec zarzutów jej przeciwników? — Sądzimy, że nie.

Z jednej strony ustawiczny, raz mniejszy, raz większy wzrost ludności, z drugiej strony tyle razy przez nas stwierdzona niedostateczność produkcyi dóbr dowodzi, że trzeba dziś, jak niegdyś, wybrać ten sposób użytkowania ziemi, który umożliwia wyżywienie jak największej liczby ludzi na danej przestrzeni — a własność osobista najlepiej czyni zadosyć tej konieczności. Napróżno kolek-

tywiści zapewniają, że własność zbiorowa ziemi doprowadziłaby dziś do wyników o wiele świetniejszych od tych, które dać może własność osobista, ponieważ ona tylko pozwala zastosować środki pomocnicze wielkiej produkcyi i korzystać z nich w odpowiedni sposób. Przekonaliśmy się już, że w rolnictwie nie możemy spodziewać się po wielkiej produkcyi tych samych korzyści, co w przemyśle wytwórczym; pozwala ona co prawda na zmniejszenie kosztów ogólnych, ale także wytwarza mniejszą ilość środków do utrzymania życia, a w produkcyi rolniczej powinniśmy przedewszystkiem starać się o jak największy przychód surowy.

Zresztą zachodzi pytanie, jakby wyglądało użytkowanie ziemi za panowania systemu własności zbiorowej — a kolektywiści bynajmniej nie zgadzają się pod tym względem. Czy państwo, czy gminy podejmą się tego zadania? Trzeba przyznać, że wyniki dotychczasowe w kilku przypadkach, o których sądzić możemy, naprzykład w zarządzaniu lasami, kolejami państwowemi lub dobrami gminnemi, nie są zachęcające. Sądzimy więc, że ziemia, ze stanowiska ścisłej logiki, powinna należeć do społeczeństwa, ponieważ jednak społeczeństwo nie potrafiłoby jej w pełni zużytkować, czyni dobrze, powierzając ją jednostkom, pod warunkiem jak najlepszego zużytkowania dla dobra ogółu.

Podstawą własności ziemskiej wydaje nam się nietyle prawo naturalne, jak raczej prawo cywilne, nie zasada bezwzględnej sprawiedliwości, lecz wzgląd na dobro publiczne. Zachodzi tylko pytanie, czy własność ziemska nie rozszerzyła się zbytecznie, zagarniając niemal całą powierzchnię wszystkich krajów i czy nie byłoby słuszniejszem pozwolić jej sięgnąć tylko tam, gdzie sięga uprawa, skoro to jest jedyny tytuł prawny, który jej przyznajemy [1]). Własność osobista pochłonęła własność

[1]) Ustawodawstwo muzułmańskie, rozumniejsze może w tym razie, niż ustawodawstwa oparte na prawie rzymskiem, dopuszcza własności osobistej tylko na ziemiach, które były przedmiotem skutecznej pracy i które nazywa ziemiami *żywemi*, w przeciwieństwie do ziem nieuprawnych, zwanych ziemią martwą, która powinna pozostać we własności zbiorowej. »Kto ożywi ziemię martwą, powiada prorok, będzie miał wyłączne prawo na niej, a nie będzie należała do nikogo innego«. Oto prace, które powodują w ten sposób uwłaszczenie: »wykopanie studni, nawodnienie i odwodnienie, budowanie na ziemi martwej, uprawianie, wykarczowanie krzaków, które uniemożliwiają uprawę, skopanie gruntu, zrównanie ziemi i wydobycie z niej kamieni«. Dzięki zastósowaniu tych przepisów w Algierze i na wyspie Jawie własność zbiorowa zajmuje jeszcze dużo obszaru. Lecz we Francyi z 22 milionów hektarów nieuprawnej ziemi (2/5 powierzchni Francyi) tylko 6 milionów należy do państwa lub gmin; resztę zajęła własność prywatna.

zbiorową na dobrach gminnych, lasach i pastwiskach; pociągnęło to za sobą szkodliwe skutki, na które nieraz słusznie zwracano uwagę. — Wprawdzie w miarę jak własność zbiorowa, pierwotna znika, powstaje i rozwija się w naszych społeczeństwach inna, znaczniejsza, w postaci państwowych kolei, przedsiębiorstw gazowych, wodociągów, tramwajów, będących własnością miejską i t. d.; lecz jedna nie zastępuje drugiej.

III.

Historyczny rozwój własności ziemskiej.

W naszych nowożytnych społeczeństwach, przynajmniej w starych krajach Europy, prawie wszystka ziemia jest własnością prywatną. Uwłaszczenie to nietylko uświęciły wszystkie prawodawstwa, ale nadto opinia publiczna uznała je za prototyp własności; jeżeli mowa o »własności« bez żadnego innego określenia, każdy wie, że chodzi o własność ziemską.

Pomimo tego można uważać za udowodnione, dzięki

licznym badaniom, przedewszystkiem z ostatnich lat, że własność ziemska pochodzi z czasów stosunkowo niezbyt dawnych, że była nieznaną w pierwszych okresach cywilizacyi i że nawet, nim powstała, miała wiele trudności do zwalczenia.

Można rozróżnić w rozwoju własności ziemskiej sześć kolejnych okresów, które pokrótce naszkicujemy.

1) Łatwo zrozumieć, że własność ziemska nie może wytworzyć się w społeczeństwie, które żyje z polowania, lub u ludów, które wiodą żywot koczowniczy. Rodzi się dopiero z rolnictwem. A nawet nie powstaje jeszcze w pierwszych okresach życia rolniczego, po pierwsze, ponieważ ziemia w tym okresie istnieje w ilości zbytniej, nikt więc nie czuje potrzeby wymierzania swej części; po drugie, ponieważ uprawa roli jest jeszcze w powijakach, rolnik więc opuszcza swe pole, gdy je wyczerpie i zajmuje inne. Ziemię uprawiają, jeśli nie wspólnie, to przecież bez rozróżnienia, co twoje a co moje; należy ona do całego społeczeństwa, a raczej do plemienia. Owoce tylko należą do wytwórcy.

2) Z czasem ludność staje się mniej ruchliwą i ustala się coraz bardziej na ziemi; staje się także liczniejszą i czuje potrzebę uprawy wydatniejszej. Wówczas po pierwszym okresie następuje drugi okres czasowego posiadania z peryodycznymi podziałami. Ziemię, choć uważają ją zawsze za własność społeczeństwa, dzielą równo pomiędzy wszystkich naczelników rodziny nie na stałe, lecz na pewien czas; najpierw tylko na rok, bo tego wymaga zwykła kolej zajęć rolniczych; następnie pomału, w miarę jak uprawa roli doskonali się i rolnicy potrzebują dłuższego przeciągu czasu dla swych prac — na coraz to dłuższe okresy czasu. Ten zwyczaj peryodycznego podziału znajdujemy dziś jeszcze w wielkim kraju Europy, w Rosyi, w postaci dobrze znanego miru. Ogół mieszkańców każdej wsi, t. zw. mir, posiada ziemię i dzieli ją pomiędzy swych członków zwykle co

trzy lata, chociaż okres ten zmienia się w pojedynczych wsiach [1]).

3) Nadchodzi czas, w którym te peryodyczne podziały wychodzą ze zwyczaju; ci, którzy dobrze uprawili, niechętnie poddają się zwyczajowi, pozbawiającemu ich peryodycznie wytworu ich pracy na rzecz gminy — i dochodzimy do powstania własności rodzinnej, tak, że każda rodzina obejmuje na stałe własność swego udziału. W każdym razie nie jest to jeszcze własność osobista, skoro prawo rozporządzania nie istnieje; głowa rodziny nie może ani sprzedać lub darować ziemi, ani rozporządzić nią po śmierci, właśnie dlatego, że uważają ją za wspólną ojcowiznę, a nie za własność osobistą. System ten odnajdujemy dziś jeszcze w rodzinach i gminach Europy wschodniej, przedewszystkiem w zadrugach Bułgaryi i Kroacyi, liczących do 50 i 60 osób; zanikają one jednak szybko z powodu popędu do niezależności, objawiającego się u młodszych członków rodziny.

4) Dzieje rozwoju własności ziemskiej byłyby niezupełne, gdybyśmy nie zwrócili uwagi na zdarzenie, które choć z istoty swej przypadkowe, stało się częścią rozwoju wszystkich społeczeństw ludzkich, — chcę mówić o zdobyczy. Niema prawdopodobnie ani jednego skrawka ziemi, któregoby w jakiejś epoce plemię zdobywcze nie odebrało siłą ludności pierwotnej i nie przywłaszczyło sobie. Zwycięzcy właśnie dlatego, że byli zwycięzcami i panami, nie

[1]) Pola gminy podzielone są na 3 grupy: obszary zabudowane wraz z ogrodami stanowią własność dziedziczną i nie podlegają podziałowi; dalej rola, którą dzielą, o ile możności, na równe części w stosunku do liczby mieszkańców, wreszcie łąki i lasy, których zwykle nie dzieli się, lecz używa wspólnie. Zgromadzenie ojców rodzin, mir, zajmuje się wydzielaniem udziałów i porządkiem uprawy. W literaturze rosyjskiej zdania co do miru są bardzo podzielone. Jedni twierdzą, że mir jest pozostałością dawniejszych epok, która musi wkrótce zniknąć, inni natomiast uważają go za formę własności ziemskiej, która w przyszłości wszędzie zastąpi własność indywidualną.

troszczyli się nigdy o uprawę roli i przyznając sobie po prostu własność prawną, *dominium eminens* — jak mówiono niegdyś, pozostawiali ludności podbitej posiadanie ziemi w postaci dzierżawy. Dzierżawa ta była zbliżona mniej lub więcej do prawdziwej własności, lecz była zawsze ograniczona warunkami nadania, otrzymanego przez rolnika, służebnościami, które na niej ciążyły, opłatami, które musiał płacić właścicielowi i zakazem pozbycia bez jego upoważnienia. System ten przez długie wieki był podstawą urządzeń społecznych i politycznych Europy pod nazwą systemu feudalnego; dziś jeszcze odnajdujemy go w wielu krajach, a nawet w Anglii, gdzie wszelka własność, w teoryi przynajmniej, jest dzierżawą, dotąd jeszcze skrępowaną licznemi więzami, z których usiłuje się uwolnić z wielkim trudem.

5) Rozwój indywidualizmu i równości cywilnej, zniesienie systemu feudalnego, przedewszystkiem w tych krajach, które uległy wpływom rewolucyi francuskiej z r. 1789, wytworzyły piąty okres, urzeczywistniający się w naszych czasach: powstanie wolnej własności ziemskiej ze wszystkimi przywilejami, zawartymi w prawie własności. A jednak i ta własność ziemska, którą naprzykład znajdujemy w kodeksie Napoleońskim, nie ze wszystkiem zgadza się z własnością na rzeczach ruchomych; różni się od niej licznymi szczegółami, dobrze znanymi prawnikom, które najsilniej występują w mniejszych lub większych trudnościach, połączonych z prawem pozbycia i nabycia [1]).

6) Pozostawał więc tylko jeden krok na drodze zupełnego zrównania własności ziemskiej z własnością na rzeczach ruchomych i zaznaczenia tem samem ostatecznego kresu w tym rozwoju: uruchomienie własno-

[1]) Wystarczy przypomnieć niepozbywalność posagu nieruchomego kobiet zamężnych, formalności, wymagane przy przeniesieniu prawa własności na nieruchomościach, olbrzymie opłaty nałożone na te przeniesienia i t. d.

ści ziemskiej, to jest danie możności każdej jednostce nietylko posiadania ziemi, lecz także rozporządzania nią z tą samą łatwością, co każdym innym przedmiotem ruchomym. Ten ostatni krok uczyniono w kraju najmłodszym, w Australii; był nim sławny system, znany pod nazwą systemu Torrensa [1]), który pozwala właścicielowi rzeczy nieruchomej włożyć swą ziemię poniekąd do pugilaresu w postaci świstka papieru i przenieść ją z jednej osoby na drugą, z taką samą łatwością, jak bilet bankowy lub co najmniej weksel. Od pewnego czasu starają się zaprowadzić ten system w Europie i nie jest wykluczonem, aby naturalny bieg i logika faktów nie dopomogły mu wszędzie do zwycięstwa.

7) Być może, że w przyszłości pójdziemy jeszcze dalej, tak, że gospodarstwo rolne przybierze, na wzór przedsiębiorstw przemysłowych, formę spółki akcyjnej, w której własność ziemi będzie reprezentował papier na okaziciela. W każdym jednak razie próby w tym kierunku nie wydały dotychczas korzystnych rezultatów.

[1]) System Torrensa, nazwany imieniem człowieka, który zaprowadził go w r. 1857 w Australii południowej, polega głównie na: 1) rejestrze, w którym każda nieruchomość posiada wyłącznie sobie zastrzeżoną stronę z planem i opisem; na stronie tej streszczone są poniekąd dzieje nieruchomości od dnia, w którym nieruchomość ta stała się własnością prywatną, 2) na papierze (wartościowym), t. j. dokładnej, czasami nawet fotograficznej odbitce strony rejestru, który w rękach właściciela zastępuje zupełnie nieruchomość; właściciel może ten tytuł, jako nieruchomość, pozbywać, dawać w zastaw i t. d. Celem tego systemu, jak to sam autor oświadczył, jest uwolnienie własności ziemskiej od więzów, które ją krępowały, »więzów podobnych do tych krat, mostów spuszczanych i wałów, które broniły dostępu do zamków naszych przodków«. System ten przyjęty kolejno przez wszystkie kolonie w Australii i kilka innych angielskich kolonii, niedawno zastosowany został w Tunisie, a w innych krajach badają jego skutki. Dotychczasowe próby wprowadzenia go w Anglii, nie udały się. Co do szczegółów, patrz moją rozprawę *Étude sur l'Acte Torrens.*

Ostatecznie z krótkiego tego przeglądu wynika, że własność ziemska przechodziła stopniowo ze zbiorowej w osobistą i dąży do coraz większego zbliżenia się do własności rzeczy ruchomych i kapitałów, ażeby wreszcie zlać się z nią zupełnie.

IV.

Dzierżawa.

Właściciel ziemi, który nie może, lub nie chce sam jej uprawiać, może odstąpić jej używanie przedsiębiorcy rolniczemu, którego nazywamy dzierżawcą, za opłatą, zwaną czynszem dzierżawnym. Dzierżawa jest więc umową, mocą której właściciel oddaje dzierżawcy prawo do własności płodów ziemi, w zamian za stale określoną kwotę pieniężną, stanowiącą roczny czynsz dzierżawny. Znaną jest także dzierżawa, polegająca na poborze przez właściciela pewnej części płodów w naturze; zowią ją we Francyi *metayage*.

Czynszu dzierżawnego nie należy mięszać z rentą gruntową, zwykle bowiem czynsz jest wyższy od renty, albo dlatego, że mieści w sobie zarazem oprocentowanie kapitałów, umieszczonych w ziemi i wraz z gruntem wydzierżawionych, bądź też, że dzierżawca, zmuszony okolicznościami faktycznemi, oddaje właścicielowi nietylko dochód, płynący z działania sił naturalnych i społecznych, lecz także część dochodów swej własnej pracy. Może jednak zdarzyć się wypadek odwrotny, gdy brak jest dostatecznej liczby dzierżawców; wtedy czynsz jest niższy od renty gruntowej, a pewną jej część pobiera dzierżawca.

Stopa czynszu dzierżawnego zależy od tych samych czynników, które określają stopę płacy i procentu, t. zn. od prawa podaży i popytu. W krajach nowych, n. p. w koloniach, w których ziemi jest tyle, że każdy może znaleźć grunta nie zajęte i objąć je na własność, nie znajdzie się dzierżawcy, któryby zapłacił czynsz wyższy od procentu od kapitałów, włożonych w ziemię. Natomiast tam, gdzie ludność jest gęsta, cała ziemia już zajęta, a kraj wyłącznie rolniczy, stopa czynszu dzierżawnego jest tak wysoka, że dzierżawcy zaledwie wystarcza na nędzne życie [1]).

Czynsz dzierżawny wydaje się nam dochodem antispołecznym, który w przyszłości zniknie, tak że uprawą będą się zajmować tylko sami właściciele, prowadząc gospodarstwo samodzielnie, albo jeszcze lepiej, łącząc się pomiędzy sobą w stowarzyszenia wytwórcze.

Przedewszystkiem dzierżawa jest niebezpieczna dla samego prawa własności ziemskiej, odbiera mu bowiem główną jego podstawę. Własność ziemi nie opiera się na żadnem prawie boskiem, lecz na powszechnem przeświadczeniu, że jej utrzymanie odpowiada najlepiej dobru ogólnemu, gdyż nikt nie zdoła podnieść do takiego stopnia wytwórczości ziemi i tyle z niej wyciągnąć, co właściciel. Cóż jednak mamy przytoczyć na obronę własności ziemskiej, gdy widzimy, że właściciel oddaje pieczę około uprawy dzierżawcy, a sam wyjeżdża do dużego miasta lub za granicę, ażeby żyć ze swej renty?

Każdy chyba przyzna, że właściciel, który zamiast uprawiać ziemię, robi z niej narzędzie zbytku i środek życia bez pracy, nie wypełnia wcale posłannictwa społecznego, które mu powierzono. Niepodobna przecież utrzymywać, że ziemię dano pewnym ludziom jedynie w tym celu, ażeby zapewnić im dochody, *fruges consumere nati*, podobnie, jak niegdyś król rozdzielał pomiędzy możne rodziny opactwa i włości lenne. Te same przeto powody,

---

[1]) W Kabylii, rolniczej i gęsto zaludnionej części Algieru, dzierżawca zatrzymuje dla siebie zaledwie piątą część zbiorów!

które usprawiedliwiają prawo własności ziemskiej, zwracają się przeciw dzierżawie.

Powtóre wynikający z umowy dzierżawnej rozdział ról właściciela i rolnika, jest zgubny dla samej uprawy. Chcąc z ziemi otrzymać możliwie najlepsze rezultaty, należy ją kochać, trzeba się do niej przywiązać. Tymczasem ziemia wydzierżawiona nie wzbudza tego uczucia ani u właściciela, który na niej nie mieszka, a niekiedy nawet jej nie zna, ani u dzierżawcy, który jest tylko chwilowym gościem i czuje się obcym.

Natomiast na obronę dzierżawy przytaczają następujące okoliczności:

1. Wypadek, w którym właściciel nie troszczy się zupełnie o grunt wydzierżawiony, jest nader rzadki i pojawia się tylko przy absenteizmie, gdyż dzierżawa jest tylko podziałem pracy, zupełnie zgodnym z dobrą organizacyą produkcyi. Właściciel, powiada Leroy-Beaulieu, zastępuje przyszłe i wieczne potrzeby ziemi, dzierżawca jej interesy obecne i przejściowe. Lecz godząc się nawet na takie ujęcie rzeczy, należy zaznaczyć, że lepiejby było, gdyby zastępstwo obu tych kategoryi potrzeb skupiło się w jednem ręku, bo pomiędzy interesami teraźniejszości i przyszłości może przyjść łatwo do sporu.

2. Zakaz dzierżawy uniemożliwiałby nieraz zatrzymanie własności i skazywałby na przymusowe pozbycie ziemi wszystkich właścicieli, którzy nie mogą sami prowadzić uprawy, dla swego wieku, płci, zawodu, oddalenia, lub rozległości i mnogości swych dóbr. Jest to zupełnie możliwem, podobny jednak skutek zakazu dzierżawy jest raczej dodatni aniżeli ujemny. Jeżeli wspomniane osoby nie mogą odpowiedzieć zadaniom właścicieli ziemskich, niechże przeniosą swe prawa na innych, lepiej uzdolnionych i odpowiedniejszych.

Jeżeli własność ziemska ma być utrzymana nadal, musi stać się zawodem i funkcyą społeczną. Powinniśmy więc dążyć, przy pomocy wszystkich środków ekonomicznych i prawnych, do przeprowadzenia takiego ustroju, w którym właścicielem ziemi byłby ten tylko, kto istotnie chce to zadanie spełniać, t. zn. kto swą ziemię sam pragnie uprawiać [1]). Wydzierżawiać swą funkcyę można tylko w krajach barbarzyńskich.

Do tego właśnie celu zdąża ustawodawstwo, ułatwiające stworzenie i rozszerzenie drobnej i średniej własności ziemskiej. Natomiast wręcz przeciwne skutki wywołują przepisy, utrudniające sprzedaż nieruchomości, należących do małoletnich lub osób prawniczych. Zmuszają one niejako do stosowania dzierżawy, gdyż przymusowo utrzymują własność ziemską w ręku podmiotów, które nie mogą gospodarować bezpośrednio. Dla ochrony pewnej liczby interesów prywatnych, poświęca się w tym razie dobro ogółu.

V.

Unarodowienie ziemi.

Unarodowienie ziemi, zwane także kolektywizmem agrarnym, jest właściwie częściowym kolektywizmem, tak jak kolektywizm częściowym komunizmem. Kolektywizm żąda wspólnej własności kapitałów i środków produkcyi, pozostawiając we własności prywatnej środki spożywcze; unarodowienie ziemi chce wprowadzić tylko wspólną własność ziemską, pozostawiając na innych dobrach własność prywatną [2]).

---

[1]) Zasady tej nie należy bynajmniej mięszać z hasłem: ziemia dla chłopów. Byłoby to co najmniej równie szkodliwe. Żleby było, gdyby cała ziemia przeszła na własność tych, którzy sami idą za pługiem, bo wtedy stracilibyśmy wszystkie korzyści, płynące z inicyatywy wielkich właścicieli, za którymi idą drobni rolnicy — i to bardzo opornie.

[2]) Niektórzy ze zwolenników tej doktryny, jak Colins, doma-

Teorya ta opiera się na następującej zasadzie. Własność prywatna tylko o tyle ma racyę bytu, o ile odnosi się do wytworów pracy ludzkiej. Ponieważ ziemia jest wytworem natury, nie człowieka, a przyroda stworzyła ją dla wszystkich, przeto nie może być przedmiotem własności prywatnej, a o ile ta istnieje, jest niczem innem, jak bezprawnym zaborem. Należy więc raz z tem skończyć i oddać ziemię jedynie uprawnionemu, t. j. społeczeństwu. Da się to osiągnąć różnymi sposobami, a mianowicie:

1. Pierwszy z nich polega na odebraniu własności ziemskiej charakteru wieczystości i zamienia ją w rodzaj dzierżawy, *emfiteuzy*, jak mówią prawnicy, lub prościej w dzierżawę czasową, nadawaną przez państwo, drogą koncesyi.

Państwo, nominalny właściciel ziemi, odstępowałoby ją jednostkom pod uprawę na dłuższy okres czasu, na 50, 70, a nawet 99 lat, tak, jak to robi z koncesyami na koleje żelazne. Po nadejściu terminu, państwo objęłoby w posiadanie ziemię (tak, jak około 1950 r. obejmie we Francyi koleje żelazne) i odstąpiłoby ją znów na pewien okres czasu, lecz rozumie się samo przez się, nałożywszy na nowych koncesyonaryuszy obowiązek zapłacenia, czy to ryczałtem, czy też w rencie rocznej, spodziewanej w przyszłości zwyżki dochodów. W ten sposób państwo, jako przedstawiciel społeczeństwa, korzystałoby z całej nadwyżki, która zapewniłaby mu w końcu prędzej czy pó-

gają się również uspołecznienia domów, inni zaś wykluczają je jako wytwory pracy. Wogóle twórcą doktryny jest Belgijczyk Colins, najwięcej rozgłosu nadał jej jednak Amerykanin Henry George. W pewnej mierze za unarodowieniem ziemi oświadczają się także ekonomiści i filozofowie, nie należący bynajmniej do socyalistów, jak Laveleye, Walras, Secrétan, Renouvier, Fouillée, Loria, Wallace. W Anglii jest odłam szkoły chrześciańskiej, który prywatną własność ziemi uważa za bezprawie, powołując się na biblię (»Ziemia należy do mnie, mówi Bóg«).

źniej ogromny dochód, umożliwiający zniesienie wszelkich podatków.

System taki dałby się pogodzić z dobrą uprawą ziemi, choć niektórzy przeczą temu trochę lekkomyślnie, bo przecież system ten okazał się dobrym przy licznych robotach publicznych, np. kolejach — zwłaszcza gdyby nie zapomniano o odnowieniu koncesyi, na pewien czas przed nadejściem terminu. Trzeba nawet przyznać, że taki stan rzeczy byłby pomyślniejszy dla dobrej uprawy, jak położenie dzisiejsze w niejednych krajach, naprzykład w Irlandyi lub Anglii — gdzie niemal cała ziemia uprawiana jest przez dzierżawców *at will*, t. j. dzierżawców, których można dowolnie oddalić.

Wprowadzenie jednak w życie takich zmian napotkałoby na nieprzezwyciężoną przeszkodę w trudnościach, połączonych z odkupem ziemi od obecnych właścicieli, gdyby go chciano przeprowadzić sprawiedliwie. Przedsięwzięcie to doprowadziłoby bezwarunkowo do bankructwa [1]).

[1]) Całą wartość własności ziemskiej we Francyi możemy ocenić na 100 miliardów. Przypuśćmy, że możnaby ją za tę cenę odkupić. Trzebaby zaciągnąć pożyczkę w wysokości 100 miliardów. Przypuśćmy nadto, że ta olbrzymia emisya renty nie osłabi siły kredytowej państwa i że państwo będzie mogło wypożyczyć na 4%. I w tym nawet wypadku budżet wydatków wzrośnie o 4 miliardy. Z drugiej strony z budżetu dochodów należy wykreślić wszystkie podatki, obciążające ziemię, z powodu zlania się w jednej osobie praw dłużnika i wierzyciela. A wówczas niedobór wynosiłby 5 miliardów. Wprawdzie państwo wliczyłoby do swych dochodów czynsz dzierżawny, lecz według tych samych liczb statystycznych czysty dochód ziemi wynosi trochę mniej niż 3%.

Przypuśćmy, że państwo potrafiłoby gospodarować tak dobrze, jak prywatni właściciele (przypuszczenie również bardzo nieprawdopodobne): dochody z tego źródła przyniosłyby tylko trochę mniej niż 3 miliardy, powiększałyby się one, co prawda, ciągle, stosownie do prawa o wzroście wartości ziemi: mimo to skarb państwa przez długi czas musiałby walczyć z olbrzymiem niedoborem, a środkiem pokrycia byłoby albo wyniszczenie kraju podatkami, albo — bankructwo.

Naprawdę o zastosowaniu podobnego systemu można myśleć tylko tam, gdzie odkup jest zbytecznym; przypuszczenie to urzeczywistniają kraje zamorskie lub okolice, jeszcze nie zamieszkałe: Australia, Stany Zjednoczone, rozmaite państwa Ameryki południowej, Syberya. Tam państwo, które teraz odstępuje kolonistom prawo wieczystej własności albo za darmo, albo za nizkiem wynagrodzeniem, mogłoby łatwo zmienić system i zatrzymując dla siebie własność ziemi, wydawać koncesye na posiadanie czasowe, ograniczone, a dość długie, by zapewnić wykarczowanie i uprawę [1]).

2. Drugi system, podany przez Milla ojca i syna, jeżeli nie przez fizyokratów, któremu Henryk George nadał nowego blasku, nazywając go systemem jedynego podatku, polegałby po prostu na obciążeniu własności ziemskiej wzrastającym podatkiem; podatek ten powinienby być tak urządzony, by się podnosił w miarę wzrostu przychodu z ziemi.

System ten spotkał się przedewszystkiem z doniosłym zarzutem praktycznym. Każdą zwyżkę wartości ziemi wywołują zwyczajnie dwa czynniki: jeden zawisły jest od przyczyn społecznych i zewnętrznych, które

[1]) W ten sposób postępuje rząd holenderski w swych rozległych posiadłościach kolonialnych. Ziem, których jest właścicielem, nie sprzedaje, lecz odstępuje je na 75-letnie okresy użytkowania. W Nowej Zelandyi rząd od r. 1892 wydzierżawia swe ziemie na 999 lat.

Nawet w Europie system ten mógłby znaleźć zastosowanie w górnictwie. Państwo powinno przyjąć za zasadę, przy wydawaniu nowych koncesyi na kopalnie, wyznaczanie pewnego, ściśle ograniczonego przeciągu czasu, naprzykład 50 lub nawet 99 lat i rozdawanie nowych koncesyi lub odnawianie wygasłych w drodze licytacyi. Niema własności, której wartość wzrastałaby równie prędko, jak wartość kopalń. Wartość koncesyi na kopalnie węgla w Pas-de-Calais wzrosła z 27 milionów początkowo (1853 do 63) na 296 milionów dzisiaj. W ciągu 40 lat zwiększyła się więc dziesięciokrotnie.

wyliczyliśmy, lecz źródłem drugiego jest praca właściciela i jego nakłady. Nakładając taki podatek, trzeba wystrzegać się naruszenia tej drugiej części, nietylko pod grozą zgwałcenia sprawiedliwości — pamiętając, że część ta jest wytworem pracy — lecz nadto pod grozą odstraszenia wszelkiej inicyatywy i wszelkiego postępu w przedsiębiorstwach rolniczych, które i bez tego, wiemy o tem dobrze, są aż nadto zastarzałe. W praktyce podział taki jest niemożliwy, sam właściciel nie potrafiłby go przeprowadzić, a cóż dopiero przedstawiciel państwa.

Prócz tego odnosi się do tego sposobu i zarzut podany poprzednio. Konfiskata dochodu zapomocą podatku niszczy tak samo wartość ziemi, jak konfiskata formalna, to też koniecznem byłoby odszkodowanie, wraz ze wszystkiemi swemi trudnościami skarbowemi, jakkolwiek Henry George temu zaprzecza.

Wreszcie sposób ten jest niezgodny ze sprawiedliwością, jeżeli bowiem społeczeństwo zastrzega sobie prawo korzystania ze wszystkich zmian pomyślnych, ponieważ, jak mówi, nie są one zasługą właściciela — powinno z tego samego powodu ponosić szkody, wywołane okolicznościami, na które również właściciel nie ma żadnego wpływu. A w takim razie, gdzież mamy się zatrzymać?

Naszem więc zdaniem, nie można unarodowić ziemi, już zawłaszczonej. Inaczej jednak przedstawia się sprawa własności przyszłej, t. zn. koncesyi na grunta nowe, dotąd niezajęte. We wszystkich krajach nowych i w koloniach własność państwa obejmowała jeszcze przed półwiekiem olbrzymie obszary; zmniejsza się jednak nader szybko, wskutek nadmiernych koncesyi, udzielonych po bardzo nizkich cenach różnym przedsiębiorstwom i jednostkom. Gdyby nadawano tam koncesye czasowe, państwa zachowałyby sobie na przyszłość poważne źródła dochodu i kto wie, czyby nie ułatwiły rozwiązanie kwestyi społecznej późniejszym pokoleniom. Niestety właśnie tam, gdzieby można było najłatwiej powstrzymać nadmierny wzrost

własności ziemskiej i połączone z nim nadużycia, odczuwa się najmniej potrzebę odnośnych zarządzeń. W istocie własność ziemska w krajach nowych, w których ona dopiero powstaje, np. w Argentynie lub w Australii, posiada tylko dodatnie strony, a nie przynosi żadnej szkody. Z jednej strony powstaje tylko na ziemiach świeżo wykarczowanych i rozszerza się w miarę postępu uprawy, tak, że przedstawia się wyłącznie jako wynik pracy, z drugiej zaś, obejmując małą tylko cząstkę całej powierzchni, nie stanowi bynajmniej monopolu i podlega, tak jak wszystkie inne rodzaje przedsiębiorstw, prawu wolnej konkurencyi. To też dopiero gdy społeczeństwo się rozwinie, a ludność stanie się gęstszą, własność ziemska zaczyna się przemieniać w monopol, który wzrasta w nieskończoność — wtedy jednak jest już za późno, ażeby ją wykupić.

VI.

Podział własności ziemskiej.

Rozwój, który dąży do coraz większego zrównania własności ziemskiej z własnością kapitałów i towarów, łagodzi, z natury rzeczy, w wysokim stopniu nadużycia indywidualnej własności ziemi. Najpierw ułatwia podział gruntów, rozdrabniając własność ziemską pomiędzy miliony osób, a przez to i łamie ich monopoliczne stanowisko, bo cóż pozostaje z monopolu, z którego, jak n. p. we Francyi, korzysta prawie trzecia część całej ludności. Powtóre rozwój ten, umożliwiając uruchomienie ziemi, t. zn. szybkie przenoszenie jej własności z jednej osoby na drugą, odbiera wzrostowi wartości ziemi charakter przywileju wiecznego i stale rosnącego. Rzeczywiście wzrost ten, zawsze bardzo powolny, a nawet

przerywany, nie może przejawić się wyraźniej w tym krótkim czasie, w którym ziemia pozostaje w ręku jednego właściciela, a przytem eskontuje się go w cenie kupna, przy każdem przeniesieniu własności.

Podwójny ten rezultat zawdzięczamy działaniu czynników ekonomicznych, lecz nie ulega wątpliwości, że ustawodawstwo może tu wywrzeć również wpływ bardzo doniosły, popierając ten rozwój, albo mu przeszkadzając. Przedewszystkiem może oddziałać swym systemem handlowym, wprowadzając wolny handel lub ochronę celną. Jasną bowiem jest rzeczą, że protekcya celna wzmaga siłę monopolu, podczas gdy wolny handel, dopuszczając konkurencyi ziem zamorskich, osłabia jego doniosłość.

Powtóre wielki wpływ na stosunki własności ziemskiej posiada prawo spadkowe. Francya i Anglia stoją tu na wręcz przeciwnych biegunach, w Anglii bowiem ziemia przechodzi najczęściej, na mocy prawa pierworodztwa i substytucyi, na jednego tylko dziedzica, we Francyi wprowadzono równy podział [1]). Ze stanowiska ogólnego najlepszym jest jednak system pośredni, który uznając w zasadzie równouprawnienie wszystkich dziedziców, nie zmusza jednak do podziału *in natura*, a nawet ustanawia pewną granicę — obszaru lub wartości — poniżej której dalszy podział jest już niedopuszczalny.

---

[1]) P. wyżej str. 474—475. W Wielkiej Brytanii i Irlandyi jest wprawdzie 1,200.000 właścicieli ziemskich, lecz mimo to połowa powierzchni Anglii i Walii należy do 4500, połowa Irlandyi do 744, połowa Szkocyi tylko do 70 osób.

ROZDZIAŁ III.

PROCENT.

I.

Skąd się bierze dochód z kapitału?

Ziemia i istoty żyjące dostarczają peryodycznie pewnych przedmiotów, które odłączają się od głównej substancyi, jak zbiory, owoce drzew, wełna owiec, młode w trzodach. Owoce te można zużyć, podczas gdy źródło ich powstania pozostaje nadal, stanowią więc dochód. Lecz skądżeż się bierze i jak powstaje dochód z kapitału? Pytanie to nie jest tak proste, jak się zwykle sądzi, tak, że chociaż tej sprawie poświęcono wiele dzieł i wywodów, problemat ten nie jest dotąd jeszcze zupełnie wyjaśniony. Najważniejsze teorye, tłumaczące źródło dochodu z kapitału są następujące:

1. Najprostsza, teorya wytwórczości kapitału, wyjaśnia jego dochód, identyfikując go z owocami dóbr, wymienionych poprzednio. Wprawdzie nie twierdzi ona, że kapitał odnawia się na wzór istot żyjących — chyba, że chodzi o zwierzęta domowe — lecz wskazuje na kapitał, wytwarzający zapomocą pracy. Bastiat podnosi, że robotnik, używając odpowiednich narzędzi, wyrobi dwa razy, a nawet dziesięć razy więcej desek, niż pracując tylko własnemi rękoma. Otóż tę nadwyżkę desek zawdzięcza się narzędziom i stanowią one ich dochód. Jest rzeczą jasną, że jeżeli właściciel narzędzi, zamiast używać ich sam, wypożyczy je komu innemu, będzie domagał się w zamian przynajmniej pewnej części tych nadliczbowych desek — pierwotny dochód z kapitału staje się w ten sposób procentem.

Przeciw tym wywodom można podnieść liczne zarzuty. Najpierw, nie można przyznawać kapitałowi ojcostwa wytworu, który jest rezultatem pracy, wykonanej wprawdzie przy pomocy kapitału, który jednak sam nie jest niczem innem, jak tylko wytworem pracy. Dalej, użycie kapitału pozwala wprawdzie pracy wyrabiać więcej, tak co do ilości jak i użyteczności wytworów, lecz nie mamy żadnego na to dowodu, ażeby kapitał umożliwiał wytworzenie większej wartości. Stworzenie obfitości nie prowadzi jeszcze bynajmniej do stworzenia wartości. Czyż maszyny nadają swym wytworom większą wartość od tej, którą posiadają wyroby ręczne? Nadają ją w systemie monopolicznym, nie nadają, gdy panuje wolna konkurencya, wtedy bowiem wartość wytworów spada do wysokości kosztów produkcyi, tak, że nie ma żadnej nadwyżki, albo co najwyżej pojawia się tylko taka nadwyżka wartości, która równa się zużytej wartości samych maszyn. Można zrozumieć, że cena desek musi wystarczyć także na amortyzacyę narzędzi, lecz niepodobna dostrzedz, dlaczego miałaby koniecznie zawierać jakąś wartość dodatkową, która byłaby dochodem tych narzędzi.

2. Druga teorya, nowsza, w zawiązku podana już przez Turgota, lecz z wielkiem powodzeniem rozwinięta przez Böhm-Bawerka, tłumaczy dochód z kapitału, który jej zdaniem, jest zjawiskiem wymiany, upływem czasu[1]).

3. Wyjaśnienie najstarsze, a naszem zdaniem najlepsze, zawdzięczamy teoryi prawniczej, która kapitał stawia na równi z dobrami trwałemi, jak domy, a dochód tłumaczy użytkowaniem. Ponieważ użytkowanie można odstąpić drugim, t. zn. odnająć, przeto dochód z kapitału przedstawia się jako czynsz najmu, czyli jako cena za używanie rzeczy.

To tłumaczenie nasuwa się samo przez się, gdy chodzi o kapitały stałe, jak domy lub maszyny. Zawodzi ono

[1]) P. niżej str. 628—629.

jednak, przynajmniej pozornie, gdy mamy do czynienia z kapitałem obrotowym, a przedewszystkiem z typowym przejawem kapitału, w kształcie kapitału pieniężnego. Rzeczywiście w tym wypadku kapitał nie jest stałym, lecz zużywa się przez samą produkcyę. Nic nie pozostaje z węgla, rzuconego w ognisko, z przerobionych surowców, z pieniędzy, wydanych na płace lub środki żywności. Gdzież więc szukać dochodu, jak go dostrzedz w użytkowaniu rzeczy, której charakterystyczną cechą jest to właśnie, że niszczy się za pierwszem użyciem?

Łatwo na to odpowiedzieć. Wypożyczonego kapitału nie stanowi ani węgiel, ani pieniądz, lecz kapitał abstrakcyjny, czysta wartość, która jest dobrem trwałem, zachowującem swą tożsamość równie dobrze, a nawet lepiej niż dom, rozpadający się prędzej czy później w gruzy. Kapitał — wartość pozostaje wiecznym, pomimo wszystkich przemian, jak Proteusz mitologiczny.

Ostatecznie więc kapitał jest najużyteczniejszy ze wszystkich dóbr, gdyż umożliwia nabycie wszystkich innych. W naszym ustroju gospodarczym kapitał jest zawłaszczony, procent więc jest ceną, którą należy zapłacić właścicielowi kapitału, gdy się chce go używać.

W takim jednak razie procent jest raczej wynikiem własności, aniżeli naturalnym dochodem kapitału, nie potrzeba go więc wyjaśniać, lecz raczej usprawiedliwić.

Przedtem jednak przypatrzmy się tej kwestyi ze stanowiska historycznego.

> Procentem od kapitału nazywamy tę część dochodu ogólnego, która, przy rozdziale rezultatów gospodarowania, przypada na rzecz kapitału. Jeżeli kapitał otrzymuje pewien udział w dochodach w zamian za swą bezpośrednią działalność w produkcyi (jako wartość narzędzi i surowców, fundusz na płace i t. d.), wtedy procent nazywamy pierwotnym; jeżeli użycie kapitału odstępuje się za wynagrodzeniem in-

nym podmiotom, mówimy o procencie pochodnym. Ponieważ pobieranie procentów z cudzego gospodarstwa, w zamian za użycie kapitału, polega na przeświadczeniu, że ten sam kapitał, użyty we własnem gospodarstwie, dałby podobne dochody, przeto dla wyjaśnienia istoty procentu, decydującym jest procent pierwotny. Pomimo tego w nauce oparto teoryę, tłumaczącą istotę procentu, przeważnie na procencie pochodnym, gdyż zjawisko to występowało znacznie jaśniej i częściej, szczególnie w gospodarstwie kredytowem. Tem też tłumaczy się, że aż do najnowszych czasów istota procentu dostatecznie zbadaną nie była; główny błąd polegał na tem, że badając procent pochodny, który opłaca się obok zwrotu kapitału, zapominano o zużyciu substancyi kapitału, jeśli używa się go w produkcyi, t. zn. że wyjaśniano tylko procent surowy, a nie czysty. Procent pochodny jest z natury swojej zawsze czystym, albowiem obok niego należy jeszcze zwrócić cały kapitał; procent pierwotny natomiast może przybrać trzy odmienne kształty, a tylko jeden z nich będzie odpowiadał pojęciu dochodu czystego. Mianowicie wobec tego, że kapitał zużywa się w całości lub częściowo w produkcyi, procent pierwotny, t. zn. udział kapitału w wartości rezultatów produkcyi, może być *a)* niższy od wartości zużytego kapitału *b)* równy wartości zużytego kapitału *c)* wyższy od wartości zużytego kapitału. Tylko w tym ostatnim wypadku powstaje dochód czysty, t. zn. procent w ścisłem tego słowa znaczeniu, w dwóch pierwszych widzimy jedynie częściowy lub zupełny zwrot kosztów produkcyi.

Najważniejsze z dotychczasowych teoryi, wyjaśniających pojęcie procentu są następujące:

1) Teorya produkcyjności kapitału, reprezentowana przez Say'a, Roschera i Carey'a —

a opierająca się na twierdzeniu, że kapitał, zużyty odpowiednio, wytwarza nową wartość, wskutek czego należy mu się udział w dochodach. Przeciw temu należy podnieść, 1) że kapitał może stworzyć tylko nowe dobra, a nie nową wartość, gdyż zwiększenie ilości dóbr nie zawsze idzie w parze ze wzrostem wartości; 2) że nawet, gdyby owa nowa wartość powstała, nie wiemy, czy przewyższa swą wysokością wartość zużytą dla jej uzyskania, t. zn. sam kapitał.

2) Teorya użytkowania kapitału (Knies, Menger) odróżnia pomiędzy użyciem substancyi kapitału i pożytków, które kapitał daje bez naruszenia swej treści, wskutek czego zwrot kapitału wynagradza pierwszą jego działalność, procent zaś jest zapłatą za pożytki. Błąd jej polega na tem, że właśnie całe znaczenie kapitału polega na tych pożytkach, t. zn., że gdyby ich nie było, kapitał byłby zbyteczny, wskutek tego tak zwrot kapitału jak i procent opłaca się za pożytki; innemi słowy, nie ma znowu wyjaśnienia procentu, jako dochodu czystego, gdyż zlewa się on ze zwrotem kosztów.

3) Teorya abstynencyi, postawiona przez Seniora, twierdzi, że procent jest wynagrodzeniem za powstrzymanie się kapitalisty od bezpośredniego zużycia kapitału na własne potrzeby, celem umieszczenia go w produkcyi. W ten sposób niepodobna jednak wyjaśnić istoty procentu, albowiem użycie w produkcyi zamiast w konsumcyi polega zawsze na przewadze, jaką instynktownie w danej chwili mają potrzeby, którym odpowiada produkcya. Wskutek tego kapitalista rozporządza w tym wypadku swym kapitałem w myśl naczelnej zasady gospodarowania, nakazującej zastosowanie się do potrzeb, a tem samem nie może domagać się żadnego osobnego wynagrodzenia, tak jak nie ma osobnego wynagrodzenia za żadne inne postanowienie racyonalnego gospodarowania.

4) Teorya pracy (Wagner, Cauwès) uważa kapitał za wynagradzaną i zaoszczędzoną pracę, która w produkcyi zastępuje pracę ludzką. Procent jest tylko odmianą płacy i polega na takich samych jak płaca zasadach. Teorya ta jest błędna, gdyż polega na mylnej teoryi wartości, wyprowadzającej wszystko z pracy ludzkiej, a powtóre wyjaśnia w najlepszym razie tylko procent surowy. Kapitał jako surogat pracy musi dostać pewien dochód, lecz nie wiemy *a)* czy znajdzie się źródło, z któregoby można pobrać ten dochód; *b)* czy ten dochód przewyższy zużycie kapitału, t. zn. czy będzie dochodem czystym.

5) Teorya wyzysku, podniesiona przez socyalistów, a przedewszystkiem Rodbertusa i Marxa, twierdzi, że wszelki procent od kapitału tylko stąd pochodzi, że kapitaliści za pracę ludzką za nizką płacą cenę. Robotnik dostaje tylko wartość zamienną swej pracy, oznaczoną kosztami utrzymania, a odstępuje kapitaliście całą swą zdolność do pracy. Ponieważ zdolność do pracy daje zawsze rezultaty przewyższające koszta utrzymania, przeto powstaje pewien zysk, który, w formie procentu, zagarnia kapitalista. Przeciw temu należy podnieść następujące zarzuty: *a)* płaca nie stosuje się do kosztów utrzymania, wskutek tego brak podstawy do ocenienia w wypadku najzwyklejszym, gdy płaca jest wyższą, czy jeszcze coś pozostanie na procent; *b)* gdyby nawet ten zysk rzeczywiście pozostał, nie wiemy, czy wystarczy na pokrycie kosztów tego kapitału, który nie stanowi funduszu płacy, a więc użytego na surowce, narzędzia i t. d.; *c)* gdyby ta teorya była prawdziwa, procent stałby w stosunku prostym tylko do ilości tej części kapitału, którą użyto na wynagrodzenie robotników, a nie do ilości całego

kapitału; tymczasem w rzeczywistości widzimy wręcz odwrotne zjawisko.

6) Jedynie prawdziwą jest teorya upływu czasu, postawiona przez Böhm-Bawerka. Jak już wiemy, wartość dóbr przyszłych jest zawsze niższa od wartości dóbr teraźniejszych. Kapitał, jeżeli ma służyć we własnej czy obcej produkcyi, jest zawsze dobrem przyszłem, albowiem ma dopiero przyczynić się do uzyskania wytworów, dających się użyć na zaspokojenie potrzeb; jeżeli natomiast używamy go w konsumcyi, jest dobrem teraźniejszem, gdyż zaspokaja obecne potrzeby. Wskutek tego oddając kapitał na rzecz produkcyi, zmieniamy jego charakter: z dobra teraźniejszego zmieniamy go w dobro przyszłe. W myśl teoryi wartości zamiana taka byłaby niemożliwą, jeżeliby przytem powstała jakakolwiek strata, albowiem w tym wypadku przeznaczonoby kapitał do bezpośredniego użycia. Umieszczenie go w produkcyi zajdzie więc tylko wtedy, gdy wyrówna się różnica między wartością przyszłą a teraźniejszą, t. zn. gdy tę wartość tego kapitału, jako dobra przyszłego, uzupełnimy odpowiednią kwotą. Jeżeli np. kapitał, w razie bezpośredniego użycia ma wartość 100, a przeznaczony do produkcyi, jako dobro przyszłe, tylko 90, natenczas należy tę wartość uzupełnić 10 jednostkami, inaczej bowiem nie oddanoby go do produkcyi. Pod tymi warunkami zamiana jest możliwą i zupełnie uzasadnioną, gdyż stoją naprzeciw siebie dwie zupełnie równe wartości: teraźniejsza 100 i przyszła 90 + 10, kapitalista niema żadnego zysku, żadnego procentu, tylko istotny ekwiwalent swego kapitału.

Stosunek ten jednak ulega zasadniczej zmianie pod wpływem produkcyi. Kapitał w niej użyty zmienia w wytwór, który już jest dobrem teraźniejszem.

Wskutek tego wartość jego, jako dobra teraźniejszego, podnosi się znowu do stu. Właściciel kapitału przeto ma po skończeniu produkcyi dwie wartości: 1) wartość wytworu 100, która stanowi zwrot zużytego kapitału i 2) wartość uzupełnienia wartości kapitału, jako dobra przyszłego, 10, która jest jego zyskiem, czyli procentem czystym.

W ten sposób powstaje procent pierwotny, a ponieważ procent pochodny jest tylko jego następstwem — bo wypożyczenie kapitału nie może narażać na straty — przeto i w razie odstąpienia kapitału innym gospodarstwom taki sam procent ukazać się musi.

Z tej teoryi wynika:

1. Że procent jest rzeczywiście dochodem czystym, gdyż powstaje jako nowa wartość wskutek upływu czasu.

2. Że powstaje niezależnie od pracy i przyrody, że więc wyzysk nie jest niezbędny do jego powstania. Wyzysk przeto, w razie swego istnienia, stanowi zupełnie odrębny od procentu dochód kapitalisty.

3. Że zjawisko procentu musi się pojawić w każdym ustroju gospodarczym, bo polega na niedającym się usunąć wpływie czasu na stosunki gospodarcze.

II.

Historya pożyczek na procent.

Uprawnienie czynszu dzierżawnego i wynagrodzenia za najem, niezaprzeczane w starożytności i średnich wiekach, zaczepiono dopiero wtedy, gdy rozpoczęto walkę z własnością ziemi i domów. Lecz ciekawym zbiegiem

okoliczności, uprawnienie procentu zaczepiono gwałtownie, zanim jeszcze ktokolwiek myślał o zniesieniu własności osobistej, na długi czas nawet przed istnieniem socyalistów, jakkolwiek procent istniał prawdopodobnie zawsze. I to w szeregach jego nieprzyjaciół nie stanęło kilku mizantropów, lecz najświetniejsi przedstawiciele wiedzy ludzkiej, filozofia starożytna z Mojżeszem, Arystotelesem i Catonem, katolicyzm z wszystkimi ojcami Kościoła, reformacya z Lutrem, a Kościół nawet poszedł tak daleko, że wprost zakazał pobierania procentów, tak w prawie kanonicznem jak i cywilnem.

Tak powszechny objaw musi mieć swą przyczynę. Łatwo ją wyszukać.

Jeśli chodzi o dzierżawę, każdy widzi, że dochód płynie z ziemi, w postaci żniw i każdy czuje, że dzierżawca nie płaci czynszu właścicielowi z własnej kieszeni. Dzierżawca — rozumieją to wszyscy — zwraca tylko wytwory powierzonego mu narzędzia wytwórczego, a ponieważ zwraca część, musi więc pozostać jakiś zysk dla niego.

Jeśli chodzi o pożyczkę, dzieje się przeciwnie; dochód w postaci procentu z pożyczonego worka pieniędzy jest niewidoczny. Arystoteles mawiał: »nigdy jeszcze pieniądz sam przez się nie pomnożył się«. A więc — myślano sobie — procent płaci pożyczający z własnej kieszeni. Nadto należy przyznać, że w starożytności, zarówno jak w średnich wiekach, sąd ten był uzasadniony. Przez długi czas pożyczka na procent była przeważnie kredytem spożywczym. Plebejusz w Rzymie, zaciągający pożyczkę u patrycyusza, by kupić sobie chleba, rycerz średniowieczny, zadłużający się u żyda w celu kupienia sobie broni — obracali pożyczkę na swój użytek osobisty, a więc nie na cel wytwórczy. Gdy przyszedł czas zapłaty, nie mieli z czego uiścić ani procentu, ani nawet kapitału. Musieli więc płacić swą osobą i pracą, jako niewolnicy swych wierzycieli. Procent od kapitału przedstawiał się więc jako

nadużycie prawa własności po stronie wierzycieli i środek wyzysku dłużników. W tych warunkach pożyczka była zawsze przyczyną upadku majątkowego i dlatego kanoniści dali dowód dokładnej znajomości ówczesnego stanu ekonomicznego, twierdząc za Arystotelesem, że pieniądz nie rodzi młodych.

Że rozumowanie kanonistów nie było zwyczajną kazuistyką, widzimy najlepiej z tego, że ilekroć było pewnem, że dłużnik na pożyczce zyskuje — np. w handlu — albo że wierzyciel naraża się na ryzyko, pobieranie procentu było dozwolone.

Podobnie uznawali kanoniści słuszność dochodu z kapitału, w formie u s t a n o w i e n i a r e n t y, jeżeli wierzyciel przeniósł na dłużnika własność wypożyczonej kwoty, zrzekając się jej zwrotu.

Reformacya zwraca się oczywiście przeciw doktrynie kanonistów. Kalwin okazuje skłonność do zezwolenia na oprocentowanie pożyczek pod pewnymi warunkami, a dwaj protestanccy prawnicy francuscy, Dumoulin i Saumaise, odpierają w ciągu XVI wieku scholastyczne argumenty przeciw lichwie [1]). Jednakże dopiero ekonomiści z XVIII stulecia, Turgot i Bentham, zapewniają ostatecznie zwycięstwo poglądom, przychylnym pożyczce na procent.

Odtąd wszyscy ekonomiści uznają już uprawnienie procentu. I słusznie, bo stosunki zmieniły się zupełnie.

Najpierw odwróciły się role obu stron. Niegdyś bogaci pożyczali ubogim, dzisiaj dzieje się najczęściej od-

---

[1]) Jest rzeczą ciekawą, że Jezuici działają w tym samym duchu, podając sposoby, przy pomocy których można było obejść zakaz pobierania procentów, np. *contractus trinus* w którym wierzyciel stawał się wspólnikiem przedsiębiorstwa dłużnika, lecz w zamian za stałą roczną rentę zrzekał się zysków, ubezpieczając się równocześnie przed stratami. Podobnie wprowadzono procent jako karę umowną w razie niedotrzymania terminu zapłaty, umyślnie oznaczanego za wcześnie.

wrotnie, gdyż u publiczności, u małych gospodarzy, zaciągają pożyczki bogaci, możni, spekulanci, wielkie spółki akcyjne, bankierowie, właściciele kopalń złota, a przedewszystkiem potężne państwa. Oni to czerpią z oszczędności ludowych, to też nieraz należy się litować raczej nad losem wierzyciela niż dłużnika. W minionych wiekach prawo i opinia publiczna broniły słabych i bezbronnych dłużników przed chciwością wierzycieli, dzisiaj musi się chronić drobnych, nieznających się na rzeczy wierzycieli przed wyzyskiem przez wielkich dłużników, o których historya finansowa naszego czasu może opowiedzieć tyle skandalicznych przykładów.

Równocześnie zmieniła się także istota umowy o pożyczkę. Dzisiaj już prawie nigdy nie pożycza się dla uzyskania środków do życia, lecz dla zrobienia majątku; kredyt spożywczy stał się wyjątkiem, a pożyczka przybrała swój właściwy, ekonomiczny charakter jednego ze środków produkcyi. Przedsiębiorca wypożycza kapitał za opłatą procentu, który staje się częścią kosztów produkcyi, na równi z płacą lub czynszem najmu budynków. Byłoby więc nierozsądnem, zwolnić przedsiębiorcę od opłacania procentów, bo w ten sposób doszłoby się jedynie do powiększenia jego zysków.

III.

Uprawnienie procentu.

Pytanie, czy pobieranie procentów da się usprawiedliwić, jest jednem z najstarszych w całej nauce gospodarstwa społecznego. Jednakże dzisiaj straciło ono swe znaczenie, gdyż z chwilą, gdy procent uważa się za naturalną konsekwencyę prawa własności, odpadają wszystkie argumenty scholastyczne, podnoszone przeciw niemu.

Mówiono dawniej, że należy odróżnić pożyczkę, użytą

produkcyjnie od kredytu spożywczego. W jakim celu? Dlaczegoż właściciel kapitału ma go wypożyczać darmo w wypadku, gdy dłużnik otrzymanych dóbr nie użył, lub nawet nie mógł użyć w celach wytwórczych? Przepis *mutuum date nil inde sperantes* jest oczywiście tylko normą ewangeliczną, a nie ekonomiczną, tak samo, jak polecenie, ażeby oddać ubogiemu jedno odzienie, gdy się ma ich dwa. Ze stanowiska ekonomicznego i prawnego wystarcza najzupełniej na usprawiedliwienie procentu zasada, że nikogo nie wolno pozbawiać jego własności, a każdy ma prawo oznaczyć warunki, pod którymi godzi się na odstąpienie swych dóbr innym.

Utrzymywano także, że należy zbadać, czy wierzyciel, wskutek udzielenia pożyczki, musiał sobie czegoś odmówić, czy też nie uszczuplił wcale zaspokojenia swych potrzeb. Lecz czyż wynagrodzenie, zysk lub płaca zależą kiedykolwiek od przykrości, którą się odczuwa? Jakiem prawem możnaby mnie zmusić do bezpłatnego odstąpienia drugim mych dóbr, których nie mogę lub nie chcę użyć dla siebie? Czy w razie wyjazdu mam oddać swe mieszkanie obcym, albo pozwolić im jeść z mego talerza, dlatego, że nie jestem głodny? Taki przepis możnaby oprzeć tylko na zasadzie, że człowiek ma prawo tylko do takiej ilości dóbr, która odpowiada ściśle jego osobistym potrzebom, podczas gdy reszta należałaby do ogółu — lecz wtedy stajemy na stanowisku czystego komunizmu.

Można się jednak zapytać, jakiem prawem kapitaliści uzyskali własność kapitału? W ten sposób dzisiaj zmieniła się podstawa całego sporu, tak, że nie chodzi już o usprawiedliwienie procentu, lecz o usprawiedliwienie własności kapitałów.

Socyaliści z Marxem na czele, atakują gwałtownie zawłaszczenie kapitałów, twierdząc, że jest ono wynikiem dziejowego wyzysku i środkiem wiecznego, coraz większego wyzyskiwania klas robotniczych. Uznają oni uprawnienie

własności drobnych kapitałów, gdy chodzi o łódź wydrążoną przez Robinsona, hybel, zrobiony przez cieślę, trochę pieniędzy, włożonych do kasy oszczędności przez wieśniaka — lecz prawdziwy kapitał, ten który daje bogactwo i potęgę, jest zupełnie czemś innem. Nie jest on nigdy wytworem lub oszczędnością własnej pracy, lecz wręcz przeciwnie jest zaoszczędzeniem wytworów cudzej pracy, t. j. płatnych robotników i nie może inaczej wzrastać, jak tylko przez zatrudnianie innych robotników, ażeby z nich otrzymywać coraz nowe zyski. Żaden wielki majątek nie powstał w inny sposób.

Z tych wywodów wynikałoby, że, zdaniem socyalistów, istnieją dwa rodzaje kapitału, mianowicie kapitały drobne, których zawłaszczenie jest usprawiedliwione, gdyż stanowią owoc osobistej pracy i kapitały wielkie, których własność jest bezprawiem, bo powstają przez zabór wytworów cudzej pracy. Ponieważ jednak nawet wielkie kapitały początkowo były małymi, przeto teorya ta prowadzi do wniosku, że własność kapitałów jest uprawniona w chwili ich powstania i aż do pewnego, bliżej nieoznaczonego stopnia ich rozwoju, później jednak staje się nadużyciem.

Naszem zdaniem, z istoty kapitału nie wynika bynajmniej, ażeby jego wzrost mógł polegać wyłącznie na wyzyskiwaniu cudzej pracy. I owszem, powinniśmy i możemy powstrzymywać tego rodzaju niezdrowe objawy, które istotnie zdarzają się nieraz, bo nie są one bynajmniej wynikiem ewolucyi kapitału lecz tylko skutkiem spaczenia jego istoty. Nie rozchodzi się o usprawiedliwienie zawłaszczenia kapitału, który jak upiór wysysa soki żywotne, lecz, ażeby uznać uprawnienie procentu, wystarczy uzasadnić prawo własności do kapitału pierwotnego, który jest owocem osobistej pracy i oszczędności.

Zresztą zawłaszczenie kapitałów jest wskazane ze stanowiska użyteczności społecznej, gdyż rozwój produkcyi zależy, jak widzieliśmy już wyżej, od nagromadzenia

zapasu dóbr. Musimy więc uznać, że funkcya tych gospodarzy, którzy je gromadzą, funkcya tych wytwórców kapitałów jest bardzo doniosła, a najlepszym sposobem zachęty ich do podjęcia się tego zadania jest niewątpliwie przyznanie im własności skapitalizowanych dóbr i prawa do pobierania z nich zysków.

IV.

Prawa rządzące procentem.

Mówiąc o prawach, rządzących procentem, nie mamy na myśli przepisów ustawodawczych, które choćby oznaczyły najwyższą granicę stopy procentowej lub karały lichwę, posiadają zawsze tylko drugorzędne znaczenie — lecz chodzi nam o odkrycie i przedstawienie praw naturalnych i gospodarczych, od których zależy wysokość procentu, podobnie jak wysokość płacy lub ceny towarów.

Gdyby kapitały wynajmowano w naturze, w kształcie fabryk, maszyn, lub narzędzi, widzielibyśmy rozmaitą wysokość czynszu najmu, stosownie do jakości towarów i wytwórczości kapitałów, podobnie jak rozmaitą jest cena najmu domów lepiej i gorzej położonych, albo czynsz dzierżawny gruntów, więcej lub mniej urodzajnych.

Jednakże kapitały występują zawsze w postaci pieniędzy lub równych im papierów wartościowych — najpierw dlatego, że człowiek woli otrzymać pieniądze niż kapitał rzeczowy, bo zyskuje większą swobodę i łatwiej może zaspokoić potrzeby, na które kapitał przeznacza, a powtóre dlatego, że kapitał musi pojawić się na targu tylko w formie pieniężnej, nie można bowiem zaoszczędzić kapitału w naturze, tylko w pieniądzach.

To zastąpienie kapitału rzeczowego pieniężnym zmienia najem w pożyczkę i wywołuje skutki dość doniosłe.

Z jednej strony przemiana ta prowadzi do wyrównania ceny najmu wszystkich kapitałów, usuwając przyczyny, które powodowały tu jakiekolwiek różnice. Teraz wypożycza się wszystkie kapitały w tej samej postaci pieniężnej, nie ma więc między nimi różnic jakościowych, są tylko ilościowe. Zresztą takie kapitały są z istoty swej bardzo ruchliwe, tak, że przenoszą się prawie natychmiast tam, gdzie stopa procentowa jest wyższa, co prowadzi oczywiście do jej wyrównania. To też w danej chwili, nie tylko w kraju, lecz nawet na targach międzynarodowych stopa procentowa utrzymuje się w tej samej wysokości.

Z drugiej znowu strony pojawia się zupełnie nowy czynnik, wpływający na zmianę wysokości procentu z wielką siłą, mianowicie stopień wypłatności dłużnika. Dłużnik nie jest już najmobiercą, lecz staje się właścicielem wypożyczonych pieniędzy i może z niemi zrobić, co mu się podoba. Jeżeli jego wypłatność jest wątpliwa, powstaje stąd niebezpieczeństwo dla wierzyciela, które skłania go do zażądania większego procentu, jako kompensaty ewentualnej straty kapitału. Ta nadwyżka którą nazywamy premią ubezpieczenia, jest najgłówniejszym powodem wszelkich różnic w oprocentowaniu wszystkich papierów wartościowych [1]).

Procent należy przeto rozłożyć na dwie części:

1. na procent właściwy, który jest ceną za

[1]) Zdawałoby się, że skoro kapitał występuje zawsze w postaci pieniężnej, stopa procentowa powinnaby zależeć od większej lub mniejszej ilości gotówki. Tak też zwyczajnie się myśli, mówiąc, że procent jest nizki, bo pieniędzy jest dużo. W rzeczywistości procent zależy od ilości gotówki tylko przy pożyczkach krótkoterminowych, jak to widzieliśmy przy eskoncie (str. 408—413). Inaczej jest jednak przy pożyczkach długoterminowych, gdy chodzi o umieszczenie kapitałów, a tylko o tem tutaj mówimy, bo zajmujemy się dochodem. Przy takich pożyczkach ilość gotówki nie wpływa na wysokość procentu, bo dochód pobiera się także w pieniądzach, zmiana więc ich wartości, wpływając równocześnie i jednakowo na kapitał i dochód, nie może zmienić wzajemnego ich stosunku.

prawo rozporządzania kapitałem i który na tym samym targu i w tym samym czasie jest jednakowy przy wszystkich pożyczkach [1]) — i

2. na premię ubezpieczenia przed niebezpieczeństwem utraty kapitału, która jest zmienna. Do tego dodają jeszcze często, jako trzecią część, premię amortyzacyjną, która ma wynagrodzić zużycie kapitału i zapewnić jego ponowne powstanie, gdy się zupełnie zniszczy. Premia amortyzacyjna nie stanowi jednak procentu, lecz jest cząstką kapitału przyszłego, który ma zastąpić dawniejszy.

Otóż nasuwa się pytanie, jakie czynniki oznaczają wysokość stopy procentowej, innemi słowy, cenę najmu kapitałów. Podobnie jak przy wartości i płacy musimy stwierdzić, że nie działa tu jedna tylko przyczyna lecz cały ich szereg, które razem dadzą się sprowadzić do starego prawa podaży i popytu.

Podaż kapitału, w postaci pieniędzy lub papierów wartościowych, zależy: 1) Od rozmiarów oszczędności krajowych, popartych dobrymi zakładami kredytowymi i oszczędnościowymi, ażeby ułatwić oszczędzanie i zapewnić zbyt zebranym kapitałom. 2) Od ilości osób, które nie mogą lub nie chcą zatrudniać swych kapitałów we własnem gospodarstwie. Nie wystarcza, jeżeli kraj ma dosyć kapitałów, muszą one znaleźć się jeszcze w obfitości na targu, t. zn. musi pojawić się zaofiarowanie pożyczek, a jasną jest rzeczą, że w społeczeństwie, w którem każdy używałby swych kapitałów,

[1]) Dzisiaj oznaczamy stopę procentową, t. zn. stosunek dochodu do kapitału, przez przyjęcie za jednostkę kapitał 100 i obliczenie dochodu w stosunku do niego na 3, 4, 5% i t. d. Dawniej wyrażano ten stosunek odmiennie, mianowicie przez określenie, jaką część kapitału stanowi pobierany procent. Pożyczając na 5%, mówiono że pożycza się na grosz dwudziesty, bo procent stanowił dwudziestą część kapitału, na 4% pożyczano na grosz dwudziesty-piąty i t. d.

nie mogłoby być o tem mowy, choćby kapitałów było jak najwięcej. 3) Od pewności, że nie straci się wypożyczonego kapitału, bo w braku takiego bezpieczeństwa musiałoby przyjść do bezpłodnego gromadzenia skarbów.

Podaż natomiast zależy od rentowności przedsiębiorstw — i to nie przeciętnej w danym kraju i czasie, lecz od rentowności zakładów najmniej wytwórczych z tych wszystkich, na które zaofiarowuje się kapitał, one bowiem decydują o cenie kapitału, właśnie dla tego, że nie mogą więcej zapłacić. Jeżeli takie przedsiębiorstwa mogą dać tylko 3%, inne, w lepszych pracujące warunkach, nie zgodzą się na wyższy procent, choćby to mogły uczynić z łatwością [1]).

W krajach nowych, w których wszystko jeszcze jest do zrobienia — karczowanie ziemi, wyzyskanie kopalń, budowa środków komunikacyjnych — stopa procentowa będzie bardzo wygórowana, bo najpierw kapitał jest rzadki i to tem rzadszy, że jego posiadacze, używając go sami, nie przychodzą z nim na targ, a powtóre dlatego, że nie prowadzi się tam przedsiębiorstw, mało przynoszących. Natomiast w krajach o starej kulturze działają czynniki wręcz przeciwne, z jednej bowiem strony panuje tam obfitość kapitałów, nagromadzonych wiekowemi oszczędnościami, z drugiej zaś wszystkie wydatniejsze gałęzie pracy są już oddawna zajęte, tak, że kapitał musi szukać umieszczenia w produkcyi mało rentownej, a więc poprzestawać na nizkim procencie.

[1]) Prawa rządzące stopą procentową można teoretycznie określić także w ten sposób, że 1) wysokość procentu musi być jednakowa dla wszystkich kapitałów, 2) procent musi być tak wysoki, ażeby mogło przyjść do zawarcia jak największej liczby umów pomiędzy szukającymi kapitału i ofiarowującymi pożyczkę.

V.

Stopniowe obniżanie się stopy procentowej.

Szkoła liberalna, szczególniej optymistyczny jej kierunek francuski, twierdzi, że stopa procentowa obniża się bezustannie i musi spadać dalej, w miarę rozwoju stosunków gospodarczych. Jest to, jej zdaniem, jeden z najświetniejszych objawów harmonijności naszego ustroju, a na obronę swej teoryi przytacza następujące dowody. Wysokość procentu, który według szkoły liberalnej obejmuje zarazem zysk przedsiębiorcy, zależy od następujących trzech pierwiastków:

1. Ceny najmu kapitału, która jest pierwiastkiem zasadniczym, zależnym od prawa popytu i podaży, to jest od mniejszej lub większej obfitości kapitałów na targu.

2. Premii ubezpieczenia przeciw możliwym stratom, albowiem, chociaż dający pożyczkę nie jest wspólnikiem przedsiębiorcy, a więc nie ma nic do czynienia ze stratami, naraża się przecież zawsze na jedno niebezpieczeństwo: na niewypłacalność swego dłużnika.

3. Udziału w wytworze przedsiębiorstwa, albowiem i tym razem, choć dający pożyczkę nie jest w spółce z przedsiębiorcą, a więc nie bierze udziału ani w dochodach ani w stratach, mimo to udział, który otrzyma, będzie tem większy, im więcej dłużnik zdoła wytworzyć z pożyczonego kapitału.

Różnorodne działanie tych trzech pierwiastków objawia się w wysokości stopy procentowej. Znaną jest rzeczą, że stopa procentowa wzrasta, oczywiście, o ile inne okoliczności nie uległy zmianie, jeśli ilość kapitałów zmniejsza się lub możliwość strat zwiększa się, albo jeśli użycie kapitałów staje się bardziej produkcyjne. Ponieważ te trzy przyczyny działają równocześnie w koloniach i w kra-

jach młodszej cywilizacyi, n. p. w Australii i w Stanach Zjednoczonych, zwykła stopa procentowa dosięga w tych państwach 8 lub 10%, a nawet więcej. Otóż te same powody, które przyczyniają się do zwyżki stopy procentowej w społeczeństwach, będących jeszcze w kolebce swego rozwoju, działają w kierunku przeciwnym w starzejącem się społeczeństwie i wpływają na stopniową zniżkę stopy procentowej. Mamy wszelką podstawę do przypuszczenia, że w miarę rozwoju społecznego, kapitały będą zarazem: mniej produkcyjne, albowiem sposobność do użycia ich będzie rzadsza i mniej zyskowna; — liczniejsze, albowiem oszczędność długiego szeregu pokoleń nagromadzi ich wiele; — lepiej zabezpieczone, albowiem życie spokojniejsze, obyczaje jeśli nie lepsze, to przynajmniej bardziej cywilizowane, administracya sprężystsza, posłuch wobec rządu, przyczynią się do wzmocnienia bezpieczeństwa pod względem politycznym, prawnym, a nawet moralnym.

Gdyby to prawo o stopniowej zniżce stopy procentowej było prawdziwe, byłoby bardzo dobroczynne zarówno ze stanowiska rozdziału dóbr, jak i ze stanowiska produkcyi: ze stanowiska rozdziału dóbr, albowiem przez nieustanne zmniejszanie opłaty, nakładanej przez kapitał na ogólną produkcyę, zwiększałby udział pracy w dochodach społecznych [1]) — ze stanowiska produkcyi, albowiem przez ciągłe zniżanie ceny lokacyi kapitału, a więc w dalszym ciągu i kosztów produkcyi, ułatwiłoby urzeczywistnienie dotychczas niewykonalnych przedsiębiorstw [2]).

[1]) Od stopy procentowej zależny jest nietylko dochód kapitalistów, lecz pośrednio i wysokość zysku, czynszu za najem, nawet czynszu dzierżawnego, a więc dochód wszystkich warstw posiadających.

[2]) Oto ziemia, którą wykarczować można, oto domy mieszkalne dla robotników, które zbudować można, lecz dochód z nich wyniesie tylko 3%. Jeśli zwykłą stopą procentową jest 5%, trudno

Niestety, nie odmawiając znaczenia dowodom, powyżej przytoczonym, nie możemy zgodzić się na to prawo bez zastrzeżeń.

Wartość kapitału tak samo, jak wartość ziemi, pracy i każdego innego towaru, zawisłą jest od jego użyteczności i od jego rzadkości. Otóż wprawdzie kapitały, według bardzo rozumnych przewidywań, będą coraz liczniejsze, lecz niema powodu, dla któregoby stawały się mniej użyteczne. Podaż może wzrastać bez końca, lecz ze względu na coraz większe wymagania produkcyi, musi także i popyt wzrastać bez końca. Co się tyczy strat, niema na to dowodu, że dzisiaj są one w przemyśle mniejsze niż niegdyś, lub że będą zmniejszały się w miarę, jak człowiek stanie się odważniejszym i bardziej przedsiębiorczym, naprzykład wtedy, gdy będzie podróżował balonem, zamiast koleją albo parowcem [1]). Zarazem nie można przyjąć zasady ogólnego zmniejszania się produktywności kapitału. W rolnictwie kapitały kolejno wkładane w grunt dają rzeczywiście niższe rezultaty; każdy przemysł, który dochodzi do szczytu rozwoju, znajduje się w tem sa-

będzie znaleźć kapitały na te przedsiębiorstwa, a w razie wprowadzenia ich w życie, przyniosłyby tylko straty; nikt więc nie zechce tego zrobić. Przypuśćmy jednak, że stopa procentowa spadnie do 2%, wówczas wszyscy rzucą się do tego. Turgot, w sławnem zdaniu porównuje zniżkę stopy procentowej do stopniowego opadu wód, umożliwiającego uprawę coraz to nowych ziem.

[1]) Paweł Leroy-Beaulieu, jeden z najgorętszych zwolenników teoryi o stopniowej zniżce stopy procentowej, opiera się głównie na twierdzeniu, że przedsiębiorstwa przynoszą coraz to mniejsze dochody. Co się tyczy przemysłu przetwórczego, proroctwo to nie sprawdza się; co się tyczy przemysłu rolniczego zgadza się z rzeczywistością z powodu prawa o stosunkowem zmniejszaniu się wydajności ziemi (choć Leroy-Beaulieu popada w sprzeczność i nie chce uznać tego prawa). Lecz właśnie z prawa o zmniejszaniu się wydajności ziemi wynika potrzeba użycia trzy lub cztery razy większych kapitałów; czyż więc nie byłoby bardziej uzasadnione przeciwne twierdzenie, mianowicie, że kapitały będą o tyle potrzebniejsze, o ile wydajność ziemi się zmniejszy?

mem położeniu, lecz nie zmniejsza to wytwórczości kapitału, gdyż natychmiast otwiera się dla niego nowe pole, jeszcze więcej zyskowne. Doświadczenie również nie potwierdza prawdziwości tego prawa, pod koniec bowiem państwa rzymskiego, piętnaście wieków temu, stopa procentowa była mniej więcej taka sama, jak dziś, a w wieku XVIII była w Holandyi niższą od stopy dzisiejszej. Wreszcie, jeśli zniżka stopy procentowej ma być nieskończoną, trzeba być logicznym i wyciągnąć z tego wniosek, że kiedyś dojdzie do zera. Ekonomista angielski M. Foxwell miał tyle odwagi; zdaniem jego przyjdzie czas, kiedy kapitaliści zamiast pobierać procent od tych, którym powierzą swój majątek, będą ich jeszcze wynagradzali za trud przechowania i zarządu. Będzie to dzień zadowolenia dla socyalistów, ziszczą się marzenia Proudhona o »bezpłatnym kredycie«; jak dotąd jednak socyaliści nie łudzą się tą nadzieją — i nie mylą się.

Co do stopy procentowej, należy jeszcze dodać kilka słów odnośnie do t. zw. jej jednolitości. Stopą procentową nazywamy zwykły w danym czasie i miejscu zysk, który jednostka kapitału przynieść może. Otóż zwyczajnie twierdzi się, że zyski mają tendencyę wyrównawczą we wszystkich gałęziach produkcyi. Twierdzenie to jest dwuznacznem; prawdziwem, jeżeli dla oznaczenia stopy procentowej przyjmuje się chwilę rozpoczęcia, założenia lub nabycia gospodarstwa — mylnem, gdy rezultaty gospodarstwa oceniamy po zamknięciu okresu produkcyjnego. Każdy gospodarz, rozpoczynając jakąś produkcyę lub nabywając służące do tego środki, oznaczyć musi ich wartość według znaczenia wytworów, które za ich pomocą uzyska. Wytwory te mają w danej chwili pewną wartość, pewną cenę, tę więc bierze za podstawę swego rachunku. Lecz nabywając przedmioty potrzebne do produkcyi, traci się pewien kapitał pieniężny [1]), który przynosiłby dochód, zależny od zwykłego procentu, jaki się płaci obecnie w interesach kredytowych. Jeżeli suma procentu będzie wyższa od wartości wytworów, które zamierzona produkcya wydać może, natenczas gospodarz odstąpi od niej, straciłby bowiem na jej przeprowadzeniu. Kupując więc środki produkcyi, da za nie co najwyżej tyle kapitału, ileby musiał posiadać, aby jego procenta pokryły się z wartością przyszłych wytworów. Innemi słowy, każdy gospodarz kieruje się przy założeniu lub nabyciu gospodarstwa panującą stopą procentową, gdyż nie mając jeszcze w tej mierze własnego doświadczenia, musi się oglądać na rezultaty działalności cudzej.

Zupełnie inaczej ma się rzecz z chwilą, gdy produkcya jest już rozpoczęta. Wtedy stopa procentowa ogólna nie ma żadnego znaczenia, gdyż decydują faktyczne zyski lub straty. Poprzednie obliczenie było tylko rachunkiem prawdopodobieństwa, teraz rozpoczyna się rzeczywistość. Dochody rzeczywiste mogą przewyższać stopę procentową, mogą być jej równe, mogą być od niej niższe. W pierwszym wypadku gospodarz zyskuje, w drugim stoi na miejscu, na którem był poprzednio, w trzecim traci. O jednolitej stopie niema mowy, bo ona go nic nie obchodzi wobec stopy faktycznej. Kupuję maszynę za 200 kor. w przypuszczeniu, że będę miał 10 kor. rocznego dochodu, gdy jednak otrzymam zamiast tego 16 lub 20 kor., będą one moim zyskiem, moim dochodem bez względu na to, jak wysokim jest dochód innych posiadaczy podobnej maszyny lub równie wielkiego majątku. Od chwili więc

[1]) Każdy kapitał rzeczowy da się zamienić na pieniężny, więc nawet przy wymianie naturalnej można mówić o pieniądzach.

rozpoczęcia działalności wytwórczej zasada jednolitości stopy procentowej jest błędną.

Zachodzi jednak i trzeci wypadek, który głównie przyczynił się do przyjęcia teoryi o jednolitości stopy procentowej. Ponieważ wszelkie środki produkcyi otrzymują wartość od swych wytworów, musi się ona zmieniać w miarę zmiany wartości produktów. Gospodarstwo, które dawało poprzednio 8.000 kor., miało wartość kapitału, dającego równie wysoki procent, a więc 200.000 kor.; gdy w roku następnym da tylko 4.000 kor., a niema nadziei, aby ten dochód się podniósł do dawnej wysokości, natenczas posiadacz jego nie będzie się oglądał na poprzednią wartość, lecz w razie sprzedaży odda tę własność za 100.000 kor., bo tyle tylko jest obecnie warta. Przyczyną tego zjawiska jest możność zamiany każdego dobra na pieniądz, dający pewien stały dochód, wskutek czego kapitał rzeczowy musi uzyskać w przybliżeniu taki sam dochód, jaki daje kapitał pieniężny równej wysokości. Stąd powstała legenda o jednolitości stopy procentowej; dochód kapitału rzeczowego asymilujemy zawsze z dochodem kapitału pieniężnego; każda zmiana w dochodach wpływa na wartość pieniężną majątku, przez co stosunek jego wartości do dochodu pozostaje, mimo wszelkich zmian, zawsze jednakowy. Mówiąc, że pewien rodzaj produkcyi daje 4% dochodu, nie objaśniamy jeszcze niczego co do tej produkcyi, lecz wyrażamy tylko zdanie, że za wypożyczenie pieniędzy płaci się zwykle 4%. W razie zmiany stosunków kredytowych, n. p. w razie podskoczenia dyskonta z 4% na 8%, uznamy ten sam rodzaj produkcyi, bez wszelkiej zmiany w jego dochodzie, za dający 8%, wartość jednak zakładu przemysłowego, wyrażona w pieniądzu, zniży się do połowy dawniejszej swej sumy. Fabryka daje 8.000; była więc warta przy 4% stopie 200.000 kor., teraz dyskonto jest 8%, wartą więc jest 100.000 kor. Identyczność stopy procentowej jest więc przypuszczeniem, decydującem o rozpoczęciu działalności gospodarczej, i jest wyrazem stosunku kapitału pieniężnego do rzeczowego, lecz niczem więcej.

ROZDZIAŁ IV.

ZYSK PRZEDSIĘBIORCY.

I.

Istota zysku przedsiębiorcy.

Dochód, który pobiera przedsiębiorca za swój współudział w produkcyi, nazywamy zyskiem. Ścisłe określenie roli przedsiębiorcy i istoty zysku jest bardzo trudne, to też w nauce można odróżnić w tej sprawie trzy rozmaite teorye.

1. Ekonomiści angielscy nie odróżniają wcale przedsiębiorcy od kapitalisty, stąd też, ich zdaniem, zysk jest dochodem z kapitału, podobnym do procentu, tylko wyższym z powodów, które zaraz poznamy.

Należy przyznać, że pogląd ten zdaje się odpowiadać zupełnie rzeczywistości. Przedsiębiorca posiada zawsze, jeżeli nie cały kapitał, niezbędny do produkcyi, to przynajmniej jego część; stopa zysku oblicza się, tak samo jak procent, w stosunku do ubezpieczonego kapitału, tak, że uważa się za rzecz zupełnie naturalną, iż przedsiębiorca, który włożył milion, ma dziesięć razy większy zysk od

tego, który posiada tylko sto tysięcy. Mimo to musimy odrzucić tę teoryę, gdyż połączenie w jednej osobie charakteru kapitalisty i przedsiębiorcy nie jest bynajmniej konieczne, a jeżeli zdarza się tak często, to tylko dlatego, że kapitał zapewnia swemu właścicielowi pewnego rodzaju monopol. W teoryi jednak role kapitalisty i przedsiębiorcy są zupełnie odmienne, a nawet w praktyce widzimy bardzo często przedsiębiorców, którzy zatrudniają wyłącznie cudze kapitały.

2. Ekonomiści francuscy, począwszy od J. B. Say'a, odróżniali zawsze bardzo ściśle przedsiębiorcę od kapitalisty. Dla nich główną cechą przedsiębiorcy jest jego praca, stąd też zysk jest wynagrodzeniem pracy. Rodzaj pracy przedsiębiorcy jest jednak inny, a zarazem i bardziej wytwórczy od pracy ręcznej, a mianowicie obejmuje równocześnie pracę wynalazczą, kierowniczą i handlowo-spekulacyjną.

Wynalazek, który jest pierwszym stopniem każdej produkcyi, był zarazem twórcą wszystkich wielkich fortun przemysłowych. Widzieliśmy poprzednio, że właściwym aktem wytwórczym jest myśl. Otóż właśnie przedsiębiorca ma mieć tę myśl, nie tyle myśl genialną, ile raczej handlową, t. zn. on ma przedewszystkiem odkryć to, co podoba się publiczności. Nie dość jest, ażeby przedsiębiorca wynalazł nowe wzory, on musi jeszcze odkryć nowe potrzeby.

Praca zbiorowa jest zawsze wydajniejsza od izolowanej, pod warunkiem, że jest zorganizowaną, karną i dobrze kierowaną. Musi być ktoś, któryby rozdzielił czynności pomiędzy wszystkich i każdemu naznaczył odpowiednie miejsce; jest to właśnie zadaniem przedsiębiorcy. Przedsiębiorcę nazywano często wodzem przemysłu i rzeczywiście przemysł jest bardzo zbliżony do wojny; kto odnosi zwycięstwa? przecież jenerał. Wprawdzie dobra armia do tego się przyczynia, podobnie jak dobre uzbrojenie, lecz są to tylko konieczne warunki, a nie właściwa

przyczyna zwycięstwa, bo to samo wojsko, tak samo uzbrojone, będzie pobite, jeżeli miało złego dowódcę. W przedsiębiorstwie również kierownictwo jest wszystkiem, bo znowu widzimy codziennie, że z dwóch przedsiębiorstw, używających równie zdolnych robotników, jedno się udaje, drugie upada zupełnie.

Wreszcie sama produkcya jeszcze nie wystarcza, bo najważniejszą rzeczą jest sprzedać swe wytwory, znaleźć zbyt dostateczny. To też dzisiaj każde przedsiębiorstwo przybiera coraz wyraźniej charakter handlowy. Działalność handlowa jest jedną z najistotniejszych cech pracy przedsiębiorcy, o nader doniosłem znaczeniu społecznem, gdyż ta spekulacyjno-handlowa jej strona ma przywracać pomiędzy zapotrzebowaniem a produkcyą równowagę, ulegającą w naszych czasach tak częstemu zwichnięciu.

W wywodach tych mieści się dużo prawdy. Mimo to jednak nie wyjaśniają one prawdziwej istoty zysku, lecz raczej odznaczają się ukrytem dążeniem do jego usprawiedliwienia wobec ataków socyalistów. Rzeczywiście, wszystkie te czynności, które się tu wymienia jako zasadnicze cechy pracy przedsiębiorcy — wynalazek, kierownictwo, spekulacya handlowa — można powierzyć, a w wielkich przedsiębiorstwach akcyjnych powierza się nawet istotnie, płatnym urzędnikom i inżynierom, chemikom i dyrektorom.

3. W końcu znaczna część ekonomistów dzisiejszych (Walras, Pareto, Pantaleoni) uważa przedsiębiorcę za gospodarza, wyposażonego w monopol, jakkolwiek dość odmienny od monopolu właścicieli ziemskich, a tem samem zysk jako dochód z monopolu. Monopol ten może być naturalny, t. zn. polegać na pewnych wyjątkowych zaletach osobistych lub wyjątkowo korzystnych warunkach zewnętrznych; może być prawny, będąc n. p. wynikiem ceł ochronnych lub patentu; może wreszcie wypływać z jakiejkolwiek okoliczności, bo monopol nie jest zjawiskiem rzadkiem, lecz pojawia się wszędzie. Mały sklepik

na rogu ulicy posiada monopol dzięki swemu położeniu, każda indywidualność zapewnia w gruncie rzeczy monopol właśnie dlatego, że jest sobą, a nie kimś innym.

To tłumaczenie, naszem zdaniem, odpowiada najlepiej rzeczywistości. Wyjaśnia ono, dlaczego zwyczajnie przedsiębiorca jest zarazem kapitalistą, bo wobec tego, że żadnego przedsiębiorstwa nie można rozpocząć bez kapitału, posiadanie kapitału tworzy prawdziwy monopol, który można dla siebie wyzyskać. Wyjaśnia ono przytem, dlaczego wyjątkowe zalety osobiste mogą stać się źródłem wielkich zysków i znacznych majątków, oto dlatego, że są one również monopolem pewnego rodzaju.

Z tego nie wynika bynajmniej, ażeby zysk musiał być niesprawiedliwym, gdyż widzieliśmy, że w wielu razach mnonopol godzi się lepiej z dobrem ogółu, niż wolna konkurencya. Ludzie, którzy dzięki wyjątkowym swym zdolnościom dochodzą do wielkich majątków, nie krzywdzą nikogo, a monopol przedsiębiorców zapewnia im dochody, zbliżone swą istotą do renty. Zwyczajnie nie występuje on jako przywilej, pozwalający na sprzedaż towarów po cenach wyższych od zwyczajnych, lecz przeciwnie przejawia się w kształcie posiadania takiej tajemnicy lub tak dogodnych warunków wytwórczych, że pozwala produkować poniżej zwyczajnych kosztów, co naturalnie wychodzi tylko na korzyść ogółu.

II.

Prawa rządzące zyskiem przedsiębiorcy.

Zdawałoby się, że niema nic łatwiejszego, jak obliczenie zysku, bo przecież umie je przeprowadzić najdrobniejszy nawet przedsiębiorca. Od wartości wytworu, t. zn. od jego ceny targowej, odejmuje swoje koszta produkcyi, a nadwyżka stanowi jego zysk. Pomimo tego oznaczenie

wysokości zysku należy do zawilszych zagadnień w teoryi ekonomii, bo bardzo trudno jest określić ściśle i dokładnie wydatki, które należy zaliczyć do kosztów produkcyi.

Do kosztów produkcyi należy przedewszystkiem płaca robotników i urzędników, jakoteż procent od kapitału, o ile przedsiębiorca otrzymał go w całości lub w części drogą pożyczki. Jeżeli wartość wytworu oznaczymy przez W, płacę przez R, a procent przez P, wysokość zysku przedsiębiorcy Z, określi równanie: $Z = W - (R + P)$.

Zdaje się jednak, że w tej formułce brak jeszcze kilku czynników, należących do kosztów produkcyi. Dlaczego nie umieszczono tam renty gruntowej, na równi z płacą i procentem? Teoretycznie biorąc, przedsiębiorca powinien zjednoczyć w wytwórczej pracy wszystkie czynniki produkcyi — pracę, kapitał i ziemię — i rzeczywiście musi on nieraz dzierżawić grunt w tym celu, dlaczegoż więc mamy pominąć czynsz dzierżawny przy obliczeniu kosztów produkcyi? Ekonomiści angielscy, opierając się na teoryi Ricarda, utrzymują, że renta gruntowa nie należy do kosztów produkcyi, bo właśnie od nich zależy jej wysokość. Doktryna ta jednak idzie za daleko. We wszystkich wypadkach, w których renta jest ceną rzeczywistego monopolu, n. p. przy gruntach miejskich lub położonych przy spadku wód, wchodzi ona niewątpliwie w koszta produkcyi, tak, że o ile przedsiębiorca opłaca czynsz dzierżawny, musi go wliczyć w swe wydatki, razem z płacą i procentem. Ostatecznie więc z wartości wytworu należy potrącić udział wszystkich czynników produkcyi.

Lecz przedsiębiorca dostarcza zwyczajnie i sam niektórych rzeczy — a mianowicie zawsze pracy organizacyjnej lub kierowniczej, często także gruntu, budynków i kapitału, w całości lub części. Czyż więc nie ma się wliczyć do kosztów produkcyi czynszu od jego własnego gruntu, procentu od jego kapitału, płacy za jego pracę?

Cóż z tego, że wszystko to przynosi on sam, nie potrzebując pożyczać; gdyby nie umieścił w tem przedsiębiorstwie swej własności i pracy, mógłby ich użyć inaczej — mógłby wydzierżawić swą ziemię, umieścić na procent kapitał, zużytkować w inny sposób swoją pracę i swe zdolności. Musi on otrzymać w swojem gospodarstwie przynajmniej tyle, ileby uzyskał gdzieindziej; inaczej nie przystąpi do założenia przedsiębiorstwa [1]).

Lecz w jaki sposób ma się obliczyć udział w produkcyi tych osobistych wkładów przedsiębiorcy? O ile chodzi o ziemię i kapitał, rzecz jest bardzo prosta; dochód z ziemi i procent od kapitału oznaczy się w wysokości, odpowiadającej cenie, którąby przedsiębiorca musiał zapłacić za wydzierżawienie gruntu i wypożyczenie kapitału, gdyby ich sam nie posiadał. Jednakże procent od kapitału należy obliczać znacznie wyżej od zwyczajnej stopy procentowej, ponieważ dochód z kapitału wypożyczonego jest stały, a dochód z kapitału własnego, włożonego w produkcyę, zmienny. Przypuszczając n. p., że przedsiębiorstwo daje dochody tylko co drugi rok, musi przedsiębiorca, chcąc mieć średni dochód równy zwykłej stopie procentowej, obliczyć procent od swego kapitału dwa razy wyżej od procentu zwyczajnego, n. p. 10%, gdy zwyczajnie płaci się 5%. Różnica ta nazywa się premią ryzyka [2]).

[1]) Mimo to nie zamyka się wielu przedsiębiorstw, których dochody nie wystarczają na oprocentowanie włożonych kapitałów według panującej stopy. Tę pozorną sprzeczność usuniemy z łatwością, gdy przypatrzymy się bliżej charakterowi tych kapitałów. Są to kapitały stałe, których niepodobna używać inaczej, jak tylko w sposób, który odpowiada pierwotnemu ich przeznaczeniu. Niema się więc wyboru, bo należy albo zupełnie je porzucić, albo zadowolić się dochodem, choćby najmniejszym. Jasną wobec tego jest rzeczą, że w tym wypadku prowadzi się przedsiębiorstwo dalej, lepiej bowiem stracić część dochodu niż cały.

[2]) Premii tej nie należy mieszać z premią ubezpieczenia, o której była mowa przy procencie. Tam rozchodziło się o zabezpieczenie się przed ewentualną stratą kapitału, podczas gdy premia ryzyka ma ubezpieczyć przed zmiennością dochodu.

Najtrudniej oznaczyć wysokość wynagrodzenia za pracę przedsiębiorcy. Zdaniem ekonomistów wynagrodzenie to powinno być równe płacy, którą należałoby przyznać kierownikowi, który miałby odpowiednie przymioty, aby zastąpić przedsiębiorcę, albo też płacy, którą mógłby otrzymać przedsiębiorca, gdyby przyjął miejsce kierownika w cudzem gospodarstwie. Przedsiębiorcy jednak, którzy w koszta produkcyi wliczają także płacę dla siebie, oznaczają ją zwyczajnie w kwocie wyższej od wynagrodzenia, które mogliby otrzymać w cudzem przedsiębiorstwie, lub któreby zapłacili sami kierownikowi równie dobremu. Jest to naturalne i słuszne, należy się bowiem liczyć z odpowiedzialnością, kłopotami i ryzykiem, na które narażony jest przedsiębiorca i to nie ryzykiem, odnoszącem się do jego wkładów, lecz z niepewnością jego położenia handlowego. Gdyby przedsiębiorca miał tylko tyle, ile pobiera płatny kierownik, wolałby pomieniać się z nim za stanowiska, bo zyskałby przynajmniej spokój.

W końcu do kosztów produkcyi należy jeszcze dodać wydatki na amortyzacyę i utrzymanie kapitału rzeczowego, jakoteż podatki, które musi się uiścić na rzecz państwa i innych związków prawno-publicznych. Dopiero gdy wszystkie te pozycye odejmiemy od wartości wytworu, pozostała reszta będzie stanowić zysk przedsiębiorcy. Tylko czy pozostanie jeszcze cokolwiek? Smiało można o tem powątpiewać!

Mogłoby coś pozostać tylko pod warunkiem, że cena wytworu będzie wyższa od sumy wszystkich kosztów produkcyi. Taki wypadek zachodzi jednak tylko wtedy, gdy przedsiębiorca korzysta z jakiegoś monopolu. Jeżeli jednak niema żadnego monopolu, gdy panuje wolna konkurencya, tak, że przedsiębiorca przynosi na targ tylko usługi, które każdy inny może przynieść również — wtedy nie będzie

zysku przedsiębiorcy. Nie mamy się czemu dziwić, bo jest to tylko naturalny wynik i potwierdzenie definicyi, którą określiliśmy poprzednio zysk przedsiębiorcy. Jest to rezultat konieczny, a nawet słuszny; konieczny, bo przy wolnej konkurencyi rywalizacya pojawia się tam, gdzie widzi zyski, sprowadza więc ceny wytworów do wysokości kosztów produkcyi; słuszny, bo czegoż więcej może domagać się przedsiębiorca, gdy po potrąceniu udziału swych współpracowników, otrzymał procent od własnego kapitału, premię ryzyka i odpowiednią zapłatę za swoje kierownictwo [1]).

III

Uprawnienie zysku przedsiębiorcy.

Wszystkie ataki socyalizmu zwracają się przedewszystkiem przeciw przedsiębiorcom, właśnie dlatego, że odgrywają oni najważniejszą rolę na scenie ekonomicznej. Już w początkach ubiegłego stulecia dopatrywał się Owen w zysku przyczyny wszystkich braków naszego gospodarczego ustroju i starał się go uchylić przy pomocy t. zw. składu wymiany, w którym robotnicy mienialiby swe wytwory na kwity pracy, względnie za te kwity otrzymywali odpowiednie dobra. W ten sposób byliby wolni od jarzma przedsiębiorcy i nie opłacaliby mu daniny w po-

[1]) Walras w swem matematycznem przedstawieniu praw ekomicznych mówi, że normalna stopa zysku równa się zeru. Znaczy to, że w systemie zupełnie wolnej konkurencyi cena, którą płaci przedsiębiorca za usługi wytwórcze (wliczając w nią cenę jego własnych usług), musi być równą cenie wytworów, które pozbywa. Da się to wyrazić także w zdaniu, że normalny dochód przedsiębiorcy składa się z wynagrodzenia za jego pracę i procentu od kapitału, a wszelką nadwyżkę można uzyskać tylko dzięki przypadkowemu zbiegowi szczęśliwych okoliczności.

staci zysku. Jednakże dopiero Marx, w swym Kapitale, rozpoczął zasadniczą i gwałtowną walkę z zyskiem. Oto w krótkim zarysie jego rozumowanie, które miało wykazać bezprawne pochodzenie tego rodzaju dochodu.

Zrównanie roli przedsiębiorcy i robotnika w produkcyi, przeprowadzone przez ekonomistów, powiada Marx, jest zupełnie błędne, lub co najmniej przestarzałe. W dawniejszych czasach przedsiębiorca sam pracował wraz ze swymi robotnikami, był on tylko *primus inter pares*, był więc tak pracownikiem jak i wytwórcą. Wypadek ten może się zdarzyć i dzisiaj, lecz w rzeczywistości stanowisko przedsiębiorcy nie łączy się obecnie z większemi lub mniejszemi zdolnościami, tylko wyłącznie z posiadaniem kapitału. Zwyczajnie jest się przedsiębiorcą, bo się jest bogatym, tak jak niegdyś było się oficerem dla swego szlachectwa. Wprawdzie istnieją przedsiębiorcy, którzy zawdzięczają to stanowisko swej pracy, lecz należą do nader rzadkich wyjątków. Czemże więc jest przedsiębiorca i jak uzyskuje swe dochody? Po prostu zapomocą handlu, przez kupno dla odsprzedaży. Co kupuje? Siłę do pracy robotnika w postaci roboty. Co sprzedaje? Tę samą pracę w postaci towarów. Kupuje ją po nizkiej cenie na targu pracy, gdzie robotnicy muszą się sprzedać, aby wyżyć i gdzie podaż jest zawsze wielka. Raz nabywszy pracę, wyciska z niej wszystko, co praca dać może, przedłużając jak najbardziej czas trwania dnia roboczego, podniecając robotnika złudną ponętą pracy na akord, wysysając siły kobiet i dzieci z pomocą maszyn, które pozwalają zatrudniać ich słabe ręce — i w ten sposób uzyskuje nadwyżkę pracy niezapłaconej, która tworzy zysk. Zapłacić za pracę jak najmniej, wyciągnąć z niej jak najwięcej, — oto cała zagadka zysku przedsiębiorcy, oto, jak powiada Karol Marx, »tajemnica niesprawiedliwości«.

Posłuchajmy jego wywodów.

Cena targowa wytworu mierzy się ilością pracy, zużytej na jego wyrobienie, jeżeli więc potrzeba było dzie-

sięciogodzinnej pracy, wartość wytworu wyniesie 10 godzin. Wartość pracy ludzkiej, a raczej siły do pracy robotnika, oznacza się, podobnie jak wartość każdego innego towaru, kosztami produkcyi. Otóż gdy chodzi o tę maszynę ludzką, która dostarcza pracy, koszt jej produkcyi stanowią po prostu wydatki, niezbędne dla wytworzenia robotnika, t. zn. konieczne koszta jego wychowania i utrzymania. Przypuśćmy, że na to potrzeba średnio pięciogodzinnej pracy dziennej, w takim razie wartość siły do pracy będzie się równać 5 godzinom pracy. Przedsiębiorca więc, dając robotnikowi wynagrodzenie równe wartości 5 godzin, płaci za jego pracę cenę, odpowiadającą ściśle jej wartości. Lecz wytwór pracy tego samego robotnika posiada na targu wartość 10 godzin, cena sprzedaży przeto jest o 5 godzin pracy wyższa od ceny kupna. Ta nadwyżka tworzy nadwartość, która pozostaje w ręku kapitalisty i jest jedynem źródłem jego zysku. Dochodzi się więc do stwierdzenia, że zysk stanowi pewna ilość pracy niezapłaconej, przedsiębiorca bowiem korzysta z pięcu godzin pracy, za które nie płaci, przez które robotnik pracuje darmo. Jasną jest rzeczą, że liczbę bezpłatnych godzin należy pomnożyć przez ilość zajętych robotników, tak, że im ich jest więcej, tem znaczniejsze muszą być zyski.

Cały ten gmach dyalektyczny, zbudowany dla udowodnienia, że zysk jest w swej istocie tylko zaborem cudzej pracy niezapłaconej, opiera się na dwóch przesłankach. Przedewszystkiem na teoryi produktywności pracy, powtóre na teoryi, że wszelka wartość polega jedynie na pracy ludzkiej. Pierwsza doktryna, zamykająca się w zdaniu, że wartość wytworów pracy ludzkiej jest z reguły wyższa od wartości środków utrzymania, jest prawdziwa. Nawet robotnik pierwotny i izolowany musiał uzyskiwać swą pracą więcej, niż potrzebował do życia, inaczej nie mogłaby powstać cywilizacya, ani pojawić się wzrost ludności — tem

większa więc musi pozostać nadwyżka produkcyi robotnika cywilizowanego, którego siły wzmogły się bardzo znacznie przez podział pracy i organizacyę zbiorową. To też, w myśl wywodów Marxa, każdy postęp techniczny, który pozwala na tańszą produkcyę środków utrzymania robotnika, obniża w odpowiednim stosunku wartość pracy, a tem samem podnosi zysk przedsiębiorców. Gdybyśmy doszli do tego, że pracą 5 minut możnaby uzyskać dzienne pożywienie człowieka, a robotnik pracował 10 godzin dziennie, otrzymywałby zapłatę równą pięciominutowej pracy, a reszta, t. j. 9 godzin i 55 minut, pozostawałaby kapitaliście.

Jednakże widzieliśmy już poprzednio, omawiając wartość, że wysokość jej nie zależy bynajmniej od ilości włożonej w wytwór pracy. Wskutek tego upada i cała teorya nadwartości, skoro bowiem ani wartość wytworu, ani wartość pracy ludzkiej nie mierzy się czasem — a dziś już nieliczna tylko garstka pisarzy stoi na tem stanowisku — nie mamy żadnego dowodu na twierdzenie, że przedsiębiorca korzysta z pracy, którą dostał darmo i że ta bezpłatna praca podnosi cenę targową wytworu.

Teorya Marxa posiada jednak znaczenie i to poważne, o ile chodzi o krytykę systemu płacy, szczególniej ze stanowiska historycznego. Nie ulega wątpliwości, że w naszym ustroju siła do pracy jest towarem, który przedsiębiorca stara się zakupić jak najtaniej, co mu się doskonale udawało w ciągu tylu wieków. Na to można odpowiedzieć, że dzisiaj mamy cały szereg instytucyi, omówionych już poprzednio, jak związki robotnicze, stowarzyszenia współdzielcze i całe ustawodawstwo robotnicze, których celem jest właśnie poddanie płacy innym prawom od tych, które decydują o cenie towarów.

Lecz uznając nawet, że zysk może być sprawiedliwy i że nie każdy przedsiębiorca musi być wyzyskiwaczem — pozostaje jeszcze do rozwiązania pytanie, czy funkcya

społeczna przedsiębiorcy jest niezbędna w każdym ustroju, czy też stanowi tylko zwyczajną kategoryę historyczną?

Widzieliśmy już wyżej, że istotną treść funkcyi ekonomicznej przedsiębiorcy stanowi nabywanie wytwórczych usług celem odsprzedaży ich w kształcie towarów, t. zn. pośredniczenie pomiędzy robotnikami, kapitalistami i właścicielami ziemi z jednej strony, a konsumentami z drugiej. Otóż rola pośrednika nie jest bynajmniej tak doniosła pod względem społecznym, ażeby nie wolno było przewidywać jego usunięcia. Wręcz przeciwnie, cały postęp zdąża w tym kierunku. Stwierdziliśmy to z zadowoleniem odnośnie do kupców, nie możemy więc ani zaprzeczać, ani potępiać tego prądu w stosunku do przedsiębiorców. Lecz jakkolwiek wyeliminowanie pracodawcy należy uważać za logiczną konsekwencyę ewolucyi gospodarczej, to jednak daleko nam jeszcze do tej chwili, jak tego dowodzą najlepiej trudności, na które napotyka zakładanie współdzielczych stowarzyszeń wytwórczych.

Prawda, że spółki akcyjne rozwijają się bardzo dobrze, chociaż, przynajmniej na pozór, nie ma w nich przedsiębiorcy. Jest to nawet główny argument kolektywistów dla udowodnienia, że przedsiębiorca jest już dzisiaj pasożytem, zupełnie zbytecznym. Obecnie, powiadają oni, nie ma już przedsiębiorcy, któryby był zarazem kapitalistą i kierownikiem, pobierającym wprawdzie zyski, lecz dostarczającym w zamian codziennej pracy. Przedsiębiorcę usunięto, a raczej rozłożono go na wielką liczbę akcyonaryuszy bezczynnych, nie znających się między sobą i nieraz nie rozumiejących się wcale na przedsiębiorstwie, którego są wspólnikami. Usuńmy i ich, a przedsiębiorstwo będzie iść dalej tak samo, jak przedtem. Ponieważ wskutek ewolucyi dzisiejszej, wielka produkcya zastępuje coraz bardziej małą, a spółki akcyjne pracodawców indywidualnych, przeto dojdziemy wkrótce do tego, że wszyscy przedsiębiorcy staną się akcyonaryuszami, których zadanie ograniczy się do odcinania kuponów. Wtedy, gdy

rzeczywistość udowodni ich zupełną bezużyteczność, skończy się ich rola społeczna.

Nie ulega wątpliwości, że akcyonaryusze nie odgrywają roli czynnej, lecz ani ze stanowiska gospodarczego, ani z prawnego nie można dopatrywać się w nich zastępców przedsiębiorców. Są oni zwykłymi wierzycielami, którzy w zamian za udział w zyskach, przyjęli na siebie część ryzyka. Prawdziwymi następcami przedsiębiorcy są członkowie rady zawiadowczej, często nawet jeden z nich tylko, który zbadał i wprowadził w życie dane przedsiębiorstwo, a posiadając zwykle znaczną część akcyi, wkłada w nie całą energię swego interesu osobistego. Wielkie spółki akcyjne, nie wyłączając nawet trustów, są w gruncie rzeczy przedsiębiorstwami indywidualnemi, podobnie jak najskromniejszy sklepik.

W końcu należy zaznaczyć, że wyobrażenia o wysokości zysku są bardzo przesadne. Zysk gromadzi się w ręku jednego człowieka, podczas gdy płaca rozdziela się pomiędzy setki lub tysiące, stąd powstaje złudzenie, że udział przedsiębiorcy w dochodach jest bardzo znaczny. Gdyby wskutek usunięcia pracodawców, można było rozdzielić zysk pomiędzy robotników, byliby oni bardzo nieprzyjemnie zdziwieni, bo przekonaliby się, że ich dochody podniosłyby się w dość małym stosunku [1]).

[1]) Statystyka przemysłu górniczego we Francyi z ostatnich 22 lat (1880—1902) dowodzi, że średnia płaca jednego robotnika wynosiła 1218 fr., średni zysk przedsiębiorcy od każdego robotnika 308 fr. t. j. 25% płacy. Gdyby więc wszystkie dywidendy rozdzielono pomiędzy robotników, dzienny ich dochód podniósłby się z 4 na 5 fr.

KSIĘGA IV.

KONSUMCYA.

I.

Pojęcie konsumcyi.

Konsumcyą nazywamy zużytkowanie dobra dla zaspokojenia naszych potrzeb, a więc użycie dobra w tym celu, w jakim je wytworzono. Konsumcya jest więc ostateczną przyczyną i zamknięciem całego procesu ekonomicznego, a znaczenie jej jest znacznie większe, niżby się to wydawało wobec skromnego miejsca, które się jej najczęściej w systemie poświęca. Jest to dziedzina mało dotąd jeszcze zbadana, która prawdopodobnie posłuży kiedyś do odnowienia całej nauki.

Podobnie jak produkcya nie stwarza żadnej cząstki materyi, tak i konsumcya niczego nie niszczy. Chemik znajdzie zawsze wszystkie atomy zużytych przedmiotów. Możnaby jednak sądzić, że konsumcya niszczy użyteczność rzeczy, podobnie jak produkcya ją wytwarza. Jednakże nie zawsze się tak dzieje, gdyż konsumcya zużytkowuje dobra, a zużytkowanie jest rozmaite, w miarę odmiennych właściwości różnych przedmiotów.

Dobra zużywalne dadzą się użyć li tylko drogą

przemiany. Chcąc zużyć chleb lub wino, musimy je zjeść, t. zn. zmienić w krew i ciało; węgiel musimy spalić, a więc przemienić w ciepło lub siłę poruszającą. Natomiast dobra trwałe konsumuje się wyłącznie przez zachowywanie ich ciągle w tym samym stanie, a wszelka przemiana szkodzi tylko, albo wprost uniemożliwia konsumcyę. Venus z Milo służy potrzebom estetycznym tylu pokoleń, nie tracąc ani atomu swej substancyi; dom psuje się nie przez używanie, lecz tylko przez upływ czasu; pragnęlibyśmy, aby odzienie nie niszczyło się nigdy, wtedy bowiem najświetniej odpowiadałoby swemu przeznaczeniu.

Nie należy także mieszać konsumcyi z produkcyą. Bezwątpienia, każda produkcya prowadzi do bezustannego zużywania surowców, węgla i t. p, stąd też niektórzy ekonomiści nazywają to zużycie konsumcyą reproduktywną czyli wytwórczą, w odróżnieniu od bezpośredniego zaspakajania potrzeb ludzkich, zwanego konsumcyą nieproduktywną. Lecz tylko ten drugi objaw zużycia stanowi konsumcyę w ścisłem tego słowa znaczeniu. Proces ekonomiczny stanowi zamknięte koło: człowiek wytwarza, ażeby mieć środki pożywienia, lecz musi się odżywiać, chcąc produkować. To też gdy jedni ekonomiści uważają zasiewy za akt konsumcyi, inni znowu, jak Jevons, widzą w odżywianiu się czynność produkcyjną, gdyż środki żywności, spożyte przez robotników, tworzą, ich zdaniem, zaliczkę, którą kapitał udziela pracy. Musimy jednak w tem kole oznaczyć jeden punkt jako początek lub koniec całego procesu. Otóż całą działalność ekonomiczną przedsiębierze się dla człowieka, stąd też dobro konsumuje się dopiero z chwilą, gdy dochodzi do niego; wszystkie inne przemiany są tylko poszczególnymi stopniami w pochodzie produkcyi.

Konsumcya może wystąpić w dwóch odmiennych formach, jako bezpośrednia i odroczona. Konsumcya bezpośrednia dąży do zaspokojenia obecnych potrzeb i nazywamy ją wydatkiem, gdyż w naszym ustroju mu-

simy nabywać potrzebne nam dobra; konsumcya odroczona zachodzi, gdy mamy pokryć potrzeby przyszłe i zowie się oszczędnością, albowiem przechowywamy w tym razie nasze zasoby, najczęściej w pieniądzach, na przyszłość

II.

Czy produkcya wystarczy zawsze na zaspokojenie potrzeb?

Ekonomista angielski Malthus, w słynnej swej teoryi przeludnienia twierdzi, że ludność okazuje tendencyę wzrastania w stosunku geometrycznym, podczas gdy ilość środków utrzymania może się zwiększać tylko w stosunku arytmetycznym[1]). Wobec tego, że oba te szeregi wzrastają w sposób najzupełniej różny, niepodobna się łudzić, ażeby produkcya dotrzymała kroku wzrostowi konsumcyi; musi coraz bardziej pozostawać w tyle. Malthus twierdzi zatem, że równowagę pomiędzy produkcyą a konsumcyą mogą przywrócić tylko jakieś niezwykłe zaburzenia, wypadki nawiedzające stale ród ludzki, a to: wojna, zaraza, głód, nędza, nierząd i inne klęski straszne, które jednak z tego punktu widzenia przedstawiają mu się w zupełnie odmien-

[1]) Prawo to wyraża Malthus w podwójnej formułce, która miała służyć do łatwiejszego zrozumienia jego wywodów, którą jednak niektórzy biorą niesłusznie w dosłownem jej brzmieniu:

Wzrost ludności: 1, 2, 4, 8, 16, 32, 64, 128, 256,...

Wzrost produkcyi: 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9,...

Malthus przypuszczał, że co lat 25 ludność i produkcya przechodzą z jednej ilości w drugą, t. zn. ludność podwaja się, a produkcya wzrasta o pierwotną swą wysokość. Na tej podstawie utrzymuje, że stosunek ludności do środków utrzymania będzie po dwóch wiekach jak 256 : 9, po trzech jak 4096 : 13, a po dwudziestu różnica będzie olbrzymia, której prawie niepodobna wyrazić w cyfrach.

nem świetle, jako prawdziwe prawa Opatrzności boskiej[1]). W każdym razie ma jednak nadzieję, że w przyszłości ludzie nauczą się zapobiegać działaniu tych klęsk i uczynić je nieszkodliwemi, a natomiast sami dobrowolnie ograniczą wzrost ludności. W tym celu zaleca Malthus przymus moralny, t. j. niezawieranie związków małżeńskich, dopóki się nie ma dostatecznych środków na utrzymanie rodziny, lub przynajmniej pomnażanie swej rodziny tylko w miarę posiadanych środków utrzymania. Tak więc w kwestyi utrzymania równowagi między środkami do życia a liczbą ludności, liczy on o wiele mniej na możliwy wzrost produkcyi, a więcej na dobrowolne ograniczenie wzrostu ludności. Prawie cały już wiek upłynął od ogłoszenia tej słynnej teoryi, a w rzeczywistości dotąd jeszcze nie spełniły się te pesymistyczne przepowiednie Malthusa. Owszem — we wszystkich prawie krajach, mimo szybkiego wzrostu ludności, daje się spostrzedz jeszcze szybszy wzrost produkcyi wytworów.

Stopień wzrostu ludności w niektórych krajach cywilizowanych oznaczają zwykle na 1% rocznie, co wywołuje podwajanie się ludności w ciągu 72 lat. Jest to więc zawsze o wiele powolniejszy wzrost, niż Malthus przypuszczał. Prawda, że w niektórych krajach wzrost ten dokonywa się o wiele prędzej — i tak ludność Stanów Zjednoczonych zdwajała się co 25 lat w ostatnich stu latach, a w koloniach Australii w ciągu niespełna dziesięciu lat. Ten atoli niezwykły przyrost ludności polega o wiele więcej na przypływie ludności z zewnątrz kraju, niż na zwyżce urodzeń nad zgony, a więc nie pozostaje w związku z kwestyą, o której tu mowa. Prawda, że i ten napozór niewielki wzrost ludności 1 na 100

[1]) Prawa te są opatrznościowemi, gdyż z jednej strony służą do utrzymania równowagi między produkcyą a konsumcyą, z drugiej zaś usuwają najstarsze i najmniej zdolne istoty, a tem samem przyczyniają się do doskonalenia rodzajów.

byłby rzeczywiście zastraszający i mógłby usprawiedliwić najgorsze przypuszczenia Malthusa. Przypuściwszy bowiem, że ludność całej ziemi wynosi obecnie 1.500 milionów mieszkańców, to gdyby wzrastała w stosunku 1 na 100 — dosięgłaby w połowie przyszłego stulecia cyfry 3 miliardów, a koło roku 2250 wynosiłaby 48 miliardów — a przecież upłynęłoby dopiero 350 lat. Wystarczy więc przyjąć nawet o wiele dłuższy przeciąg czasu, by twierdzić z pewną podstawą, że za jakie 800 lat cała ziemia będzie tak zaludniona, jak dzielnice w Paryżu, a za 1200 lat, co w rezultacie stanowi bardzo krótki czasokres w dziejach świata, powinienby przypadać jeden człowiek na jeden metr kwadratowy, tak, że ludzie nie mieliby gdzie mieszkać, ani się poruszać.

Dziś jednak obawy są raczej wręcz przeciwne: grozi nam hyperprodukcya; wszystkie targi są przepełnione wytworami przemysłowymi i płodami rolniczymi, wszystkie państwa obwarowują się taryfami celnemi, ażeby nie dopuścić, jak mówią do »zalewu« obcymi towarami, a najważniejszem pytaniem, które nasuwa się w gospodarstwie, jest kwestya znalezienia dostatecznego zbytu dla produkcyi.

Pomimo tego nie należy traktować kwestyi przeludnienia zbyt optymistycznie, jak to czynią socyaliści. Ogromny a nagły rozwój produkcyi w ostatnich latach, wypłynął z przyczyn, które może nie pojawią się już po raz drugi, jak rozszerzenie uprawy na ziemie nowych lądów i zastosowanie maszyn parowych do przewozu. Ostatecznie ziemia może wyżywić tylko pewną, choćby największą, ale zawsze ograniczoną liczbę osób, w teoryi przeto musimy się zawsze liczyć z prawem Malthusa.

Jakkolwiek wszelkie wywody o prawdopodobnej przyszłości rodzaju ludzkiego nie mają naukowej wartości, dostrzegamy przecież pewne zjawiska, które mogą nas uspokoić.

1. Statystyka dowodzi, że liczba urodzeń jest mniejsza w warstwach zamożniejszych niż uboższych, stąd też

w miarę rozszerzania się dobrobytu, zmniejszy się prawdopodobnie wzrost ludności.

2) Biologia twierdzi, że płodność rodzajów zdaje się stać w odwrotnym stosunku do rozwoju indywidualnego, t. zn., że niższe rodzaje rozmnażają się w znacznie wyższym stopniu, niż istoty wyżej rozwinięte, a zwłaszcza człowiek. Ponieważ z tego zdaje się wypływać pewien antagonizm fizyologiczny między płodnością a stopniem wykształcenia, przeto możemy przypuszczać, że wzrost ludności będzie się zmniejszał w miarę rozwoju umysłowego jednostek.

3) Trzeciego argumentu dostarcza prawo psychologiczne o różnorodności potrzeb. Wistocie, przyroda dostarcza nam nietylko pewnej oznaczonej sumy przedmiotów, lecz zarazem pozwala na nieskończoną ilość kombinacyi, których potrzeby ludzkie nie mogą wyczerpać. Gdybyśmy się musieli żywić tylko zbożem, z pewnością zabrakłoby go w pewnym czasie, lecz ponieważ coraz mniej jemy chleba, zastępując go ogromną liczbą coraz to nowych środków pożywienia, możemy mieć nadzieję, że nie wyczerpiemy nigdy ich zapasu.

4) W końcu należy podnieść, że ilość urodzeń jest, zdaje się, mniejsza w społeczeństwach demokratycznych. Nawet w Stanach Zjednoczonych liczba urodzeń zmniejsza się w coraz wyższym stopniu, a w Australii spadła już prawie do poziomu francuskiego. Być może, że przyczyny tego ciekawego zjawiska wypada szukać w możliwości podniesienia swego dobrobytu i stanowiska, otwartej każdemu w ustroju demokratycznym. Każdy więc stara się o ograniczenie swych ciężarów rodzinnych.

ROZDZIAŁ I.

WYDATKI.

I.

Rozłożenie wydatków.

Wydatek jest ceną, zapłaconą za środki spożycia, czyli konsumcyą, wyrażoną w pieniądzach. Każdy musi zastosować swoje wydatki do dochodów. Niema ważniejszej w gospodarstwie rzeczy od odpowiedniego rozkładu wydatków, od tego bowiem zależy osiągnięcie możliwie najwyższego zadowolenia i dobrobytu, przy danej wysokości dochodu. Nie jest to tak łatwo, jakby się zdawało, gdyż potrzeby, szczególniej u ludzi ubogich, przewyższają najczęściej ich środki; musimy przeto dokładnie rozpatrzeć, w jaki sposób możnaby najlepiej użyć swych dochodów. Konsument, dla zaspokojenia jednej potrzeby, musi poświęcić inną, znajduje się więc w położeniu kupca, który również może nabyć cudzy towar tylko w zamian za swój własny. To też porównywamy w duszy użyteczność tego, czego się wyrzekamy, z użytecznością tego, co chcemy zużyć i zdecydujemy się na konsumcyę tylko pod warunkiem, że wyda się nam użyteczniejszą[1]). Naturalnie nie chodzi tu o użyteczność istotną, racyonalną, lecz tylko o użyteczność ekonomiczną, równoznaczną z pożądalnością. Rozdział wydatków odbywa się niestety bardzo rzadko w stosunku do rzeczywistych potrzeb; każdy przeprowadza go stosownie do intenzywności swych rozmaitych pragnień.

[1]) Jasną jest rzeczą, że ten sam przedmiot może posiadać dla różnych konsumentów nader rozmaitą użyteczność. Podróżnik, spragniony i umierający ze zmęczenia zapłaci zwyczajną cenę za szklankę piwa lub miejsce w tramwaju, jakkolwiek dałby chętnie dwa, lub nawet dziesięć razy więcej. Korzyść, którą przez to uzyskuje, równa się różnicy między ceną istotnie zapłaconą, a tą, na którą byłby się chętnie zgodził. Marshall nazywa tę korzyść rentą konsumenta.

Pytanie, czy wydatki zasilają produkcyę, należy do bardzo zawiłych. W wydatkach należy odróżnić dwie strony zupełnie różne: konsumcyę w właściwem tego słowa znaczeniu i przeniesienie własności pieniędzy, które mają tę konsumcyę opłacić.

Widoczną jest rzeczą, że konsumcya nie wytwarza niczego, a nawet często polega na zniszczeniu dóbr. Mimo to nie jest ona bezużyteczną dla produkcyi, gdyż stanowi jedyną jej racyę bytu.

Konsumcya jest celem i ostateczną przyczyną produkcyi. Gdybyśmy przestali konsumować, zaprzestalibyśmy wytwarzać; nie sianoby zboża, gdyby się niem nie żywiono. Lecz z tego, że konsumcya jest ostateczną przyczyną produkcyi, nie wynika bynajmniej, ażeby stanowiła jej przyczynę twórczą. Jedynymi czynnikami produkcyi są praca, ziemia i kapitał — a jasną jest rzeczą, że konsumcya nie może ich ani stworzyć, ani nawet powiększyć. Wręcz przeciwnie, konsumcya pracuje bezustannie nad niszczeniem tego, co tamte wytwarzają, nad wypróżnieniem zbiornika, który one napełniają. Gdyby ten zbiornik zasilały dopływy, któreby były tem potężniejsze, im więcejby z niego wybierano, możnaby utrzymywać, że tem znaczniejszą będzie produkcya, im większa jest konsumcya. Tak jednak nie jest. Nikt nie zechce twierdzić, że ten sad da tem więcej owoców, im więcej ich zerwiemy, że morze będzie żywić tem więcej ryb, im więcej ich wyłowimy, a las będzie tem wyższy i gęstszy, im więcej spalimy drzewa.

Inna jest rzecz z przeniesieniem własności pieniędzy, które umożliwiły nam konsumcyę, bo one rzeczywiście nie niweczą się lecz zasilają produkcyę, umożliwiając odnowienie kapitału obrotowego i dalsze prowadzenie działalności wytwórczej. Przedsiębiorca musiałby zamknąć swą fabrykę, gdyby ustały wydatki jego odbiorców. Konsument,

zmieniając rodzaj swych wydatków i używając w odmienny sposób swych pieniędzy, może odebrać kapitał i pracę gałęziom, w których były zajęte dotychczas i zwrócić je ku innym. W ten sposób oddziałowuje on w stanowczy sposób na czynniki produkcyi i staje się prawdziwym jej kierownikiem. To też dla bogatych powstają stąd obowiązki i odpowiedzialność społeczna, dzisiaj niestety mało jeszcze zrozumiana.

Człowiek, który układa swój plan gospodarczy, musi przedewszystkiem ocenić swe potrzeby, od których zależy całe jego postępowanie. Nie żądają one pracy, produkcyi lub dochodów, lecz wprost zaspokojenia, zużycia odpowiednich środków. Z potrzeb więc wypływa dążenie do konsumcyi jako bezpośredni i konieczny ich skutek. Dopiero teraz przychodzi kolej na produkcyę i to w dwojakiej formie: albo gospodarz, chcąc uzyskać niezbędne dlań dobra, stara się je wytworzyć lub nabyć w drodze kupna, albo też produkcya ma mu posłużyć do otrzymania dochodów, któreby umożliwiły konsumcyę. Działalność wytwórcza jest więc zawsze skutkiem zużycia; w pierwszym wypadku sam gospodarz produkuje lub swym popytem skłania innych ludzi do pracy, ponieważ jego potrzeby nie znajdują właściwych środków; w drugim produkcya ma go uzdolnić do walki na targu. Pierwszą drogę możnaby nazwać pierwotną, gdyż ona tworzy produkcyę tych tylko dóbr, których w danej chwili potrzebujemy; druga byłaby pochodną lub pośrednią, albowiem na jej wybór wpływają obok konsumcyi jeszcze stosunki wymienne, a decyduje ona o produkcyi wogóle, nie oznaczając jakości towarów, które należy wytworzyć. Praca i dochody mają dla człowieka o tyle tylko znaczenie, o ile pozwalają mu na lepsze i dokładniejsze zaspokojenie potrzeb. Wskutek tego wartość tych czynników zależy wyłącznie od konsumcyi; można je usprawiedliwić ze stanowiska gospodarczego tylko o tyle, o ile ją ułatwiają, należy je stanowczo potępić, jeżeli nie mają na nią żadnego wpływu. Stąd też konsumcya jest najważniejszym rezultatem ekonomicznej działalności; ona dopiero nadaje wszystkim innym objawom gospodarczego życia ich właściwy, korzystny lub szkodliwy charakter.

Ogół przeto czynności ekonomicznych dzieli się na dwie wielkie części, wywołane zarówno potrzebami ludzkiemi: na produkcyę i konsumcyę. Podczas gdy konsumcya decyduje o rozwoju działalności wytwórczej, produkcya jest czynnikiem drugorzędnym, który tylko pośrednio może wpłynąć na zmianę lub wzrost konsumcyi. Zasadniczą przyczyną całej gospodarczej pracy są potrzeby ludzkie. Nie żądają one nigdy produkcyi, lecz dostarczenia odpowiednich środków, któreby je zdołały zaspokoić, domagają się konsumcyi i kształtują ją odpowiednio do swej siły i ilości. Dopiero wówczas przychodzi kolej na produkcyę, gdy musi się pracować nad wytworzeniem dóbr, których niepodobna uzyskać w inny sposób. Produkcya jest tu więc wynikiem konieczności konsumcyi, jest tylko ciężarem gospodarczym. Tak jak podejmujemy się pewnych trudów jedynie ze względu na nasze potrzeby, tak też wytwarzamy dobra tylko o tyle, o ile są niezbędne dla konsumcyi; produkcya zależy bezwarunkowo od konsumcyi.

Bardzo często spotykamy się ze zdaniem, że produkcya ma również siłę twórczą, bo nowe dobra wywołują nowe pragnienia. Niepodobna się zgodzić na powyższą doktrynę; produkcya nie posiada nigdy bezpośredniego wpływu na konsumcyę, która zależy wyłącznie od potrzeb ludzkich. Wprawdzie powstanie nowych lub rozszerzenie dawniejszych gałęzi wytwórczych podnosi zużycie odnośnych towarów, lecz jest to tylko pośredni wynik produkcyi, często nawet za-

leżny nie od niej, lecz od stosunków wymiennych. Wzrost produkcyi albo daje nowe dobra, albo zwiększa ilość dawniejszych. W jednym i drugim wypadku konsumcya pozostaje i nadal niezależną od produkcyi, chociażby nawet równej uległa zmianie. Nowym dobrom może wprawdzie towarzyszyć ukazanie się na targu odpowiednich im potrzeb, których nie było przedtem, możemy więc zauważyć nowy rodzaj zapotrzebowania i konsumcyi, lecz mamy tu tylko do czynienia z powstaniem potrzeb wskutek poznania nowych dóbr, czyli z rozszerzeniem naszych żądań pod wpływem zwiększenia naszego doświadczenia. Potrzeb tych nie zaliczaliśmy przedtem do naszych wymagań w przekonaniu, że niepodobna ich zaspokoić, nowe odkrycie znalazło dla nich odpowiednie środki, pragniemy przeto je zużyć. Lecz o konsumcyi nie decyduje tu produkcya tylko potrzeba; gdyby tej nie było, wytworzenie nowych dóbr nie miałoby najmniejszego znaczenia. W drugim wypadku, w razie zwiększenia się ilości znanych już towarów, produkcya umożliwia jedynie zaspokojenie potrzeb istniejących oddawna, znowu więc nie wpływa twórczo na konsumcyą, lecz tylko zwiększa koła konsumentów zdolnych do kupna. Nie jest to nawet skutek samej produkcyi, lecz jedynie stosunków wymiennych. Wzrost zapasów obniża ich cenę, dlatego też nawet klasy uboższe mogą nabywać przedmioty, które dawniej były dla nich zbyt drogie. Wkońcu zdarza się niekiedy, że nie umiemy dokładnie określić naszych wymagań, że nie zdajemy sobie sprawy z naszych żądań. Istnieją pewne nieokreślone pragnienia o charakterze ogólnym, wywołane najczęściej nadmiarem dochodów. Producenci starają się ze wszelkich sił je poznać i dostarczyć im odpowiednich środków, jeżeli im się to uda, znajdą licznych odbiorców. Lecz i tutaj produkcya nie stworzyła ani

potrzeb ani konsumcyi, tylko potrafiła ująć i ocenić odczuwane instynktownie prądy.

II.

Wspólna konsumcya.

Jeden tylko jest środek zmniejszenia wydatków, bez ograniczenia konsumcyi, t. j. bez zmniejszenia ilości lub jakości konsumowanych przedmiotów, a jest nim instytucya stowarzyszeń.

1) Wspólne prowadzenie gospodarstwa domowego. Jeśli więcej osób zawiąże stowarzyszenie, by mieć tylko jeden dom, jedno ognisko i wspólny stół, to znajdą w tem środek pozyskania dla siebie tego samego zaspokojenia potrzeb przy znacznie niższych wydatkach. Wspólne życie zakonników po klasztorach, żołnierzy po koszarach, studentów po pensyach jest tego codziennym przykładem. Skąd to pochodzi? Z tych samych przyczyn, dla których produkcya na wielką skalę jest mniej kosztowną, niż produkcya odosobniona. Przyczyny te poznaliśmy już, a dadzą się one z małemi tylko zmianami odnieść tak dobrze do konsumcyi, jak i do produkcyi.

Komuniści nie omieszkali wyprowadzić stąd wniosku, że dotychczasowy sposób życia społeczeństwa ludzkiego, to jest życie w zamkniętem kółku rodzinnem, powoduje nadmierne wydatki, będące prawdziwem marnowaniem dóbr i że stanowiłoby to ogromny postęp i prawdziwe dobrodziejstwo dla społeczeństwa ludzkiego, gdyby życie rodzinne zastąpiono wspólnie prowadzonem gospodarstwem. Najżywiej podniósł i rozwinął tę myśl *Fourier*[1]). Na nie-

[1]) Ogromne zaoszczędzenie, jakieby można osiągnąć z konsumcyi prowadzonej na wspólny rachunek, szczególniej co do usługi, pomieszkania i przyrządzania pożywienia, opisał w sposób bardzo żywy i zajmujący *Fourier* w swoim *Traité de l'association domestique-agricole* i uczeń jego *Considérant* w swoich *Destinées sociales.*

szczęście jednak, choć życie wspólne ma niezaprzeczenie pewne strony dodatnie, powodując wielkie zaoszczędzenie kosztów, to znów z drugiej strony ma ono tę niekorzyść, że przytłumia życie rodzinne, burząc ognisko domowe, jedną z pierwszych potrzeb i najgłówniejszych przyjemności życia ludzkiego.

2) Wspólne nabywanie. Nawet bez przymuszania się do wspólnego życia, można osiągnąć, przynajmniej częściowo, korzyści, połączone z wspólną konsumcyą. Większa lub mniejsza ilość osób łączy się, ażeby wspólnie, a więc na wielką skalę, kupować wszystkie lub niektóre tylko przedmioty ich konsumcyi, przez co otrzymuje je po niższych cenach.

Pierwszym założycielem tego rodzaju stowarzyszeń był Owen, lecz rozwój ich łączy się z historyą t. zw. Sprawiedliwych pionierów z Rochdale, związku utworzonego w r. 1844. W Anglii było w r. 1905 1469 takich stowarzyszeń, liczących 2,078.000 członków (wraz z rodzinami 10 do 12 milionów, a więc przeszło czwarta część całej ludności), o obrocie rocznym 60 milionów L. Odbywają one corocznie kongres i stanowią prawdziwą potęgę w państwie. Większa ich część jest sfederowana i połączona nietylko zarządem głównym *(Co-operatione Union)*, lecz także wspólnym centralnym składem towarów *(Wholesale)*, bankiem i dziennikiem, bijącym 60000 egzemplarzy. Centralny skład w Manchester zakupuje rocznie za przeszło 20 milionów L., posiada 8 okrętów, którymi sprowadza towary ze wszystkich krajów, zatrudnia 15000 urzędników i robotników, wreszcie produkuje we własnych fabrykach różne wytwory, o wartości 3,300.000 L. Roczny obrót banku wynosi 80 milionów L. W innych krajach stowarzyszenia te rozwijają się również bardzo dobrze, jakkolwiek na mniejszą już skalę.

Najznaczniejsza część tych stowarzyszeń należy do t. zw. typu rochdalskiego, który odznacza się następującymi zasadniczemi cechami: 1) sprzedaż za gotówkę,

a nigdy na kredyt; 2) sprzedaż po cenach małego handlu, tak ażeby mieć zysk, a nie według własnych kosztów; 3) rozdział najznaczniejszej części zysków pomiędzy członków, w stosunku do poczynionych zakupów, a nie w stosunku do wkładek, od których opłaca się tylko mierny procent; 4) przeznaczenie pewnej części zysków na zakłady i środki użyteczności publicznej jak kształcenie członków, szerzenie idei solidarności i t. d.

Bezpośrednie rezultaty tych instytucyi są następujące:

1) Zmniejszenie wydatków, jeżeli stowarzyszenia sprzedają po własnych kosztach, lub przeprowadzenie oszczędności, bez odmówienia sobie czegokolwiek, gdy zyski rozdzielą się z końcem roku;

2) Usunięcie fałszowania środków spożywczych, a stąd pożywienie zdrowsze i obfitsze;

3) Usunięcie reklamy i oszustwa w jakiejkolwiek formie, przez co podnosi się poziom moralności publicznej.

O ile jednak rozwój stowarzyszeń spożywczych będzie i nadal tak szybki, jak w ciągu ostatnich lat pięćdziesięciu, pociągnie za sobą skutki ogromnie doniosłe, bo doprowadzi do przemiany naszego ustroju gospodarczego. Mianowicie można się spodziewać w tym razie:

1) Stopniowego usunięcia pośrednictwa handlowego.

2) Stopniowego usunięcia samoistnych przedsiębiorstw, wraz z ich zyskami i dywidendami, w miarę tego, jak stowarzyszenia spożywcze będą wytwarzać we własnym zakresie potrzebne im przedmioty.

3) Zmniejszenia liczby wielkich fortun, bo powoli znikną źródła, które je zasilają, a pomnożenia drobniejszych majątków, wskutek oszczędności współdzielczej.

4) Utrzymania równowagi pomiędzy produkcyą a konsumcyą i uchylania tak przesileń jak i bezroboci, bo stowarzyszeni konsumenci nie będą wytwarzać więcej, niż im potrzeba.

III.

Mieszkanie.

Szczególniejszą uwagę należy zwrócić na wydatki na mieszkanie, raz dlatego, że zabierają one coraz znaczniejszą część dochodów, przedewszystkiem jednak z tego powodu, że posiadają największą doniosłość społeczną ze wszystkich potrzeb prywatnych.

Własność domów prywatnych rozwija się w jeszcze wyższym stopniu, jak własność ziemi w kierunku monopolu; wszystkie przyczyny społeczne, ekonomiczne i polityczne, które popychają ludność do skupiania się po wielkich miastach — centralizacya polityczna, wielka produkcya, rozwój kolei żelaznych, uroczystości, teatr, kawiarnie — działają na bezustanne zwiększanie się ceny mieszkań; przynosi to wielkie zyski właścicielom domów, ale zarazem wielką szkodę publiczności. Jest to jeden z najsmutniejszych wyników rozwoju ekonomicznego.

W starożytności nie znano wynajmowania mieszkań; dom był nietylko ogniskiem rodziny, lecz także ołtarzem bogów domowych, a każdy, bogaty czy ubogi, posiadał swój dom. Dziś, gdy dzięki nowożytnym wymaganiom ludzie napowrót zaczynają wieść życie koczownicze i nie osiedlają się w miejscu rodzinnem, olbrzymia większość społeczeństwa żyje w wynajętych mieszkaniach.

Bogatym nie robi to różnicy, potrafią się łatwo zastosować do tego, ale biedni źle na tem wychodzą. Wzrost ceny mieszkań zmusza robotników do gromadzenia się w nędznych dziurach i wywołuje smutne skutki, czy to ze stanowiska hygieny, czy też ze stanowiska moralności. Wiele wad, prześladujących ludność robotniczą, rozluźnienie węzłów rodzinnych, uczęszczanie do karczmy, przedwczesna rozpusta, a nawet kilka plag, które trapią społeczeństwo, np. śmiertelność i epidemie, pochodzi z tej przyczyny. Życie, godne człowieka, jest zresztą ściśle związane z pewną wygodą ogniska domowego.

Jedynem zbawiennem lekarstwem byłby zwrot w kierunku wprost przeciwnym dotychczas panującemu, to jest powstrzymanie wzrostu wielkich miast i powrót na wieś ludności, która opuściła rolę. Na razie nic nie zapowiada blizkiego urzeczywistnienia podobnej przemiany, nie należy jednak tracić nadziei, albowiem ciągle zwiększająca się liczba tanich środków komunikacyjnych, pociąga za sobą pewien prąd odśrodkowy, umożliwiając robotnikom wyszukanie lepszego i tańszego mieszkania poza obrębem wielkich miast. Widzimy to już dzisiaj w wyludnianiu się stopniowem śródmieścia, zwykle najdroższego, na rzecz dzielnic przedmiejskich, wprawdzie odleglejszych lecz tańszych.

Tymczasem jednak należy szukać innego lekarstwa, a najlepszem jest bezwątpienia budowanie domów mieszkalnych dla robotników, które z czasem stałyby się ich własnością, przez drobne upłaty amortyzacyjne, składane wraz z czynszem.

Istnieje pięć różnych sposobów, zapomocą których dochodzimy do tego rezultatu:

1. Utworzenie stowarzyszeń na pół filantropijnych, na pół kapitalistycznych, które, z góry już zadawalając się drobnym, nie mogącym przejść pewnej granicy zyskiem, np. cztery procent, budują dogodne i zdrowe domy dla robotników. Pewna liczba takich stowarzyszeń istnieje we Francyi, a jednem z najdawniejszych i najsławniejszych jest stowarzyszenie Dolfussa w Dornbach pod Mylhuzą. Do tej samej kategoryi można zaliczyć domy robotnicze, zbudowane przez wielkich przedsiębiorców, ażeby mieć w pobliżu swych robotników; najsławniejszym tego przykładem jest całe miasto robotnicze pod Chicago, Pullman-City, stworzone przez Pullmana, fabrykanta wagonów amerykańskich. Socyaliści nienawidzą podobnych stosunków, albowiem ich zdaniem, przedsiębiorca robiąc z robotnika swego lokatora, odbiera mu wszelką niezależność i wskrzesza dawne niewolnictwo.

2. Utworzenie towarzystw współdzielczych,

założonych przez samych robotników, którzy życzą sobie wygodnego i taniego mieszkania. Jest ich bardzo mało we Francyi, ale są bardzo liczne w Angli i w Stanach Zjednoczonych; w mieście Filadelfii, które otrzymało z tego powodu piękną nazwę *City of Homes*, wzniosły one więcej jak 60.000 domów, każdy zamieszkały przez robotniczą rodzinę [1]).

3. Fundacye wieczyste, przeznaczone dla budowania domów robotniczych, z których dochód ma być użyty znowu do budowy nowych domów robotniczych. Typem tego rodzaju jest sławna fundacya Peabody w Londynie, która istnieje 40 lat, a której 6.000 mieszkań mieści dziś 20.000 lokatorów.

4. Budowanie domów przez zarządy miejskie. Miasta: Berno, Glasgow i inne poszły tym torem. Tego rozwiązania naturalnie domaga się szkoła socyalistyczna. Chciałaby je uogólnić i rozciągnąć na wszystkie mieszkania tak, aby miasto zostało właścicielem wszystkich domów i wynajmowało je po cenie kosztów [2]). W Londynie wydano na ten cel 2,000.000 L, za które zbudowano domy, mieszczące 30.000 osób.

5. Budowa domów przez współdzielcze stowarzyszenia spożywcze, dla swoich członków. Ponieważ stowarzyszenia te zaspokajają rozmaite inne potrzeby, niema więc powodu, ażeby nie zajęły się także dostarczeniem mieszkania. Angielskie stowarzyszenia spożywcze zbudowały już domy dla przeszło 37.000 osób.

6. Przemiana dziś istniejących mieszkań na czyściejsze i tańsze i niejako wykształcenie w ten sposób klasy robotniczej, która ma je zamieszkać. Ten system, skromniejszy w swych celach od poprzedniego, łączy się ściśle z imieniem Miss Oktawii Hill, która go wprowadziła w życie w Londynie, 35 lat temu, z uwielbienia godnem poświęceniem. Jest on przeznaczony dla klas najbiedniejszych. Miss Oktawia Hill zrobiła bardzo słuszną uwagę, że nie służyłoby do niczego robienie biednych ludzi właścicielami, a nawet lokatorami pięknych apartamentów, jeżeli przedtem nie zmieni się ich przyzwyczajeń i nie wpoi się im poczucia potrzeby czystości i komfortu w ich *home*.

We wszystkich tych kombinacyach, z wyjątkiem ostatniej, można mieć na celu albo zrobienie robotnika właścicielem domu, lub zostawienie go lokatorem. Co jest więcej warte? Anglicy i Amerykanie wolą być właścicielami; Francuzi zaś nie dbają o to. Własność domu, mimo swych korzyści z punktu widzenia moralnego i ekonomicznego, ma także poważne niedogodności dla robotnika. Przywiązując robotnika do miejsca oznaczonego, pozbawia się go tej ruchliwości, która mu jest potrzebną do przenoszenia się tam, gdzie jego praca ma więcej popytu, a więc robi się go bardziej zależnym od pracodawcy.

---

[1]) Organizacya tych towarzystw, nazwanych *building societes*, jest bardzo skomplikowana. W ogólności nie podejmują się one same konstrukcyi domów, ale pożyczają tylko pieniądze, aby je budowano w bardzo oszczędny i dobrze obmyślany sposób, a pożyczki te służą jako wkładki oszczędnościowe klasy robotniczej; wskutek tego towarzystwa te funkcyonują jak kasy oszczędności.

[2]) Szkoła kolektywistów żąda nawet, aby państwo lub gminy wywłaszczyły (z odszkodowaniem lub bez niego) wszystkich właścicieli domów na to, aby je potem wynajmywać, po cenie kosztów lub darmo; jest to zastosowanie do własności miejskiej systemu unarodowienia ziemi. Na to trzeba odpowiedzieć: 1) że jeżeli państwo nie każe sobie płacić czynszu, to zrujnuje się, a co więcej, powiększy dziś już i tak nadmierną przewagę wielkich miast, bo w dniu, w którym będzie można mieszkać darmo w Paryżu, niewiele osób będzie chciało mieszkać gdzieindziej; 2) jeżeli przeciwnie państwo zmuszać będzie swych lokatorów do płacenia punktualnie czynszu, możemy być pewni, że stanie się prędko tak niepopularnem, jak właściciele dzisiejsi i że będzie mu jeszcze trudniej wydobyć swoje czynsze.

IV.

Zakłady i usługi gminne.

Gmina jest stowarzyszeniem, o tyle odmiennem od innych, że należy się do niego na mocy urodzenia lub zamieszkania, a nie wskutek dobrowolnego przystąpienia. Aż do ostatnich czasów gmina była jedynie stowarzyszeniem politycznem, obecnie jednak staje się zarazem coraz więcej stowarzyszeniem gospodarczem, zbliżonem do towarzystw spożywczych. W istocie, jako stowarzyszenie gospodarcze, dąży gmina do zaspokojenia potrzeb swych mieszkańców najmniejszym kosztem i w możliwie najdogodniejszy sposób. Po koniec XIX stulecia gminy pozostawiały to zadanie przedsiębiorstwom prywatnym. Dzisiaj jednak, pod naciskiem rozmaitych czynników, poczynają wychodzić z dotychczasowej swej rezerwy i starają się już bezpośrednią swą działalnością zaspokoić niektóre potrzeby swych członków. Przyczyny tej zmiany stanowiska są następujące:

1. Niektóre przedsiębiorstwa, służące pewnym potrzebom mieszkańców, jak wodociągi, oświetlenie, tramwaye, czyszczenie ulic i kanałów i t. p., powinny być monopolem, wskutek swej natury. Rzeczywiście, dopuszczenie wolnej konkurencyi byłoby tu nierozsądne i bardzo kosztowne, gdyż trzebaby przeprowadzić w ulicach wielokrotną kanalizacyę. Prawda, że można niekiedy podzielić miasto na sekcye, lecz wtedy każda sekcya stanowi odrębny monopol. System monopolu polega na udzieleniu przez zarząd gminy koncesyi, w której oznaczone są przepisy, do których uprawniony musi się zastosować. Otóż gminy przychodzą prędzej lub później do przekonania, że zamiast udzielać koncesyi, lepiej jest prowadzić przedsiębiorstwo na własny rachunek, bo, jeżeli ma już być monopol, niechaj przynosi korzyść wszystkim, a nie samym tylko akcyonaryuszom. W ten sposób monopolizuje się coraz częściej prawo doprowadzania wody, siły wodnej, gazu,

elektryczności i środków przewozowych miejskich i podmiejskich.

2. Nawet tam, gdzie chodzi o zaspokojenie potrzeb, przy których nie musi się uciekać do monopolu, gminy okazują tendencyę do podjęcia się tego zadania, jeżeli tylko potrzeby te są tak doniosłe i posiadają tak ogólny charakter, że można się powołać na dobro ogółu, hygienę lub bezpieczeństwo publiczne. Tutaj należy leczenie chorych, chowanie zmarłych, apteki, mieszkania, dostarczenie mleka dzieciom i t. d. Dosyć wielka liczba miast zaszła już daleko na tej drodze, szczególniej w Anglii, Stanach Zjednoczonych, w Niemczech i Szwajcaryi. Skoro tylko w pewnych dzielnicach stopa śmiertelności jest znaczna, burzy się je zupełnie i zastępuje nowemi. Niektóre, jak dotąd nieliczne jeszcze miasta potworzyły nawet gminne piekarnie i rzeźnie, ponieważ przemysł dostarczał ludności środków pożywienia na zbyt ciężkich warunkach. Jasną jest rzeczą, że w tym wypadku gminy różnią się od stowarzyszeń spożywczych tem tylko, że są organizacyą przymusową dla wszystkich mieszkańców.

3. Wkońcu wiele gmin skłania do takiej polityki interes skarbowy, spodziewają się bowiem, że zysk z przedsiębiorstw gminnych, pozwoli im na pokrycie rosnących ciągle wydatków, bez nałożenia nowych podatków. Doświadczenie jednak uczy, że nadzieja ta zawodzi niejednokrotnie. Wprawdzie wiele gmin angielskich uzyskało w swych przedsiębiorstwach nowe źródła znacznych dochodów, lecz nie należy na to zbytnio rachować, bo najpierw gospodarka czynników publicznych jest zwyczajnie droższa od prywatnej, a powtóre dlatego, że skoro tylko ukażą się zyski, opinia publiczna domaga się zaraz obniżenia cen. Ponieważ konsumenci są zarazem wyborcami, więc nacisk ich jest skuteczny, tak, że wszystkie odpłatne usługi gminne muszą zmieniać się stopniowo w darme.

Przyczyny te wyjaśniają i usprawiedliwiają dostatecznie rozwój zakładów i usług gminnych, a nie ulega

wątpliwości, że pójdziemy po tej drodze coraz dalej. Gdyby doszło kiedyś do zagarnięcia przez gminy wszystkich przedsiębiorstw prywatnych, mielibyśmy do czynienia z kolektywizmem. Nie jest to prawdopodobnem, mimo że spodziewają się tego socyaliści, a obawiają ekonomiści liberalni. W każdym razie, nawet postępując naprzód w tym kierunku, pociągnie się granicę pomiędzy potrzebami wspólnemi wszystkim, których zaspokojenie będzie należało do zakresu działania gminy i potrzebami indywidualnemi, lub przynajmniej pojawiającemi się tylko u pewnych kategoryi osób, których pokrycie pozostanie i nadal dziedziną przedsiębiorstw prywatnych lub dobrowolnego współdziałania.

V.

Kredyt spożywczy.

Poznaliśmy poprzednio liczne zakłady kredytowe, które mają dopomódz produkcyi, dlaczegoż więc nie miałyby istnieć podobne instytucye dla ułatwienia konsumcyi? Jeżeli kredyt może być niezbędny dla dostarczenia narzędzi, może być również konieczny, gdy chodzi o dostarczenie człowiekowi chleba, za nim znajdzie pole do jego zapracowania.

W istocie, kredytu spożywczego używa się w bardzo wielkich rozmiarach, nietylko pomiędzy robotnikami, lecz nawet w warstwach zamożnych, tak, że wielu dostawców sprzedaje prawie tylko na kredyt. Mimo to zwyczajnie potępia się kredyt spożywczy, jako dowód ruiny materyalnej, a nawet i moralnego upadku tych, którzy z niego korzystają. Stowarzyszenia spożywcze odmawiają, jak widzieliśmy, z zasady kredytu, sprzedając tylko za gotówkę.

Rzeczywiście kredyt spożywczy przedstawia następujące, bardzo poważne braki:

1. Skłania konsumentów do czynienia wydatków, po-

zwalając zadowolić pragnienia bez żadnej natychmiastowej ofiary. Szczególniej nieprzezorny nabywca — jak n. p. kobiety, które najczęściej czynią zakupna — z trudnością tylko przezwycięży pokusę kupienia przedmiotu, który mu się podoba, nie wydając ani grosza.

2. Robi konsumenta prawdziwym niewolnikiem swego dostawcy, szczególniej gdy konsument jest tak ubogi, że nie może się wypłacić. Rzeczywiście, nie może on już kupować w innym sklepie; musi zadowolić się najgorszymi towarami i godzić się na wszelkie podniesienie ceny. Nawet ludzie bogaci, którzy kupują na kredyt, narażają się na podobny wyzysk ze strony dostawców.

3. Naraża kupców na stratę procentu od wartości towarów, sprzedanych na kredyt, jak i na utratę kapitału, gdy odbiorca nie uiści swego długu. Muszą więc zrównoważyć to niebezpieczeństwo premią ubezpieczenia, pobieraną w kształcie wyższych cen, którą opłacają wszyscy, nawet punktualni nabywcy, tak że za złych płacą dobrzy klienci.

Pomimo tych braków, nie można potępić ogólnie wszystkich przejawów kredytu spożywczego.

Kupno na kredyt przedmiotów codziennego zapotrzebowania i towarów o małej wartości, da się usprawiedliwić tylko wyjątkowemi okolicznościami, jak n. p. bezrobociem; na nieszczęście wypadki, zmuszające do kupna na kredyt, zdarzają się często w rodzinach robotniczych.

Natomiast o ile chodzi o nabycia towarów drogich, których zużycie jest powolne, n. p. mebli lub odzienia, kupno na kredyt przedstawia się nieraz jako jedyny sposób ich uzyskania i może oddać bardzo wielkie usługi. Młodzi ludzie, którzy nie mają pieniędzy na nabycie mebli, nie pobiorą się lub będą mieszkać w hotelu, co jest zawsze kosztowne. Łóżko i stół są czasem kapitałami, równie niezbędnymi dla założenia gospodarstwa, jak maszyna do szycia lub warsztat tkacki, a tem samem kredyt, jest tak samo uzasadniony w pierwszym wypadku, jak w drugim.

Przytem meble i ubrania kupuje się zwyczajnie na raty, t. j. drobne spłaty tygodniowe lub miesięczne, rozłożone na dłuższy okres czasu. W tym wypadku kupno na kredyt przybiera charakter pewnego rodzaju oszczędności. Zamiast skłaniać rodzinę robotniczą do wydatków, zmienia on jej pieniądze, które w innym razie rozeszłyby się prawdopodobnie nieproduktywnie, w przedmioty trwałe, które mogą w dniach niedostatku dostarczyć środków utrzymania, gdy się je zaniesie do zakładu zastawniczego.

Zakłady zastawnicze służą również kredytowi spożywczemu. Są to banki udzielające zaliczek tym, którzy potrzebują pieniędzy na utrzymanie. Dłużnik zrzeka się zaspokojenia potrzeby zbędnej lub mniej ważnej, ażeby pokryć inną, naglejszą. Zastawia obrączkę ślubną, zegarek, nawet pościel, ażeby kupić pożywienie. Zakłady te, które powstały w XII wieku we Włoszech i posiadały charakter religijny (stąd pochodzi nazwa banków pobożnych), są dzisiaj instytucyami dobroczynnemi, zostającemi pod nadzorem organów publicznych. Pożyczają tylko na zastaw, bo dłużnik nie przedstawia, wskutek swego położenia materyalnego, bezpieczeństwa osobistego i pobierają procent, który jakkolwiek pokrywa tylko ich koszta, jest jednak dość wygórowany, bo koszta te — oszacowanie i przechowywanie zastawów, szczególniej rachunkowość — są znaczne. Jeżeli udzielonej pożyczki nie zwróci się w terminie, który zresztą można przedłużać w nieskończoność, przez odnawianie zastawu za opłatą procentów, zakład sprzedaje zastaw, a jeżeli pozostanie jakaś nadwyżka, zwraca ją dłużnikowi [1]).

Ogromny obrót w zakładach zastawniczych dowodzi najlepiej, że odpowiadają one istotnie potrzebom społecznym.

[1]) Wszystko to odnosi się tylko do t. zw. banków pobożnych lub oddziałów zastawniczych przy kasach oszczędności. Obok tego istnieją jednak zakłady zastawnicze, obliczone na zysk, które czasami uprawiają wprost lichwę. (Przyp. tłum).

Dochody warstw ubogich, a nawet i wielu osób zamożniejszych, są rozłożone nierówno; zastawia się więc w dniach niedostatku, wykupuje w chwilach pomyślniejszych. Zakłady zastawnicze spełniają tu niejako funkcyę wyrównawczą.

VI.

Zbytek.

W codziennem życiu uważamy za zbytek wszelkie nadmierne wydatki, przykładając do nich naszą osobistą miarę, oceniamy więc sposób życia innych ludzi ze stanowiska naszych własnych potrzeb. Człowiek oszczędny zalicza już te wydatki do zbytecznych, które inny gospodarz uważa za konieczne; ubodzy zarzucają bogatym zbytek już tam, gdzie, zdaniem innych, zaspokaja się tylko niezbędne potrzeby. W nauce również używa się dla określenia zbytku dwóch norm zupełnie odmiennych; za miarę zdrowej konsumcyi przyjmuje się bądź zwyczajne potrzeby większości członków społeczeństwa, bądź też wymagania pewnych warstw ludności. W pierwszym wypadku mamy do czynienia ze zbytkiem w znaczeniu obszerniejszem, w drugim zakreślamy temu pojęciu ściślejsze granice. Oczywistą jest rzeczą, że nie chodzi nigdy o rzeczywiste zaspokojenie potrzeb, lecz tylko o dążność do tego celu; nawet pisarze, którzy uważają za zbytek wszystkie potrzeby przechodzące zwyczajną miarę społeczną, zaliczają doń tylko takie wydatki, którychby szerokie warstwy ludności nie znały, choćby nawet posiadały dostateczną siłę gospodarczą na ich pokrycie. Uwzględnienie faktycznych stosunków jest ze stanowiska naukowego wprost niemożliwe, albowiem w takim razie oceniałoby się wartość pojęć

ekonomicznych na podstawie czynników zmieniających się bezustannie. Dlatego też zbytek nie określa się rzeczywistym lecz upragnionym zaspokojeniem potrzeb; biorąc za podstawę wymagania ogólne nazywamy zbytkiem wszelką konsumcyę, której nie pożąda ogół społeczeństwa, przyjmując za normę potrzeby klasowe, zaliczamy do zbytkownych wydatków wszelkie przekroczenie indywidualne zapatrywań danej warstwy ludności.

Jedno i drugie pojęcie jest równie dobre, lecz ocena gospodarcza zbytku zależy od tego, czy go pojmujemy jako nadwyżkę potrzeb indywidualnych ponad klasowe, czy też tylko jako nadwyżkę potrzeb klasowych ponad społeczne. W pierwszym wypadku możemy się oświadczyć już z góry przeciw nadmiernym osobistym wydatkom, możemy je uznać za bezużyteczną rozrzutność i starać się je powstrzymać; w drugim potępienie zbytku zależy od dokładnego zbadania potrzeb klasowych. Dopiero jeżeli te potrzeby uznamy za nieuzasadnione, możemy zwalczać wywołaną przez nie konsumcyę; jak długo ich nie znamy, niepodobna wyrobić sobie zdania o zbytkowych wydatkach, bo niektóre ich rodzaje mogą być korzystne, inne szkodliwe. Zasadnicze potępienie takiej konsumcyi byłoby błędnem już dlatego, że potrzeby ludzkie zwiększają się bardzo prędko wskutek wzmnożenia się siły gospodarczej różnych warstw ludności. Wprawdzie w dzisiejszych stosunkach większość społeczeństwa nie rozumie doniosłości i korzyści wydatków klas zamożniejszych, lecz niepodobna przewidzieć, czy warstwy średnie i niższe, w razie podniesienia się ich dobrobytu, nie odczułyby takich samych potrzeb. Zbytek indywidualny da się ocenić z pewną ścisłością, gdyż porównywa się jednostki żyjące w podobnych stosunkach społecznych i materyalnych, jeżeli więc spostrzegamy pewne wydatki tylko u niektórych

gospodarzy, podczas gdy inni, ekonomicznie równie silni ich nie czynią, możemy przypuścić, że mamy tu do czynienia z potrzebami ściśle osobistemi, przechodzącemi zwykłą miarę; natomiast przeciwstawiając potrzeby ogólne klasowym, nie możemy ocenić uczuć wewnętrznych, stanowiących o potrzebach ludzkich, albowiem niezaspokojenie ich może być wynikiem braku dostatecznych dochodów.

W zwykłem tego słowa znaczeniu nazywamy zbytkiem zaspokojenie potrzeby zbytecznej. Definicya ta nie mieści w sobie potępienia. Powinniśmy pragnąć, aby każdy, nawet najuboższy miał coś ponad niezbędne potrzeby, a więc aby mógł zaspokoić pewne potrzeby zbytkowne. Zbytek widzimy nawet w przyrodzie — w barwach kwiatów i drobnych owadów. Można nawet powiedzieć, że zbytek jest dźwignią cywilizacyi, koniecznym bodźcem postępu, że w życiu ludzkiem każdy postęp objawia się najprzód w postaci jakiejś potrzeby zbytkowej, że więc zbytek jest konieczną fazą postępu. W istocie każda potrzeba, występująca po raz pierwszy na widownię tego świata, musi wydać się niezwykłą, raz dlatego, że jej nikt jeszcze nie odczuł, a powtóre, ponieważ wymaga znacznej pracy na swe zaspokojenie, bo produkcya w tym kierunku słabo jest rozwinięta, oraz z powodu koniecznych nieudałych prób z początku. Dziś n. p. bielizna stanowi przedmiot, bez któregobyśmy się obejść nie mogli, a wyrażenie: »mam ledwie tę jedną koszulę«, używane bywa na oznaczenie ostatniego ubóstwa. Tymczasem, jak to już z góry można było przypuścić, historya uczy, że były czasy, w których koszula stanowiła przedmiot wielkiego zbytku i podarunek niemal królewski. Gdyby więc właściwem i słusznem było zapatrywanie poprzód przytoczone, potępiające każdą potrzebę zbytkową, to stłumionoby w zarodku wszystkie potrzeby właściwe człowiekowi cywilizowanemu i dziś jeszcze żylibyśmy wśród

tych samych stosunków, co przodkowie nasi z epoki kamiennej.

Zbytek jednak można rozumieć także inaczej, w złem jego znaczeniu. W tym wypadku — a jest to prawdziwa, o wiele ściślejsza od poprzedniej jego definicya — zbytkiem nazywamy pewną nierównomierność między zużyciem dóbr z jednej strony, a pracą zużytą na ich wytworzenie i zadowoleniem płynącem z ich konsumcyi z drugiej. W tym razie zbytek należy potępić bezwarunkowo, gdyż niszczy bezużytecznie dobra lub pracę, stoi w sprzeczności z istotnem pojęciem racyonalnej konsumcyi, która powinna jak najlepiej zużytkować dobra; jest niczem innem jak rozrzutnością, podpada więc tym samym co ona zarzutom. Mianowicie można tu podnieść, że ilość dóbr istniejących jest niedostateczna dla zaspokojenia choćby tylko najkonieczniejszych potrzeb przeważnej większości bliźnich, że więc wskutek tego należy się starać o możliwie największe pomnożenie tych zasobów, któreby pozostały do rozporządzenia, a nie czerpać z nich tak zupełnie dowolnie na zaspokojenie wybujałych fantazyi; że siły produkcyjne, któremi możemy rozporządzać, są wogóle ograniczone i że, jeżeli części dóbr użyjemy na produkcyę przedmiotów zbytkownych, to tem mniej zostanie ich na produkcyę środków żywności, stanowiących przedmiot konsumcyi ogółu.

Weźmy kilka przykładów. Nie ulega wątpliwości, że potrzeba kwiatów stanowi zbytek dawniej nieznany, ale dobry i miły, dostępny ubogim. Jeżeli jednak ubierze się salony kwiatami z Borneo i Madagaskaru, kosztem wypraw pochłaniających setki tysięcy, a nawet życie wielu ludzi — albo jeżeli w cieplarniach pali się więcej węgla, niż potrzeba go dziesięciu rodzinom na całą zimę, wtedy ten zbytek należy potępić. Jeżeli jakaś pani nosi suknię, kosztującą 1500 kor. dlatego, że wyszła z słynnej pracowni, niema w tem nic złego, bo nie spowodawało to ani nadmiernego zniszczenia materyału, ani nadmiernej pracy, a pieniądze

przeszły tylko z rąk do rąk. Jeżeli jednąk ta dama każe obszyć swą suknię balową koronkami, które przedstawiają kilkuletnią pracę robotnicy, lub gdy lord angielski dla zabawy swych gości, by ci mogli zastrzelić kilka bażantów, zajmuje na zwierzyniec obszar ziemi, któryby mógł służyć do produkcyi żywności dla kilkuset osób — to wtedy mamy prawo powiedzieć, że to jest potępienia godne marnowanie dóbr, gdyż o postępie niema tu mowy.

Wreszcie równie potępienia godny jest każdy wydatek, nie odpowiadający żadnej potrzebie, nie przynoszący żadnego zadowolenia, chyba tylko radość ze samego zniszczenia; gdy ponosimy wydatek dla niego samego, gdy zamiast być środkiem do celu, sam staje się celem.[1])

Słynna perła, którą Kleopatra rozpuściła w winie, nie zrobiła go lepszem; potrawa, którą Ezop kazał przyrządzić z języczków słowiczych i szpaczych, nie była z pewnością więcej soczystą i smaczną od takiejże potrawy, przyrządzonej z ptaków nieśpiewających. Nie potrzeba zresztą szukać przykładów tak daleko; każdy kto pije piwo, nie

[1]) Francya konsumuje rocznie około 150 milionów litrów wódki sprzedanej pod postacią około 10 miliardów kieliszków po dwa sous, co stanowi roczny wydatek dochodzący miliarda franków. Ale wydatek ten jest jeszcze nieznaczny w porównaniu do ogromnych strat, zrządzonych przez niezdolność do pracy, choroby, obłąkanie, zbrodnie i samobójstwa. Rosya, Niemcy, Belgia, Holandya i Szwajcarya konsumują jej jeszcze więcej. Pocieszającym objawem jest to, że »towarzystwa wstrzemięźliwości« sprowadziły znaczne już zmniejszenie się tej konsumcyi w Norwegii, Anglii i Stanach Zjednoczonych. Alkoholizm jest jedną z kwestyi, któremi się dziś społeczeństwa zajmują gorąco. Dla zwalczania alkoholizmu mamy obecnie następujące środki: 1) ustawy karne przeciw pijaństwu, rzadko tylko skuteczne, chyba, że jak w Danii karze się i sprzedającego, jako współwinnego; 2) zakaz sprzedaży napojów gorących, wprowadzony w różnych Stanach Ameryki północnej; 3) zastąpienie szynkarzy przez zarządców, osobiście nie zainteresowanych, sprzedających na rachunek towarzystw filantropijnych lub państwa; 4) towarzystwa wstrzemięźliwości, bardzo rozszerzone w Anglii i Stanach Zjednoczonych.

mając pragnienia lub pali papierosa, nie znajdując w tem przyjemności i robi to jedynie dlatego, że inni robią to samo, sprawia w małych rozmiarach zniszczenie dóbr, podobne do owego królowej Egiptu lub Ezopa; nawet źle wyraziłem się, mówiąc »w małych rozmiarach«, bo gdyby można zliczyć wszystkie rozrzucone po każdym kraju fakta podobnej konsumcyi, nie mającej na swe usprawiedliwienie żadnej przyjemności, to przedstawiłaby wartość o wiele wyższą, niż owa perła Kleopatry.

A sztukę czy należy też uważać za zbytek? Zapewne ekonomista musi ją tak nazwać, ale ze wszystkich rodzajów zbytku o tym właśnie można wyrazić się przychylnie, nie porzucając nawet zajętego stanowiska ekonomicznego. Nie idzie tu o zdanie, czy zapłacenie 600.000 frk. za obraz jakiś nie jest do pewnego stopnia szaleństwem — bo i to być może, ale trzeba pamiętać, że te 600.000 frk. możemy zawsze dostać napowrót, niema więc potrzeby brać ich pod uwagę. Całe więc pytanie ogranicza się do tego, czy ilość pracy i kapitału, którego on wymagał, odpowiednią jest do wielkości zadowolenia, jakie nam ten obraz sprawiać może. Otóż to widoczna, że wymaga on stosunkowo niewielkiej ilości dóbr i pracy — bo czegóż potrzeba, żeby go zrobić? Jeden metr płótna, trochę farb olejnych i kilkutygodniowej lub kilkumiesięcznej pracy jednego człowieka (względnie dwóch lub trzech ludzi, jeżeli wliczymy i pozowanie modeli) — i już gotowe jest dzieło, które przy swej ogromnej trwałości jest w stanie przez całe wieki sprawiać ludziom prawdziwą przyjemność. Tu więc bez wątpienia niema wcale mowy o braku równowagi między wyłożonym trudem a osiągniętymi wynikami. O tyle jednak można powiedzieć, że sztuka jest zbytkiem, iż każde wielkie dzieło jest zwykle połączone z wielką stratą sił produkcyjnych w danym kraju — a to w tem znaczeniu, że na jednego genialnego artystę przypada zawsze około stu miernych, których praca jest naturalnie bezpożytecznie stracona.

VII.

Wydatki cudzoziemców.

Jeżeli wydatek krajowca, zrobiony w kraju łączy się z pewnem zniszczeniem dóbr, to nie tak ma się rzecz z wydatkami cudzoziemca. Prawda, że on przez swą konsumcyę niszczy także pewną ilość dóbr, ale zato przynosi ich równowartość w pieniądzach i kraj nic na tem nie traci [1]).

Czy wystarczy powiedzieć, że kraj nic nie traci, czy nie można twierdzić, że na tem zyskuje?

Tak przynajmniej sądzi ogół, nie wahając się upatrywać w wydatkach, które ponoszą cudzoziemcy u nas, źródła nowych bogactw dla kraju. Szwajcarya, Włochy, Nicea uważają cudzoziemca za kurę, znoszącą złote jaja. Ekonomiści przeciwnie uważają zdanie to za błędne, a wydatki te jako nieprzynoszące żadnej korzyści i niemogące w niczem zwiększyć bogactwa kraju. Komu więc wierzyć należy?

Ekonomiści uzasadniają swe zdania tem, że cudzoziemcy w zamian za gotówkę, którą dają, konsumują pewną ilość dóbr, równych jej zupełnie co do wartości, że więc kraj, jako całość wzięty, nic na tem nie zyskuje ani nie traci, choć pewne gałęzie przemysłu i poszczególne okolice mogą niezaprzeczenie znaleźć przytem zarobek. Zaprzeczyć się nie da w istocie, że obecność cudzoziemców w pewnej miejscowości może spowodować przypływ ludności i kapitałów, że przedsiębiorstwa hotelowe, fiakierskie i zakłady fotograficzne mogą na tem dobrze wychodzić, ale ci robotnicy i te kapitały zostają

[1]) Przypuszczamy tu naturalnie, że cudzoziemiec pobiera te pieniądze ze swego kraju rodzinnego, bo gdyby je pobierał od kapitałów, ulokowanych w miejscu zamieszkania lub z ziemi, tam położonej to oczywiście wydatki jego nie wyróżniałyby się w istocie rzeczy niczem od wydatków krajowców.

odwrócone, odciągnięte od innych zajęć, że więc całkiem naturalnie inne gałęzie przemysłu muszą tracić na tem o tyle, o ile tamte na tem zyskują.

Ale czy ścisłem będzie wyrażenie, że cudzoziemcy konsumują zawsze równej wartości ilość dóbr? Nie zawsze będzie to prawdziwem. I tak nie można tego twierdzić, ilekroć cudzoziemiec zostaje wyzyskany, t. j. ilekroć za przedmiot swej konsumcyi musi zapłacić sumę pieniędzy, przewyższającą znacznie jego wartość rzeczywistą. Wtedy oczywiście płaci on krajowi pewien rodzaj haraczu, prawdziwy podatek pogłówny. Otóż, zastrzegłszy się przeciw moralności tego sposobu postępowania, musimy wyznać, że takie wyzyskiwanie jest już uświęcone przez zwyczaj i że niema ani jednego miasta, nawiedzanego przez cudzoziemców, w któremby kupcy nie mieli podwójnych cen, — jednych dla cudzoziemców, drugich dla krajowców.

Zupełnie podobnie ma się rzecz, gdzie idzie o dobra, które z natury swej nie są zużywalne, a ni nie ulegają zniszczeniu odrazu. Jeżeli cudzoziemiec najmuje na pewien czas willę lub na pewien dzień bierze przewodnika i przez to nabywa prawo rozkoszowania się piękną pogodą, oddychania świeżem powietrzem i zachwycania się malowniczymi widokami, to nie zabiera przez to jeszcze nic z bogactw kraju; owszem płaci mu prawdziwą rentę, równą tej, jaką pobiera właściciel jakiegoś zyskownego monopolu naturalnego. Dlaczegóżby zatem lodowce Szwajcaryi, wybrzeża zatoki nicejskiej, wodospady Norwegii, muzea i ruiny Włoch, nie miały stanowić dla tych krajów istotnego źródła bogactw, tak dobrze, jak niemi są pokłady węgla lub lasy [1]).

[1]) Ależ to są przecież przedmioty nieprodukcyjne — może ktoś powie? Prawda, one nie produkują nic dla ludzkości wogóle, chyba przyjemność, ale przynoszą znaczny dochód krajowi, który potrafił je wyzyskać, pozwalając za opłatą ich używać lub oglądać cudzoziemcom. Jeśli n. p. mam w swych dobrach jakieś niezwykłe okazy przyrody zewnętrznej, to choćbym je otoczył płotem i pobierał po franku od każdego zwiedzającego, to jeszcze nie można powiedzieć, by dochód kraju przez to choć trochę wzrósł, ale tylko, że mój dochód zwiększył się znacznie kosztem zwiedzających. Gdybym jednak musiał wystawić w tym celu jakieś zamknięte ogrodzenie i zapłacić stróża, należałoby oczywiście odtrącić z tego dochodu te wydatki. Tak samo i wydatki, poniesione na pobudowanie domów, na zastępy całe przewodników i woźniców w celu zwabiania turystów, przedstawiają pewną sumę kapitału i pracy, którą trzeba potrącić, a pozostała dopiero nadwyżka będzie stanowiła czysty dochód kraju.

Otóż opierając się na tem spostrzeżeniu, twierdzą niektórzy, że ostateczny wynik tego mniemanego zysku ogranicza się do zwiększenia ilości obiegającej po kraju gotówki i że ten jej wzrost nie przynosi żadnej rzeczywistej korzyści. Pieniądz wskutek tego, że go jest więcej traci na sile kupna, ceny się podnoszą — i na tem koniec.

Mieliśmy już kilkakrotnie sposobność wyłożyć nasze zapatrywanie na ten sposób pojmowania rzeczy, według którego ma być dla kraju obojętnem, czy ma dużo czy mało pieniędzy w obiegu. Obecnie więc ograniczamy się do uwagi, że gdyby Anglicy zechcieli dać 100 milionów Francyi jedynie za przyjemność przesiadywania w Paryżu lub Nicei, to oczywiście Francya mogłaby każdej chwili wymienić te 100 milionów za angielskie towary tej samej wartości [1]), które tem samem stanowiłyby we Francyi przyrost dóbr, któreby nic nie kosztowały [2]).

[1]) Musiałoby to nastąpić, bo równowaga między wywozem a dowozem stara się zawsze wrócić do normalnego położenia, to też i wypłaty za granicę, gdyby miały potrwać dłużej, będą się dokonywać nietylko przez wysłanie pieniędzy, ale i przez przywóz towarów zagranicznych do Francyi.

[2]) Ten przypływ gotówki będzie szczególniej korzystny dla kraju, cierpiącego na brak gotówki, spowodowany albo nadmierną ilością pieniędzy papierowych w obiegu, albo niekorzystnym bilansem handlowym państwa. To też jedną z okoliczności, które pomogły Włochom do częściowego uwolnienia się od pieniądza papierowego i przywrócenie wypłat w złocie, był z pewnością ustawiczny napływ cudzoziemców.

ROZDIAŁ II.

OSZCZĘDNOŚĆ.

I.

Znaczenie społeczne oszczędności.

Oszczędzanie jest dlatego społecznie użyteczne, że połączenie sum, zaoszczędzonych przez rozmaite osoby, tworzy nowe, znaczne kapitały, które można użyć do założenia i prowadzenia nowych przedsiębiorstw. Znaczenie więc oszczędności jest takie samo dla społeczeństwa, jak i jednostek — oszczędność umożliwia zaopatrzenie potrzeb przyszłych. Tylko dzięki swym wielkim oszczędnościom, mogła Francya utrzymać godne stanowisko przemysłowe w szeregu krajów, które przewyższają ją ludnością i ruchliwością.

Ponieważ oszczędność jest dla kraju użyteczną, więc jest ona obowiązkiem tych, którzy mogą oszczędzać, t. zw. ludzi bogatych i kapitalistów. Tylko zamożni mogą oszczędzać, bez odmówienia pokrycia potrzebom, które powinno się zaspokoić. Natomiast u ubogich rzecz przedstawia się odmiennie. Ekonomiści utrzymywali przez długi czas, że oszczędność jest jedynem źródłem majątku i jedynym środkiem zbawienia dla warstw robotniczych; oni to wraz z moralistami napominają bezustannie ubogich, ażeby oszczędzali. Jest w tem wiele przesady. Nie powiemy, żeby ubogi najczęściej nie mógł oszczędzać, bo oszczędność jest zawsze możliwa, nawet u najbiedniejszych; potrzeby ludzkie odznaczają się tak cudowną elastycznością, że o ile można je rozszerzać w nieskończoność, o tyle dadzą się także ogromnie ścieśnić. Człowiek, który ma dziennie tylko funt chleba dochodu, potrafiłby się może przyzwyczaić do jedzenia tylko co drugi dzień, wskutek czego połowę chleba mógłby oszczędzić. Zresztą warstwy robotnicze wydające miliardy na napoje alkoholiczne i tytoń, z pewnością mogłyby zaoszczędzić te kwoty, z wielkim dla siebie pożytkiem.

Mimo to wydaje się nam, że rady udzielane z taką powagą ubogim, są często nieuzasadnione, gdyż oszczędność, która odbywa się kosztem zaspokojenia potrzeb niezbędnych lub słusznych, jest raczej szkodliwa niż pożyteczna. Byłoby nierozsądnem poświęcać teraźniejszość dla przyszłości, jeżeli to poświęcenie *jest niebezpieczne dla samej przyszłości*. Każdy wydatek prywatny czy publiczny, który służy fizycznemu lub umysłowemu rozwojowi człowieka, musimy uznać nietylko za wskazany sam w sobie, lecz nawet za *lepszy od oszczędności*. Jakiż może być większy pożytek z dóbr, jak wzmocnienie własnego zdrowia, lub rozwinięcie swej inteligencyi? Z pewnością należy odradzać używania napojów gorących, lecz pieniądze wydane na nie, dadzą nieraz większy pożytek, gdy się je wyda na pożywienie lub ubranie, niż gdyby się je złożyło w kasie oszczędności, bo i to trzeba zaznaczyć, że alkohol kupuje się najczęściej za pieniądze zaoszczędzone na koniecznych potrzebach. Zdrowe pożywienie i mieszkanie, dobre ubranie, wygodne sprzęty, hygiena i opieka lekarska, pouczające książki, przechadzki, podróże, niektóre sporty, koncerty i t. p. są to wszystko wydatki nietylko dozwolone, lecz nawet godne zalecenia. Można nawet powiedzieć, że stanowią raczej *lokacyę* i to najlepszą ze wszystkich, bo podnoszącą wartość i wytwórczość człowieka.

W warstwach robotniczych nie są zbyt przychylni oszczędności indywidualnej, tem więcej zato rozwija się tam *oszczędność zbiorowa*, tak co do swego celu, jak i swej organizacyi w kształcie wkładek do stowarzyszeń zawodowych, współdzielczych, wzajemnej pomocy, kas ubezpieczenia i t. d. Oszczędność zbiorowa domaga się mniejszych ofiar, a daje większe rezultaty, wytwarza bowiem fundusze wspólne, służące wszystkim. Powstaje ona pod wpływem tak idei solidarności jak i korzyści osobistej.

Nie można nawet powiedzieć, aby oszczędność była jedynym, lub najważniejszym obowiązkiem zamożnych. Wydatki na cele filantropijne, estetyczne, naukowe i t. d. są użyteczniejsze od oszczędzania tem więcej, że o ile nie pokryją ich ludzie bogaci, będą ciężyć na państwie lub gminach, t. zn. na wszystkich, bo na sile podatkowej ludności.

Tak więc musimy stwierdzić, że oszczędność jest zbytkiem, t. zn. że może się ukazać tylko w bogatszych społeczeństwach, a i tam tylko u tych, którzy posiadają nadmiar dochodów, t. zn. u niewielkiej liczby osób. To też statystyka dowodzi, że kraje oszczędzające są bardzo nieliczne, a oszczędności rzadko tylko przewyższają dziesiątą część dochodu społecznego. Tak jest w Anglii i we Francyi, gdzie roczne oszczędności wynoszą dwa do trzech miliardów franków, przy dochodzie 20—35 miliardów.

II.

Warunki oszczędności.

W mowie potocznej ma wyraz oszczędność ściśle określone znaczenie: wyraża on po prostu fakt wstrzymania się od konsumcyi, a więc «odkładania na bok» jakiegokolwiek dobra. Istota oszczędności polega więc na zaniechaniu konsumcyi z uwagi na przyszłe potrzeby.

Oszczędność wymaga dwóch warunków: podmiotowego i przedmiotowego, t. zn. przezorności i możności przechowania zaoszczędzonych przedmiotów.

1. Wola oszczędzania nie urzeczywistniłaby się sama przez się, gdyby nie pozostawała pod wpływem zdolności, właściwej tylko człowiekowi. Zdolność ta, polegająca na utrzymaniu równowagi pomiędzy potrzebą teraźniejszą a przyszłą i na obejmowaniu, że się tak wyrażę, oczyma

ducha w danej chwili i jednej i drugiej z tych potrzeb, zwie się przezornością.

Wobec tego, że potrzeba obecna jest rzeczywistością — bo materyalnie czuć się nam daje, a przyszła jest czystą abstrakcyą, bo odczuwamy ją tylko myślą — przezorność wymaga pewnego oswojenia się umysłu z pojęciami oderwanemi, umysłu wyższego — stanowi też objaw rozwiniętej cywilizacyi[1]).

Nasze zajęcia, zwłaszcza wśród dzisiejszych społeczeństw nowożytnych, nasze wychowanie, zmuszają nas do ustawicznego myślenia o przyszłości. Uczeni, starający się odsłonić tajemnicę przyszłości; politycy niespokojni o jutro; ci, którzy rzucili się w wir bieżących interesów spekulacyjnych; zwykli kupcy zajęci wypłatami z końcem miesiąca i zestawieniami majątku z końcem roku: wszyscy bezwiednie, mniej lub więcej jesteśmy przyzwyczajeni mieć do czynienia z tem czemś nieznanem i liczyć się z niem. Lecz ten wysiłek umysłowy jest zupełnie obcy dla człowieka dzikiego, który odczuwa jedynie potrzeby w danej chwili go gniotące, a który, jak to doskonale powiedział Montesquieu, ścina drzewo u samego korzenia, żeby dostać owoce.

Zdolność ta rzadko daje się spostrzedz nawet u ludzi nam współczesnych, jeżeli swoim stanem społecznym są zbliżeni do stanu ludności pierwotnej. Dlatego też brak przezorności jest rysem charakterystycznym ludów dzikich, jak również i klas niższych lub zepsutych naszego społeczeństwa.

2. Drugim przedmiotowym warunkiem jest zdolność przedmiotu, mającego być oszczędzonym, do przechowania czyli konserwacyi. Właściwość ta jest dość rzadka, bo tylko niewielka liczba środków konsumcyi, da się przechować bez zepsucia. To też oszczędność była w praktyce tak długo niemożliwą, dopóki nie zaczęto używać pieniędzy, a przynajmniej szlachetnych kruszców jako środ-

---

[1]) Patrz Bagehot'a *Economic Studies — The growth of capital.*

ków przechowania wartości. Odtąd, kto chce oszczędzać przedmioty ulegające zepsuciu, przekształca je w drodze wymiany na pieniądze, które można przechować nawet na najbardziej odległą przyszłość.

Powstaje pytanie, czy oszczędność, t. zn. odroczenie konsumcyi, jest zawsze ofiarą? Szkoła liberalna potwierdza to stanowczo: zastępuje wyraz oszczędność słowem powstrzymanie się (abstynencya), a niektórzy jej zwolennicy dowodzą nawet, że oszczędność jest jedną z form pracy i w ten sposób usprawiedliwiają procent od kapitału. Natomiast socyaliści wyśmiewają podobne zapatrywania.

Jedni i drudzy, jak to łatwo dowieść, przedstawiają rzecz tendencyjnie.

Każdego człowieka, zamierzającego oszczędzać, powstrzymuje od tego myśl o mniejszem lub większem poświęceniu, jakieby musiał zrobić, a z drugiej znów strony podnieca go mniejsza lub większa korzyść, jaką się spodziewa odnieść z oszczędności. Bierze więc pod rozwagę te dwie potrzeby — teraźniejszą, której zaspokojenia trzebaby się zrzec, np. głód, który mu dokucza — i przyszłą, której zaspokojenie chciałby sobie zapewnić, np. pragnienie zapewnienia sobie utrzymania na stare lata. Wola jego waha się między temi dwoma, wprost sobie przeciwnemi dążeniami i stosownie do tego, które z nich z większą występuje siłą, oświadcza się ostatecznie za jednem lub drugiem [1]). To też ofiara, jakiej wymaga oszczędzanie, jest nadzwyczaj różnorodną, stosownie do położenia majątkowego każdego — i zdolną jest przechodzić prawie wszystkie stopnie pośrednie od zera aż do nieskończoności.

Dla człowieka, nie mającego nic więcej prócz środków do życia, zaoszczędzanie stanowi czynność wielce

[1]) Zaznaczyliśmy już, że przy pracy zachodzi podobne przeciwdziałanie tych pobudek.

bolesną, połączoną z pozbawieniem się zaspokojenia potrzeb najistotniejszych.

Przeciwnie dla człowieka, który ma do swego rozporządzenia nadmierną ilość dóbr, oszczędzanie nie stanowi wcale ofiary godnej uwagi, może ono nawet stać się dlań koniecznością, bo ostatecznie zdolność konsumowania ma u każdego, choćby najrozrzutniejszego człowieka, pewne granice. Tak nasze potrzeby jak i żądania mają pewien kres, a nawet natura sama oznaczyła go, w uczuciu nasycenia.

III.

Rodzaje oszczędności.

1. W mowie potocznej ma wyraz oszczędność ściśle określone znaczenie: wyraża on po prostu fakt wstrzymania się od konsumcyi, a więc »odkładania na bok« jakiegokolwiek dobra [1]). Ekonomiści zaczęli mącić to tak jasne znaczenie, obejmując pojęciem oszczędności także myśl lokacyi, a fakt gromadzenia dóbr oznaczając wyrazem »tezauryzacya«. Tymczasem ani fakta same, ani logika nie upoważnia nas do robienia takiego rozróżnienia: ani fakta same, bo przecież nie każda oszczędność musi koniecznie być ulokowaną, przeciwnie, często kończy się

[1]) Oszczędność może mieć za przedmiot tylko jeden rodzaj dóbr, szlachetne kruszce, zwłaszcza w postaci sztuk pieniężnych. Do odkładania na bok jakichś dóbr trzeba jeszcze, by ich przyrodzone własności na to pozwalały, t. j. by one dały się dłuższy czas przechowywać. Otóż tylko mała liczba przedmiotów ma tę własność, większa ich część psuje się prędko i to często psuje się prędzej, gdy się ich nie używa, niż gdy się je ma w użyciu. Meble i materye zleżą się, bielizna żółknie w szafie, żelazo rdzewieje, żywność psuje się lub robaki ją zjadają; nawet wino, doszedłszy do pewnego stopnia wytrawności, z czasem traci na wartości.

na późniejszem skonsumowaniu, — ani logika, bo jest to niewłaściwem oznaczać tym samym wyrazem dwie czynności, nietylko różnorodne, ale i wprost z sobą sprzeczne. Istota oszczędności polega na zaniechaniu konsumcyi, podczas gdy lokacya polega na skonsumowaniu danych dóbr przez inne osoby. Jedna wyklucza pojęcie konsumcyi, druga sama w sobie ją mieści. Stąd pochodzi ta dwuznaczność wyrazu »oszczędność«, która niemało przyczyniła się do niejasności całego przedmiotu.

Tymczasem, gdy weźmiemy oszczędność w znaczeniu tezauryzacyi, ograniczając ją do samego tylko faktu ścieśnienia konsumcyi i przechowywania pewnej ilości dóbr, to nie widzimy powodu, dla którego podobne akta miałyby być uważane jako przeciwne interesom ogółu — chyba raczej przeciwnie. Każdą sztukę monety można uważać za przekaz, uprawniający posiadacza do pobrania z zapasu istniejących dóbr pewnej ich części. Otóż człowiek oszczędzający oświadcza po prostu, że na teraz zrzeka się wykonania swego prawa i odebrania swej części. To mu przecież wolno; nie krzywdzi przez to nikogo. Część, którąby mógł skonsumować, skonsumują inni. Bądźmy przekonani, że albo on sam, albo jego spadkobiercy, albo jego dłużnicy, gdyby raz przecież zdecydował się ulokować swe pieniądze, zechcą zużytkować te przekazy.

Zarzucają mu, że wycofuje z obiegu pewną ilość gotówki? Prawda, ale ta gotówka nie ginie ani się psuje i pewnego dnia zostanie wydobytą ze swego ukrycia. Prawda, że ten akt odkładania dóbr na zapas, gdyby był przedsiębrany zupełnie bez żadnego celu, lub tylko na to, by od czasu do czasu nacieszyć oczy widokiem pełnej szkatuły — a jest to rys charakterystyczny wszystkich ludzi chciwych — wtedy zasługiwałby na wszystkie pociski sarkazmu, którymi po wszystkie czasy obrzucają skąpców. Aczkolwiek więc niemądrem jest to postępowanie, o ile ono dotyczy tych, którzy tak robią — to znów z punktu widzenia interesu społecznego jest ono zupełnie

nieszkodliwe, a przynajmniej o wiele mniej szkodliwe, niż rozrzutność [1]).

Zresztą rozumie się samo przez się, że większa część tych okoliczności ma jakiś cel; albo lokacyę, a więc służenie do produkcyi nowych dóbr, albo przynajmniej stworzenie zapasu na przyszłość, by módz stawić czoło jakiejś potrzebie lub nieprzewidzianemu wydatkowi.

2. Lokacya polega na tem, że zamiast samego tylko przechowania dóbr, przeznacza się je, w drodze reprodukcyi, na rzecz konsumcyi przyszłej. System ten jest znacznie doskonalszy, szczególnie ze stanowiska indywidualnego, albowiem nie skazuje dóbr na bezczynność, to też jest zwykłą formą oszczędności w społeczeństwach cywilizowanych.

Ulokować majątek znaczy tyle, co użyć go do produkcyi — jeśli więc idzie o zboże, to zasiać je zamiast zjeść — jeśli o węgiel, to spalić go w piecu jakiejś maszyny zamiast na kominku, — konia zaprządz do pługa

---

[1]) Skąpstwo nie może wyrządzić społeczeństwu rzeczywistej szkody, jak tylko w przypadkach, gdzie idzie wyłącznie o przedmioty, niedające się przechowywać, bo wtedy spowodowałoby rzeczywiste zniszczenie dóbr. Tak właśnie działa ów skąpiec w bajce Floriana, przechowujący jabłka póki się nie zepsują, a skoro które z nich zgnije, zjada je ubolewając nad tem. Ale gdy kto gromadzi gotówkę, a to jest jedyna forma tezauryzacyi, wtedy nie ma się co obawiać tego niebezpieczeństwa. Jedynym wynikiem, jakiby mogło sprowadzić takie zniknienie pewnej ilości gotówki, byłoby chwilowe spadnięcie cen, więc ostatecznie korzyść dla konsumentów i ludzi ubogich.

Atoli przyznać trzeba, że uprzedzenie ogółu, przenoszące rozrzutnych nad skąpych, jest dość uzasadnione ze stanowiska moralnego, jeśli już nie z ekonomicznego. Bo w istocie skąpstwo, a nawet nadmierna oszczędność oznacza wielkie przywiązanie do pieniędzy, kiedy przeciwnie rozrzutność pewną obojętność dla nich, pogardę dla tego nędznego kruszczu. Rozrzutny jest, mówiąc dosadnie a obrazowo, »biczem na pieniądze«. A że pragnienie złota, *auri sacra fames* jest źródłem wielu złych postępków, więc dlatego to uprzedzenie ogółu jest do pewnego stopnia usprawiedliwione.

nie do powozu, — pieniędzy nie wydawać, ale pobierać z nich dochód. Z podanych przykładów wynika, że lokacya jest, tak samo jak wydatek, sposobem konsumcyi dóbr. Jedyną, ale ważną różnicę, stanowi ta okoliczność, że lokacya jest konsumcyą, służącą do reprodukcyi nowych dóbr. Co do pieniędzy (a tylko pod tą postacią można rozpatrywać różne sposoby użycia majątku), to ich lokacya może przybrać dwie różne formy. Ten, kto chce swych pieniędzy użyć produkcyjnie, może wybrać jeden z następujących dwóch sposobów:

1) Pożyczyć pieniądze bezpośrednio jakiejś osobie prywatnej, albo zakupić obligi długu państwa lub kolei żelaznych w formie papierów renty, obligacyi i t. p. Jest to sposób produkcyjnego użycia pieniędzy, o którym myśli się prawie zawsze, ilekroć jest mowa o lokacyi.

2) Użyć pieniędzy wprost na założenie, na swój własny rachunek, jakiegoś przedsiębiorstwa handlowego, przemysłowego, lub na zakupno ziemi czy wybudowanie domu w celu wynajmowania. Jest to także sposób lokacyi pieniędzy, lub przynajmniej pobierania z nich dochodu.

Tak w pierwszym, jak i w drugim wypadku pieniądze ulokowane otrzymują nazwę kapitału i to całkiem słusznie, bo przecież dają one, lub dawać powinny (wyjąwszy jakieś nieszczęście lub niepowodzenie) swemu właścicielowi dochód w formie procentu, dywidendy, zysku, lub jakichś korzyści. Prawda, że lokacya nie zawsze przynosi korzyści tym, którzy ją zrobili, a jeszcze mniej krajowi. Te 30 miliardów, które wypożyczyło państwo francuskie od początku bieżącego stulecia, co najmniej w trzech czwartych poszły na prowadzenie wojen i zabijanie ludzi, czego nie można uważać za czynność produkcyjną samą w sobie [1]).

[1]) Skoro te 30 miliardów nic dla kraju nie wyprodukowały, więc jak sobie wytłumaczyć, że przynoszą swoim właścicielom, t. j. posiadaczom renty państwowej, rocznie koło miliarda renty? W bardzo prosty sposób. Państwo przeznacza co roku jeden miliard z dochodów podatkowych — więc z wyniku pracy wszystkich Francuzów — na zapłacenie procentu od tych zgubnych operacyi. Chcąc postępować uczciwie, nie może robić inaczej, skoro jako dłużnik zobowiązało się do tego umową. Zresztą rentyerzy mogą powiedzieć, że choć ich pieniądze nie zostały użyte na pomnożenie bogactwa krajowego, to przynajmniej posłużyły na opłacenie jego zwycięstw lub haraczu.

Ale te 10 miliardów, których użyto na koleje żelazne, miliard użyty bardzo szczęśliwie na przekopanie kanału Sueskiego i wiele innych jeszcze, przedstawiały użycie bardzo produkcyjne i to tak dla tych, którzy swe pieniądze w ten sposób ulokowali, jak również dla kraju. Lokacya jest więc bezsprzecznie najkorzystniejszym, z punktu widzenia całego społeczeństwa, sposobem użycia majątku wogóle. Tymczasem ogół jest innego zdania; zazwyczaj sądzą, że człowiek, który wydaje swe pieniądze, przyczynia się więcej do podniesienia dobrobytu i daje więcej zajęcia robotnikom, niż ten, który poprzestaje na ulokowaniu swych pieniędzy, zwłaszcza na lokacyi kapitałów przez zakupno papierów wartościowych i schowanie ich do swego biurka. Mogłoby się zdawać, że to jest tylko odmienny rodzaj tezauryzacyi. Ale kto tak sądzi, nie zdaje sobie sprawy z tego, czem jest lokacya kapitału.

Przypuśćmy, że ktoś użył swych pieniędzy na zakupno obligów kolejowych. Daje więc towarzystwu kolejowemu pieniądze za te papiery. A cóż ono robi z temi pieniądzmi? Czy ciągle trzyma je w kasie? Bez wątpienia nie, bo gdyby miało tylko ten zamiar, to z pewnością nie brałoby tych pieniędzy. Użyje ich na zakupno węgla, szyn, progów pod szyny, na zapłacenie swych urzędników lub robotników, wyrabiających lokomotywy dla towarzystwa, albo budujących czy naprawiających jego tor kolejowy. Tak samo ma się rzecz we wszystkich, pomyśleć się dających wypadkach lokacyi kapitału [1]). W każdym więc razie pieniądze ulokowane zostają wydane, jeśli nie przez właściciela, to przynajmniej przez tego, komu

[1]) Zostaną one wydane także w razie pożyczenia ich państwu,

on ich pożyczył[1]); zasilają więc handel, albo też służą na zakupno towarów lub zapłacenie robotników, tylko, że zamiast, żeby je obrócono na wydatki nieprodukcyjne, obrócono je na produkcyjne. Jedyna różnica mogłaby polegać na tem, że możnaby je wydawać daleko za granicą. Jeżeli np. kapitalista za swe oszczędności kupuje obligi panamskie — to jego pieniądze posłużą na zapłacenie murzynów lub chińskich robotników, a gdyby te pieniądze był po prostu wydał, to może zyskaliby na tem wprost robotnicy jego kraju — o tyle więc mogą się oni na tę lokacyę żalić.

W każdym razie wystarczy zrobić te dwa spostrzeżenia:

1) że ten, kto sam wydaje, nie zawsze robi te za-

choć nie zawsze w sposób produkcyjny. Ale jeśli państwo zaciąga pożyczkę, to z pewnością potrzebuje pieniędzy na zapłacenie swych dostawców, lub na wyrób karabinów.

[1]) Trzeba być przygotowanym na następujący zarzut. Gdyby każdy uważał za swój obowiązek lokować wszystkie swe pieniądze, wtedy niktby już nic nie konsumował. Wtedy produkcya musiałaby ustać i nie byłoby więcej żadnego przedsiębiorstwa, ani zajęcia dla nikogo?

Na to trzeba odpowiedzieć, że przedewszystkiem zarzut taki zawiera sam w sobie sprzeczność, bo każda lokacya łączy się ściśle z pojęciem produkcyi: gdyby więc produkcya miała ustać, to oczywiście wszelka lokacya byłaby niemożliwą i kapitaliści musieliby wtedy, radzi nie radzi, oddać się konsumcyi.

Nadto w ciągu tego rozumowania zapomniano, że lokacyi może dokonywać tylko mniejszość ludzi, tj. ci, którzy mają więcej, niż im potrzeba. A gdyby nawet — choć przypuszczenie to jest nie do urzeczywistnienia — wszyscy bogaci postanowili żyć o suchym chlebie i wodzie, to jeszcze nie byłoby to tak wielkiem nieszczęściem. Prawda, że produkcya przedmiotów konsumcyi klas bogatych upadłaby z powodu braku popytu na nie, ale zato rozwijałaby się dalej produkcya przedmiotów koniecznych, stanowiących konsumcyę ogółu, a że odtąd w tego rodzaju produkcyi lokowanoby wszystkie majątki, więc z tej przyczyny zyskałaby ona silny bodziec, przedmiotami tymi zaopatrywanoby obficiej targi, a przez to samo byłyby one tańsze, co byłoby dla każdego wielkiem dobrodziejstwem.

kupna w tej okolicy, gdzie mieszka, owszem zdarza się to rzadko;

2) że, jeśli oszczędności Francuza przyczyniają się do tego, by robotnik zagraniczny mógł pracować, to na odwrót oszczędności zagraniczne mogą znaleźć lokacyę we Francyi i dać zajęcie robotnikom francuskim — i że w ten sposób mogą oni znaleźć w tem częściowe odszkodowanie. Chcąc cały ten ważny przedmiot jasno przedstawić, trzeba niekiedy zapomnieć o pieniądzach, bo wiemy dobrze, że pieniądz występuje przy tych czynnościach tylko jako pośrednik obrotu i reprezentant kapitału, a sam niczego nie produkuje.

Kto podpisuje obligacyę kolei żelaznych na 400 fr., przynoszącą 16 fr. procentu, mógłby, gdyby był ekonomicznie wykształcony, odezwać się w ten sposób:

»Oto przekaz na 400 fr., który daje mi prawo wzięcia z ogółu dóbr istniejących odpowiedniej ich ilości na moją konsumcyę. Co do mnie, to wolę nie korzystać z mego prawa; daję wam więc ten przekaz; zapomocą niego możecie wy korzystać z tego prawa, z którego ja nie korzystałem i podjąć tyle a tyle węgla, żelaza lub czegobądź, czego będziecie potrzebowali do waszej produkcyi, albo za pomocą niego mogą wasi robotnicy, gdy im te przekazy dacie jako płacę, nabyć przedmioty, potrzebne im do utrzymania. Tylko ponieważ nie mam zamiaru robić wam lub waszym robotnikom podarunku z tej części dóbr, do której miałem prawo, więc żądam, byście mi dali rocznie 16 fr. z tych nowych dóbr, które wyprodukujecie przy pomocy pracy własnej lub waszych robotników«.

Widzimy więc ostatecznie, że kiedy wydać pieniądze znaczy tyle, co skonsumować na swój własny rachunek pewną ilość dóbr, to ulokować swe pieniądze jest to samo, co przenieść na innych swe prawo i swą możność konsumowania. Przeniesienie to nie odbywa się za darmo[1]), ale

[1]) Socyaliści twierdzą nawet, że przeniesienie to dokonywa się

mimo to widzimy, jak niesłusznem jest zdanie, jakoby lokacya polegała na zachowywaniu pieniędzy dla siebie, a konsumcya na rozdawaniu ich innym — i jak przeciwnie głęboką jest myśl Stuarta Mill'a: »Oddajemy usługę robotnikom nie przez to, że konsumujemy, ale przez to, że nie konsumujemy«.

Każda lokacya wymaga dwóch warunków: pewności, że się odzyska swe pieniądze, czyli innemi słowy: bezpieczeństwa i nadziei osiągnięcia jakiejś korzyści.

1) Chcąc ulokować swe oszczędności, t. j. użyć ich w sposób produkcyjny, trzeba się z niemi rozłączyć, trzeba je skonsumować w sposób reprodukcyjny, trzeba zgodzić się na ich użycie. Niktby się na to nie zgodził, gdyby nie był zupełnie pewnym, że te dobra, których się na pewien czas pozbywa, nie utraci, lecz że otrzyma je z pewnym przyrostem. Tylko ta pewność dodaje nam podobnej ufności, a budzi ją: *a)* spokój pod względem stosunków politycznych, który daje nam rękojmię przeciw konfiskatom ze strony uciemiężającego rządu, przeciw zaburzeniom wewnętrznym lub najazdowi nieprzyjacielskiemu; *b)* dalej bezpieczeństwo prawne, poręczające nam nasze prawa do ulokowanego kapitału, a to zapomocą tych wszystkich instytucyi prawnych, które mają zapewnić wykonanie umów (tu należą poręczenie, hipoteki, przywileje i środki egzekucyjne); *c)* wreszcie zaufanie w ludzką uczciwość, oparte na wzroście moralności ogółu i uczciwości każdego w dotrzymywaniu swych zobowiązań, bo bez tego ostatecznie wszystkie inne zabezpieczenia na nicby się nie przydały.

Gdyby tej pewności nie było, oszczędzający nie byliby skłonni wypuszczać ze swych rąk kapitałów i woleliby raczej składać i przechowywać je w postaci gotówki lub innych kosztownych rzeczy, nie przynoszących wpra-

pod bardzo uciążliwymi dla nowonabywcy warunkami i stanowi wyzysk robotników.

wdzie dochodów, ale przynajmniej nie narażonych w tym stopniu na utratę. Dlatego to w czasach niepewnych, jakimi były np. wieki średnie, albo w krajach o słabej władzy rządowej, jak np. na Wschodzie, napotykamy zwyczaj składania skarbów, a tak mało lokacyi kapitałów. Handel towarami zbytkownymi, które przy małej objętości mają wielką wartość i dają się przez to łatwo przewieźć i ukryć, jest wówczas jedynym, dla kapitałów możliwym sposobem użycia. Nawet ziemia nie daje pożądanego bezpieczeństwa, bo choć jej nie można porwać, to zato może uledz konfiskacie, spustoszeniu lub przeciążeniu podatkami [1]).

2) Osiągnięcie jakiejś korzyści, czy to w postaci zysku, gdy kto sam osobiście zatrudnia swe kapitały, czy to w postaci procentu, w razie wypożyczenia ich.

Bo gdyby istotnie kapitał ulokowany miał wracać do rąk swego właściciela tylko tak wielkim, jakim odeń wyszedł, to nie opłaciłoby się z rąk go wypuszczać i lepiej byłoby go przechowywać. Koniecznem następstwem zniesienia procentu i zysku nie byłoby, jak mówią niesłusznie, przytłumienie wszelkiej oszczędności, ale niewątpliwie zaniechanie wszelkiej lokacyi. Nie trzeba znów stąd wnosić, by zniżka stopy procentowej miała koniecznie zmniejszyć lokacyę, owszem może oddziaływać na nią dodatnio. Każdy, kto robi jakieś oszczędności, składa je zazwyczaj w celu zapewnienia sobie odpowiedniego z nich dochodu, któryby mu wystarczył na utrzymanie, np. 10.000 fr. Jeśli stopa procentowa wynosi 5%, trzeba, chcąc cel ten osiągnąć, ulokować 200.000 fr., ale gdyby stopa procentowa spadła na 2%, należałoby, dla otrzymania tego samego dochodu, ulo-

[1]) Przeciwnie czasy, w których żyjemy, nastręczają kapitalistom tysiące, nieznanych ojcom naszym sposobów lokacyi: niezmierzoną jest ich ilość, a wiele z nich przedstawia zupełne bezpieczeństwo. W 1815 r. były ledwie 4 rodzaje papierów wartościowych, notowanych na giełdzie paryskiej, w 1890 r. było ich 800, nie licząc setek innych, notowanych na giełdach poszczególnych departamentów lub na giełdach zagranicznych.

kować kapitał 500.000 fr. Otóż nie ulega wątpliwości, że wtedy zniżka stopy procentowej byłaby tylko bodźcem do większej pracy i większej oszczędności. Jednak jest i tu pewna granica, tylko że trudnoby ją było dokładnie oznaczyć. Gdy do niej dojdziemy — np. gdyby stopa procentowa spadła na 1 *pro* 1000, gdyby więc dla zapewnienia sobie dochodu 10.000 fr. trzeba było zaoszczędzić kapitał 10 milionów — to prawdopodobnie nikt nie lokowałby więcej swoich pieniędzy. Większość ludzi byłaby bowiem tego zdania, że nie warto wypuszczać ich ze swych rąk dla tak małego dochodu. Oszczędzanoby i nadal, by zapewnić sobie zaspokojenie swych potrzeb w przyszłości, ale zamiast używać pieniędzy w sposób produkcyjny, poprzestanoby na składaniu ich w jakiemś miejscu bezpiecznem, by je skonsumować z dnia na dzień, gdy się po temu nadarzy sposobność [1]).

IV.

Zakłady, ułatwiające oszczędzanie.

W każdym kraju cywilizowanym istnieją przeróżne, w pomysłowy sposób urządzone zakłady, których przeznaczeniem jest ułatwiać oszczędzanie. Zawdzięczają one swój początek bądź to władzy rządowej, bądź to inicyatywie prywatnej.

[1]) Nie będziemy się tu rozwodzić w osobnym rozdziale, jakeśmy to zrobili, omawiając oszczędność, nad zakładami, mającymi ułatwiać lokacyę kapitału. Wszystkie przedsiębiorstwa finansowe i przemysłowe, szczególnie w formie towarzystw akcyjnych, czynności, mające za przedmiot kredyt rolniczy, krótko- lub długo terminowy, zwłaszcza za pośrednictwem banków hipotecznych«, ustawiczne pożyczki państwowe, zwłaszcza w formie emisyi papierów publicznych — podają dziś każdemu, kto chce swe pieniądze ulokować, niezliczone sposobności po temu. Wiele z tych lokacyi daje kapitaliście bezpieczeństwo dostateczne, dostarczając mu nadto możności wybierania między formą obligu (przynoszącego stały dochód w formie procentu), a formą akcyi (przynoszącej zmienny dochód w formie dywidendy). Wszystkie robią mu nadzieję na mniejszy lub większy procent, bardzo często na rzeczywiste premie w formie zwrotów, wyższych niż suma pożyczona, a nawet wygranych w wysokości od 100.000 fr. do 500.000 fr., co, mówiąc nawiasem, jest pod względem moralnym wielce wątpliwym sposobem postępowania.

1. Kasy oszczędności są zakładami, ułatwiającymi oszczędzanie przez to, że podejmują się strzedz kwot zaoszczędzonych. Składającemu w nich pieniądze wyświadczają usługę, bo zabezpieczają jego oszczędności przed złodziejami, a może jeszcze więcej przed nim samym.

I w rzeczy samej najlepszym środkiem zachowawczym dla złożonych oszczędności jest usunięcie ich z rąk tego, kto je zrobił, bo przez to zapobiega się pokusie wydania ich, bardzo silnie działającej. Skarbonki, dobrze znane dzieciom w formie puszki glinianej, do której wrzuca się pojedyncze sztuki pieniędzy przez mały otwór, stanowią tylko dowcipne a praktyczne zastosowanie tej myśli. Chcąc przyjść napowrót do posiadania wrzuconego tam pieniądza, trzeba rozbić tę skarbonkę, a choć to nie tak trudno, to jednak, jak sądzę, potrafi ona dać dziecku czas do namysłu i uzbroić je przeciw pokusie.

Kasa oszczędności jest taką właśnie, tylko udoskonaloną skarbonką. Deponent ma wprawdzie możność rozporządzania temi małemi kwotami, które w tym zakładzie złożył; ale w każdym razie nie ma ich już w swoich rękach ani w swej kieszeni, a ich wydobycie wymaga zawsze pewnych formalności i w każdym razie więcej czasu, niż rozbicie skarbonki.

Dla zachęcenia do oszczędności kasy te zapewniają mały procent, który powinien być przecież dla składających bodźcem, pobudzającym do oszczędności. Nie powinien on być zbyt wysoki, ażeby, jak się to zbyt często dzieje, kasy oszczędności nie zmieniły się w instytucye

kredytowe, w których umieszcza się kapitały dla uzyskania znacznych dochodów.

2. Stowarzyszenia wzajemne przezorności polegają na zasadzie, że członkowie składają przez pewien przeciąg czasu, np. przez 20 lat, wkładki miesięczne, poczem uzbierany kapitał rozdzielają pomiędzy siebie. Łatwiej jest oszczędzać osobom, należącym do związku, niż stojącym osobno. Najpierw wkładki miesięczne stają się obowiązkiem i przyzwyczajeniem: powtóre stowarzyszenia wyzyskują w lepszy sposób prawo procentu składanego od jednostki, wreszcie w najznaczniejszej części tych towarzystw wprowadzono zasadę przeżycia, t. zn. że wkładki, uiszczone przez członków zmarłych przed terminem wypłaty, przechodzą na rzecz tych, którzy ich przeżyli. Dawniej nazywano ten system, który polega na pewnego rodzaju spekulacyi na cudzą śmierć, tontyną.

3. Stowarzyszenia spożywcze działają również jako zakłady oszczędnościowe, usuwając główną przeszkodę oszczędności, t. j. konieczności ofiary, odmówienia sobie czegokolwiek. Widzieliśmy już poprzednio, w jaki sposób dochodzi się w nich do oszczędności, którą słusznie nazwano automatyczną. Towary, zakupywane przez stowarzyszenie po cenach wielkiego handlu, odprzedaje się członkom po cenach cząstkowej sprzedaży, a osiągnięty stąd zysk zwraca się im po roku, lub zatrzymuje jako ich depozyt. Jeżeli więc rodzina robotnicza kupuje w stowarzyszeniu rocznie za 1000 fr., a zysk na tych towarach wynosi 10%, dojdzie do oszczędności 100 fr., która nic nie kosztowała, t. j. dla której nie zmniejszono w niczem zaspokojenia swych potrzeb.

4. Stowarzyszenia kredytowe, szczególniej systemu Schutze-Delitzsch, są właściwie bankami ludowymi, które działają zarówno jako zakłady kredytowe, jak i oszczędnościowe, bo zbierają oszczędności u szerokich warstw, ażeby je rozpożyczać.

V.

Ubezpieczenie.

Zwyczajna oszczędność ma służyć pewnym potrzebom przyszłym; odkłada się dla dzieci lub na stare lata. Równie koniecznem jest zabezpieczyć się przed nieprzewidzianymi wypadkami, które grożą bądź osobom (choroby, nieszczęśliwe przypadki, niezdolność do pracy, śmierć), bądź przedmiotom (pożar, grad, kradzież) i albo niszczą dobra, albo zmuszają do nieproduktywnej konsumcyi.

Oszczędność osobista nie może tu wystarczyć, gdyż należałoby unieruchomić kapitał bardzo znaczny, np. ażeby pokryć szkody, wywołane pożarem — i to często napróżno, bo bardzo być może, że klęska nie dotknie danego gospodarza. Natomiast stowarzyszenie działa tu doskonale. Rzeczywiście, gdy chodzi o nieszczęście przypadkowe, jak pożar lub kradzież, dotknie ono z pewnością nielicznych tylko członków, podczas gdy klęska prawdopodobna, jak choroba, lub konieczna, jak śmierć, nie spadnie przynajmniej na wszystkich naraz w tej samej chwili. Wystarczy więc, gdy każdy zaoszczędzi małą kwotę; zebrane razem wynagrodzą one szkody, które pojawią się istotnie. I tak doświadczenie uczy, że wkładka, w wysokości jednej tysiącznej wartości domu, wystarcza aż nadto, ażeby ubezpieczyć się od pożaru, jeżeli tylko zakład ubezpieczający ma dostateczną liczbę członków.

Ubezpieczenie jest jednym z najdoskonalszych zastosowań idei solidarności. Dzięki ubezpieczeniu, najstraszniejsze nawet klęski, któreby zrujnowały jednostkę zupełnie, przestają być groźne — oczywiście ze stanowiska indywidualnego, bo społecznie biorąc, szkoda przez nie wyrządzona, nie da się usunąć — bo w zamian za drobną ofiarę, rozkładają straty na tak wielką ilość gospodarstw, że żadne nie odczuwa tego ciężaru. Wkładki ubezpieczenia są

niewątpliwie jedną z form oszczędności, o tyle jednak odmienną od innych, że oszczędność w zwyczajnem tego słowa znaczeniu, powiększa bogactwo, a ubezpieczenie nie dopuszcza tylko do jego umniejszenia.

Zasadniczo ubezpieczenie da się przeprowadzić w każdym wypadku, w którym 1) jakiekolwiek zdarzenie dla gospodarstwa szkodliwe, posiada zdolność powtarzania się, 2) można w przybliżeniu oznaczyć prawdopodobną ilość konkretnych jego przejawów, 3) wreszcie da się oznaczyć wartość wyrządzonej szkody. Istotne jego przeprowadzenie zależy przedewszystkiem od zrozumienia korzyści ubezpieczenia po stronie gospodarzy, na owe wypadki narażonych i od tego, czy chcą oni i mogą opłacać premie, wystarczające na pokrycie każdego odszkodowania.

Zakłady ubezpieczeń dzielimy na instytucye publiczne i prywatne, w miarę tego, czy władza publiczna uznała za swój obowiązek zająć się działem ubezpieczeń, czy też pozostawia tę dziedzinę inicyatywie prywatnej. W jednym i drugim wypadku można odróżnić zakłady oparte na wzajemności od przedsiębiorstw na zysk obliczonych. W instytucyach wzajemnych wszyscy ubezpieczeni mają prawo do udziału w zysku i obowiązek pokrycia wszystkich zobowiązań, ciążących na zakładzie ubezpieczenia. Stąd też nie składają oni premii lecz zaliczki na premie. Dopiero po zamknięciu okresu gospodarczego, oblicza się wysokość premii rzeczywistej. Jeżeli złożone poprzednio zaliczki nie wystarczają, musi się je podnieść, jeżeli po pokryciu wszelkich zobowiązań pozostaje nadwyżka, następują na rzecz ubezpieczonych zwroty. Instytucye obliczone na zysk są zwyczajnemi przedsiębiorstwami kapitalistycznemi, które w ten sposób starają się o fruktyfikacyę swych kapitałów. Zakłady ubezpieczenia publiczne, państwowe,

krajowe, gminne, czy zawodowe mogą być również zbudowane na zasadzie zysku, jeżeli traktuje się je jako źródło dochodu na rzecz ogółu, albo też na wzajemności, gdy wszystkie zyski wychodzą tylko na korzyść stowarzyszonych. Zakłady ubezpieczeń mogą być wreszcie zorganizowane na zasadzie wolnej konkurencyi, albo też wyposażone w monopol, bądź ogólny, gdy one tylko mają prawo zawierania wszystkich umów asekuracyjnych, bądź terytoryalny lub klasowy, gdy przyznano im takie prawo lecz tylko odnośnie do pewnego terytoryum lub pewnej warstwy ludności (np. w gminie, powiecie, kraju, ubezpieczenie robotników), bądź wreszcie rzeczowy, gdy zastrzeżono im wyłączne prawo ubezpieczeń pewnego rodzaju.

Główne wady towarzystw wzajemnych są wynikiem oparcia finansowej podstawy towarzystwa w ostatniej linii o majątek czy dochody samych ubezpieczonych. Stąd płynie pewna ociężałość gospodarcza, ciągła obawa podniesienia zaliczek, a wskutek tego niechęć do rozszerzenia ubezpieczeń na przedmioty niebezpieczniejsze, wreszcie niemożliwość określenia wysokości wydatku na asekuracyę, wobec nieznanej wysokości zwrotu czy dopłaty. Natomiast wielką zaletą towarzystw wzajemnych jest wykluczenie wszelkiej myśli zysku, co powstrzymuje od nierealnych interesów i od oznaczania premii w nadmiernej wysokości, dla uzyskania wyższej dywidendy. Ogólnie można powiedzieć, że towarzystwa wzajemne stoją niżej od akcyjnych, na zysk obliczonych, pod względem swej przedsiębiorczości i kupieckiego sprytu, natomiast są pewniejsze i realniejsze.

Związki publiczne, jako państwo, gmina i t. p., mogą utrzymywać zakłady ubezpieczeń w trojakim celu. Najpierw można stanąć na stanowisku prywatnogospodarczem i traktować ubezpieczenia jako źródło

dochodu; dalej może się rozchodzić o uregulowanie, drogą konkurencyi, wysokości premii, wreszcie, jeżeli wprowadzono przymus ubezpieczenia czynny, a nie nałożono na instytucye prywatne obowiązku przyjmowania każdego ryzyka, zakłady publiczne mają umożliwić ubezpieczenie przedmiotów, nie przyjętych przez ubezpieczenia prywatne. Pierwszy wypadek, chęci zysku, nie powinien zachodzić przy ubezpieczeniach, mających większą doniosłość dla gospodarstwa ogólnego, lecz co najwyżej przy takich rodzajach asekuracyi, które zabezpieczają przed klęskami, o charakterze wybitnie indywidualnym (np. przed stratą na kursie, przed wypadkami kolejowymi). Dwa drugie zadania kryją znowu w sobie poważne niebezpieczeństwo finansowe. Zakłady ubezpieczeń publiczne, oparte na wzajemności, mogłyby w tych razach dojść łatwo do nadmiernego przeciążenia stowarzyszonych premiami, gdyż gospodarka ich jest najczęściej droższa od prywatnej. Przy przymusie tylko czynnym byłoby to niemal konieczne, gdyż w towarzystwach publicznych ubezpieczanoby z reguły ryzyka najgorsze. Jeżeliby natomiast te zakłady nie miały charakteru wzajemnego, mogłyby wprawdzie pobierać premie bardzo nizkie, lecz powstający stąd deficyt musiałyby pokryć z innych dochodów odnośnych związków publicznych. Jedynem wyjściem jest tu zaprowadzenie monopolu ograniczonego w połączeniu z wzajemnością. Jeżeli chce się utworzyć publiczne zakłady ubezpieczeń, muszą one być wzajemne, lecz zarazem musi się im przyznać monopol ubezpieczenia bądź pewnych przedmiotów, bądź też do pewnej wysokości. W każdym jednak razie przeciwko publicznym zakładom ubezpieczeń, przemawiają względy bardzo poważne. Wszelki bowiem błąd administracyjny odbija się ciężko na całem gospodar-

stwie narodowem, gdyż brak zakładów konkurencyjnych uniemożliwia przeniesienie ubezpieczenia do instytucyi lepszej i tańszej. Dlatego publiczne zakłady ubezpieczeń należy uważać jako ostateczne wyjście z trudności, wskazane tylko o tyle, o ile inicyatywa prywatna okazała się istotnie niedostateczną.

KONIEC.

UNIWERSYTET WARSZAWSKI BIBLIOTEKA Filia w B-stoku
100724
94373

SPIS RZECZY.

Str.

WIADOMOŚCI OGÓLNE.

I. Przedmiot ekonomii politycznej 1
II. Prawa naturalne w ekonomii 5
III. Powstanie nauki ekonomii politycznej 10
IV. O metodzie 16
V. Szkoły ekonomiczne 22
§. 1. Szkoła liberalna 23
§. 2. Szkoła socyalistyczna 30
§. 3. Szkoła historyczna 35
§. 4. Szkoła chrześcijańsko-socyalna 42
§. 5. Szkoła współdzielcza czyli solidarności 47
§. 6. Szkoła socyologiczno-biologiczna 50
§. 7. Szkoła psychologiczna czyli austryacka 52
VI. Potrzeby ludzkie 54
VII. Środki służące naszym potrzebom 65
VIII. Pojęcie wartości 70
IX. Przyczyny wartości 75
§. 1. Użyteczność 76
§. 2. Praca 87
X. Wartość wymienna 93
XI. Cena 102
XII. Miernik wartości 115

KSIĘGA I. PRODUKCYA.

CZĘŚĆ I. CZYNNIKI PRODUKCYI 122

Rozdział I. Przyroda 126
I. Położenie 127

Str.

II. Miejsce 130
III. Surowce 132
IV. Prawo obniżającego się przychodu 134
V. Siły poruszające 138
VI. Złudzenia wywołane wprowadzeniem maszyn 142
VII. Czy maszyny są szkodliwe dla warstw robotniczych? . 145

Rozdział II. Praca.

I. Rola pracy w produkcyi 152
II. W jaki sposób praca wytwarza? 155
III. Poglądy na wytwórczość pracy 158
IV. Trud jako składowy czynnik pracy 163
V. Czas jako składowy czynnik pracy 167

Rozdział III. Kapitał.

I. Pojęcie kapitału 170
II. Różnica między kapitałem a innemi dobrami 176
III. Jak należy rozumieć produkcyjność kapitału? 181
IV. Trwałość kapitału stałego i obiegowego 184
V. Jak się tworzy kapitał? 187

CZĘŚĆ II. SPOSOBY PRODUKCYI.

Rozdział I. Organizacya produkcyi.

I. Kolejne epoki ewolucyi przemysłowej 190
II. Koszta produkcyi 195
III. Jak utrzymać równowagę między produkcyą a konsumcyą? 198
IV. Konkurencya 201
V. Nadmiar produkcyi i prawo zbytu 205
VI. Przesilenia gospodarcze 209

Rozdział II. Asocyacya.

I. Asocyacya pracy 215
II. Asocyacya kapitałów 219
III. Asocyacya rolnicza 229
IV. Prawo koncentracyi przedsiębiorstw 230

Rozdział III. Podział pracy.

I. Kolejne formy podziału pracy 239
II. Warunki podziału pracy 242
III. Korzyści i niekorzyści podziału pracy 244

Str.

KSIĘGA II. OBRÓT.

Rozdział I. Wymiana.

I. Historya wymiany 255
II. Korzyści wymiany 257
III. Rozkład zamiany na kupno i sprzedaż 261
IV. Środki ułatwiające wymianę 263
V. Rola kupców w produkcyi 264
VI. Targi, jarmarki i giełdy 267
VII. Środki przewozowe 269

Rozdział II. Pieniądz kruszcowy.

I. Historya pieniądza 272
II. Czy pieniądz wyróżnia się czemś wśród wszystkich innych dóbr? 276
III. Wpływ zmian wartości pieniądza na ceny 281
IV. Czy wartość pieniądza będzie ciągle spadać? 284
V. Jakie przymioty musi posiadać dobry pieniądz? . . . 287
VI. Prawo Greshama 292
VII. Konieczność używania kilku kruszców i wynikające stąd trudności 296
VIII. Jakim sposobem kraje bimetaliczne mają w rzeczywistości jedną tylko monetę? 300
IX. Czy należy przyjąć monometalizm? 304

Rodział III. Pieniądz papierowy.

I. Czy można pieniądz kruszcowy zastąpić papierowym? 314
II. Czy stworzenie pieniądza papierowego jest stworzeniem nowego dobra? 319
III. Niebezpieczeństwa, wynikające z używania pieniądza papierowego i środki, służące do ich uniknięcia 322
IV. Jak można usunąć pieniądz papierowy? 326
V. Udoskonalenie wymiany prowadzi do wznowienia zamiany surowej 330

Rozdział IV. Wymiana międzynarodowa.

I. Co należy rozumieć przez bilans handlowy? 332
II. W jaki sposób utrzymuje się bilans handlowy? . . . 337
III. Na czem polegają korzyści międzynarodowej wymiany 340
IV. Dlaczego handel międzynarodowy musi także przynieść pewne szkody? 344
V. Historya ochrony celnej 346

Str.
VI. Argumenty zwolenników ochrony celnej 357
VII. Teorya wolnego handlu 363
VIII. System premii wytwórczych 372
IX. System traktatów handlowych 374

Rozdział V. Kredyt.

I. Kredyt jest tylko rozszerzeniem wymiany 377
II. Historya kredytu 380
III. Czy kredyt stwarza nowe kapitały? 384
IV. Banki 387
V. Depozyta 389
VI. Interes eskontowy 391
VII. Emisya biletów bankowych 394
VIII. Różnica między biletem bankowym a pieniądzem papierowym 398
IX. Kurs weksli 400
X. Podnoszenie stopy eskontowej 408
XI. Wolność bankowa 413
XII. Organizacya banków biletowych 418
XIII. Poszczególne rodzaje kredytu 425
§. 1. Kredyt rolniczy hipoteczny czyli długoterminowy 425
§. 2. Kredyt rolniczy krótkoterminowy 429
§. 3. Kredyt ludowy 430

KSIĘGA III. ROZDZIAŁ DOCHODÓW.

CZĘŚĆ I. ZASADY ROZDZIAŁU DOCHODÓW.

Rozdział I. Majątek 433
Rozdział II. Dochód 437
Rozdział III. Przyczyny powstania dochodu 440
Rozdział IV. Powstanie dochodu czystego 450
Rozdział V. Udział różnych warstw w dochodzie społecznym 457
Rozdział VI. Zasady rozdziału dochodów, dzisiaj istniejące
I. Sposób, w jaki odbywa się obecnie rozdział dóbr . . . 460
II. Nabycie własności 466
III. Ewolucya co do przedmiotów i podmiotów prawa własności 469

Str.
IV. Ewolucya treści prawa własności 470
V. Nierówność majątkowa 478
VI. Próżnowanie 483
VII. Ubóstwo 486

Rozdział VII. Zasady socyalistyczne 502

I. Równy podział 503
II. Komunizm 505
III. St. Simonizm 510
IV. Kolektywizm 512
V. Współdzielczość 521

CZĘŚĆ II. RÓŻNE RODZAJE DOCHODU.

Rozdział I. Płaca.

I. Pojęcie płacy 525
II. Historya umowy o pracę 527
III. Prawo rządzące płacą 530
§. 1. Teorya prawa spiżowego 532
§. 2. Teorya wytwórczości pracy 535
§. 3. Teorya funduszu płac (wage-fund) 537
IV. Zwyżka płac 540
V. Środki, służące do zmniejszania długości pracy 554
VI. Zawodowe stowarzyszenia robotnicze 558
§. 1. Strejki 561
§. 2. Sądy rozjemcze i Izby ugodowe 563
VII. Ubezpieczenie robotników 565
VIII. Przyszłość systemu płacy 570
IX. Udział w zyskach 574
X. Stowarzyszenia produkcyjne 577

Rozdział II. Renta gruntowa.

I. Prawo renty gruntowej 582
II. Uprawnienie renty gruntowej 601
III. Historyczny rozwój własności ziemskiej 607
IV. Dzierżawa 612
V. Unarodowienie ziemi 615
VI. Podział własności ziemskiej 620

Rozdział III. Procent.

I. Skąd się bierze dochód z kapitału? 622
II. Historya pożyczek na procent 629

Str.
III. Uprawnienie procentu 632
IV. Prawa rządzące procentem 635
V. Stopniowe obniżanie się stopy procentowej 639

Rozdział IV. Zysk przedsiębiorcy.

I. Istota zysku przedsiębiorcy 645
II. Prawa rządzące zyskiem przedsiębiorcy 648
III. Uprawnienie zysku przedsiębiorcy 652

KSIĘGA IV. KONSUMCYA.

I. Pojęcie konsumcyi 658
II. Czy produkcya wystarczy zawsze na zaspokojenie potrzeb? 660

Rozdział I. Wydatki.

I. Rozłożenie wydatków 664
II. Wspólna konsumcya 669
III. Mieszkanie 672
IV. Zakłady i usługi gminne 676
V. Kredyt spożywczy 678
VI. Zbytek 681
VII. Wydatki cudzoziemców 687

Rozdział II. Oszczędność.

I. Znaczenie społeczne oszczędności 690
II. Warunki oszczędności 692
III. Rodzaje oszczędności 695
IV. Zakłady ułatwiające oszczędzanie 704
V. Ubezpieczenie 707